

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 148.

ROK DZIESIĄTY. — TOM XXXVIII.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1893.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządkiem Jana Gadowskiego.
1893.

WALKA Z DROŻYZNĄ.

Kto po raz pierwszy bliżej zapoznaje się ze sprawami ekonomicznymi naszego kraju, ten doznaje na samym wstępie pewnego zniechęcenia i goryczy, że w czasach, kiedy około walki o dobrobyt obracają się wszelkie społeczne i ekonomiczne zagadnienia, u nas hasło pracy produkcyjnej słaby znajduje w społeczeństwie odgłos, rzadko gdzie prawdziwe czynne zainteresowanie, a dążeniom w tym kierunku podjętym tak trudno przebić się szczęśliwie przez stadyum próbne. Jest wprawdzie w tym względzie wielki postęp od lat dziesięciu; zabiegom Sejmu i Wydziału krajowego udało się zrobić już sporo, i sporo od rządu uzyskać; są zawiązki pewnej organizacji, bez której życie ekonomiczne obejść się nie może, ale wszystko to jest raczej dziełem poszczególnych jednostek, niż objawem zbiorowych dążeń i pracy. Ogół społeczeństwa nie bierze w tem co się dzieje w kraju czynnego udziału, a tem, czego nas uczy przykład zagranicy, mało się interesuje.

W dziedzinie przemysłu i handlu przedstawia się ten stan rzeczy w świetle jaskrawem. Można jeszcze odmiennymi warunkami produkcji wytłumaczyć, że do nas dochodzi zaledwie przytłumione echo tej walki o danie robotnikom udziału w zysku i w wartości przedsiębiorstw fabrycznych, która na zachodzie Europy od lat trzydziestu wrze namiętnie, a w której Le Play i jego następcy pragną, w drodze wzajemnego porozumienia, robotnikom osiągnięcie ich celów zapewnić. Można dalej pojąć,

że tak szczupłe mamy wiadomości o wstrząśnieniu, jakiego doznał cały stan kupiecki wskutek powstawania coraz to liczniejszych magazynów, na olbrzymią skalę zakładanych, z którymi przedsiębiorstwa prywatne nie mogą wytrzymać konkurencji. Ale zrozumieć zgoła niepodobna, a wytłumaczyć inaczej jak tylko zastoje i apatią społeczeństwa nie można faktu, że tak biernie znosimy te codziennie każdemu dolegające uciążliwości, jak niepraktykowaną nigdzie drożyznę i zły gatunek artykułów żywności, pomimo iż społeczeństwa jędrniejsze i żywotniejsze od dawna już w spółkach spożywczych znalazły najskuteczniejszą broń przeciw tym niedostatkom. Niedostatki to tylko na pozór drobne, budżet roczny każdej rodziny niby nieznacznymi kwotami obciążające; w rzeczywistości pochłaniają one miliony, i to w znacznej mierze na korzyść warstw społecznych mało do dźwignięcia kraju się przyczyniających. Wypływają zaś te niedostatki tak dalece z naszej natury i usposobienia, tak dalece są w nas siłą inercji i przyzwyczajenia zakorzenione, ujemnym stronom naszego charakteru schlebiające, że nie możemy się z nich otrząsnąć, ani sobie z nich jasno sprawy nie zdajemy.

Poznajmy więc przedewszystkiem charakter choroby, a prędeż zdecydujemy się na lekarstwo.

I.

Jakkolwiekby się kto zapatrywał na wszelkie „zdobycze“, którymi nas wiek XIX. obdarzył, ma wiek nasz tę niezaprzeczoną zasługę, że przeważna część przedmiotów do konsumpcji przeznaczonych jest z powodu obfitości podaży i niskich cen łatwo dla każdego przystępną. Taniość wyrobów przemysłu jest dziś rzeczywiście zdumiewającą, równoważy ją tylko zły tych wyrobów gatunek; te zakłady najlepiej prosperują, które wywiesiły dewizę: „złe, ale tanio“. Wobec ciągłego podnoszenia się cen ziemi, robotnika i ciężarów publicznych, niemniej jednak zadziwiać musi taniość płodów surowych. Możemy się o niej przekonać z następującej tabeli, którą ułożył dla Hamburga, jako jednego z największych rynków handlu świata, znakomity statystyk Soetbeer.

W Hamburgu obniżyły się mianowicie w latach 1886—1890 ceny najważniejszych artykułów konsumpcyjnej w porównaniu z cenami lat 1871—1875 i 1881—1885 w następujący sposób:

Zniżka wynosi w pięcioleciu 1886—1890 w porównaniu do cen lat:

	1871—1875	1881—1885
W produktach rolniczych . . .	30 ⁰ / ₀	22 ⁰ / ₀
„ bydłych . . .	15 „	13 „
w towarach kolonialnych . . .	10 „	2 „
w produktach górniczych . . .	34 „	6 „
w tkaninach	27 „	12 „
Przeciętna zniżka	21 ⁰ / ₀	11 ⁰ / ₀

Podobny rezultat wykazuje obliczenie ceny pszenicy w Austrii. Cena ta wynosiła mianowicie w Wiedniu:

w latach 1871—1875 za cetnar metryczny . . .	13 złr. 96 ct.
„ 1876—1880 „ „ „ . . .	12 „ 61 „
„ 1881—1885 „ „ „ . . .	11 „ 07 „

Wiadomą zaś jest rzeczą, że od r. 1885, wskutek konkurencji amerykańskiej, spadek cen szedł daleko szybszym krokiem (z wyjątkiem r. 1891), i że obecnie 100 kg pszenicy w Wiedniu kosztuje niespełna 8 złr. czyli niewiele więcej od połowy ceny w epoce od r. 1871—1885. Znaczne to i żadnej wątpliwości nieulegające obniżenie cen produktów rolnych wywołało przesilenie ekonomiczne do dziś dnia trwające, odbiło się niekorzystnie na różnych gałęziach przemysłu, i zmusiło władze państwowe do podjęcia inicjatywy w sprawie ulg dla rolników, od których dobrobytu, choćby względnego, zależy dobrobyt ekonomiczny całego kraju. Podczas gdy jednak przysłowie mówi, że „nie ma złego coby na dobre nie wyszło“, to w tym wypadku zło spadające na rolników nie przysporzyło konsumentom, którzy przecież ze zniżki cen korzystacoby powinni, żadnych lub też tylko drobne korzyści. Doświadczenie stwierdziło bowiem okoliczność, że ceny detaliczne są bardzo odporne na wpływ, jaki ceny hurtowne na nie wyrzucić usiłują. Tem się tłumaczy ten niezaprzeczony a bolesny

fakt, że zboże tanie a chleb drogi, fakt, w którym niemal cały problemat socyalny jest zawarty.

Producent ani fabrykant nie może z natury rzeczy swojego towaru sprzedawać w tak drobnych ilościach, w takim czasie i na takich warunkach, jakby sobie tego życzył każdy konsument jako jednostka; za apropryację tego towaru do swoich kaźdoczesnych indywidualnych potrzeb musi zatem konsument płacić pewną nadwyżkę ponad cenę, po jakiej producent towar oddaje. Tylko że nadwyżka ta jest po pierwsze nieproporcjonalnie wysoka, a powtóre nie idzie do rąk producenta, ale innej osoby, która pomiędzy producentem a konsumentem pośredniczy. Pośrednik ten, to kupiec; jego pracą zastosowanie towaru do potrzeb konsumenta, a różnica cen detalicznych od hurtownych jego zarobkiem.

Lekceważyć ani pomijać tej pracy kupca nie można. Jakkolwiek banalnem stało się zdanie, na dwa wieki przed Schäfflem już wypowiedziane, że obrót dóbr tak samo jest dla społeczeństwa niezbędnym, jak krążenie krwi dla ludzkiego organizmu; jakkolwiek nawet zdania tego nadużywano do różnych ekonomicznie szkodliwych lub nierzetelnych aspiracyj, jest ono przecież uzasadnione i słuszne. Rozwój cywilizacji polega na budzeniu się coraz to nowych umysłowych i materyalnych potrzeb, oraz na dążeniu do coraz większej łatwości i wygody w zaspakajaniu tychże potrzeb. Tę łatwość zaś i wygodę zapewnia właśnie utrzymanie zasady podziału pracy w życiu ekonomicznem. Kupiec musi trzymać zawsze na składzie towar w kilku gatunkach, stosownie do upodobania publiczności, musi towar ten dzielić na drobniejsze partye, odesłać na żądanie do domu, udzielać kredytu, czasem przyjąć napowrót towar kupującemu się niepodobający, wreszcie musi on dbać o ładną wystawę i dobre wewnętrzne urządzenie sklepu. Wszystko to są usługi publiczności rzeczywiście oddane, tylko że odbijające się w wysokiej mierze na cenie towaru. Nadwyżka, przez kupca przy sprzedaży ponad cenę hurtowną zakupu osiągnięta, musi być tak znaczną, aby wystarczyć na utrzymanie kupca i jego pomocników, na opędzenie kosztów lokalu, podatków, na oprocentowanie włożo-

nego w sklep kapitału lub zaciągniętych długów, na pokrycie nieściągalnych wierzytelności i strat ze zepsucia się lub wyjścia towaru z mody pochodzących; dopiero reszta stanowi czysty zysk z przedsiębiorstwa. Wobec tylu czynników na podrożenie towaru się składających, jest rzeczą oczywistą, że tylko przy bardzo znacznym obrocie może kupiec słuszną proporcję pomiędzy ceną zakupną a sprzedaży utrzymać, w tym bowiem wypadku koszta handlowe rozkładają się na znaczną ilość transakcyj, nie obciążając zbytnio każdego poszczególnego klienta. To jest też jedną z najważniejszych przyczyn, dlaczego większy magazyn musi zabić mniejszy, dlaczego obok fabryki przemysł rękodzielniczy ostać się nie może.

Podczas gdy jednak zasada ta występuje w zakresie produkcji przemysłowej z siłą i gwałtownością praw natury, podczas gdy praca maszynowa gnębi i deprecjonuje wytwory rękodzieła, to w zakresie handlu stosunek ten nie ulega bynajmniej analogicznej zmianie. Owszem, liczba drobnych przekupniów (zastrzegam się, że tylko o drobnych mówię), jest stanowczo za wielka, ich obrót mały, a więc nadwyżka ponad normalną cenę towaru, przez nich realizowana, musi być wysoka. Znajdują się w tej warstwie społecznej jednostki pracowite i przedsiębiorcze, ale mając do walczenia z przewagą liczebną handlarzy moźszowego wyznania, nie mogą one swojej działalności dostatecznie rozwinąć. U nas bowiem nietyle większe sklepy, bazary na model zagraniczny, podkopują byt kupców drobnych, ile raczej nieuczciwa konkurencya i wyzyskiwanie złych namiętności ludności uboższej przez Żydów. Znane są wypadki, że sklepy żydowskie sprzedawały pewne towary przez dłuższy czas poniżej własnych kosztów, a zatem z widoczną stratą, byle odebrać klientelę innym, bardzo poważnym firmom, a solidarność tych handlarzy między sobą, tudzież handlarzy z fabrykantami jest rzeczywiście zadziwiająca. Fabrykant szuka odbytu jedynie u kilkunastu lub kilkudziesięciu firm znaczniejszych i chętnie zgadza się na podany przez takowe warunek, że albo wogóle mniejszym odbiorcom, albo pewnym wyraźnie wymienionym sklepom towaru sprzedawać nie będzie. Wobec tego musi nieraz nawet

większy przedsiębiorca kapitulować; mały, a z nim razem i publiczność jest oddana na łaskę i niełaskę głównego dostawcy; wszelkie próby zawiązania bezpośrednich stosunków z fabryką pełzną na niczem, bo ceny np. żelaza w fabryce są powszechnie znacznie wyższe, niż te, których żąda agent tejże samej fabryki. Takie kartele są w naszych stosunkach, wobec braku konkurencji i braku wszelkiej energiczniejszej obrony ze strony konsumentów, na porządku dziennym. Za granicą kartele te (*ringi, trusty*) przybierają czasami jeszcze znacznie groźniejsze rozmiary; w Stanach Zjednoczonych monopolizują one zupełnie niektóre gałęzie handlu; właściciel fabryki nie może ani ilości, ani gatunku, ani ceny swego towaru ustanowić, ale musi ulegać rozkazom stowarzyszenia kartelowego, do którego się zapisał, a to pod groźbą, że w razie oporu jego przedsiębiorstwo zostanie przez innych uczestników kartelu zgniecione. Takiego losu doznały już w Ameryce setki fabryk lub kolei żelaznych; tylko wyrzeczeniem się samodzielności i dobrowolnem zdegradowaniem do roli podwładnego kartelowi organu, może się przedsiębiorca finansowo utrzymać. Najwyższy rozwój produkcji sprowadził, mimo drakońskich ustaw amerykańskich przeciw kartelom (np. ustawy z 2 lipca 1890), tak rozgałęziony faktyczny monopol co do całego szeregu towarów, o jakim w całym na przywilejach opartym systemie średniowiecznym nawet pomyśleć nie było można.

U nas kartele (w Austrii było ich w r. 1889, według dat wydawnictwa *Die Industrie*, 37) mają postać dużo łagodniejszą, ale i u nas część większych przemysłowców, zwłaszcza obcego wyznania, trzyma się tak solidarnie, że nie może być o tem mowy, aby sklepiki na drobnym kapitale zakładowym oparte mogły w kwitnącym stanie się utrzymać; mimo że towar sprzedaje się drogo, zysk osiągnięty ledwie wystarczy na wyżywienie kupca i jego rodziny. A jeśli na opędzenie tych wydatków nie wystarcza, to następstwa bywają już nietylko dla jednostki zgubne, ale zarazem i dla całego kraju niekorzystne, bo obniżają za granicą zaufanie w wypłatność i uczciwość kupiecką w całym kraju. Mimo wszelkich gróźb kodeksu karnego trudno jest kupcowi skonstatować, że wszelkie illuzye są już zwodnicze,

że dochód nie pokrywa wydatków przedsiębiorstwa; trudno zdobyć się na zwinięcie handlu, dopóki jeszcze niektóre pasywa mogą znaleźć pokrycie, i zdecydować się na szukanie nowego zawodu, wymagającego gruntowniejszych znajomości i intensywniejszej pracy. To też kupiec zachwiany w interesach trzyma się zwykle swego handlu, póki upadek przedsiębiorstwa nie da się zataić i póki grożące od dawna widmo konkursu nie stanie przed nim jako nieublagana konieczność. Człowiek nieuczciwy ukrywa zawczasu przed ręką wierzycieli resztki swego majątku, ale najuczciwszy nawet bankrutem swem zarywa materialnie jednostki i psuje kredyt całego kraju. Pod tym względem są stosunki hadlowe w Galicyi oplakane; na każdym innym polu jest prędzej pewien postęp do zaznaczenia niż tu, gdzie wprawdzie chodzi o sprawy jednostek prawie wyłącznie obcoplemiennych, ale gdzie ostatecznie w grze jest kredyt kraju.

Ciekawe daty statystyczne zawiera w tym względzie ostatnie sprawozdanie wydziału t. zw. stowarzyszenia wierzycieli (*Creditoren-Verein*). Stowarzyszenie to istnieje od lat 23 z siedzibą w Wiedniu, składa się z poważnych firm wiedeńskich i reprezentuje interesa swoich członków w razie niewypłatności osób pozostających z nimi w stosunkach handlowych. Niepodobna bez upokorzenia i wstydu, a zarazem bez żalu do naszych kupców czytać, jaką rolę odgrywa Galicya w publikacyach tego stowarzyszenia. Wyrażenie o „powszechnie w Galicyi używanych sztuczках i wykrętach“ (*landesübliche Kniffe und Schliche*) doznaje w dalszym ciągu tegorocznego raportu smutnej ilustracyi w świetle cyfr, a zestawienie Galicyi z innymi krajami koronnymi i z zagranicą jest wielce pouczające.

W roku 1891 uratowali członkowie tego stowarzyszenia ze sum dłużnikom niewypłałym kredytowanych 53⁰/₀, w roku 1892 tylko 51⁰/₀. Z kwot uratowanych uzyskano 80⁰/₀ za pomocą dobrowolnej ugody z zupełnym pominięciem postępowania sądowego, a tylko 20⁰/₀ z konkursu. Ogółem wynosiły straty stowarzyszenia w 1892 r. 3,900.000 zlr.

Najsukuteczniejszą okazała się działalność stowarzyszenia w Styryi, Karyntyi i Krainie, gdzie od niewypłałych dłużni-

ków ściągnięto 56⁰/₀; w Austrii Dolnej, Wiedniu i Węgrzech uzyskano 52⁰/₀, w Czechach, na Morawach i Śląsku, w Austrii Górnej, Salezburgu i Tyrolu 51⁰/₀; w Galicyi¹, Istrii i Dalmacyi 46⁰/₀. Mniej niż w Galicyi ściągnięto tylko w Bułgarii, Rumunii i Serbii (45⁰/₀), w Kroacji i Sławonii (44⁰/₀), tudzież w Bośni i Hercegowinie (42⁰/₀). Z zestawienia tych cyfr widać zaś, że nie są one zupełnie przypadkowe, ale że mogą służyć za dowód rzetelności lub nierzetelności kupieckiej w danym kraju. Jeszcze jaskrawiej się ta rzecz przedstawia, jeśli weźmiemy pod uwagę, jaki procent owych pretensyj potrafiło stowarzyszenie wierzycieli zaspokoić z masy konkursowej dłużników, a zatem niejako w drodze przymusowej, skoro układy o wyrównanie częściowe długów spełzły na niczem. W krajach koronnych austriackich, z wyłączeniem Galicyi, uzyskano w ten sposób 31⁰/₀ wierzytelności, w Węgrzech 16⁰/₀, w Galicyi w r. 1891 10⁰/₀, w r. 1892 nie zgola: czego wierzyciele nie wydobyli w drodze dobrowolnego układu, tego nie byli w stanie za pomocą sądu wymusić. Fakt to nader smutny, a ani cholera ani niekorzystnym zbiegiem okoliczności wytłumaczyć się niedający. Jakkolwiek bowiem koszta konkursu są znaczne, dowodzi przecież fakt ten, że indywiduala w konkurs popadłe zawczasu ukryły swoje mienie przed wierzycielami i złożyły fałszywą przysięgę manifestacyjną, albo też, że dłużnicy nie zażądali otwarcia konkursu, skoro tylko swą niewypłatność spostrzegli, ale miesiące lub lata całe żyli z cudzego grosza, kiedy masa konkursowa nie wystarczyła nawet na zapłacenie drobnej części wierzytelności.

Nie można się więc dziwić, że wszędzie za granicą spotykamy w sferach handlowych nieufność i pomiatanie stosunkami galicyjskimi, że firmy tutejsze, z wyjątkiem najpoważniejszych, dostają z zagranicy tylko najgorsze towary, wybiórki, które np. w handlu hamburskim nawet wprost *polnische Waare* nazywają. Raz zakorzeniona zaś tego rodzaju nieufność i lekceważenie przynosi rzetelnej pracy na polu naszego handlu i przemysłu

¹ Pretensye wierzycieli wynosiły tu 438.000 zlr., stracili oni zatem 250.000 zlr.

nieobliczalne straty, utrudnia nawiązanie bezpośrednich stosunków z poważnymi firmami zagranicznymi i paraliżuje wszelkie usiłowania do wytworzenia eksportu naszych produktów przemysłowych.

II.

Z powyższego przedstawienia wynika, że sprawa drobnych sklepików nie jest kwestyą obchodzącą jednostki, przekupniów czy konsumentów, ale jest rzeczą publicznego interesu. Trzy rzeczy, jak widzieliśmy, składają się na to, że istnienie nadmiernej ilości drobnych przedsiębiorstw handlowych jest dla społeczeństwa szkodliwe: 1) sklepów tych jest za dużo, a więc wiele rąk odrywa się od produkcyjnej pracy; 2) towar u przekupniów sprzedawany musi być drogi, a bywa często zły, więc wydatki na konsumpcję rosną bez korzyści dla producenta; 3) kramiarstwo jest finansowo podkopane, a więc osłabia powagę i kredyt kraju. W wielu wypadkach zachodzi jeszcze czwarta, bardzo ważna okoliczność, a mianowicie że właściciele sklepów żydowskich często trudnią się obok handlu lichwą, lub wyzyskują złe namiętności niższych warstw naszej ludności.

Wszystko to są fakta znane i dawno stwierdzone, a na ich poparcie możnaby przytoczyć całe szeregi dowodów statystycznych, zaczerpniętych przeważnie z pism nieusposobionego bynajmniej wrogo dla sfer kupieckich niemieckiego towarzystwa dla polityki socyalnej. Nie ulega zaś wątpliwości, że u nas jest pod tym względem w każdym kierunku gorzej niż za granicą. W Niemczech wynosiła liczba sklepów, według statystyki z r. 1882, przeszło pół miliona; we Francji zajmuje się handlem, według obliczeń Gide'a, dziesiąta część ludności, o Anglii już w r. 1850 powiedział John Stuart Mill, że na dziesięć sklepów możnaby się śmiało bez dziewięciu obejść. Wobec takiej ilości pośredników w handlu musi towar w ich rękę podrożeć. Stąd objawia się w publiczności coraz silniej dążenie do nawiązania bezpośrednich stosunków pomiędzy producentem lub hurtownikiem a konsumentem, tudzież do zakładania spółek spożywczych, celem uniknięcia pośrednictwa kupców drobnych. Położenie tych

ostatnich stanie się więc jeszcze bardziej zachwiane, skoro te dążenie przybierze większe rozmiary. Jest to proces ekonomiczny zupełnie naturalny i uzasadniony, jako reakcja przeciw mnożeniu się przedsiębiorstw dystrybucyjnych, jako walka z drożyzną.

Inicytywa do nawiązania bezpośrednich stosunków pomiędzy publicznością a producentami lub fabrykantami, wychodzi zazwyczaj od tych ostatnich, a sposobem ich nawiązania jest dzielenie towaru na tak drobne partye, aby te były dla konsumenta przystępne. Niema dnia, żebyśmy nie czytali w gazetach ogłoszeń, że np. jakaś firma tryesteńska rozsyła pomarańcze w paczkach po 5 lub 10 kilo, że pewien obszar dworski dostarcza mleczywa lub ziemniaków do domu po cenach niższych od targowych, lub żeby kogoś z naszych znajomych nie odowiedział agent, zachwalający towary przez swego pryncypała wyrabiane. Zdarza się także, choć niestety u nas za rzadko, że intendentura wojskowa przyjmuje oferty krajowych producentów i rękodzielników; wreszcie za granicą coraz częściej bywają zakładane wielkie bazy artykułów konsumcyjnych lub tualetowych. Są to różne formy, w których się objawia tendencya wykluczenia lub ograniczenia pośrednictwa w obrocie dóbr. Władza państwowa dążenia takie w niejednym kierunku popiera, w innych stawia im zaporę; popiera przeważnie zbliżenie się producenta z konsumentem, utrudnia omijanie przemysłowców. Tak np. z jednej strony nie wolno wysłannikom handlowym wozic ze sobą towarów na sprzedaż, tylko próbki, tak dalej odmówił rząd koncesyi na założenie projektowanej od dawna w Wiedniu spółki akcyjnej, która miała tamże urządzić wielki magazyn na wzór paryskiego *Bon marché*; projekt ustawy o podatku dochodowym obciąża bardzo znacznie spółki akcyjne, jako oparte na znacznym kapitale. Z drugiej strony pocztowe taryfy na przesyłki do 5 kilo tak nisko są ułożone, że wiele artykułów spożywczych znosi nawet eksport za granicę; stowarzyszenia gospodarcze doznają ulg podatkowych; zarząd wojskowy uwzględnia pod naciskiem parlamentu oferty nawet na drobne partye przedmiotów dostawy. Już dziś są więc wytworzone różnorodne formy,

za pomocą których może jednostka pod hasłem pomocy własnej odeprzeć niekorzyści ze zbytnej ilości pośredników w handlu płynące, a wytrwała praca w tym kierunku musi temu dążeniu wywalczyć poparcie rządu i społeczeństwa.

Nie dzieje się to bez oporu ze strony kupców, którym ten ruch odbiera klientelę i grunt z pod nóg usuwa, druzgocąc nawet ludzi przedsiębiorczych i pracowitych. Przedmiotem skarg i rekryminacyj są we Francyi głównie wielkie magazyny paryskie, a w Niemczech i Włoszech stowarzyszenia gospodarcze.

We Francyi stoi właśnie na porządku dziennym sprawa znacznego podwyższenia podatków przez wielkie magazyny uiszczanych, a to przez dodatkowe opłaty za każdego ponad pewną normę przyjętego subiekta ¹, przez opłaty od wozów służących dla reklamy i od czynszu najemnego. Dla tem skuteczniejszego prowadzenia tej walki utworzyli mniejsi przemysłowcy stowarzyszenie: *Ligue syndicale pour la défense des intérêts du travail, de l'industrie et du commerce*; organem tego, obecnie 33 tysiące członków liczącego stowarzyszenia, jest czasopismo: *La Revendication*. Niemieccy przemysłowcy roztaczają znów swoje żale na spółki konsumcyjne w sprawozdaniach izb handlowych i w czasopiśmie peryodycznem: *Kolonialwaarenzeitung*. Niewątpliwie mają zarówno wielkie magazyny jak i spółki zarobkowe pewne strony ujemne. Pierwsze rujnują wskutek swego dominującego stanowiska nawet zupełnie poważne firmy prywatne, wyzyskują zbytne siły fizyczne całego wojska subiektów żyjących w zupełnej zależności od właścicieli przedsiębiorstwa; drugie ulegają często skrajnym prądom politycznym lub socyalnym, nierzadko zdarzają się też u nich nadużycia kasowe. Wogóle jednak ta druga forma organizacyi handlu może i powinna koniecznie utrzymywać w na-

¹ Jak dalece w wielkich przedsiębiorstwach dadzą się obniżyć koszta administracyi w stosunku do obrotu, okazują następujące, przez sprawozdawcę komisyi w parlamencie dnia 17 lutego r. 1893 przytoczone cyfry. W magazynach o 60 subiektach wynosił zysk pryncypała na każdego subiekta 800 franków; w *Le Printemps*, liczącym 400 subiektów, zysk czysty 1200 fr. na subiekta; w Luvrze na 1600 subiektów czysty zysk 4000 fr. od subiekta; w *Bon Marché* na 1700 subiektów czysty zysk również 4000 fr. od subiekta.

leżnych granicach pierwszą, jako kryjącą w sobie poważne niebezpieczeństwo dla kraju, aczkolwiek zapewnia ona konsumentowi jako jednostce niezaprzeczone korzyści. Niebezpieczeństwo to grozi zarówno kupcom, jak i rzemieślnikom. Takie magazyny czy bazy, zakładane przez przedsiębiorców krajowych po mniejszych miastach i miasteczkach, mogłyby mieć ten wpływ dodatni, że powściągnęłyby w pierwszej linii żywy dla naszego społeczeństwa szkodliwy, i przyjdzie może czas, że się społeczeństwo tej broni przeciw małomiasteczkowym handlarzom chwyci. Gdyby jednak konkurencja takich magazynów miała się okazać dla naszego rękodzielnictwa niebezpieczną, co niewątpliwie już dziś gdzieś na jaw występuje, to rękodzielnicy powinni znaleźć właśnie w ustroju asocjacji zarobkowych i gospodarczych najlepszą formę do zjednoczenia sił celem ochrony wspólnych interesów; dobrze pokierowane te rękodzielnicze związki mogłyby się stać dzielniejsze i żywotniejsze niż dzisiaj, bez ujmy z pewnością dla dobrobytu jednostek i siły produkcyjnej kraju. Do wytrzymania walki konkurencyjnej pomoże im za cały kierunek nowszego ustawodawstwa podatkowego, obciążającego przedsiębiorstwa wielkie, a udzielającego ulg stowarzyszeniom rzemieślniczym.

Zanim się będzie w naszych oczach rozgrywać ta na Zachodzie już tak wyraźnie się zarysowująca walka o wytworzenie nowej organizacji przemysłu i handlu, rozpatrzmy się bliżej w cyfrach, żeby się przekonać, czy hasło walki z drożyzną za pomocą zbliżenia konsumenta z producentem jest rzeczywiście na czasie, a mianowicie, czy i o ile mogą dzisiejsze stosunki w tym względzie uleść zmianie na lepsze.

Niemieckie towarzystwo dla polityki socjalnej dało inicjatywę do podjęcia bardzo poważnych badań o stosunku cen hurtownych do detalicznych. Członkowie tego stowarzyszenia, jak van der Borcht, Bayerdörffer i inni, przestudowali dokładnie księgi handlowe znacznych firm kupieckich w różnych miastach niemieckich z przeciągu ostatnich lat kilkunastu i przedstawili w swych pracach zebrany na tej podstawie materiał statystyczny z największą drobiazgowością. Polegając na tem zupełnie au-

tentycznym źródle, możemy skonstatować dokładnie, po jakich cenach kupcy detaliczni zakupywali cały szereg artykułów spożywczych u hurtowników, tudzież po jakich je odprzedawali publiczności; różnica tych cen w procentach wyrażona, stanowi więc zarobek kupca przy każdej tranzakcyi. Z zarobku tego drobna tylko część przedstawia czysty zysk kupca, reszta idzie na pokrycie kosztów przedsiębiorstwa. To też autorowie, którzy w tej kwestyi głos zabierali, utrzymują przeważnie, że zysk czysty detalisty nie jest znaczny, a więc nadwyżka ponad koszta zakupna przez kupca pobierana w zupełności jest usprawiedliwioną.

Wobec naukowej metody indukcyjnej, jaką się wymienieni pisarze w swych pracach posługiwali, nie można powątpiewać, że konkluzya, do jakiej dochodzą, odpowiada ich bezstronnemu zapatrywaniu, że nie wpłynęły na nią żadne względy uboczne. Wolno nam jednak, opierając się na tym samym statystycznym materiale, trafność ich konkluzyi podać w wątpliwość. Jakkolwiek bowiem t. zw. koszta jeneralne przedsiębiorstwa stanowią czynnik wpływający na nieuniknione podwyższenie cen, to jednak nadwyżka ta przedstawia się przecież zbyt wysoką, a doświadczenie w różnych spółkach spożywczych nabyte zdanie to potwierdza.

Nadwyżka ta, tj. drożenie towaru u kupców detalicznych, wynosi według van der Borgh'ta przecięciowo 30% ceny sprzedażnej. Na przeważnej części (cztery piąte) sprzedawanych przez siebie ogółem artykułów, zarabiają mianowicie brutto firmy przez tego pisarza przytoczone przeszło 25% ceny sprzedażnej. Są artykuły, na których zarobek, i to nawet zarobek taksami ustanowiony, jak np. w przemyśle aptekarskim, wynosi 300—500 procent. Jeśli nadwyżka ta dotyczy przedmiotów mało poszukiwanych, albo w tak drobnych ilościach sprzedawanych (jak ołówki, pióra i t. d.), że konsument jej prawie nie odczuwa, to jest ona zupełnie usprawiedliwioną. Ależ sam van der Borgh't przyznaje, że cena detaliczna tak niezbędnego i ważnego artykułu konsumpcyi, jak węgiel kamienny, różni się w Akwizgramie od ceny hurtowej o 120%; ileż w tej nagiej cyfrze mieści się

wyzyskiwania tak robotników w kopalni jak i publiczności, ile nędzy byłoby uśmierzonej, gdyby najbiedniejsze klasy ludności mogły opał kupować u hurtowników lub w spółkach po cenach produkcji! A jest to przecież sposób walczenia z drożyzną skuteczny i wypraktykowany. Na walnem zebraniu stowarzyszenia dla polityki socyalnej z r. 1888 cytowano dziesiątki takich przykładów, że gdzie tylko w Niemczech powstała silnie zorganizowana i umiejętnie prowadzona spółka spożywcza, tam drobni handlarze byli zmuszeni ceny najważniejszych artykułów żywności o kilkadziesiąt procent obniżyć.

Wpływ spółek konsumcyjnych sięga zatem także poza zakres uczestników, ich działalność wychodzi na dobre także ogółowi, bo obniża ceny towarów u przekupniów. Działalność ta, jakkolwiek uboczna, ma przecież dla gospodarstwa społecznego znaczenie pierwszorzędne, stanowi bowiem konkurencyę poważną i utrzymuje tendencyę do podnoszenia cen detalicznych w pewnych granicach, a ceny same niejako na normalnym poziomie. Jaka nadwyżka ponad ceny hurtowne jest takim normalnym poziomem, to jest rzeczą bardzo względną i cyframi wyrazić się nie da. Im artykuł jakiś jest bardziej niezbędny do zaspokojenia naszych potrzeb, tem mniej znosi on nadwyżkę ponad kosztą zakupu; nadwyżka trzech albo czterech procent na cukrze, kawie albo nafcie, bywa za wysoką i może kupca o stratę klienteli przyprowadzić, podczas gdy tenże może na towarach zbytkowych zarabiać sto za sto, a konsument tego nie odczuje. Okazuje się stąd, jak dalece błędem byłoby takie postępowanie, gdyby kupiec chciał obliczać, jaką część dochodu brutto pochłaniają kosztą jeneralne przedsiębiorstwa, i gdyby przy oznaczaniu swych cen do kosztów zakupu odpowiedni procent doliczał. Kosztą jeneralne przedsiębiorstwa wynoszą zazwyczaj około 11—15% dochodu brutto; że zaś towar, jak wiemy, u kupca przecięciowo o 25—30% drożeje, przeto wynikałoby z tego obliczenia, że kupiec na każdej tranzakcyi 10—15% ceny sprzedażnej zyskuje na czysto. Kupiec zarabiałby więc tysiąc złr. jako czysty zysk ze swej pracy i ponoszonego ryzyka, po potrąceniu wszystkich wydatków, gdyby za 10 tysięcy rocznie sprzedał towaru. Ra-

chunek ten wydaje mi się jednak błędny; taki może być zysk nierzetelnych handlarzy, ale firmy poważne mają dochód w porównaniu z ogólnym obrotem znacznie mniejszy, uczciwym zaś drobnym przekupniom zarobek wystarcza ledwie na życie. Nie dlatego, żeby nie zarabiali oni przeciętnie na każdym towarze 25% brutto, ale ponieważ koszta jeneralne wynoszą u nich stanowczo więcej niż 15% ogólnego dochodu. Jak to bowiem poprzednio wykazano, opłata lichwiarskich procentów, czynsz za najem lokalu, płaca pomocników, pobór towaru nie bezpośrednio u producenta i t. d., w daleko wyższym stopniu odbijają się tu na każdej tranzakcyi, niż w wielkich przedsiębiorstwach. W tem leży właśnie cała niewłaściwość dzisiejszego ustroju handlowych stosunków, niewłaściwość zarówno szkodliwa dla kupca jak i konsumenta. To też drobny przekupień musi zginąć, jeśli tylko publiczność przywyknie do poboru towarów u hurtowników lub w spółkach spożywczych, podczas gdy większy kupiec łatwiej tę konkurencyę przetrzyma. Chociaż bowiem konkurencyja okaże się dla niego dotkliwą w dziale zwyczajnych towarów do bezpośredniego zużycia przeznaczonych, to przecież odbyt towarów wyborowych, jako z natury rzeczy konkurencyi mniej podlegających, na tem nie ucierpi, a wykwintne urządzenie lokalu, reklama i moda, ściągając będą do niego i nadal liczną klientelę. Obok wygody i przyzwyczajenia u panów i pań, najlepiej tę klientelę zapewnia życzliwość sług sztucznie za pomocą podarunków uzyskana, prawdziwy dar Danaów; tych dwóch czynników nie przemoże też łatwo zestawienie szeregu cyfr o drożeniu towarów u kupca, chociaż praktyką życia i doświadczeniem poparte. Tantyemy dla sług zdarzają się daleko częściej, niżby się to nam zdawało; o nie rozbijają się nieraz zabiegi naszych gospodyń. Prof. Lexis opowiada, że kiedy powołany do Getyngi płacił na wyjeździe z Wrocławia rachunki u swoich dostawców, zwrócił mu rzeźnik $3\frac{1}{3}\%$ otrzymanej kwoty z prośbą o wręczenie tych pieniędzy kucharce. Opowiadając następnie ten fakt swym znajomym przekonał się Lexis, że tego rodzaju tantiemy są rzeczą w Wrocławiu bardzo rozpowszechnioną. We Francyi

dochodzą one nawet do 10% wartości kupionego przedmiotu, a 5% koszykowego (jeden *sous* od franka) stanowi regułę.

Widzieliśmy, że przyzwyczajenie, pewna predylekcyja czy to do lokalu czy do osoby kupca, wpływa w wysokim stopniu na postępowanie publiczności, która niechętnie rozstaje się z dawnymi dostawcami. Przyzwyczajenie to da się zauważyć także w zachowaniu się klienteli wobec cen; szersza publiczność jest w wysokim stopniu konserwatywną, godzi się na każdy *status quo*, byleby nie być narażoną na podwyższenie cen dotychczas płaconych. Nawet znaczniejsza zniżka na innych towarach nie zatrzyma u kupca tej liczby klientów, jaką podrożenie jednego towaru od niego odstraszy. Stąd to różnica pomiędzy cenami hurtownymi a detalicznymi jest i musi być bardzo znaczna; pierwsze ulegają ciągłym zmianom, drugie są stałe, a przynajmniej odczuwają owe zmiany tylko w małym stopniu. Kupiec nie zniża cen nawet wtedy, jeśli cena hurtowna znacznie spadnie, a to z obawy, żeby w razie późniejszej zwyżki towaru nie musiał podnieść swej ceny detalicznej, bo publiczność tego nie znosi. W ten sposób kupuje się mięso i mąkę zawsze po tej samej cenie, choć przedmioty te w wielkim handlu spadną o kilkadziesiąt procent; nadwyżka przez kupca pobierana staje się nieproporcjonalnie wielką, publiczność się skarży, ale tylko platonicznie. Dopiero jeśli tendencyja zniżkowa zupełnie się ustali, zniżają kupcy pod wpływem wzajemnej konkurencyi swe ceny detaliczne, często dopiero po upływie kilku miesięcy lub kilku lat od zniżki, która w wielkim handlu nastąpiła.

Czy stosunek ten ma w razie podniesienia się cen hurtownych także swoją odwrotną stronę medalu? Zapewne, ale nie dla kupca. Po dotychczasowych cenach kupiec sprzedawać nie może, a podniesienia ich unikać chce koniecznie, bo zraziłby sobie stałych odbiorców; nie pozostaje mu więc nic innego, jak po dotychczasowych cenach sprzedawać towar gorszy. Cała sztuka na tem polega, aby się publiczność na tej zmianie niełatwo spostrzegła; kupuje też ona cukier z tą samą etykietą lub mąkę o tym samym numerze, choć towar zawiera obecnie przymieszki pośledniejszego gatunku. Takie to właśnie manipulacye, bardzo

zresztą rozpowszechnione, najwięcej się przyczyniają do wzrostu spółek spożywczych, bo zwłaszcza na tego, komu na oszczędnościach kuchennych nie zależy, oddziaływa tem silniej pragnienie, żeby towar był dobry i etykieta prawdziwa. Spółka daje w tym względzie zupełne gwarancje, bo wszystko dzieje się tam jawnie, księgi handlowe muszą przedstawiać dokładny obraz toku czynności, a interes każdego uczestnika jest tak z bytem spółki związany, że go nawet podrożenie towaru nie zrazi, jeśli podrożenie takie okazuje się wobec cen targowych koniecznem. To jest „jego“ sklep, który go z pewnością nie wyzyskuje, a choćby nawet jaki towar policzony był za wysoko, to wróci mu się to dywidendą przy końcu roku.

III.

Z dwóch sposobów usunięcia niedostatków handlu detalicznego przez zbliżenie konsumenta z producentem, pierwszy, tj. pobór towaru u hurtowników, nie zawsze leży w naszej mocy; przypatrzmy się zatem bliżej drugiemu z tych systemów, a mianowicie organizacyi przedsiębiorstw opartych na asocyacyi. Rzecz to prosta, nie wymagająca wielkiego kapitału zakładowego, ani nie grożąca uczestnikowi znaczniejszem ryzykiem, rzecz za granicą od dawna wypróbowana, a tylko wskutek dziwnego braku przedsiębiorczości u nas tak mało rozpowszechniona.

Któż nie słyszał o tych kilkunastu najbiedniejszych tkaczach angielskich, którzy w r. 1843 obowiązali się płacić tygodniowo po 2 penty, aby z udziałów po jednym funcie szterlingu w ten sposób zebrać się mających, urządzać spółkowe sklepy, budować domy dla robotników, zakupować grunta i zakładać wspólne przedsiębiorstwa fabryczne. Co za kontrast pomiędzy celem a środkiem! A jednak historia dała im przydomek pionierów z Rochdale; z niespełna 300 zlr., jakie 28 członków w ciągu roku 1844 złożyło, powstały z czasem szpitale, domy mieszkalne, szkoły; dziś udziały wynoszą trzy miliony zlr., a czysty zysk roczny pół miliona.

Przykład ten podziałał na wszystkie kraje cywilizowanego świata, i gdzie tylko skrajne prądy polityczne lub społeczne nie

zwichnęły zakładanych pod hasłem własnej pomocy przedsiębiorstw, tam rezultaty były korzystne, choć nie wszędzie równie świetne.

W Anglii szósta część ludności, milion rodzin, należy do towarzystw zarobkowych. We Francyi wytworzyła zasada własnej pomocy tę prawdziwie podziwiania godną organizację syndykatów rolnych, które przy milionowym obrocie, po najtańszych cenach udzielają swym członkom wszelkich nasion, nawozów i narzędzi gospodarskich, pożyczają im maszyny i przeprowadzają za nich melioracye gruntowe. Tyle to najróżnorodniejszych celów można osiągnąć za pomocą asocjacyi nawet najbiedniejszych warstw ludności, taką na pracy zarobkowej opartą finansową potęgę przeciwstawić potędze ustroju kapitalistycznego. Najbogatszy fabrykant musi ustąpić, bo jeśli na żądanie syndykatu wygórowanych cen nie zniży, to syndykat albo u jego konkurenta taką zniżkę uzyska, albo sam podobne przedsiębiorstwo założy. W poczuciu tej siły leży wszakże i największe niebezpieczeństwo dla tych spółek, niebezpieczeństwo porwania w wir agitacyi politycznej.

W przeciwstawieniu do różnych rodzajów towarzystw zarobkowych mają spółki spożywcze, które nas tu wyłącznie zajmują, zadanie bardziej ograniczone, dla każdego łatwo zrozumiałe i dotyczące tej właśnie strony codziennego życia, która ludności najwięcej dolega. Potrzeba widoczna, działalność czysto odporna, ryzyko niewielkie: zdawałoby się, że są to wszystkie czynniki zapewniające tym spółkom pomyślność i rozwój. Tymczasem doświadczenie pokazało, że spółki konsumcyjne w Polsce, z wyjątkiem niektórych okolic Królestwa Polskiego (gdzie pomimo braku odrębnej ustawy prosperują świetnie), nie mogą się zaaklimatyzować.

W Galicyi przyjęły się i rozszerzają ciągle towarzystwa zaliczkowe; śnać potrzeba kredytu jest bardzo wielka, skoro mimo wysokiego procentu, jaki sobie liczą, w r. 1892 powstało u nas więcej (31) nowych towarzystw zaliczkowych, niż w którejkolwiek innej prowincyi austriackiej; garną się do nich wszystkie warstwy ludności, nawet Żydzi, skoro trzecia część tych to-

warzystw jest w ich ręku. Spółki produkcyjne wszelkiego rodzaju mają w Galicyi wielką przyszłość i już dziś wykazują zupełnie poważne rezultaty swej ze wszech miar chwalebnej a uciążliwej pracy. Natomiast spółki spożywcze, z wyjątkiem ruskich, spotykają się w społeczeństwie z dziwną, niewytłumaczoną apatją.

Podeczas gdy ruska *Narodnaja Torhowla*, założona we Lwowie w r. 1883, utworzyła we wszystkich większych miastach wschodniej Galicyi (w Brodach, Drohobyczu, Przemyślu, Stanisławowie, Tarnopolu, Kołomyi, Rohatynie, Samborze, Stryju i Śniatynie) swoje filie z dość skomplikowaną organizacją komitetów miejscowych, — liczba spółek spożywczych polskich od lat kilku wcale się nie powiększa, a niektóre z nich już po upływie roku lub dwóch lat czynności swoje zawiesiły.

Spółek spożywczych polskich istnieje w Galicyi obecnie, o ile mi wiadomo, 10 (w Bochni, Czernichowie, Grodzisku, Kańczudze, Mikuszowicach, Nowym Sączu, Ruskiej Wsi, Ubieszynie, Zakopanem i świeżo założona w Krakowie); o ich działalności i powodzeniu można wszakże dowiedzieć się tylko ze źródeł prywatnych, żadna bowiem z tych spółek nie należy do istniejącego we Lwowie i bardzo energicznie sprawami spółek się zajmującego Związku stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Objaw to apatyi i niechęci do jednolitej organizacji stowarzyszeń, do której Związek z uznania godną zapobiegliwością dąży, reprezentując interesa spółek wobec władz, przeprowadzając lustracye za pomocą osobnych stałych delegatów i publikując obszerny materiał statystyczny. Jak dalece taka lustracja jest w stowarzyszeniach gospodarczych konieczną, dowodzą sprawozdania Związku, jak niemiłej fakt, że w Niemczech nowa ustawa nakazuje co dwa lata przeprowadzenie dokładnej lustracji każdej spółki przez osobnych rewizorów.

Mały ruch na polu spółek spożywczych w Galicyi jest naszą własną winą, a nie winą czynników od nas niezależnych, bo obowiązujące ustawodawstwo austriackie nie szczędzi dla takich stowarzyszeń ułatwień i poparcia. Do utworzenia spółki nie potrzeba zezwolenia rządowego; prawomocność uchwał walnego zebrania uczestników konstatuje notaryusz, który też może

być upoważniony do ułożenia wszystkich aktów potrzebnych do zapisania firmy spółki w sądzie. Przystąpienie do spółki odbywa się przez pisemne oświadczenie i złożenie pewnej kwoty na rachunek udziału przez każdego spółnika wpłacić się mającego. Udział ten może być minimalny, wynosić pięć zlr. lub nawet mniej, i może być wpłacany ratami. Stosownie do postanowień statutu, na przygotowawczem walnem zebraniu uchwalonego, może spółka przyjąć albo formę stowarzyszenia o poręce nieograniczonej, albo ograniczonej do wysokości co najmniej dwukrotnego udziału każdego spółnika. Pierwsza z tych form pociąga za sobą znaczne ryzyko dla stowarzyszonych, każdy z nich przyjmuje bowiem solidarną odpowiedzialność całym swoim majątkiem za długi spółki; niedołęstwo albo nieuczciwość dyrektorów lub urzędników spółki może stowarzyszonego przyprawić o utratę całego majątku. Natomiast forma druga stowarzyszeń, a mianowicie ustrój stowarzyszeń o poręce ograniczonej, pozwala każdemu spółnikowi korzystać z dobrodziejstw asocjacyi nie narażając go na znaczniejszą stratę, statut ogranicza bowiem tutaj odpowiedzialność każdego uczestnika do pewnej dalszej, z góry w stosunku do każdego udziału oznaczonej kwoty, która wszakże co najmniej udziałowi równać się musi. Jeśli np. statut ustanawia dwukrotną lub trzykrotną odpowiedzialność, a udziały wynoszą po 20 zlr., to kto posiada jeden udział, staje się wolnym od wszelkiej odpowiedzialności, jeśli do kasy spółki wpłaci 40 zlr., a w drugim wypadku 60 zlr.; kto posiada udziałów takich kilka, przyjmuje taką odpowiedzialność za każdy przez siebie podpisany udział.

Jest to wszakże ostateczność, do której w spółce porządnie prowadzonej nigdy przyjść nie powinno. Skoro bowiem tylko dyrekcyja się przekona, że interesa idą tak źle, iż połowa udziałów przez spółników podpisanych poszła na pokrycie strat przedsiębiorstwa, jest ona pod własną odpowiedzialnością obowiązana natychmiast zwołać walne zgromadzenie członków i takowemu stan rzeczy przedłożyć. Uchwalenie likwidacyi uwolni w tym wypadku spółkę od dalszych strat. Nadto przysługuje spółnikom dwojakie prawo dla zabezpieczenia się przed złym obro-

tem interesów: po pierwsze, rada nadzorcza i walne zgromadzenie mogą każdej chwili dyrektorów lub urzędników spółki usunąć; powtóre, każdy spółnik może swoje udziały, a tem samem i dalsze uczestnictwo w spółce wypowiedzieć. We dwa lata po upływie tego roku obrotowego, w którym wypowiedzenie nastąpiło, a w spółkach o poręce ograniczonej już nawet po upływie jednego roku, gaśnie wszelka odpowiedzialność stowarzyszonych za długi spółki.

Przepisy prawne, jakim ustawodawstwo austriackie podaje stowarzyszenia zarobkowe i gospodarcze są, jak z powyższego przedstawienia wynika, dla uczestników takich spółek dogodne i korzystne, nie obarczają ich zbytecznymi formalnościami ani ciężkiem ryzykiem. Owszem, prawo austriackie w innym jeszcze kierunku spółki takie bardzo skutecznie popiera, nadając tym stowarzyszeniom, które tylko z członkami zawierają interesa, znaczne przywileje podatkowe.

Wiele czynników składa się na to, że stowarzyszenia gospodarcze mogłyby u nas prosperować. Jeśli kupiec drobny mimo obciążenia podatkami, mimo drogiego kredytu, mimo trudności nawiązania bezpośrednich stosunków z producentem lub fabrykantem, może nadwyżką ponad kosztą zakupu opędzić wszystkie wydatki handlu i swoje osobiste, toć przecież stowarzyszenia, które we wszystkich tych kierunkach mają stanowczą wyższość nad przedsiębiorstwem prywatnem, nietylko się utrzymać, ale i dywidendy powinnyby wypłacać. Tak też rzecz się ma za granicą, gdzie osiągnięto rezultaty rzeczywiście zadziwiające. Warto w tym względzie przyjrzeć się datom ze spółek niemieckich zaczerpniętym. Według obliczenia prof. Lexisa przyniosła spółka konsumcyjna wrocławska, utrzymująca 41 filij w mieście, w r. 1887: 104% dochodu, a po odtrąceniu tanyem dla urzędników, te 41 sklepów prowadzących, 87% czystego dochodu od kapitału zakładowego! Dr. Crüger przekonał się z zestawienia bilansów 171 spółek konsumcyjnych w Niemczech, że w tymże samym roku 1887 te spółki kapitałem zakładowym pięciu milionów marek osiągnęły czysty dochód trzech milionów. We Włoszech spółki te datują przeważnie z ostatniego lat dzie-

siątka, a rozwijają się bardzo pomyślnie. Począwszy od t. zw. magazynów konsumcyjnych, w których udziały wynoszą nawet po jednym lirze, aż do rozporządzającej całą siecią filij na prowincyi *Unione militare*, wszystkie te spółki (681) miały prawdziwą walkę do stoczenia ze stanem kupieckim i z nieporadnością ludności, aż wreszcie zalety ich wystąpiły na jaw tak dobitnie, że rozbudziły dążenia do asocjacyi nawet w południowej części półwyspu. — Smutno wyglądają na tem tle stosunki austriackie i galicyjskie. Podczas gdy w Niemczech stosunek spółek konsumcyjnych (1100) do stowarzyszeń zaliczkowych (4400) jest jak 1 : 4, to w Austrii na 1700 towarzystw zaliczkowych istnieje zaledwie 230 spółek spożywczych, stosunek ten wynosi więc 1 : 7. W Galicyi na 222 towarzystw zaliczkowych, istniało w r. 1891 razem z ruskimi 20 spółek spożywczych, stosunek ten przedstawia się więc jak 1 : 10. W Niemczech przypada jedna spółka spożywcza na niespełna 50 tysięcy mieszkańców, w Cislitawii z wyłączeniem Galicyi na niespełna 80 tysięcy, w Galicyi na trzykroć sto tysięcy mieszkańców! Przyznać jednak należy, że sklepiki w najnowszych czasach przy kółkach rolniczych zakładane oddają ludności wiejskiej wielkie usługi. Dotychczas sklepiki te zakupowały towary u małomiasteczkowych handlarzy, którzy dyktowali im ceny dowolne; dziś nabywają one w Związku handlowym kółek rolniczych w Krakowie towar wyborowy po cenach jak najniższych. Organizacya ta pozwala więc ludności wiejskiej w licznych punktach zachodniej Galicyi korzystać z dobrodziejstw handlu hurtownego z zupełnem ominięciem pośredników. Dziś więc mogą już sklepiki te spełniać rolę prawdziwych spółek spożywczych, aczkolwiek dotychczas niestety brak tym prywatnym przedsiębiorstwom należytej podstawy prawnej. Jak wiele dobrego można zaś na tem polu zrobić przy usilności i dobrem kierownictwie, wskazuje historia bazaru kółka rolniczego w Czernichowie, który mimo fanatycznej agitacyi miejscowych przekupniów, już w pierwszym roku istnienia we własnym domu się osiedlił, a nawet dał gościnność spółkowej kasie oszczędności i czytelnii ludowej.

IV.

Początek jest zrobiony; po wsiach mamy już stanowczo pewien postęp do zaznaczenia. Wielki czas, żeby i po miastach organizację naszego drobnego handlu pchnąć na inne tory. Nie o walkę z pewnym stanem społeczeństwa, ani z pewnymi jego żywiołami tu chodzi, ale o dźwignięcie materialne i moralne szerokich warstw ludności, która w urzeczywistnieniu idei drobnych asocjacji ekonomicznych, powinna poznać swój żywotny interes i nauczyć się tych elementarnych pojęć ładu i organizacji, bez których w równym rzędzie obok innych czynników społecznych stanąć nie zdoła. Inne formy stowarzyszeń ekonomicznych wywieszają nieraz sztandar walki; w tem leży często przyczyna ich chwilowego gorączkowego rozwoju i powodzenia, w tem jednak zarówno niebezpieczeństwo upadku; walka, którą prowadzą spółki spożywcze nie jest zaczepną, ale ścieraniem się interesów na drodze postępu materialnego. Można też do nich bez przesady zastosować słowo Schulzego z Delitsch: *Die Genossenschaft ist der Friede!*

Na energiczną obronę przeciw drożyznie nie zdobyliśmy się nigdy, choć skargi na nią snują się przez całe pięć wieków naszej historii. Niema może moralisty czy satyryka w naszej literaturze, któryby tej sprawy nie dotknął: szlachta dopomina się nieustannie o uregulowanie cen w swych *laudach* sejmikowych, a za Wazów stoi ta kwestya na porządku dziennym niemal każdego sejmu. Na podstawie cennej pracy prof. Ulanowskiego p. t.: „Kilka zabytków ustawodawstwa królewskiego i wojewodzińskiego w przedmiocie handlu i ustanawiania cen“, można dokładnie śledzić kolejno różne fazy wysiłków, jakie robiła władza publiczna w Polsce, aby zbytniemu wygórowaniu cen zapobiedz. Cenniki począwszy od roku 1396 ustanawiane, pozostawały zawsze martwą literą, a smutnym objawem bezsilności rządu i sejmu w tym względzie jest konstytucya sejmowa z r. 1643, zmuszająca każdego kupca handlującego towarami zagranicznymi do złożenia przysięgi: „że towar swój tak będzie sprzedawał, jakoby nie brał więcej zysku, jedno, jeżeli *incola*

siedm, jeżeli *advena* 5, jeżeli *infidelis* 3 od sta. Co się ma rozumieć, aby już z tej kwoty zysku wychowanie wszystko swoje, familii swojej i płacę opatrował podług przysięgi⁴. Nie wiadomo, czy uchwała ta weszła w życie; w każdym razie z góry można było przewidzieć, że postanowienie to było w praktyce niewykonalne, a protekcya nibyto udzielona towarom kupców krajowych mogła w rzeczywistości wywołać skutek wręcz przeciwny, bo z pewnością nikt nie płacił sumy wyższej kupcowi polskiemu, skoro mógł ten sam towar po niższej cenie nabyć u kupca zagranicznego.

I w naszych czasach próbowano reagować przeciw drożyznie towarów niezbędnych do życia za pomocą taks, ale próby te w zupełności zawiodły. Podobnie jak dobrodziejstwa wolnej konkurencyi, okazały się i ograniczenia wolności przemysłowej za pomocą taks illuzorycznymi. Nie pozostaje więc nam nic innego, jak tworzyć związki konsumentów, które wszędzie za granicą okazały się skuteczną bronią przeciw drożyznie.

Trzeba tylko usiłowania te prowadzić oględnie i roztropnie. Zasadą przewodnią tych związków powinno być dostarczanie towarów wyłącznie tylko członkom: jest to najpewniejszy sposób zyskania znaczniejszego kapitału zakładowego, gdyż kto chce dostać towar dobry a tani, musi do spółki przystąpić z udziałem pieniężnym. Powtóre, pod tym tylko warunkiem spółka może korzystać z ulg podatkowych, a tem samem jest w stanie taniej swój towar sprzedawać.

Dalej powinny spółki sprzedawać tylko za gotówkę. W naszych stosunkach, wobec ogólnej nieprzezorności i nieporadności, zasada ta może wprawdzie wielu klientów zrazić, ale jest ona koniecznym warunkiem powodzenia. Pobór towarów na kredyt sprawia bowiem, że ludność uboga bierze ich więcej, niż na utrzymanie domu niezbędnie potrzeba, co paraliżuje wszelkie dążenia do oszczędności i naraża spółkę na szukanie kredytu, a w dalszem następstwie na straty z powodu niewypłatności dłużników.

Na składzie znajdować się powinny tylko towary do codziennego gospodarstwa niezbędne, z wyłączeniem zbytkowych.

Zasada ta upraszcza manipulację i redukuje koszty administracji do *minimum*: nadto obrót temi towarami jest szybki, a im częściej odbywa się fruktyfikacja kapitału, tem cena może być niższa, a zysk pewniejszy.

Zysku z przedsiębiorstwa nie należy w spółkach drobnych obliczać dla każdego członka według ilości udziałów, z jakimi do spółki przystąpił, ale według ogólnej kwoty pieniężnej, za jaką on towaru w spółce zakupił. Wprawdzie metoda pierwsza jest daleko łatwiejszą do przeprowadzenia w praktyce, ale druga tylko jest sprawiedliwą. Nadto wiąże ta zasada jak najsilniej interes każdego uczestnika z losem wspólnego przedsiębiorstwa, i zabezpiecza go przed zachcianką kupowania w innych sklepach.

Pytanie, co lepiej, czy sprzedawać towar taniej niż w innych sklepach, a zrzec się dążenia do dywidend, czy też sprzedawać po cenach zwykłych, a osiągnięty zysk przeznaczyć do rozdziału między uczestników? — należy rozstrzygnąć w duchu tej drugiej alternatywy. Konsument mało odczuje bowiem drobną oszczędność, którą przy każdym zakupie zrobił, a nie ma nadziei dostania dywidendy; podczas gdy przy drugim systemie spółka spełnia dla niego rolę prawdziwej kasy oszczędności, do której można sięgnąć w czarnej godzinie. To też nie należy zysku w każdym roku obrotowym osiągniętego corocznie między spółników rozdzielać, ale należy przypisywać go wraz z odsetkami do udziału każdego uczestnika i dopiero po upływie lat kilku ten zysk skapitalizowany na żądanie zwrócić.

Dopiero na takich zasadach oparte spółki staną się prawdziwym dobrodziejstwem dla społeczeństwa, materyalną i moralną podporą jednostek, a zarazem czynnikiem prawdziwie cywilizacyjnym.

Antoni Górski.



IGNACY DOELLINGER.

(Dokończenie).

II.

„Janus“, jako dzieło historyczne, nie zadawalnia nawet najskromniejszych wymagań naukowej krytyki. Doellinger sądził, że mu wszystko wolno ze względu na cel, to też nie lękał się najbezwzględniejszego fałszowania źródeł. Celem zaś, jak sam mówił, było rozbudzenie i pouczenie opinii publicznej przeciw udogmatyzowaniu nieomyłności Papieża. O ile książka ta była wyrazem jakiegoś religijnego systemu, przedstawiała się jako zaprzeczenie najprzedniejszych prawd chrystyanizmu.

Nawet ze swojej kryjówki niedługo mógł Doellinger rozsiewać tego rodzaju nauki. Urzędowe jego stanowisko zniewalało go niejako do stanowczego kroku: albo zrobić odwołanie i być nadal katolikiem, albo też jako wykluczony z Kościoła, zgasnąć, nakształt spadającej gwiazdy. Przeświadczenie o swej własnej nieomyłności, niepohamowana żądza chwały, otoczenie wywierające nań tak silny nacisk, podchlebstwa polityków, upatrujących w Doellingerze najodpowiedniejsze narzędzie do osiągnięcia zamierzonych celów; wszystko to były okoliczności, niedopuszczające mu zejść z nieszczęśliwie rozpoczętej drogi. A cóż gdyby mu się powiodło niemieckich biskupów pociągnąć za sobą? W każdym razie nie zawadzi spróbować. W tym celu w październiku 1869 r. wydał 26 tez, które zatytułował: „Rozważania nad kwestyą pa-

pieskiej nieomylności, dla Biskupów niemieckich biorących udział w soborze“. Niestety, i tym razem fałszywie miały grać rolę dowodów. Takimi to środkami chciał przekonać biskupów niemieckich, że są nawet przysięgą obowiązani bronić wprost przeciwnego twierdzenia, mianowicie: „niejednokrotnie już stwierdzonej papieskiej omylności“. Pragnął też bardzo, żeby się te pojęcia szeroko między publicznością rozeszły i były dokładnie zrozumiane. Dokonał tego za pomocą ogłaszanych w *Allgemeine Zeitung* (od grudnia 1869) t. zw. „Listów soborowych“. Materiału do nich dostarczali Doellingerowi z Rzymu jego zwolennicy, a on sam jako mistrz, siedząc w Monachium, obrabiał go i ożywiał swoim duchem. Przedewszystkiem widać w tych listach niepołamany gniew, rosnący w przerażający sposób, w miarę znikającej wszelkiej nadziei.

Nareszcie w r. 1870, ukazał się pierwszy artykuł przeciw soborowi z podpisem Doellingera. Czterystu biskupów prosiło Ojca świętego, ażeby naukę o nieomylności papieskiej, na soborze Watykańskim ogłosił jako dogmat wiary. Teraz nawet i Arnim uważał za stosowne wystąpić przeciw temu, i zwrócił się do Doellingera, którego jeszcze niedawno tak bardzo lekceważył.

„Korzystam dziś, pisze 8 stycznia 1870 r., ze sposobności, iż kuryer odchodzi, i piszę parę słów do W. Księdza, stosownie do Jego łaskawego upoważnienia. O tem, co się dzieje na soborze i poza nim, masz W. Ksiądz dostateczne źródła informacyjne, trudnoby mi zatem było donieść coś nowego. Przedewszystkiem trzeba teraz uderzyć na prawomocność soboru w obecnym jego składzie, i na moc obowiązującą jego organizacji i porządku dziennego. Mnie się zdaje, najważniejszą rzeczą będzie zwrócić uwagę publiczną na to, co się dzieje, i stworzyć manifestację, której skutek w Rzymie odbić się musi... Nikt tak dobrze jak W. Ksiądz nie potrafi zużytkować dostarczonych wiadomości“ i t. d. Doellinger prędko skorzystał z tej wskazówki, bo już 21 stycznia ogłosił w *Allgemeine Zeitung*: „Kilka słów o adresie biskupów z powodu nieomylności“, i po raz pierwszy ten artykuł zaszczycił swoim podpisem. „Biskupi urządzili ko-

ścielną rewolucyę“, tak głosił Doellinger całemu światu, mówiąc o sobie jak o doktorze Kościoła (*Lehrer der Kirche*). Krok stanowczy był uczyniony. Magistrat i radni miasta życzyli Doellingerowi powodzenia w takiej działalności. Jak grad posypały się listy uznania dla niego; ze wszystkich stron Niemiec spieszyli uczcić „głos rozumu i historii“, których Doellinger stał się apostołem. Profesorowie filologii klasycznej, mineralogii, botaniki, zoologii, języków słowiańskich, medycyny, wszyscy jednogłośnie zgadzali się w uwielbieniach wielkiego mistrza umiejętności teologicznej, naczelnika zaczynającej się walki o wolność i prawo.

Doellinger powiedział w swoim „Słowie“, że biskupi niemieccy jednego z nim są zdania; tymczasem jeden po drugim temu zaprzeczali. Biskup Senestrey w Regensburgu, wzbronił swoim klerykom bywać na wykładach Doellingera. Doellinger tłumaczył się tem, że usilne wzywania (przez Arnima i innych) i niezwykle stosunki, zmusiły go do wystąpienia; nie mógł się temu oprzeć, bez naruszenia swego sumienia i nie chcąc narażać nauki na zupełny upadek. Czy nie temi samymi słowami przemawiał niegdyś Luter? Jeżeli Doellinger nie chciał tak samo jak tamten pokazać się hipokrytą, to powinien był teraz jeszcze zawrócić. Lecz Doellinger o tem ani myślał; zanadto się oglądał na stronnictwo nienawidzące Kościoła; dlatego też w tym samym duchu redagował dalej „Listy z soboru“. Szczególniej utwierdziło go jeszcze w tym oporze własnoręczne pismo Ludwika II., wystosowane doń w siedmdziesiątą pierwszą rocznicę jego urodzin 28 lutego 1870 r., w którym król wyraża najgłębsze uznanie, za śmiałe wystąpienie Doellingera, a zarazem nadzieję: „że podjętą walkę za podniesienie religii i nauki przeprowadzi chwalebnie ku pomyślności Kościoła i państwa“.

Pierwszy artykuł Doellingera zwrócony był przeciw legalności soboru. Pozostało mu jeszcze wykonanie drugiego punktu, przesłanego mu przez Arnima programu, tj. napaść na porządek czynności. Doellinger dokonał tego w drugim artykule, starając się dowieść, że na soborach większość biskupów całkiem nie powinna rozstrzygać. Sobory nie mają obietnicy nieomyślności, a jedynie przez opinię publiczną wchodzą w posiadanie prawdy.

A tę publiczną opinię urabia niemiecka nauka historii. A więc Doellinger jest ostatecznym dla soboru drogowskazem! Późniejszy biskup, a ówczesny kanonik ratysboński, Antoni Eberhard, odwiedził raz Doellingera z zamiarem, aby go skłonić do powrotu na dobrą drogę. Lecz daremnie. „Od 800 lat, odpowiedział zaślepiiony starzec, nie był Kościół w takim niebezpieczeństwie, jak obecnie. Niestety, sam czuję wyrzut sumienia, że w dawniejszych moich pismach, składając stronnice hołdy papieżowi, niemało się przyczyniłem do terazniejszego nieszczęścia!“

Wkrótce potem Doellinger przyjął jako współników dalszego działania Schulte'go i Reinkensa. Przedewszystkiem chciał on teraz publicznie zaprotestować przeciwko oczekiwanej definicyi soboru. Podczas przygotowywań się do tego, wrócił z Rzymu arcybiskup monachijski Scherr. Witany przez uniwersytet pod przewodnictwem Doellingera, arcybiskup przemówił: „Cieszę się, że Was widzę u siebie, nuż więc walczmy wspólnie za Kościół“. — „Tak, tak — z gorzkim przekąsem odparł Doellinger (w którym, jak podaje Fridrich, wszystko wrzało) — ale tylko za stary Kościół“. — „Jeden tylko jest Kościół, odpowiedział na to arcybiskup, nie znam ani nowego, ani starego“. — „Ale nowy utworzono“, zawołał Doellinger, i niezwłocznie opuścił salę. Czterdziestu czterech docentów uniwersytetu, podbudzonych przez Doellingera, podpisało protest przeciw dogmatowi, a pomiędzy nimi także profesor filozofii, Prantl, który nie znośił pomiędzy swoimi słuchaczami takich, co jeszcze wierzyli w „legendę o Chrystusie“.

Ministerstwo wyznań w Berlinie, działało wspólnie z Doellingerem, aby dokuczać Kościołowi katolickiemu. W Bawaryi tymczasem wydano, z jego natchnienia, rozporządzenie ministerjalne (9 sierpnia), zakazujące biskupom ogłaszać jakikolwiek dekret watykański bez królewskiego *placet*. Niemieccy biskupi zgromadzili się w Fuldzie, ażeby wspólnym listem pasterskim pouczyć wiernych o soborze Watykańskim. Nie omieszkali też, raz jeszcze Doellingerowi nastęrczyć sposobność pojednania się z Kościołem. Arcybiskup monachijski, Gregor, wystosował 20 października r. 1870 odezwę do Wydziału teologicznego, zawiera-

jącą obietnicę, iż zapomni o wszystkim, co się stało, aby tylko chcieli obecnie oszczędzić mu boleści, jakiejby doznał, gdyby był zmuszony surowo ukarać którego z profesorów. Teraz wszystko zależało od Doellingera; gdyby był chciał, cała ta burza byłaby ucichła. Ale Doellinger zanadto był uwikłany w więzy opozycji, prócz tego był to charakter nie mający żadnej samodzielności, ale zawsze nosił pęta, jakie nań nakładała żądza sławy i protestancy przyjaciele, którzy go całkiem opanowali. „Zawsze dawał się unosić prądem czasu, okoliczności i ludzi“, mówi Jörg. Doellinger nie ugiął się, bo nie chciał, jak mówił, „dawać z siebie przykładu podłości i głupoty“. Ale cóż to właściwie jest podłość? Jeśli to jest odstępstwo od pierwotnych, szlachetnych swych zasad i przekonań, to Doellinger właśnie tego się dopuścił. Jeśli znów podłością ma być poddanie się przez Boga ustanowionej władzy, to i poddanie się Panu Bogu trzebaby nazwać podłością.

Nareszcie nadeszła chwila stanowcza 4 stycznia r. 1871. Doellinger, wezwany z prawdziwie ojcowską miłością przez biskupa, aby się poddał, starał się zyskać na czasie, i prosił o kilkotygodniową zwłokę, aby mógł przygotować odpowiedź. Wtedy to wydrukował trzy bezimienne artykuły, w których dowodził, że dogmat nieomyślności, zagraża państwu wielkiem niebezpieczeństwem. Ostatni z tych artykułów był krzywdzącą i zjadliwą krytyką arcybiskupiego Listu pasterskiego z 5 stycznia: „To, co arcybiskup przytacza, jest po części zmyślane, albo fałszywie przetłumaczone, po części przekręcone lub bezpodstawne. Ten List pasterski nie jest przecież wystosowany do jakiejś dyecezyi w południowej Afryce albo Polinezyi, nie jest dla wiernych czerwonoskórych, ale dla poważnej części bawarskiej ludności, dla stolicy i parlamentu“. W tydzień później (30 stycznia), napisał Doellinger odpowiedź samemu arcybiskupowi na jego list do siebie: „Gdybym chciał się poddać, pisze, musiałbym sam sobie zaprzeczyć i zadać kłam całej mojej przeszłości“. Ale czyż już od dawna nie zadał kłamu? Czy Doellinger z roku 1871, nie jest zupełnie innym człowiekiem, niż Doellinger z przed dziesięciu laty? Wówczas miano go, mimo niejasności jego zapatry-

wań, za prawowiernego teologa, dla którego nauka Kościoła była świętą. Teraz sam sobie bezimiennie robił zarzut, że był raczej obrońcą Stolicy św., a nie jej historykiem. Odesławszy swoją odpowiedź, zauważył, że List pasterski nie dość jeszcze jest zmieszany z błotem, przeto nową filipikę przeciw niemu wystawił, w której zarzucał mu nawet grube oszukaństwo. Arcybiskup zgadzał się na coraz nowe zwłoki, a Doellinger tymczasem odbierał z różnych stron zachęty, aby trwał mężnie na placu. Najwięcej nań podziałał w tym względzie własnoręczny list króla, który i w tym roku na dzień urodzin do niego napisał: „Jestem dumny z tego, pisze Ludwik II., że mogę Waszą Wielbność zaliczać do Naszych. Uważam za zbyt uczynne rozpisywać się nad tem, jak wielką mi sprawia pociechę stanowczość, z jaką Wasza Wielbność traktujesz kwestyę nieomyślności. Haneberg, przez to że się poddał, stał się podłym hipokrytą. Cieszę się, że się na Waszej Wielbności nie zawiódł; jesteś dla mnie Bossuetem, ów zaś jest tylko moim Fenelonem. Jestem dumny z Ciebie; Tyś jest prawdziwą opoką Kościoła, w której katolicy, rozumiejący ducha założyciela naszej św. religii, mogą niewzruszoną pokładać ufność, na którą każdy ze czcig. oczy podnosić powinien“.

Doellinger, jako powód kilkakrotnych odroczeń odpowiedzi, jakie sobie od swego biskupa wypraszał, podawał, iż „do tego potrzebował spokoju i skupienia“. Nareszcie ją wygotował. „Musimy się wzajemnie podtrzymywać w walce, pisze o tej odpowiedzi do profesora Reuscha w d. 20 marca 1871 r., abyśmy wyszli zwycięzcami i przyszłym pokoleniom zachowali i przekazali skarb prawdy. Gdybyśmy nawet odegrali komedię poddania się, czyżby nam świat mógł uwierzyć? Nie, chyba by się tylko przekonał, że poczucie prawdy u katolickiego duchowieństwa zupełnie zamarło, a kapłaństwo zeszło do rzędu rzemiosła. Zresztą, moralne bankructwo duchowieństwa w opinii publicznej jest już faktem dokonany. W ciągu tej walki mnóstwo nowych, tj. dotychczas jeszcze ukrytych, faktów wyjdzie na jaw. A najprzód ogłoszony będzie mój list do tutejszego arcybiskupa“. Istotnie, zaledwie arcybiskup 28 marca otrzymał nareszcie ową

odpowiedź Doellingera, a już 31-go była wydrukowana w *Allgemeine Zeitung*. „Jako chrześcijanin, jako teolog, jako historyk, jako obywatel nie mogę przyjąć nauki Watykańskiego soboru. Jeśli autor Listu pasterskiego z 5 stycznia zechce go bronić wobec komisji złożonej z kanoników, lub wobec całego episkopatu niemieckiego, będę gotów za kilka godzin stwierdzić dowodami moje przekonania; jeśli tego nie będę mógł dokazać, będę się czuł w obowiązku spełnić akt publicznego przeproszenia“. Czy można było się spodziewać czegoś dobrego z takiej konferencji? Bynajmniej. Wiek XVI. wystarczające nam pozostawił na to dowody; znałyoby to tylko pomagać herezyi. Uczony, który w imię historii nie waha się głosić najgrubszych fałszów historycznych, z pewnością nie był w stanie dowieść historycznie swoich dotychczasowych twierdzeń, a jeszcze mniej bez wątpienia był usposobionym do uznania ciężkich swych przestępstw i do zadośćuczynienia za nie. Przeniewierzył on się swemu stanowisku i katolika i kapłana i teologa; potwarzał naukę Kościoła, bo tak mu kazała obrażona żądza chwały. Na przekór upomnieniom arcybiskupa, agitował ciągle przeciw dekretom watykańskim i obalał do gruntu podstawę katolickiej wiary, gdy opinię publiczną czynił wyrocznią Kościoła. Gromada ludzi obalamuconych, albo jawnych niedowiarków, oświadczała się za Doellingerem. O nich to przechwalał się: „Tysiące księży, setki tysięcy świeckich, jednej są ze mną myśli, nawet i ci, którzy się poddali, nie wierzą w nieomylność“.

Tak więc Doellinger w manifeście z 28 marca jawnie wyznał swoje odstępstwo, będąc przekonany, że arcybiskupa „zabił moralnie“. Arcybiskup odpowiedział na to Listem pasterskim, w którym wyluszczał błędy Doellingera; równocześnie przestrzegł go, że już w sumieniu ściągnął na siebie ekskomunikę. Jeżeli będzie obstawał przy swoich błędach, natenczas będzie wyklęty publicznie. Nareszcie 17 kwietnia ogłoszono wyłączenie Doellingera z Kościoła. „Z łoży zakomenderowano atak na dekrety watykańskie, pisał wówczas jeden z bawarskich biskupów, dlatego wszelkie środki i listy bezskutecznemi się okażą. Bismark stasował karty przeciw Kościołowi — Bawarya ma ciągnąć“.

Jeszcze w r. 1871, Pius IX. za pośrednictwem prałata Laemmera z Wrocławia, oświadczył Doellingerowi swoją osobistą ku niemu sympatyę. Było to już za późno. Naprózno też biskup Fessler usiłował nieszczęsnego starca przywieść do opamiętania.

Doellinger marzył teraz o powszechnym kościele, któryby zjednoczył i złączył wszystkich chrześcijan. Już w roku 1863 mówił o jakiejś wznioślejszej jedności, obejmującej wszystkich. Nawet Bismark bawił się temi samemi mrzonkami. Pochwalne adresy obficie Doellingerowi przesyłane, pochodziły od protestantów i od tych katolików, którzy idą szerokim gościńcem świata. A więc nie tysiące księży myślało tak jak on. Pod koniec r. 1871, zaledwie można było naliczyć w całej Europie 30-tu starokatolickich księży; z tej liczby siedmiu przypadało na Bawaryę, trzynastu na całe Niemcy! W r. 1875, liczba tychże w całych Niemczech wzrosła do 35; jest to złoty wiek starokatolicyzmu. Ordynaryat bamberski, w piśmie do arcybiskupa monachijskiego, zastanawia się nad charakterem i działalnością Doellingera. „Zdawałoby się, mówi, że Doellinger z powodu ogromnej swej nauki, potęgi swego słowa, i czei, jaką mu ze wszech stron składano, dany był Kościołowi katolickiemu w obecnym ucisku na obrońcę i pociechę. Tymczasem na stare lata wpadł w niepojęte zaślepienie, i w tem zaślepieniu zwraca oręż swego ducha przeciw własnej sławie, przeciw samemu sobie, przeciw swej Matce, naszemu świętemu Kościołowi; popada w schyzmę i herezyę, poniża się do roli denuncyanta Kościoła, przekreśla jego naukę i jego historię, wywołuje nieufność i nienawiść ku niemu władzy rządowej; hierarchię Kościoła i jego duchowieństwo na publiczną wystawia pogardę, a imię swoje niegdyś tak poważane, uczynił hasłem buntu przeciw Kościołowi, i w ten sposób, tysiące może pociągnie za sobą w przepaść“.

III.

Opór dekretem Watykanu trwał w Bawaryi jeszcze do jesieni r. 1871. „Od tej chwili, mówi Schulte, jeden ze starokatolickich przywódców, ruch znacznie zaczął się zmniejszać“. A dla-

czego? — Oto, bo Doellinger się cofnął. Doellinger zamierzał tylko wywołać silny opór opinii publicznej przeciw „zrealizowaniu ultramontanizmu“. Ale na tej pochyłości nie można się było zatrzymać. Od oporu biernego, musiał przejść do walki literackiej przeciw nauce Kościoła o prymacie. Musiał odgrzać wszystkie najzjadliwsze wycieczki grecko-schyzmatycznej i luterskiej polemiki, a wszystko to udrapować w najczystsza, historyczną przedmiotowość. Aż do r. 1871, w obozie protestujących panowała jedność co do kwestyi głównej, tj. oporu przeciwko watykańskiemu wyrokowi. Lecz samym protestem nie można wprowadzić i ustalić żadnej „nowinki religijnej“. Doellinger jednak sądził, że jemu i to niepodobieństwo jest podobnem. W ten sposób musiał popaść w konflikt z własnem stronnictwem, które jak koń kiedy weźmie na kiel, niepowstrzymanie pędząc naprzód, przedsięwzięło założyć nowy kościół. Mimo to ruch starokatolicki, straciwszy w Doellingerze podpore, cofnął się wstecz. Wyjątkowe stanowisko dotychczasowego przywódcy tej partyi, miało się odtąd wytworzyć na podstawach politycznej i naukowej natury.

Przywódcy ruchu, zgromadziwszy się w Heidelbergu, postanowili zwołać do Monachium starokatolicki kongres. Rząd bawarski oświadczył jeszcze przed kongresem, że „opierając się na licznych, nadzwyczajnej powagi zdaniach“, iż Kościół katolicki zmienił swoje dogmata, i sam zmuszony jest inne względem niego zająć stanowisko. Ażeby więc okazać się konsekwentnym, musiał niedwuznacznie stanąć po stronie walczących przeciw nieomyślności. Stąd też w *Augsburger Allgemeine Zeitung* ukazał się inspirowany artykuł, zwracający uwagę przyszłego kongresu, aby pamiętał, że środek ciężkości starokatolickiego ruchu, leży w przyjętych przez rząd konsyderacyach; przeto jest do życzenia, aby nie wybiegał na zbyt dalekie przedmioty, w których nie wszyscy zwolennicy ruchu chcieliby wziąć udział. Np. należałoby zaniechać projektu starokatolickich parafij lub wyboru biskupa.

Między 22 i 24 września r. 1871, odbył się pierwszy kongres starokatolików w Monachium. Przybyło przeszło 300 delegatów z Niemiec, Austrii i Szwajcaryi, a między nimi czterech

zarządców parafij z holenderskiego utrechtско-schyzmatyckiego kościoła. Byli księża z Grecyi i Ameryki, a nawet nie brakowało protestantów. Program, wypracowany u Doellingera, był tylko co do ogólnego kształtu, wyrazem jego zapatrywań, gdyż co do szczegółów, zdawało mu się, że w wielu rzeczach jego duchowni synowie posuwali się za daleko. Niemało też mieli pracy, żeby go skłonić do podpisania.

Jacta est alea! — zawołał, odrzucając pióro.

Dogmat o Niepokalanem Poczęciu uroczyście odrzucono, jako niechrześcijańską nowość. Doellinger na kongresie chciał się połączyć z kościołem utrechtским. Jego mowę jednogłośnie przyjęto, a Schulte uwielbiał za nią Doellingera, jako męża niewzruszonej sumienności i wierności. Jeszcze raz przemówił Doellinger, i wniósł połączenie wszystkich poza rzymskim stojących kościołów, wszystkie bowiem są gałęziami jednego wielkiego kościoła. Dotąd wszyscy mieli jedno serce i jedną duszę z Doellingerem. Dopiero gdy 23 września Schulte postawił wniosek, aby utworzyć oddzielne, starokatolickie parafie, Doellinger sprzeciwił się temu. „Mimo wewnętrznego, głębokiego rozdziału, twierdził, zewnętrzna jedność ze zwolennikami papieżstwa musi być zachowana. Wystąpienie z Kościoła rzymskiego, spowodziłoby nas na fatalną drogę, na każdym kroku musielibyśmy się potykać. Wczoraj przyjęto program, który się zaczynał i kończył oświadczeniem, że nieprzerwanie pozostajemy członkami Kościoła katolickiego. Przyjmując projekt dzisiejszy, czyn nasz sprzeciwia się słowu. Apelowaliśmy przeciwko Rzymowi do opinii publicznej; jakież sądy wyda ona o nas? Jeżeli chcemy pozostać członkami Kościoła katolickiego, to musimy go brać takim, jakim jest, z jego dotychczasowemi urządzeniami, jakoteż uznawać aż do pewnego, łatwo oznaczalnego punktu, przedstawicieli kościelnej władzy. Jeżeli powiemy, że ci, którzy przyjmują watykańskie dekreta, tem samem tracą władzę, natenczas niepodobna nam będzie twierdzić, że jesteśmy jeszcze członkami tego Kościoła. Zachęcać do wystąpienia z Kościoła, znaczy żądać popełnienia ciężkiego grzechu“. Dzień przedtem Doellinger wychwalał Utrechtczyków, którzy słusznie, jak mówił, nie chcą się zrzekać

swych praw na korzyść papieskiego wikaryusza; — dnia 23 zgromadzenie ze zdziwieniem usłyszało, że ustanowieniem nowych parafij, podległoby potępieniu opinii publicznej. Sam z sobą zostawał w sprzeczności, lecz wytrwale obstawał przy ostatniem swem twierdzeniu, tj. że opinia publiczna wymaga, ażeby nie było żadnego zewnętrznego rozłączenia z Rzymem, inaczej bowiem staną się sekta. Ojciec starokatolicyzmu, posłuszny znakom z góry, musiał ze wstydem doświadczyć, że własni jego uczniowie przeciw niemu występowali. Reinkens, Huber, Fridrich, byli z nim w sprzeczności. Przed rokiem mówił o tchórzostwie mniejszości soboru, i że czeze, ale wspaniale brzmiące frazesy miały to tchórzostwo pokryć. Profesor Huber przypomniał sobie o tem i zawołał: „Nie bierz Wasza Wielbność przykładu z mniejszości soboru, która układała protesta, lecz gdy przyszło do czynu, zwątpiła o sobie. Jeżeli dziś nie zdobędziemy się na czyn, jesteśmy zgubieni wobec opinii publicznej!“... Przeciągle oklaski powitały te słowa. Całe zgromadzenie było gotowe do czynu — o Doellingerze zapomniano. Nawet osobistego upokorzenia mu nie poskąpili: „Doellinger mówi, że mamy pozostać w papieskim kościele. Ale czy to jeszcze jest Kościół katolicki, skoro w nim przyjęto takie herezye? Jemu się więc zdaje, że aby pozostać katolikiem, musimy pozostać w kościele heretyckim! Lecz przez to właśnie stalibyśmy się sekta. W takiej społeczności żaden katolik nie może pozostawać“. Raz jeszcze próbował Doellinger ustrzedz ich od ostatecznego kroku ze względów politycznych. „Jakże władza rządowa uważać będzie taką formację kościoła? Co powie na to, że my jednocześnie chcemy się uważać za należących do Kościoła katolickiego, a jednak (jak mówiono w starym kościele), chcemy stawiać gminę przeciw gminie, wznosić ołtarz przeciw ołtarzowi? Pewien wysokie stanowisko w rządzie zajmujący mąż, który sercem do nas należy (Lutz), powiedział mi: we własnym waszym interesie, nie możecie nic lepszego uczynić, jak nieprzerwanie brać udział w publicznem, wspólnem nabożeństwie katolickiem. W ten sposób pokażecie światu, żeście nie przestali należeć do Kościoła rzeczywiście a nie z nazwy tylko. Dwóch kościołów katolickich rząd nie uzna żadną miarą,

a któremuż z nich przyzna pierwszeństwo? Gminy wasze, zakładane bez papieża, bez biskupów i po większej części bez kapłanów, niezawodnie nie zyskają pierwszeństwa, ale raczej Kościół dotychczasowy. A nareszcie, dlaczegoż mamy się sami zrzekać prawa i działalności w Kościele? Obecnie jesteśmy w nim dobrem nasieniem, solą zachowującą od zgnilizny, nadzieją przyszłości... Jeżeli się rozdzielimy, natenczas Kościół katolicki, papieski, zawsze pozostanie wielkim, a my czem? Słusznie powiedzą o nas, że jesteśmy schyzmatykami!" Mowa ta silnie podziała. Ale niezwłocznie powstał prof. Michelis i wygłosił piorunującą mowę przeciw Jezuitom i wyrodnym biskupom, i w imię religii wzywał do czynu. W ten sposób Doellinger stanowczą poniósł porażkę. Profesor Schulte z Pragi, chwalał Michelisa, że to drugi święty Atanazy. Tak więc kongres zniósł własny swój program, a Doellingera wyparto ze starokatolicyzmu.

Doellinger tymczasem gorzkie zbierał owoce ze swego posiewu. Ta „prawdziwa opoka Kościoła“, jak go nazwał Ludwik II., została większością głosów usunięta ze swego stronnictwa; jego prośby i przedstawienia nie pomogły. Mimo jego przestróg, starokatolicy stanęli w rzędzie sekt, a Doellinger w dalszych posiedzeniach już nie brał udziału. Jeszcze i tej boleści doznać musiał, że Lutz go się wyparł; bo przyjawszy do wiadomości wnioski kongresu, oświadczył, że nowoutworzone gminy uzna jako katolickie. Kościół, z którego Doellinger nie chciał wystąpić, wyrzucił go. Wolno mu było nazwać to wykluczenie niesprawiedliwym i nieważnym, lecz następstwa jego niemniej były dlań bolesnemi. Gdy ktoś do niego powiedział: „Nie można nas dziś spalić“, odrzekł: „Tak, ale nas można moralnie tak bardzo dręczyć, że raczej trzebaby wybrać stos“. W tem nieszczęściu jedna mu jeszcze pozostała pociecha, a tą była: nadzieja założenia kościoła narodowego. Ale nie chciał on do tego kościoła iść tą samą drogą, którą obrali naczelnicy starokatolików, lecz zawsze uparcie powracał do tego, co na zebraniu wrześnie wypowiedział, jako swoje przekonanie. „Doellinger zawiódł oczekiwania, pisze starokatolicka gazeta, *Der deutsche Merkur*, tych wszystkich, którzy się spodziewali, że będzie reformatorem ka-

toliekiego Kościoła w Bawaryi i w Niemczech⁴. Jak gdyby dla przekonania się, że istotnie wpływ jego znikł zupełnie od chwili, gdy chciał powstrzymać neoprotestancki (starokatolicki) ruch, raz jeszcze Doellinger ukazał się na kongresie w Kolonii. Lecz tym razem, jeszcze gorzej niż w Monachium, został całkowicie pokonany. Wbrew jego wnioskowi, przyjęto system gminny i wybór biskupa.

Lecz może osobista jego działalność była więcej skuteczną w założeniu związku międzywyznaniowego wszystkich schyzmatyków i heretyków, aby za ich dopiero pomocą oderwać od Rzymu niemieckich katolików? Biskup i duchowieństwo w Lincolnie (500 osób mniej więcej) pisemnie złożyli hołd Doellingerowi, jako prorokowi i odnowicielowi prawdziwej starej wiary; z Ameryki dochodziły go listy wzywające, aby zwołał sobór narodowy. Tak więc zjednoczenie wszystkich chrześcijańskich kościołów przedstawiło mu się jako wdzięczniejsze pole pracy, niż kierownictwo nieposłusznej jego wskazówkom sekty starokatolików. Najprzód miało nastąpić zjednoczenie z angielskimi i niemieckimi protestantami, następnie ze wschodnimi schyzmatykami. Ich łączność miała polegać nie na czem innem, jak na wspólnej nienawiści do papieża.

Wobec takich okoliczności, nie mógł się też okazać obojętnym tak zwany „związek ewangelicki“. Wkrótce więc otrzymał Doellinger od tego związku wspaniałą listę pochwalną. Od Arnima, strąconego z wysokości, nadeszły życzenia błogosławieństwa bożego na tak znakomite dzieło. Nareszcie 14 września r. 1874, zebrała się w Bonn konferencya, złożona z ludzi, którym była na rękę. Przybyło dziesięciu starokatolików, dziesięciu niemieckich a trzech duńskich protestantów, dwóch Francuzów, jeden Rosyanin, jeden Grek, dziewiętnastu anglikanów z Anglii a sześciu z Ameryki. Zjednoczenie z anglikanami, skutkiem rozlicznych i bardzo rozległych ustępstw, prędko nastąpiło. Trudniej szła sprawa ze Wschodem; rektor petersburskiej prawosławnej akademii, Janyszew, bronił bardzo swoich zapatrywań. Doellinger lajał Kościół rzymski za „niedbalstwo“, że dopuścił, iż wyraz *filioque* wkradł się do nicejskiego składu wiary. Archiprezbiterowi Ja-

nyszewowi tak się to spodobało, że powiedział, iż nigdy jeszcze nie słyszał takiego uznania ortodoksyi wschodniego Kościoła z ust „rzymianina“. Mimo to Janyszew, na podstawie pierwszych siedmiu powszechnych soborów, tak wyraźne i jasne postawił wymagania, że anglikanie nie chcieli się zgodzić, i niemało nadzarpaneń szerokiego płaszcza doellingerowskiej ku wszystkim wyznaniom miłości. Słowo „starokatolicyzm“, przez ciąg całego posiedzenia, zaledwie raz czy dwa razy było słyszane. Doellinger mówił tylko o „niemieckich teologach“. W rok później (1875) druga konferencya w celu zjednoczenia wyznań, wcale nielepiej się udała. „W ustępstwach możemy pójść bardzo daleko, oświadczał Doellinger, mianowicie w ustępstwach odnoszących się do wyrażień“. To tylko, co jest zawarte w nicejsko-konstantynopolitańskim składzie wiary, powinno być, jako wspólne wyznanie wiary, stanowić podstawę zjednoczenia; wszystko inne, jako mniemania teologiczne, każdemu do woli pozostawiono. Ludzie wschodni (a tym razem nawet z Konstantynopola mieli swoich przedstawicieli), brali wszelkie postanowienia tego soboru w przeciwnym sensie, niż Doellinger; mimo to przechwalał się tenże, iż w kwestyi zasadniczej, pojednano się. „Jego zachowanie się było takie, jak profesora wobec uczniów“, mówił protestancki pastor Schaff, z Nowego Jorku, członek tej konferencyi.

W Rumunii udział dwóch biskupów w konferencyi, wywołał ogromną burzę. „Uczni, udrapowani w różnobarwne frazesa humanitarne, nie mogą zwieść ludzi rozsądnych, zawołał w Izbie Bratianu, a tem mniej wiernego chrześcijanina“. Przeciwno idei zjednoczenia zaczęli także występować wyznawcy anglikanizmu i prawosławia; protestanci niemieccy również po większej części bardzo nieprzychylnie ją przyjęli; tak, że zwołanie nowej konferencyi na rok 1876 stało się już rzeczą niepodobną. „Nadzieje jakiegoś porozumienia, którego dawniej można było się spodziewać, pisał sam Doellinger w r. 1888, okazały się iluzorycznymi, a dwa Kościoły, wschodni i zachodni, szeroką przepaścią coraz więcej się rozłączają“. Lecz jeśli zapytamy Doellingera, jaka tego przyczyna? — odpowiada bez wahania: „Watykańskie dekreta“. — To szczególna! bo wszakże Kościół rzymski od samego początku

był wykluczony z wrzekomego zjednoczenia? Tak więc Doellinger od r. 1871, zbierał tylko gorzkie *vae victis*. Nawet pozorny tryumf w Bonn, wkrótce się okazał błędnym ognikiem. Pobity na kongresie w Monachium, pobity na kongresie w Kolonii, zgnębiony nareszcie został i jako inicjator zjednoczenia wszystkich wrogich Rzymowi wyznań, które chciał skupić w jedną silną falangę.

IV.

Późniejsza działalność Doellingera ograniczała się już tylko przeważnie na wypowiedanych mowach przeciw Kościołowi, na przekręcaniu w swych pismach faktów historycznych, ażeby tylko szkodzić Kościołowi. Nic też już nie było dlań świętego w tej robocie. Wypadki Watykańskiego soboru podały mu sposobność wyniesienia się na wyżynę chwały i tryumfu; ale też, jak powiedział jego stary przyjaciel Höfler, postawiły go w tak rażącej sprzeczności z jego całą przeszłością, że nawet najbliżsi jego przyjaciele od niego się odsunęli. Życie jego dzieli się na dwie wprost sobie przeciwne, a więc wzajemnie znoszące się epoki. Cóż więc pozostanie z całości?

W czasie tych zżymań się na Rzym, nie brakło jednak i upomnień i nawoływania do nawrócenia. Nieprzyjazny stosunek, w jakim stanął względem swoich zwolenników, dał główny powód do wieści o jego zamiarze nawrócenia się. W r. 1874 mówił jeszcze Doellinger, że z przekonania zalicza się do starokatolickiej społeczności, a Fridrich w mowie swej o nim dodaje: „i nigdy później się od niej nie odłączył“. Na zewnątrz wprowadzie nie; lecz czy i w sercu? „Nie chcę być członkiem schyzmatyckiej społeczności, powiedział w r. 1887, wykluczam się“. „Pod koniec listopada r. 1887, opowiada protestant, licencyat Mücke, w rozmowie ze mną, Doellinger najwyraźniej powiedział o sobie, że jest katolikiem w przeciwieństwie do starokatolików, do których i on dawniej się zaliczał. Kiedy starokatolicy wzięli się do reform, których on przyjąć nie chciał, Doellinger usunął się od ruchu, którego był ojcem“. Duńskiemu biskupowi, Martensen'owi, sam Doellinger powiedział, że nie wie,

czy starokatolicy choć ziarnko prawdziwego życia religijnego w sobie mają. Więc powrócił do swych zasad z czasów monachijskiego kongresu (1871); lecz został przy nich sam jeden. Kościół katolicki, do którego zdawał się należeć, nie mógł go uważać za swego członka, a o nowej sekcji, która go zazdrośnie nazywała swoim, on nie chciał nic słyszeć. A zatem nie był ani katolikiem, ani starokatolikiem.

Ale nie dosyć jest ganić plany starokatolików, aby wrócić do Kościoła. „Kłamstwem jest, mówi sam Doellinger, co gazety pisały o moim powrocie do watykańskiego kościoła. Katolicy podają regularnie dwa razy do roku tę wiadomość: na św. Jerzy i na św. Michał. Upoważniam *Deutschen Merkur* już teraz (30 marca 1875), aby powtórzył to zaprzeczenie w następnej jesieni“.

Jak niegdyś Pius IX., tak i Leon XIII., kilkakrotnie upominał marnotrawnego syna, ażeby się nawrócił; lecz Doellinger zawsze podobno odpowiadał: „Cóżby na to powiedziała opinia publiczna i gazety?“ Kiedy Doellinger dożył 80 roku życia, między nadesłanemi mu powinszowaniami, znalazł się i list od jego arcybiskupa, arcybiskupa Steichelego z Monachium. „Z wdzięcznością ucznia względem starca-nauczyciela, z miłością troskliwego arcybiskupa ku współbratu, nie będącemu niestety z nim w jedności co do najważniejszych i najwznioślejszych zagadnień życia, wspomnę jutro w duchu o Tobie... w takim też usposobieniu modłę się zawsze za Ciebie. A o jakąż łaskę mógłbym szczerzej i serdeczniej błagać Boga dla Ciebie, jak nie o tę jedyną, ażeby Jego światłość doprowadzić Cię raczyła do pojednania się z Kościołem Chrystusowym. Najwyższa Głowa tego Kościoła, wraz ze mną biskupem, gotowi jesteśmy podać Ci rękę do pojednania. Oby miłosierdzie Boże raczyło przyspieszyć tę chwilę, nim się dzień nachyli, albo i noc zapadnie; będzie to pociechą tysięcy, którzy równie jak i ja z upragnieniem tej chwili wyglądają, pociechą całemu Kościołowi świętemu, poza którym żyjąc, trudno znaleźć dla duszy wolność i pokój“. Wkrótce potem rozszła się znów wiadomość, że Doellinger zamierza się nawrócić. Lecz tak samo jak dawniej nastąpiło zaprzeczenie: „Ani nie

piisałem, ani nie mówiłem nic takiego, coby mogło dać powód do szerzenia takich wiadomości. W ostatnich dziewięciu latach, przeważnie poświęcałem czas ponownym badaniom wszystkich kwestyj, zostających w związku z historią papieży i soborów. Na mocy tych badań doszedłem do wniosku, że dowody fałszywości watykańskich dekretów, opierają się na niewzruszonych podstawach. Gdy żądają ode mnie przysięgi na prawdziwość tych twierdzeń, doznaję uczucia, jak gdyby ktoś żądał, ażebym przysiągł, że dwa razy dwa jest pięć“. Tak pisał 4 maja 1879 do d-ra Nevina, przełożonego anglo-amerykańskiego kościoła w Rzymie. Z listu, który w niedługi czas potem napisał, wyjmujemy co następuje: „Obecny papież, natychmiast po objęciu swego urzędu, przysłał do mnie austriackiego prałata z poselstwem: *Ditegli che venga, perchè c'è un altro Papa*. (Proszę mu powiedzieć niechaj przyjdzie, bo to już inny papież). Odpowiedziałem, że nie mogę tego poselstwa brać na seryo, ponieważ osobistość zasiadająca na Stolicy papieskiej, nie zmienia istotnego stanu rzeczy“.

Wiele innych osób starało się modlitwą i namową sprowadzić zbłąkanego na drogę prawdy. Lecz zanadto się lękał prześladowania liberalnych gazeciarzy, za zerwanie stosunków z tymi, z którymi przez 15 lat co najmniej wspólnie walczył przeciw Kościołowi, a którzy go wynieśli na szczyt sławy. Myśl, że on, człowiek bez charakteru, za takiego też byłby ogłoszony przez przywódców liberalnej prasy; i że on, którego moc ducha ciż sami krzykacze dotychczas otrębywali, byłby teraz miany przez nich za zgrzybiałego i bezsilnego starca: ta myśl, mówię, dla tego czciela i niewolnika opinii publicznej, musiała się przedstawiać jako najsroźsza męczarnia. Im większy kto ma wstręt do spełnienia trudnej ofiary, tem więcej zyskują na sile pozorne racye, któremi od tej ofiary się broni. Tak też i Doellinger, odwołuje się na Bossueta i Fenelona; co oni wierzyli, i on chce wierzyć... zapomina jednak, że on już przed ogłoszeniem dogmatu nieomylności miał heretyckie zapatrywania, więc stał poza Kościołem. Zapomina, że już w sześćdziesiątym roku swego życia, jako anonim, w *Neue freie Presse* i w *Allgemeine Zeitung* prześladował Stolicę Apostolską, z nienawiścią wła-

ściwą wiarołomnemu kapłanowi-odstępcy. Nie można się też dziwić, jeżeli po tem wszystkim zarzuca Rzymowi: Jezuitów, od-pusty, wojny krzyżowe, i nie wstydzi się nazwać Piusa IX. „Mi-kadem“ i „Dalaj-Lamą“; a nawet kwestyę żydowską przeciw Rzy-mowi wyprowadza. Stopniowo doszedł nawet do tego, że cał-kiem odrzucił prymat papieski. Uważał takowy, jako biorący początek w pogaństwie. Taka jest istotna treść książki, wydanej przez profesora Langena; a czy Doellinger, jak słusznie przypusz-czać można, sam był autorem tej książki czy nie, w każdym razie poleca on to dzieło, jako „najlepsze, jakie kiedykolwiek o tym przedmiocie napisano, odznaczające się tak sumiennem badaniem, jak bezstronnemi zapatrywaniami“ (1881). W dalszem dowodzeniu twierdzi, że prymat pochodzi z IV. w., a nie, jak dawniej mówił, z IX.; takie rzeczy mówi ten sam Doellinger, który jeszcze w r. 1869, nawet w takiej książce jak *Janus*, po-wiedział: „Prymat polega na wyższem rozporządzeniu, przynaj-mniej, o ile jest pierwszeństwem honorowem“.

Takie było usposobienie Doellingera, gdy ponownie stary jego przyjaciel, biskup Hefele, błagająco upomina go: „Przed zakończeniem pracy mego życia, pisze w d. 10 lipca 1886 r. do Doellingera, jeszcze jedną mam do Ciebie prośbę... Na pocie-chę aniołom i ludziom, pojednaj się z Kościołem, którego przez długie lata tak chwalebnie broniłeś. Nie odrzucaj prośby mojej jakoby niewczesnej, wiesz, że tysiące dusz łączy swą prośbę z moją; uwieńcz pojednaniem Twoje, pełne chwały, tak długie ży-cie“. Doellinger nie raczył na ten list odpowiedzieć. Tak samo arcybiskup Steichele powtórnie go upomina: „Rzadki dzień prze-chodzi, ażebym z dawną miłością i współczuciem nie myślał o Tobie, ażeby dusza moja stroskana nie błagała o Twoje dobro i zbawienie. Jutro (31 czerwca 1886) przypada dzień Twoich imienin, które wraz z Tobą chcę obchodzić, lecz nie mogę tego uczynić z niezakłóconą radością, bo zatruta ona jest myślą, że nie mogę Ci podać braterskiej ręki do wspólnego działania i walki za Chrystusa i za Jego Królestwo... Błagam Cię, drogi Współbracie, pojednaj się z Kościołem świętym katolickim, dla którego z takim powodzeniem gorliwie pracowałeś, wróć do

społeczności tego Kościoła, w którym się niegdyś tak szczęśliwym czułeś“.

Długi czas upłynął, nim Doellinger odpowiedział, ale jakież kontrast między słowami pełnymi miłości arcybiskupa, a odpowiedzią Doellingera!

W „manifestacie“ z 1 marca 1887 r., zastawia się przysięgą złożoną na sobór trydencki, i powtarza dawne skargi na niewolnicze gnębienie ze strony uczniów Loyoli. Przed soborem i po soborze zawsze tę samą wiarę katolicką wyznawał, ale poddać się pod „urągające“ każdej historii watykańskie dekreta, zabrania mu jego nauka. Zresztą, on przecież tem tylko od innych katolików się różni, że nie wierzy w dekreta watykańskie! Dziwne zaślepienie! Doellinger, który już tyle katolickich dogmatów odrzucił, np. 1874 r. na pierwszym kongresie w Bonn, zaprzeczył Mszy św. znaczenia ofiary i tym sposobem potępił to, czego sam bronił jako prawdy katolickiej w r. 1826. Ale zobaczymy jeszcze coś gorszego. Skarży się, że bez żadnego upomnienia rzucili nań klątwę, a tem samem oddali jego życie na łaskę lub niełaskę zabójczej ręki pierwszego lepszego fanatyka. (Urban II.)¹.

Prawdziwie katolicki Arcybiskup jeszcze rąk nie opuścił. Znowu „z tą samą miłością“ wystosował do Doellingera napomnienie. A także nuncyusz Ruffo Scilla pisał do niego. Dwunastego października 1887 r. Doellinger odpowiedział: „Wszakże nie jestem członkiem schyzmatycznej społeczności. Jestem sam jeden. Będąc przekonany, że wyrok przeciwko mnie wydany jest niesprawiedliwy i nieważny, uważam się ciągle za członka wielkiego katolickiego Kościoła, a ten sam Kościół mówi mi przez usta Ojców św., że taka ekskomunika nie może zaszkodzić mej duszy“. Dziwna to bardzo rzecz, że biskupi i nuncjusze widzieli zmianę zaszłą w zapatrywaniach Doellingera od czasu soboru, a tylko on sam ciągle twierdził, że się nie zmienił.

Jeszcze 2 października 1886 r., mamy świadectwo samego Doellingera, że z wielu stron odebrał wezwanie, aby się poddał;

¹ Naturalnie, że i ta cytata jest haniebnem sfalszowaniem historii. a cóż dopiero powiedzieć o wniosku stąd zrobionym na wiek XIX.

a mianowicie dwa wkrótce po sobie następujące wezwania ustne ze strony Papieża, jedno pisemne od Arcybiskupa monachijskiego, i drugie, także, od biskupa Hefelego. Usiłowania te katolików nie były tajne przyjaciółom Doellingera. Jakkolwiek od sekty starokatolików przez siebie stworzonej stał z daleka, to jednakże w walce o „prawdę“, spotykali się. Jego przyjaciele byli zaniepokojeni takim jego odłączaniem się. „Oby Bóg w swej mądrości raczył sprawić — pisze doń Reinkens, w dzień dziewięćdziesiątych jego urodzin, 28 lutego 1889 — ażeby piękny przykład, jaki nam dałeś, nigdy nie był przyćmiony zewnętrznymi okolicznościami. Przykład ten powinien jaśnieć w historii świata, dopóki Pan nie przyjdzie“. Obawa Reinkensa zupełnie była uzasadnioną. W jesieni tego samego roku, odwiedził Doellingera sławny egiptolog Renouf, który i sam przed ogłoszeniem dogmatu 18 lipca r. 1870, walczył przeciw nieomyślności, a z Doellingerem zawsze zostawał w dobrych stosunkach. Ten przedstawił mu, że sobór przecież nie osobistą, lecz urzędową nieomyślność papieża określił, tj. gdy mówi jako głowa Kościoła *ex cathedra*. Doellinger, pomyślawszy, oświadczył, że jeśli i jemu wolno tak tłumaczyć i rozumieć dekret soboru, to gotów jest pojednać się z Rzymem. Akt poddania się był ułożony; Doellinger prosił swego gościa, aby spieszenie załatwił tę sprawę. Powiernik jego przybył do Rzymu, lecz tam zachorował i powrócił, nie sprawiwszy tego, co mu polecono.

Świecki człowiek musiał tedy wielkiemu teologowi wytłumaczyć, co znaczy nieomyślność, gdy ten przez tyle lat walczył przeciwko Stolicy Apostolskiej w imię nauki, a bronią niewiary. Jeżeli szczerze myślał odwołać swe błędy, natenczas powinien był wobec całego świata dać dowód swego nawrócenia, a nikt nie byłby się serdeczniej cieszył z powrotu marnotrawnego syna, jak Ojciec św. w Rzymie, po tylu doznanych od niego zniewagach — a on tymczasem co robił?

„Pracuję, ile mi siły pozwalają“, pisał 1 stycznia 1890 r., a zamierzał w tej pracy, zdaniem Fridricha, stawić pod pręgierz historyków ultramontańskich, za lekceważenie prawdy, a teologom rzymsko-jezuickim dowieść, iż wielce zawinili, gdyż zerwali

z podaniem. W tym czasie zachorował na influencę; 9 stycznia popołudniu nastąpiło sparaliżowanie prawej strony. Zrana 10-go opatrzył go Fridrich ostatniemi Sakramentami, a wieczorem Doellinger zakończył życie.

Człowiek, który z początku tak chwalebnie walczył w obronie Kościoła, w ostatnich kilkudziesięciu latach ziemskiej swej pielgrzymki, zmarnował dary, któremi go Stwórca tak szczerze uposażył, bo ich używał na nieuczciwe a namiętne stawianie oporu najwyższej władzy tego Kościoła, któremu w przeszłości tak wiernie służył.

Wielki ten uczony, zdawało się, że chciał swem piórem rozbić skałę Piotrową; zadrasnął ją tylko, a pióro się złamało, ręka straciła władzę. Tak; bo wśród wszystkich ruin, świat zalegających, i wszystkich burz na nim szalejących, jedna tylko Stolica Piotrowa stoi i stać będzie niewzruszona i niezachwiana.

Ks. Augustyn Arndt.

DWA LATA W ŻYCIU ST. ORZECZOWSKIEGO.

1548 — 1549.

Przyczynek do monografii, na podstawie *Orichovian*ów wyd. w Krakowie r. 1891 przez d-ra J. Korzeniowskiego.

Od XVI. wieku począwszy, coraz częściej w dziejach naszych spotykamy to fatalne zjawisko, że w chwili ważnych przełomów politycznych, gdy ma się dokonać reforma albo zasadnicza poprawa w ustroju Rzeczypospolitej, wtedy równocześnie występuje jakaś sprawa poboczna, zwykle prywatna, a przytem popularna, która ogarnia i zajmuje umysły warstwy rządzącej w narodzie, z tamtą płącze się i gmatwa, a nawet odsuwa ją na plan dalszy, a tem samem albo grzebie w niepamięci albo utrudnia jej wykonanie.

Na początku panowania Zygmunta Augusta, kiedy po śmierci starego króla tyle najważniejszych spraw potrzebowało i domagało się słusznie nagłego załatwienia, występuje na pierwszy plan małżeństwo Zygmunta z Barbarą, i już zaraz na wstępie podcina powagę królewską, naród rozdziera na przeciwne i wrogie obozy, sprowadza nowe, coraz niebezpieczniejsze rysy na potężnej budowie Kazimierza Jagiellończyka. Ze sprawą małżeństwa królewskiego, korzystając z zamieszki i rozruchów, wiąże się druga — ta już całkiem prywatnej natury — sprawa Orzechowskiego. Ona to obwija się koło tamtej, jak powój; wysuwa się z jej pomocą naprzód; zyskuje wielki rozgłos, porusza do żywego wszystkie burzliwe i niespokojne umysły, we wszystko się

wciska, kilka sejmów wichrzy, roznamiętnia partye, rozgorycza wszystkich.

„Wiek XVI., jak powiada jeden z naszych najwybitniejszych krytyków¹, był cały, w Polsce i w Europie, wielkiem trzęsieniem ziemi, trzęsieniem moralnego i umysłowego gruntu pod ludźmi i pod narodami“. Króciej a dosadniej epokę tę określić trudno. Wiadomo, jakie pierwiastki wywołały to „trzęsienie“. Humanizm i t. z. Reformacya to dwa główne czynniki, to dwie główne fale tego ruchu. Najjaskrawszym typem i wytworem tej umysłowej atmosfery jest ruchliwy humanista, chciwy wiedzy, ale i jej błyskotek zarazem; rzutki i przedsiębiorczy, ale przedewszystkiem samolub, mający siebie i swe zachcianki ciągle na pamięci; erudyta i encyklopedysta zawsze powierzchowny i płytki, a przytem próżny i zarozumiały; nowinkarz, który na ustach ma ustawicznie wyraz „reforma“, choć nie myśli o naprawie swej, a do drugich, szczególnie do Kościoła, stosuje ją po większej części przewrotnie. Od ludzi takich roi się w Europie. Oni to mieszają się do wszystkiego, rezonują o wszystkim, mącą wszystko, aby w mętnej wodzie ułoić dla siebie jakie pożądané, zyskowne stanowisko, lub zadosyćuczynić swej chuci. Jest to oczywiście ujemny typ wieku, bo wcale nie myślę twierdzić, żeby humanizm i reformacya takie tylko wydawały indywidua.

Podobnym typem humanisty, pełnym jaskrawych sprzeczności i najbardziej skrajnych zachcianek, był u nas w Polsce w XVI. wieku Stanisław Oksza Orzechowski.

Po siedmnoletniej wędrowce po Niemczech i Włoszech, przesiąknąwszy naukami humanistycznymi i wyobrażeniami reformatorów, w r. 1543 powrócił do Polski i tego samego roku został wyświęcony na kapłana, „prawie gwałtem“², przez arcybiskupa lwowskiego, Piotra Starzechowskiego. Odtąd, aż po lata: 1548 i 1549, które niniejsza rozprawa ma objąć, jest on ciągle na widowni: bardzo żywo zajmuje się bieżącemi sprawami, czy

¹ St. Tarnowski, „Pisarze polityczni“. 1886. I, 320.

² *Orschoviana. Opera inedita et epistulae St. Orzechowski.* Vol. I. Edidit dr. J. Korzeniowski. Kraków 1891, p. v.

to politycznej, czy to religijnej natury. Roku 1543 i 1544 wychodzą jego słynne „Tureyki“. Na sejm krakowski r. 1543 pisze „Mowę Rzeczypospolitej Polskiej do Panów Polskich“. Jedno i drugie narobiło mu od razu wielkiej sławy. Następne zaś dziełka, jak *Fidelis Subditus* (1543), *Pro Ecclesia Christi ad Samuelem Maticovium episcopum Cracoviensem* (1546), o *De lege coelibatus contra Syricium* (1547) i inne pomniejsze „listy“ i „apologie“, pisane na wszystkie strony, uczyniły Orzechowskiego nietylko głośnym, ale zjednały mu w wysokim stopniu popularność braci szlachty, opiekę magnatów, poklask i podziw wszystkich niezadowolonych duchownych, którym jarzmo obowiązków było za ciężkie a „nowinki“ religijne zanadto powabne. Młody, żywy, rzutki, namiętny i przedsiębiorczy, Orzechowski dał się w tych pięciu latach poznać całej Polsce. A że równocześnie miał już zatargi z biskupem przemyskim, Tarłą, i jego następcą, Janem Dziaduskim, sława ta i popularność była mu bardzo na rękę, starał się o nią wszystkimi siłami, tem bardziej, że właśnie teraz od r. 1547 zaczął myśleć o ożenieniu się na dobre: w danym razie, gdyby nań spadły gromy episkopatu, potrzebował bardzo możnych patronów i życzliwej dla siebie opinii. To też nie opuszczał rąk bezczynnie, ale owszem w latach 1548 i 1549 rozwinął najwyższą działalność pisarską. Okazać, jaką ona była, jest zadaniem niniejszego szkicu¹.

I.

Pierwszego kwietnia², w sam dzień Wielkiejnocy, roku 1548, zakończył Zygmunt Stary w Krakowie swój długi żywot, pełen zasług, chwały i potęgi, ale też zarazem przyćmiony szeregiem zawodów, bolesnych upokorzeń i dotkliwych strat. Od r. 1537, od wojny Kokoszej, w rozległym jego państwie popsulo się niejedno. Żywioły rozstroju wciskały się do kraju wszelkiemi

¹ Materiał tej pracy zawarty w *Orichoviana*, str. 112 do 328 incl. Obejmuje zatem numera od 19—39.

² J. Szujski, „Trzy żony Zygmunta Augusta“. *Dzieła*. Serya II. T. v. p. 117.

szczelinami. Ale roztropność i powaga starego króla trzymała to wszystko jeszcze w pewnych klubach. W pierwszej chwili po jego śmierci, jakby w przeczuciu instynktownem tej niepewnej przyszłości, która się otwarła, naród cały zadrgał boleścią...

W miesiąc po śmierci Zygmunta St., dnia 2 maja 1548, pisze Orzechowski w liście do Jakuba Przyłuskiego:

„Nie da się prawie opisać, jaka rozpacz zapanowała tu w umysłach na wieść o śmierci króla Zygmunta. Ze wszystkich stron dochodzą nas najgorsze wróżby, a znikąd niema pocieszających nowin. Zdaje się, że jakiś straszny koniec grozi nam i Rzeczypospolitej; zginął bowiem wóz Polski i woźnica jej“¹.

Z tego samego listu dowiadujemy się, że Orzechowski w tym czasie już na dobre pracuje nad mową żałobną na pogrzeb Zygmunta St. Możemy nawet podpatrzeć, jak ta mowa powstała. Oto właśnie rozmyślając po śmierci króla nad losem Rzeczypospolitej, zabrał się Orzechowski do czytania *Politei* Platona. W szóstej księdze tego dzieła opisuje Platon przymioty i własności znakomitego króla. Rozważanie tej księgi pobudziło Orzechowskiego do pisania². Czuje i pojmuje on, że zabrał się do rzeczy nader trudnej, ale przywiązanie, miłość i szacunek, jaki żywi dla zmarłego, nie pozwalają mu oderwać się od zamiaru. I w istocie: w tej chwili ma już gotowy cały plan swej mowy, a na próbkę posyła Przyłuskiemu jej wstęp, dodając znacząco, by to zachował dla siebie: „Nie pierzwej krezi, aż się urodzi“³.

Dnia 21 maja t. r. pisze Orzechowski ze Sanoka znów do Przyłuskiego. Donosi mu, że mowę żałobną już ukończył, że zewsząd nalegają nań, by ją co rychlej wydał. Snać przykładał do niej wielką wagę: piłował pewnie i upiększał, aby, wyszedwszy na świat, zjednała mu jak największy poklask i popularność. Że tak było na prawdę, są na to w tym liście dowody. Orzechowski dopytuje się skwapliwie⁴, czy o tym samym przedmiocie nie

¹ *Orichociana*, p. 113.

² „Refrucit enim Plato illius Regis iucundissimum desiderium, de illo enim mihi scribere videbatur illa, quae regentibus praescribit“. *Orich.*, p. 114.

³ *Orich.*, p. 115.

⁴ *Orich.*, p. 116.

pisze czego Przyłuski? czy może się już co w druku nie zjawilo? Chce widocznie znać wszystko, aby przewyższyć wszystkich i wywołać jak największy efekt. Dowiadujemy się jeszcze o jednym ciekawym szczególe z tego listu: Orzechowski się zwierza, że w tej części swej mowy, gdzie wysławia łaskawość Zygmunta St., uczynił zaszczytną wzmiankę o Stanisławie Podlodowskim i Piotrze Boratyńskim, którzy byli posłami na sejm Piotrkowski w r. 1547. Boratyński, podług własnego zeznania Orzechowskiego w tym liście¹, był urażony przez Orzechowskiego i zagniewany nań. Chciał go oczywiście Orzechowski zjednać sobie tą wzmianką w słynnej swej mowie². Ta sama pobudka: chęć zjednania sobie przychylności panów, kierowała Orzechowskim zapewne w niejednym szczególe tej mowy.

Przed 26 maja t. r. Orzechowski „Mowę na pogrzeb Zygmunta St.“ zapewne już całkiem ukończył, bo pod tą właśnie datą pisze do Jana Tarnowskiego, aby ją przeczytał, gdy będzie miał umysł wolny od trosk, o ile to jest możliwe w tym smutnym czasie osierocenia i żałoby całej Rzeczypospolitej³.

Również koło tego czasu posyła tę mowę Kmicie, zdając się na sąd jego. Musiał sam podobać sobie w niej bardzo, bo prosi Kmitę, by zechciał osądzić, jak dalece jej autor postąpił już w zawodzie pisarskim. I z tego listu pokazuje się, jak stał o poklask takich magnatów, jak głowa wojny Kokoszej, Piotr Kmita. Nazywa go pochlebnie „towarzyszem, pomocnikiem zmarłego króla w zachowaniu i utrzymaniu (!) Rzeczypospolitej“⁴.

W końcu kwietnia zjechał Zygmunt August do Krakowa na pogrzeb swego ojca. Dzień 25 lipca oznaczył na tę żałobną uroczystość. „Kiedy już czas nadchodzi pogrzebu — tak nam to opisuje sam Orzechowski w swojej Kronice⁵ — zieżdzaią se-

¹ *Orich.*, p. 117.

² „Haec ideo ad te scribo — pisze do Przyłuskiego — ut intellegas, me hominis vehementer esse cupidum“. *Orich.*, p. 117.

³ *Orich.*, p. 118.

⁴ *Orich.*, p. 120. Nie wiadomo, którego dnia maja list ten pisany.

⁵ „St. Okrzyca Orzechowskiego Kroniki polskie od zgonu Zygmunta I.“ Ed. T. Mostowskiego. Warszawa 1805, p. 23.

natorowie, i od cesarza tudzież Ferdynanda króla zesłani przybywają posłowie. Xiążę także Pruski i Woyciech margrabia Brandeburski, o którym powiadano, że się o iedną ze trzech siostrę, miał u króla starać. Zbiegają się zewsząd ludzie wszelakiego stanu i wieku, pełne miasto księży rozmaitego gatunku... Pod wieczór naznaczonego pogrzebu, prowadzono Zygmunta na wielce wspaniałej trunnie, szły przed nim zapalone pochodnie, które w wielkiej liczbie nieśli w kir przybrani ubodzy. ... Skoro przyszli do kościoła Ś. Stanisława, uroczystym obrządkiem ciało do grobu senatorowie z królem po sznurach spuścili... Nazajutrz z wielką okazałością szli do kościoła WW. ŚŚ., Ś. Franciszka, Szczepana, P. Maryi, i Ś. Trojcy, gdzie się za zmarłego króla wszędy Msze ŚŚ. odprawiały“...

Na tej wspaniałej uroczystości znajdował się i Orzechowski wraz z swoim przyjacielem Jakubem Przyłuskim. Przyłuski, żarliwy zwolennik protestantyzmu i kościoła narodowego, drwił sobie z ceremonij kościelnych na pogrzebie króla. Z tego to powodu napisał do niego Orzechowski osobny list nazajutrz po pogrzebie i wydrukował go p. t.: *Pro exequiis Sigismundi Iagellonis Poloniae Regis...* W liście tym występuje Orzechowski z obroną ceremonij pogrzebowych Kościoła katol., tłumaczy ich prawdziwą wartość i uzasadnia bardzo dobrze ich istnienie i sens. Przyjacielowi swemu kładzie na oczy niedorzeczność jego zarzutów i drwinek skierowanych przeciw nabożeństwu za umarłe i nauce o czyśćcu. W końcu tego listu umieścił Orzechowski bardzo ciekawą i bardzo charakterystyczną apostrofę do Przyłuskiego. Opisawszy piękność ceremonij kościelnych i ich alegoryczne znaczenie, zwraca się do przyjaciela w tych słowach¹:

„Proś Boga, abym się i ja tego doczekał. A gdy umrę, co, myślę, wkrótce nastąpi, proszę cię ze względu na związki przy-

¹ „Quod ut mihi quoque eveniat, Deum precare et cum mortuus fuero, quod cito futurum spero, ... abs te pro amicitia peto, ut funus meum cures meque sepelias, pro me sacrifices, iusta facias requiemque aeternam ac lucem perpetuam animae meae exoptes per Christum dominum nostrum. Candelam etiam hanc meam, quoniam ego tum ipse non potero, mihi praeferas mortuo atque in conspectu Ecclesiae Dei ardentem defigas haecque

jaźni, jakie nas ze sobą łączą, abys się podjął troski o mój pogrzeb, abys mię sam pochował, za mnie Mszę św. ofiarował, a, pogrzebawszy mię, błagał dla mej duszy o wieczny odpoczynek i światłość wiekuistą przez Chrystusa Pana naszego. A także tę gromnicę moję, ponieważ sam tego nie będę mógł uczynić, nieś ty przed zwłokami memi i w obliczu Kościoła gorejącą postaw i te słowa w mojem imieniu dołącz: tak życzy sobie zmarły Orzechowski, gość i przyjaciel mój niegdyś, abym wam to oświadczył, że on tę wiarę, którą wyznaje Kościół powszechny, święcie czcił i do ostatniego tchu wiernym jej pozostał, że żadnej herezyi, ani schyzmy nie pochwalał, nie uczył, nie utrzymywał, a na znak tego tę gorejącą gromnicę kazał przed wami publicznie złożyć, nie zmasawszy jej żadnym błędem, ani żadnym występkiem“.

Nie można zaprzeczyć, że wieje z tego ustępu dużo ciepła wiary, dużo rzewnego uczucia. Ale z drugiej strony tak jesteśmy przyzwyczajeni do nieszczerości Orzechowskiego, do przeciwieństw w jego życiu i sprzeczności między tem co mówi, a tem co czuje, że przychodzi nam pokusa i w tym pięknym ustępie widzieć choć trochę szukania siebie, egoizmu, własnego interesu. Niedawno, bo 17 czerwca r. 1547, Orzechowski miał niemiły zatarg z biskupem swoim Janem Dziaduskim z powodu dziełka swego o „Celibacie“. Ażeby ująć większych kar i uratować swoje zagrożone stanowisko, musiał złożyć przysięgę, że dzieła tego nie miał wcale zamiaru wydawać drukiem i że się to stało bez jego zezwolenia. Sprawa była nie dość jasna i nie dość czysta. Podejrzenie o nieprawowierność ciążyło na nim i nadal, pomimo tej przysięgi. Wiadomość o tem dziele doszła była już do

addas: sic mandat mortuus Orichovius, hospes quondam et amicus meus, ut haec vobis dicerem illum eam fidem sancte coluisse ac retinuisse ad supremum ipsius diem, quam universa custodit Ecclesia, nullam haeresim neque schisma ullum probavisse, docuisse ac tenuisse atque huius rei signum, hanc istam ardentem candellam, vobis palam reddi iussit nullo errore nulloque flagitio a se violatam“. *Orich.*, p. 130.

Rzymu. Dnia 2 maja r. 1548, pisał właśnie Orzechowski do Przyłuskiego, donosząc mu o tem¹:

„Oto niedawno przybył tu do Przemyśla z Rzymu pewien kapłan. Opowiada on, że ‚Celibat‘ mój w Rzymie zajął wszystkich i wszyscy o nim rozprawiają, a przeciwko mnie przeróżne zrywają się zdania. Widzisz, czegoś mi ty nabroił“...

Jak z tego widać, Orzechowski zwał na Przyłuskiego całą winę za wydanie przedwczesne „Celibatu“. Z zarzutów, które mu z tego powodu czyniono, pragnął zapewne oczyścić się i dowieść wszem wobec, że, mimo wszystko co o nim głoszą, jest on prawowiernym synem Kościoła i z żadnymi nie solidaryzuje się błędami. Ta właśnie może pobudka kierowała jego piórem, kiedy pisał tę ostrą przyganę na Przyłuskiego, a w końcu umieszczał przytoczony tutaj ów efektowny ustęp.

„Mowa“ Orzechowskiego na pogrzeb Zygmunta I. nie tyle była mową, ile raczej obszernym panegirykem, zakrojonym na biografię, jak to wogóle było u humanistów w modzie. To też nie była wcale wypowiedziana, lecz ukazała się od razu w druku, naprzód w Krakowie u wdowy Unglera², a następnie tegoż roku (1548) w Wenecyi³. Do historyi wydania weneckiego dostarczają nam *Orichoviana* dwu dokumentów. Jest to wzajemna wymiana listu między Pawłem Rhamnusiusem (Ramusio), sekretarzem rządów Dziesięciu w Wenecyi, a Orzechowskim.

Rhamnusius we wstępie swojego listu wypowiada uwielbienie, jakim jest przejęty i dla osoby Zygmunta I. i dla samego Orzechowskiego po przeczytaniu jego znakomitej „Mowy“.

¹ „Scito nuper quendam sacerdotem ex urbe Roma venisse huc Premisliam; is narrat Caelibatam nostrum esse in ore omnium Romae contraque me iniri consilia varia. Widzisz, czegoś mi ty nabroił“... *Orich.*, p. 115.

² „Funerbris oratio habita a St. Orichovio Rutheno ad Equites Polonos in funere Sigismundi Jagellonis Poloniae Regis. Cracoviae apud viduam Floriani Ungleri“. 1548. 8-vo. Cfr. *Orich.*, p. 120.

³ „St. Orichovii Rhuteni ornata et copiosa oratio habita in funere Sigismundi Jagellonis Poloniae Regis. Venetiis“. 1548.

Zachwycony klasyczną pięknnością dzieła Orzechowskiego, sadi się Rhamnusius na wyrazy uwielbienia dla Zygmunta I., dla jego syna, a najbardziej dla samego autora, którego stawia zaraz obok Ksenofonta¹:

„A że nietylko ci, którzy czynów wielkich dokonali, ale i ci, którzy je opisali, pochwały są godni, potęgą twej wymowy dostąpiłeś tego, iż dorównałeś albo co najmniej zbliżyłeś się w istocie do Ksenofonta o tyle, o ile spróbowałeś stworzyć dzieło podobne jego Cyrusowi. ... Sam jeden z pośród wielkiego twego narodu zdajesz mi się być godnym, aby sobie ludzie poczytali za zaszczyt poznać twą osobę“.

Ani Rhamnusius nie mógł się zdobyć na większą pochwałę, ani Orzechowski większej pożądać: dla humanistów był to szczyt wielkości, zbliżyć się do swych nieśmiertelnych pierwowzorów. W dalszym ciągu listu donosi Rhamnusius, że wydrukowania „Mowy“ Orzechowskiego, przysłanej sobie przez królową Bonę, podjął się już wenecki typograf, Tomasz Junta. Rhamnusius od siebie dodał do tego wydania krótki wstęp „do czytelnika“, a na końcu umieścił swe wiersze do króla Zygmunta Augusta i królowej Bony. Aby się dać przy tej sposobności Orzechowskiemu poznać, nadesłał mu razem z tym listem trzy swoje eklogi, które niedawno *anonyme* wydał. Prosił wreszcie Orzechowskiego, by mu nawzajem przysłał swe inne dzieła na ręce sekretarza Bony, Vitta.

Tą drogą Orzechowski zasłynął jako autor i za granicą. Pochwały, jakich mu nie skąpił Rhamnusius, musiały mu przypaść do serca. Aby się odwdzińczyć pięknem za nadobne, Orzechowski odpisuje Rhamnusiusowi z Przemyśla pod datą 15 sierpnia 1549 r. Uważa za najwyższy zaszczyt, jaki go mógł spotkać

¹ „Et quoniam non solum qui fecere, sed qui aliorum facta scripsere laudantur, id eloquentiae viribus es consecutus, ut quam similem illum Cyrum effingere tentasti, tam te Xenophonti vel parem vel certe propinquum re ipsa ostenderis ... Unus ... mihi in tanta ista natione maxime dignus videris, a quo homines cognosci pulchrum putent“... *Orich.*, p. 178—9.

w tem życiu, że pochwalił go Włoch, syn narodu, który jest „świata całego powszechnym mistrzem“, którego „sąd i zdanie o rzeczy zawsze było decydującem“¹. Po tym wstępny komplement, oświadcza Rhamnusiusowi, że nadesłane sobie eklogi na śmierć kardynała Bembo odważył się tu w Krakowie przedrukować, wyjawivszy imię autora. Jak Rhamnusius we Włoszech przyczynił się do jego sławy, tak Orzechowski nawzajem w Polsce chciał mu się tym sposobem wywdziżyć. Uczynił też zadość jego prośbie, gdyż na ręce Stan. Drohojowskiego posłał mu swe najślawniejsze dotąd dzieła: Turcyki, Celibat i Diatribę. Kończył zaś list swój zgrabnym, humanistycznym komplementem².

Toby było wszystko, co nam podają *Orichoviana* w tej sprawie. Dodać jeszcze wypada i to, że Orzechowski list Rhamnusiusa posłał do króla. Król przyjął list ten bardzo uprzejmie i, jak o tem donosi Orzechowskiemu Mikołaj Trzebuchowski (pod d. 18 stycznia 1549 r. z Piotrkowa)³, wyrażał się przy tej sposobności o nim bardzo przychylnie.

Reasumując, cośmy dotąd powiedzieli, musimy wyznać, że Orzechowski umiał wyzyskać nadarżającą się sposobność bardzo skrzętnie. Miał przecież mowę żałobną na pogrzebie Zygmunta St. biskup krakowski, Samuel Maciejowski. Pisze o niej sam Orzechowski w swej Kronice⁴, że wypowiedział ją biskup „nie bez osobliwszego całego zgromadzenia wzruszenia“. A musiała się podobać Hozyuszowi, kiedy ją, podług I. M. Ossolińskiego⁵, „w ozdobną łacinę przyoblekł“. Wydał i Marcin Kromer swoją liwiuszowską *Orationem in funere optimi et maximi principis Sigismundi eius nominis primi...* (1548)⁶, która wartością historyczną przewyższa Orzechow-

¹ *Orich.*, p. 280—1.

² „Quidquid... habui de rebus ipsis aut iudicii aut facultatis, id totum in illas (orationes, tj. te dzieła) contuli, in quibus quantum profecerim, nullius iudicio certius id examinabo, quam tuo“. *Orich.*, p. 283.

³ *Orich.*, p. 694.

⁴ Ed. Mostowskiego, p. 24.

⁵ „Wiadomości hist.-kryt“. T. III. cz. 1, p. 255.

⁶ M. Wiszniewski, „Hist. lit. pol.“ IX, p. 274.

skiego. Nawet jakiś Szlązak: Maciej Franconius, próbował na tem polu sił swoich i „szkolnym tonem“ słauił Zygmunta I.¹. Atoli żaden z nich z pracy swej nie odniósł tyle korzyści, co Orzechowski; żaden nie czynił tego z taką wrzawą, jak on; żaden nie narobił sobie tyle rozgłosu, żeby mógł, tak jak Orzechowski, pisać o sobie²:

„Napisałem Mowę ową żalobną o Zyguncie królu. Pisząc ją, zaufałem nie mojemu talentowi, lecz wielkości owego najznakomitszego króla. To też Mowa ta znaną już jest w całej prawie Europie“.

Orzechowski, już przedtem popularny wskutek swej *Respublica Polona... i Subditus...*, teraz na wstępie nowego panowania przypomniał się od razu młodemu królowi, pogłaskał dumę niejednego magnata, zabłysnął swym olśniewającym talentem i zmusił opinię do zajęcia się jego osobą. Do tego właśnie zmierzał. Wnet nadarzy mu się jeszcze lepsza sposobność — sprawa małżeństwa królewskiego. On nie omieszka z niej skorzystać — jak obaczymy — w sposób brutalny³.

¹ Ossoliński, „Wiadom. hist.-kryt.“ III, 1, p. 254 — i M. Wiszniewski, „Hist. lit. pol.“ IX, p. 274.

² „Scripsimus Divo Sigismundo Regi Orationem illam funebrem, quae non facultate nostra, sed dignitate illius summi Regis freta, totam fere Europam iam peragravit“. Ossoliński, III, 1, p. 292. Nota.

³ Niniejsze zestawienie uzupełnia źródłową pracę Ossolińskiego w dwu punktach, niewielkiej zresztą wagi:

1) Ossoliński znał tylko list Orzechowskiego do Rhamnusiusa. Nie wiedział więc o tem na pewne, czy wiersze, w wydaniu weneckiem Mowy Orzechowskiego na pogrzeb Zygmunta I. dodane, są utworem tego Włocha. Domyślał się tego bardzo trafnie (Ossol. III, 1, p. 292), bo w istocie tak jest.

2) Krytykując Orzechowskiego „Uwagi nad obchodem pogrzebowym Zygmunta“, Ossoliński przypuszcza, że dotyczą one kogoś, którego Orzechowski „tylko początkowemi głoskami A. Z. oznaczył“ (Ossol. III, 1, p. 293), z pomiędzy dworzan Alberta Pruskiego. Myli się jednak Ossoliński w tym razie: bo ten ktoś oznaczony jest na tytule rzezonego listu głoskami A. Q. (tj. *Amicum Quendam*, jak uzupełnia trafnie dr. Korzeniowski), i sam Ossoliński podaje (Ossol. III, 2, p. 268 [recte 168] n. xxvi.) w tytule na innem miejscu także same znaki.

II.

Po niespodziewanej śmierci swej pierwszej żony, Elżbiety († 17 czerwca 1545), córki króla Ferdynanda, Zygmunt August pozostał na zamku wileńskim, zniechęcony do królowej Bony, która Elżbietę tak niegodziwie traktowała, złamany wypadkami, zgorzkniały i zrażony do swej własnej matki. W tymże czasie przebywała w Wilnie, przy swej matce, młoda, 25-letnia wdowa po St. Gasztoldzie, wojewodzie trockim, Barbara Radziwiłłówna, siostra Mikołaja Rudego na Kojdanowie. „Dwudziestopięcioletnia niewiasta, jak ją opisuje Szujski¹, jaśniała wszelkimi powabami urody, dostojności, znaczenia, a co najwięcej mogło przynęcać serce królewskie, owym melancholicznym wdziękiem smutku, w który ją ubrało małżeństwo z starszym o wiele Gasztoldem i wdowieństwo przedwczesne. Dziwna analogia łączyła króla z młodą Barbarą: obojga młodość gorzkie zwarzyły losy, obojga serca przysypane były popiołem grobu, żarząc się pod nim tęsknotą za szczęściem“. Zbliżenie się króla do Barbary było dla dumnych braci jej rzeczą bardzo pożądaną. To też ułatwiali je wszelkimi sposobami, aż w końcu, usunawszy z drogi wszelkie skrupuły, jakie mogły się budzić w królewicu na myśl, że jest już przez naród za następcę ojca swego na tron polski przyjętym, doprowadzili we wrześniu r. 1547 do tajemnego ślubu obojga kochanków.

W niespełna rok potem, 1 kwietnia 1548, umiera Zygmunt I. Małżeństwo Augusta z Barbarą musiało wyjść na jaw. Wyszło niebawem, a na głowę młodego króla sprowadziło niesłychaną burzę.

Orzechowski zrozumiał od razu, że wmieszanie się w tę sprawę może być dla niego drogą do zdobycia sobie na razie przynajmniej wielkiej popularności. Zaczem na pierwszą już wieść, jaka do niego o tem małżeństwie doszła, zajął się niem bardzo i od początku układał zapewne plan kampanii, w której miał tak

¹ „Trzy żony Zygmunta Augusta“. Wyd. zbiorowe dzieł Szujskiego. Kraków 1885. Serya II. t. v. p. 115.

niepoczesną odegrać rolę. Już 2 maja 1548 r. nazywa w liście do Przyłuskiego¹ wieści o tem małżeństwie króla „pogłoskami, jak z jednej strony bardzo niedogodnemi, tak z drugiej najsmrotniejszemi ze wszystkich“. W Kmicie, idąc zapewne za ogółem krótkowidzącej a rozgorączkowanej szlachty, widzi jedyny ratunek, jedyne ramię, mogące powstrzymać walącą się w przepaść ojczyznę². „Nasz Kmita jest w uścich każdego. Wszyscy wynoszą go pod niebiosa i obok samego Jowisza sadzają, bo one świętokradzkie zbrodnie sam jeden wraz z królową Boną potępia“. Zdaje mu się, że jeżeli w jak najkrótszym czasie „błąd“ ten króla nie będzie naprawiony, to cała Rzeczpospolita runie, rozpadnie się i w niwecz obróci!

Podobnie jak do Przyłuskiego, przemawia Orzechowski do hetmana Tarnowskiego, posyłając mu pod datą 26 maja 1548 r. swą „Mowę“ na śmierć Zygmunta I. Wspomina ubocznie, rzeczy po imieniu nie wytykając, że Rzeczpospolita się „rozpada“, że jest w tak nędznem położeniu, iż zdaje się, jakoby już nie miała się podnieść ani powrócić do dawnego stanu³. W liście znowu do Kmity, prawdopodobnie także w maju t. r. pisanym, jedyną ulgę i pociechę, „w tych szczególnie tak bardzo opłakanych czasach, w których staliśmy się wobec świata baśnią i widowiskiem“⁴, widzi w rozważaniu znakomitych czynów i wspinałych dziejów, jakie uświetniły panowanie zgasłego króla.

Dotąd były to jedynie przegrywki, jakby szum zbliżającej się burzy. Świadczą one wymownie, że w Orzechowskim kotłuje coś i burzy się, że już są w nim te błyskawice i gromy, które z całą wściekłością huraganu rozszałają na dobre w dwu „Mowach“, *Contra matrimonium secundum Sigismundi Augusti Regis Poloniae*.

Obie te mowy przypadają, podług *Orichovian*ów (nr. 25

¹ *Orich.*, p. 113.

² „Kmita hic noster in ore omnium est, quem in caelo posuit iam ipsi medius fidius Iovi proximum communis vox, quod haec scelera sacrilega solus plane reprehendit cum Bona Regina“. *Orich.*, p. 113.

³ *Orich.*, p. 118—9.

⁴ *Orich.*, p. 120.

i 26), na rok 1548. Ossoliński¹ znalazł tylko drugą: *ad equites Polonos*; prof. Tarnowski² znowu ma na oku tylko pierwszą: *ad equites Maioris Poloniae. Orichoviana* dostarczają nam obudwu, a tem samem pozwalają wglądać lepiej w roznamiętnioną duszę Orzechowskiego i poznać dokładniej jego charakter.

Oratio ad equites Maioris Poloniae contra matrimonium secundum Sigismundi Augusti Regis Poloniae, jest ogniście i namiętnie napisanym paszkwilem, dążącym najwidoczniej do porwania za sobą rozjątrzonej już opinii i zyskania sobie przez to pożądanej popularności. Treść da się ująć krótko: nie jest zawilą ani powikłaną, a cała jej siła przekonywająca leży nie w dowodach samych, lecz raczej w sofistycznej retoryce, która używa wszystkich swoich błyskotek, wszystkich wykrętów, byle osiągnąć zamierzony cel.

Na wstępie wyklada autor swój zamiar. Większość narodu widzi, w jakim znajduje się Rzeczposp. niebezpieczeństwie. Atoli wielu jest jeszcze śpiących, którzy na to nie zważają. Aby tych ocucić, chwyta Orzechowski za pióro i kreśli ogrom i grozę nieszczęścia, jakie nad ojczyznę zawisło. Nic innego, zapewnia uroczyście, nie pcha go do tego czynu, jedno czysta miłość i przywiązanie do ojczyzny³.

Po szumnym wstępie następuje samo jądro oracyi. Są tu cztery zasadnicze myśli. 1) Małżeństwo z Barbarą jest niegodziwe, nieuczciwe i sprosne. 2) Dlatego podkopało zupełnie dobrą sławę Polski u obcych narodów, odwróciło od niej wszystkich Panów Europy, dawniej tak przychylnych, a dodało otuchy naszym wrogom, którzy teraz lada dzień zerwą się na nas i rozniosą na kopytach swych koni. 3) A nie tylko małżeństwo to na zewnątrz imię nasze podało w pogardę, ale grozi

¹ „Wiad. hist.-kryt.“ III, 1, p. 310, cfr. III, 2, p. 271 (recte 171).

² „Pisarze polit.“ I, 124.

³ „Etenim si quando fuit tempus, equites..., hoc certe nunc tale est, quo... regnum hoc resque Polona in summum et varium adducta videtur discrimen ita, ut non solum de veteri gloria et dignitate retinenda. verum etiam de vita vestra coniugumque ac liberorum vestrorum deque fortunis communibus conservandis curam et cogitationem suscipere debeat.“ *Orich.*, p. 132.

nam wewnątrz kraju zupełnym i całkowitym rozstrojem: za przykładem dworu pójdzie cały naród; splugawi się czystość domowego ogniska, upadnie moralność wszelka, a nad tak rozprężonym narodem łącno zapanuje tyrania i ujarzmi go. Bo czegoż się nie należy spodziewać po królu, który zdeptał najistotniejsze prawa narodu i wbrew jego woli, bez zgody jego, zawarł tajemne związki! 4) Tem większe zaś grozi z tej strony niebezpieczeństwo, że przy królu stoi cała klika zauszników, którzy go osidlili i zupełnie opanowali, tak dalece, że już niektórzy znakomici senatorowie (Maciejowski i Tarnowski) na ich stronę się przechylili i za królem obstają. Już też skutkiem tego zapanowało rozdwojenie w samym narodzie: niektórzy przebakują o jakimś Maksymilianie (wtedy arcyksiążę Austrii — następnie cesarz), pragnąc z tronu usunąć znienawidzonego Pana...

Tutaj „Mowa“ zbliża się do końca. W energicznych wyrazach Orzechowski potępia elekcję obcego księcia¹. Wskazuje przeszłość dziejową, zasługi Jagiellonów, świetne przymioty Zygmunta Augusta i żąda, nie złożenia go z tronu, ale jak najprędszego uleczenia go z tej choroby. Tym jedynie sposobem rana się zablizni, niebezpieczeństwo się zażegna i wróci Polsce nadwerężona sława. Niech tylko opozycya wystąpi w zwartym szeregu, jak jeden mąż!

„Nie odstąpią od was, kończy wreszcie Orzechowski pochlebny dla Wielkopolan zwrotem, ani Litwini, ani Ruś, ani Małopoleanie, ani Mazowsze, ani Prusy, boć oni wszyscy to samo co i wy czują, to samo co i wy potępiają, tego samego domagają się. Ale nie mogąc sami przez się nic, na was patrzą, od was oczekują wsparcia i pomocy, z wami pragną się zespolić tak dalece, iż wątpić nie można, że oni wszyscy tłumnie do was się zwrócą i ofiarują wam swe usiłowania, swój trud i po-

¹ Prof. Tarnowski, w „Pisarzach polit.“ t. p. 125, powiada, że Orzechowski „kończy rzecz wielkimi pochwałami... Maksymiliana“. Z ustępu końcowego tej mowy (*Orich.*, p. 147—8) wynika jednak jasno, że Orzechowski jest oburzony na zwolenników arcyksięcia i myśl ich potępia stanowczo. Osobę zaś Maksymiliana stara się wszelkimi sposobami w opinii narodu poniżyć.

moc ochotnie i z gotowością, byleście wy dzielnie i wytrwale podjęli hasło opozycji“¹.

Taką jest w ogólnym zarysie „Mowa“ *ad equites Maioris Poloniae*. W szczegóły nie wchodzę, ani więcej wyjątków nie przytaczam, bo musiałbym prawie wszystko przepisywać. Każdy bowiem ustęp tej mowy jest tak świetnie pod względem retorycznym wyrzeźbiony, że nie zapałby się jej sam Cyncero! „Polski Demostenes“, jak Orzechowskiego współcześni przesadnie nazywali, znał wybornie wszystkie drażliwe struny swoich słuchaczy, umiał na nich grać znakomicie, bo wiedział dobrze, w czym należy im schlebiać, co najżywiej i najjaskrawiej przedstawić, aby wszystkich porwać za sobą.

Ta „pierwsza Mowa“ Orzechowskiego przeciwko małżeństwu króla, była napisana prawdopodobnie po sejmie Piotrkowskim w roku 1548, bo wspomina autor w jej wstępie, że o tej sprawie m ó w i ć zakazano, i dlatego² do pisma się zabrał. Ten zaś zakaz, jak to dr. Korzeniowski zauważył³, może tylko odnosić się do słów Zygmunta Augusta, na sejmie r. 1548 d. 13 listopada wyrzeczonych, o których i Orzechowski w swej Kronice⁴ wspomina. Za tem samem przypuszczeniem przemawiają i powody wewnętrzne. Jest bowiem w tej mowie kilka ustępów, które są echem opinij, jakie na tym sejmie wyraz swój znalazły. Orzechowski sam podaje nam klucz w swej Kronice. Do takich ustępów zaliczam np. całą wycieczkę przeciwko Radziwiłłom⁵.

Niedługo po pierwszej, może równocześnie z nią, puścił

¹ „Non Lituani, non Rutheni, non Minores Poloni, non Masovii, non Pruteni a vobis dissentient, qui idem omnes, quod vos, sentiunt, idem. quod vos, damnant, idem requirunt. Sed cum nihil per se possint, vos intuentur, a vobis opem et auxilium exspectant, vobis se coniungere optant. ita ut nihil dubitandum sit, quin si vos fortiter et constanter pro republica opponere velit, certatim ad vos omnes accurrant studiaque operam et auxilia sua prompta vobis offerant et parata“. *Orich.*, p. 148.

² „Quoniam verbis non licet“. *Orich.*, p. 132.

³ *Orich.*, p. 149. Nota 1.

⁴ Wyd. Most. z r. 1805, p. 39 i 40.

⁵ *Orich.*, p. 145 i 6. Cfr. „Kronikę“ Orzechowskiego, p. 31, gdzie przez ehoi wych panowania ludzi posłowie pewnie Radziwiłłów rozumieli.

Orzechowski w świat drugą swą mowę w tejże sprawie, pod tyt.: *De secundo coniugio Serenissimi Regis Poloniae Sigismundi Augusti. Ad Equites Polonos. Oratio secunda.* 1548. Treść jej ta sama; dowody, a raczej sofizmata, również takie same, ale za to zuchwałość, szal retoryczny, bezczelność i przesada posunięte tutaj poza granice przyzwoitości. Małżeństwo króla z Barbarą napiętnowane ostatniemi wyrazami! Barbara i jej otoczenie oszkalowane w tak wstrętny, w tak podły, w tak brutalny sposób, że mowy tej niepodobna czytać bez oburzenia. Nie chciałbym powtarzać tych obelg, jakich sobie tutaj Orzechowski pozwala. Ale bez tego nie moglibyśmy poznać całej furii, jaka miotła nim, gdy pisał ten utwór. Bez tego nie można dobrze zrozumieć całej chwiejności zasad Orzechowskiego, który właśnie w tej sprawie występuje na arenie dziejowej jako najskrajniejszy oportunistą.

Zaczyna się mowa od przesadnych pochwał stanu rycerskiego w Polsce. On to Rzeczpospolitą męstwem swoim zbudował. On to obronił ją od wszelkich najazdów, od wszelkich najsroższych nieprzyjaciół. On to zawsze (!), mając na oku dobro powszechne i przenosząc je nad prywatę, nie skąpił swoich sił, swego życia, swojej krwi i ochotnie ją za ojczyznę przelewał. Słusznie tedy wszelkie zaszczyty i godności, wszelkie przywileje i prawa jemu się należą! Czuje to cały naród i warstwy jego wszystkie: dlatego ochotnie (!) u stóp jego składa wszystkie wolności, wszystką sławę, wszystkie pożytki... Atoli teraz nadeszła chwila przełomu w dziejach: jeżeli nie wyteży stan rycerski całej energii swej dla ratowania czynem zagrożonego bytu ojczyzny, wraz z nią runie w przepaść i utraci całą swą wielkość.

Po takim przygotowaniu umysłów, zaciekawiwszy je do najwyższego stopnia, nagłym retorycznym zwrotem Orzechowski wpada *in medias res*¹:

¹ „Nuptias, Ehe! ad nomen exhorruit animus, equites, nuptia: funestas princeps noster confecit, quibus primum domi et vetus de eiusmodi rebus publice cognoscendi mos violatus est et turpissima in omnes nos accersita ignominia, deinde foris necessariorum animi in nos exacerbati. legitimerum hostium excitati, erecti et firmati sunt“. *Orich.*, p. 151.

„Ślub nieszczęsny — ach! na sam ten wyraz zżyma się umysł — o rycerze! spełnił nasz Pan, ślub, którym naprzód w ojczyźnie dawne prawo, żądające, by taka sprawa publicznie się odbywała, znieważył i na nas wszystkich najśromotniejszą hańbę sprowadził, a następnie u postronnych sąsiadów umysły naszych powinowatych podrażnił, wrogów zaś obudził, podniecił i w ich usposobieniu nieprzyjaznem utwierdził“.

W tych słowach wyrażona propozycja, zamiar i cel mowy. One są niejako tezą, której autor ma bronić i której ma dowieść. W mowie poprzedniej trzyma się w istocie tego założenia: widocznie zapanował tam nad swą wyobraźnią i uczuciem. Tutaj inaczej. Wezbrany potok namiętnej wymowy występuje od razu z brzegów, rozlewa się na wszystkie strony, burzy się, huczy, wszystko po drodze niszcząc i wyrывая: prawdę, przyzwoitość, godność, słusność².

Patrzcie! — woła — oto król pojął w małżeństwo *notissimae improbitatis feminam*³. Czy cała hańba nie spada stąd na nas? Niech przyjdzie i zapyta nas kto: Jaką macie królowę? „Si honestam respondeas, turpiter mentiendum est, si id, quod est, *scortum* esse dixeris, pudor, dedecus, ignominia est“⁴. — I tu dopiero popuszcza wodze swemu językowi: najpodlejszych, najbrudniejszych nie szczędzi wyrazów, byle zohydzić Barbarę w oczach narodu; macza swe pióro w najhaniebniejszych brudach i wylewa je całym strumieniem, aby ofiarę swej przewrotności zniesławić i zbezczęścić do szczytu⁵.

W tym tonie płynie ta mowa do końca; to wzbiera, to

² „Nam per deos immortales, equites, si rempublicam salvam esse vultis, quid primo omnium ab ea vobis depellendum est, quam summa ista nuper in eam inducta hoc ignominioso matrimonio ignominia? Nisi forte putatis in media turpitudine ac summo nostri apud omnes contemptu aliquid bene vobiscum agi posse? Non putate, equites, omnia perdidimus honore et fama regni perditis“ *Orich.*, p. 153.

³ *Orich.*, p. 153.

⁴ *Orich.*, p. 154.

⁵ „...femina hac foedius ac nequius nihil esse, notius est, pro dolor, quam velimus. Quis hanc turpiter natam, turpius educatam, in omni libidinum veneficiorumque genere exercitatam nescit...“ *Orich.*, p. 154.

opada, a zawsze dopieka do żywego, targa w duszy czytelnika po kolei wszystkie struny przywiązania, posłuszeństwa, szacunku dla króla, domagając się coraz namiętniej, coraz natarczywiej, coraz gwałtowniej, by się stan rycerski porwał do czynu i zaślepionego swego Pana wyrwał z przepaści, w którą, zdradzony i usidlony przez Radziwiłłów, niebacznie wtrącił siebie, naród, ojczyznę, całą przeszłość jej i całą jej przyszłość! Zaczem miota się i rzuca z szatańską jakąś inwektywą na królowę i króla. Zbija rzekomo wszystkie zarzuty, jakie na sejmie Maciejowski, Tarnowski i wszyscy ich stronnicy czynili fanatycznym przeciwnikom tego małżeństwa, a w świetnych i pysznych zwrotach, któreby mogły uchodzić za kwiat wymowy po wszystkie czasy, gdyby tak niskim nie służyły celom, tak przygniata czytelnika, tak olśniewa i tłumi w nim refleksyę, iż nie można się dziwić, że ta mowa porywała już skądinąd rozdrażnioną szlachtę i budziła w niej najniebezpieczniejsze namiętności! Z tej mowy widać najlepiej, jak niebezpiecznym był Orzechowski dla każdej dobrej sprawy: mając go po swej stronie heretycy, mogliby się byli nim posługiwać jako najskuteczniejszym taranem do rozbicia swych przeciwników. To nam zarazem tłumaczy chwiejne stanowisko, jakie wobec niego zajmowali biskupi na sejmach roku 1550 i 1552.

Takie są te dwie Mowy. Jakaż w nich prawda dziejowa? Czy Barbara dawała jaką podstawę do tych szalonych podejrzeń, które odbiły się tak potężnem echem w pismach Orzechowskiego?

Idąc za zdaniem Szujskiego¹, musimy wyznać, że „spierano się u nas w ocenieniu charakteru Barbary... Pozbierano starannie wszystkie jej grzeszki i kaprysy, nieprzystępność i wymagania“. Ale była to srogość za daleko posunięta, „srogość jakby tych, co za życia woleli Solimana w Krakowie niż Barbarę; co głośno na sejmie odzywali się z życzeniem, aby króla nie uszczęśliwiła dziecięciem“. Szujski postępuje całkiem sprawiedliwie,

¹ „Charakterystyka Zygmunta Augusta“, wyd. zbiorowe. Serya II, t. VI, p. 121.

gdy za miarę wartości Barbary uważa usposobienie i zachowanie się Zygmunta Augusta w czasie, gdy ją posiadał. „Miłość do niej dawała mu hart, spokój i energię, dawała mu siłę do przetrwania burzy politycznej, która podważała tron“. Tak się nam przedstawia Barbara dzisiaj — po pracach Michała Balińskiego, Szajnochy, Szujskiego. Do tego samego wniosku doszedł Aleksander hr. Przeździecki w swoich „Jagiellonkach“ (I. 179—271). Obfita korespondencja Zygmunta Augusta, Barbary i Radziwiłłów, zestawiona w tem dziele, popiera najzupełniej zdanie Szujskiego. Nie inaczej pojmował ją Odyniec. W przedmowie do swej „Barbary Radziwiłłówniej“¹, zwraca on bardzo trafnie uwagę na to, że tak gwałtowne z początku przeciw niej oburzenie narodu tak rychło, tak nagle zmieniło się w cześć i podziwienie w samych nawet podżegaczach. Przeciwnicy jej na sejmie Piotrkowskim mieli pewnie Argusowe na nią oko. Kiedy więc tak prędko zmienili swe zdanie, musiały, między innymi przyczynami, wpłynąć na to niepospolite jej zalety i cnoty. Namiętność zaś do ostatnich posunięta granic, a czepiająca się niesłusznie jej osoby, miała zapewne inne, głębsze przyczyny: Barbara była tylko pozorem, którym chętnie opozycya się zaślaniała, aby nie być odkrytą i skompromitowaną.

Tak było zapewne i z Orzechowskim. Fanatyczny ten jej wróg w swoich publicznych występach, jest zupełnie innym, ma dla Barbary całkiem przeciwny sąd w swoich *Annales*. Tu dopiero przekonywamy się, jak przewrotnym i chwiejnym był charakter jego. Ten wielki *captator auras popularis* inaczej umiał rzecz przedstawić, gdy mu szło o rozgłos, a wręcz przeciwnie, gdy ta chwila przeminęła i pisał w zaciszu, dla siebie i dla swego sumienia może. — Powiada tedy Orzechowski w swej Kronice o Barbarze, że była to pani „wysokiego urodzenia... ze składu twarzy tak piękna, że z zazdrości urody, o iey niewinności tarchano“². Już w tych słowach *habemus confitentem reum*. A więc wiedział Orzechowski, dlaczego tak niecnie „tarchano“ dobrą sławę Barbary? A więc nie było mu tajno, że to „zazdrość“ szarpała

¹ „Barbara Radziwiłłówna“. Poema dramatyczne A. E. Odyńca. Wilno 1858, p. XIII—XVI.

² Ed. Mostowski, 1805, p. 18.

jej dobre imię. A mimo to tak bez wahania przystąpił do grona jej oszczerców i bezczelnością swoją przewyższył wszystkich.

Kreśli Orzechowski w dalszym ciągu Kroniki bardziej szczegółowy obraz charakteru Barbary, nawet opisuje miłość do niej Augusta. Oto jego słowa: „W której, gdy wszystko znaczne było, i ród, i wiek, i dorodność, i dobre mienie, tudzież obyczaiów układność i łaskawość, siłę mark mających na siebie zalotników miała; tych ona pogardziwszy za męścieniem, nie tak łatwo upatrzeć mogła, któremu sobie życzyła za żywota oycy, za mąż być wydana od matki. Tym czasem sam także król młodym będąc, gładkością i laty udatny, posłyszawszy o Barbarze, że mieszkała w Wilnie, i że ją wszystkich usta pospolicie chwaliły, naprzód wzbudzony sławą, potem uięty weyrzeniem, kochać się w niej począł, i usilnie pragnąć. Lecz gdy wstydliva białogłowa, przez złe podeyrzenia sławy swoiey naruszyć nie chciała, dał się król uiąć miłości, a zwyciężonym będąc, sam się dobrowolnie poddał, i pokryiomu przed oycem za żonę ją pojął“¹.

W tych słowach wydał Orzechowski sam na siebie najbardziej surowy wyrok. Spokój, z jakim opisuje to zdarzenie, naprowadza na myśl, że dwa paszkwile przeciwko Barbarze musiały Orzechowskiemu ciężkim kamieniem przygniatać sumienie. Pisząc *Annales*, chciał zapewne, bodaj w części, oczyścić tak bardzo przez siebie zniesławioną królowę — i wypowiedział o niej prawdę, która była po prostu odwołaniem poprzednich oszczerstw.

Lecz niedość tych sprzeczności. Wiemy, jak napiętnował Orzechowski małżeństwo króla i za co je uważał. Wszak w obu Mowach wszelkimi sposobami dowodził, że ono żadnem nie jest małżeństwem. Gdyby chciał być konsekwentnym, powinien był w *Annales* swych bronić zdania prymasa Mikołaja Dzierzgowskiego, Kmity, Jana Tęczyńskiego, Marcina Zbcrowskiego, słowem całej kliki, nie chcącej tego małżeństwa uznać za ważne. A jednak, opowiadając przebieg tej sprawy na sejmie Piotrkowskim r. 1548, powstaje z oburzeniem na biskupa swego, Dziadu-

¹ Ed. Mostowski, 1805, p. 18 i 19.

skiego, za to, że poszedł za zdaniem Prymasa i małżeństwo to „pokątnym nawet, przez ostatnią nazwać ważył się zniewagę“¹. A nieco niżej, gdy wylicza panów świeckich, którzy oświadczyli się za Prymasem, dodaje od siebie uwagę następną: „Aleć maia to do siebie pospolite rozruchy, że się omylnych i bezbożnych zdań, byle tylko były zamieszane w gminie, snadno za prawdziwe i pobożne chwytaią“². Jeżeli tym sposobem chciał uniewinnić postępowanie Kmity, Górki lub innych przeciwników Augusta, to użył argumentu bez siły. Na z siebieaś sam wypowiedział sprawiedliwy wyrok. Któż bowiem był sprawcą onych „pospolitych rozruchów“, jeżeli nim nie był autor tych dwu podłych paszkwilów? Kto bardziej „zamieszał gmin“, że nie mógł rozeznac „zдания omylnego i bezbożnego“ od „prawdziwego i pobożnego“, jeżeli nie ten rzekomy patron i niepowołany obrońca zagrożonych niby wolności narodu, który dom Radziwiłłów nazwał: *lupanar*, nieszczęśliwą Barbarę: *scortum — Thais libidinosa — lena — volutabrum turpitudinis*, a jej małżeństwo z królem *incestuosum*!

Jeżeli zaś prawdą jest, o czem wspomina w przypiskach do swej „Barbary“ Odyniec³, że paszkwil Orzechowskiego był rozrzucony podczas sejmu Piotrkowskiego, a nie po nim, to lwia część tego niegodziwego czynu spada na głowę Orzechowskiego i na nim ciąży największa może odpowiedzialność za wszystkie nieszczęścia, jakie ta sprawa na Polskę sprowadziła!

Krytykując surowo, ale, sądzimy, sprawiedliwie, stanowisko Orzechowskiego wobec małżeństwa Zygmunta Augusta z Barbarą, nie mieliśmy czasu pomówić o dobrych stronach tych obydwu Mów. Oczywiście przez „dobre strony“ nie należy rozumieć dobrej, zdrowej treści: takiej niema tu wcale, bo wszystko zatrute jadem przewrotnej tendencyi. Ale forma, ale styl, ale zwroty, słowem cała szata zewnętrzna, jest pyszna: jest tkanką misterną wzorowo osnutą podług wszystkich zasad cycerońskiego stylu.

¹ Ed. Mostowski, 1805, p. 34.

² Ibid. p. 34.

³ Wydanie z r. 1858, p. 398.

Na zakończenie tego ustępu narzuca się samo przez się to bolesne pytanie: gdyby Polska takich ludzi, z takim talentem, z takim ogniem, z takim żarem płomiennej wymowy, jak Orzechowski, miała była w innych sprawach, w innych chwilach, gdy stała nad przepaścią, gdy się w nią naprawdę staczała; gdyby tacy ludzie byli wciągnęli w swą duszę całą boleść, cały wstyd, całą hańbę położenia, i z tą siłą, z tą potęgą przemówili do otrętwiałego narodu, w obronie dobrej sprawy..., może nie bylibyśmy się doczekali Delegacyi w r. 1773, ani Targowicy w roku 1792!

(Dok. nast.).

Romuald Koppens.

URYWKI

ZE WSPOMNIENIŃ NOWOGRODZKIEGO SZLACHCICA.

(Dokończenie).

„Po przejściu wojsk westfalskich i oddziałów rezerwowych, kapitan wojsk polskich, Katerla, zostawiony był w Nowogrodku dla zaprowadzenia nowego porządku, i jako instruktor mającego się formować pułku ułanów. Marszałka, na ten czas Rdułtowskiego, przemianowano na podprefekta i prezydenta komisji cywilno-wojskowej, do niej wezwano członków sądu powiatowego: prezydenta Benedykta Haciskiego i sędziego Franciszka Pileckiego, a na sekretarza: regenta Adama Wolskiego, którego byłem pomocnikiem, na mera zaś miasta, adwokata Stefana Pawłowicza.

Wkrótce przysły z Warszawy nominacye na pułkowników: Konstantemu Rojeckiemu, 19 pułku ułanów; Aleksandrowi Obuchowiczowi, 20 pułku ułanów; a do pułku gwardyi, kwaterującego w Słonimie, na pułkownika: Wincentemu Konopce. Znałem pułkowników Rojeckiego i Obuchowicza jako nowogrodzianów, a prócz tego i wielu oficerów 19 pułku; kapitanów szwadronistów: Katerłę, który był instruktorem, Ksawerego Rymuszę, Ksaw. Wojniłowicza, a plutonowych: Józefa Kaszyca, Antoniego Mierzajewskiego, Felicjana i Jaśka Wereszczaków, Bogusława Świeżyńskiego, Feliksa Sorokę i Januarego Rojeckiego.

Komisya cywilno-wojskowa, mając w kancelaryi marszałkowskiej tabele ludności całego powiatu, poszczególnie każdego majątku, zajęła się robieniem rozkładów na dostarczenie pro-

wiantu i furaju jak również dla naboru kantonistów. Sekretarz poruczył mnie, jako swemu pomocnikowi, pełnienie obowiązku sekretarza przy naborze kantonistów.

W tydzień po wyjeździe króla westfalskiego z Nowogródka, otrzymano wiadomość, że król powraca; wielkie było przerażenie mieszkańców; lękali się rabunku; przyjęcia żadnego nie było. Gdy wjeżdżał do miasta na tym samym arabczyku, z dwoma czy trzema adjutantami, przy konwoju jednego plutonu szaserów gwardyi, robiły mu honory dzwony kościołów. Przypatrzyłem mu się wtenczas dobrze; młody, zdawał się nie mieć lat trzydziestu, szczupły, przystojny. Przenocował swoim kosztem i puścił się w dalszą podróż do Niemiec. Mówiono, że Napoleon usunął go od komendy korpusu a poruczył takową księciu Józefowi Poniatowskiemu¹, za to, że brat Hieronim cały tydzień przesiadawszy w Grodnie, pozwolił przez to generałowi Bagrationowi z całym korpusem połączyć się z główną armią w Mińsku.

Kiedy przyszedł czas naboru rekrutów, zdziwiłem się i ucieszyłem widząc, że kantonieści przychodzą sami swobodnie bez żadnej straży, pod opieką jednego wójta lub innego oficjalisty; bo przywykłem od dzieciństwa patrzeć, jak dawniej dostarczano rekrutów. Zwykle na podwodzie parokonnej siedział rekrut w dybach z dwoma wartownikami, za nim szła matka, siostra albo żona z płaczem, że to było prawie na zawsze rozstawać się na 25 lat służby wojskowej. Litewskich rekrutów odsyłano w odległe gubernie: orenburską, kazańską lub saratowską. W r. 1812 do kantonu szli z ochotą, a nawet niektórzy w półuniformie żołnierskim. Przypominam sobie jak rządca Kołpienicy, majątku należącego do kapituły wileńskiej, porucznik niegdyś kościuszkowski, Doboszyński, przyprowadził pod swoją komendą podług rozkładu piętnastu kantonistów wytresowanych i wymusztrowanych oraz ubranych, stosownie do zlecenia, w leibikach, czapkach i spodniach; jednego z nich mianował kapralem, ten ko-

¹ Myli się autor pamiętnika; dowództwo po ks. Hieronimie oddał Napoleon marszałkowi Davoust. (Przyp. K. K.).

menderował; jeden tylko nie był przyjęty, jako za młody: powracając do domu rzewnie płakał.

Nadeszła wiadomość, że generał Dąbrowski z dziesięciu tysiącami wojska został w gubernii mińskiej dla blokady fortecy bobrujskiej; druga smutna wiadomość, że podoficer 19 pułku ułanów, Franciszek Orzeszko, chcąc odwiedzić swoich krewnych bogatych w kobryńskim powiecie¹, wyjechał konno już umundurowany z lancą i pałaszem, lecz na granicy pińskiego powiatu, w Janowie, schwytany został przez kozaków i odprowadzony do komendy: jakoż, zniknął zupełnie i nie doszła o nim później żadna wiadomość. To pokazanie się w nieodległym miejscu kozaków, było powodem przybycia do Nowogródka szwadronu huzarów węgierskich pod komendą majora Pauli; huzary byli w ciągłych rozjazdach; major miał przy sobie trębacza, na jego sygnał ze wszystkich ulic zjeżdżali się, on siadał na konia, wyjeżdżali, ani jeden nie zostawał; we dwie lub trzy godziny powracali. Czasem podobne wycieczki odbywały się dwa razy na dzień; tak było przez całe lato i najczęściej wyjeżdżali na drogę słonimską.

W połowie lata przyjechał ze Smoleńska do Hordziłówki stryjeczny brat mojej matki, kapitan Nikodem Orzeszko, ojciec Kaliksta, marszałka gubernii grodzieńskiej, ranny po bitwie pod Smoleńskiem. Gdy wchodził do miasta z oddziałem, został ugodzony kulą w łopatkę, na ulicy, strzałem z okna wymierzonym. Nie zgodził się na operację i z kulą przybył; miał zamiar jechać do matki² w Kobryńskie³, lecz że tamte strony nawiedzali kozacy, pozostał aż do późnej jesieni.

Rok ten nadzwyczaj był urodzajnym, żyto dawało więcej niż dwadzieścia ziarn, również i inne zboża, pomimo, że było w większej części skoszone i spasione, wszystko odrosło i piękny plon dało; w ogrodach warzywnych i sadach także wielki był urodzaj; słowem, po roku kometowym i upalnym, nastąpił rok

¹ Zapewne w Zakozielu, albo Ludwinowie. (K. K.).

² Chrzanowskiej z domu. (K. K.).

³ Do majątku Zakoziela. (K. K.).

obfitości. Nie obeszło się jednak bez szczególniejszego w atmosferze wypadku: oto, przed 20 sierpnia, kiedy jeszcze wiele zboża zostawało w polu, wypadł ogromny śnieg, wyżej nad półtora łokcia, jako przepowiednia ciężkiej i mroźnej zimy; kilka dni leżał: drzewa owocowe mocno ucierpiały, bo jeszcze owoce nie były zebrane, łamały się gałęzie i całe drzewa, zbożu jednak nie to nie szkodziło, lecz niecierpliwi, którzy różnemi sposobami starali się śnieg otrząsać i zbierać, wiele straty ponieśli, bo tylko słomę zebrali a ziarno się wysypało.

Spokojnie przebyliśmy ostatnie dni sierpnia, wrzesień i początek października. W Nowogrodku, major Pauli z węgierskimi huzarami codziennie odbywał spacer, a na noc porozsyłał patrole, powracał do miasta. Komisya cywilno-wojskowa spełniała wyższej władzy warszawskiej rozkazy; ostatni z nich był na przygotowanie dla rezerwowego korpusu francuskiego, czyli dla 150.000 ludzi prowiantu i furaju; kiedy komisya zajmowała się w tym celu rozkładem, a Pauli z wycieczki nie powrócił, pod wieczór tegoż dnia, nagle, zjawiło się dwóch ułanów generała Konopki, z wiadomością, że ich pułk w potyczce przy przeprawie przez rzekę Szcza r e, w Słonimie, zupełnie został rozbitym: najwięcej zginęło w czasie odwrotu na moście, gdzie się niezmiernie ścisnęli; wielu z nich od strzałów ucierpiało, wielu idąc w pław, utonęło. Z tego powodu stało się wielkie zamieszanie w mieście, popłoch, rozruch po ulicach, ludzie nie chodzili ale biegali, pakowali rzeczy, myślano, że kozacy są o kilka wiorst i zaraz napadną. Huzarzy węgierscy uciekli, więc pułk 19 ułanów posyłał swoje patrole ku Słonimowi, a ja z raportem udałem się do Hordziłówki, donieść ojcu, co się dzieje; znalazłem naszego krewniaka (Nik. Orzeszkę) gotowego już do drogi. I tak pułk Rojeckiego, zabrawszy z sobą przybywających rozbitków gwardyi i mojego wuja kapitana Orzeszkę, tejże samej nocy wymaszerował do Wilna. Przybywszy nazajutrz do miasta, ani jednego już żołnierza nie zastałem, tylko komisya, złożona z członków powszechnie znanych z akuratności i gorliwości, zajmowała się spełnianiem przysyłanych z Warszawy rozkazów.

Chociaż w mieście było spokojnie i cicho, dowiedziałem się jednak przez pocztę prędszą, żydowską, że korpus pod komendą generała Czyczagowa 150.000 wojska mający, powraca z Turcyi po skończonej wojnie i zawarciu traktatu, mocą którego Izmajłów przyłączono do Rosyi; że awangardą komenduje Polak z Litwy, generał Czaplíc. Mówiono, że zbliżając się do Słonima i widząc, że w nim pułk gwardyi nowoformowanej z czoła młodzieży, jego rodaków, kwateruje, posyłał parlamentarza, zawiadamiając komenderującego tym pułkiem, że idzie z dywizyą w awangardzie całego korpusu. Radził więc, aby się rejterował nie czyniąc oporu i nie przelewał na próżno krwi bratniej. Nie posłuchał generał Konopka tej poczciwej i zbawiennej rady, przez co naraził pułk na tak wielką klęskę, a nieprzyjaźni mu utrzymywali, że musiał tak zrobić lękając się odpowiedzialności za roztraconą i przegraną znaczną część sumy, wydanej mu na uformowanie i na utrzymanie pułku; z tą wiadomością powróciłem do ojca. Nazajutrz znowu poszedłem do Nowogródka, ale już z przewodnikiem i nie pocztową drogą, ale boczną, zwaną Horodeczańską; ledwo wyszliśmy za las, spotkaliśmy dragonów. Oficer zapytał po rosyjsku, odpowiedzieliśmy tym samym językiem, że jesteśmy z bliskiej wsi. Patrzcież — rzekł — żeby was nie aresztowano. Pod miastem zobaczyliśmy kilkuset kozaków obozujących, zajętych jedzeniem i grzaniem się przy ogniskach, na łące pozapalanych; nie zwracali na nas żadnej uwagi i szczęśliwie przybyliśmy do miasta. Tu nam powiadano, że podprefekt Rdułtowski, dowiedziawszy się, że główna armia Czyczagowa ze Słonima idzie do Mińska krótszą drogą, na Stwołowicze, Snów i Nieśwież, a tylko oddział mały na Nowogródek; jako dziedzic i gospodarz Snowia pojechał na spotkanie do domu; że wczoraj około godziny dwunastej w nocy przybył oddział kozaków z oficerem, który udał się zaraz do komisyi, znalazł tam dwóch członków: Haciskiego i Pileckiego, a trzeciego sekretarza, Wolskiego, jeszcze pracujących nad rozkładem dla rezerwy francuskiej, aresztował i zalecił, aby byli gotowi do podróży, gdyż ich odprawi do głównej kwatery armii w Mińsku; pozwolił na jedną godzinę pójść z konwojem do

swoich kwater, dla wybrania się i pożegnania z rodziną, a wszystkie papiery z sobą zabrał. Tego dnia z rana przybywszy, już ich nie zastałem; wkrótce i arjergarda kozacka, przy mieście obozująca, za nimi ruszyła i jeszcze większe zostały pustki w Nowogrodku.

W tym samym czasie była bitwa pod miastem Wołkowyskiem, w gubernii grodzieńskiej, gdzie kwaterowali przez lato Sasi pod dowództwem generała Reynier, z oddziałem armii Czyczagowa. Ze wszystkich Niemców, jedne wojska saskie szczerze sprzyjały Napoleonowi i walecznie broniły miasta, jednakże przeważającej sile ustąpić musiały. Przy tem spotkaniu się wojsk, większa część Wołkowyska spłonęła.

W kilka dni potem nadeszła wiadomość, że generał Dąbrowski ze swoim dziesięcioletnim oddziałem, odstąpiwszy od Bobrujska, uprzedzając armię Czyczagowa, pierwaj zajął Mińsk i skierował się drogą ku rzece Berezynie, a powolną rejteradą i częstemi potyczkami, wstrzymywał pośpiech głównej armii rosyjskiej, z Turcyi powracającej, i chociaż wiele poniósł straty w swoich szeregach, tym jedynie sposobem ułatwił cofanie się Napoleona z pod Moskwy i przejście jego z armią przez Berezynę.

Na tej wielkiej przy Berezynie batalii, skończyły się w naszych stronach działania wojenne z upokorzeniem sławy Napoleona w wojnie 1812 roku; do tego wypadku wprawdzie nie mało pomogła wczesna i nadzwyczaj mroźna zima, a Francuzi przywykli w ciepłych krajach wojować.

W Nowogrodku i w całym powiecie, po przejściu armii Czyczagowa, przez kilka tygodni nie było żadnego wojska, czasami tylko przeiębli żołnierze korpusu Dąbrowskiego, pokryjomu manowcami po kilku, niektórzy nawet z bronią, przechodzili za granicę, do Warszawy, a następnie zaczęli przybywać urzędnicy koronni nowogrodzcy z gubernii połtawskiej; w początku zaś 1813 roku, przechodziła za granicę piękna dywizya ułanów ukraińskich, sformowana kosztem hr. Branickiej, ciotki cesarza Aleksandra I, i jemu ofiarowana.

Nie zawsze w życiu mojem były czasy smutne i niepomysłne; w młodzieńczych moich latach, od wstąpienia na tron cesarza Aleksandra, nie czuliśmy, że jesteśmy pod obcem panowaniem, żadnej nie było reformy ani zmiany, stosownie do zapewnienia cesarzowej Katarzyny II., na ostatnim sejmie grodzieńskim objawionego; wszystko, jak za rządów Rzeczypospolitej, Statut litewski i język narodowy, tak w sądownictwie jako też w szkołach i w Uniwersytecie wileńskim, był utrzymany. Pieniądzy papierowych prawie nie znano; obywatele bogatsi przyjeżdżali na kontrakta kijowskie, mińskie, nowogrodzkie i wileńskie z ciężkimi kasami, pod które używano po kilka a czasem kilkanaście koni. Mięszwały wprawdzie pomyślność naszego kraju naprzód zaburzenia we Francyi a potem wojny Napoleona w całej Europie, nabawiając nas niespokojnością i jakąś obawą, ale po kampanii 1812 roku, kiedy królem polskim ogłosił się cesarz Aleksander I., pomyślność Polaków i Litwinów więcej jeszcze wzrosła i trwała do końca życia tego monarchy.

Przy powrocie cesarza i króla z kongresu wiedeńskiego, od samej granicy austryackiej, naród polski, a dalej i mieszkańcy Litwy, wszędzie po drodze z nadzwyczajnym zapałem i radością witali go i pozdrawiali. Przy wjeździe do Warszawy ulicą Mokotowską, na placu Trzech Krzyży, zbudowaną była brama tryumfalna, gdzie monarcha był spotykany przez nowomianowanego namiestnika Królestwa, generała Zajączka, jako gospodarza, ze wszystkimi władzami, municypalnością, chlebem, solą i kluczami; a ze strony wojskowej, Wielki Książę Konstanty cesarzewicz, z generałami i wyższymi oficerami, jako głównodowodzący wojskiem polskim i formującym się korpusem litewskim. Tu objawiono cesarzowi projekt miasta, pobudowania kościoła pod nazwaniem św. Aleksandra; z zadowoleniem zgodził się na to monarcha, a kiedy zaproponowano i proszono o przyjęcie obiadu i balu, odpowiedział: „bal przyjmuję, coście zaś złożyli na obiad, oddajcie na budowę kościoła, a ja na ten cel drugie tyle od siebie dołożę“. Bal był niezmiernie liczny i wspaniały, rozpoczął go cesarz z żoną namiestnika Królestwa, generałową Zajączkową, polonezem, ułożonym przez Karola Kur-

pińskiego, z chórem wokalnym: „Witaj Królu polskiej ziemi, ojczyźnie między dziećmi swemi“. Na tym balu damy polskie i litewskie prosiły cesarza o przyłączenie Litwy do Królestwa Polskiego, na co odpowiedział cesarz żartobliwie: „Jeszcze więcej zrobiłem, bo nie tylko Litwę, ale całą Rosyę do Królestwa przyłączyłem“. Był następnie bal cesarski, wiele obiadów, wieczorów, koncertów i przedstawień teatralnych.

Po tych fetach, zajął się cesarz urządzeniem władzy cywilnej i wojskowej Królestwa, i mianowaniem osób na rozmaite urzędy; polecił wybrać w kraju deputatów na sejm i nazначzył dzień na koronację swoją w roku następnym 1816. Nie zapomniał też i o Litwie; potwierdził wszystkie dawne porządki i ustawy, jak to wyżej powiedziałem; wybór urzędników zostawiono szlachcie do powiatowych i gubernialnych instytucyj, sądowych i administracyjnych, a w powiatach nawet policyjnych dla czuwania nad porządkiem, spokojem i bezpieczeństwem, w tytule sprawnika i jego ucząstkowych czyli asesorów, na lat kilka wybieranych. W mundurach dla urzędników i obywateli na kołnierzach i mankietach zmieniono kolor ponsowy na karmazynowy.

Gubernatorów na Litwie nazначzył cesarz Polaków; wileńskim, księcia Lubeckiego; grodzieńskim, Niemcewicza; mińskim, Sulistrowskiego; na obwód białostocki, Wołłowicza; kuratorem Uniwersytetu wileńskiego mianowany został książę Adam Czartoryski.

Co do wojska, posłał rozkazy do naczelników wojsk rosyjskich, aby żołnierzy rodem z gubernii litewskich, wysyłali do formującego się korpusu litewskiego, którego komendantem był generał Dowré (?). Tego korpusu dywizya piechoty miała nazwanie pułków: wileński, miński, brzeski i białostocki; strzeleckie czyli jegierskie, podobno mianowały się numerami; piechota miała mundury z rabatami, kołnierzami i mankietami żółtymi. Dywizya kawaleryi, ułanów, miała mundury granatowe; pułki rozróżniały się kolorem rabatów i chorągiewek u lanc; to jest, polski: rabaty i kaszkiety karmazynowe, chorągiewki także z białem; drugi, tatarski: rabaty i kaszkiety białe, chorągiewki białe z granatowem; trzeci, litewski: rabaty i kaszkiety żółte,

chorągiewki żółte z białem; czwarty, wołyński: rabaty i kaszkiety błękitne a chorągiewki także z białem; konie były pułkami: gniade, siwe, kasztanowate i kare; przy każdym pułku po cztery armaty. Piękna to była dywizya kawaleryi, pod komendą generała Włodka, z Brzeskiego; moich braci w tej dywizyi było pięciu: rodzony jeden i stryjecznych czterech, a w ułanach polskich: stryjecznych dwóch i jeden dalszy krewny, Kiersnowski. Kampamenta tej dywizyi odbywały się przez lat dziesięć w Pruząńskim, o parę wiorst od miasta była musztra całej dywizyi z artyleryą i manewry. Bracia, chcąc nam się sprezentować na koniach przed plutonem, prosili nas, abyśmy przyjeżdżali; parę razy posłuchaliśmy, i przyjemnie nam było widzieć przechodzące plutonami pułki po skończonych manewrach przed naczelnikiem dywizyi, naprzód kłusem a potem w galopie z armatami.

Język powszechnej rozmowy między oficerami był polski, tylko komenda po rusku; gości bywało wiele z różnych stron, najwięcej takich, którzy w tej dywizyi mieli swoich krewnych, damy siedziały w powozach.

Nie udało mi się być na rewii cesarskiej 1822 roku pod Brześciem Litewskim, na tej wielkiej paradzie, gdzie dwa korpusy wojska polskiego i litewskiego, zostające pod głównem naczelnictwem W. Ks. Konstantego, prezentowały się przed cesarzem; bardzo chciał drugi raz widzieć ukochanego przez naród polski monarchę, bo widziałem go pierwszy raz w Słonimie, gdy jeszcze jechał w 1816 roku na koronację do Warszawy. Było to wieczorem; wjeżdżał do miasta oświetlonego rzesisto, pluton litewskiego pułku ułanów postawiony był na straży od samej rzeki Szczary, do kwatery marszałka, gdzie się pojazd zatrzymał; ciągle były radośne okrzyki i pozdrowienia; wielu znajdowało się obywateli przyjezdnych. Cesarz jechał w karecie z odkrytą głową, przez okno kłaniał się na obie strony pozdrawiającym. Przy wysiadaniu z powozu, spotkany był przez marszałka, Feliksa Brońskiego, jako gospodarza, i przez generała dywizyi, Włodka; spostrzegłszy u marszałka przy mundurze kołnierz karmazynowy, powiedział: „pozdrawiam was narodowym kolorem“. Przenocowawszy, nazajutrz rano udał się w dalszą podróż.

Ojciec mój miał korzystną posesyę w zastawnej sumie 140.000 złp., na dobrach księcia Dominika Radziwiłła, Boracinie, w nowogrodzkim powiecie, ale nie mogąc nią sam się zajmować, oddał takową warendę i wziął za trzy lata z góry trzydzieści tysięcy złotych; odkryła się przez to dobroć posesyi, tem więcej, że i arendowny posesor dobrze wychodził, co zachęciło ludzi zazdrosnych starać się o nią sekretnie. Jakoż po drugich trzech latach, wcześniej udali się do plenipotentów Radziwiłłowskich, złożyli sumę zastawną i wyzuli z posesyi. Z początku ojciec nie chciał przyjmować sumy na Boracinie lokowanej, jako złożonej jednym dniem czy dwoma po terminie, deponowali więc ją plenipotenci Radziwiłłowscy w mińskim sądzie ziemskim powiatowym. Potem ojciec mój rozmyślił się, że mińskie kontrakta jeszcze się nie skończyły, i że będzie mógł gdzie zaraz sumę dobrze ulokować, zgodził się więc na jej przyjęcie, ale przy odebraniu tego kapitału z kancelaryi sądu ziemskiego szczególniejsza zaszła okoliczność.

Oto, spotkał się mój ojciec ze swoim dawnym znajomym i serdecznym przyjacielem, szambelanem Kostrowickim, w tym samym domu, gdzie zajechał, kwaterującym. Odnowiła się przyjaźń; Szambelan był człowiek wesoły i żartobliwy, dowiedział się, że ojciec jedzie dla odebrania kapitału, oświadczył przeto chęć jechania dla pomocy w liczeniu pieniędzy, co istotnie przy wypłacie w złocie, było niemałą robotą. Pojechali razem; zaczęli liczyć; nim ojciec przeliczył dwa tysiące dukatów, on przeliczył pięć tysięcy, zawiązał do worka, wziął za czapkę i — wychodzi, mówiąc z uśmiechem do ojca:

— Do widzenia się, panie Stolniku...

— Nie żartuj-że, Szambelanie — woła za nim ojciec.

Ale Kostrowicki wybiegł, siadł do powozu ojca i odjechał.

Był ojciec w wielkim kłopotcie, co czynić? Pójść za nim i zostawić resztę pieniędzy na stole — nie można, bo trzeba zakwitować i rozpiścić się w księgach. Dopiero więc załatwiwszy te formalności wraca do kwatery; w drodze spotyka swój powóz, pyta furmana, dokąd odwiózł Szambelana; dowiaduje się, że do kwatery, ale przyszedłszy nie zastaje go tutaj; szukał go

po całym Mińsku i nigdzie nie znalazł, aż dopiero późnym wieczorem Kostrowicki do mieszkania powrócił. Pyta go ojciec o pieniądze.

— A no — mówi Szambelan — rozplaciłem się z mymi wierzycielami, oczyściłem majątek Jagnieszycze, mogę ci je oddać w zastawę.

— Ależ to kryminalna sprawa! — woła mój ojciec.

— Ha! spodziewam się, — odparł Kostrowicki — że mnie, swojego starego przyjaciela i żony twojej kuzyna, nie będziesz skarżył jako rabusia! O cóż chodzi? U siebie tych pieniędzy trzymać nie będziesz, komuś je oddasz, czemuż nie mnie na pewną ewikcyę. Jeżeli nie możesz albo nie zechcesz sam gospodarować w Jagnieszycach, to ja sam je wezmę w arendę na trzy lata i będę płacił po ośm tysięcy złotych.

Zdawał się mówić przekonująco i ojciec mój na tem poprzestał; przyjął prawo zastawne trzyletnie, a od siebie dał kontrakt arendowny także na trzy lata, po ośm tysięcy złotych.

Na tym interesie ojciec i my następnie, jako dzieci, wielkie ponieśliśmy straty; po upływie bowiem lat trzech, kiedy nadchodził czas wypłaty kapitału, Kostrowicki ogłosił się niewypłacalnym, upadłym na funduszu i oddał swoje majątki ziemskie tak w Słonimskim, jako i w Pińskim położone, na satysfakcyę wierzycieli przez eksdywizyę. Nim wyszły awizacye z wezwaniem kredytorów, nim naznaczeni zostali urzędnicy, nim wreszcie nastąpił pomiar majątków i zrobiono inwentarze, upłynęło lat kilka. Sąd eksdywizorski w dekrete swoim obliczył zaległe procenta, opłaty rządowe, salarya urzędnikom i ekspensa procesowe, zmasował należność ojcu na 18.000 rubli srebrem i w tej sumie wydzielił *fundum* Jagnieszyc, dla ojca odseparowawszy odpowiednią ilość chat włościańskich i gruntów dworskich dla innych wierzycieli. Nie kontentował się ojciec tym dekretem i kazał mi napisać prośbę apelacyjną do sądu głównego 2-go departamentu gubernii grodzieńskiej, gdyż byłem już regentem, komenderowanym do sądu eksdywizorskiego majątku Kotłowa, w Nowogrodzkim, należącego do instygatora Wojniłowicza; było to w 1818 roku, ale że pomimo apelacyi naszej dekreta eksdywi-

zorskie się spełniały, mnie więc ojciec oddał Jagnieszycę w aren-downą dzierżawę. Nie doczekał się ojciec końca tej sprawy, umarł w Hordziłówce dnia 27 listopada 1821 roku; nikogo wówczas z rodziny nie było, ja najbliżej mieszkałem w Nowogródku; dano mnie znać, przybyłem i znalazłem go siedzącego w fotelu z głową nieco podniesioną, w okularach, przy fotelu stolik a na nim paląca się świeca i książki rozłożone — czytał widać, zadusiła go astma, na którą skarżył się od lat dziesiątka. Przed dwoma laty, w roku 1819, 13 maja, zmarła matka nasza także w Hordziłówce, ale chorowała kilka tygodni, i wtenczas nie było nikogo z rodziny oprócz mnie; pierwszy raz znajdowałem się przy śmierci; boleść i smutek ogarnęły mnie niezmierne, prawie odrętwiały wyszedłem na balkon; wieczór był najpiękniejszy, prawdziwie wiosenny, ciepły, zieloności pełno, bo dom stał w ogrodzie, zapach kwiatów, śpiew słowików, lży mi się lały strumieniem. Oboje rodzice pochowani na mogiłkach dominikańskich w Nowogródku obok siebie, gdzie i położony jest nagrobek z czerwonego marmuru z odpowiednim napisem.

W roku 1831 nasz znajomy, generał Dąbrowski, znajdował się w oddziale Giełguta, który wszedł był na Litwę; nie chciał on jednak jak Giełgut rejterować się do Prus po nieszczęśliwej bitwie pod Wilnem, i przebiwszy się pod Antokolem przez arjer-gardę korpusu generała Tołstoja, mając z sobą tylko dwa tysiące regularnego wojska i dwa działa, zebrawszy resztki powstania żmujdzkiego partyzanta Matuszewicza, udał się w powiat oszmiański; tam również zabrał resztki powstania pułkownika Przezdzieckiego i przez Niemen wszedł do powiatu nowogrodzkiego, gdzie dwoma dniami przedtem formowało się powstanie marszałka Kaszycza. Wówczas stał w Nowogródku szwadron huzarów pułku pod nazwaniem księcia Ferdynanda; komendant tego szwadronu Felkerzamb, mając wiadomość, że powstańcy chcą napaść na szwadron, dnia 12 lipca zabrawszy kasyera powiatowego z rządowemi pieniędzmi, raniutko wyprowadził szwadron na trakt wileński. Jakoż tego dnia po południu Józef Kaszyc, marszałek, i Mikołaj Mierzejewski, oficerowie niegdyś Na-

poleońscy z 1812 roku, z ochotnikami swymi w liczbie około dwóchset ludzi, po większej części na koniach, z różnego rodzaju bronią, przybyli z lasów do Nowogródka, zajęli obwacht, rozbroili kilkunastu żołnierzy, oficera aresztowali, zapasowych kilkaset karabinów zabrali, magazyn z prowiantem i furażem otworzyli, ale bardzo małą część z tego z sobą wzięli, a mieszkańcom rozebrać resztę pozwolili; papiery policyi ziemskiej i miejskiej popalili; z ostrogu czyli więzienia zostawiwszy samych tylko kryminalistów i ważniejszych złodziei, resztę uwolnili, a sposobnym do noszenia broni, iść z sobą kazali. To wszystko w przeciągu dwóch godzin uczyniwszy, udali się do swoich kryjówek i za nimi jeszcze kilkunastu ochotników z miasta pociągnęło; zostawili tak mieszkańców w największej trwodze i niespokojności. Burmistrz miasta, jako wówczas najwyższa władza, lękając się odpowiedzialności, rozkazał natychmiast magazyny zamknąć.

Ja natenczas z żoną i trojgiem małych dzieci, dla zdrowego powietrza mieszkałem o wiorstę od miasta, w folwarku państwa Haciskich, Peresieka zwanym, pięknej miejscowości i rezydencji. Powróciwszy do domu, nie mogłem długo zasnąć, rozmyślając o wczorajszym zdarzeniu i o tem, co jutro nas czeka. Nazajutrz raniutko wyszedłem do ogrodu; o godzinie szóstej usłyszałem kilkakrotny huk armat w tej stronie, gdzie się zrejterowali huzary; dla dowiedzenia się co to ma znaczyć, idę do miasta, tam również słyszano strzały, ale nic nie wiedziano. Czekając wiadomości, wyszedłem na górę zamkową; zbliżył się do mnie mój od lat kilkunastu faworyt, krawiec, równie zaciekawiony, i w tym momencie spostrzegliśmy konnego jeźdźca na drodze wileńskiej, w największym pędzie spieszącego do miasta; zatrzymał się on w rogatce, wysłałem więc krawca na zwiady. Powróciwszy, opowiadał, że ten jeździec był ni cywilny ni wojskowy, chociaż przy pałaszu, bez halsztuka na szyi, piersi gołe, ogorzale, twarz także, cały okurzony dymem i pyłem, ubranie na koniu ruskie, oficerskie, czaprak z cyfrą cesarza Mikołaja; rozmawiał z cudzoziemka po polsku, mieszając i ruskie wyrazy; pytał się gdzie jest marszałek Kaszyc i Wolski, żonaty z Obuchowiczówną; kiedy odpowiedziano, że ich niema, spytał znowu: „A sekretarz

Gnoiński?“ Że ten był, kazał się prowadzić do niego. Z daleka i ja poszedłem ku kwaterze Gnoińskiego, który mieszkał na piętrze, ale nie wchodziłem do środka, gdzie też wkrótce dał się słyszeć krzyk i kłótnia między onym jeźdźcą a dwoma młodymi ludźmi, wychodzącymi do powstania: Antonim Dąbrowskim i Hormajerem, synem traktyerniczki, którzy podejrzewali go o zdradę i postanowili aresztować. Uspokoił się, gdy mu powiedzieli, że go powiozą do Kaszycy, oddał pałasz i siadł między nimi na bryczkę; nim wyjechali, oznajmił on, że za godzinę lub dwie przyjdzie do Nowogródka szwadron 3-go pułku ułanów polskich, który komenderowany był dla dopędzenia i zabrania partji rekrutów, wziętych do wojska z powiatu oszmiańskiego. Ale nie udało się im dopędzić i później pokazało się, że ten jeździec był rodem Francuz, artylerzysta-kanonier z czasów napoleońskich, który przez kilkanaście lat zajmował się na Żmujdzi dawaniem lekcyj języka francuskiego i tam też złączył się z powstańcami; on to z rana swemi wystrzałami wypłoszył huzarów i będącego z nimi generała O'Rurka, w czasie przeprawy przez Niemen, którzy manowcami przez Lubcz i Naliboki dostali się do Nieświeża i Mińska.

Wkrótce z góry zamkowej pokazały się o wiorstę chorągiewki ułańskie; poszedłem po żonę i wyszliśmy na drogę wileńską między Peresieką a Brecianką, z której także wyszli dzieci, Karol i Michalina z Półjanowskich Białopiotrowiczowie. Przed szwadronem jechał jeden ułan z lancą, potem trzech podoficerów z karabinkami w rękę, a za nimi kapitan Łepiecki ze szwadronem. Równając się z nami, pozdrowił nas i zapytał, czy niema tu wojska ruskiego. Zdziwiło nas i zaniepokoiło, że kiedy my ich witaliśmy wesoło, oni przeciwnie, poczawszy od kapitana do ostatniego żołnierza, wszyscy bardzo byli smutni, jakby z pogrzebu wracali. Kapitan zbliżywszy się do nas, nieco ciszej powiedział: „Nie byliśmy dość silni, aby zdobyć Wilno, rejterujemy się, w ślad za nami postępuje korpus Sawoiniego, kto więc jeszcze nie skompromitowany, niech się nie kompromituje i nie przyczynia większych ofiar“. Zwróciliśmy nasze oczy na Nowogródek przy zachodzie słońca; piękny był i szczególny widok,

podobny w swoim rodzaju do tego, kiedy letnią porą w dzień pogodny pszczoły wyszedłszy z ula, skupią się na wierzchu. Tak wszystko co żyło w mieście, skupiło się gromadami na piętrowych górach zamkowych; najwięcej kobiet i starców. Wiele dam stało u rogatki miejskiej dla powitania przybywających, między nimi były: pani Adamowa Sołtanowa, Pratnicka, Wróblewska i inne, a Tatarka Gębicka z bliskiego swego domu na spotkanie kapitana wyniosła na stołeczku chleb i sól. Ułani stali niedługo; po trzech godzinach odpoczynku, nakarmiwszy konie, wyszli do pocztowej stacji Nowin, ku stronie słonimskiej, zabrawszy z sobą kilku nowych ochotników; między nimi widziano mego furmana Bazyla, dobrze podchmielonego, który we dwa dni powrócił w takimże stanie, i lokaja mego sekretarza Płońskiego, Józefa, huzara z czasów napoleońskich. W Nowinach ten szwadron ułanów połączył się z całym oddziałem Dębińskiego i Kaszyca, i razem poszli do miasteczka Zdzięcioła.

Konsystujący w Słonimie wojenny naczelnik, generał Stankowicz, otrzymawszy wiadomość, że marszałek Kaszyca z oddziałem swoim wystąpił już otwarcie na scenę i nawiedził Nowogródek, wychodząc z całą swoją siedmiotysięczną komendą i ośmiu armatami, ogłosił, że idzie polować na nowogrodzkie wilki, które się w lasach pojawiły, a mijając majątek Wiązowiec Mikulskich, zbliżył się do miasteczka Zdzięcioła. Tu spostrzegł w porządku stojących powstańców, i kiedy miał przypuścić do nich atak, na wzgórzu za nimi zobaczył pułk ułanów, kazał więc do nich dać ognia z armat; zginął jeden ułan a dwóch było ranionych, ale zaraz także z armat odpowiedziano, kartacze zrobiły zamieszanie w szeregach Stankowicza, który domyślając się, że to musi być awangarda znacznego jakiegoś korpusu, począł się cofać w stronę Słonima, aby zatopić w Szczarze proch, znajdujący się tam w znacznej ilości. Oficer ze strony powstańców, komenderujący pierwszym plutonem, Ludwik Piotrowicz, poskoczył za cofającymi się, chcąc opanować armaty, dopędził ich do Wiązowca; tu ów lokaj Płońskiego, niegdyś huzar i furman obywatela Kuniewicza, pierwsi wskoczyli na jedno działo, ale wnet swoją śmiałość opłacili

życiem; nie spodziewali się pewno, wychodząc z Nowogródka, że tak krótko będą wojować. Ponieważ Piotrowicz miał rozkaz nie posuwać się dalej jak do Wiązowca, zabrawszy więc tylko 18 karabinów z ładunkami od jeńców, których puścił wolno, wrócił się z oddziałem do Zdzięcioła, skąd wraz z Dąbrowskim pociągnęli przez Michalin do Białowieskiej puszczy, gdzie przyłączył się do nich ze swoją komendą generał Różycki, i tak ze zwiększonym oddziałem wojska, manowcami, przebierając się między wojskami rosyjskimi, dostali się pod Warszawę.

Z tego czasu muszę jeszcze zanotować ciekawe zdarzenie. Byłem w Wilnie w r. 1831 w lipcu, na ten czas właśnie wojenni inżynierowie zauważyli, że na Bekieszowej górze, gdzie stoją trzy krzyże, byłby dobry punkt dla ustawienia baterji armat ku obronie miasta, nakazano więc w tem miejscu plantowanie. Dzień był pogodny; między pierwszą a drugą po południu godziną, przechodziłem właśnie ulicą, kiedy posłyszałem mały, krótki i nie bardzo głośny grzmot; chmur nie było, tylko mały, szaro-bładowy obłoczek. W parę godzin potem, powróciwszy do kwatery, dowiedziałem się, że piorun zabił dwóch żydów i jednego żołnierza, na Bekieszowej górze będących przy robocie plantacyj. Z tego podobno powodu zaniechano też i fortyfikacyi góry zamkowej“.

Romanów d. 18 kwietnia 1891.

Kajetan Kraszewski.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

Część II.: Chiny i Japonia.

(Ciąg dalszy).

Kanton, 14 lutego.

Mieszkamy wybornie: minister u p. Kramera, niemieckiego kupca, a zarazem konsula *ad honores* niderlandzkiego, a ja u konsula niemieckiego. Hotel w Kantonie zanadto obrzydliwy, nie można w nim mieszkać, więc przybywający muszą szukać przytułku u zamieszkałych tu Europejczyków, których wille stoją, jak wszędzie w Chinach, w t. zw. *Concession*, czyli obszarze, przez rząd przy zawarciu pokoju między Anglią, Francją a Chinami w r. 1860 odstąpionym na używalność zwyciężskim rządowi europejskim. *Concession* od miasta odgraniczone szerokim kanałem, na którym dwa mosty, każdy zamknięty bramą żelazną, a na moście silny posterunek policji; brama główna otwiera się tylko dla białych. Po chwili przywitania ruszamy w trzech lektykach; 10 policyantów chińskich, nader dziwacznie ubranych, w ogromnych, okrągłych, słomianych kapeluszach, z jakimś czarnymi wstążkami, rolę urzędowych oznak grającymi, z krótkimi pałkami w rękę; przed nami, prócz tego, dwaj słudzy, owi kawasi Alabastra. Ruszamy zaraz zwiedzać ciekawości miasta. Najpierw t. zw. *examination-hall*, tj. niby uniwersytet. Mijamy ów most, kilkanaście kroków w prawo wzdłuż kanału, potem w lewo — wchodzimy, a raczej wnoszą nas w ulicę miasta. Tłum gęst-

nieje, krzyk się wzmagają, nasi policyjanci krzycząc (wszyscy tu krzyczą), rozpychają tłum, nieraz z użyciem całej siły muszkułarnych swych ramion. Słońce, schowane tu za wysokie mury domów, nigdy nie dochodzi aż do bruku. Wpadamy w kiszkę ciasniutką, może 1½ metra szerokości, ciemną, zapchaną ludźmi, bardzo nie pachnącą, od góry zawieszoną podługowatymi deszczułkami czerwono, czarno i żółto malowanymi i zapisanymi złotem pismem chińskim: to szyldy i godła — a ta kiszka, to ulica. Nigdy nie zapomnę tego wrażenia; opisać go niepodobna.

Lecimy formalnie; nasze lektyki migają się tylko przed oczyma zdziwionych nieco, trochę szydersko, często głupekowato uśmiechających się na nasz widok Chińczyków. Jeżeli my im się tylko migamy przed nosem, o ileż bardziej jeszcze nam wszystko miga się i mąci przed oczyma. Po chwili oczy mi łzami zachodzą od ciągłego wytrzeszczania, natężania, by nic z tego obrazu nie stracić; kark mnie boli od obracania nieustannego głowy na dwie strony; patrzę, ale nie widzę; nareszcie zaczynam drzemać, ukolysany ruchem lektyki, oszołomiony, ogłupiały tym widokiem sklepów, tłumy, szyldów, wystaw sklepowych, krzykiem przechodniów, naszych policyjantów, tragarzy, przekupniów! Budzi mnie szczególniejszy smród: to handel delikatesów (Hawelka chiński), koło którego taki ścisk, że musieliśmy stanąć. Na szubieniczkach żelaznych wiszą istotnie smacznie wyglądające, w rycynusie smażone i pieczone głowy świńskie i cielęce, nóżki, mózdzki, ogonki, kopytka; a między tem wszystkiem na honorowym miejscu, aby dobrze go widać było, wisi za ogon głową na dół, jeszcze żywy, przebierający nóżkami, ogromny szczur! *Obstupui!* — nie chciałem bowiem w te opowiadania o przy smakach chińskich wierzyć. Teraz wierzę; tak ogromnego i tłustego szczura w moim życiu nie widziałem. Był to szczur tuczony.

Lecimy dalej. W Chinach kast niema, za to jest do najdrobniejszych szczegółów zachowany system cechów. Jedna ulica, same magazyny z jedwabiami; druga, same magazyny z t. zw. *Curios*, czyli sklepy antykarskie. Krzyk i smród się znowu wzmagają — to targowica na drób i wszelkiego rodzaju trzodę; dalej ulica koszykarzy, złotników, sprzedających owe zielone, szklane czy

kamienne ozdoby kobiece, paciorki, szpilki do włosów, bransoletki (każdy wyrobnik nawet nosi taką zieloną bransoletę); dalej szewcy czyli pantoflarze, zegarmistrzowie, bednarze, kowale, ślusarze, stolarze, wekslarze; dalej pyszne odrzwia złożone i ślicznie w drzewie rzeźbione, przez dwa piętra idące — to apteki i t. d. i t. d. Jedno dziwniejsze niż drugie, a wszystko na kupie, jedno na drugim, a wszystko w uliczkach wąziutkich, brukowanych pięknymi płytami kamiennymi, które nogę końską tylko wówczas widują, gdy wice-król opuszcza swoją rezydencję, by przez miasto do pagody zawitać.

Nareszcie ulica, którą pędzimy, z ciemnej robi się nieco jaśniejszą, w końcu jasną, rozszerza się, ale nader nieznacznie; widać ogromny mur, skręcamy w prawo; nasi ludzie przyspieszają kroku, jak zawsze, kiedy już blisko celu pielgrzymki jesteśmy. Wpadamy w jakieś podwórze, zasiane kamieniami, bez drzew; parę świń szuka niewidocznej trawy, kilkoro dzieci żebraczych wypada ku nam gdzieś z jakiejś dziury. Nareszcie brama, z czerwono niegdyś malowanych sztachet drewnianych, od góry napół przez wiatr i deszcz zniszczonym daszkiem przykryta; za nią znowu coś nakszałt podwórze i druga brama, tą razą z desek zupełnie zakrywających widok do wnętrza. Na bramie wymalowane ogromne dwie figury: to jak zwykle na zbytek krwi cierpiący bożek wojny, z ceglasto-czerwoną facyatą, a obok bożek nauki i sztuki, identycznie do swego kolegi podobny, tylko z cerą mniej skłonność do apopleksyi zdradzającą; obaj groźni, straszni, w pozach powypreżanych, którychby ich autorom nawet Michał Anioł był pozazdrościł. Wysiadamy nareszcie z lektyk. Wchodzimy. Ogromny plac, środkiem brukowana droga wiedzie do głównego gmachu, po bokach rzędy nieprzeliczone czegoś, co w pierwszym momencie robi wrażenie publicznych klozetów, lub jakiegoś wielkiego składu na drzewo opałowe. Jest to szereg źle otynkowanych, równoległe do siebie stojących murów. Każdy mur oddzielony od drugiego ścieżką zarosłą trawą, od góry pulpitym daszkiem gontowym przykryty. Od strony wejścia do tej dziwacznej auli egzaminacyjnej, każdy mur podzielony jest na kilkadziesiąt równych części ściankami, również murowanymi, prostopadle

na głównym murze opartemi. Ścianki te wraz z murem głównym tworzą komórki, w których egzaminanci wypracowują zadania. Pojedyncza taka komórka, raczej niż, z przodu zupełnie otwarta, ma z pewnością nie więcej jak metr szerokości, a dwa wysokości; wewnątrz, prócz trochę śmiecia, nic zupełnie.

W tych komórkach kandydaci na mandarynów niejedną gorącą chwilę spędzają, wypracowując swe pensa, które, jak zwykle Chińczycy, na kolanie piszą. Co lat trzy pod prezydencją samego wice-króla schodzi się komisya egzaminacyjna. Do egzaminu siada przeciętnie od 4 do 12 tysięcy luda, młodych i starych, a ponieważ egzamin w razie nieudania się wolno powtarzać bez żadnego ograniczenia ilości tych powtarzań, więc często się ma zdarzać, że starcy 60—70-letni przychodzą tu składać dowody swego rozumu. Na 12.000 kandydatów przy ostatnim egzaminie, złożyło go 88, resztę spalono! W czasie egzaminu pisemnego, zamurowywują kandydata napół w jego komórce — zresztą niema obawy, by mu ktokolwiek chciał pomagać w wyrobieniu pensum pisemnego, bo każdy o sobie zbyt się boi; prócz tego z powodu wielkich prerogatyw, jakich używa stan mandaryński, do którego kluczem i bramą są te egzamina, sami mandaryni bardzo się boją i pilnują, aby nie za wielu ich było; o oszukiwaniu więc tutaj i mowy niema. Po pisemnym, następuje ustny egzamin. Przeszedłszy te egzamina w Kantonie, można osiągnąć drugi, tj. niższy stopień mandarynatu. Kandydaci do pierwszego muszą jechać do Pekinu. Prócz egzaminów na mandarynów, niezmiernie trudnych i z wielką surowością i ścisłością traktowanych, egzystują najrozmaitsze inne, których całą seryę przeszedłszy otrzymuje się stopień laureata, maturzysty, uprawniający do „siadania“ do egzaminu na mandaryna. Samo jednak zdanie pierwszych egzaminów kwalifikujących na takiego, powiedzmy, bakałarza daje już znaczny wpływ i powagę pomiędzy ludem; *ipso facto* wprowadza ono młodego człowieka do cechu (*sit venia verbo*) uczonych czyli biegłych w piśmie i doktorów, a przedewszystkiem upoważnia i zmusza niejako odnośnie indywiduum do noszenia ogromnych okrągłych rogowych okularów na nosie, co powagi i znaczenia niemało przysparza.

Główny budynek, w którym się odbywają egzamina ustne, to po prostu wielka niekształtna buda drewniana, podzielona papierzanemi ściankami na części. Tak mniej więcej wygląda uniwersytet kantoński. Słowo uniwersytet zupełnie nie odpowiada istocie tego, czem jest owa, jak ją Anglicy nazywają, „hala egzaminacyjna“. Wykładów tu nigdy żadnych nie bywa; nie uczyć się, ale składać dowody wiedzy i nauki, ludzie tu przychodzą. Nauki tu może mniej niż u nas, a przynajmniej na ciałniejsze ona *quoad materiam* ograniczona koło, pracy sto razy więcej potrzeba, a zwłaszcza pracy pamięciowej; wszystko trzeba umieć na pamięć i każdej chwili z absolutną dokładnością i wiernością umieć powtórzyć, zacytować całe ustępy z autorów. Autorzy ci to przedewszystkiem Konfucyusz i cały długi szereg jego przyjaciół i uczniów. Przy egzaminie pisemnym, gdzie podobnie jak przy ustnym egzaminowany zbija lub stawia jakąś tezę, główną siłą twierdzenia, dowodu, są cytaty *in extenso* z autorów. Podręczników żadnych mieć nie wolno, cytaty więc z pamięci trzeba czerpać. Cytatę niedosłowną, za niebyłą się uważa. Owoc tej pracy, w razie pomyślnym, większy, realniejszy niż u nas, bo kto przeszedł ten egzamin, ten już z głodu nie ginie. Praktyczny zmysł Chińczyków każe im więcej uważać na rzecz, niż na formę; to też pałaców i wspaniałych auli uniwersyteckich nie znają, może rozumiejąc, że zbyt wspaniałe wschody, sale i aule, nadto by kosztowały i miejsca drogiego zabierały, a przytem myśl uczących się do roztargnienia skłoną czyniły. A chcąc być mandarynem, trzeba całą myśl, całą uwagę mózż skupić.

Co za pokusa żeby napisać tu traktat wysoce pompatyczny, o znaczeniu nauki w społeczeństwie chińskiem! Traktatu nie napiszę, bo mnie nań nie stać. Nie wiedziałbym doprawdy nawet, jak go zatytułować. Trudno jednak nie zanotować uwagi cisnącej się do głowy, jak społeczeństwo to — które my, białej rasy synowie, my Galicyanie, barbarzyńskiem nazywamy — jak ono wysoko i pod tym względem stoi, a zwłaszcza stało, zanim z jednej strony Mongolowie, a z drugiej od nich pod względem etycznym i cywilizacyjnym może gorsi, bladzi kupecy zamorscy,

nie przyszli niszczyć i demoralizować tej prastarej, dziś już przerafinowanej i nieco zwiędłej cywilizacyi. W Chinach niema człowieka, któryby nie umiał czytać i pisać, i to nie od lat 50 lub 100, ale od wielu wieków, od czasów, kiedy Europy, w dzisiejszem pojęciu słowa, znaku ani śladu nie było.

W Chinach człowiek istotnie zdolny, pracowity, uczciwy, nieposzlakowanego prowadzenia, — bo na to wszystko baczą egzaminatorowie przy egzaminach na mandarynów — człowiek taki nie ginie, nie marnieje, bo mądra instytucya mandarynów zapewnia mu przyszłość. O przymusie szkolnym nikt tu nie marzył nigdy — to też wszyscy uczą się chętnie i każdy wyrobnik umie czytać i pisać. Ale bo też przymusu szkolnego nie było potrzeba w społeczeństwie, gdzie za zasadę kardynalną postawiono, że bez nauki niczem, przez naukę wszystkim zostać, do wszystkiego, co daje wpływ i bogactwo, dojść można. Praca naukowa jako taka, a nawet sam fakt, że ktoś się uczył, studyował, już zapewnia poważanie współobywateli, bo podnosi z gminu do kasty uczonych. Przebyty egzamin na mandaryna trzeciej, drugiej lub pierwszej klasy, nietylko otwiera drogę do dostojenstw, ale daje wprost prawo do ubiegania się i otrzymania takowych, nakłada na sfery rządzące obowiązek bezzwłocznego użycia, bezzwłocznej nominacyi laureata na odpowiednie przebytemu egzaminowi stanowisko. O pochodzenie, o stosunki familijne, majątkowe, kandydata nikt nie pyta i pytać nie może; wiedza jego, powodzenie przy egzaminach, starczą za wszelkie inne tytuły. Wyjątek mógłby być tylko wówczas, gdyby kandydatowi udowodniono, że oddawał się poprzednio zajęciom uznany za bezczeszczące. Kto przy egzaminach przepadł, nie może spełniać funkcyj publicznych, choćby pochodził z najzamożniejszego i najmożniejszego rodu. W dzisiejszych Chinach, od czasu kiedy na tronie siedzi dynastya Mandżu, wiele jest od tej reguły wyjątków. Dynastyi zaborców trzeba było zapewnić sobie wierność głównych w państwie dygnitarzy; wszystkie ważniejsze posterunki, wszystkie wysokie stanowiska wojskowe, cały dwór i większość ministerstw poobsadzano Mandżurami, a Mandżury studyów nie lubią odbywać. *Inde irae*, — oto przyczyna

wielkiej rebelii w czwartym lat dziesiątku naszego stulecia, przyczyna nieustającego i wciąż rosnącego niezadowolenia, które co lat kilka wybucha jasnym płomieniem powstania. Szczęściem dla dynastyi liczba bezpośrednio i gwałtownie niezadowolonych niezbyt wielka, bo ogranicza się głównie na owych biegłych w piśmie i uczonych. Wielka masa luda wie i czuje, że czy Mandżu, czy czystej krwi Chińczyk będzie mandarynem, jednako ssaną będzie.

Napatrzywszy się do syta tej, wszystkim innem tylko nie wspaniałością zalecającej się budowy, nasłuchawszy się niezliczonych anegdotek o egzaminach, ruszamy dalej zwiedzać. Więc najpierw w małej, starej, zapuszczonej, brudnej i ciemnej świątyni jakiegoś bożka czy ducha — zegar wodny. Cztery wielkie naczynia, jedno nad drugim, połączone wąziutką ryneką; woda sączy się z jednego do drugiego, najniższe naczynie opatrzone pływakiem, u którego górnego końca umieszczona listwa mosiężna, podzielona na dwanaście podziałów głównych, a z tych każdy na ośm mniejszych. Godzina chińska, równa się mniej więcej dwom „indyjskim“, jak nam tłumaczono, czyli naszym — stąd kwadransów ośm. W miarę przyływu wody, listwa się wynurza i mierzy czas. Dalej wiodą nas do pagody poświęconej bogom wojny i nauk. Mars i Apollo z Minerwą, podobni do owych na drzwiach uniwersytetu wymalowanych. Bożek mądrości, która w Chinach jest męskiego rodzaju, musiał za życia dużo alkoholu używać. Pagoda ogromna, bo czteropiętrowa, drewniana — nic pięknego ni ciekawego; za to widok z 4-go piętra wspaniały, bo sama pagoda już na pagórku wśród fortów miasta. Z jednej strony ogromny cmentarz, miasto umarłych, na kilkanaście kilometrów po pochyłościach przyległych pagórków rozrzucony; z drugiej strony miasto żywych, Kanton, nastroszone na niewielkiej przestrzeni. Tu ciekawy, w oczy bijący ma się dowód, jak Chińczycy się umieją cisnąć, byle miejsca oszczędzić. Miasto liczące, jak mówią, między 1,200.000 a 1.600.000 mieszkańców, na rozległość, według naszych pojęć, nie powinno więcej jak 200.000 ludu mieścić. To jedna z cech charakterystycznych czystej krwi Chińczyków południowych, tem różnych od współziomków Mandżu-

rów i północnych Chińczyków, których miasta na całe mile kwadratowe się rozciągają. Ale zdaje mi się, że to klimat głównie na to wpływa, boć i w Europie i reszcie Azji i Afryce, czem gorętszy klimat, tem ludzie gęściej budują, tem ulice węższe, bo cienia potrzeba.

Napoiwszy się widokiem i zmęczony dokumentnie mstr. Alabaster'a, konsula angielskiego, który nam wszędzie towarzyszył, ruszyliśmy pokrzepić ciało w dawnym *Yamen* angielskim, czyli dawnej rezydencji konsulów angielskich, leżącej wśród miasta. Anglicy uważali, że lepiej jednak przenieść rezydencję do Koncesyi europejskiej, za ów kanał i bramy żelazne, bo za blizkie sąsiedztwo z Chińczykami bywa niebezpieczne. Ogród w tym opuszczonym *Yamen*, ogromny; najciekawsze, to owo tak czysto chińskie wejście do samegoż budynku, w formie kolistego otworu w murze, nieczem i nigdy nie zamykanego. Pokrzepiwszy ciało doskonałem śniadaniem, po rozmowie niezbyt świetnej, bo Alabaster mówi cicho i niewyraźnie, minister nie słyszy, a ja nie rozumiem — ruszyliśmy dalej zwiedzać. Więc znowu wśród tysięcy przechodniów, w coraz węższe i ciemniejsze zapuszczamy się uliczki! Po chwili, obszerniejszy plac, brama w ogromne figury malowana, zdobna — to pagoda. Tym razem pagoda arcyciekawa, bo Buddzie poświęcona.

Zauważyć tu muszę, że aczkolwiek Chińczycy są buddyistami, nie przeszkadza im to mieć całej kolonii najrozlicniejszych duchów, półbożków, których działanie (są niesłychanie za-bobonni) wszędzie widzą i konstatują — a chcąc z nimi jak najlepsze utrzymać stosunki, palą im na każdym kroku smrodliwe kadzidła, puszczają hałaśliwe petardy i stawiają nie stylem, ale ilością i rozmiarami imponujące pagody. Tutaj pierwsza pagoda Sakyi poświęcona. Sam Budda inny niż w Indjach (Cejlonie) i Syamie, inaczej wygląda, — i choć siedzi z założonemi po tu-recku nogami, inaczej je trzyma, nie ma tej istotnie często imponującej powagi, co Buddowie syamscy. Przed figurą Buddy mały ołtarzyk, a nad nim, rozmiarów naturalnych, figura Konfucjusza. Z ogromną ciekawością przyglądam się tej postaci, której rzadko potem, dotąd nigdy, w świątyniach nie spotyka-

łem. Postawą do samego Buddy nieco zbliżony, siedzi jak tamten, tylko z ruchu rąk i głowy widać, że coś mówi, wyklada. Długie nieproporcjonalnie wąsy, zwisłe po dwu stronach ust, coś w rodzaju czupryny warkoczem zakończonej, odróżniają Konfucjusza na pierwszy rzut oka od wszystkich innych mieszkańców Olimpu chińskiego.

Ale nie to jeszcze główna osobliwość świątyni. Nazywają ją „pagodą pięciuset geniuszów i duchów“. Przed głównem *atrium*, gdzie w półcieniu, zakryci zielonym welonem muślinowym, siedzą Budda i Konfucyusz, wielka sień, w niej ściankami drewnianymi od siebie oddzielone krużganki, w których przesiaduje całe wojsko, bo istotnie sztuk 500, owych rozmaitych półbożków (jeżeli ich tak nazwać wolno). Najróżnorodniejsze typy są tu przedstawione, nie wyłącznie chińskie. Są młodzi i starzy i dzieci, a nawet, o ile pamiętam, i kilka kobiecych figur; wszystkie siedzące, każda o innym wyrazie twarzy, każda inna. Wszystkie z drzewa czy cegły, grubo złożone. Wielkość głów więcej niż naturalna, tułowiy, ręce i nogi mniej więcej naturalnych rozmiarów. Kto je tu postawił, nie zdołałem się dowiedzieć, bo nasz pan konsul tego nie wiedział, mimo że Anglik, mimo że lat 50 — a może i dlatego — w Chinach siedzi. Mówię: mimo że Anglik, bo Anglicy przecież coś wiedzą! Niemcykupy zasadniczo nic nie wiedzą, o nic nie pytają. Jedno tylko wyjaśnienie dał mi pan Alabaster, arcyciekawe, i z prawdą zgodne. Twierdził on, że owe 500 figur, przedstawiają tyleż rozlicznych indywiduów, które sportretował artysta w chwili, kiedy każdy z nich wołał: *heureka* — „znalazłem, zrozumiałem — zrozumiałem, co jest najwyższa mądrość, najwyższe dobro, przejrzałem, i pojąłem naukę wielkiego Buddy! jak on, doszedłem do klucza ogólnej, najwyższej, jedynej mądrości“. Tak sobie rzecz tłumacząc, ogląda się te lalki złożone z wielkim interesem, bo istotnie każda w inny, każda w bardzo naturalny, prawdziwy sposób swoje zadowolenie ze zdziwieniem, raczej z podziwem, nieraz przestrachem połączone, jasno ruchem ręki, wyrazem twarzy, postawą całą objawia! Jest to czysto wschodnio-

azyatycki artyzm, 500 razy w rozmaity sposób, według rozmaitości indywidualów, przedstawić tę samą chwilę, to samo wrażenie. W swoim rodzaju arcydzieło.

Kanton, 15 lutego.

Wczorajsza pagoda była ciekawa; ale z niej przeszliśmy do jeszcze ciekawszej części naszego programu — do więzień! Niestety! tyle, tak pięknie, jak Hübner, o tym temacie powiedzieć z własnego doświadczenia nie mogą. Wolę ograniczyć się do podania paru ustępów z jego opowieści. Nam nie pokazano ani połowy tych ciekawości, bo nasz pan konsul, Alabaster, świętem obrzydzeniem pała do tego zakładu; nie chciał nawet wejść z nami do środka. Zresztą dziś już inaczej, niż przed laty 18-tu, gdy Hübner zwiedzał Kanton. Dziś Chińczycy nie chcą, by biali wiedzieli, jak z podsądnymi postępują; przekonali się, że biali nader nerwowo biorą te rzeczy, że w niebogłosy krzyczą z przerażenia na widok ich „średniowiecznych“ zwyczajów; wolą więc oszczędzać im tego widoku — i niechętnie szczegóły tej świątyni sprawiedliwości pokazują. Samo więzienie — to wysokim, obdartym, jak tu wszystko, i brudnym murem obwiedziony szereg małych, niepokaźnych, od brudu, kału i wszelkiego rodzaju obrzydliwości kapiących bud i budek, klatek, szop. Leży ono wśród miasta, na zewnątrz niczem się nie zdradza. Wąziuchne wrota, zbite z wielkich, bambusowych belek, zamykają je na zewnątrz. Jeden, drugi niski przedpokój — jakieś ciupy cuchnące, bez powietrza i światła — to dopiero mieszkanie stróżów więziennych. Dalej znowu takąż bambusowa furta i dziedzińczyk niewielki, w środku jakiś rodzaj budki czy altanki, brudnej i prymitywnej, jak wszystko. Po bokach dziedzińczyka szopy, lichym dachem i dziurawymi ścianami z desek zamknięte — to właściwe więzienie. Ale cóż za indywiduala na nasz widok z tych nor wylażą? Boże przemień! Wynędzniałe, brudne, po większej części widocznie zagłodzone. Niektórzy tylko silniejsi, zdrowo i silnie, choć nie czerstwo wyglądają; ale wyraz oczu, twarzy, u wszystkich ten sam; a choć okropny, nie gorszy zdaje mi się od tego, jaki się na

pewnych twarzach, w niektórych częściach wielkich miast, widuje. Jeden z nich stoi, zbrojny w ogromną bambusową maczugę, zdawał się namyślać, czy spróbować jej na naszych karkach i plecach. Nasza eskorta, jakoś sama siebie niepewna, porywa nas po prostu między siebie i gwałtem wyprowadza, tłumacząc, że nie dozwolono dłużej pozostawać.

Z więzienia prowadzą nas do sali sądowej. Znowu ogromnemi wrotami, przypominającemi wrota świątyni, zamknięta, kryje się przed okiem ciekawych. Sala z trzech stron tylko ścianami zamknięta, z czwartej brama, po jej bokach przejście, niczem nie kryte. Tron sędziego naprzeciwko wejścia; jego biuro pod haftowanym portretem cesarza i bożka jakiegoś. Ściany przykryte purpurową jakąś materyą, przed biurkiem stoją parasole czerwone, darowane przez ludność sędziemu w uznaniu jego zasług, które złotemi zgłoskami na parasolach wydrukowane. Delinkwent stoi a raczej klęczy pod gołym niebem. W drugim przyległym pokoju widzę zdala ową kolekcję fajek sędziego, o której Hübner wspomina; ale cóż, kiedyśmy przyszli nie w porę; wszystko teraz puste, spokojne, tragedyi nawet w powietrzu nie czuć, a ja przyszedłem tak tragicznie usposobiony, z góry przerażony tem, co zobaczę. Szczególna rzecz! to okropności — a jednak ciekawość lechtają! Kto chce mieć dzisiaj dobre wyobrażenie o więzieniu chińskiem, ten niech więzień nie odwiedza — byłoby to napróżno — ale niech Hübnera czyta. Dla pamięci warto choć parę ustępów z Hübnera zanotować.

Na rozkaz wice-króla otwierają nam wielkie więzienie — powiada Hübner. Jest to wielki prostokąt podzielony na kilka mniejszych, otoczony wkoło podwójną galeryą. Galerya czy korytarz wewnętrzny, o mnóstwie mniejszych i większych sal i cel, to część męska; korytarz zewnętrzny, to więzienie dla kobiet. Dziedzińce, leżące na wewnątrz owego podwójnego korytarza, jak istne bydło zalegają więźniowie. Większa ich część przeznaczona na stracenie przy następnym terminie; jak wiadomo bowiem, w Chinach, z wyjątkiem wypadków nadzwyczajnych, egzekucyje odbywają się tylko na wiosnę i jesienią. W Kantonie bywa to rodzaj istnej rzezi. Pomędzy więźniami, dwa typy od razu

w oko wpadają: jedni uginają się pod ciężarem kajdan, zda się, że lada chwila ducha wyzioną, drudzy z miną gęstą, z hardym, oburzającym prawie spokojem je dźwigają. Sądząc z ich fizyognomij, najbezpieczniejszych i najohydniejszych, jakie spotkać można, między tymi nieszczęśliwcami niema niewinnych, a choć może który z nich był nim, przez kontakt zresztą stracił wszystko, co ludzkiego i uczciwego w nim było. I nie dziw, ta atmosfera, ta ciągła styczność ze zbrodnią i występkiem, musi stłumić wszystkie uczucia szlachetne i ludzkie. Jeden z nich powiedział mi: „Jestem oskarżony o morderstwo, ale przeczę temu, bom niewinny“. Stróż więzienny, który nas oprowadzał, uśmiechnął się tylko — a od czegoż tortura? myślał zapewne. Młody jakiś człowiek wlepia w nas swe oglupiałe oczy idyoty. W 15 roku życia otruł swego nauczyciela; kodeks chiński stawia tę zbrodnię na równi z ojcobójstwem. Ponieważ był nieletnim, więc go nie ścięto. Rokrocznie ojciec, pochodzący z zacnej i szanowanej rodziny, przedkłada prośbę o ułaskawienie tego biedaka do wicekróla; wice-król posyła prośbę do Tsungli-yamenu, stąd idzie sprawa przed cesarzową-regentkę; ułaskawienia odmawiają — trwa to już lat kilka.

Wchodzimy do jednej z sal (powiedzmy: wielkich nor) w chwili obiadu. Więźniowie, jak istne dzikie zwierzęta, zgłodniiali, pożerają to nędzne pożywienie, które im zarząd więzień daje. Porównać tę scenę z chwilą żywienia dzikich bestyj w menażeryi, byłoby doprawdy zbyt wielką ujmą dla menażeryi. Za potężną kratą bambusową, w ciemnej, wilgotnej jakiejś izbie, skazani na straszną torturę kangi. Wszystko tu jęczy, płacze, wzdycha. Jedni leżą, drudzy stoją opierając się o mur; każdy szuka miejsca, pozycyi mniej przykrej. Kilku chodzi w kółko. Wszyscy nieustannie się ruszają, szukając tego, czego nigdy nie znajdują — spokoju. Za nadejściem naszym zbliżają się do kraty. Cóż za spojrzenie tych biedaków, ileż w niem rozpacz, nienawiści, chęci zemsty — tak chyba tylko potępieńcy patrzeć mogą.

Z niektórych kaźni, zupełnie ciemnych, słychać wrzaski i ryki okropne z akompaniamentem brzęku kajdan i głuchego, suchego trzasku uderzeń bambusowych palek. W małej, stosun-

kowo schludnej izdebce, siedzi kilku jegomości przy obiedzie. Usługują im ich własni słudzy. To uprzywilejowani, szczęśliwi podsądni, którym się udało za bająnskie sumy dostać osobną celę. Mandaryn, dyrektor zakładu więziennego, ciągnie stąd główny swój zysk, jemu bowiem przysługuje prawo, za odpowiedniemi, przez niego naturalnie ustanawianem wynagrodzeniem, przyzwalać na takie wyjątkowe umieszczenie więźnia. Obok jest nawet sala gry. Bank trzyma powiernik dyrektora, który, w tem wierny zasadzie praktykowanej i za jedyną uznanej przez cały stan mandaryński — ciągnie zyski, jak i skąd tylko można.

Jak zawsze i wszędzie, część męska pod względem okropności niczem w porównaniu z żeńską. To istna bezdeń ohydy. Czego geniusz Dantego ledwie się domyślał, to tu w nagiej prawdzie i rzeczywistości widzieć można. Kobieta upadła, niżej zwykle upada niż mężczyzna, bo z daleko wyżej spada. Wszystkie moralne i fizyczne okropności, jakich wymarzyć nawet nie można, są tu reprezentowane. I w tym kale, w tem bagnie, obok najpotworniejszych zbrodniarek, marnieją żony i córki, nieraz młodziuchne dziewczęta, jako zakładniki za mężów i ojców, którym się udało umknąć przed wyrokiem sprawiedliwości. Przed wejściem, kilka żywych jeszcze szkieletów w nienaturalnych pozach, na rękach i na nogach kajdany; na piersiach umieszczony napis tłumaczy, że te nieszczęsne istoty na publiczne pośmiewisko są za karę wystawione. Straszny zaiste to przedmiot publicznej wesołości!...

Jeżeli takie są więzienia, to jak musi wyglądać procedura sądowa?

Koło sędziego, który siedzi za stołem — na prawo pisarz, na lewo tłumacz, obaj stoją. Naprzeciwko, parę kroków od stołu, miejsce dla oskarżonych. Po obu stronach 5-ciu czy 6-ciu podrzędnych urzędników sądowych. O ścianę oparci stoją kat i jego pomocnicy; koło nich narzędzia tortur napół rdzą zjedzone. Wszystko to czeka na dany znak, by wziąć w obroty oskarżonego. Zresztą nikogo, ani jednego widza. Ani sędzia, ani reszta personelu sądowego na nas nie uważają, owszem udają, że nas zupełnie nie widzą.

Sędzia, między czterdziestką a pięćdziesiątką, blady, wysmukły, o kocich oczach, z ogromnemi okularami na nosie, wyrazie wstrętnym, ubrany po prostu, ale bardzo starannie, paznogie naturalnie długości szponów, na pierwszym palcu u prawej ręki ogromny sygnet z zielonego żadu (kamień z gór Tybetańskich, bardzo w Chinach ceniony). Całość tej figury raczej imponująca, czeigodna nawet, ale ohydna. Minos ten chiński, zatopiony w dwóch zeszytach przed nim leżących, czerwonym i czarnym atramentem pisanych, ani na chwilę oczu od tej lektury nie odrywa. Za nim jego słudzy; co chwila jeden z nich podaje swemu panu popod ramię fajkę; sędzia pociągnie raz, dwa razy i dosyć. Wielki pan chiński nigdy dłużej ani więcej naraz nie pali; ale za to powtarza się ta operacya co 5 do 8 minut. Sędzia, rodowity Kantonczyk, rozumie doskonale narzecze południowe, jako dostojnik jest jednak obowiązany rozumieć tylko język mandarynów, narzecze północne; stąd potrzeba tłumacza; nigdy się on sam do indagacyi nie miesza. Indagują pisarz i tłumacz, a tylko od czasu do czasu sędzia paru słowami, cichutko powiedzianemi, udziela wskazówek, kieruje indagacją. Audytoryum milczy milczeniem grobowem. Sam widok tego sędziego musi przerazić — nie ludzkiego w tej spiżowej twarzy — ani śladu jakiegoś choćby cienia litości lub miłosierdzia. Zresztą daremnie szukać tych uczuć po twarzach innych obecnych.

Wprowadzają a raczej wnoszą w koszu jakiegoś biedaka więźnia. Nie dalej jak wczoraj na tem samem miejscu poddano go indagacyi, przyczem mu potrzaskano kostki u nóg. Dziś z człowieka została tylko kupa skóry i kości; nie jest on w stanie odpowiadać, widocznie życie z niego ulatuje; więc na znak sędziego zabierają go.

Wprowadzają młodego człowieka, zakutego w kajdany. Widocznie z najniższych warstw ludności pochodzi. Klęka przed sędzią; bo podsądni przed sądem zawsze klęczą tutaj. Strach i podstęp widoczne na tej twarzy, gdzie zbrodnia i występki zostawiły już niestarte ślady. Po zwykłych zapytaniach o nazwisko, pochodzenie i t. d. oskarżonego, o jego ojców i dziadów, mówi mu tłumacz: „Tyś skradł 16 dolarów?“ Oskarżony przeczy

stanowczo; na znak sędziego, zbliża się kat. Na widok kata strach ogarnia biedaka. Zaczyna się przyznawać. Prawda że ukradł, ale bo głód dokuczał, trzeba było ryżu kupić. Więc gdzieś ukradł? czy przypadkiem nie w tej a tej ulicy, gdzie popełniono taką a taką inną zbrodnię? Być bardzo może, ba nawet wszystko za tem przemawia, że tamtą zbrodnię, owo morderstwo, nie kto inny tylko tyś popełnił! Tu oskarżony blednie jak ściana, zaczyna się mieszać, płakać, błagać o litość sędziego — przeczy jednak. Tłumacz, dotąd atakujący swą ofiarę gwałtownie, widocznie chcąc ją przerazić, oszołomić, zmienia nagle ton, robi się słodki: Na cóż przeczyć mój synu! przyznaj się a będziesz nam wdzięczny. Zdjąć mu kajdany — kat je zdejmuje — a teraz moje dziecko, powiedzże nam, jak to było. Ale to dziecko nie głupie, nie daje się tak łatwo złapać, i zaczyna się między tymi dwoma ludźmi walka zażarta, walka na bezczelność, kłamstwo i podstęp: jednemu chodzi o życie, drugiemu o reputację wprawnego inkwizytora. Dziwny doprawdy kontrast między tonem przymilającym się, słodkim inkwizytora, jego twarzą ziejącą nienawiść, a coraz okropniejszym, śmiertelniejszym strachem na twarzy podsądnego. *Summa summarum* podsądny nie przyznaje się do winy; niema sposobu wydusić przyznania się z niego; więc znowu na znak sędziego, rzuca się kat z oprawcami na niego, rozciągają go, obdzierają z odzieży, kat siada na piętach leżącej ofiary, i zaczyna, głośno licząc, bić długim kijem bambusowym. Najmniej ze 100 palek mu wsadził. Ryku bitego, kto go raz w życiu słyszał, więcej go nie zapomni. Po kilku minutach przestał krzyczeć. Z człowieka została tylko nieruchoma masa cielska. Niesposób zaraz dziś przejść do następnego stopnia inkwizycji, tj. gruchotania kostek. Wynoszą go więc.

I tak dalej i dalej, a coraz okropniej, już nie w Hübnerze, ale np. w kilku, na tle chińskich stosunków osnutych romansach angielskich i francuskich, czytać można. Zresztą nie trzeba romansów. Dość posłuchać opowiadań misjonarzy. Co drugi z nich, zwłaszcza jeżeli żył nieco głębiej w kraju, widział transporta więźniów często tylko podejrzanych. Po trzech lub czterech razem skutych, lub za włosy powiązanych, wiozą w klatkach

drewnianych całemi tygodniami, nim z miejsca, gdzie zbrodnię popełniono, dostaną się do siedziby trybunału, mogącego im sprawiedliwość wymierzyć. Że połowa ginie w drodze, druga połowa waryuje, a to co przyjedzie istotnie przed trybunał tylko napół żywe — czyż warto dodawać? — A jednak zdaje mi się, że nawet wobec tych okropności, trudno nie postawić sobie pytania: jak mogłoby się to społeczeństwo ostać, gdyby nie było tej istotnie okrutnej surowości, i w następstwie tego panicznego strachu przed sprawiedliwością? gdyby za najmniejsze przewinienie nie karano śmiercią, nie torturowano, nie katowano? W społeczeństwie, gdzie w gruncie rzeczy wszystkim, alfą i omegą, jest interes osobisty, egoizm, gdzie wszystko się do tego interesu naginać musi, gdzie ogromna większość tej 500-milionowej ludności Niebieskiego państwa, mimo że pisać i czytać umie, jest w duszy dziką, powodującą się przeważnie tylko namiętnością, materyalnemi żądzami, nie zmiękczoną wpływem religii — w społeczeństwie takim, co może jaki taki ład utrzymać? Co zdoła pohamować zapędy gniewu, nienawiści, zazdrości, głodu?...

Czytając lub słysząc o kombinacyjnych traktatach filozofów chińskich — a każdy wykształcony Chińczyk filozofuje — o wierszykach zgrabną ręką u dołu fantastycznego krajobrazu, wyglądającego z poza gałązki kwitnącej jabłoni, wypisanych, o pełnych świetlanych alegoryj wierszach, które ojciec dla córki, syn dla matki, narzeczony dla narzeczonej, przyjaciel dla przyjaciela, każe z okazji święta jakiegoś, jasnemi jedwabiami i złotolitanicią na jedwabiu i atłasie wyszywać — mimowoli dziwić się trzeba, że w tem samem społeczeństwie, ten sam może autor niewinnej, dziecinnej, rzewnej poezyjki, którą wczoraj pannie I. lub O. ofiarował, dzisiaj każe 100 pałek bambusowych wyliczyć jakiemuś nieszczęśliwcowi tylko dlatego, że tenże nie chce się dobrowolnie do zbrodni przyznać. Zdaje mi się, że aby wytłumaczyć ten fenomen, ten dziwny aliaż egzaltowanych, jakichś księżycoworóżowawo-chmurkowatych uczuć, i barbarzyńskiego okrucieństwa, trzeba by wziąć pod uwagę inny zupełnie od naszego ustrój nerwowy wschodnich Azyatów i inne pojęcie sprawiedliwości —

jedno i drugie tłumaczy się niedostatkiem ich religii. Zasadą — o ile wiem — chińskiego wymiaru sprawiedliwości, jest z jednej strony: *percat mundus fiat iustitia*; z drugiej: niech stu niewinnych zginie, byle jeden winny bezkarnie nie uszedł. Z chwilą popełnienia zbrodni jakiegokolwiek, sprawiedliwość upersonifikowana w osobie sędziego, na którego terytorium ową zbrodnię popełniono, czuje się w obowiązku zmazania, zadośćuczynienia zbrodni bądź co bądź, i póty nie ma spokoju, póty nie spocznie, póki kary nie wymierzy. Czy teraz ta kara padnie na prawdziwego winowajcę, czy przypadkiem na kogo innego, to rzecz drugorzędna; aby wyższe sfery i opinię o tem przekonać, wystarczy, żeby akta sądowe wykazały dostateczną ilość wymierzonych pałek, połamanych kości i t. d. Główna zaś rzecz, o którą w Chinach chodzi, to żeby za zbrodnią szła nieuchronnie kara — oraz, żeby reszcie ludności dać zbawienną przestrożę i napędzić zbawiennych refleksyj. To też gdy ścinają głowy, to zawsze publicznie, w pewnych, zwyczajem uświęconych miejscach. Głowy skazańców wiszą tak długo, dopóki nie zgniją i same nie opadną. Gdy schwytają np. złodzieja, a w dodatku ten złodziej ma też nieszczęście pochodzić dajmy na to z przedmieścia, miasteczka, części miasta, złej używającej opinii, *alias* znanej z częstych kradzieży, wówczas po całych nocach przy świetle pochodni oprowadzają owego schwytanego lubownika cudzej własności; z przodu idzie człowiek z dzwonem (t. zw. *gongiem*), z tyłu kat; przy każdym drzwiach każdego domu winny dostaje jedno uderzenie pałki bambusowej; naturalnie krzyczy w niebogłosey. Kto żyje wylega na ulicę i tak uczy się kodeksu karnego.

Tym sposobem to społeczeństwo, tak wysoce ucywilizowane i oświecone, egzystuje!

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Anioł Eucharystyi, czyli żywot Maryi Eustelli. Przez *ks. K. M. Mayet*, z Towarzystwa Maryi. Przetłumaczyła z francuskiego *M. K. Kraków*. Nakładem Księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej.

„Słynny geometra starożytności wołał: „Dajcie mi punkt oparcia, a poruszę ziemię”. Gdy Bóg chce świat poruszyć, punktem oparcia, którym się posługuje na ziemi, bywają Święci wybrani Jego. Czy nosi ła chmiany jak Benedykt Labre, czy szpadę jak Marceau lub Sonis, czy ma sobie poruczone duszpasterstwo jak proboszcz z Ars, czy igłę trzyma w ręku, jak Marya Eustella, Święty dalej prowadzi dzieło Chrystusowe”. Z książki, której tytuł wypisaliśmy powyżej, a którą naszym czytelnikom gorąco zalecić pragniemy, wyjmujemy przytoczone słowa, uznając ich słusność, uznając przedewszystkiem wielkie znaczenie Świętych Pańskich w orientacyi świata i w dziejach ludzkości. Zaslugą wobec nieba, wpływem ukrytym czy jawnym na mieszkańców ziemi, dobrą wonią cuót swoich, stanowią oni siłę najwyższą, nie przestają być solą ziemi i jej skrzydłem, osłaniającem przed zasłużoną karą, a zarazem unoszącem ludzkość w błękity. Dla kilku sprawiedliwych, Bóg nawet Sodomie chciał przebaczyć, dla modlitw jednego Mojżesza, przechyliła się szala zwycięstwa na stronę Izraela — tak potężną wartość w oczach Pana mają cnoty Świętych, i Świętych też wołania. Nie zwątpić nam tedy o Francyi, roztoczonej na pozór tyłoma truciznami ducha, dopóki w jej łonie dojrzewają wybrani, dopóki z jej urodzajnej ziemi wyrastają Święci. Może nie brak takowych i w innych

krajach, nie zdolnych wszelako na razie ustalić pamięci swoich miłych, zaczem wietrzeje woń ich cnoty, zacierą się wspomnienie ich zasługi, a kurzawa zapomnienia osiada na najdroższych mogiłach. We Francyi przeciwnie, nie dają nigdy zginąć świętej pamięci wybranych, chowają ze czcią osobliwą pisaną ich spuściznę, chwytają w lot żywą tradycyę, zanim takowa zaniknie z odejściem współczesnych, i stawiają wczesne pomniki biograficzne, pełne ciepła i świeżego uczucia, na grobach co dopiero zamkniętych. Roznosi po świecie jad swego zepsucia rozszalała literatura francuska, ale też szerzy ona kordyały dobrych przykładów, budujących życiorysów, uszlachetniających i uświęcających wydawnictw. Corocznie witać nam stamtąd przychodzi liczne monografie dusz wybranych, z których niejedną przyswojono już naszej mowie i piśmiennictwu, umiejętnie dokonanyim przekładem.

Tym razem znalazł się staranny tłumacz dla życiorysu *Maryi Eustelli*, „Anioła Eucharystyi“, jak ją powszechnie nazywano ze względu na jej osobne, gorące nabożeństwo do Sakramentu Ołtarza. Uboga szwaczka z Saint Pallais, urodzona w roku 1814, zmarła w r. 1842, w ciągu krótkiej swej ziemskiej pielgrzymki podniosła się na wyżyny mistycznych zachwyków i ślubów z przedmiotem czci swojej i miłości. *Marya Eustella Harpain* zaledwie czytać umiała, przypadkiem tylko opatrnościowym pisać się nauczyła, na to, aby rozgrzewać dusze ogniem rozpierającym własne jej serce, aby korespondencyą swoją rozszerzyć i rozpalić cześć dla utajonego w ołtarzach naszych Zbawiciela. Niniejszy tom, dochodzący do pięciuset przeszło stronic bitego druku, urósł przeważnie z listów, z zapisków ubogiej dziewczyny, którą sobie Pan Jezus wybrał na Oblubienicę, rozmiłowaną w Najświętszych Tajemnicach. Biskup z La Rochelle, późniejszy kardynał Villecourt, wyróżnił wczesnie tę uprzywilejowaną owieczkę trzody swojej i podziwiając cuda w jej prostej duszy, sprawione miłością, dał pochop do zebrania szczegółów i wiadomości z jej życia, do przygotowania bodaj materiału dla prawdopodobnego procesu kanonizacyjnego, który prędzej czy później postawi ubogą szwaczkę obok promotorki uroczystych hołdów procesyi Bożego Ciała, błogosławionej *Julianny Korneliońskiej*. Mnogie łaski wewnętrzne i uzdrowienia, otrzymane za przyczyną *Maryi Eustelli*, pozwalają wnosić, iż w Bożych zamiarach tkwić musi wyniesienie swej miłośnicy do czci ołtarzy. A tem samem jej życie i pisma niezawodnie wpływają na rozwój i przyrost nabożeństwa do Najświętszego Sakramentu, które za dni naszych się najwyraźniej znaczą, żeby tylko wspomnieć upowszechniającą się adoracyę nieustającą we dnie i w nocy, częste

komunie wiernych, praktyki wynagradzające, a nareszcie owe kongresy eucharystyczne, coraz to na innych zwoływane miejscach, które mimo swej przewodniej cechy mistycznej, i doczesny wpływ gotowe wyrzucić na rządy świata. Najbliższy taki kongres ma się odbyć z wiosną b. r. w Jerozolimie, i głównie się zaprzętać przy grobie Zbawiciela jednością i zjednoczeniem Kościołów, nawołując Wschodni do ukorzenia dumnego czoła, dumniejszego serca przed Piotrowym następcą. Kto odgadnie, ile jest zasługi Maryi Eustelli w tych doniosłych zebraniach eucharystycznych, w święconych za dni naszych tryumfach Sakramentu Ołtarza, przyciągającego ku sobie coraz liczniejsze i gorętsze wiernych dusz zastępy? Głęboki myśliciel chrześcijański, August Nicolas, wysoko cenił pisma prostaczki z Saint Pallais, i upatrywał nadprzyrodzone cechy w pismach przez nią zostawionych. „Te pisma, wyszłe z pod pióra młodej robotnicy, wśród cierpienia i zmęczenia kreślone, odsłaniają nam duszę prawdziwie nadludzką, wyższością umysłu i miłością ku rzeczom Bożym. Nie lękajmy się powiedzieć, że prostotą, ścisłością, podniosłością, poprawnością, szczytnością nawet myśli, uczuć i stylu, te pisma przypominają Fenelona, a podnoszą się czasem aż do wyżyn Bossueta“.

Do świadectwa takiego męża i umysłu, jakim był Nicolas, nie nam chyba dodać nie trzeba, niczem więcej nie potrzebujemy zalecić niniejszą płomienną książkę miłośnikom Najdroższego Utajonego. Tłumacz wywiązał się znakomicie ze swego zadania, składając dowód nie tylko gruntownej znajomości obu języków, francuskiego i polskiego, lecz nadto i biegłości w mistycznym języku, który stanowi osobną mowę we wszystkich świata narzeczach. Staranne wydanie, druk piękny, portret Maryi Eustelli pelen pobożnego wdzięku, uzupełniają dodatnio zachody tłumacza, którego trudy w przyswojeniu naszym bibliotekom duchownym pięknego dzieła ks. Klaudyusza Mayet, sowiec wynagrodzić nie omieszka Oblubieniec Maryi Eustelli, zamieszkujący w ołtarzach naszych.

M.

O pokucie i Komunii św. w siedmiu Kazaniach wielkopostnych. Przez ks. A. Wilczkiewicza. Nowy Sącz. 1892. Nakładem autora. Drukiem J. K. Jakubowskiego. (Str. 61).

Mamy przed sobą skromną rozmiarami książkę, bo tylko siedm kazań obejmującą, ale jej niepospolitą wartość podnosi zaraz na wstępie zaszczytna pochwała biskupiego Ordynaryatu w Tarnowie, wy-

mieniająca, iż autor osnuł swą pracę wiernie na orzeczeniach soboru Trydenckiego. I rzeczywiście, dziełko to na polu naszego kaznodziejstwa, za zbyt czyste uważanem być nie powinno, skoro się ma przekonanie, jak ważną jest i nauka i zrozumienie dokładne warunków dobrej spowiedzi i jak to trudno nieraz znaleźć systematycznie ułożony podobnych nauk podręcznik. Kazania te, napisane ciepło i barwnie, przeprowadzają przystępnie i z logiczną ścisłością prawdę o potrzebie nawrócenia się, o warunkach pokuty i Komunii św. Co w każdym kazaniu przyjemnie uderza i nadaje mu wartość praktyczną, to jasny a naturalny podział, to piękne porównania i obrazy, trafne cytaty z Pisma św. i Ojców Kościoła. Idąc krok w krok za Rzymskim Katechizmem, autor na podstawie jego orzeczeń objaśnia warunki pokuty, a czyni to tak lekko i gładko, iż jest w stanie zająć i pouczyć. Mocno jesteśmy przekonani, iż nie zawiodą autora nadzieje, że temi kazaniem odda miłą a pożyteczną przysługę współbraciom, którzy, możemy to śmiało zaręczyć, znajdują w nich dobry i już należycie przygotowany materiał do nauk wielkopostnych. Z tego, co autor w tej pracy okazał kaznodziejskich zdolności, cieszyć się nam tylko wypada i zachęcić, by na tem polu pracował dalej; o ile nam wiadomo, pierwsza to dopiero jego praca, ogłoszona drukiem, ale już z tej pracy wnosić nam wolno, że i inne tego rodzaju, gdyby się je autor odważył w świat puścić, mile będą widziane i nie bez korzyści dla drugich pozostaną. Co się tyczy formy, drukarnia p. Jakubowskiego w Nowym Sączu tak starannem wydaniem książek tylko pochłubić się może i zasłużyć sobie na prawdziwe uznanie.

Ks. A. Boc.

Barbara Brezianka. Obrazek z XVII. w. Przez *Aleksandra Kraushara*. Warszawa 1892.

Samozwaniec Jan Faustyn Łuba. Kartka z dziejów panowania Władysława IV. Przez *Aleksandra Kraushara*. Warszawa 1892.

Autor „Drobiazgów historycznych“ dorzucił do cyklu swych opowiadań dwa nowe w tytule wymienione obrazki. Na napisanie pierwszej z tych monografij, naprowadził autora końcowy ustęp satyry Opalińskiego: „Na zepsowane stanu białogłowskiego obyczaje“, w którym wojewoda poznański skarży się na upadek moralności kobiet, twierdząc, że:

... druga i za pieska kochanego, kiedy
Zachoruje, dałaby żywot męża swego,
Gdyby na okup przyszło. Krótko powiem a w dar:

Nie trzeba tylko jedną wziąć naprzykład babę,
Której się imię od Bre zaczyna, a dosyć
O złości białogłowskiej dosyć i namienić.

Materyał do skreślenia tego opowiadania znalazł autor w aktach kryminalnych, objętych księgami relacyj poznańskich, i w aktach sejmowych archiwum głównego. Sprawa Barbary z domu Brezianki, oskarżonej o zamordowanie trzeciego swego męża. Obornickiego, i otrucie teścia, ciągnie się przez lat z górą czterdzieści, zaprzatając obrady sejmowe i wywołując liczne kolizye między trybunałem a sejmami. Z nagromadzonych dokumentów, dotyczących tej sprawy, nie wyciąga autor wniosków, nie rozstrzyga, czy słusznem było potępienie oskarżonej przez trybunał koronny, a następnie uniewinnienie jej ostatecznie przez sąd sejmowy, lecz treściwie i przedmiotowo podaje przebieg tej zagadkowej sprawy. Energiczny i samodzielny charakter Barbary, skreślony dokładnie przez należyte i obrazowe ugrupowanie faktów, które same przez się rzucają jasne światło na sprawę Barbary Brezianki, jak niemniej na ówczesny stan sądów Rzeczypospolitej, uwydatniając zarazem skłonność do pieniactwa, jako dziedziczną wadę szlachty polskiej.

Równie interesującym, choć mniej szczegółowem i jasnym, jest drugie opowiadanie. Nazwisko Łuby dostało się do dziejów sejmu z r. 1646, a stąd i do historii całkiem przypadkiem, gdyż sama osobistość bohatera nader bierną odegrała rolę. Zbieg okoliczności sprawił, że ojciec Jana Faustyna Łuby nazywał się Dymitr, a matka Maryna. Szlachta, skłonna do żartów i pełna rubasznego humoru, przeważała stąd Łubę Dymitrowiczem, a wieść o tem doszła przez usta dworaków carskich do wiadomości cara Michała Teodorowicza, który uważając niewinnego i cichego szlachcica za samozwańca, roszczonego sobie pretensye do tronu moskiewskiego, wyprawił posłów na dwór Władysława IV. z poleceniem wydania mu „niegodnego oszusta“, by go mógł śmiercią za uzurpatorskie zachcianki ukarać. Senatorowie polscy, zbadawszy genealogię Łuby i przekonawszy się o jego niewinności, dali odpowiedź odmowną, skutkiem czego przedłużały się rokowania i tak wikała się sprawa, której rozmaite zewnętrzne okoliczności, nieudolność posłów carskich i stosunki ówczesne na dworze moskiewskim, większej nadawały wagi, niż na to zasługiwała. Dzieję Jana Faustyna Łuby mogłyby wybornie posłużyć komedyopisarzowi, gdyż istotnie cała ta sprawa, w której bohater gra główną rolę polityczną przez zbieg okoliczności i staje się mimowolną przyczyną nieporozu-

mienia dwóch potężnych dworów, zakrawa na komedię. Rzecz prosta, że po dokładnem rozpatrzeniu się w sytuacji, uwolniono Łubę i cała historia skończyła się na niczem; szkoda tylko, że brak odpowiednich źródeł, nie dozwolił autorowi rozświetlić bliżej postaci samego bohatera, ani też opisać dalszych losów i końca przygód niewinnej ofiary szlacheckiego humoru.

Aleksander P.

U kolebki narodu. Dramat z dziejów mitycznych w pięciu aktach, uwieczony drugą nagrodą na konkursie galicyjskiego Wydziału krajowego w r. 1891. *Adama Bełcikowskiego.* Kraków 1892.

Po latach dziesięciu od wydania ostatniego dramatu („Bolesław Śmiały“, 1882), wystąpił sympatyczny autor z nowym na tem polu utworem, którego treścią, podanie z brzasku dziejów naszego narodu, o bohaterskiej Wandzie ¹.

Tajemniczy zgon tej dziewicy na tronie, musiał dość intrygować pisarzy nie tylko naszych, ale i obcych, i to równie dawniejszych jak nowszych, a losy jej przedstawiać sporo interesu dla wyobraźni artystycznej, tem bardziej, że może ona śmiało bujać po polu tak odległym, na tle podania, w kilka zaledwie słów ująć się dającego, skoro tyle razy był ten temat w literaturach opracowywanym. Pisało o Wandzie powieści po polsku, po francusku, po niemiecku, pisano wiele poezyj, pisano dramata (między niemi i opery), których wylicza *Estreicher* ² blisko dwadzieścia: dziesięć polskich, dwa francuskie, dwa niemieckie, nawet jeden włoski, jeden angielski i jeden węgierski. I ciekaweby można napisać w tym kierunku studjum porównawcze, ciekaweby można odkryć drogi fantazyi artystycznej przez porównanie między sobą i z właściwem podaniem tyłu pisarzy, ten sam temat obrabiających.

Nasz autor jest zupełnie oryginalnym. Oparł się tylko na micie z dziejów bajecznych Polski, przechowanym przez kronikarzy, a znanym każdemu dziecku polskiemu. Z niego tylko i z własnej fantazyi, z żadnych poprzednich opracowań nie korzystając, wysnuł tragedję, której treść jest następująca.

Księżę Germanów, Rytygier, posłyszawszy, że na tronie Chrobotów zasiadła piękna Wanda, pragnąc posiadać tak ją samą, jak i jej

¹ Drukowany roku zeszłego w odcinku *N. Reformy* i osobno.

² „Bibliografia polska“, T. 1, str. 360.

kraj, przysyła posłów z prośbą o jej rękę. Lecz doznaje odmowy, za której przyczynę podaje Wanda to, że postanowiła nieodmiennie nie dać ręki nikomu, pragnie bowiem żyć tylko dla narodu, co ją obrał za swą władczynię. Wtedy Rytygier nachodzi kraj z wojskiem, lecz mimo knowań i zdrady nieprzyjanych Wandzie żywiołów, ponosi klęskę, głównie wskutek tego, że ujrawszy podczas bitwy czarującą królową, uczuł gwałtowną ku niej miłość, która ubezwładniła mu rękę na Wandę wzniesioną; wojsko zaś widząc, jak wódz stracił odwagę, zwłaszcza, że samo przerażone było widokiem walczącej bohaterki, pierchło w nieładzie. Wodzowie niemieccy nie wiedzą teraz co począć, ale na szczęście sama Wanda przychodzi im w pomoc. Ulegając bowiem tkliwemu uczuciu kobiety na widok rozlewu krwi, na widok wdów i sierót po poległych w boju, spieszy do Niemców i pierwsza ośiaruje im pokój, pozwalając odejść swobodnie, skąd przyszli. Uniesieni jej szlachetnością wodzowie, opuszczają Rytygiera, który korzystając z chwili, wyjawia Wandzie swe uczucia i błaga o wzajemność. Lecz doznaje powtórnej odmowy: wrogowi swego ludu, tem bardziej, że świeżo jego krew przelał, nie może Wanda oddać ręki.

Ale słowa płomiennej miłości nie pozostają na nią bez wpływu: budzą one w niej naturalne pragnienia serca kobiecego, dotychczas przytłumione życiem męskim, zajęciami królowej. To też następuje straszna walka między uczuciem a obowiązkiem (i na tem polega kolizja tragedyi), z której jednak bohaterka wychodzi zwycięsko. Gdy Rytygier, wprowadzony skrycie do zamku przez jej wrogów, pragnących tę okoliczność wyzyskać na jej zgubę, jeszcze raz ją błaga o miłość — wyznaje mu wprawdzie, że go kocha, lecz mimo to odrzuca. Odepchnięty po raz trzeci, kończy samobójstwem u bram zamkowych. Ale znajduje mściciela. Brat jego bowiem, który go tymczasem w pobliżu oczekiwał, myśląc że to Wanda kazała Rytygiera zamordować, dysząc zemstą, sprowadza wojsko napowrót i odnosi zwycięstwo, gdyż Wanda tak jest złamana doznanemi przejściami, że nie ma już siły stanąć na czele swoich zastępów. Lecz bohaterska dziewica pragnie się przynajmniej poświęcić za naród, broczący z jej powodu we krwi, i gdy wódz niemiecki stawia za warunek pokoju jej śmierć, rzuca się w nurty Wisły, okupując w ten sposób pokój ukochanemu do końca ludowi.

W przeprowadzeniu charakterów zarzucićby można tylko sprzeczność co do Niemców, których autor z jednej strony przedstawił jako dzikich zaborców, a z drugiej, zanadto wyidealizował. Nieprawdopo-

dobnem jest, by na kilka słów Wandy porzucili tak nagle swoje zaburzone plany; a odnośny ustęp dramatu jest słabszy, za sentymentalny: słowa Wandy wyglądają na perorę starszej osoby, a wodzowie niemieccy nie jak mężowie świadomi swego celu, wojownicy, zahartowani bojem, lecz jak dzieci, okazujące po perorze poprawę. Nieprawdopodobnem jest także zakończenie dramatu, w którym najdzikszy z wodzów niemieckich, mimo odniesionego zwycięstwa, wyrzeka się wszelkich korzyści i zadawalnia samą śmiercią Wandy. Szczegóły te stanowią rozdźwięk wobec ogólnej harmonii, panującej w dramacie, choć przyznać trzeba, że i co do tych pomysłów okazał autor wielką zręczność, starając się je uprawdopodobnić, o ile się to oczywiście dało.

Poza tem jednak panuje wogóle w dramacie psychologiczna naturalność i konsekwencya charakterów i sytuacji, a przytem wszędzie nadzwyczajna jasność i przejrzystość. „Wszystkie osobistości są to istotnie ludzie żywi; wszystkie mają swoją właściwą fizyognomię, swój świat uczuć, pojęć i popędów; wszystkie plastycznie rysują się w naszej wyobraźni. Jedne mają więcej cech indywidualnych, inne mniej; jedne większą, inne mniejszą odznaczają się oryginalnością, ale niema wśród nich żadnej takiej, żeby jej brak życia artystycznego zarzucić było można“¹.

Podnieść także należy, że od poprzednika swego „Bolesława Śmiałego“, uważanego przez krytyków przed pojawieniem się naszej tragedyi za najlepszy dramat Bełcikowskiego, wyróżnia się „U kolebki narodu“ pod każdym względem korzystnie, a przedewszystkiem co do tej kardynalnej w budowie dramatu okoliczności, jaką jest skoncentrowanie akcji. Podczas gdy „Bolesławowi“ zarzucićby można to samo, co krytyka zarzucała innemu tegoż autora dramatowi p. t. „Mieczysław II.“ (a czego nie podniósł Chmielowski przy rozbiorze „Bolesława“, pisany 1886 r., zanadto go jako ówczesny szczyt twórczości dramatycznej Bełcikowskiego panegiryzując), że mianowicie jest to bardziej kronika zdramatyzowana, niż dramat skoncentrowany, to nasza tragedia do takiego zarzutu bynajmniej pola nie daje i wykazuje jawnie postęp autora, którego inne zalety nietylko się w niej nie zatraciły, lecz owszem z upływem czasu dojrzały i tem wybitniej na jaw wystąpiły.

Dramat napisany jest wierszem białym. Język, co zawsze Beł-

¹ Chmielowski, w zarysie poprzedzającym wydanie pamiątkowe Bełcikowskiego: „Ze studyów nad literaturą polską“. Warszawa 1886, str. XXIII.

cikowskiego cechuje, jest czysty, jędrny a prosty, bez żadnej patetyczności i przesady. Akcja bogata i potoczysta, budzi żywe zajęcie i interes tak co do rozwoju charakteru i losów samej bohaterki, jak i dla wplecionej misternie intrygi czarnych postaci. Nadto cała tragedia owiana jest tendencją szlachetną i patriotyczną. Bohaterka — to posagowy ideał wzniesłego pojęcia obowiązków i miłości ojczyzny, dla których to celów zapiera się siebie samej i nawet życie niesie w ofierze.

Gdy jeszcze dodamy, że każda osoba w sztuce daje wiele chwil szczęśliwych do wyzyskania w grze i uwydatnienia talentu aktorskiego, a inscenizacja ze względu na małą ilość zmian jest nietrudną, to się okaże całkiem zasłużoną nagrodą, jaką dramat, znakomicie wzbogacający naszą ubogą pod tym względem literaturę, uwieczniony został na konkursie galicyjskiego Wydziału krajowego, i słusznem życzenie, aby „U kolebki narodu“ znalazło się w repertoarze każdego polskiego teatru.

Antoni Strzelecki.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Souvenirs entomologiques. Études sur l'instinct et les moeurs des insectes. *J. H. Fabre.* Quatrième série. Paris, Delagrave, 1891.

Jakby się przedstawiała historia dziejów ludzkości, gdyby jedynym jej źródłem były smętne cmentarze, groby murawą porośłe, spróchniałe kościce? A jednak do niedawna rzecz się tak miała z historią roślin i zwierząt. Stogi całe przypominających siano wysuszone zielników i stopy pudeł entomologicznych były po większej części podstawą dzieł przyrodniczych. W nowszych dopiero czasach biologia powszechnie ożywiła się i weszła na prawdziwe tory.

Wśród wielu dobrych i mniej dobrych dzieł, traktujących o biologii zwierzęcej, a zwłaszcza o życiu i zwyczajach owadów, prace *J. H. Fabre'a* na szczególną zasługują wzmiankę. *Fabre* jest może najznakomitszym obecnie badaczem na tej niwie, a zajmuje się przeważnie rabusiami pszczołowatemi, grzebaczowatemi i pokrewnemi. Owoc długoletnich badań i poszukiwań pomieścił w swoich *Souvenirs entomologiques*, których pierwszy tom wyszedł w r. 1875, a następne kolejno w latach 1882, 1886 i 1891. Z ostatniego tomu zdajemy sprawę, chociaż to, co o nim powiemy, odnosi się w całości i do tomów poprzednich.

Jest coś dziwnie miłego w tej książeczce. Prawdziwie wdzięczący się kwiatek między bodiakami. Jakaś swoboda a świeżość umysłu, jakaś szczerłość a wesołość ducha, trzeźwość myśli z nadzwyczajną rzeźwością połączona, jakieś szczególne ciepło dla całej przyrody, i co najważniejsza, ponad tem wszystkim gorąca miłość prawdy w przyrodzie rozlanej, przejawia się na każdej stronicy. Czytając to dziełko, trudno nie zainteresować się dziejami tych zwierzątek, trudno nie sympatyzować z autorem, a już niepodobna sprzeciwić się prawdzie w oczy bijącej.

Jak dziwnie odbijają prace autora od dzieł w podobnej materii Büchnera np. lub choćby takiego Lubbocka! Miałooby to pochodzić stąd, że Fabre oddycha jeszcze całą piersią, że posiada jeszcze wolność złotą, co mu się z prawa przyrodzonego należy, że nie dźwiga na sobie jarzma i więzów dogmatycznych powszechnej dzisiaj szkoły przyrodniczej? Autor nie jest transformistą.

Lecz cóż może być zajmującego w pamiętnikach z życia owadów? Naprawdę, ciekawe pytanie. Czytelnika, co się chce o tem nacznie przekonać, musimy odesłać do samego Fabre'a. Inaczej trzeba by podać treść pracy i to bardzo dokładną, a jednak takiej książki nie streszcza się właściwie, ale się po prostu mówi: bierz i czytaj. Co więcej, streszczenie samo z natury rzeczy musiałoby wiele ująć książeczce. Bo czyż możnaby w krótkim szkicu uwzględnić owo mnóstwo szczegółów, odnoszących się do każdego owada-bohatera z osobna? Albo w jaki sposób możnaby dać czytelnikowi jakie takie wyobrażenie o sumiennosci i dokładności autora w spostrzeżeniach, o owych genialnych często pomysłach w robieniu doświadczeń, o owej niestrudzonej niezem cierpliwości autora w poszukiwaniach trwającej nieraz lata całe?

Tych 18 rozdziałów, które stanowią czwartą seryę pamiętników Fabre'a, to obrazki prawdziwe. Co za mnóstwo szczegółów, jak wiele różnaitości uderza nas w każdym obrazku? Te zaś szczegóły, choć tak rozmaite i jakby przypadkiem rzucone, tak znowu składnie dobrane, tak harmonijnie ułożone, tak odpowiednio zacieniowane lub oświetlone, że w każdym obrazku mamy zawsze jedność jakąś i rzeczywistości i idei. Autor maluje, ale maluje słowem; dlatego nie uważa rzeczy w przestrzeni, jak to malarz czynić musi i co niektórzy pisarze fałszywie naśladowują, ale uważa je w czasie, w rozwoju swoim; przechodzi genetycznie wszystkie czynności z osobna i tym sposobem zestawia całość w umyśle czytelnika — maluje po homerowsku. W pierwszych rozdzia-

lach podaje nam Fabre wiele szczegółów z życia rozmaitych zdunów (*Pelopoeus...*, *Agenia...*), które robią sobie gniazda z błota i gliny w postaci garnuszków lub dzbanuszków. Jak wyglądają owe garnuszki? Widzimy najpierw zduna uganiającego gdzieś nad błotem przy studni, które bydło rozmiesiło swemi nogami; dalej zdun przynosi grudkę za grudką i układa je w węgle komina lub w szparze jakiej, aż z tych grudek urośnie dzbanuszek z otworkiem u góry; *Ageniu* zaprawia jeszcze chemicznie swoją śliną warstwę wewnętrzną budowy, aby glina była wytrzymalszą na wilgoć i inne nieprzyjemne czynniki. Nie dosyć na tem. Pomieszkanie zduna musi też mieć pewne cechy estetyczne. Zdun pracuje teraz nad inkrustacją gniazda. Cóż dalej? Widzimy znowu, jak czyha na różne pająki, zabija jednego i kładzie na dnie dzbanuszka, a na brzuchu jego znosi swoje jajo. Następnie powtarza swe wyprawy mordercze, aż zapełni trupami całą komórkę, wtedy zasklepia otwór i żegna dzieło życia swego na zawsze.

W kilku dalszych rozdziałach podaje autor różne sposoby atakowania zdobyczy, jakich używają jego bohaterowie. Co za ciekawe przygotowania do akcji, jak nieraz skomplikowane zawikłania, jak niespodziane perypecje, co za dramatyczność, życie i werwa w tych szkicach! Przepyszne są te rozdziały. Bo też autor jest prawdziwie specjalistą tak w robieniu doświadczeń nad atakami, jak i w opisywaniu tychże.

A jaka znowu w całej książeczce rozmaitość jakby epicznych dygresyj! W rozlicznych tych poszukiwaniach i doświadczeniach wszystko autorowi pomaga: i córka i syn i uczniowie; z wszystkiego też autor korzyść wynosi: czy jest w ogródku koło domu, czy na przechadzce w lesie lub na polu, czy na folwarku jakim w czasie żniwa, czy w gorzelnii wiejskiej, czy sprowadza umyślnie spróchniałe drzewo na opał, czy kwiatki ustawia w oranżeryi — wszędzie znajduje coś ciekawego, coś godnego zanotowania i uwagi. Lada kupa kamieni w czaharach ukryta, jakaś nisza naturalna w skale wyżłobiona, lada pniak strupieszaly przy drodze leśnej dostarcza autorowi obfitego materiału do spostrzeżeń i poszukiwań. Wszystko to w pamiętnikach uwzględnione, a wszystko wtrącone tak naturalnie, w tak odpowiednim miejscu, że epizody te nie tylko nie rozrywają całości, ale owszem urozmaicają ją, bardziej potęgują.

Szkoda, że do tych prześlicznych obrazków słowa, autor nie dołączył choćby kilku rycin.

Przy tem wszystkim jednak, jedno mimowoli nasuwa się pytanie. Czy opłaci się poświęcać tyle trudu i mozółu, tyle drogiego czasu

bląhym czynnościom tych drobnych żyjątek? Czy nie zakrawa to na zaspokojenie jakiejś ciekawości dziecinnej? Czy nie lepiej tę zmuśną pracę a tak żywą energię ducha zużyć w ważniejszych kwestyach społecznych? Tak — to też autor nie bada tych rzeczy z płóchej ciekawości, ale dlatego, że mu chodzi o rozwiązanie kwestyj ważnych, obchodzących każdego myślącego człowieka. Oto jego słowa: „Co to jest życie? Czy będziemy mogli kiedy sięgnąć do jego zaczątków? Czy uda się nam kiedy rozbudzić w grudce białka nieokreślone drżenie, jakby preludium organizacyi? Co to jest umysłowość ludzka? w czym się różni od poznania zwierzęcego? Co to jest instynkt? Czy dwie te zdolności psychiczne różnią się istotnie, albo też dadzą się sprowadzić do wspólnego czynnika? Czy gatunki związane są ze sobą powinowactwem transformizmu, czy też są jakby niezmiennie medale, z właściwym sobie odciskiem, na który ząb czasu i wieków przemiany nie mają żadnego wpływu, chyba, że mogą go prędzej lub później zniweczyć? Pytania te nagabują każdy umysł wykształcony, a nie przestaną go niepokoić nawet wtenczas, kiedy bezskuteczność wysiłków naszych w rozwiązaniu ich każe nam pomieścić je między rzeczami, co nie leżą w zakresie poznania ludzkiego. W zuchwałej bucie i zarozumiałości teorya daje dzisiaj odpowiedź na wszystko: atoli tysiąc teoryj nie przeważy jednego faktu, a myślicieli bez uprzedzeń nie przekonywa się tanim kosztem. Do takich zagadnień, czy ostateczne rozwiązanie naukowe jest możliwe czy nie, potrzeba niezmiernie obfitej wiązanki faktów niezbitych, do czego entomologia, mimo skromny swój zakres, może podać przyczynek niemalej wartości. Oto, czemu obserwuję, czemu przedewszystkiem robię doświadczenia“ (p. 33).

Nie można powiedzieć, aby Fabre nie trzymał się wiernie tego niejako programu swego, a jego oryginalne doświadczenia, z którymi spotykamy się w każdym rozdziale, rzucają w rzeczy samej całe pęki promieni na wiele z owych kwestyj. Autor, wróg hipotez i aprioryzmu, każe zawsze odpowiadać na pytania przyrodzie, a jeśli ta w normalnym biegu rzeczy leniwi się z odpowiedzią, to zmusza ją do tego warunkami sztucznymi, i wtedy otrzymuje odpowiedź pewną i określoną. Obserwacya sama nasuwa i stawia zagadnienia, doświadczenie rozwiązuje je. W jaki sposób np. autor rozwiązuje kwestyę inteligencji u owadów? Zmusza do odpowiedzi na to pytanie zduna (*Pelopoeus*), *Chalicodomę*, pawika (*Vanessa Jo L.*) i inne owady.

Przypatrzmy się przynajmniej, jaką odpowiedź daje znany nam już nieco *Pelopoeus*. Właśnie powrócił zdun z morderczej wyprawy,

przyniósł pierwszego pająka i złożył go na dnie komórki. Na brzuchu pająka znosi jajo i wyrusza po drugą ofiarę. Fabre korzysta z nieobecności gospodarza domu i wyjmując szczypczykami pająka z jajem. Co zrobi zdun po powrocie, kiedy zastanie mieszkanie ogołocone, bez jaja, jedyne go celu swej przemysłowości garncarskiej i sztuki łupieskiej? Jeśli tam niema jaja, a niema, bo jest z pająkiem w probierce Fabre'a, to dalsze przynoszenie żywności jest bezowocnem, jest głupstwem. Jeśli zdun ma rzeczywiście trochę oleju w głowie, posiada choćby jakąś „szczętkową inteligencję“, to musi tę konsekwencję uznać, i albo żywności dalej nie gromadzić, albo znieść jajo na brzuchu następnego pająka. Tymczasem, co się dzieje? Zdun przynosi drugiego pająka, układa go z całą gorliwością, instynktowi właściwą, ale jaja wcale nie znosi. Co więcej, zdun przynosi trzeciego pająka, czwartego i t. d., podczas gdy Fabre ustawicznie mu łupy zabiera. W zwykłych warunkach, przy sprzyjającej pogodzie, zdun napełnia komórkę żywnością w przeciągu pół dnia. Tym razem zdun przez dwa dni stara się napełnić garnuszek nienasycony, przez dwa dni też nie ustaje cierpliwość Fabre'a. Po dwu dniach pracy, po 20 wyprawach łowieckich, zdun zmęczony już, na nic nie uważa, tylko zabiera się z jak największą sumiennością i troskliwością do zamurowania i zalepienia otworu górnego w próżnej komórce. — Tak samo odpowiada zdun przy innem doświadczeniu, tak samo odpowiadają inne owady.

Jaka konkluzja z tych faktów? Fabre przyznaje, że chciałby chętnie uważać zбочenia te za fakty odosobnione i wyjątkowe, ale oczywistość ich i powtarzanie się ogólne, nie pozwalają mu żadną miarą na podobną rehabilitację swoich bestyjek. Jakikolwiek gatunek wystawimy na próbę doświadczalną, każdy wyzna stanowczo, że jest głupi. Dlatego autor występuje ostro przeciw rozumowi zwierzęcemu i uznaje słuszną zasadniczą różnicę między właściwym rozumem a poznaniem zwierzęcem. Widać to jasno z całej książeczki, najwyraźniej z rozdziału: *Aberrations de l'instinct*. Tak też trzeba autora rozumieć, jeśli przypisuje owadom *quelque lueur d'intellect* (p. 70). Poglądy zaś swoje na własności psychiczne owadów rozwija autor najdokładniej w rozdziale V.: *Instinct et discernement*. Na polu psychicznym owada, autor rozróżnia dwa obszary. Jeden należy do instynktu właściwego: tu doświadczenie i naśladowanie nic zmienić nie mogą, na tym obszarze instynkt, owo prawdziwe *fatum* zwierzęce, nakłada swe nieubłagane prawo. Owo *fatum* tłumaczy nam niekonsekwencje owadów wystawionych na próbę — one muszą tak działać, bo tak je pcha par-

cie wewnętrzne. Atoli sam czysty instynkt nie może wystarczyć owadowi, który podlegać musi tylu zmianom środowiska i otoczenia. Zaskoczony owad takimi naturalnymi zmianami, musi umieć dać sobie radę, musi mieć jakąś dyrektywę — i tu wchodzimy na drugi obszar działalności psychicznej, której czynnik Fabre nazywa *discernement*. Przez tę władzę odróżniania Fabre nie rozumie nic pokrewnego z umysłowością, ale władzę czysto zmysłową — ostatecznie więc to samo, co w starej szkole nazywano *vis aestimativa*. Podział ten (nazwa mogłaby się niejednemu niepodobać) opiera się rzeczywiście na faktach i pomaga nieco do rozjaśnienia kwestyi, choć może nie ma tego znaczenia, jakie mu przypisuje autor. Teraz już Fabre może bezpiecznie odpowiadać na niektóre pytania, bo może dystyngwować. Czy owad jest świadom tego co robi? Nie, jeśli to jest czynność czystego instynktu; tak, jeśli to jest akt władzy odróżniania. Czy owad może ulegać modyfikacyom w swoich obyczajach? Nie, absolutnie nie w obszarze czystego instynktu, tak, w zakresie władzy odróżniania.

W końcu na jedną jeszcze rzecz zwrócić musimy uwagę. Jużesmy na samym wstępie napomknęli, że autor nie jest transformistą. Stąd żądła jego bohaterów nietylko uderzają na swoje ofiary, nietylko mszczą się czasami na ręce tego, co ich na próby wystawia, ale trafiają nieraz w same centra zwojowe teoryi darwinistycznej. I trzeba przyznać, że ukłócia są dzielne. Tu jakieś doświadczenie nic sobie nie robi z walki o byt, — tam żądlówka jakaś brzęczy i huczy wesolo i śmieje się z selekcyi naturalnej, — ówdzie znów jakiś malec wypiera się wszystkimi siłami zmienności darwinistowskiej i twierdzi stanowczo, że już pierwszy pradziad jego tak samo postępował jak on i t. d. i t. d. Jeden przykład konkretny. Najbardziej rzeczywiście powstają u Fabre'a przeciw darwinizmowi rabusie-żądlówki. Tak np. *Calicurgus scurra*, poluje z zapalem na duże pająki, krzyżaki, których jedno ukąszenie jest dla niej śmiertelne. Zadanie jest trudne. *Calicurgus* musi najpierw wroga rozbroić a następnie sparaliżować go zupełnie, jednak nie zabić. Pierwsze ukłócie musi mieć na celu szczękonoża, stanowiące właśnie u pająka broń zabójczą, musi więc trafić jeden punkcik i tak osiągnąć małej partyi systemu nerwowego, co kieruje ruchami szczękonoży. Najmniejsze zboczenie jest nieszczęściem dla żądlówki: bo albo sama wpadnie w szczękonoża, a wtedy śmierć jej, albo w najpomyślniejszym razie trafi w sam mózg pająka i zabije zupełnie ofiarę. Tymczasem ofiara nie ma być zabita tylko rozbrojona, przyszły plód bowiem jeno żywym karmi się mięsem. W rzeczy samej żądlówka nasza trafia tak

dzielnie, że paraliżuje tylko szczękonożę, że tuż obok stojące głaszczki zatrzymują w całości swoją ruchliwość. Tak samo pewnie i dzielnie wykonywa *Calicurgus* drugie uklęcie, które paraliżuje owada. I to musi być wymierzone w małe miejsce za pierwszą parą nóg, gdzie są właśnie zwoje zasilające nerwami odnóża pająka. Otóż na tym przykładzie Fabre pokazuje, że już pierwsza żądłówka, która obrała sobie za zdobytcz takiego pająka, musiała zupełnie tak samo postępować, jak *Calicurgus*, musiała być mistrzynią prawdziwą w tej metodzie rozbijania, inaczej nie mogła mieć wcale potomstwa, konsekwentnie nie mogła przesyłać dziedzicznie swoich zaczątków instynktowych na przyszłe pokolenie. Niemniej dzielne są inne razy, jakich można napotkać wiele w książeczce Fabre'a.

Czy ciocy zadane przez karłów-bohaterów Fabre'a darwinizmowi są śmiertelne? Może nie wszystkie, ale wielka część prawdopodobnie jest taką. Darwiniści, o ile nam wiadomo, nie odparli jeszcze naukowo zarzutów Fabre'a, chyba może starał się tego dokonać w świeżem swoim dziele *Romanes*, któremu Darwin to zadanie zlecił jeszcze w 1881 roku. Ewolucya widzi się coraz bardziej zmuszoną do porzucenia zasad darwinizmu.

Tych kilka uwag, kilka myśli rzuconych nie daje jeszcze dokładnego wyobrażenia o pracy Fabre'a. Atoli każdy, co weźmie *Souvenirs entomologiques* do ręki, będzie autorowi wdzięczny za kilka godzin lektury bardzo przyjemnej, bardzo ciekawej, a zarazem bardzo pouczającej. Może zaś wziąć tę książeczkę do ręki nie tylko biolog, nie tylko filozof, ale każdy, komu najważniejsze kwestye przyrody żyjącej nie są całkowicie obojętne.

J. Nuckowski.

Jahresbericht der Herder'schen Verlagshandlung zu Freiburg im Breisgau. 1892. (W 8-ce, 48).

Nie tylko z naszego kraju idą w świat plony duchowej pracy, wydawane w polskim języku. Oprócz naszych rodaków, którzy zakładają polskie drukarnie po różnych krajach Europy i Ameryki, znaleźliśmy zwolennika naszej literatury w znanym nakładcy Herderze, który w rocznych sprawozdaniach z wydawnictw swoich niemało ogłasza polskich dzieł. Kiedy je tam spotykamy, cenimy i poparcie, użyczone naszym pisarzom przez cudzoziemca, i przysługę, którą nam świadczy wydawca naszych książek. przez pewną wskazówkę o niepośledniej ich treści i dobrym duchu. Jak widać z ostatniego rocznika tych spra-

wozdań, wydawca w ostatnich miesiącach wzbogacił literaturę europejską cennymi dziełami. Nazwiska najślawniejszych autorów katolickich idą tam długim szeregiem, a przy ich dziełach umieszczają ich króciotką ocenę najpoważniejsze czasopisma, głównie francuskie, niemieckie i angielskie. Dział teologiczny i religijny zajmuje najwięcej miejsca; po nim uderza liczba świeckich dzieł naukowych, szczególnie z zakresu umiejętności przyrodniczych. Mniej często można spotkać książki literackie i historyczne, a najmniej dostarczyła filozofia. Z tych prac doborowych niektóre wyszły bardzo na czasie. Do takich można zaliczyć: d-ra F. Kaulena *Einleitung in die heilige Schrift Alten und Neuen Testaments*, d-ra H. Kihna *Encyklopaedie und Methodologie der Theologie*, Calderona kilkanaście dramatów nieznanych dotąd w przekładzie niemieckim, cykl dziełek o socjalizmie przez księży: Meyera, Lemkuhla, Pachtlera, Cathreina, Pescha i t. d.

Z literatury angielskiej.

II.

Podróże. — Zapiski Ojca Ohrwaldera. — Listy Lorda Churchill z podróży po Afryce południowej. — Amerykańskie i afrykańskie notatki. — „Persya i kwestya perska“. — Studya o pierwszych wiekach chrześcijaństwa. — Publikacye archeologiczne. — Powieść: „Mrok i Brzask“.

Literatura angielska trzy przedewszystkiem uprawia działy, w trzech kierunkach najbujniejszego dostarcza plonu. Rozległe kolonie i wędrownie synów Albionu usposobienie, mnoży zapiski podróżne i przydaje im znaczenia; spokojne stosunki i długowieczność Anglików zniewala wielu z nich do sporządzania pamiętników wznawiających wspomnienia przeszłości; nareszcie powieść, ta gałąź piśmiennictwa specyficznie naszemu stuleciu właściwa, setne tu i tysiączne wydaje osty i kwiaty, plewy i ziarna, przeważnie dzięki nieprzeliczonym zastępom starych pańien, które próbują wypisać to, czego im przeżyć nie było danem, i próżnię serca wypełniają fantastycznemi obrazami bujniejszej wyobraźni.

Najjędrniejszym bodaj działem jest pierwszy, a lubownik podróży nigdzie zapewne nie znajdzie obliczonych i gruntowniejszych wiadomości i odgłosów z dalekich krain i kresów. W pierwszym rzędzie wymienić tu potrzeba wyborne ułożenie rękopisów Ojca Ohrwaldera, przez majora Wingate, p. t.: *Ten years captivity in the Mahdi's camp* (Dziesięcioletnia

niewola w obozie Mahdiego₇. Przedmiot to pełen bolesnego znaczenia dla angielskich czytelników, świadomych złej polityki rządu angielskiego w Sudanie. Zapiski Ojca Ohrwaldera wykazują, iż kraina, gdzie przed kilkunastu laty można było podróżować równie bezpiecznie jak w niejednej części Europy, dziś ponownie zadziczoną i pogrążoną w barbarzyństwie została. Główna stąd wina spada na Anglię, która nie stłumiła w zawiązku nawały Mahdizmu i nie podała na czas ręki zamkniętemu w Chartumie szlachetnemu Gordonowi. Ojciec Ohrwalder, członek katolickiej misji w Deten, wpadł w ręce Mahdistów w jesieni 1882 r.; zrazu pozostawał w niewoli w El Obeid, a następne lata spędził w Omdurman, nowej stolicy Sudanu, skąd udało mu się zemknąć w listopadzie 1891 r. Jako kapłan chrześcijański, wzbudzał pewne względy, i oszczędzano mu niektórych udręczeń, któremi trapieno jego współtowarzyszy. I tak, nigdy go nie okładano batogiem, ani też okuwano w kajdany, niemniej atoli nędzny włókl żywot; często głód i pragnienie zniewalały go do czerpania wody i ziarna w korytach stojących, a przez nieprzeliczony szereg nocy, ziemia była jego posłaniem, a niebo dachem jedynym.

Pierwszy z Mahdich był rodem z Kordofanu; podjął on rolę reformatora i piorunował na zbytek, na skażenie płynące z zetknięcia z chrześcijanami. Jego wymowa, fanatyzm i obietnice łupu, zdobyły mu krocie zwolenników. Nie był to zresztą człowiek zwyczajny, i Ojciec Ohrwalder poświadcza jego niepospolite przymioty, nie tając, iż jego dobrej woli i łaskawości zawdzięcza ocalenie własnego życia. Kreśli nam dość nawet pociągający zewnętrzny wizerunek wielkiego Mahdiego: „Powierzchność tego człowieka była dziwnie ujmującą. Silnej budowy, ciemnej bardzo cery, miał zawsze na ustach uśmiech dobrotliwy. Sztuka jednania sobie ludzi była mu właściwą. Popularność jego imienia, cześć dla jego osoby, dochodziła do granic kultu. Kobiety mianowicie za nim szalały i sławiły jego urodę. Cnoty jego, mądrość, wdzięki, zwycięstwa, opiewano w pieśniach, powtarzanych przez wędrujących żebraków, pewnych otrzymania sowitej jałmużny, gdziekolwiek pochwały Mahdiego wygłosili... Zalecając zwolennikom swoim wyrzeczenie i dobrowolne ubóstwo, sam Mahdi nie gardził bynajmniej rozkoszami życia, otaczał się najwyższym zbytkiem i używał do syta wszystkiego, czego zabraniał swym uczniom. Nosił najcieńszą białinę, kąpał się w wonnych olejkach, utrzymywał harem niezliczony“. To też Ojciec Ohrwalder streszcza zawód Mahdiego w kilku słowach,

mówiąc iż był fanatykiem w pierwszym okresie życia, obłudnikiem w drugim, rozpustnikiem w trzecim, a skończyła na zatłuszczenie serca.

Następca jego, pełen ambicji, srogości i energii, zewnątrznie tylko zachowuje pozory Mahdizmu, w gruncie już odstąpił od pierwotnej reguły i zasad. Je dobrze, pije jeszcze lepiej, utrzymuje sto pięćdziesiąt żon w haremie, i niezwykle obciążony jest tuszą. Stosunki miejscowe ponuro się malują na tle opowiadania Ojca Ohrwaldera. Wojny domowe wyludniły całą krainę, niejedno plemię bezpowrotnie zginęło. Nigdzie niema już bezpieczeństwa, swobody ni sprawiedliwości. Niezadowolenie powszechnie panuje, a do klęsk politycznych i publicznych, przyłączył się w ostatnich latach ciężki niedostatek, spowodowany nieurodzajem i zarazą na bydło. Zadaniem Anglii byłoby wrócić pokój i porządek nieszczęśliwemu Sudanowi, i zapobiedz całemu bodaj plemienia zagładzie. Ale Albion podobno skuteczniej umie niszczyć aniżeli ocalać narody, zawierzające jego protektoratowi.

Nazwisko autora dodaje znaczenia księdze zatytułowanej: *Men, Mines, and Animals in South Africa*. Są to listy ślone do *Daily Graphic* z podróży po Afryce południowej, przez lorda Randolph Churchill. Niestalość charakteru tego politycznego męża, ujmuje powagi jego zapiskom i opisom, podawanym nieraz w wątpliwą przez podejrzliwą krytykę angielską. Niemniej jest to bardzo ciekawa książka, pełna życia, werwy i kolorytu. Głównym celem wycieczki lorda Randolph Churchill w podzwrotnikowe strefy, była chęć osobistego zbadania przyszłości kopalni złota w Maszonalandzie. Podrzednym zaś bodźcem do podjęcia uciążliwej podróży, niezawodnie być musiał i zapał wypróbowanego sportmana, który przeczuwał w nieznaną południową krainę najwyższe myśliwskie rozkosze. „Niema bodaj na świecie przychylniejszej dla łowów dziedziny. W zimie tamecznej, od maja do września, klimat jest po prostu zachwycający, niebezpieczeństwo febrzy względnie małe. Powietrze pokrępiające, okolica malownicza. Kto tu przybędzie z dobrym przewodnikiem, nie zazna zawodu. Owszem, z wyjątkiem słonia, nosorożca i bawołu, upolować tu można wszystkie dzikie zwierzęta Afryki“.

Pod względem widoków kopalnianych, lord Randolph Churchill nie upatruje nowej Kalifornii w Maszonalandzie. Lato tu bywa dla Europejczyków zabójcze, pokłady złota niedostatecznie zbadane. Natomiast sąsiednia ziemia Bechuana w oczach lorda Randolph Churchill stać się może z czasem największym pastwiskiem południowej Afryki. „A choćby wyczerpała się produkcyja mięsa w całym świecie, afry-

kański *veldt* jeszczeby poddostatkiem takowego dostarczył ludzkości!⁴⁴ Zdaniem lorda R. Churchill, bujność i produktywność południowej Afryki, mianowicie Transwału, jest po prostu niewyczerpaną i nieopisaną. Bogactwa tych stref chyba nie długo się ostaną w ręku niedołączonych Boersów. A wtedy wskazanem jest to miejscem emigracyi i kolonizacyi, oraz celem wypraw żądnych sportu, zabawy i wrażeń podróżników. Oto ostatnie słowo, jakim lord Randolph Churchill zamyka swe barwne i zajmujące listy.

Miłośnikom przyrody polecić można śliczną prawdziwie książkę Hudsona p. t.: *The naturalist in La Plata*. Wprawdzie nie dorównywa niezrównanym zapiskom Bates'a z nad Amazonki, ale obfituje w zajmujące szczegóły i cudowne opisy. Żadna chyba malowniczość pióra nie zdoła przewyższyć piękności rozdziału, poświęconego Pampasom, a mnóstwo ciekawych rysów z świata zwierzęcego, osobistemi spostrzeżeniami stwierdzonych, przykuwa uwagę czytelnika i podziw jego wzbudza. Ale przedewszystkiem zdumiewać się trzeba nad mnóstwem dowodów opatrnościowej celowości w naturze, oraz cudami instynktu zwierząt, przemykających się pod barwnym piórem p. Hudsona. Niemniejszej wagi jest podróż p. Whympera po górach Ekwatoru: *Travels amongst the great Andes of Equator*. Jedenastoletnich trudów owoc, książka ta nosi cechę gruntownego opracowania. Między innemi autor zastanawia się nad przyczynami trudności oddychania, przejawiającej się na różnych stopniach wysokości. Czemu w Europie i na 16.000 stóp w górze jeszcze nic oddechu nie tamuje i tysiące osób bezkarnie pną się na szczyty, kiedy tymczasem w Azji i Ameryce, już na 14.000 stóp odczuwać przychodzi najdotkliwsze cierpienia i duszności? Bardzo ciekawe są dociekania p. Whympera na tym punkcie. Zapewnia on, iż można się poddać pewnemu *training*owi i przyzwyczaić płuca do odmian ciśnienia atmosferycznego. Opisy jego śmiałych wycieczek na Czimbaraso, Kotopaxi i inne wyżyny, udzielają czytelnikowi coś z uciszenia i spokoju szczytów:

Ueber allen Gipfeln
Ist Ruh...

a przytem i tego hartu płynącego stale ze zwycięstw człowieka nad niedostępną przyrodą.

Dziś, gdy uwaga wszechświata przeważnie ku tajemniczemu wnętrzu Afryki jest zwróconą, nie dziw iż przybywa wciąż materiału rozświetlającego ciemnię czarnego kontynentu. Anglicy w pierwszym rządzie zapalają ową pochodnię, nie zliczyłyby też zapisków z podróży, które

się nieustannie pojawiają na półkach księgarskich, a z różnych punktów widzenia dają nam poznać najmniej znaną dotychczas część świata. W jednej z takich publikacyj znajdujemy następną uwagę: „Powolny rozwój Afryki jak raz przypomina Boży sposób działania. Pan Bóg zabrał się do najlepszej i największej krainy na samym końcu. Upatrujemy w Afryce najbogatszą i najwięcej obiecującą część ziemi, przewyższającą Nowy Świat pod względem żyzności i skarbów“. Zdaniem anglikańskich misjonarzy, chrześcijaństwo nie przyjmie się tu, dopóki nie znajdzie się dostateczny zastęp tubylców, podejmujących apostołstwo wiary wśród swoich. Zaczynają się też już pojawiać i książki o Afryce przez Afrykanów napisane, jak np. ta ciekawa praca murzyna, niejakiego p. Durham, studenta prawa w Londynie, pod tyt.: *The Star of Liberia*, pełna szowinizmu upośledzonego szczepu i goryczy dla białej rasy, która po dziś dzień głosi umysłową niższość czarnych swych braci i rządzić nimi jak dziećmi próbuje i pragnie. Tymczasem nowoczesna nauka istotnie rozwiała teorie Buckla o rzekomej plemiennej równości ludzkiej rodziny. Nie ulega wątpliwości, iż równość ta nie istnieje, że uznać trzeba stopniowanie w umysłowym rozwoju i uposażeniu, że każdy szczep inne posiada zdolności, wyższe lub niższe. Szkoda, że pisarz afrykański i zapamiętały rzecznik równości, a nawet wyższości murzynów, za mało nam mówi o własnych stosunkach i kraju, z upodobaniem rozwodząc się raczej nad Europą, jej wadami i winami, i nie znalazł nawet słowa uznania dla wiecznego orędownictwa Kościoła za uciśnionymi, któremu poświęcał się np. świeżo zmarły kardynał Lavigerie. Odwieczne urazy i żal do białej, kaukaskiej rasy, wytrącił z pod pióra p. Durhama wszelkie przypomnienia dodatniej działalności wpływów europejskich, chrześcijańskich, z książki zaś jego niepodobna odgadnąć, jaką sam wyznaje wiarę.

Częste podróże Szacha perskiego po Europie, zwróciły powszechną uwagę na jego państwo, rozmnożyły wydawnictwa odnoszące się do tej nieznaney a ciekawey krainy. Korespondent *Timesa* z Persyi, p. Curzon, wydał świeżo bardzo zajmującą książkę p. t.: *Persia and the persian Question*. Oczywiście, niemało tu miejsca zajmuje współzawodnictwo wpływów rosyjskich i angielskich, które się wszędzie w Azji z sobą spotykają i ścierają. Nie brak i barwnych opisów miejscowych stosunków i obyczajów. Wszelako najbardziej zajmujące ustępy odnoszą się do ustroju rządów Szacha i panującego tamże bezprzykładnego przekupstwa. „Rząd, co mówię, samaż istota życia w Iranie — pisze autor — zasadza się na ustawicznej zamianie kubanów. Zrazu

niemasz, iż zobopólnie słane podarki są miłym zwyczajem szlachetnego i serdecznego narodu. Wnet atoli poznajesz, iż ci w zamian trzeba złożyć dar równej wartości, a jeszcze dać na piwo temu, który przyniósł podarek. Pod względem politycznym, praktyka zamiany darów, acz uprawniona niewzruszonymi tradycjami Wschodu, w niczem się nie różni od systemu, noszącego w Europie mniej honorowe miano. Od wieków rządu Persyi na tej się opierają podstawie, przeszkadzającej wszelkim zamiarom jakiegobądź reformy. Począwszy od Szacha aż do ostatniego urzędnika, niema bodaj nikogo, któryby darów nie przyjmował, niema bodaj godności, którąby się nie otrzymało w zamian za złożone ofiary, niemasz dochodu w inny sposób zapewnionego i zdołbytego. Żaden urzędnik w całej skali rządowej, inaczej nie otrzymał posady, jeno za pomocą haraczu złożonego bądź samemuż władcy Iranu, bądź któremukolwiek z ministrów, bądź wielkorządcy prowincyi. Jeśli się trafi kilku współzawodników na jedną posadę, wygrywa ten, który przelicytuje drugich. Obejmując swój urząd, otrzymuje *kitabę*, czyli urzędowy obrachunek dochodów prowincyi. Jemu odtąd przypada zadanie wybierania podatków i wymierzania sprawiedliwości. Wszelako tu nowa występuje praktyka. Jakkolwiek wypadnie urzędowy obrachunek, każdy urzędnik obowiązuje się płacić Szachowi pewną nadwyżkę podatkową, co mu nie trudno przychodzi, zważywszy na długi okres pokoju, który spotęgował bogactwa krajowe. Gdy tedy jeden z kandydatów do wielkorządztwa prowincyi ofiaruje 20.000 tomanów nadwyżki, drugi 30.000, wygrywa ten, który 40.000 zapewni skarbowi. Każdy atoli urząd znaczniejszy w Persyi, tylko na jeden rok bywa oddawany w ręce każdorazowego dzierżyciela. Z dorocznem świętem *No Ruz* ponawia się targowisko i licytacja urzędów“.

Ustęp ten najwymowniejszy daje obraz wewnętrznego ustroju, a raczej rozstroju państwa Syna słońca, cała zaś książka p. Curzona o Persyi nadzwyczaj jest zajmującą i pouczającą.

Z innej strony p. Browne darzy nas tłumaczeniem roczników jednego z najciekawszych ruchów religijnych na Wschodzie za dni naszych. z perskiego oryginału czerpiąc dzieje Baba, mistycznego Mahdiego tych krain, który przewyższał wysoką moralnością i szczerością przekonań wszystkich współczesnych przywódców religijnych prądów w Afryce czy Azji.

Ale chyba już za długo kroczymy w ślady dzielnych pionierów oświaty lub szermierzy wiedzy na kresach niezbadanych części świata. Niektóre ze wspomnianych powyżej wydawnictw wkraczały już w dzie-

dzinę historii, której angielscy pisarze nie przestawają uprawiać, acz najczęściej tak specjalizują swe prace, tak się zacieśniają w obrębie własnej przeszłości, iż najgruntowniejsze ich studia, dla nich samych tylko zachowują prawdziwe znaczenie i doniosłość. Pojedyncze hrabstwa, poszczególne miasta lub rody, doczekały się osobnych dziejopisów, wzbudziły poważne i wyczerpujące monografie, cegły, z których rośnie budowa całości angielskiej historii. Wydawnictwo papierów Henrykowych, dotyczących przełomu reformacji, ciągnie się dalej, rzucając pełne światło na zbrodnie Henryka VIII., na fałszywe odtąd sztucznie nagromadzane, aby rzetelną prawdę historyczną przykroić do wymagań namiętności kacerskich. Jeżeli, okrom łaski Bożej, jaki ludzki wpływ i wrażenie mógłby hurtowny sprowadzić zwrot w religijnych pojęciach całej Anglii, to oczywiście zdziałałoby to mogła przedewszystkiem prawda, bijąca z tych archiwów i dokumentów, wskazujących nikczemne podniety, które wywołały religijne ongi całego królestwa odstępstwo.

Zrosła z duszą angielską tęsknota za prawdą i przyrodzona niejako tego narodu religijność, wiedzie go z upodobaniem ku badaniom pierwszych wieków chrześcijaństwa, ku kolebce wiary i katakumbowym początkom Kościoła. Jeżeli rzymscy konserwatorowie i archeolodzy wyznają, iż niewiele dokonałby mogli, gdyby nie hojność, zachęty i współpracownictwo tak Anglików jak Amerykanów, to powszechne w świecie angielskim zainteresowanie odbija się i w wydawnictwach literatury krajowej. Wspomnijmy tu w pierwszym rzędzie znakomitą pracę znanego ks. Brownlow o cmentarzysku św. Pryscylli i innych nowszych odkryciach Rossi'ego. Pole to główne niez mordowanych usiłowań i trudów wielkiego znawcy katakumb. Nadspodziewane żuwo uwieńczyło tam jego zachody i genialne wnioski. Inskrypcye i graffiti tu odkryte, odsłoniły bodaj wszystkie imiona wspomniane w listach św. Pawła i w Aktach Apostolskich. Znalaziono tu nadto sięgający panowania Antoninów, wizerunek Najświętszej Panny. Praca kanonika Brownlow streszcza dla użytku angielskich czytelników rozległe Rossi'ego zdobycze i pisma.

Jeśli ks. Brownlow nas poznajamia ze starożytnościami chrześcijańskimi, Lanciani czyni to samo dla archeologii pogańskiej. Książka jego, nosząca tytuł: *Ancient Rome*, jest po prostu rekonstrukcją dawnej Romy, za pomocą najnowszych odkryć i wykopalisk. I tak: wodociągi i kloaki staro-rzymskie pozwalają przeniknąć cały system kanalizacyi Wiecznego miasta, odsłonięcie szczątków atrium Westy, wtaje-

mnicza nas w szczególności klauzury kapłanek, gruzy pałacu cesarów służą do ocenienia przyrostu tych gmachów, rozbudowanych na Palatynie przez siedmiu z kolei władców świata. Różne grabarskie roboty w Ostyi podjęte, dają nam zmierzyć trudności zaprowiantowania stolicy, karmionej produktami całej ziemi. Pojedyncze wykopaliska uczą nas to stroju policyjnego w Rzymie, to urządzenia księgozbiorów klasycznych, to dawnego zaludnienia Kampanii, to nareszcie wysokiego stopnia cywilizacji i komfortu u starożytnych. Wśród bezgranicznego zbytku i wszelkich wygod życia, Rzymianie nie umieli sobie tylko zdobyć środków oświetlenia, rozbudowanego na siedmiu pagórkach miasta. Gdy księżyc zaszedł, grube ciemności zalegały ulice i rynki stolicy świata, rozświecone bywały co najwięcej latarkami przechodniów, lub pochodniami senatorskich orszaków. Wśród mnóstwa przeróżnych wykopalisk, nie odnaleziono najmniejszego śladu systematycznego oświetlenia starego Rzymu. Pod wielu względami wyższe od naszych dogodności, na tym punkcie ustawały zgola. Książka Rudolfa Lancianiego jest streszczeniem dokonanych w ostatnich latach robót na klasycznym gruncie, a po trochu i obroną rządu włoskiego, oskarżonego o wandalizmy niczem nieusprawiedliwione, kiedy tymczasem autor niniejszych archeologicznych referatów usiłuje wykazać, iż zdobyte w łonie ziemi łupy, sownie wynagradzają pozorne krzywdy na powierzchni działywane, i że odwieczna to praktyka i tradycja Wiecznego miasta, odradzać się i przekształcać za pomocą materiałów składanych w niem przez pokolenia i wieki.

Do tegoż działu archeologicznych publikacyj mielibyśmy ochotę zaliczyć powieść Farrara, zatytułowaną: *Darkness and Dawn*, czyli „Mrok i Brzask“, tak ściśle uczony autor przystosował do powieściowej osnowy najnowsze odkrycia i badania. Pilny czytelnik archeologicznych biuletynów odnajdzie tu całą, aż do najmniejszego rysu, najdrobniejszego szczegółu, wyłaniającą się z ziemi prawdę dziejową. Mrok, to dogasające w orgiach Neronowego panowania pogaństwo; brzask zaś, świtająca z katakumb jutrzeńka zbawienia. Akcja przenosi nas wciąż z pałacu cesarów w podziemia katakumb, z amfiteatrów lub will patrycyuszów rzymskich do domów pierwszych chrześcijan, gdziekolwiek się oni znajdują, wśród niewolników czy senatorów, u stopni tronu, czy na ostatnim szczeblu społecznym. Odnajdujemy tu wsnute w tok opowiadania wszystkie imiona w listach św. Pawła wspomniane, samże Apostoł narodów kilkakrotnie się przesuwa w trzechtomowej powieści, wespół z św. Piotrem, z św. Jauem, z św. Łukaszem i innymi uczniami.

Na mocy odkryć i genialnych Rossi'ego wniosków, patrzymy na podboje chrześcijaństwa w senatorskich rodzinach Korneliuszów, Acyliuszów, Pomponiuszów. A także po raz pierwszy spotykamy się z domysłem, iż ofiary Neronowej nienawiści i zazdrości, cesarskie Klaudyuszów plemię, Brytannikus i Oktawia, przed tragicznym końcem co ich czekał, przyjęli płynącą od stóp Krzyża pociechę i Prawdę, ukrzepili się na idące uciski i śmierć samą, łącznością z małą trzodą, która tajemnie rozrastała się w katakumbach, aby z nich wyjść zwycięsko i zatknąć tryumfalny Krzyż na Kapitolu. Szale, zwątpienia i bolesne rozczarowanie pogaństwa, którego przesył, smutek i zbrodnie drastycznie tu są przedstawione, uwydatniają się przeciwstawieniem ich pogodzie i cierpliwości, rozradowaniu ducha i wolności synostwa Bożego pierwszych chrześcijan. Przepyszne snują się tu opisy i obrazy, to igrzysk cyrkowych z całą archeologiczną precyzą opowiedzianych, to uczt i biesiad wyprawianych przez Nerona lub jego ulubieńców, to pożaru miasta, na który spogląda sprawca pożogi, powtarzając sobie homeryczny opis zagłady Ilionu, to zabaw wyprawianych w dzisiejszych watykańskich ogrodach, przy świetle żywych pochodni, nierównie jaskrawiej uwidocznionych i odmalowanych przez angielskiego pisarza, aniżeli zimnym pendzlem Siemiradzkiego. Głębokie uczucie religijne ogrzewa te karty i udziela się czytelnikowi. A choć raz po raz pewne różnice egzegetycznego tłumaczenia zdradzają protestanckiego autora i dostojnika anglikańskiego kościoła, całość głębokie i doniosłe sprawia wrażenie, wiele uczy, wiele też w duszy budzi ciepła i zapału. Nie powieść to, lecz raczej odbicie całego okresu dziejów, w którym autor skupił naczelne rysy przełomu, którego w Rzymie Cezarów dokonali rybacy Galilejscy. Rzecz się rozpoczyna z śmiercią Klaudyusza otrutego przez Agrypinę, a kończy sromotnem samobójstwem Nerona i domówieniem uzupełniającem opowiadanie dalszemi losami osób, które się w niem przemknęły, oraz hymnem tryumfu na cześć zwycięstw chrześcijaństwa, którego brzask nad siedmiu pagórkami za dni apokaliptycznego panowania Nerona zaświtał. Wobec agnostycyzmu, któremu tyle umysłów w Anglii hołduje, podniosłe brzmi hartowna autora pobudka do uznania, że wszystko co od dwóch tysięcy lat pojawiło się na ziemi dobrego, pięknego, szlachetnego i skutecznego, zawsze z chrześcijaństwa brało swój początek, natchnienie i uwieńczenie, a bez chrześcijaństwa nie byłoby się wcale znalazło ani zrobiło. A wnioski te i wywody dowodzą, jak dalece Farrar postąpił naprzód w kierunku przekonań ściśle chrześcijań-

skich, od czasu napisania wspomnianego poprzednio Żywotu Chrystusa Pana, na którym racjonalizm epoki wycisnął był swoje piętno niezaprzeczone.

M.

Z literatury prawosławno-rosyjskiej.

Projekt utworzenia Kościoła polsko-prawosławnego. — Początki chrześcijaństwa w Polsce. — Akta, odnoszące się do dziejów dyecezyi chełmskiej. — Szlachta polska w gubernii kijowskiej na początku XIX. wieku.

Z niezmiernie ciekawemi, a nawet symptomatycznemi objawami spotykamy się w prasie i literaturze rosyjskiej czasów ostatnich. Choć o jednym z nich były już krótsze lub obszerniejsze wzmianki w naszych dziennikach i czasopismach, to jednak poczuwamy się do obowiązku zwrócenia nań uwagi i czytelników *Przeglądu Powszechnego*.

Z nader oryginalnym pomysłem wystąpił właśnie dziennik panslawistyczny *Świat*, wychodzący w Petersburgu pod redakcją W. W. Komarowa. W trzech numerach tego dziennika (262—264) z pierwszych dni grudnia roku minionego pojawił się anonimowy artykuł, umieszczony na naczelnem miejscu, pod tytułem: „Czy możliwą jest polska Cerkiew prawosławna?“ Na postawione w ten sposób pytanie, autor nie tylko odpowiada twierdząco, ale szuka dlań podstaw rzekomo historycznych w przeszłości, a w teraźniejszości — materiału do wystawienia swej fantastycznej budowy.

W swych wywodach i kombinacjach kościelno-narodowych proponuje rozwiązanie kwestyi polskiej na zupełnie odmiennej drodze, niż dotychczas. Zamiast usiłowań polityki rosyjskiej, zmierzających już od ćwierci wieku do „odpolszczenia katolicyzmu“, proponuje inną drogę — „odkatoliczenie Polski“; zamiast łamać sobie głowę nad stworzeniem „papizmu rosyjskiego“, należałoby — jego zdaniem — pomyśleć raczej o powołaniu do życia „polonizmu prawosławnego“.

Dla zrealizowania tej ostatniej myśli istnieje nawet grunt „święty“, jednakowo drogi dla Polaków i Rosyan, to jest — idea śś. Cyryla i Metodego. Na nim bowiem da się dokonać pojednanie Polaków z Rosyanami „w duchu miłości i prawdy“. Na wzmiankę o tych świętych patronach słowiańskich — pisze autor — powstaje w umyśle wyobrażenie o samoistnych i równouprawnionych Kościołach: rosyjskim, serbskim, bułgarskim, czeskim, a wreszcie polskim, zespolonych w jedną wielką, „ortodoksyjną Słowiańszczyznę“.

Autor przewiduje, że Cerkiew polsko-prawosławna, zorganizowana pod protektoratem Rosyi, może stanowić punkt oparcia dla narodowości polskiej. Pomimo to nie widzi w niej niebezpieczeństwa dla idei państwowej rosyjskiej. Cała istota dziejów Polski — w jego przekonaniu — polegała na służeniu interesom Rzymu, wskutek czego Polska była zawsze wrogiem Rosyi, a w walce z nią utraciła byt polityczny. Jeżeli dzisiaj nawet Polacy-katolicy gotowi iść politycznie ręką w rękę z Rosyą, to cóż i mówić o Polakach wyznania prawosławnego?

W dalszym ciągu autor stara się wyjaśnić, w jaki to sposób mogłaby powstać polsko-prawosławna Cerkiew i jakąby była jej organizacja. Jeżeli oznaką czystego, nieskażonego ducha ortodoksyjnego ma być symbol wiary nicejski, to wystarcza najzupełniej, aby kler polski i ludzie świeccy „wrócili“ do tego symbolu, jak to uczynili starokatolicy niemieccy, szwajcarscy i holenderscy. Nowo organizującej się Cerkwi należałoby zostawić swobodę odrzucenia z rytuału cerkiewnego wszystkich nowatorstw łacińskich, niezgodnych z „prawdziwym duchem kościelnym“, co dałoby się dokonać powoli, stopniowo, w porozumieniu z owczarnią, a nie przemocą, „po rzymsku“. Ze strony Cerkwi prawosławno-rosyjskiej wystarczyłoby dać tylko swe zezwolenie, a ze strony rządu — przyznać członkom i wyznawcom nowej Cerkwi prawa równouprawnionych obywateli państwa, chociażby i narodowości polskiej.

Że projekt ten nie jest bynajmniej utopią, autor powołuje się na przykłady z przeszłości. Na jeden z nich — wymagający sprostowania, a pominięty przez wszystkich, którzy zdawali sprawę z artykułów *Świeta* — winniśmy zwrócić szczególniejszą uwagę. Dążenie do oderwania się od Rzymu miało się objawić — raz jeden wprowadzić — nawet w rzymsko-katolickiej warszawskiej metropolii. I potrzeba było aż wyraźnego zakazu ze strony rosyjskiej władzy państwowej, motywowanego „wiernością traktatom“ — zapewnia autor — aby na tej drodze powstrzymać kler polski.

Organizacja Cerkwi polskiej nie przedstawiałaby, w przekonaniu autora, wielkiej trudności. Na jej czele stanąłby, obrany przez samą Cerkiew, a potwierdzony przez władzę państwową, metropolita czy też patriarchy, pod nim biskupi dyecezalni, zbierający się od czasu do czasu na lokalne sobory. Niższe duchowieństwo — bezżenne w stanie obecnym, żonate lub bezżenne przy dalszych wyświęceniach — postawione w zależność od uchwał Cerkwi i głosu parafian. Strona obrzęd-

dowa i porządek cerkiewny pozostawiony decyzji samejże społeczności wiernych.

Możnaby powiedzieć: to unia. Jeżeli słowo to wydaje się komu straszmem, — pisze autor — to poszukajmy drugiego. Unia, stworzona przez papieży, była oburzającą w swej idei, lecz nie w formie. W tę głęboko obmyślaną i rozumną formę wcielić należy treść zupełnie odmienną. Unia rzymska pozostawiała prawosławnym samoistność Cerkwi, język i obrzędy, lecz tłumiała ducha ortodoksyi. Unia zaś prawosławna dążyć będzie li tylko do wyzwolenia tego stłumionego ducha, do wrócenia go prawdzie, a zachowa się z tolerancją wobec obrządków, które mają za sobą długą, powszechno-narodową tradycję i do pewnego stopnia zrosły się z Cerkwią miejscową.

Na pytanie, jak się względem tych pomysłów zachowa kler polski, odpowiada autor, iż w jego łonie znajdują się żywioly, które mogą być dobrymi pracownikami na tej niwie. Nie będziemy ich potępiać — powiada dalej — jeżeli oprócz poznania prawdy religijnej przymiesza się tutaj nieco polityki, jako chęć wzmocnienia narodowości polskiej. Przejrzawszy polemikę dzienników polskich z powodu starokatolicyzmu, autor zapewnia, iż bardzo poważne i wpływowe głosy z pośród duchowieństwa potępiały wówczas aspiracye watykańskie z r. 1870. Nie przywiązując wagi nawet do tego, że współpracownikami Piusa IX. byli wówczas Polacy, a radzi nie zapominać o tem, iż pomiędzy Polakami zakordonowymi i ultramontanami, a Polakami warszawskimi zachodzi ogromna różnica.

Jeżeli w tym kierunku ruch się rozpocznie, przeważna część społeczeństwa polskiego, oprócz kilku może rodzin magnackich, stanie po jego stronie. Pod naciskiem społeczeństwa, silniejszy jakiś opór ze strony duchowieństwa nie da się nawet pomyśleć. Ażeby jednak ruch ten znalazł poparcie społeczeństwa, należy dać mu do zrozumienia, że z oderwaniem się od Rzymu nie wyniknie dla narodowości polskiej żadne niebezpieczeństwo, lecz przeciwnie stworzą się dla niej nowe, silne podstawy. Autor radzi nie zapominać, iż Polacy stracili zaufanie do Rzymu od czasu ugody Leona XIII. z rządem niemieckim, a imputuje im przekonanie, iż gdyby dyplomacya rosyjska posiadała więcej zręczności i wytrwałości, oddawna zawarłaby z Papieżem taki układ, którego ofiarą staliby się Polacy, jako narodowość.

Autor zastrzega się przeciwko posądzeniu, jakoby przez wytworzenie Cerkwi polsko-prawosławnej święte i wieczne interesa Kościoła chciał podporządkowywać doczesnym i egoistycznym celom pansławizmu

politycznego. Zapewnia, iż wręcz przeciwnie — tylko szczerą i gorącą chęć oddania usług Cerkwi prawosławnej skłania go do popatrzenia z tej strony na kwestyę polską. Tutaj schodzą się dwa pragnienia: Polacy pragną zachować i zabezpieczyć swą egzystencyę plemienną, ocalić swą narodowość; my zaś (Rosyanie) odpowiadamy, iż cel ten godzien szacunku, lecz da się osiągnąć tylko przy innym wielkim i świętym celu — duchowego zjednoczenia z prawosławno-słowiańskim światem.

W dalszym ciągu stara się autor udowodnić, że Polacy zaczynają już pojmować i korzystać z lekcyj historii; nie należy ich potępiać za to, jeżeli odrzucają związek z Rzymem „nie tylko dla jego błędów, lecz w interesie swego plemienia, dla którego prawosławie lub nawet starokatolicyzm w jedności z prawosławiem stworzyć mogą trwałą punkt oparcia“.

Powrót Polski do jedności powszechno-soborowej możebnym byłby i wówczas, gdyby Cerkiew prawosławno-rosyjska nie chciała dopuścić do unii z Cerkwią polską, odrzucającą Papieża, a wracającą do symbolu nicejskiego, lecz zatrzymującą różnice liturgiczne i obrzędy. Ale i w takim wypadku znajdzie się droga, droga długa i daleka, lecz w końcu wiodąca do celu. Wówczas winniśmy stworzyć prawdziwe polskie prawosławie, bez odrębnej organizacyi kościelno-miejscowej, lecz w każdym razie z przyznaniem plemiennych praw narodowości polskiej i z całkowitem zapewnieniem poparcia ze strony Cerkwi prawosławno-rosyjskiej.

I dla podobnej formy rozwiązania omawianej kwestyi znajdują się żywioły w rosyjskiej Polsce. Prawosławie nie zna „trój-języcznej herezy“. Język cerkiewno-słowiański nie może w nabożeństwie prawosławnem odegrywać roli języka łacińskiego w nabożeństwie rzymskiem. Cóżby np. powiedzieć o liturgii prawosławnej w języku polskim? Czyżby to było rzeczą niewykonalną?

A jeżeli to nie jest niemożliwem (Estowie, Łotyśze i Finnowie mają liturgię prawosławną w swym ojczystym języku), więc możebną jest i polska liturgia prawosławna i chociażby jeden tylko polsko-prawosławny archijerej w takim centrum czysto polkiem jak Warszawa, podwładny św. Synodowi, lecz korzystający z równych praw i zaszczytów z innymi władzami rosyjskimi.

Dla polsko-prawosławnej Cerkwi są już — jak twierdzi autor — dwa ważne zawiązki. Jeden z 10 lub 12 tysięcy Polaków wyznania prawosławnego w Warszawie, którzy w latach ostatnich przyjęli to

wyznanie. W chwili obecnej położenie ich jest przykrem i trudnem, ponieważ prześladują ich swoi, a prześladują nie za odstępstwo od wiary, lecz za odstępstwo od swej narodowości; dziś w oczach Polaka prawosławie jest wiarą wyłącznie rosyjską, a Polak wyznania prawosławnego staje się przeto podwójnym wrogiem Polski. Czyż to stan normalny? Czyżby nie należało postępować w sposób wręcz przeciwny?

Przy polskim języku liturgicznym, chociażby tylko w jednym z kościołów warszawskich, przy władcyce-Polaku, równouprawnionym z innymi władzkami rosyjskimi, położenie tej owczarni będzie zupełnie innem. Dziś w oczach swych współrodaków — to zdrajcy; jutro utworzą jądro nowej, prawosławnej Polski, a zbrojni świadectwami dziejowemi, spojrzą dumnie w oczy swym oskarżycielom. Pierwszym ich obowiązkiem będzie — pracować również nad wzmocnieniem swej narodowości, nad wskrzeszeniem nowej, dawno pożądaney, prawosławnej Polski pod berłem Rosyi, a nam nie pozostanie nic innego, jak się tylko z tego cieszyć.

Czyż nie jest to rzeczą jasną, iż pierwsze słowo archijereja polskiego, zwrócone w cerkwi prawosławnej po polsku do jego polskiej owczarni, wywoła przestрах i w Rzymie, i w katolickiej Warszawie, i w Niemczech, i w Austryi? Dzisiejszy ścisły, ale sztuczny związek pomiędzy katolicyzmem i narodowością polską będzie podcięty. Wówczas to — powiada autor — wyjdzie na jaw, kto trzyma z Rzymem z powodu wiary, a kto z rachuby politycznej. Będziemy zdumieni, jak wielu jest ostatnich, a jak uderzająco mało pierwszych.

Drugim jądrem polskiego prawosławia — to ludność mazurska, nawrócona z unii na prawosławie w jednej części gubernii siedleckiej. To nie są Małorusini, lecz rdzenni, czystej krwi Polacy, jak o tem zapewniał mię w swych listach archimandryta Antoniusz, obecny rektor moskiewskiej akademii duchownej. Tam, aczkolwiek ludność nieznaczna, należałoby utworzyć polsko-prawosławną katedrę biskupią. To wywarłoby także wpływ potężny na Polaków naszych i zakordonowych, składając im dowody, że Cerkiew prawosławna żywi miłość ku każdej narodowości i nie myśli wcale o jej prześladowaniu. Wywarłoby to wpływ dobroczynny i na całą Słowiańszczyznę.

Pomijając dalsze wywody autora, — zresztą dosyć ciekawe — w których wyznaje otwarcie, iż dotychczasowy system rusyfikacyjny w Królestwie i innych ziemiach polskich oczekiwanych owoców nie

przyniósł, albowiem — jak to można obserwować na technikach, lekarzach i urzędnikach-Polakach w głębi Rosyi — stworzył z nich jakiś osobny rodzaj ludzi, jakichś „nierozwiniętych Polaków“, którzy Rosyanami są „tylko z pozoru“, „z powierzchowności“, o tyle, o ile tego potrzeba dla przełożonych, — przechodzimy do końcowych wniosków, zawartych w tych artykułach panslawistycznego organu. Autor ich broni się, o ile tylko może, przed zarzutami lekkomyślności politycznej i zbytecznej łatwowierności ku „przebiegłym i chytrym“ Polakom. Przeciwno temu zarzutowi powołuje się na tendencje *Chwili*, redagowanej przez Walerego Przyborowskiego, do której pisywał i sam autor artykułów *Świeta*; dalej na znaną broszurę p. Lichtańskiego. Po tych, zresztą nader skąpych, dowodach możności zrealizowania wypowiedzianych powyżej pomysłów, kończy następnemi słowy: „Nie my, to nasi potomkowie ujrzą prawosławną Polskę w jedności braterskiej z prawosławną Rosyą i w harmonijnym soborze świata prawosławnego. Nie da się to zrobić, będziemy tego pragnąć: nie można ujrzeć, będziemy przewidywać...“

„Nie odpolszczenie zatem papizmu, — reasumuje swe poglądy — nie walka z polonizmem wraz z zamiarem przeciągnięcia na swą stronę Rzymu, lecz walka z Rzymem w ścisłym sojuszu z Polakami, czyli odkatoliczenie Polski. Wszedłszy na tę ostatnią drogę, doznamy natychmiast wielkiej moralnej ulgi. Błogo służyć wielkiemu i świętemu celowi, błogo oddziaływać miłością, błogo wytwarzać dobre uczucia...“

W pewnym związku moralnym z powyższemi wywodami *Świeta* pozostaje praca Anatola Sakowicza pod tytułem: „Początki chrześcijaństwa w Polsce i stopniowe jego szerzenie się w pierwotnym okresie państwa polskiego“ (*Nacząto chrystijanstwa w Polsce i stiepień jeho posledujuszczawo razprostranienija w pierwonaczalnuju epochu suszczestwowanija polskawo gosudarstwa*. Wilno. 1892).

Rozwlekłym jest tytuł tej najnowszej pracy historyografii rosyjsko-wileńskiej z zakresu badań nad przeszłością naszą, a treść jej nad wyraz bałamutna i tendencyjna. Krótkie streszczenie i zaznaczenie jej wyników rzekomo naukowych najzupełniej wystarczy do przekonania czytelników, z jakiej kuźni wyszła ta nowa broń, wymierzona przeciwko katolickiej przeszłości narodu polskiego.

Pan Sakowicz z góry oświadcza, — z wielkiem zarozumieniem o wartości swych badań naukowych — iż najdawniejszą formą chrześcijaństwa polskiego było „wschodnie prawosławie“, który to aksyomat historycy i kronikarze polscy, zaślepieni oczywiście łacinizmem, starali

się ukryć wszelkimi sposoby, a nadać katolicyzmowi charakter religii pierwotnej (str. 26). Naturalnie, że p. Sakowicz przypisuje sobie zasługę, iż prawdę tę ze źródeł historycznych wydobył, i dowiódł, jakoby przed chrztem Mieczysława I., to jest od czasów śś. Cyryla i Metodego, wiara chrześcijańska liczyła w Polsce wielu wyznawców, którzy należeli do kościoła prawosławnego.

Autor rosyjski przedstawia nawet chronologiczny obraz pojawienia się i wzrostu chrześcijaństwa w Polsce, o czym historycy i kronikarze polscy albo wcale nie wiedzieli, albo — jeżeli i wiedzieli — to starali się go ukryć. Prawosławie znajduje w Polsce wyznawców — czytamy tamże — już za czasów Ziemowita, syna wieśniaka — Piasta, tj. około połowy wieku IX., a księcia pogańskiego Popiela, mieszkającego „nad Wisłą“, nawrócił św. Metody (str. 41). Jakkolwiek autor ma niezachwianą pewność o słuszności swych wywodów historycznych, to gotów jednak dla ich poparcia powołać się na świadectwo następujących historyków polskich: Friesego, Pietruszewicza i Łotockiego!

Najwięcej jednak do utrwalenia i upowszechnienia prawosławia w Polsce przyczynił się nie kto inny, jeno tylko Mieczysław I., który i sam przyjął chrzest w roku 960 według obrządku wschodniego, za wpływem swej małżonki Dombrowki czyli Dobroniki (str. 60—61). To też pierwsze 9 domów Bożych, które ten monarcha wystawił w Polsce, jakoto: w Gnieźnie, Krakowie, Poznaniu, Kruszwicy, Smogorzewie, Płocku, Chełmie, Kamieńcu i Lubuszy, były cerkwiemi prawosławnymi, a w nich nabożeństwo odprawiało się w języku słowiańskim.

I wszystko poszłoby w Polsce jak najlepiej, po myśli zapewne dzisiejszych panslawistów i św. Synodu petersburskiego, gdyby nie Niemcy. Ich to niezmordowanym staraniem było dostać się do młodej Polski, utrwalić tam łacinizm, a wyprzeć prawosławie. Zbrojni pychą, otoczeni pompą i próżnością, znacząc swą drogę gwałtami i przemocą, pojawili się w ziemiach polskich misjonarze-łacinnicy i rozpoczęli propagandę katolicyzmu w języku łacińskim, niezrozumiałym dla narodu. Zgodnie z dzisiejszą tendencją sfer rządzących rosyjskich, twierdzi pan Sakowicz, że ludność wiejska polska okazywała niechęć do Niemców-katolików, ale za to panom, „szlachectwu“, przypadł do smaku i obyczaju zachodni katolicyzm.

Po stronie zachodniego katolicyzmu stanął i Bolesław Chrobry, król polski. Budując swą potęgę polityczną na sile Zachodu, popierał misjonarzy łacińskich, a przedewszystkiem „niejakiegoś Wojciecha“.

którego Niemcy-katolicy wysłali jakoby do Polski, celem nawrócenia jej na wiarę łacińską. Przybywszy tam, św. Wojciech „wymordował prawowiernych (wschodnich) biskupów“ (str. 49).

Odtańd — powiada autor — rozpoczyna się jawny ucisk prawosławnych w Polsce, który przy następnych królach wzmaga się coraz bardziej, zanim, po upływie wieków kilku, nie zakończył się pogłównem ich wytepieniem lub nawróceniem na łacinizm.

Nie wdając się wcale w polemikę z p. Sakowiczem — bo byłaby ona tutaj całkowicie zbyteczną — chciałem jednak zwrócić uwagę na tę okoliczność, iż aspiracye w rodzaju tych, jakie wypowiedział bezimienny autor artykułów *Świeta*, nie są widocznie czemś odosobnionem, wyjątkowem, ale objawem symptomatycznym, szukającym dla siebie podstawy w zamierzchłej przeszłości...

Do rzędu poważniejszych wydawnictw na polu historii kościelnej zaliczyć należy świeżo wyszły w Wilnie XIX-ty tom „Aktów, wydawanych przez wileńską Komisję archeograficzną“. Obejmuje on akta, odnoszące się do historii byłej dyecezyi chełmskiej. Zebraniem i wydaniem takowych zajmował się p. Benedykt Płoszczański, redaktor niegdyś *Słowa* galicyjskiego, który, po procesie Olgi Hrabar i towarzyszy, emigrował do Rosyi i osiadł stale w Wilnie.

Jakkolwiek w uwagach, oświetlających i wyjaśniających znaczenie ogłoszonych drukiem aktów, p. Płoszczański nietylko pozostał wierny poglądom i uczuciom dawnego stronnictwa świętojurskiego, lecz spotęgował je jeszcze przez wzgląd na swych dzisiejszych chlebobodawców, to jednak w wydanych tomie „Aktów“ Komisyi archeograficznej umieścił materyał i ważny i pożądany dla historyków unii kościelnej na Rusi, a specyalnie dyecezyi chełmskiej. Czy do tego tomu weszły wszystkie ważniejsze akta sądowe chełmskie, przechowywane obecnie w wileńskiem Archiwum centralnem, a odnoszące się do dziejów byłej unickiej dyecezyi chełmskiej, wątpić o tem możemy, pomnąc, iż wydawca był zawsze na swój sposób więcej politykiem, niż historykiem.

Nie wchodząc w bliższy rozbiór „Aktów“ chełmskich, zanotować winienem, iż dadzą się one według treści podzielić na następujące rubryki: a) wyznanie rzymsko-katolickie i jego przedstawiciele w dyecezyi chełmskiej, wraz z wykazem biskupów rzymsko-katolickich tejże dyecezyi od r. 1420—1620; b) Kościół wschodni i obrządek grecko-katolicki w dyecezyi chełmskiej; c) dobra biskupie i wogóle kościelne obu obrządków w tejże dyecezyi: z daleko większą oczywiście starannością nagromadził wydawca materyał do wykazania stanu majątkowego władyków

chełmskich, kiedy jeszcze należeli do Kościoła wschodniego. Oto szereg wsi, posiadanych przez nich w różnych okresach dziejów tej dyecezyi: Pokrówka, Strzyżów, Ślepece, Kosmów, Cucniewo, Butyn, Żuków, Niewiarków, Pławanicze, Czeszyn, Białopole i Buśno; z tego widać, że wyposażenie władyków było za czasów polskich więcej niż dostateczne, a jeżeli niektóre z tych dóbr przeszły potem w obce ręce, to stało się to prawie zawsze z wolnej woli, a niekiedy i z winy władyków (władyka Filaret sprzedał Żuków i Niewiarków); *d*) poczet dostojników schyzmatyckich na stolicy biskupiej od r. 1432—1603. Charakterystyka tych ostatnich wypada w „Przedmowie“, nakreślonej przez wydawcę do tego tomu „Aktów“, bardzo dla nich niepoehlebnie. „Byli to — pisze p. Płoszczański — dostojnicy niezbyt wielkiej wartości moralnej, niezbyt wysokiego stopnia wykształcenia i wiedzy; nie żarliwi i utalentowani nauczyciele i przodownicy narodu ruskiego, lecz smutne objawy tego otoczenia, z którego wyszli. Interesa drobnej szlachty; próżność małomieszczańska, spory, procesy, nieustanne włozenie się po sądach z pobudek i interesów czysto osobistych — oto główne rysy ich działalności“. Krótki życiorys każdego z nich, nakreślony w „Przedmowie“, potwierdza najzupełniej powyższą ogólną charakterystykę. Jako szczegół dosyć ważny zanotować należy, że najkorzystniej z tego pocztu przedstawia się Dyonizy Zbirujski, ostatni władyka schyzmatycki, a pierwszy unicki tej dyecezyi.

Stan umysłowo-moralny dyecezyi chełmskiej i mała wartość władyków schyzmatyckich dowodzą najlepiej potrzeby unii kościelnej i ożywczonego wpływu religijnego naszego Kościoła. Wydobywając z wydanych „Aktów“ chełmskich wiele cennych szczegółów, autor, wbrew może własnej woli, oddał pewne usługi obrońcom unii brzeskiej.

W listopadowym zeszycie *Kijewskiej Stariny* (r. 1892) znajdujemy ciekawy obrazek stosunków narodowo-politycznych i społecznych Kijowa i t. zw. „kraju południowo-zachodniego“, to jest Ukrainy, Wołyńia i Podola, w pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku.

Po wstąpieniu na tron Pawła I., a potem Aleksandra I., położenie ludności polskiej w zabranych prowincjach znacznie się polepszyło. Zachowanie się najwybitniejszych jednostek z pośród ówczesnej szlachty polskiej wobec rządu i jego przedstawicieli świadczy najlepiej, że Polacy nie grzeszyli chyba brakiem wdzięczności, jeżeli choć w skromnej mierze znajdowali uznanie dla swych praw i potrzeb narodowych. Najlepszym tego dowodem jest przytoczona w tej pracy mowa p. Chojeckiego, marszałka szlachty powiatu wasylkowskiego,

zwrócona do gubernatora kijowskiego, w której podnosi wszystkie łaski, doznane przez Polaków od Aleksandra I., tego „najlepszego w świecie monarchy“, a głównie sądownictwo w języku polskim. Przy tej sposobności wyraził p. Chojcecki uznanie dla gubernatora kijowskiego, tajnego radcy Pankratiewa, który w r. 1806 zapewnił monarchę o wierności i lojalności względem rządu ludności polskiej w „kraju południowo-zachodnim“ i przyjął na siebie za jej zachowanie się całkowitą odpowiedzialność. Końcowy ustęp tego przemówienia, w imieniu szlachty polskiej na Ukrainie, przytaczam dosłownie: „Panie gubernatorze! — rzekł p. marszałek — dostojne twe czyny i obecne wspaniałomyślne poręczenie za nas przed najmiłościwszym monarchą przechowają sławę twą z pokolenia w pokolenie, iż za twych rządów Polacy pod każdym względem byli szczęśliwi i spokojni, a dzieci nasze twym dzieciom wdzięczność okazywać będą“.

W roku 1809 szlachta gubernii kijowskiej ofiarowała temuż Pankratiewowi złotą tabakierkę z napisem w języku polskim, ułożonym z drobnych brylantów: „Za cnoty i prace — od szlachty kijowskiej“. W marcu roku następnego — czytamy w dalszym ciągu — Polacy z wielkim przepychem grzebali swego przyjaciela, przyczem prezes sądu cywilnego, p. Proskura, wypowiedział nad jego grobem piękną mowę w języku polskim.

Gdy się dowiedziano, że zmarły gubernator nie zostawił swym dzieciom żadnego majątku, szlachta gubernii kijowskiej, zjechawszy się w r. 1811 na wybory, powzięła następującą uchwałę: Bezinteresowne i godne uznania wykonywanie obowiązków przez zmarłego kijowskiego gubernatora, P. P. Pankratiewa, wywołało powszechny żal po jego śmierci. Oprócz dobrej sławy wzorowego naczelnika, zasłużył on pod wielu względami na to, abyśmy pamiętali o rodzinie pozostałej po nim w ubóstwie; dlatego, jakoteż i „dla zachęty innych, jemu podobnych“, zgromadzenie uchwala: utworzyć kapitał na utrzymanie dzieci zmarłego gubernatora, ofiarowawszy w tym celu po pięć kopiejek od rubla z sumy, jaka należy się szlachcie całej gubernii od skarbu za dostarczanie prowiantu wojskom.

A. Szarłowski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Objawy przyjaźni Aleksandra III. dla katolicyzmu. — Po liście do hr. de Mun. — W Izbie niższej francuskiej. — W Izbie wyższej.

OBJAWY
PRZYJAŹNI
ALEKSANDRA III.
DLA KATOLICYZMU. I na niebie marcowem i na świecie dyplomatycznym w tym miesiącu panowała zmienna pogoda; ale ostatki dni zimowych pewnie zwiastowały wiosnę już bliską: szary widnokrąg polityczny nie budził dla Kościoła pewnej nadziei, że prędko nad nim zejdzie słońce pogodne. Wypadki niektóre zaczynają wróżyć obrót pomyślny dla Kościoła, ale ich wróżby brzmią cicho albo zagadkowo: inne przychodzą w złowieszczej postaci zaciągać nad Rzymem coraz groźniejsze chmury ze wschodu i zachodu.

Od Wschodu nie przestają dolatywać do Rzymu pogłoski, że odszczepieńcy chętnie wróciliby pod rządy Stolicy Apostolskiej. Ateńskie dzienniki *Θήρα* i *Αρόπολις*, stają na czele zwiastunów tej zgody Kościołów. Ale w ich opisach przezierają podejrzane znaki: ni stąd ni zowąd wypływa na wierzch Petersburg w bardzo pochlebnem świetle; tu przychodzi wzmianka o jego szlachetnych zamiarach względem Rzymu, tam brzmi szumna pochwała pomyślnego stanu cerkwi pod rządem Pobiedonoscewa: czyżby i do nich przemawiał piętężnymi dowodami wysłaniec z nad Newy, jak kusił redakcyę *Diritto di Roma*?

Także włoskie pisma opierają nadzieje Unii kościelnej głównie na postawie dworu petersburskiego. Pomyślny stamtąd wiatr wieje, za ich świadectwem. Do głosów katolickich, z powodu jubileuszu wznoszonych po kościołach w Petersburgu, Wilnie, Warszawie i t. d., nawet Новое Время dołączyło głos pochwalny dla Leona XIII. i uznało w nim następcę Piotra św. W Petersburgu ma stanąć drugi kościół katolicki. Słowem, jak pisze jeden z dzienników zachwyconych Izwolskim, wpływowe koła na Północy zajęły życzliwą postawę dla katolicyzmu, nawet dla Polaków, którzy oddychają coraz wolniejszą piersią, i lada dzień przywrócą im wszelką swobodę i zupełnie pogodzą „zwycięznych“ ze „zwycięzcami“ (!).

Żeby poprzeć czynami szczerą chęć do zgody z Rzymem, Aleksander III. nie poprzestał na własnem państwie: powiódł okiem po niepodległych Słowianach i wybrał Bułgaryę, żeby na niej wyrzucić wpływ pożądany. A nie można zaprzeczyć, że w Bułgarii każdy znajdzie żyzne pole do pracy, kto chce służyć sprawie zjednoczenia Kościołów. Myśl o niem nurtuje w umysłach dzielnego narodu.

W Filipopolu np. Bułgarzy w święto uroczyste, znenacka, przed świtem naszli grecką cerkiew. Po nich zaczęli nadchodzić Grecy, ale zastali cerkiew przepełnioną, a bułgarski pop Marko odprawiał już nabożeństwo ze słowiańskimi śpiewami. Po nabożeństwie Bułgarzy cerkiew zamknęli, zdumionym Grekom nie oddali kluczków, zanieśli je do swojego metropolity i oświadczyli, że zabrali cerkiew Grekom za to, że ci na bułgarskiej ziemi podczas nabożeństwa wspominają imię cudzoziemca, carogrodzkiego patriarchy. Grecy wezwali na obronę prefekta, ale Bułgarzy zażądali od metropolity parocha do zabranej cerkwi i zapowiedzieli, że w niej, po słowiańskiem nabożeństwie pozwolą także Grekom odprawiać swoje, byleby Grecy uroczystie obiecali wspominać przy modlitwach bułgarskiego egzarchę i księcia Ferdynanda, a nie patriarchę swojego. Metropolita z prefektem nie śmieli na to przystać, ale Bułgarzy powtórzyli, że od zamiaru odstąpić nie myślą, a jeżeliby im nie ustąpiły władze, poradzą sobie sami: znajdują w Rzymie Głowę chrześcijaństwa; pod

jej posłuszeństwem gotowi wyznawać wiarę, wolą słyszeć przy nabożeństwie modlitwę za Ojca ludów, aniżeli za greckiego patriarchy. Takiego obrotu sprawy nie pragnęli metropolita i prefekt; po krótkim namyśle ustąpili Bułgarom.

Także w Tyrnawie wypowiedzieli Bułgarzy posłuszeństwo schyzmatyckiemu metropolicie, który w cerkwi potępił księcia za zmianę konstytucyi w duchu przepisów Kościoła Powszechnego. Po nabożeństwie, parotysiyczny tłum stanął przed nim z pytaniem, czy jeszcze raz przemówi w tym samym duchu. Metropolita zaręczył, że nigdy nie przestanie walczyć przeciw katolickiej dynastyi w Bułgarii. Ta zapowiedź tak oburzyła Bułgarów, że o nic nie pytając, zamknęli metropolitę w monasterze. Rosyjskie dzienniki przepowiadają, że ta sama dola czeka jeszcze dwóch władyków z tego samego powodu.

Kiedy Bułgarzy tak śmiało poczynają sobie z obrońcami schyzmy, Aleksander III. dodał otuchy tym pismom, które po nim oczekują, że rychło sam na czele państwa swojego uzna Papieża Głową zjednoczonego Chrześcijaństwa.

Nie od razu mocarz północny śmiało jawnie walczyć przeciw powiewom katolicyzmu w Bułgarii. Najprzód egzarcha tego kraju wysłał ze Stambułu do rządu protest, z powodu zmiany konstytucyi. Stambułow zbył protest uwagą, że wewnętrzne stosunki bułgarskie nie należą do zamieszkałych w Stambule władyków. Egzarcha przedstawił, że chętnie zjedzie do Sofii, żeby na czele synodu osądzić zmianę konstytucyi ze stanowiska kościelnego. Stambułow poprosił, żeby duchowieństwo nie wydawało sądu o politycznych uchwałach sobrania. Egzarcha zapowiedział, że do Carogrodu zwoła Bułgarów na naradę. Tu już petersburskie wpływy wyszły na jaw: Nelidow nie szczędził zachodów, żeby doprowadzić do skutku zjazd w Carogrodzie, ale Stambułow dokazał swego: sułtan na zjazd nie pozwolił.

Wtenczas egzarcha wysłał na ręce Partheniosa, metropolity sofijskiego, list do księcia Ferdynanda, w którym twierdzi, że całe duchowieństwo bułgarskie musi stawić opór zmianie konstytucyi, że kościół bułgarski zawsze walczył z rzymskim i jego zaborczemi wycieczkami na Wschód, że serce bułgarskie wy-

maga tej walki, ją popierać powinna dynastia, bo inaczej kościół narodowy traci obrońców, dynastia naraża powagę swoją, naród ponosi szkody.

Książę kazał ten list zwrócić egzarsze z pytaniem do niego, czemu używa pośredników, zamiast pisać wprost do swojego księcia.

Tak zagadnięty egzarcha, prostodusznie wyznał, że nie śmie stawiać kroku bez Nelidowa, i odstąpił dalszego głosu w tej sprawie samemu dworowi petersburskiemu.

Znana nota urzędowa gabinetu samodzierżcy, pełna gniewu na Bułgaryę za porażkę schyzmy, prawie z pogroźkami wspomina o katolickiej dynastyi w Sofii: któżby jeszcze wątpił, jak szczerze car sprzyja katolicyzmowi! — Nie w takim świetle przedstawiają wpływ Północy włoskie dzienniki, które wróżą coraz śmieiej, że po wiekowej walce zwycięży upartych myśl poczęta na soborze florenckim. Wskazówek nie brak, że nad Dunajem i dalej na Wschód ta myśl zapuściłaby korzenie, ale chyba, gdyby nad Newą nie panowała dotąd obłudna polityka Iwana Groźnego. Dziś jeszcze nie świta z Północy pogodne słońce nad Watykanem.

PO LIŚCIE DO HR. DE MUN. Ale i na Zachodzie, nie bardzo pomyslnie wypadki więcej grożą burzami, aniżeli zapowiadają świt nowej doby dla Kościoła. Przedewszystkiem Francya dotąd nie umie wyraźnie zaznaczyć, jaką drogę obierze, żeby wybrnąć z trzęsawiska, na które zawlekli ją oportuniści. Od kilku tygodni nieszczęśliwy a wielki naród stoi bezradnie na błędnym rozdrożu; jedni wyciągają nieśmiało dłonie do Leona XIII., drudzy powtarzają za braćmi fartuszkowymi hasła bezbożne.

Po liście do hr. de Mun, wiele pism wystąpiło z uwagami dość przychylnemi dla Leona XIII. Nikogo nie zadziwiło, że garstka radykałów spisywała swoje uwagi piórem nie w miodzie maczanem; ale uderzyć musiała postawa pism monarchicznych, które dawniej nie szukały bawelny, żeby obwijać ostrze pocisków, wymierzanych na demokratycznego Papieża. Teraz poznać można po dziennikach legitymistów, że nawet w ich obozie za-

czynają mówić o polityce papieskiej bez marsa na czole. Nawet organ hr. Paryża, *La correspondance nationale*, umiał streścić list do hr. de Mun bez docinków.

Prócz tych wyjątków: radykalizmu i monarchizmu *à outrance*, cała Francya bardzo gościnnie witała list papieski. Widzą w nim dzienniki nowy dowód, że wzrok Leona XIII. sięga głębiej, a nie spoczywa na smutnych objawach upadku Francyi. Głosem dziennikarskim wtórowały liczne listy prywatne.

Najpoważniejsze pisma codzienne, jak: *La Croix*, *Le Monde*, *L'Univers*, nawołują wiernych do wspólnej pracy politycznej i społecznej, podług myśli Leona XIII., gorąco przedstawiają pożytki Związku, który ma w tym duchu działać i ogłaszają składkę na potrzebne do tego dzieła wydatki.

Także wobec blizkich wyborów monarchiści zmienili hasło. Hrabia d'Haussonville, pełnomocnik hr. Paryża, w dzienniku *Soleil* opisuje zamiary swojego stronnictwa: żąda związku ludzi uczciwych, nawołuje do zgody ze wszystkimi bez różnicy stronnictwami zachowawczemi, przestrzega, żeby nie zaprzętać umysłu wyborcom wzmianką o formie rządu, i kończy nadzieją, że Francya, znużona bezrządem, spojrzy na monarchistów i znajdzie ich gotowych do czynu.

Inne stronnictwa tem szczerzej powtarzają hasło wydane przez Leona XIII. i dość już niepokoją zagorzałych wrogów Kościoła. Między tymi wielki popłoch powstał na widok częstych zjazdów i wieców, w których biorą udział tysiące katolików. Najprzód wiec w Voiron, pod przewodnictwem p. de la Tour du Pin, poruszył najgorętsze sprawy wyznaniowe i społeczne, i jednomyślnemi uchwałami tak obruszył przeciwników polityki teokratycznej, że ci ściągnęli dwa tysiące pospólstwa, żeby przynajmniej uliczną demonstracją zaprotestować przeciw wiecowi. Na to katolicy odpowiedzieli nowym wiecem w Besançon, w którym wzięły udział kółka robotnicze, i hr. de Mun ognistą wymową porwał do walki w obronie Kościoła kilkutyśięczny zastęp uczestników. Nakoniec katolicki związek francuskiej młodzieży odbył wiec poufny, którego uchwał nie ogłosił, tylko krążą pogłoski, że omówił sprawę walki wyborczej w duchu katolickim.

Ruch wywołany listem papieskim zastanowił posła W IZBIE NIŻSZEJ FRANCUSKIEJ. Hubbarda, radykała, który nie darmo żyje w ścisłej przyjaźni z radykałami włoskimi, szczególnie z Menottim Garibaldim, i z tego źródła czerpie siły do walki przeciw ultramontanom. Postanowił wybadać stan umysłów w Izbie i wystąpił ze skargą, że Papież, jako zwierzchnik wyłącznie duchowny, nie ma głosu w sprawach świeckich, że szczególnie rządowi francuskiemu nie wolno patrzeć przez palce na cudzoziemca, który nadużywa biskupiego stanowiska, wgląda w wewnętrzne sprawy Francji, i posyła duchowieństwo na wiece, by przygotowywało wiernych na wybory.

W ślady Hubbarda wstąpił poseł robotników, Lamendin: obu mowy zmierzały do tego, żeby rząd zwinął ambasadę przy Watykanie: ale Izba odrzuciła ten wniosek 317 głosami przeciw 191. Jeszcze dobitniej zaznaczyła Izba chęć do zgody z Kościołem, kiedy komisya budżetowa wykreśliła kilkadziesiąt tysięcy franków z kongruy i cały kredyt na wikarych generalnych. Od piętnastu lat Izba co roku zmniejszała wydatki na Kościół: z 54 milionów zeszała na 43. Tego roku odrzuciła wniosek komisji, zatwierdziła najprzód przeszłoroczny budżet kościelny bez zmiany, a potem, na wniosek republikanina Charmes, podniosła nawet o pół miliona fundusz na budowę kościołów i probostw.

Nieprzejednany Hubbard nie dał za wygraną. Rząd postanowił wyprawić do Leona XIII. nadzwyczajne poselstwo, z życzeniami jubileuszowemi. Z tego powodu Hubbard ostro zganiał polityczny charakter tego poselstwa. Minister Develle odpowiedział, że Francja nie może zostać w tyle za innemi krajami, których władcy składali życzenia przez posłów nadzwyczajnych; tak postępują nawet innowiercy, jak Wilhelm niemiecki i sułtan. Carnot ich naśladował: niech Izba wyda wyrok swobodnie, i, jeżeli nie podziela poglądów Hubbarda, niech odroczy rozprawę nad jego wnioskiem do najpóźniejszego terminu, dozwolony w ustawach. Hubbard powstał z miejsca i zawołał, że nikogo nie powinna dziwić taka odpowiedź ministra, który uważa to za szczęście, że Papież wgląda w wewnętrzne sprawy kraju; taka odpowiedź zaznacza zwrot polityki rządowej do zgody z katolikami,

których potęga coraz groźniej przepowiada porażkę rządu przy wyborach: niech Izba o tem pamięta.

Izba niewzruszona groźbami Hubbarda, odroczyła rozprawę nad jego wnioskiem na czas nieokreślony. W ten sposób Carnot bez przeszkody wyprawił do Watykanu nadzwyczajnego posła, który, na domiar zgryzoty dla radykałów, w imieniu Carnota zawiesił oficerski krzyż legii honorowej na piersi Mgr. hr. Caggiano de Azeveda, czynnego zwolennika polityki Leona XIII.

W IZBIE NIŻSZEJ. Tym postępkim Carnot ściągnął na siebie gniew wolnych mularzy. Dolał jeszcze oliwy do ognia, kiedy wręczał kapelusze kardynalskie biskupom z Rouen i Tours, bo przytem uroczyście im powinszował, że w duchu Leona XIII. zrozumieli potrzeby Francyi i działają dla jej dobra. Zaraz *Laterne* surowo potępiła te „emanacye osobistej polityki Carnota“. Izba wyższa także dowiodła, że jego poglądów nie podziela. Pominęła kandydata na senatora-prezydenta, którego popierał Carnot, i obrała znanego prześladowcę Kościoła, Ferrego. Nowy prezydent nic w mowie programowej nie powiedział, coby zwiastowało spokojniejszą dobę dla katolików: niektóre dzienniki przeciwnie twierdzą, że chyba można widzieć zapowiedź nowej walki w zaokrąglonych ale ciemnych okresach tej mowy, która razem sławi rzeczpospolitą otwartą dla wszystkich stronnictw szczerze republikańskich, a przytem oświadcza, że Francya potrzebuje władzy po dawnemu ześrodkowanej w ręku oportunistów. Jak można pogodzić te przeciwieństwa? Dzienniki zaczęły przypuszczać, że bieg wypadków spędzi Ferrego z zagadkowego stanowiska, ale tylko po to, żeby na czele senatu otwarcie wystąpić z godłami Wielkiego Wschodu. Niespodziewana śmierć Ferrego nie ziściła tych przepowiedni.

Stanowisko zajęte przez senatorów podniosło na duchu obóz wolnomysłny. Gabinet i władze wykonawcze nie bardzo kryją zamiary, wrogie dla Kościoła. Tak Ville wywodził przed Izba żale, że rząd dawniej po śmierci biskupów długo zwlekał, nim zamianował zastępców, a w ostatnich czasach, ledwo biskup w Moulins umarł, już w dwa czy trzy tygodnie rząd zamianował

jego następcę i Papież zatwierdził, chociaż właśnie tego miasta nie wymienia konkordat między stolicami biskupiami. Zgorszonemu tym pośpiechem Ville'owi minister Dupuis odpowiedział, że nie trzeba zwlekać takich spraw, żeby nie wyglądało, że we Francyi trudno znaleźć księdza, godnego piastować urząd biskupi; Hubbard musiał widzieć w tej odpowiedzi wybieg, użyty, żeby zaspokoić Ville'a a ukryć życzliwe chęci gabinetu dla Kościoła, bo oburzony zawołał, że rząd już może iść ręką w rękę z nową większością sprzymierzonych republikanów; także ksiądz poseł d'Hulst widocznie zrozumiał, że gabinet już sprzyja Kościołowi, bo wystąpił z naganą poprzednich rządów, za nieprawnie zatrzymane dochody duchowieństwa, ale miał zaraz doznać przykrego zawodu i mógł odgadnąć, dlaczego czasem rząd oględnie wyraża swoje myśli przy katolikach.

Minister Dupuis oświadczył, że słusznie rząd zatrzymywał dochody księżom, którzy zatrzymują rozgrzeszenie przy spowiedzi, jeżeli wierni nie chcą zależeć od ich wpływu przy wyborach; a tem mniej można to rządowi brać za złe, że niewielu księży w ostatnich dwunastu latach podległo tej karze: tylko tysiąc dwustu siedmnastu; a jeżeli Kościół przestanie postępować jak równorzędna potęga z państwem, któremu powinien ulegać, to rząd jego spokoju nie zamąci.

Niemniej otwarcie przeciw ugodowej polityce Leona XIII. wystąpił pierwszy minister Ribot, zagadnięty przez posła Leydeta o to, czy zamierza bez żadnych ustępstw dalej prowadzić dzieło poprzedników na polu politycznym i społecznym w tym duchu, który natchnął ustawy, wojskową i szkolną. Po Leydecie, Milleraud jeszcze radykalniej potępił wpływ duchowieństwa, które zrównał z nienawistnymi bankierami, i naglił, żeby rząd zerwał konkordat.

W odpowiedzi, Ribot nazwał program nowej polityki teokratycznej: mrzonką.

W ten sposób członkowie rządu zdradzają tajniki swojego serca i dowodzą, że chwilami stawiają na pozór kroki do zgody z Watykanem, po to tylko, żeby zostać przy władzy. Czują wszyscy, z Carnotem na czele, zachwiane swoje stanowisko przez

sprawę panamską. Podporę znajdują tylko w dotychczasowej większości posłów, którzy ich muszą bronić, bo sami nie mają czystego sumienia. Gdyby dłużej drażnieni katolicy wybrali uczciwych ludzi do przyszłej Izby, Carnot z całym swoim obozem mógłby popłynąć do Cayenny. Żeby takiego końca uniknąć, trzeba w czemś katolikom dogodzić.

Niższe władze nie potrzebują udawać nawróconych do polityki Leona XIII. Jaki duch wieje między urzędnikami i w wojsku, widać z różnych drobniejszych szczegółów. Tak: zamożny Paryżanin, Bernay, zapisał po dwadzieścia tysięcy franków dla każdego z 69-ciu proboszczów paryskich na potrzeby kościelne. Hałas o to powstał nadzwyczajny; choć żadne zabiegi nie zdołały obalić zapisu zacofańca, jednak prawie półtora miliona nie mogło służyć do wolnego użytku „szerzycielom ciemnoty“. Ostateczny wyrok kazał proboszczom za zapisane pieniądze kupić papiery i obracać dochody wyłącznie na nabożeństwo, a bezwzględnie zastrzegł, żeby nic nie szło na szkoły.

Nie lepszy wzięła obrót sprawa pani de Plessis Bellière, która zapisała swój majątek Leonowi XIII., a gdyby rząd nie pozwalał, kardynałowi Rampolli, w ostatecznym wypadku, hrabiemu Colbert-Turgis. Sąd apelacyjny w Amiens zniósł zapis, jako nieważny, a oparł ten wyrok na dowodzie, że w myśl zapisu, Leon XIII., jako Głowa Kościoła, miałby posiadać dobra we Francji, więc Kościół zostałby właścicielem, a ustawa nie uznaje Kościoła za osobę prawną: stąd wniosek, że zapis nie wymienia osoby, na którą ma przypaść majątek.

Władze wojskowe także po dawnemu prześladują katolicyzm. Widać to z takich wypadków, jaki np. zaszedł w Reims. W nabożeństwie tradycyjnym na cześć św. Remigiusza wzięło udział dziesięciu żołnierzy z tamtejszej załogi, i nawet podczas uroczystego pochodu niesli na ramionach zwłoki Świętego. Oburzony takim zuchwalstwem pułkownik, kazał winowajców wtrącić do aresztu. Ale ich sprawa znalazła obrońców: ci przedstawili generałowi, że przestępcy nikogo tak bardzo nie zgorszyli, jako słuchacze teologii, ze seminaryum wzięci pod broń. Jenerał

ostatecznie rozstrzygnął, że pułkownik osądził zbyt łagodnie zniwagę munduru francuskiego, i sam podwoił czas kary.

Słowem, tak jeszcze technie nienawiścią katolicyzmu Francya rządowa, jak jej domniemywany sprzymierzeniec północny. Ile jeszcze walk stoczy Kościół, nim zwycięsko wyjdzie z zasadzek, chytrze zastawionych, tego nie wiedzą ci, którzy z zamiarów prześladowców sprawy sobie zdać nie chcą. Wiemy tylko, że wrogi nie przemogą Kościoła.

Jubileusz Rossi'ego i Album na jego uczenie wydane.

Albo dei sotto scrittori pel busto marmoreo del Comm. G. B. De Rossi e relazione dell' inaugurazione fattane nei di XX e XXV aprile MDCCCXCII sopra il cimitero di Callisto per festeggiare il settantesimo anno del principe della sacra archeologia. Roma. Tipografia della Pace. 1892. (Str. 182, 4^o).

Album to, któreśmy dopiero otrzymali, przenosi naszą myśl do pięknej chwili, kiedy w kościółku z czasów męczeńskich datującym, przedstawiciele dzisiejszej nauki obchodzili, w kwietniu zeszłego roku, jubileusz sędziwego mistrza chrześcijańskiej archeologii. Album, jak tytuł jego głosi, zawiera najpierw imiona tych wszystkich, co złożyli datki na marmurowy biust Rossi'ego; a dalej opis uroczystości, urządzonych w Rzymie, staraniem kolegium „Oczicieli Męczenników“, ku uczczeniu 70-letniej rocznicy jego urodzin. Między ofiarodawcami nie brak także imion polskich. Kraków zwłaszcza dobrze jest reprezentowany. Dowód to, że i u nas szanowny jubilat ma swoich wielbicieli i że nasze społeczeństwo także zainteresowało się badaniami na polu archeologii chrześcijańskiej.

Ważny dla historyka, teologa i archeologa jest spis i streszczenie dzieł jubilata (str. 31—73), wydanych aż do października 1892 r., zajmujący przeszło 20 kartek druku. Prawie wierzyć się nie chce, że jeden człowiek tyle mógł napisać! Serya pierwsza obejmuje dzieła większe,³ z których naczelne miejsca zajmują dwa tomy folio: *Inscriptiones Christianae urbis Romae septimo saeculo antiquiores*, trzy tomy „Rzymu podziemnego“, blisko 30 roczników „Bulletynu archeologii chrześcijańskiej“, i wspaniałą publikację mozaik kościołów rzymskich od czasów najdawniejszych aż do wieku XV. *Mosaici delle chiese di*

Roma anteriori al secolo XVI. wydane z wielkim nakładem przez księgarnię Spithöver w Rzymie, rozpoczęte jeszcze w r. 1872, dopiero teraz zostały ukończone. Ogromne tablice chromolitograficzne wykonane są przepysznie. Tekst objaśniający jest w dwóch językach, włoskim i francuskim. Jedno może się tylko niepodobać — mianowicie to, że kosztuje 800 franków. Wszystkich dzieł większych i mniejszych jest 195.

Nad katakumbami św. Kaliksta, przy drodze apijskiej, jest nieduża bazylika, zbudowana prawdopodobnie jeszcze przez papieża Zefiryua. W wieku III. i IV. niejedna tu się odbyła *agape*; w w. VII., jak opowiadają stare zapiski pielgrzymów, spoczywali tu w jednym grobie papież Zefiryn i młodzieńczy akolita św. Tarsycyusz, który wolał raczej życie postradać, aniżeli wydać poganom na zbezczeszczenie Ciało i Krew swego Boga (*coelestia membra*), które niósł więźniom chrześcijańskim w przededniu męczeństwa na pokrzepienie. W wieku XVIII. były na ścianach jeszcze ślady malowideł: w naszym stuleciu obrócono miejsce święte na skład wina. Dopiero Pius IX. nabył je na własność Kościoła, a de Rossi przemienił w małe chrześcijańskie muzeum archeologiczne, umieściwszy na ścianach napisy i inne pamiątki katakumbowe. Otóż w tej kaplicy odbyło się w dniu 20 kwietnia odsłonięcie biustu jubilata, dłuta Luchetti'ego. I trudno chyba było znaleźć miejsce piękniejsze i stosowniejsze, bo pod tą samą bazyliką są właśnie słynne kaplice: papieska i św. Cecylii, odkryte i najdokładniej zbadane przez Rossi'ego. — O godzinie 4 po południu, kiedy bazylika była już szczelnie zapełniona doborową publicznością, zjawił się jubilat w otoczeniu komitetu urządzającego uroczystość i przedstawiciele różnych towarzystw naukowych. Instytut francuski wysłał dwóch swoich członków: Melchiora de Vogüé, zasłużonego badacza starożytności chrześcijańskich na Wschodzie, i profesora Ludwika Duchesne. Austriacki historyczny Instytut reprezentował Eugeniusz Bormann, w imieniu nieobecnego podówczas w Rzymie dyrektora Sickla.

Pierwszy zabrał głos prefekt watykańskiej biblioteki, Monsignor Carini, i zaznaczył między innemi, że jubilat tej archeologii naszego wieku, która niejednokrotnie wrogie przeciw nauce chrześcijańskiej zajęła stanowisko, przeciwstawił inną, świętą, potwierdzającą ustną tradycję Kościoła. Po tej przemowie odsłonięto biust, którego fototypia znajduje się na pierwszej karcie naszego albumu. Pod biustem na tablicy jest następujący napis, naśladujący paleografię II. wieku:

IOHANNI · BAPTISTAE · DE · ROSSI
 QUO · DUCE · CHRISTIANA · VETUSTAS
 IN · NOVUM · DECUS · EFFLORUIT
 PONTIFICUM · HEROUMQUE · PRIMAÆVÆ · ECCLESIAE
 ILLUXERE · TROPHAEA
 NATALI · EIUS · SEPTUAGESIMO
 CULTORES MARTYRUM ET SACRAE ANTIQUITATIS
 MAGISTRO · OPTIMO · P · A · MDCCCXCII

Imieniem kolegium „Czciocieli Męczenników“ składał następnie gratulacye Monsignor de Waal, rektor niemieckiego hospicyum przy Watykanie. „Na wzór Mojżesza — mówił on — pozwolił ci Bóg wyprowadzać z kamieni zdroje wiedzy Bożej dla ludu spragnionego prawdy. Za te twoje prace nie umiemy dziś przedstawić ci życzeń naszych w lepszej formie, jak słowy starych chrześcijan, wrytymi na grobach. Życzymy mianowicie, i sercem czystym i prostym, wspólnemi modlitwami błagamy Ojca i Syna, aby za przyczyną Męczenników, ciebie mistrza i wodza naszego w długiej starości zachował młodzieńcem“. (**Puro corde et simplici** communi Collegii nostri nomine vota Tibi offerimus, **precibus totis Patrem Natumque rogantes**, ut Deus omnipotens, Martyribus postulantibus, in sene Aute iuvenem longa Te aetate conservet)

Przemawiali jeszcze: profesor Petersen, pierwszy sekretarz cesarskiego Instytutu archeologicznego niemieckiego, i komandor Geffroy, dyrektor szkoły francuskiej w Rzymie. „Różnych — mówił ten ostatni — starożytność zna mistrzów, którzy uczniów gromadzili koło siebie, już to na placach publicznych, już w cieniu drzew lub nad brzegami morza. Sokrates przebiegał ulice Aten stawiając pytania i rozwiązując ważne zagadnienia; Cycero filozofował w swoim Tusculum — ty uczysz pod ziemią i tam przy grobach Męczenników twoja jest katedra“.

Nie tu miejsce wyliczać w krótkim sprawozdaniu wszystkie owe i odznaczenia, które w tym dniu z wszystkich stron świata na czcigodnego jubilata spłynęły. Ojciec św. przesłał mu w wigilię odsłonięcia biustu list gratulacyjny, „aby miał nowy dowód łaski i uznania za to, iż całe życie przeżył na chlubę Rzymu, na pożytek Kościoła i na pociechę papieża, jak ów syn mądry, który wedle Pisma, weselem napełnia serce ojca swego“. Republika francuska zamianowała go wielkim oficerem legii honorowej; Hiszpania, kawalerem wielkiego krzyża Izabelli katolickiej; ambasador austriacki przy Stolicy świętej wręczył mu imieniem cesarza Franciszka Józefa medal: *Literis et artibus*. Towarzystwo archeologii chrześcijańskiej w Atenach, przesłało dyplom na członka honorowego z greckim listem gratulacyjnym. Mommsen

wystawia zasługi przyjaciela w prześliznym adresie, umieszczonym w *Ephemeris epigraphica, corporis inscriptionum latinaram supplementum*. Profesor uniwersytetu moskiewskiego, dr. Jan Cwietajew, który obecnie kopiuje freski katakumbowe przy pomocy malarza Teodora Reymana, złożył adres gratulacyjny imieniem Stowarzyszenia archeologicznego w Moskwie. Przesłały także życzenia Towarzystwa archeologiczne z Kazania i Petersburga. Pomijam już inne listy i adresy, ale na jeden jeszcze należy zwrócić uwagę. Wydział teologiczny uniwersytetu wiedeńskiego nadał jubilatowi *sub auspiciis Imperatoris* stopień honorowego doktora św. teologii. Kładziemy tu w skróceniu ciekawy ten i jedyny w swoim rodzaju dokument:

Summa Auctoritate

Augustissimi Imperatoris Ac Regis

Francisci Iosephi

In Universitate Litterarum Vindobonensi

Adolphus Exner

.....

H. T. Universitatis Rector

Eduardus Angerer

SS. Theologiae Doctor Tit. Archiepiscopus Selimb. Domus Pontificiae Praesul

.....

Ordinis Theologorum Cancellarius

Laurentius Müllner

.....

H. T. Theologorum Ordinis Decanus

Hermannus Zschokke

.....

Promotor Rite Constitutus

Ex Decreto Ordinis Theologorum

In

Virum Illustrem Ac Excellentissimum

IOANNEM BAPTISTAM DE ROSSI

Summorum Ordinum Magna Cruce Decoratum Aliorumque Commendatorem

Musei Christiani Quod est in Vaticano Praefectum

Plurimarum Europae Et Americae Academiarum Sodalem

Ac Facultatum Philosophicarum Doctorem

Archaeologiae Christianae Quam Novis Firmissimisque Instruxit Fundamentis

Cuius Pater Merito Celebratur

Ob Singularia Atque Unica Et de his studiis archaeologicis

Et de ceteris fere disciplinis theologicis Merita

Ob indefessam Invictamque

Traditionis Catholicae Defensionem

Honoris Causa

SS. Theologiae Doctoris Nomen Iura et Privilegia

Continuus In Eiusque Rei Fidem Hasce Litteras Universitatis
Sigillo Sancendas Curavimus

Vindobonae Die XXIV. M. Maii MDCCCLXXXII.

Ad. Exner.

Dr. Ed. Angerer.

Dr. L. Müllner.

Dr. H. Zschokke.

Uniwersytet wiedeński reprezentował podczas uroczystości kwietniowych w Rzymie profesor Neumann, prodziekan Wydziału teologicznego, który też w przemówieniu swem podniósł, że senat uchwalił jednogłośnie: *„te unicam virum unico honore decorandum esse* — że ciebie wyjątkowego człowieka w wyjątkowy uczyć należy sposób. I niesłychana to — mówił delegat dalej — i niepraktykowana od czasów istnienia naszego uniwersytetu rzecz, aby fakultet teologiczny dał był doktorat teologii laikowi, któryby nie był przyobiegał przyjąć w oznaczonym czasie święcenia. Ale w tej sprawie przyświecał nam przykładem sam Ojciec św., który dla ciebie jednego stworzył urząd dyrektora chrześcijańskiego muzeum przy Watykanie“.

Dnia 25 kwietnia, po 11 wiekach przerwy, pierwszy kardynał Parocchi celebrował w bazylice św. Sykstusa i Cecylii Mszę św., a po południu tego samego dnia zbrali się tam raz jeszcze uczestnicy uroczystości i wyruszyli, śpiewając litanję Wszystkich Świętych, do krypty, gdzie niegdyś spoczywał św. papież Korneliusz, a stamtąd do kaplicy papieskiej i św. Cecylii. Po nabożeństwie nastąpiła *agape* w sąsiadującej z katakumbami św. Kaliksta posiadłości p. Ferrari. Do uczy zasiało 140 osób, między innymi kard. Parocchi, markiz de Pidal, ambasador hiszpański przy Watykanie, i delegaci towarzystw naukowych. Przed każdym z gości leżał oryginalny, wspomnieniami katakumbowemi natchniony *ordo coenae* (menu), pomysłu profesora Marucchi'ego:

COLLEGIUM · CULTORUM · MARTYRUM

(Kotwica)

(Ichthys)

(Ichthys)

VII · KAL · MAIAS · A · MDCCCXCII

OB · NATALEM · LXX · MAGISTRI · NOSTRI

IOAN · BAPT · DE · ROSSI

LAETI · ET · HILARES · SODALES · EPULEMUR

HABEMUS · IN · COENA

Następuje spis potraw).

SIC · VII · SIC · VIII · DECENNALIA

FELICITER

Na ostatniej stronie albumu, Henryk Stevenson, sekretarz komitetu, zestawil rachunek ze składek i wydatków, z którego okazuje się, że jeszcze wcale pokaźna suma została w kasie. Jak przy dawniejszych uroczystościach, tak i teraz, zostanie ona obrócona na dalsze badania katakumbowe.

Zaslugi Rossi'ego omówiliśmy już na innym miejscu. Tu dodamy tylko jeszcze, że mało jest ludzi, którzyby cieszyli się taką czcią powszechną i uznaniem nietylko w obozie katolickim, ale także u protestantów, jak nasz jubilat.

Vivat, floreat in X semper!


Ks. J. Bilczewski.

Z najnowszej statystyki samobójstwa.

Ciekawe a niewesołe o tem szczegóły znajdujemy w *Conservative Correspondenz* z 29 listopada r. z.

Mania samobójcza przybiera w naszych czasach coraz szersze rozmiary. Nie można już dzisiaj wziąć gazety do rąk, by nie napotkać w niej wiadomości o jakim samobójstwie. Według obliczeń angielskiego statystyka Williama Matthews'a, wynosi roczna liczba samobójstw 180.000, a cyfra ta ciągle się jeszcze powiększa. Naczelne miejsce zajmuje Saksonia, gdzie na milion mieszkańców przypada 400 samobójstw. W Berlinie popełniono w ostatnim roku 370 samobójstw, a o 155 usiłowaniach odebrania sobie życia doniesiono władzom. Statystycznie wykazano, że w ostatnich latach dziesięciu (1880—1890), liczba popełnionych w Europie samobójstw przewyższyła o 75% liczbę skonstatowaną w poprzednim dziesięcioleciu. Szczególnie groźnym przedstawia się wzrost manii samobójczej nawet wśród dzieci. W przeciągu 5-ciu lat w Prusach odebrało sobie życie 289 dzieci szkolnych, tj. w przecięciu 55 rocznie, czyli więcej niż jedno tygodniowo. W tej liczbie było chłopców 240, a dziewcząt 49, w wieku od 6½ do 15 lat. W samym Berlinie, w jednym niespełna roku, zaszło 62 wypadków samobójstwa wśród dzieci. Między niemi było 46 chłopców, a 16 dziewcząt; co do wieku, było dzieci: 24 w wieku lat piętnastu, 21 w wieku lat czterynastu, 9 w wieku lat trzynastu; 7 miało lat dwanaście, a jedno było w siódmym roku. W wyższych szkołach, zdaje się być główną tego przyczyną obawa przed egzaminami, w niższych bojaźń kary. Nadto podają także jako przyczyny: urażoną ambicję (!), nieszczęśliwą miłość (!!), upór, złość,

gniew, cierpienia cielesne i t. d. We wszystkich tych przypadkach z pewnością główną winę przypisać należy brakowi wychowania religijno-moralnego, a samobójstwo wogóle, popełnione w wieku dojrzałym i przy zdrowych zmysłach, jest zawsze zbrodnią przeciw Bogu, sobie i rodzinie, przeciw Kościołowi i państwu. — Jako dziwaczne przekręcenie pojęć i pod każdym względem godne potępienia, należy odrzucić mniemanie, jakoby czyn samobójcy był dowodem odwagi. Kiedy w czasie wojny egipskiej zaczęły się mnożyć samobójstwa wśród armii francuskiej, wydał Napoleon rozkaz dzienny, w którym każdego samobójcę piętnował nazwą zbiega i tchórza. Nawet świat pogański przyznawał, że niema w tem nic wielkiego, w nieszczęściu i niepowodzeniu odebrać sobie życie. *Fortiter ille facit*, powiada poeta Martialis, *qui miser esse potest*. Bez religii nie będzie to oczywiście łatwem, choć i w czasach chrześcijaństwa, jak na odwrót w owych wiekach, kiedy kwitnęła wiara chrześcijańska, samobójstwa albo wcale nie były znane albo przynajmniej wielką były rzadkością.



SZKOŁY JEZUICKIE W POZNANIU.

(1573--1653).

Wedle dyaryusza Kolegium poznańskiego.

I.

Dnia 28 czerwca 1571 r., w wigilię św. Piotra i Pawła, zajęchało w Poznaniu przed pałac biskupi pięciu duchownych. Byli to pierwsi Jezuici, jakich Poznań widział: prowincyał Austryackiej prowincyi, do której wówczas Polska należała, O. Wawrzyniec Magius; O. Jakub Wujek, przeznaczony na rektora kolegium, mającego się założyć w Poznaniu, i O. Szymon Wysocki; dwaj pozostali byli bracia zakonnicy, t. zw. *coadiutores temporales*. Goście ci przybywali prosto z Warszawy od króla Zygmunta Augusta, do biskupa poznańskiego, Adama Konarskiego, którego jednakże w domu nie zastali. Był właśnie w poselstwie u cesarza Maksymiliana. Przyjął ich za to poznański jeneralny wikaryusz a zarazem kustosz kolegiaty św. Maryi Magdaleny, ks. Jan Piotrowski, który w swoim kościele odprawił uroczyste *Te Deum*, na podziękowanie Panu Bogu za przybycie Jezuitów; a łatwo pojąć, że zdarzenie to niemałe wzbudziło zaciekawienie. Mnóstwo też ludzi zbiegło się do kościoła: ciekawych i pobożnych. Suknie nowoprzybyłych nie różniły się wiele od sukni księży świeckich, o tyle tylko praktyczniejsze, że nie mają żadnego guzika i tylko pasem są związane. Kołnierz stojący, zapięty pod szyją, uwalnia od kłopotu o kołnierzyki i obojczyki.

Przybycie Jezuitów nie było zupełną niespodzianką dla Poznania, bo biskup Konarski nosił się z myślą sprowadzenia ich do swej stolicy już od lat kilku. Poznał ich w czasie swoich częstych podróży w sprawach publicznych, mianowicie w Wiedniu i w Pradze. Przytem niepokoiło biskupa to, że szkoła katedralna podupadła wówczas zupełnie, a przedewszystkiem seminaryum duchowne potrzebowało dobrego kierownictwa, bo brak duchowieństwa był wielki, a wykształcenie jego tak małe, że wielu używało „Postylli Bullingera“, tłumaczonej przez Reja z Nagłowic, „dla dworności języka“, jak powiada Wujek. Popierał też gorąco tę myśl biskupa nuncyusz apostolski, będący naówczas w Polsce, Wincenty Porticus, kładąc głównie przycisk na to, że szkoły jezuickie w Poznaniu odciągną młodzież polską od szkół heretyckich i od podróży do Lipska i Wittembergi. Jednakże biskup Konarski, zajęty sprawami państwa, puszczał sprawę w odwłokę, a tymczasem wyprzedzili go inni biskupi. Stanęły już kolegia jezuickie: w Brunsberdze, Pułtusku i Wilnie, nim przyszła kolej na czwarte w Poznaniu.

Przypisyzło i zdecydowało sprawę niezwykle zdarzenie. Dwaj kanonicy poznańscy, celujący nauką i pobożnością, porzucili Poznań i wstąpili do Zgromadzenia Jezuitów, którego następnie chlubą i ozdobą się stali. Jeden z nich był Benedykt Herbst, który w Akademii Krakowskiej kolegował ze Skargą¹; drugi, Stanisław Warszewicki, który razem ze św. Stanisławem Kostką odbywał nowicyat w Rzymie. Ten był nawet kanclerzem, ale „dworską sławę i bogate prelatury i nadzieję biskupstwa, której najbliższy był, porzuciwszy: światem i sam sobą pogardził i w tejże szkole rzymskiej Panu Bogu się oddał i najpierw żywot św. Stanisława po łacinie napisał“². Wysłany z Rzymu do Wilna, wpłynął na decyzję biskupa Konarskiego tak, że ze sejmu Warszawskiego (1570) wezwał do siebie prowincyała, O. Magiusa, który wówczas w Pułtusku bawił, i z nim rzecz całą ułożył. Postanowiono założyć w Poznaniu kolegium, któreby 30 Ojców

¹ Skarga, „Żywoty Świętych“. ed. Grodzisk. 1866, t. II, p. 1066.

² Tamże, t. II, p. 1058.

pomieścić mogło, na co biskup zobowiązał się dawać rocznie 700 złp. w gotówce, a nadto dostarczać zboża i drzewa.

Pierwszy kłopot przedstawiał teraz w Poznaniu wybór miejsca na pomieszczenie kolegium. Konarski ofiarował stary dom w pobliżu katedry, znajdujący się na otwartym i wyniosłym miejscu, do którego by łatwo można dodać boczne domy. Ale Jezuita woleli mieć kolegium w środku miasta, zwłaszcza, że i mieszczaństwo tego pragnęli. Biskup nie upierał się więc przy swojej propozycji — ale wybór nie był łatwy.

Upatrzone wreszcie miejsce położone tuż obok szkoły parafialnej w sąsiedztwie kościoła św. Maryi Magdaleny, obok kościoła św. Stanisława. Kościół ten zbudował Jan z Lubrańca, biskup poznański i ustanowił przy nim duchownych dla służby Bożej. Dokoła były domki księży i kaplica św. Gertrudy, nadto szpitalik dla chorych księży i scholastyków. Całe to miejsce było nieczyste i nieporządne, i tak ciasne, iż wielu zarzucało nieroztropność Jezuitom, że przenieśli je nad wysokie i otwarte, które im biskup ofiarował.

Druga też trudność przedstawiała się w tem, że Jezuitom oddawał biskup i magistrat kościół św. Stanisława, ale przeciwko temu protestowali duchowni przy tymże kościele umieszczeni. Popierał ich w tem Łukasz Górka, wojewoda poznański, któremu oczywiście, jako innowiercy, byli Jezuita solą w oku. Dowodził nawet, że kościół ten jego przodkowie fundowali i że bez jego pozwolenia, fundacya nie może być unieważniona. Wszelako rozstrzygała tu wola biskupa. Księża przenieśli się do kościoła Wszystkich Świętych, który stał opuszczony tak, że nawet heretycy mieli ochotę go zabrać. Do tego kościoła przeniesiono więc wszystkie fundacye z kościoła św. Stanisława; a że potrzebował koniecznie restauracyi, więc Jezuita dali na to 72 złp. Wtedy (9 września 1571 roku), zabrawszy ławki i wszystko, co się łatwo zabrać dało, przenieśli się duchowni z uroczystą procesyą z kościoła św. Stanisława do kościoła WW. Świętych.

Kościół ten stał za murami miasta na tem miejscu, gdzie dzisiaj stoi szkoła WW. Świętych, oraz dzwonnica kolegiaty

Maryi Magdaleny. Dla pomieszczenia duchownych zbudował magistrat dom murowany tuż obok t. zw. bramki, który starsi z nas jeszcze pamiętają.

Dopiero jednak w następnym roku (30 lipca 1572), wprowadzeni zostali Jezuici uroczycie w posiadanie kościoła św. Stanisława, przyczem oddano im także w posiadanie kościołek św. Gertrudy i szpitaliki sąsiednie¹. Oczywiście musieli przez ten czas kościół odnowić i urządzić, skoro księża z niego zabrali co mogli. Równocześnie też budowali kolegium. Był to dom piętrowy, przytykający do szkoły parafialnej, którą następnie miasto im odstąpiło na powiększenie kolegium. Na dole mieściły się szkoły, a na piętrze urządzono wspólne pomieszkanie (*hypocaustum commune*) i pomieszczono bibliotekę, której pierwszym zawiązkiem był księgozbiór, darowany przez sufragana poznańskiego, ks. Stanisława Szedzińskiego († 1572). Pośpiech był tem potrzebniejszy, że i wojewoda poznański, Łukasz Górka, i kasztelan gnieźnieński, Jan Tomicki, wszelkiemi sposobami usiłowali budowlę przeszkodzić. Na domiar złego, powstał niebawem groźniejszy jeszcze nieprzyjaciel właśnie w tym roku (1572).

Był to rok straszliwej w Polsce pamięci: wymarł ród Jagiellonów, i Polska po raz pierwszy ujrzała się wobec prawdziwego bezkrólewia, tem groźniejszego, że rozterki religijne powiększały niezgodę domową, a na domiar złego panowały w Wielkopolsce dwie klęski: głód i zaraza. Po ulicach i po domach leżały wówczas trupy niepochowane, a zdawało się, że wielu raczej z głodu, niż z zarazy umierało. Wtedy to założono staraniem Jezuitów, za murami miasta, szpital dla chorych, który przezwano „Lazaretem“. Co gorsza, umarł na zarazę wielki przyjaciel Jezuitów, wikaryusz jeneralny i kustosz kolegiaty św. Maryi Magdaleny, a proboszczem został niechętny im: akademik

¹ Burmistrz miasta zastrzegł, aby Jezuici zobowiązali się na zawsze prawić kazania w bazylice św. Maryi Magdaleny *lingua nativa*, a w kościele św. Stanisława po niemiecku. Te kazania niemieckie były następnie przedmiotem sporu, dlatego, że magistrat polecił je OO. Bernardynom, a Jezuici mimo to niemieckich kazań nie zaprzestali.

krakowski: *vir non indoctus, theologiae baccalaureus, Cracov. Academiae alumnus*, który też w rozmaity sposób im dokuczał.

Mimo to wszystko już nazajutrz po św. Janie Chrzcicielu r. 1573, zostały otwarte szkoły jezuickie w Poznaniu. Był na tym akcie uroczystym główny i hojny ich fundator, biskup Adam Konarski, który właśnie był, po drodze do Paryża w poselstwie do króla Henryka Walezego, wstąpił do domu. Wraz z nim brali udział w uroczystym akcie: opat francuski, poseł do Rzeczypospolitej i czterech polskich panów, pomiędzy którymi dwaj byli innowiercy.

Uroczystość odbywała się mowami i dyalogiem Apolina, w którym występowało siedm sztuk wyzwolonych, każda z obroną swej godności.

Ostatniego dnia czerwca rozpoczęły się rzeczywiście nauki w trzech klasach, tj. *gramatyce, syntaxis i humanitas*.

Zanim do dalszego opowiadania historii tych szkół przystąpimy, trzeba najpierw kilka słów powiedzieć o znaczeniu szkół jezuickich w świecie katolickim, o ich sposobie uczenia i wychowania, a nadto wspomnieć o rękopisie, który nam tu służył za główne źródło.

II.

Jest to zwyczajne w przyrodzie zjawisko, że potok górski, toczący z szumem po skałach kryniczne wody, następnie w dolinie rośnie w coraz większy strumień i rzekę, przez boczne przypyły, lecz traci pierwotną kryształową czystość wody: tak i w krainie ducha powstają prądy czasu, nieraz o słabych i małych początkach, ale czystych zamiarach; następnie stają się coraz mętniejsze, lecz porywają za sobą coraz więcej umysłów i, podobne do rzeki potężnej, rozrywają wszelkie groble i tamy.

Takim prądem ducha był w świecie naukowym humanizm. Zrazu do nieznacznego potoku górskiego podobny, nęcił najprzedniejsze umysły zamięłowaniem pięknych form ludzkiej mowy. Zdawał się być lekarstwem i środkiem zaradczym na straszliwe zaniedbanie formy, wywołane przez scholastyków, którzy począwszy od Dunsza Szkota, uważali formę, a więc styl i ozdoby

mowy, za rzecz niegodną uwagi uczonego człowieka, a nie spostrzegli, że treść ich sama przez to stała się odstraszącą i zrażała umysły. Nie tak myślał mistrz szkoły, św. Tomasz z Akwinu, który treść głęboką ubierał w piękną i potoczystą formę wykładu. Duch ludzki potrzebuje bowiem odpocząć na kwiatach myśli, gdy się strudzi na badawczych drogach ducha, dlatego był stęskniony za pięknem zaniedbanem, i łatwo dał się porwać nowemu prądowi, który się zowie Odrodzeniem w sztuce, a Humanizmem w naukach.

Nikt wówczas nie przewidywał najmniejszego niebezpieczeństwa i dlatego do pierwszych humanistów liczyli się najznakomitsi biskupi, tacy nawet jak Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, późniejszy Pius II. († 1464), którego listy łacińskie uchodziły za cudo ówczesnego świata literackiego, a tak były cenione, że Zbigniew Oleśnicki posłał autorowi, za egzemplarz sobie ofiarowany, sobolowe futro. Ale już Oleśnickiego razila wtenczas lekkość pewna w obrazach z pogańskiego wziętych świata, zwłaszcza u tak wysokiego dostojnika ¹.

Tymczasem humanizm rósł w strumień i rzekę coraz większą, ale wody jego stawały się coraz mętniejsze. Z jednej strony pogarda zaniedbanej formy scholastycznej wyrodziła się w pogardę całej scholastyki i nienawiść do scholastyków, a więc głównie do zakonników, a w dalszym rzędzie do całego katolickiego Kościoła. Z drugiej strony zamiłowanie piękna klasycznego, prowadziło do zamiłowania pogaństwa ze wszystkim co ono miało w sobie zgubnego dla ciała i ducha, aż doprowadziło do stawiania pogaństwa na równi z chrześcijaństwem, do łączenia jednego z drugim.

Tak więc prąd, zrazu niewinny, stawał wrogo przeciw Kościołowi katolickiemu, ale równocześnie nosił już w sobie zaród śmierci, bo popadał w ostateczność tak, że u humanistów forma zabiła treść zupełnie. Co gorsza, zamiłowanie formy obcego języka dochodziło u nich do tego stopnia, że własną, ojczystą pogardzali mową, tak, że np. Erazm Roger, zwany Roterdam-

¹ Szujski, „Odrodzenie i reformacja w Polsce“. Kraków 1881, p. 141.

czyk, nigdy nie przemówił słowa po niemiecku, aby sobie łacińskiej dykcji nie skazić.

Wszelkie nowe prądy ducha muszą się odbijać zawsze na szkole i na całym szkolnym wychowaniu; tak też i teraz zapowiadał w szkołach formalizm, a dobrze mówić po łacinie: oto wszystko, czego poczęły uczyć ówczesne szkoły.

Ale ten nowy prąd ducha miał inne jeszcze znaczenie: on przychodził na czas, kiedy dwie największe potęgi w świecie. papieżstwo i cesarstwo, dwa dotychczasowe filary porządku społecznego i jedności chrześcijańskiej w średnich wiekach, już były rozdwojone, a centryfugalną siłą rozchodziły się coraz bardziej. Więc klinem wbijał się między nie nowy prąd ducha w kształcie humanizmu, który szukał form starożytnych na polu politycznym i religijnym, jak ich szukał na polu nauki i sztuki. Ten religijny prąd zrodził herezje Wyklifa i Husa, którzy starożytne formy ustroju kościelnego przywrócić chcieli, a w rzeczywistości obalali Kościół istniejący. Ten prąd też sprawił, że gdy Luter począł głosić, że przywraca pierwotną starożytną naukę Kościoła, humaniści po wielkiej części po jego stanęli stronie.

Prąd ten zdawał się zrazu być tylko groźnym Kościołowi i papieżstwu, ale niebawem okazał się daleko zgubniejszym dla cesarstwa. Luter zapowiadał wprawdzie, że śmierć jego będzie śmiercią papieżstwa, ale zapomniał, że papieżstwo ma obietnicę wiecznego trwania. Nie miało go natomiast cesarstwo, które też w osobie Karola V. poszło na pokutę do klasztoru, widząc berło swoje zupełnie złamane.

Rewolucja kościelna XVI. wieku, musiała oczywiście wycisnąć piętno na szkole. Postawiła też całkiem nowe zasady, nadała szkołom całkiem nowe piętno. W dydaktyce zostawiła czczy formalizm humanistyczny¹, ale w pedagogice wywołała zupełny przewrót. Przedewszystkiem pod względem wychowania religijnego musiała luterska zasada, swobodnego a dowolnego badania w rzeczach wiary, zabić dotychczasową pedagogikę, opartą na

¹ A. Stöckl, *Lehrbuch der Geschichte der Paedagogik*. Mainz 1876, pag. 224—230.

zasadach katolickiej wiary objawionej, a przez Kościół nauczanej. Co więcej, t. zw. reformacya zadała cios śmiertelny dotychczasowemu systemowi szkolnemu przez zabór dóbr kościelnych i klasztornych, a wprowadziła w to miejsce trzy rzeczy nowe i nieznanne, tj.: szkołę świecką, szkołę państwową i przymus szkolny.

Szkoła świecka powstała sama przez się, skoro t. zw. reformacya znosiła kapłaństwo. Predykanom wybieranym przez gminę, nikt nie chciał przyznać powagi duchownego stanu, a żaden nauczyciel nie chciał się poddać ich kierunkowi. Szkoła państwowa czy rządowa, w miejsce dotychczasowej szkoły kościelnej, powstała stąd, że książęta i rządy zabrali dobra biskupie, kościelne i klasztorne, pozamykali szkoły katedralne, klasztorne i parafialne, więc choć cząstkę jakąś na wychowanie publicznełożyć im wypadało. Ale najlepszą tych nowych szkół krytyką jest właśnie trzecia nowość, tj. przymus szkolny, który sam Luter już doradzał (1530), dlatego, że nikt do szkoły nie chciał dzieci posyłać. Magistraty zaś musiały wydawać nauczycielom zakazy, żeby przy karaniu dzieci nie pozwalali sobie znęcania się nad nimi, przez: *Tatzen, Schlappen, Maultaschen, Harrupfen, Ohrendrehen, Nasenschellen, Hirnbatzen* ¹.

Kościół katolicki, podejmując walkę z rewolucją kościelną, wiedział, na którym polu przedewszystkiem rozgrywają się walki ducha. Dlatego sobór Trydencki wzywał biskupów i duchowieństwo, aby otoczyli troskliwą opieką szkoły parafialne i zakładali seminarya dla duchowieństwa. Nie było też odtąd prawie ani jednego synodu prowincjonalnego we Francyi i w Niemczech, któryby tego obowiązku nie przypomniał ².

Jednakże w chwilach największej trwogi i niebezpieczeństwa grożącego Kościołowi, wybiera sobie Bóg małe na pozór narzędzia, któremi zwykle wielkich rzeczy dokonywa. Takim narzędziem w rękę Boga, był św. Ignacy Loyola.

Żołnierz z zawodu, tak mało uczony, że po łacinie wcale

¹ Stöckl, l. c. p. 219.

² Stöckl, l. c. p. 232—233.

nie umiał i dopiero w 33 roku zaczął uczyć się gramatyki, słubował Don Inigo Lopez de Recalda, zwany zwykle od rodzinnego zamku Loyola, w Manrezie służby swoje Bogu w tej chwili, gdy Luter przed sejmem Wormackim (1521), pod grozą rycerstwa, a mianowicie Franciszka von Sickingen, oświadczał publicznie, że z Kościołem zrywa. Przeciw uczonemu humaniście, głośnemu mowcy i profesorowi, który porywał słuchaczy swoich, a łatwością pióra zdumiewał współczesnych i potomnych: stawał szermierz, nie posiadający nic z tego wszystkiego, a jednak szermierz straszny i niebezpieczny, przez niesłychany dar organizacyjny, który się objawił w założonym przez siebie Towarzystwie Jezusowem.

Św. Ignacy rozumiał dobrze, że przyszłość narodów zależy w przeważnej części od szkoły, że więc ten kto ma szkołę w ręku, na przyszłe pokolenia wpływ wywiera olbrzymi. Dlatego postawił swojemu Zgromadzeniu jako jedno z głównych zadań, wychowanie młodzieży. To też gdziekolwiek Jezuici dom założyli, tam zakładali zaraz szkołę, jeśli tylko środki na to pozwalały, a przyszłość wykazała, że szkoły te były tak doskonałe, tak świetnie prowadzone, że nie tylko biskupi i książęta, ale całe narody pragnęły je zaprowadzać u siebie, że nie tylko katolicy, ale nawet protestanci posyłali do nich swoje dzieci. Dlatego też powiedział o tych szkołach Baco z Verulamu: „Co się tyczy pedagogiki, możnaby po prostu powiedzieć: bierz wzór ze szkół jezuickich, bo lepszych nie masz“¹.

Jak wał potężny, jak grobla granitowa stanął Zakon nowy przeciwko rozszalałej powodzi rewolucyi kościelnej, odepchnął ją od stoków Alp aż ku wybrzeżom Niemieckiego morza; w znacznej zaś części przyczyniły się do tego jezuickie szkoły, i w tem leży ich wielkie znaczenie. Z tego też tylko punktu widzenia należy je oceniać.

W chwili, gdy Jezuici otwierali szkoły w Poznaniu (1573), nie mieli jeszcze jednolitego, gotowego planu, bo dopiero w sześćnaście lat później wypracowało go 6-ciu członków Towarzystwa.

¹ *De augmen. scientia* 6, 4. Cfr. Stöckl, l. c. p. 242.

Ale i wtedy jeszcze wystawiono go na próbę tylko, aż po 10-ciu latach starannego badania ogłosił generał Zakonu, Klaudyusz Aquaviva († 1615), ostateczny plan nauk, czyli t. zw. *Ratio studiorum S. J.* (1599).

Ten też generał przepisał, żeby każdy dom jezuicki prowadził rocznik, i żeby w księdze tej zapisywano wszystkie ważniejsze zdarzenia, prace i owoce prac misyjnych wszystkich członków domu, nadto otrzymane jałmużny i dobrodziejstwa. Każdy dom wysyłał też co rok do Rzymu sprawozdanie, t. zw. *annuae litterae*.

Dyaryusze te zniknęły niestety wszystkie bez śladu. Jeden z nich, pisany w Krakowie przez ks. Jana Wielewickiego, został uratowany i trzy tomy z niego zostały ogłoszone drukiem, reszta materiału starczy jeszcze na dwa lub trzy podobne tomy¹. Wielewiczki wspomina też o dyaryuszu kolegium Poznańskiego, który musiał widzieć, bo sam był tegoż kolegium rektorem przez trzy lata (1626—1629). Rzeczywiście istnieje ten dyaryusz w dwóch tomach, z których pierwszy jednak na roku 1653 się urywa, drugi zaś po przerwie szesnastoletniej ciągnie się od roku 1669 do 1771².

¹ 1) *Historici diarii domus professae S. J. Cracoviensis* an. 20. 1579—1599, ed. Szujski. Ed. Col. histor. Acad. lit. Cracoviensis 1881. *Scriptores* t. vii.

2) *Histor. diarii* an. 9. 1600—1608, ed. Chotkowski. Ed. Col. histor. Acad. lit. Cracoviensis 1886. *Scriptores* t. x.

3) *Histor. diarii* an. 11. 1609—1619, ed. Chotkowski. Ed. Col. histor. Acad. lit. Cracoviensis 1889. *Scriptores* t. xiv.

² Pierwszy tom rękopisu nosi tytuł: *Annales Collegii Posnaniensis Societatis Jesu*. Pod tytułem zaś napisano: „Post multos annos sui, nescio quo fato interitus, tandem isti Annales inventi apud Praedicatorum (sic) Vratislaviae et redempti aureis nummis sex a. 1798 mense Decembri, ab Illma Radzewska, Succameraria Posnan.“. Jest to foliant oprawny w białą skórę i to przed napisaniem, bo czystego papieru została prawie połowa. Stron zapisanych jest 300, czyli fol. numer. 150. Połowa rękopisu ucierpiała mocno od wilgoci, tak że ostatnie strony są tak zalane, iż pismo przebiło na następne strony.

Drugi tom nosi tytuł: *Historiarum Collegii Posnaniensis Soc. Jesu*, Tomus II. Jest tu fol. numer. 190, a nieliczbowanych 42. Zaczyna się z r. 1669 za rektoratu Baltazara Wielewiejskiego, a kończy na roku 1771 za rektoratu Michała Orłowskiego.

Oprócz powyższych dwóch tomów dyaryuszów, istnieją jeszcze dwa

Pierwszy tom naszego dyaryusza zaczęto pisać roku 1608¹. Posługiwał się autor notatkami, jakie znalazł w kolegium, wypytował też starszych Ojców, ale zapisywał sprawy publiczne tylko o tyle, o ile roztropność nakazywała. Prowincyał bowiem wydawał nawet wyraźne nakazy, żeby w dyaryuszach nic nie pisać, jeśli czasy były burzliwe. Tak np. w czasie niefortunnej podróży króla Zygmunta III. do Szwecyi, nakazał prowincyał Confalonieri nie pisać w dyaryuszu o sprawach publicznych przez trzy lata (1594—1597)².

Pod względem wartości nie może ten dyaryusz iść w po-

inne, odnoszące się do kolegium poznańskiego, mianowicie: *Liber resignationum Collegii Posnaniensis Rectorum ab a. 1643*. Jest to inwentarz majątku i ruchomości tegoż kolegium, powtarzany przy obejmowaniu urzędów nowego rektora, mniej więcej co trzy lata. Drugi rękopis nosi tytuł: *Acta Consultationum habitaram in Collegio Posnaniensi Soc. Jesu iuxta Ordinationem Patris Nostri Joannis Pauli Oliva conscripta. Potissimum in negotiis Collegii gravioribus, ex quibus informatio haberi possit pro subsequentibus temporibus praeter eas consultationes, quae de personis fiunt ex aliis ordinariis rebus.* — Do rękopisów tych wróćmy w dalszym ciągu naszej pracy.

¹ Pod r. 1609 f. 63 v. czytamy: „Restat ut de his, quos hactenus scripsimus annalibus nonnulla dicamus. Facta est haec historia Collegii hoc anno et praecedenti, stylo rudi et simplici, quem simplex rerum narratio inter plures occupationes permittebat. Continentur in ea praecipua Patrum acta et si qui interdum graves Reip. fuere tumultus hi quoque suo loco et tempore sunt inserti“.

² Pod r. 1594 f.. powiada: „Non dubito annum hunc et qui sequuntur illum proximi tres, non inferiores annis ante actis fuisse; ceterum non habui unde fructus eorum annotarem. Neque vero cuiusquam incuria aut negligentia adscribendum est, sed sapienti Dei consilio, optimaque ipsius ordinationi. Cum enim hactenus notarentur diaria et gesta notabiliora perstringerentur, id ne his annis fieret, vetuerat certas ab causas R. P. Bernardinus Confalonierius Provincialis. Sed ubi iterum renovata est postliminio vetus consuetudo, fecit, ut et nos in narrando essemus prolixiores postmodum et in ordine temporum accuratiores. Ea porro quae de consequentibus his quatuor annis scripsi ex impressis litteris annuis excerpti, partim ex gravium Patrum relatione et nonnullis fragmentis annotavi, ita tamen ut et ratio temporis et nomina personarum ignorentur“.

Co do autora pierwszych lat tego opowiadania, tj. od początku (1571) do r. 1609, możnaby się domyślać, że był O. Scheier T. J. Pod rokiem bowiem 1609 f. 64 czytamy nową ręką napisane: „Quoniam historia haec a primis Collegii repetita initiis, ita confecta est, ut anni exitum scriptor non expectavit sed eo duntaxat rem perduxit, cum alio migrandum illi, voluntate Su-

równanie z „Historją Domu św. Barbary“ Wielewickiego, ale mimo to ma on niezaprzeczenie ważność pierwszorzędnego źródła. Jest to bowiem, począwszy od roku 1615, raptularz, który nie był przeznaczony na oglądanie światła dziennego. Pisany pospiesznie, często niedbale, zawiera on to, co dla prywatnego użytku w kolegium mogło się przydać, jeśli przeto oko profana go czyta, to ma przed sobą zupełnie prywatne, a więc zupełnie wiarogodne zapiski. Na ten moment należało zwrócić uwagę dlatego, że na tem źródle wyłącznie się opieramy.

To cośmy dotąd wiedzieli o szkołach jezuickich w Poznaniu, zawdzięczamy dwom pracom Józefa Łukaszewicza, z których jedna zajmuje się historją miasta Poznania, przyczem poświęca osobny ustęp szkołom jezuickim. Druga zaś praca w czterech tomach, przedstawia historję szkół w Polsce¹. Drugie to

periorum erat, ideo ad complementum anni, quae desiderabantur, post illam solemnem clausulam authoris addenda judicavimus“.

Poprzednio autor zrobił wzmiankę o tem, że O. Scheier otrzymał misję do Niemiec. Teraz zaraz czytamy o jego wyjeździe i dyspacie z herezykiem. Nowy pisarz prowadzi rzecz do r. 1615 f. 76 v., potem już następują różnemi rękami, co rok się zmieniającemi, zapiski często luźne i urywane.

Domysł ten, że rocznik poznański pisał Niemiec, potwierdzać się zdaje i ta okoliczność, że pod r. 1575 f. 9, pisząc o Stefanie Batorym, w 23 lat po śmierci tego króla (1608), ani słowa nie poświęca jego pamięci, prócz suchej wzmianki, że potrafił ubiedz cesarza do polskiego tronu. „Quod Serenissimum Regem Stephanum electum attinet non est nostri instituti pertractare. Electus a paucis quidem Regni Senatoribus sed celeritate sua effecit ut illa firma ac rata esset electio; cum interea caesar Ratisbonae Comitia Imperii indiceret, ut eo maiori apparatu in Poloniam veniret“. Jeśli się rozważy, jakim dobroczyńcą Jezuitów był Batory, i jeśli się porówna to, co Wielewicki o nim mówi (a. a. 1586, nr. 17), to przypuścić jedynie można, że Niemiec tylko tak sucho mógł wspomnieć o takim królu i nie mógł mu darować, że ubiegł arcyksięcia Ernesta.

To przypuszczenie tłumaczyłoby też tę okoliczność, że na pierwszych kartach dyaryusza naszego, niema prawie nigdzie wzmianki o sprawach publicznych, które cudzoziemca mało obchodziły. Natomiast są właśnie w początkach dyaryusza staranniejsze zapiski o szkołach, i o tem co ich dotyczyło, niż w dalszym jego ciągu.

¹ „Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania w dawniejszych czasach“. Poznań 1838. Tomy 2. — „Historja szkół w Koronie i w W. Ks. Litewskiem od najdawniejszych czasów aż do roku 1794“. Poznań 1879. Tomy 4.

dzieło wyszło w jedenaście lat po historii miasta Poznania, ale to co autor mówi tu o szkołach jezuickich w Poznaniu, jest prawie dosłownem powtórzeniem tego, co powiedział przed jedenastu laty.

W jakim duchu pisał Łukaszewicz o jezuickich szkołach, jest aż nadto dobrze wszystkim znane. Historykowi nie można wprawdzie robić z tego zarzutu, że patrzy na dzieje świata przez szkło swoich wyobrażeń, pojęć i przekonań, ale każdy ma prawo żądać od historyka, żeby pisał prawdę, bo tak nakazuje prosta uczciwość. Przeto dać świadectwo prawdzie, o ile starczy nasze źródło, poczytujemy sobie tutaj za główne zadanie.

III.

Metoda naukowa w szkołach jezuickich stosowała się do ówczesnych wyobrażeń i ducha czasu, była więc humanistyczna i przeważnie formalistyczna, tak samo jak w szkołach protestanckich i wszystkich innych katolickich. W Polsce też wszystkie szkoły: akademickie, później pijarskie, miały mniej więcej ten sam plan i rozkład nauk co jezuickie, ustępowały im tylko pod względem doboru nauczycieli i sprzęzystego przeprowadzania planu ¹.

Wyuczenie łaciny było wszystkich ówczesnych szkół głównem zadaniem, dlatego posługiwano się łacina do wykładu już w t. zw. gramatyce, a wprawę miała dać wzajemna konwersacya uczniów, której strzegło t. zw. *signum*. Tyle pewna, że gdy metodę tę porzucono, młodzież uczy się dziewięć lat łacińskiego języka, ale po łacinie rozmówić się nie umie. Prawda, że to nie jest obecnie celem szkoły, ale w każdym razie czasu poświęca się bardzo wiele na to, żeby nie osiągnąć celu. Zarzut zaś ten, że uczniowie jezuicy mówili źle po łacinie, upada wobec tego, że uczeń jezuicki, Jerzy Ossoliński, nie potrzebował się łaciń-

¹ Łukaszewicz, „Historya“ I. c., t. I, p. 251: „Pod względem zakresu nauk nie były gorsze od akademickich, owszem przewyższały je w tej i owej mierze“. Tom I, p. 226: „Szkoły więc akademickie pod względem nauk były w tej epoce niższe od szkół jezuickich“.

skiej mowy swojej wstydić w Rzymie wobec papieża Urbana VIII. (1634).

Jezuickie szkoły unikały też przesady w uczeniu łaciny, i nie zaniedbywały języka ojczystego. Plan nauk (*Ratio stud.* art. I, lit. 7.) przepisywał w niższych klasach ćwiczenia piśmienne w mowie ojczystej, zwłaszcza ze względu na ortografię; nadto pozwalał plan na wykład w języku ojczystym przy przedmiotach, które się teraz zwykle „realia“ zowią, a które plan jezuicki nazywa „erudycją“. (Art. 2, § 1). Na tem właśnie polega różnica wielka pomiędzy szkołami jezuickimi a ówczesnymi szkołami protestanckimi, nawet najgłośniejszemi, jak Trotzendorfa w Goldbergu i Jana Sturma w Strasburgu. Dlatego też poznańskie szkoły jezuickie posiadały bogaty i największy na całą Polskę gabinet fizykałny i matematyczny, podczas gdy np. wydział medyczny w Uniwersytecie Krakowskim nie posiadał, aż do czasów Komisji edukacyjnej, a więc aż do zniesienia Jezuitów, „żadnego gabinetu anatomicznego, żadnego zbioru do nauk“¹.

Inna była jednakże, ważniejsza jeszcze różnica, mianowicie ta, że Jezuita uważali słusznie formalistyczną metodę nie za cel sam w sobie, ale za środek do rozwijania rozumu i władz umysłowych. Nie masz bowiem lepszej gimnastyki ducha młodzieńczego nad naukę klasycznych języków. Dlatego formalistyczna nauka miała na to służyć, aby uczeń wyższe nauki filozoficzne i teologiczne mógł pojmovać i rozumieć.

Co się zaś tyczy pedagogiki, to o całe niebo różniły się szkoły jezuickie od protestanckich tem, że pedagogika stała tu nad dydaktyką, tj. że wychowanie było najwyższym celem, nauczanie zaś było do niego tylko środkiem. Samo przez się rozumie się, że wychowanie w szkołach jezuickich było religijne, a dziś

¹ Łukaszewicz, „Historja“ l. c. tom I, p. 200, uwaga 2. — Łukaszewicz, „Obraz“ l. c., t. II, p. 25: „Gabinet narzędzi fizycznych w poznańskim kolegium Jezuitów, był dziełem Maryi Leszczyńskiej, królowej francuskiej; założeniem go trudnili się jej spowiednicy: ks. Biegański i Trąbczyński i Jezuita, sprowadziwszy z Francji za kilkadziesiąt tysięcy franków rozmaitych narzędzi i aparatów. Pomnożył później ten zbiór ks. Józef Rogaliński“.

podobno nikt już nie będzie robił z tego zarzutu Jezuitom, że wychodzili z tej słusznej zasady, że nauka sama bez religijnego i moralnego wychowania może być dla młodego pokolenia raczej zgubną niż pożyteczną. W owe czasy zaś, w których chodziło o przywrócenie w narodzie zachwianej wiary katolickiej i rozerwanej przez rewolucję kościelną jedności, wynikało ze samego celu i powołania Zakonu, że przez wychowanie religijne młodzieży pragnął religię wzmościć w narodzie.

W tej mierze postępowała jednakże *Ratio studiorum* zupełnie inaczej niż obecne systemy szkolne. Nie uważała bowiem religii za osobny przedmiot (fach) naukowy, na równi i obok innych przedmiotów, i dlatego nie przeznaczala osobnych godzin na naukę religii, oprócz pół godziny w sobotę, w czasie której objaśniano młodzieży ewangelię przypadającą na następną niedzielę. Za to miała religia być wewnętrznym żywiołem i podstawą całej dydaktyki, tak że nawet przy objaśnianiu pogańskich autorów, miał nauczyciel stosowne miejsca wybierać, aby zwracać uwagę młodzieży na zasady wiary chrześcijańskiej, tak żeby: „poganie nawet byli zwiastunami Chrystusa“. Przepisane jednak było przytem umiarkowanie i unikanie przesady, żeby nie nużyć umysłów.

W tym celu pragnęli Jezuiti przyzwyczajać młodzież do praktyk religijnych, do wypełniania przepisów wiary¹. Wszędzie zakładali też bractwo Zwiastowania N. Maryi Panny, t. zw. *Sodalitas Mariana*, a wiadomo, że następnie nie było szlachcica w Polsce, któryby się nie nazywał *Sodalis Marianus*.

W poznańskich szkołach zawiązana została taka *Sodalitas* już w rok po otwarciu szkół (31 paźdz. 1574). W miarę jak liczba studentów rosła, wzmagala się też liczba członków kon-

¹ Łukaszewicz, „Historia“ l. c., t. I, p. 353: „W nauce religii więcej Jezuitom chodziło o napawanie uczu dewocją, zabobonami, niż obznajmienie z prawdami i obowiązkami chrześcijańskimi. Każdą lekcją zaczynali i kończyli uczniowie modlitwą klęcząc; codzien musieli się pod najsurowszemi karami znajdować na mszy. Co tydzień, później co miesiąc chodzić do spowiedzi“. To wszystko więc uważał Łukaszewicz za „dewocję i zabobony!“

gregacyi Maryańskiej, tak że r. 1602 utworzono dwie kongregacye: mniejszą i większą. Mniejsza liczyła 70 członków (f. 44 v.). W r. 1614 podzielona była kongregacya nawet na trzy oddziały (f. 76. v.). Członkowie tych kongregacyj ćwiczyli się nie tylko w pobożności, ale i w miłosierdziu chrześcijańskim. Tak np. w Wielki Czwartek otrzymywało około stu ubogich obiad kosztem młodzieży. Co niedzielę wielkopostną i adwentową, odwiedzali, podzieleni na klasy, szpitale i lazarety, rozdawali chorym jałmużny, przyczem „Moderator“ kongregacyi, czyli Ojciec przełożony, przemawiał do chorych, aby ich ducha orzeźwić chrześcijańską pociechą.

Na inną praktykę możeby nie wszyscy się dzisiaj godzili, a mianowicie na to, że w środy i piątki Wielkiego Postu młodzież się biczowała, a w Wielki Piątek czyniła to publicznie w kościele, modląc się do północy, na co licznie zgromadzona pobożna publiczność z wielkiem wzruszeniem patrzała, tak że i wielu z młodzieży do kongregacyi nie należącej, i wielu innych, między tymi nawet prałatów, do tej praktyki pobożnej się przyłączało¹.

Co więcej, podczas wypraw wojennych, jak np. (1602) na Wołoszę, odprawiali Jezuita kilkakrotnie 40-sto godzinne nabożeństwo, a młodzież należąca do kongregacyi, za zbliżeniem się wieczoru poczęła się biczować aż do północy i wtedy około 300 osób prosiło, aby ich dopuszczono do udziału w tej pobożnej praktyce².

¹ Fol. 43. v. a. a. 1602. „Sodales Parthenii, praeter prandium quo 100 circiter pauperes die coenae Domini exceperunt, singulis Dominicis diebus ac festis quadragesimae et adventus nosocomia, certas in classes distributi, visitarunt egenosque liberali eleemosyna recrearunt nec deerat pia aliqua cohortatio, qua ab ipso Sodalitatis Moderatore animi eorundem reficiebantur. Postea itidem quadragesima feriis quartis et sextis in oratione sese diverberabant in cuius societatem facti multi alii, nondum de numero illorum, se liberaliter obtulerunt. Sacro vero Parasceves die in templo nostro, maximo hominum concursu et animorum motu pene ad mediam noctem ordines duxerunt, acrius in se flagellis quam alias saevientes, quibus non pauci e juventute nostra, imo etiam de aliis (inter quos et praelati) sese adiunxerunt“.

² Fol. 44. v. „Sodalitas B. M. Virginis in ea precatione multis excessit lacrymas, cum sub noctem facto initio flagellantium se ordines ad

Odtąd — zapisuje dyaryusz — *sodales* co rok się biczowali, czyli jak się wyraża: *Christo corpora sua crucificerunt*, krzyżowali ciała swoje dla Chrystusa¹. Pojęcia i wyobrażenia o pedagogice są dzisiaj tak odmienne od ówczesnych, że na to biczowanie może mieć kto chce odmienne zapatrywanie, ale podobno nikogo dziś niema, któryby nie rozumiał, jak wysoko patriotyczna myśl w tem leżała, że podczas gdy ojcowie w polu ponosili trudy obozowe i przelewali krew za ojczyznę — ich synowie, modląc się za ojców w kościele, młode ciała swoje krzyżowali dla Chrystusa.

Przedewszystkiem jednak zauważyć trzeba, że Jezuici nie zmuszali nikogo z młodzieży, aby do tych kongregacyj należał², ale nie ulega wątpliwości, że kongregacye te były najlepszym środkiem przygotowania młodzieży do stanu duchownego i zakonnego. Wielu też członków tych kongregacyj wstępowało do Towarzystwa Jezusowego, jak dyaryusz powiada³, ale wstępowali też do innych zakonów. Tak np. pod rokiem 1584 czytamy⁴, że wielu bardzo studentów wstępowało do Bernardynów i Dominikanów, a pod r. 1616⁵ zapisano, że 52 studentów jezuickich wstąpiło do różnych zakonów. Liczba, jakiej dotąd jeszcze nie było.

Ci, którzy układali plan nauk jezuickich, wiedzieli doskonale, że cały sekret wychowania zależy na dwóch rzeczach, tj. poznaniu charakteru ucznia, aby nań stosownie wpływać, i na przyświecaniu własnym przykładem. Dlatego w niższych szkołach jezuickich, od *infimy* aż do *syntaxis*, istniał system, do niedawna jeszcze w Austrii zachowywany, t. zw. klasowy, tj. że jeden nauczyciel sam wszystkiego uczył, a nie było nauczycieli t. zw. fachowych. Chciano przez to osiągnąć dwie rzeczy: najpierw żeby nauczyciel mógł lepiej ucznia poznać i skuteczniej

mediam pene noctem ducebat et cum se parthenii ipsi expedivissent certatim alii ex omni genere hominum se admitti petierunt et 300 in universum numerati, qui in sua dorsa acriter sevierunt“.

¹ Fol. 52, a. a. 1606.

² Łukaszewicz, „Historya“ l. c. t. I., p. 253: „Do bractwa tego musiał należeć każdy uczeń“.

³ Fol. 44. v.

⁴ Fol. 20.

⁵ Fol. 83.

na jego wychowanie wpływać, a powtóre uniknąć przez to zbytniego przeciążania uczniów. Było to tem potrzebniejsze, że uczniowie musieli wszystkie pensa zadane powtarzać z pamięci. Ponieważ zaś młodzież posiada doskonały dar intuicyjnego poznawania charakteru nauczyciela, przeto przepisywała *Ratio studiorum* (Art. I. § 5), że nauczyciel sam powinien przykładem doskonałości w cnotach chrześcijańskich swoim uczniom przyświecać, nie zaniedbywać ćwiczeń pobożnych i unikać wszystkiego, coby mogło razić uczniów, choćby nawet było jemu dozwolone.

Ponieważ zaś kierunek wychowania jest daleko łatwiejszy, jeśli młodzież jest pod ciągłym dozorem, dlatego w zasadzie dążyli Jezuici do tego, żeby młodzież mieć w konwiktach. W Poznaniu też istniał konwikt, ale dyaryusz nigdzie nie wspomina, kiedy został założony i gdzie się mieścił¹.

Do szkół jezuickich w Poznaniu uczęszczali, mianowicie na filozoficzne i teologiczne kursa, członkowie innych zgromadzeń zakonnych i klerycy seminaryum dyecezalnego. Uczniowie zaś t. zw. *externi*, byli synowie mieszczańskich rodzin z Poznania, a nadto biedni chłopcy.

Dla tych to ubogich uczniów założyli Jezuici w Poznaniu bursę. W tym celu zakupili pod koniec września r. 1615 dom za 300 zł., zaopatrzyli go w potrzebne sprzęty i umieścili tam 10-ciu chłopców, którzy żywili się z jałmużny pobożnych osób. Całym tym interesem pokierował doskonale O. Tomasz Stani-

¹ Jakie były koszta całego utrzymania ucznia szlacheckiego wraz z chłopcem dodanym mu do posługi (który zwykle w szkole razem z paniczem się uczył), wnosić można z następującej wzmianki. Lekarz poznański, Jakub Grodzicki, dał 8000 zł. Jezuitom na to, aby jego syna na wychowanie przyjęli, dlatego że mu żona umarła. Ponieważ przez lat 30 był troskliwym lekarzem w kolegium, więc Jezuici zgodzili się na to żądanie. Dali przyzwoite mieszkanie i chłopca do posługi (*puer ad obsequia quotidiana*). Ponieważ jednak Grodzicki nie był kontent z wiktów i ubrania, które syn jego w kolegium dostawał, więc żądał zwrotu pewnej części danej przez siebie sumy. Jezuici jednak wykazali mu, że chłopiec kosztował ich więcej niż 500 zł. rocznie, razem ze służącym. (Fol. 98, a. a. 1627; fol. 99, a. a. 1628).

siusz. Dyaryusz jednak nie powiada bliżej, gdzie stał ten dom, zakupiony na bursę¹.

Jezuickie szkoły różniły się też i tem od dzisiejszych, że były wolne od opłaty szkolnej, a więc ułatwiały oświatę najuboższej młodzieży. Zarzut, że „demoralizowały naród“, przez to że młodzież do nich zwabiona, robiła szkody w sadach i ogrodach², jest tak błahy, że nawet na zbijanie nie zasługuje. W całej Europie byli ubodzy studenci, którzy o żebranym chlebie szkoły przechodzili, a nikomu nie przyszło jeszcze na myśl upatrywać w tem demoralizacyi narodu. Nikogo to bowiem nie hańbi, że jadł twardy chleb w szkołach, byle następnie oddawał w zamian chleb nauki społeczeństwu swojemu.

Środków wychowawczych używali Jezuici dwojakich: rozbudzania ambicyi i ścisłego rygoru. Celem pierwszego dzielono klasy na dwie części (*pars graeca*, *pars romana*); najpilniejszym uczniom nadawano godności: *imperator*, *ensor*, *decurio*, *praetor*. Nadto dawano za pilność i dobre obyczaje nagrody, przyczem *Ratio studiorum* przepisywała, żeby nagrody były dawane skąpo i tylko za rzeczywistą zasługę. Miały też być małej ceny, tak żeby całą ich wartość stanowił zaszczyt wobec współuczniów. Gdy ambicya nie miała wpływu, a środki inne i upomnienia okazały się bezskuteczne, tam pozwalała *Ratio studiorum* na karę, jako środek wychowawczy. Kara ta miała być zastosowana do przewinienia, tak np. kto opuścił pensum zadane, musiał podwójnego pensum się wyuczyć. Kara cielesna była dozwolona tylko jako środek ostateczny, a miała być wymierzana nie przez duchownych nauczycieli, lecz przez osobnego „korrektora“, nie należącego do Zgromadzenia. Miało to być tem większem dla ucznia upokorzeniem, a wynikało z doświadczenia w poprzednich latach zdobytego.

¹ Fol. 78. v. a. a. 1615. „Indigentiae pauperum scholas nostras frequentantium consultum quoque, nam ad finem septembris domo pro iis florenis 300 coempta, supellectili et alimentis instructa fuit, quo negotio P. Thomas Stanisius egregiam suam curam et operam navavit, iamque in illam decem recepti, piorum eleemosynis sustentantur“.

² Lukaszewicz, „Historya“, l. c. t. 1., p. 269.

Czytamy bowiem w naszym dyaryuszu¹, że zaraz po otwarciu pierwszych klas w Poznaniu, zaczęły się skargi uczniów na to, że ich przymuszano do recytowania codzien z pamięci i pensów z czterech lekcyj; mimo to nie ustąpiono w niczem, dbając o to, żeby karność szkolna nie osłabła. Ponieważ zaś starsi pomiędzy uczniami pojąć tego nie mogli i rozruchy nawet wywołali, przeto zostali obici a następnie jeszcze wygnani.

Ale w 10 lat potem zaszedł przypadek gorszy². Uczeń retoryki, Stanisław Łacki, zganiony ostro przez prefekta, hardo się stawiał, a kiedy go tenże chciał ukarać, pięścią go uderzył. Wtedy przyzwany O. Rektor (Jan Konarski) zawołał chłopów, i twardo ochłostanego batem, ze szkół wykluczył, a uczniom zakazał, żeby się nie wdawali z hardym chłopakiem. Następnie jednak trzymano się tej zasady, że jeżeli się który uczeń, mianowicie starszy, karze cielesnej poddać nie chciał, wtedy wydano go ze szkoły³.

Szkoły jezuickie miały pod względem rygoru wyrobioną opinię w Polsce; mimo to właśnie największy zarzut czyni im Łukaszewicz z braku karności, że przepisy dobre „były sobie na papierze, a największa bezkarność i swawola w uczniach“. Co więcej, twierdzi, że „sam interes Zakonu kazał patrzeć przez szpary na największe bezprawia i zdrożności uczniów, owszem zachęcać ich do bezpraw, w których nieraz krew płynęła“⁴. Jest to zarzut lekkomyślny, niegodny poważnego człowieka.

¹ Fol. 5. v. 1573. ² Fol. 19. v. 1583.

³ Fol. 139, v. a. a. 1648. „*Studiosus externus philosophiae propter notoriam clerici percussione amotus est a scholis nostris, praesertim cum subire disciplinam scholasticam recusaret et contumax in sententia deserendi scholas manserit*“.

⁴ Łukaszewicz, „*Hist. szkół*“, t. I., p. 227, 266, 269. „*Obraz hist.*“, t. II. pag. 22—23.

(Dok. nast.).

Ks. Chotkowski.

DWA LATA W ŻYCIU ST. ORZECHOWSKIEGO.

1548 i 1549.

Przyczynek do monografii, na podstawie *Orichovian'ów* wyd. w Krakowie r. 1891 przez d-ra J. Korzeniowskiego.

(Ciąg dalszy).

III.

Przystępujemy wreszcie do trzeciej grupy materyałów, zawartych w *Orichoviana'ch*, a dotyczących działalności Orzechowskiego w latach 1548 i 1549. Grupa ta obejmuje 10 numerów (a mianowicie: 23, 29, 30, 31, 32, 34, 35, 36, 37 i 38), a zawiera kilka listów natury więcej prywatnej, trzy większe traktaty apologiczne, — rodzaj pisania stworzony, rzechy można, przez Orzechowskiego — obronę proboszcza Walentyna z Chrzczonowa, i wielki protest przeciwko biskupowi Dziaduskiemu. Cały ten bardzo obfity materyał odnosi się wprost albo ubocznie do jednej sprawy, którą Orzechowski w tych latach zajmuje się najżywiej, dla której bezpośrednio lub pośrednio wyłącznie chwytą za pióro, mianowicie do sprawy kapłańskiego bezżeństwa.

Dla lepszego przeglądu rozróżnimy w tym materyale cztery punkta, które ostatecznie zlewają się w jedną całość. Mamy bowiem naprzód, trzymając się porządku chronologicznego, list do Kmity z okazji jakiegoś nieznanego nam bliżej traktatu, który Orzechowski napisał po polsku do Mikołaja Modeckiego w obronie małżeństwa księży. Są następnie trzy obszerne listy, raczej broszury teologiczno-kanoniczne, do Przyłuskiego, Bru-

dzowskiego i kardynała Aleksandra Farnese, w których Orzechowski wykląda swój pogląd na Kościół, papieństwo, a szczególnie celibat. Jest dalej obrona Walentyna przed Maciejowskim i kilka listów w tej sprawie. A w końcu ów protest przeciw Dziaduskiemu, który można uważać za najsilniejszy wybuch nie chcącej się już dłużej ukrywać namiętności i za najjaskrawszy wyraz całego wzburzenia, jakie w Orzechowskim już od r. 1543 fermentowało, a teraz wylało się swobodnie, jako zapowiedź stanowczego kroku, dokonanego w czasie zapust r. 1551.

Zacznijmy od listu Orzechowskiego do Kmity. Ma on tytuł: *Epistula St. O. de Caelibatu.*

Orzechowski napisał w tym czasie nieznanym nam bliżej list do Mikołaja Modeckiego w obronie małżeństwa księży. W jakimś znów nieznanym nam liście Kmity doniósł Orzechowskiemu, że nie podobało się to wielu osobom. Aby obronić się przeciwko możliwym zarzutom, szczególnie w oczach Kmity, o którego protekcję tak skwapliwie się ubiegał, Orzechowski pisze ten list do wojewody. Wykląda mu tutaj, jak to już po sto razy czynił, że nauka kościelna jest skażona glossami i dekretaliami, oczywiście w tem, co dotyczy celibatu. Spodziewa się po Samuelu Maciejowskim, jako po „najlepszym i najuczeńszym biskupie“¹, że on zaradzi złemu i przeprowadzi zniesienie celibatu. W celibacie bowiem jest źródło upadku wszelkiej powagi, wszelkiego znaczenia i wpływu duchowieństwa. Jeżeli zaś tego nie uczyni, na nic się nie zdadzą wszystkie inne reformy, wszystko runie i zwali się w przepaść. Argumentacya ta Orzechowskiego jest sofistyczna aż nazbyt widocznie: z tego bowiem, że nieścisle i luźne zachowywanie przepisów celibatu prowadziło w owych smutnych czasach do upadku duchowieństwa, nie wynika przecie, że samo bezżenstwo kapłańskie, opierające się na najszczytniejszym ideale doskonałości ewangelicznej, jest w sobie złe i przyczyną tej całej ruiny. Owszem, wniosek przeciwny jest o wiele słuszniejszy. Należało więc raczej Orzechowskiemu zakonkludować tak jak Kromer, jak Hozysz, jak sobór Trydencki

¹ „Optimo atque doctissimo eppe“. *Orich.*, p. 302.

wreszcie, że jedynie ściśle, surowe i twarde przestrzeganie ustaw celibatu zdolne jest podnieść duchowieństwo, wlać w nie nowego ducha i zagrzać do poświęcenia się dla najwznioślejszych ideałów, których obronę złożył Bóg w jego rękę.

W dalszym toku tego listu odpiera Orzechowski niektóre zarzuty Kmity. Pierwszy z nich jest ten, że takim gwałtownym postępowaniem zagradza sobie drogę do zaszczytów i godności. Na to odpowiada obszernie. Naprzód: o jakie chodzi honory, prawdziwe czy fałszywe? Prawdziwy zaszczyt to chyba być kasztelanem i wojewodą krakowskim (pisze do Kmity!), ale to nie dla niego. Wszystkie zaś inne dostojeństwa to tylko *onera*, to tylko niewola i nieznośny ciężar. Wprawdzie niemi nie gardzi, bo jakżeżby mogło mu nie przypadać do smaku to, co się wszystkim podoba? Atoli nie ubiega się o nie, bo skłaniają go do tego dwie przyczyny bardzo ważne: naprzód ta, że nie lubi się czolgać, a nie mając w rodzie biskupów i nie będąc bogatym, nie mógłby inną drogą dojść do tego; a powtórę widział jasno, że tak wysokie godności byłyby dla niego pewnym szkopułem, o który się mógł roztrącić: straciłby na takim stanowisku swą niezależność, pozbawiłby się wszelkiej energii i pewnie nie zabrałby się do pióra wśród zgiełku, gwaru i swaru dworskiego życia. Ale, jeżeli ta niechęć do urzędów i godności jest szczerą, czemuż Orzechowski dzierży probostwa? — pytał Kmita konsekwentnie. Na to miał Orzechowski gotową odpowiedź¹: „Mam, prawda, beneficya wystarczające, choć skromne, ale sam już czuję, jakim są dla mnie ciężarem. To też znużony nieraz o tem myślę, a by je złożyć“. A więc gotów porzucić wszystkie swe obowiązki duszpasterskie, bo wtedy będzie mógł swobodnie „dawać świadectwo prawdzie“², w jej obronie choćby życie poświęcić, „mając ciebie (Kmito) za opiekuna, pomocnika i doradcę w moich zamiarach“³. Tutaj zwraca się do Kmity i wzywa go, by się zabrał do wykorzenienia występków pośród ducho-

¹ „Habeo sane modicas et tenues, quae tamen ipsae, quam mihi queri sint, sentio, ut saepe fessus cogitem, ne et has quoque habeam“. *Orich.*, p. 307.

² *Orich.*, p. 307. ³ *Orich.*, p. 307.

wieństwa, oczywiście przez usunięcie celibatu¹. Żadna Rzeczpospolita, mówi dalej, bez Kościoła ostać się nie może. Jako senator Rzeczypospolitej, winien więc Kmita podług sił swoich przyczynić się do naprawy zepsowanego duchowieństwa. Jeżeli razem z królem czy to młodszym czy to starszym wezmą się do dzieła, pewnie naprostrzą co się skrzywiło i przywrócą stanowi duchownemu jego dawną świetność i blask²:

„Skoro bowiem Pan Bóg, ozdobiwszy cię wszelkimi przymiotami, uczynił cię królestwa tego senatorem, czyż możesz jeszcze powątpiewać, że obowiązkiem twoim jest przyłożyć się do tego, aby albo król Zygmunt starszy, albo ten młodszy, syn jego, za twoim przewodem ustanowił w Sarmacyi Kościół, podobnie jak to niegdyś wbrew woli kapłanów uczynił Konstantyn W.... Niema bowiem co na nas czekać: opieszali jesteśmy, Piotrze Kmito, a wielu niecnemi zwyczajami skrepowani na prawą drogę sami nie potrafimy powrócić“.

Cóż te słowa znaczą? Czego domaga się Orzechowski od Kmity? Zdaje mi się, że bez naciągania tekstu wynika z nich jakiś narodowy Kościół, może nie tak skrajnie pojęty jak np. u Modrzewskiego, Przyłuskiego, a nawet Uchańskiego, ale w każdym razie kościół, którego najwyższymi reformatorami mają być Zygmunt Stary lub Zygmunt August, a głównym instygatorem Kmita! Wyraźnie bowiem taką myśl podsuwa Orzechowski, gdy zachęca Kmitę, aby na wzór Konstantyna, który oczywiście, nie dbając na opór pogańskich kapłanów, uznał Kościół katolicki, przeprowadził teraz w tymże Kościele reformę *invitis sacerdotibus*, a więc bez względu na tych, do których to przedewszystkiem należy, szczególnie bez względu na tych, któ-

¹ „Frustra comitia cogitis, frustra bellum paratis, si ea patiamini in regno scelera, ob quae olim Iudaea vastata, Ierosolyma eversa est, quam cum nequitia sacerdotum everteret, senatores ipsi opem ferre cum vellent, non potuerunt“. *Orich.*, p. 308.

² „Nam cum Deus omnibus rebus te ornatum huic regno senatorem dederit, dubitasne dare operam, ut quemadmodum olim Constantinus Ecclesiam *invitis sacerdotibus* constituit, sic Sigismundus hic maior aut hic minor Ecclesiam in Sarmatia tuo admonitu constituat... Nam nihil est, quod ipsi nos exspectetis; tardi sumus, Petre Kmita, ac multis pravis rebus irretiti redire in viam nequimus“. *Orich.*, p. 309.

rzy stoją twardo przy prawie kościelnem, jak Kromer, Hozyusz, Maciejowski i inni, a naprawę Kościoła pojmują jako powrót do apostołskiej karności, nie zaś jako rozluźnienie wszystkich więzów!

Pod koniec tego listu Orzechowski w dosadnych wyrazach wskazuje Kmicie, w czem leży jądro tej reformy. Oto dziełko *de Caelibatu contra Syricium*, podaje jedyne, prawdziwe lekarstwo! Lecz ci, do których to należy, nie widzą tego i nie chcą uznać. Zwraca się więc Orzechowski buntowniczo do świeckiego ramienia: w Kmicie upatruje męża najznakomitszego, który potrafił plan autora „Celibatu“ w życie wprowadzić. Wzywa go zatem energicznie do czynu¹.

Wszedł tu Orzechowski na drogę, po której stąpali wszyscy niepowołani reformatorowie. Ślepa namiętność, duma nieposkromiona pchała go ciągle naprzód, równocześnie zaćmiewając całkowicie sumienie. On stał w tej chwili na stanowisku zupełnie protestanckiem, a jednak bez zająknięcia się pisze w tym liście do Kmity tak, jak gdyby był najczystszy, najprawowierniejszym synem Kościoła².

To jest ostateczny rezultat, do którego doprowadziło go przewrotne argumentowanie. Kto doszedł do takiego wyrozumowania w teorii, zwykle nie cofa się i przed czynem. Takim jest Orzechowski w pierwszej połowie roku 1548. Przekonany w duszy, że dzieje mu się krzywda, że wszyscy błądzą, którzy inaczej niż on o rzeczy myślą, gotów jest poruszyć wszystko, wszystko zamieszać, wciągnąć do swej spółki każdego, co tyłkoby mu mógł być pomocnym, gotów chwycić się każdej sprawy,

¹ „Denique cum intellegam te in nostris malis praecipuo quodam dolore angi, dignissimus mihi es visus, quem patronum huic meae defensionis contra tot Epicureos adsciscam et abs te peto, ne mihi, immo vero Christo, desis, cuius causam ego miser homo ago“. *Orich.*, p. 310.

² „Neque vero hoc in loco peto, ut errori cuiusdam patrocineris meo, non peto, sed illud peto, ut Ecclesiam non solum nomine, sed re etiam ipsa catholicam contra malevolos tueri ope tua in Russia nobis ut liceat. Non sum ullius absurdi dogmatis propugnator. Non moveo deliramenta iudicium catholicae Ecclesiae damnata, sed hisce abusibus (!) impiis (!), qui dormientibus hominibus in Ecclesiam irrepserunt... gravem adversarium, assiduum et acerbum me fore profiteor“. *Orich.*, p. 311.

która na tej ślizkiej drodze zbliży go do wymarzonego celu: małżeństwa. Okoliczności nie każą długo na siebie czekać, a Orzechowski też nie omieszka się ich uchwycić. Ale na razie zajmie go inna sprawa: zanim bowiem ostatecznie odważy się na krok stanowczy, musi jeszcze stoczyć walkę z sumieniem i opinią, oboje zamącić i przygłuszyć, a wtedy łatwiej i bezpieczniej dokona swojego zamiaru. Właśnie do tego zbałamucenia sumienia własnego i sumienia powszechnego, posłużą mu te sprawy, o których teraz mamy pomówić.

Przysięga Orzechowskiego, złożona w r. 1547 przed biskupem Dziaduskim, w której odwoływał pozornie wszystko, co pisał o Celibacie, narobiła wiele hałasu. Przyjaciele Orzechowskiego, szczególnie Jakub Przyłuski i Jędrzej Mięcki, wojski przemyski¹, zastraszyli się bardzo: myśleli zapewne, że Orzechowski przyciśnięty przez biskupa cofnął się i zaparł swoich przekonania. Obu zależało na tem bardzo, aby Orzechowskiego utrzymać na drodze, po której przedtem kroczył. Chcąc go więc podrażnić i podjudzić do zaparcia się wykonanej przysięgi, Mięcki, prawdopodobnie w porozumieniu z Przyłuskim, przysłał mu paszkwil, rozsiany w Poznaniu z okazji owej przysięgi. Dotknęło to Orzechowskiego bardzo boleśnie; postanowił się oczyścić przed przyjaciółmi z czynionych mu zarzutów i w tym celu wydał r. 1548 „Diatrybę“². Na czele zaś tej broszury umieścił, swoim zwyczajem, list do Przyłuskiego datowany z Kupny dnia 1 czerwca. Tłumaczy tutaj znaczenie tego dziełka i jego cel. Zamiarem jego było dać stanowcze odparcie tym wszystkim, którzy go podejrzewali lub źle rozumieli przysięgę jego z r. 1547. Chciałby już raz wszelkie niejasności usunąć, okazać się takim jakim jest i stanowisko swoje zaznaczyć wyraźnie. Otóż oświadcza z emfazą, że nigdy niczego nie uczy ani uczył, „coby się nie zgadzało z duchem nauki powszechnego Kościoła“³. Posyła

¹ Ossoliński, „Wiadom. hist.-kryt.“ III. 1, cz. II, p. 250.

² „Diatriba Stanislai Orichouij Ruteni contra calumniam, Ad Andream Miękicium Tribunum ac Equitem Rutenum. Cracoviae. Apud uidiuam Fl. Unglerij. A. D. 1548“.

³ *Orich.*, p. 121.

Przyłuskiemu tę Diatrybę, aby raz się przekonał, co ma o Orzechowskim myśleć, by poznał, z kim się brata¹.

„W niej (Diatrybie) zebrałem i przedstawiłem wszystko, cokolwiek o Kościele myślę, aby otwarcie każdemu pokazać, czego się ma po mnie w przyszłości spodziewać. Posyłam ci ją, abys i ty wreszcie w duszy swej raz sobie postanowił, czego się trzymać, a czego masz unikać w Kościele Bożym“.

Widać z powyższych słów, jakie było właściwie stanowisko Orzechowskiego do Kościoła: był to eklektyk, który przyjmował wszystko, co nie stawało w sprzeczności z jego namiętnością, a odrzucał i jako dowolny wymysł piętnował to, co mu się nie podobało, bo stawiało tamę jego żądom: Takim się okazuje już w tym liście. Takim zobaczymy go w następnych listach. Takim będzie on do końca życia, nawet w tych dziełach swoich, w których będzie pracował nad wywyższeniem Kościoła. Przyznaje tedy i w tym liście, że urząd kapłański, że papież i biskupi są w Kościele konieczni, ale dodaje zaraz po swojemu bałamutnie i dwuznacznie, że Kościół musi obejmować wszystko i wszystkich, a ma tu na myśli odszczepieniecze patryarchaty: Konstantynopolitański, Aleksandryjski i t. d.: bez tego bowiem, podług jego zdania, nie byłby powszechny, nie głosiłby „czystego słowa“ Ewangelii².

Orzechowski już teraz, w r. 1548, wyrabia sobie taki pogląd na Kościół, żeby w razie małżeństwa nie wpaść z sobą w sprzeczność, żeby mieć na każdy wypadek fórtkę, gdyby do czego przyszło. W ten sposób chciał salwować swój honor, jako pisarz, przed publicznością: nie można mu było zarzucić, że

¹ „In hanc egò contuli quidquid de Ecclesia unquam sensi, ut hac ceu argumento quodam planum fiat, quid sibi de me quisque polliceri deinceps debeat. Hanc ego ad te mitto, ut tu quoque aliquando cum animo tuo statuas, quid sequi, quidve fugere in Ecclesia Dei debeas“. *Orich.*, p. 122.

² W dziele *Fricius sive de Maiestate Sedis Apostolicae* rozwija Orzechowski myśl tę najjaskrawiej może i swe zapatrywanie wypowiada bez ogródek.

wyznaje zasady sprzeczne, gdyż wyraźnie głosił, że tylko uchwały takiego Kościoła są od Boga i takiego soboru, który w łonie swem obejmuje wszystkich nawet schyzmatyckich patryarchów!

List, o którym mówimy, kończy się wielkimi pochwałami Przyłuskiego, jego nauki, zdolności i talentu, jakby dla ugłaskania obruszonego przyjaciela. Wyraża też tutaj Orzechowski swój żal, że człowiek tak znakomity nie może dosyć ojczyźnie swej służyć piórem, bo brak mu czasu. Przytem wrywa mu się mimochodem bardzo trafna uwaga o naszych polskich stosunkach naukowych¹:

„Lecz pociesz się tą myślą, że wogóle taki to już jest los Polaków. U nas bowiem jedynie, ci którzy mogą naukom się oddawać, nie chcą tego czynić, ci zaś którzyby chcieli, nie mogą; jednym schodzi na dobrej woli, aby się poświęcić umiejętnościom, innym na możliwości: talentów zaś nie brak nikomu“.

Bodaj czy i dzisiaj nie jest to jeszcze po większej części prawdą.

Z kolei wypada nam teraz przystąpić do wielkiego traktatu apologetycznego², w którym Orzechowski broni się przed zarzutami wobec Mikołaja Brudzowskiego i rozwija cały swój program na przyszłość. Rzecz to bardzo ciekawa, bo rzuca nader wiele światła na charakter Orzechowskiego i pozwala nam niejako z blizka przypatrzeć się temu psychologicznemu procesowi, jaki w duszy jego odbywał się w tym czasie. Mikołaj Brudzowski, wojewoda łęczycki, był przyjacielem Orzechowskiego osobistym. Jako wielki zwolennik nowostek religijnych, przyklaskiwał w duszy każdemu występowi jego; o wszystkim, co wydał, pragnął zapewne wiedzieć i wszystko czytać. Jak widać ze wstępu tego traktatu, Orzechowski posłał Brudzowskiemu dziełko

¹ „Sed consolare te, quaeso, hac ista communi Polonorum sorte. Soli enim ex omnibus sunt Poloni, quorum qui possunt litteras discernere, nolunt, qui vero volunt, hi non possunt; ita aliis ad discendum deest voluntas, aliis vero facultas, ingenium autem nulli omnino“. *Orich.*, p. 122—3.

² *Orich.*, p. 181—257.

swe o „Celibacie“ i „Diatrybę“. Brudzowski na przesyłkę odpowiedział listem, w którym wychwalał „Celibat“ a przeciwko „Diatrybie“ wystąpił z zarzutami. Nie podobało mu się w niej wiele; najbardziej zaś potępiał stanowisko Orzechowskiego, jakie zajął wobec Kościoła. Spodziewał się prawdopodobnie, że Orzechowski stanie się biernym narzędziem w ręku heretyków; tymczasem z „Diatryby“ widział jasno, że w jednej tylko rzeczy Orzechowski zrywa z tradycją kościelną, zresztą nie narusza żadnego dogmatu, a szczególnie prymat papieża przypuszcza i uznaje stanowczo. Oburzenie Brudzowskiego musiało być wielkie, groziło może zerwaniem lub nadwerężeniem przyjacielskich stosunków, skoro Orzechowski uznał za potrzebne w długim traktacie usprawiedliwiać się przed panem Wojewodą i zarzuty sobie czynione obszernie rozebrać. Głównych zarzutów jest sześć, ale wszystkie dotyczą jednej właściwie rzeczy: stanowiska Orzechowskiego do Kościoła. Wyrzucał bowiem Brudzowski Orzechowskiemu: 1) że papieża czci miasto Boga, 2) nie zważając na to, że nauki papieży były wielokroć *doctrinae daemoniorum*¹, 3) jak np. kiedy księżom żony a ludowi kielich odebrali; 4) że przysięgą swą z r. 1547 zadał kłam swoim własnym przekonaniom i zupełnie podkopał znaczenie swego dzieła o „Celibacie“; 5) zresztą, jeżeli sprawa, której w dziele tem bronił, jest dobra i słuszna, to czemuż zapierał się jej wydania i rozejście się jej po świecie utrudniał? a w końcu 6) choćby nadał miał trwać na danem stanowisku i przekonań swych nie zmieniać, to jednak sam dobrowolnie oną synodalną przysięgą zagroził sobie drogę do czynu i stał się, mimo wszystko, potulnym niewolnikiem kanonów!

Oskarżenie, jak widzimy z tego, było zredagowane bardzo psychologicznie. Brudzowski wyzywał prawie Orzechowskiego do walki. Znając Orzechowskiego, z góry możemy przewidzieć, że judzenie takie obruszy go i pchnie na nowo (jeżeli jeszcze jaka iskierka sumienia w nim tłała) do walki, że przygłuszy w nim wszystkie dobre instynkta i słabą jego wolę łącno podbije.

Na wszystkie czynione sobie zarzuty odpowiada Orzechow-

¹ Orich., p. 184.

ski w tonie dość umiarkowanym, bez tego szamotania się, bez tych wstrętnych przegrózek, jakie w innych jego pismach, np. *Supplicatio ad Julium III.*, poddostatkiem się znajdują. Naprzód odpiera zarzut, jakoby przeceniał wielkość władzy papieskiej i z papieża robił Boga¹. Dziwi go bardzo, jak Brudzowski może nie rozumieć tak jasnej prawdy, którą potwierdzają i dzieje kościelne i sobory, i Pismo św., i sam rozum na doświadczeniu i przyrodzonym prawie oparty. Nie powinno w nim żadnych wątpliwości obudzać i to, że *multa prava moribus fiant Romanis*², bo choć władza papieża jest najwyższa, to jednak jest on człowiekiem i może pobłądzić w tem, co jako człowiek, a nie jako papież przedsięwzię. Nie może atoli pobłądzić w tem, co mocą swego urzędu na prawowitym soborze stanowi³. Papież władzę swą wtedy pełni prawnie, gdy na soborze zgromadzony jest cały Kościół, tj. Łacinnicy, Grecy, Aleksandryjczycy i Antyocheńczycy; „z tych bowiem czterech części składa się Kościół powszechny“⁴.

W ten sposób przedstawia nam Orzechowski swój pogląd i swe zdanie o władzy papieskiej. Stanowisko jego wobec dogmatu nieomyślności papieża, jak ją sobór Watykański określił, jest fałszywe i niekatolickie. Atoli podówczas, w XVI. wieku, gdy teorye różnowiercze mieszały wszystko, gdy doktryna pewnej części soboru Bazylejskiego o wyższości Koncylium nad papieżem z hałasem jeszcze po świecie się kręciła, nie dziwnego, że niejeden nawet katolik chwycił się jej uporeczywie. Dla Orzechowskiego miała ona jeszcze więcej uroku: nie uznając wyroków papieży, o ile dotyczyły celibatu księży, chwycił się tej doktryny namiętnie, bo zasłaniając się tem, iż prawa tego powszechne sobory (w jego oczywiście rozumieniu) nie nałożyły, mógł łatwiej

¹ „Ego, Nicolae Brudzovi, pontifici Romano nunquam plus in meis scriptis tribui, quam illi a veteribus conciliis tributum esse accepi“. *Orich.*, p. 181.

² *Orich.*, p. 183.

³ „Quia Romanus Pontifex tum creditur edicere, cum eo agente et procurante praesidenteque consilium universale legitime congregatum edicit aliquid aut interdicat“. *Orich.*, p. 185.

⁴ *Orich.*, p. 186.

i swoje sumienie, nie bardzo zresztą czułe, obalamucić i wmówić w drugih, że mimo wszystko jest uczciwym katolikiem i w niczem nie odstępuje kościelnej nauki. Tego właśnie potrzebował nadewszystko: bo bądź co bądź z Kościołem zrywać nie myślał. Pobyt w Rzymie i obcowanie z uczonymi teologami tamże tak bardzo go przekonało o prawdziwości katolickiej wiary, że żadne wpływy reformatorów nie zdołały już zachwiać w nim tego przekonania. Występował wprawdzie buntowniczo przeciwko karności kościelnej. W niejednej nawet sprawie targnął się prawie na czystość dogmatu, ale łatwo to zrozumieć i wytłumaczyć, gdy się zważy jego skandaliczne życie, jego namiętności, jego fałszywe stanowisko w kwestyi celibatu. W zacierzwieniu swoim poszedł po prostu za daleko, może nawet sam nie zdając sobie z tego sprawy lub tumaniąc swój własny rozum i swoje sumienie.

Wyłożywszy w ten sposób swój pogląd o Kościele wogóle, przystępuje teraz Orzechowski do rozbioru szczegółowego zarzutu, jaki mu czynił Brudzowski. Uważał mianowicie wojewoda za oczywisty dowód, że papieże pobłądzili, to, iż zakazali księżom małżeństwa, a ludowi Komunii św. pod dwiema postaciami. Odpowiedź, jaką Orzechowski na to daje, jest dla nas po prostu śmieszna. Zaprzecza mianowicie samego faktu, a to na tej podstawie, że obie te rzeczy znajdują się u Greków, nie były więc nigdy zakazane! Jeżeli tutaj przypomnimy sobie, co w pojęciu Orzechowskiego znaczy Kościół powszechny, to musimy mu przyznać konsekwencyę. Z drugiej jednak strony, wiedząc, jak z gruntu fałszywie pojmował Orzechowski powszechność kościelną, argument ten musimy nazwać czystym sofizmatem. Gorszą jest zła obrona, aniżeli żadna. Orzechowski, gdyby chciał bronić nieomyślności papieża, mógłby był Brudzowskiemu po prostu wytłumaczyć, i bardzo jasno z Pisma św., tradycyj kościelnych i Ojców śś. udowodnić, że celibat w Kościele zachodnim jest instytucją zupełnie prawowitą i słuszną, że właśnie stanowi szczególną ozdobę duchowieństwa katolickiego, jest dowodem jego wyższych religijno-moralnych aspiracyj, jest dorobkiem wznioślejszej chrześcijańskiej cywilizacji. Jeszcze łatwiej mu było wytłumaczyć, jak słuszne i rozsądne pobudki kierują

ustawami Kościoła, który Łacinnikom Komunii św. pod jedną tylko udziela postacią. Że zaś Kościół małżeństwo wysoko ceni i w niczem mu nie uwłacza przez one ustawy, toć najlepszym dowodem było to, że w Kościele wschodnim unickim księży kanonicznie żonatyh wcale nie poniżał, ale owszem do służby Ołtarza dopuszczał ich, jako i łacińskich. Tak samo miała się rzecz i z kielichem. Lecz cała przeszłość Orzechowskiego nie dozwalała mu patrzeć na rzeczy spokojnie i bez uprzedzenia. Sam interesowany w tej sprawie do żywego, nie umiał znaleźć miary. A trzymając się uporcezywie swego zdania, wołał chwycić się jakiejś urojonej teoryi, przekreślać i naciągać prawdziwą naukę o Kościele, aniżeli zaprzecić się swego „widzimisję“.

Jako w swoim rodzaju *curiosum* psychologiczne, warto jeszcze w tem miejscu podać, jak sobie Orzechowski tłumaczył powstanie prawa celibatu. Oto w ten oryginalny, a bardzo dla niego charakterystyczny sposób¹:

„Przypuszczam i nawet jestem przekonany, że niegdys w Kościele łacińskim kapłani byli bardzo wstrzemięźliwi, a nie bacząc na ludzką ułomność, jeno na swą doskonałość, te same prawa wstrzemięźliwości (celibatu), które sami sobie nałożyli, rozciągnęli na wszystkich, w mniemaniu, że będą one łatwe do zachowania i dla przyszłych pokoleń... W definicyi kapłana nie widzieli, aby jako znamię jego kładziono małżeństwo, lecz tylko samo administrowanie sakramentów; aby zatem kapłan całkowicie i niepodzielnie temu obowiązкови się oddał, postanowili dla niego celibat... Pobudka ta Łacinników była bardzo mądra i niezmiernie przydatna do dobrego sprawowania kapłańskiego urzędu“.

¹ „Credo atque ita mihi omnino persuadeo sacerdotes singulari continentia olim in Latio fuisse, quam cum non ad infirmitatem communem, sed ipsi ad suam integritatem referrent, quas leges continentiae ipsi sibi tulerunt ceteris quoque in omni vita tolerabiles fore putabant... Neque enim in definitione sacerdotis videbant poni uxorem, sed solum sacrorum administrationem, in quibus sacris, inquam, administrandis, ut sacerdos integer esset et indivisus, uxore illum carere voluerunt, nequando is respiceret retro. Quae sane ratio Latinorum... docta admodum fuit vehementerque sacris ipsis rite administrandis utilis“. *Orich.*, p. 189.

Ale był to pogląd na rzecz bardzo jednostronny i bardzo ciasny. Był prawdziwym tylko do czasu, dokąd wstrzemięźliwość większa panowała. Ale teraz, w tych przewrotnych i rozpustnych czasach, kiedy namiętności targają wszelkie węzły i domagają się swych praw, jest, podług sofistyki Orzechowskiego, prawo celibatu czemś zużytem i przestarzałem, straciło już rację bytu. Upadłego duchowieństwa nic innego nie podniesie i do godności nie przywróci, jak tylko małżeństwo. Żadne synody, żadne sobory złemu nie zaradzą; na nic modlitwa, na nic post, — woła w swem zaślepieniu — nie dojdzie do Boga głos naszej prośby, bośmy wzgardzili Jego wołą, Jego prawem *ad matrimonium vocati, virginitatem praeter voluntatem Dei quaerimus!*¹

Jak widać z tego, co dotąd wyluszczone, Orzechowski wiedział bardzo dobrze, że celibat w Kościele zachodnim jest ustawą. Mimo to marzy o jego zniesieniu. Jak sobie wyobrażał to zniesienie? Naprzód tak płytko rzecz tę pojmował, że nie widział w tem najmniejszej trudności. Kiedyś był powód, powiada, do zaprowadzenia celibatu; teraz zaś jest d o s t a t e c z n a racya do usunięcia jego. Nasuwało mu się dalej natrętnie pytanie, w jakim zakresie należy zezwolić na małżeństwo księży? Jeżeliby sobór Trydencki prawo celibatu był ograniczył do tych rozmiarów, w jakich ono istniało w Kościele wschodnim, to Orzechowski byłby wcale celu swojego nie dopiął, boć i w Kościele wschodnim małżeństwo księży było i jest dozwolone tylko przed, a nie po święceniach. Pragnął zatem zniesienia celibatu tak dalece, by nawet już wyświęconym kapłanom wolno było pojmować żony².

¹ *Orich.*, p. 191.

² „Scire... volo, cur nam marito sacerdotium concedant, sacerdoti vero matrimonium negent, praesertim cum horum utrumque aequae sanctum ac legitimum in hominum vita existat tantaeque sit dignitatis, ut alterum altero exornetur, illustretur ac commendetur. Quid enim matrimonio est inter homines sanctius, quid vero sacerdotio est praestabilius. Si ergo rerum praestantia cum sanctitate ipsarum inter se consentit ac conspirat, quid tandem causae est, quominus res ipsae consentiant inter se atque conspirent cum summo ipsius sacerdotii splendore atque commendatione ita ut et marito sacerdotem esse et sacerdoti maritum fieri liceat?“ *Orich.*, 194—5.

Do takiego więc wniosku doszedł na tej drodze! Zachwiaszy raz w duszy swej przekonanie o słuszności Kościoła w tej sprawie, tak dalece przyćmił przez to swój rozum, że nie czuł nawet, iż sam z sobą staje w sprzeczności. Wszak właśnie to pojęcie o powszechności Kościoła, jakie sobie samowolnie wytworzył, nie powinno mu było dozwolić na przytoczone dopiero co twierdzenie. Przecież księżom wyświęconym zenić się cały Kościół wschodni nie pozwalał. Było to odwieczną praktyką opartą na bardzo wyraźnej tradycji apostołskiej, a utrwaloną uchwałami wielu papieży i soborów, tak w zachodnim jak i we wschodnim Kościele¹. Orzechowski niejednokrotnie powtarzał w swych pismach i przedtem i teraz, że uchwały uznane tak przez wschodni jak i zachodni Kościół, są nieomyłne i obowiązujące. A tymczasem tutaj, gdzie mu chodziło o jego osobę, sam czynił wyłom w swej własnej teorii i stawał w jaskrawej z nią sprzeczności. A mimo to, Orzechowski zupełnie śmiało i już chyba w złej wierze dodaje, że broni nauki czystej, nauki uznanej w całym Kościele².

W trzech pierwszych punktach swej odpowiedzi, przesłanej Brudzowskiemu, Orzechowski starał się zdobyć sobie jakiś grunt niby dogmatyczny dla właściwej obrony. Teraz — w punkcie czwartym — zaczyna się już obrona sama. Orzechowski usiłuje Brudzowskiego przekonać, że przysięga, którą w r. 1547 wykonał, wcale nie krępuje jego dotychczasowych zasad, że jak dotąd tak i nadal stoi on i dotrwa wiernie na raz obranem stanowisku. Przedstawia mu więc naprzód, co go popchnęło do napisania dziełka o „Celibacie“, które tyle narobiło wrzawy po całym świecie. Dłuższy ten ustęp, jako autentyczny dokument do hi-

¹ Cfr. Ks. bisk. J. Ch. Janiszewskiego: „Bezżeństwo kapłańskie“. Gniezno 1860, część I, p. 224—237.

² „Ita ego... illud decretum in religione Christi sequor iter, ut ad solius verbi Dei arbitrium in Ecclesia vivam illudque interpretatione Ecclesiae universalis, non partis alicuius teneam, ut illam demum mentem ac sententiam verbi Dei putem esse, quam esse censuerint non Latini tantum sed Graeci etiam, Alexandrini atque Antiocheni, hoc est occidentes, meridies, boreas atque ortus“. *Orich.*, p. 200—201.

stori tej broszury, która była jakby programem całego życia Orzechowskiego, przytaczamy w przypisku ¹.

Wyłożywszy, zdaje się, szczerze genezę tej sławnej „Oracyi“, opisuje dalej, jak w cudowny prawie sposób, jeszcze przed wydrukowaniem, w rękopisie rozeszła się z szybkością błyskawicy po całych nawet Włoszech, Niemczech, Hiszpanii i Francji i jak autorowi zjednała wszędzie podziw i poklask. Naturalnie w oczach Orzechowskiego jest to namacalnym dowodem, że Bóg sam opiekuje się tem dziełkiem, że myśli w niem zawarte nie od Orzechowskiego pochodzą, lecz są jakimś, ledwie że nie nadprzyrodzonym objawem. Wobec tego on, Orzechowski, żadną miarą nie ważyłby się temu dziełu uwłaczać, treści jego się zapierać lub się jej wyrzekać ². „Ale jednak przysięgłeś na synodzie i zaparłeś się wszystkiego“ — zarzuca mu słusznie Brudzowski. Na to odpowiada Orzechowski, że tak przysięgł, aby to w niczem nie uwłaczało jego zasadom i przekonaniom. Co do szczegółów zaś tej przysięgi, odsyła Brudzowskiego do „Diatryby“, bo tam obszernie i dowodnie usprawiedliwił się ze swego postępku!

(Dok. nast.).

Romuald Koppens.

¹ „Ego cum adolescentiam meam libidine fervere meque ad sacerdotii munus praecipiti consilio patris iniectum esse periculose absque uxore sentirem, non dissimulavi dolorem meum neque, quod plerique faciunt, in ipsa incontinentia ementitam continetiam protuli. Confessus libro publice scripto sum, me sine uxore non posse continere, scorto autem uti ratio non erat, quod id ne facerem et praeceptum illud Dei ‚non moecha-beris‘ prohibebat, et conscientia hoc praecepto exterrita non sinebat (!); uxorem porro ducere adversus inveteratam opinionem Latinam vel nolui, vel non potui, vel id, quod verius est, timui. Quare cum haec duo proposita tantummodo haberem (!), ut aut scortandum, aut uxor ducenda mihi esset... dici non potest quantis meis gemitibus metus cum cupiditate in me tamdiu pugnaret, donec illo... ad scribendum illam orationem de Caelibatu appellerer... Illam ergo orationem eo consilio scripseram, ut Tridentum ad concilium mitteretur“. *Orich.*, p. 203.

² *Orich.*, p. 205.

CO STANOWI PRAWDZIWĄ WARTOŚĆ CZŁOWIEKA.

Jeżeli nad wartością każdej rzeczy człowiek powinien się zastanawiać, aby umiał każdej rzeczy odpowiednio użyć, to tem bardziej powinien się zastanowić nad wartością człowieka, aby mógł odpowiednio z ludźmi postępować, a w szczególności, aby jako przełożony, mógł ich odpowiednio używać. Ponieważ jednak w człowieku jest nierównie więcej, aniżeli u innych istot, rozmaitych stron i momentów, które na uwagę brać można, przeto też i odpowiedź na pytanie, co stanowi prawdziwą wartość człowieka, może być różnaitą. — U ludzi prostych, oddanych pracy fizycznej, wartość człowieka, lub przynajmniej jej niepoślednią część, stanowi siła fizyczna. Kolosalne rozmiary ciała, muskularne ramię, silna dłoń nietylko imponują człowiekowi prostemu, ale są jego ideałem; — „tęgi“ człowiek, znaczy u niego tyle, co fizycznie silny. — I cóż warte to zdanie?... Zapewne, że silna dłoń, zdrowy organizm znaczy bardzo wiele; zapewne, że często, jak dosadnie wyraża się Pismo św.: *lepszy jest pies żywy, aniżeli lew zdechły*¹; zapewne, że silny organizm u zwierząt znaczy wszystko, ale u człowieka nie znaczy, ani nie znaczyłby wszystkiego nawet wtenczas, gdyby „prawo pięści“ było podstawą prawa i rozstrzygało o sprawiedliwości. W ten sposób oceniać wartość człowieka znaczy tyle, co jej nie rozumieć, owszem

¹ Ekkle. ix, 4.

ubliżać jej, bo przecież człowiek nie jest samą tylko materią, ale jest istotą, w której żyje duch, a duch ten nie tylko stawia człowieka na wyższym szczeblu w hierarchii stworzeń, ale czyni go panem i królem stworzenia.

Inni znowu wartość człowieka oceniają według form towarzyskich; dobre znalezienie się pokrywa niedostatki tak, iż kto je posiada, może mieć nawet wiele wad, a jednak w opinii stać będzie wysoko; kto zaś tych form nie posiada, temu na nic się nie przydadzą zalety moralne. W języku tych ludzi wyrażenie: „dobrze wychowany“, oznacza człowieka, który umie znaleźć się w salonie, umie być grzecznym i usłuznym, a wskutek tego przyjemnym i poszukiwanym... I cóż znowu o tem kryterium wartości ludzkiej powiedzieć należy? — Zapewne, że człowiek jest *animal sociale*, tj. istotą przeznaczoną do życia, a więc i do pożycia z ludźmi, i że wtedy tylko normalnie się rozwija, gdy się wychowuje w towarzystwie ludzkim; zapewne, że zalety i formy, które towarzyskiemi nazywamy, są rzeczą ważną i potrzebną, wszelako wartości człowieka ani stanowią, ani głównym jej czynnikiem nie są. Formy towarzyskie są tem dla człowieka, czem jest ładna oprawa dla książki, czem są piękne ramy dla obrazu. Dobra książka lepiej się przedstawi w ładnej oprawie; znakomity obraz lepiej się wyda w odpowiednich ramach — ale ani książka nie dlatego jest dobrą, że jest pięknie oprawioną, ani obraz nie dlatego znakomity, że ramy jego wyszły z pracowni znakomitego rzeźbiarza.

Inni, biorący rzecz głębiej, widzą wartość człowieka w stronie jego duchowej i powiadają, że człowiek o tyle więcej wart, o tyle więcej zasługuje na precedencję przed innymi, o ile więcej posiada nauki i talentu. Miarę tę wynalazł świat pogański, który pole umysłowe człowieka miał za jedyne szranki jego pracy duchowej. Ze świata pogańskiego przeszła ta miara do świata chrześcijańskiego i tak powszechnie znalazła w nim zastosowanie, iż dziś ona prawie jedynie służy do ocenienia wartości ludzi. Młody chłopiec, ledwie przeszedł poza próg domowego ogniska, już się z tą miarą spotyka, bo ta miara rozstrzyga o jego promocyi w szkole, a wskutek tego i o jego losie. Talent połączony

z pilnością, — a gdzie wielki talent, tam prowizya z tego kapitału, do pewnego stopnia, i pilność zastąpi — stanowi cały postęp młodego człowieka; niedobra nota w obyczajach ma znaczenie tylko finansowe, bo kto ma obyczaje złe, ten otrzymuje promocyę, tylko musi za nią zapłacić. Ojciec, oddając syna do szkoły, zwyczajnie o tem tylko mu mówi, aby się dobrze uczył, i wtedy tylko z dziecka swego jest zadowolony, gdy się dobrze uczy.

Młody człowiek, wyszedłszy z gimnazyum na uniwersytet, znowu ceni i baczy tylko na naukę i przed tymi tylko z przekonania schyla czoło, w których widzi olbrzymią naukę lub genialny talent. Jedyną ambicyą tego młodzieńca jest nabyć jak najwięcej nauki, zdać jak najlepiej egzamina, otrzymać jak najchlubniejsze świadectwa. I nic dziwnego, bo to świadectwo, a w niem ocena jego naukowej wiedzy, decyduje o jego przyszłości. Gdy bowiem chodzi później o uzyskanie jakiejś posady, będącej na konkursie, młodzieniec ten posyła owo świadectwo, sławiące obszar jego wiedzy, a gdy sobie wyrachuje, że ze wszystkich konkurentów miał w świadectwie swoim najlepsze noty, to powiada, że jemu a nie komu innemu to stanowisko się należało, a więc, że zrobiono mu krzywdę, gdy mu go nie dano, bo przecież on miał ze wszystkich najlepszą kwalifikacyę! Zapatrywanie takie na wartość człowieka, a mianowicie mierzenie jej talentem i nauką, tak jest ogólne, iż gdy jest mowa o człowieku nieznanym, który ma zająć stanowisko naszego kolegi lub szefa, zwyczajnie przedewszystkiem pytamy: czy to człowiek zdolny?... Zapatrywanie to tak jest powszechne, iż gdzie więcej widzimy nauki i wiedzy, tam widzimy więcej oświaty, a gdzie widzimy więcej oświaty, tam przyznajemy już wogóle większy postęp!... Czy zaś rzeczywiście człowiek o tyle więcej postępuje i o tyle więcej wart jest, o ile więcej ma talentu i nauki?

Na to pytanie slysze w odpowiedzi pytanie drugie: „Jakto, czy mogloby być inaczej? czy zamiast stanąć w obronie talentu, myslisz stanąć w obronie niedołęstwa umysłowego i nieuctwa?“ Nie! Nie chcemy bynajmniej gasić światła, owszem chcielibyśmy,

aby jak najsilniej płonęło i promieniami swojemi jak najdalsze koła obejmowało, tylko nie chcielibyśmy, aby przeceniano jego wartość i przypisywano mu to, czego nie posiada; nie chcielibyśmy, aby talent uważano jako jedyną miarę wartości człowieka, i aby wykształcenie umysłu uważano za wykształcenie całego człowieka.

Przedewszystkiem musimy dokładnie określić naszą pozycyę i wyjaśnić pojęcie talentu. Zwyczajnie przez talent rozumieją ludzie zdolność łatwego przyswajania sobie cudzych myśli, — zwyczajnie bystra pamięć i żywa wyobraźnia talentem się nazywa. Kto tę zdolność posiada i za pomocą niej nabył dużo wiadomości, tak, iż potrafi o wszystkim mówić, ten zwyczajnie nazywa się człowiekiem wykształconym. Otóż zaznaczyć musimy, że taka zdolność na miano talentu nie zasługuje. O tym, który taką tylko zdolność posiada, nie możemy mówić, że to człowiek wykształcony, ale — co najwięcej — że ten człowiek ma wykształcenie, tj. wyrobioną pamięć i wyobraźnię. Taki człowiek zwyczajnie wiele umie, bo wiele czytał i wiele się uczył, ale mało rozumie, bo mało myślał; on wszystko brał na pamięć, ale nie na rozum; jego umysł tak jest zaprzątnięty i obladowany myślami cudzemi, że w tym nawale nie potrafi zająć się tworzeniem myśli własnej. Ten człowiek, to chodząca biblioteka, to istna szafa z książkami, która wiele posiada mądrości, ale niestety... cudzej, a nie własnej. Młodzieńca, który tak pojmuje naukę, bardzo łatwo poznać podczas egzaminu; jeżeli bowiem postawi jaką tezę i zostanie przez egzaminatora zapytany o racyę, dlaczego o tej rzeczy tak sądzi, to odsyła do książki i powiada, że z pewnością tak jest, bo ten lub ów autor na tej a tej stronie (tacy i strony pamiętają!) tak mówi lub pisze. Z takiego człowieka może być kiedyś doskonały rozprawiacz, ale nigdy nie będzie dobrze rozumował. W codziennem życiu poznać takiego po płynnej wymowie, zdobnej w piękne słówka i w takie mnóstwo synonimów, iż przymiotnik u niego nigdy pojedynczo nie chodzi, ale zawsze w towarzystwie z drugim, ani rzeczownik nie obejdzie się bez adjutanta, ale zawsze ma przy boku jeden lub kilka przymiotników, — *vox, vox,*

praeterea nihil: dużo słów a rzeczy mało albo i nic. W tej gaudaninie wyrazy nie odważone, pojęcia nie określone i w należy-tym porządku ze sobą nie ustawione; — wskutek tego brak ja-sności, przejrzystości, jędrności i siły. To też mówiąc z takim człowiekiem, musisz go słuchać, a gdy go słuchasz, choćby i całą godzinę, na końcu nieraz jeszcze nie wiesz, co on właściwie chciał powiedzieć, jakiego on jest zdania, dlaczego tego zdania broni i t. p. Trafiają się czasem i tacy autorowie — *z owoców ich poznacie je*¹. Czytelniku, jeżeli przeczytasz artykuł, obejmujący kilka kartek, w przedmiocie dla ciebie dostępnym, i jeżeli na końcu nie wiesz, co właściwie autor chciał powiedzieć, to nie wąż ani na chwilę, że to autor-rozprawiacz!

Otóż ludzie z takim talentem, tj. z tak wielką zdolnością reprodukowania cudzej mądrości, są wyborni do zdawania egzaminów, zwłaszcza takich, przy których egzaminatorowie na to tylko patrzą, ile kandydat się wyuczył i umie, nie troszcząc się co będzie po egzaminie. Tacy maturzyści, nie mogąc czy też nie umiając sami z siebie wysnuć żadnej myśli, nie mają własnego zdania, i w życiu, mimo swej sławionej ogromnej zdolności, jako ludzie bierni, do niewielu rzeczy są przydatni, a przeto i niewiele są warci.

Talent należy pojmować zupełnie inaczej, a mianowicie jako ową zdolność ducha, mocą której człowiek prawdę jasno i szybko poznaje, a z prawdy poznanej, przez konkluzę, wy-prowadza całe szeregi prawd innych, przedtem mu nieznaných. Z talentem podobnie rzecz się ma, jak ze wzrokiem. Jak wzrok słaby widzi najbliższe przedmioty i to z wielkiem natężeniem, a oko bystre jednym rzutem wszystko ogarnia, tak też talent lichy, z wielkim trudem jedną prawdę zaledwie zobaczy, talent zaś prawdziwy jednym rzutem odkrywa ich i widzi mnóstwo.— Czy więc talent w tem właściwym znaczeniu, stanowi całą wartość człowieka? — Na to pytanie odpowiadamy przecząco. Przyznajemy, że talent, to cenny dar nieba, który daje szczęśliwemu wybrańcowi pewną wyższość wobec innych, a często

¹ Mat. vii, 20.

i teŝże wyŝszości poczucie, śmiałość w wypowiedaniu, lub przynajmniej odwagę do wypowiedzenia własnego zdania; przyznajemy, że *mąż mądry mocny jest... silny i potężny*¹; przyznajemy, że talent otoczony blaskiem geniuszu, tworzy nowe myśli, które sprowadzają ludzkość na nowe tory, że odkrywa nowe światy pojęć i prawd i t. d., — wszelako przyznać nie możemy, żeby talent stanowił całą wartość człowieka, albo nawet i jego znaczniejszą część. Talent to światło, które ma oświecać drogę cnoty i szlachetnych czynów; a iluż to jest takich, co przy tem świetle wygodnie leżą i nic nie robią, albo teŝ oświecają sobie niem drogę, ale drogę występku?... Przecież tym, przez których spadły największe nieszczęścia na społeczeństwo ludzkie, talentu ani pracy odmówić nie można, a jednak dodatniej jakiej wartości przypisać im niepodobna.

Po czemże więc poznać wartość człowieka? — Oto po tem kryterium, któreśmy przytoczyli powyżej: *z owoców ich poznacie je*. Najlepszem świadectwem człowieka jest to, które człowiek sam sobie wydaje, — jest to świadectwo wypisane nie słowem, lecz czynem. Na to świadectwo, jako na dowód Swego boskiego posłannictwa, powoływał się Pan Jezus, gdy rzekł: *same uczynki, które ja czynię, świadczą o mnie, iż mię Ojciec posłał*². Tę miarę, jako miarę wartości człowieka wobec Boga, stawia religia chrześcijańska. Chrystus Pan powiada: *Nie każdy, który mówi: Panie, Panie, wnijdzie do królestwa niebieskiego, ale który czyni wolę Ojca mego, który jest w niebiesiech, ten wnijdzie do królestwa niebieskiego*³. To samo powtarza za Mistrzem św. Paweł: *ktoŝy zakon czynią, będą usprawiedliwieni*⁴, a św. Jakub w krótkich, ale treściwych słowach odzywa się do pierwszych chrześcijan: *Bądźcie czynicielmi słowa* (tj. nauki Chrystusowej), *a nie słuchaczmi tylko*⁵. Według tej miary ocenimy należycie wartość człowieka nie tylko wobec Boga, ale i wobec społeczeństwa; ten najwięcej wart, kto dla chwały Bożej, a dla dobra ludzi, najwięcej zrobił. Chcąc tedy poznać wartość człowieka, nie zważajmy ani na jego powierz-

¹ Przyp. 24, 5.² Jan v, 36.³ Mat. VII, 21.⁴ Rzym. II, 13.⁵ Jak. I, 22.

chowność, ani na rysy twarzy, ani na jego formy, ani też nie zadawalniajmy się oceną jego talentu, ale patrzmy na jego czyny; człowiek o tyle więcej jest wart, o ile więcej jest człowiekiem czynu. Zachodzi teraz pytanie, czego potrzeba, aby być człowiekiem czynu, czyli które najważniejsze czynniki składają się na takich ludzi. Oto czynnikami temi oprócz talentu, o którym już mówiliśmy, są: prawy charakter, takt, wyższy pogląd i energia.

Przypatrzmy się każdemu z tych punktów z osobna.

Pierwszy i najważniejszy czynnik wartości człowieka, to prawy charakter. Charakter bez talentu — to dom, który ma mało światła, ale pomimo tego użytecznym być może; talent zaś bez prawego charakteru — to miecz w rękę szalonego. To też gdyby kogokolwiek z nas pytano o to, czy woli człowieka z wielkim talentem, a lichym charakterem, czy też z wielkim charakterem, a lichym talentem, z pewnością każdy bez namysłu oświadczyłby się za tym drugim. *Lepszy jest — mówi Ekklezjastyk — człowiek bogobojny, któremu schodzi na mądrości i nie dostaje rozumu, niżli który ma dosyć rozumu, a przestępuje zakon Najwyższego*¹. Człowiek prawego charakteru, bez zdolności, może użyć zdolności innych, może niemi się posłużyć i zwyczajnie się posługuje, — gdy przeciwnie człowiek ze zdolnościami, ale bez charakteru, nigdy się nie posłuży charakterem drugich. Pierwszy otoczy się takimi ludźmi, którzy posiadają talent i przez to uzupełniają jego braki, — drugi zaś otacza się tylko takimi, którzy charakteru nie mają i przez to do niego są podobni; pierwszy u innych wyrabia i talent i charakter, — drugi zaś u innych talentu nie wyrobi, a charakter skrzywi, podobny do puhacza, który radby zgasił światło dzienne, bo go znieść nie może.

Charakter prawy, jest to stały sposób postępowania na podstawie pewnych uczciwych i nieugiętych zasad; charakter więc mogą mieć tylko ludzie zasad. Podstawą zaś najpewniejszą i najlepszą rękojmnią dobroci i trwałości wszelkich zasad, są zasady religijne, — stąd zasady religijne są niezbędnym warunkiem charakteru. Motywa religijne są ze wszystkich najsilniejszym

¹ XIX, 21.

bodźcem do uczciwego działania i sumiennej pracy; — ideały religijne są najszczytniejsze i najsilniej pociągają człowieka. Charakter, oparty na zasadach religijnych, to dom zbudowany na opoce, i dlatego żadnej burzy pokus, ani łagodnemu tchnieniu podchlebstw wzruszyć się niedający, — charakter zaś bez zasad religijnych, to dom zbudowany na piasku, a więc to budowa bez trwałej podstawy. — Jeżeli zaś mówimy o religii, to rozumiemy religię katolicką, gdyż inne religie i wyznania, nie mają tej siły, którą posiada prawda. Sami nawet protestanci religii swojej tej siły nie przyznają, skoro ją uważają tylko za rzecz uczucia, która nietylko z wolą, ale nawet z rozumem nie ma nic wspólnego. Przez to jednak, że za podstawę charakteru stawiamy religię, nie chcemy bynajmniej powiedzieć, że ludzie nie mający żadnych zasad religijnych, albo nie znający religii prawdziwej, nie mają już żadnej wartości moralnej, bo przecież możliwą jest wrodzona i naturalna uczciwość, nawet i tam, gdzie wszelka wiara zamarła.

To ściśle połączenie religii i charakteru okazuje się stąd, iż wtedy i tam, kiedy i gdzie upada religia, tj. kiedy i gdzie zasady religijne nie ożywiają społeczeństwa, upadają także charaktery, nikań ludzie zasad, a miejsce ich zajmują ludzie... namiętności. To też w dzisiejszych czasach, w czasach bezwyznaniowości i materyalizmu, coraz mniej ludzi zasad, coraz mniej charakterów silnych, coraz mniej wybitnych typowych postaci, jakoby z jednego granitu wykutych, a coraz więcej ludzi podobnych do owego bałwana, którego we śnie widział Nabuchodonozor, a którego *głowa była ze złota, piersi i ramiona z srebra, brzuch zaś i biodra z miedzi, golenie żelazne, nóg część niektóra była żelazna, a niektóra gliniana* ¹.

Nie wystarczy jednak dobre rzeczy robić, trzeba jeszcze dobrze je robić! Człowiek, jeżeli chce być człowiekiem czynu, musi być ozdobiony roztropnością, tj. ową cnotą, która wskazuje, co, gdzie, kiedy i jak robić należy, tak aby we wszystkim zachowaną była pewna harmonia i równowaga. Wyrazem roz-

¹ Dan. II, 32 i 33.

tropności — to takt. Bez niego najlepsze chęci i usiłowania giną marnie, owszem zniechęcają innych i do opozycji prowadzą. Nigdy brak talentu tyle nie sprowadzi złego i zamieszania między ludźmi, ile sprowadza brak taktu; to też słusznie mówi gdzieś Szekspir, że „lepszy jest mądry głupiec, niż głupi mędrzec“. Przecież najczęściej stają się ludzie niemożliwymi na swoich stanowiskach, zwłaszcza wyższych, nie przez brak zdolności, ale przez brak taktu. Nieraz brak taktu narobi więcej złego, aniżeli brak uczciwości, albowiem brak uczciwości, czyli nieuczciwość wytwarza czyny, które łatwo wpadają w oczy i rażą, a wskutek tego prędzej zwracają uwagę tych, którzy im tamę położyć winni; gdy tymczasem brak taktu pociąga za sobą rozmaite niestosowności, które trudno uchwycić i pod kodeks karny podciągnąć, a wskutek tego rozstrój na szersze koła się rozciąga.

U człowieka czynu, zwłaszcza gdy tenże stoi na czele jakiejś instytucji i kieruje innymi, potrzeba koniecznie jeszcze dwóch zalet, a mianowicie szerszego poglądu i energii,— i o tych zaletach jeszcze nieco pomówimy.

Im kto wyżej stoi, tem szerzej w świat i dalej w czas, tj. w przyszłość, patrzeć powinien. Jeżeli zaś chodzi o to, w którym kierunku rzut oka ważniejszy, czy w kierunku przestrzeni, czy też czasu, to powiemy, że ważniejszy jest kierunek czasu. Kto patrzy tylko na chwilę obecną i duchem swoim nie wzniesie się nad nią i nie przypatrzy się przeszłości, której znajomość trafnie nazwano „mistrzynią życia“, a co ważniejsza, kto wzrokiem swoim nie spojrzy w przyszłość, tj. w jutrzejsze potrzeby społeczeństwa—ten będzie zawsze w ciasnem tylko obracał się kółku, ten w działaniu swoim będzie podobny do lekarza, któryby plaster na ranę przykładal wtedy, gdy radykalnej operacji potrzeba. Kto nie ma szerszego poglądu, ten ugrzęźnie w drobnostkach, a pominie rzeczy ważne, ten może będzie wielkim w małych rzeczach, ale właśnie dlatego będzie małym w rzeczach wielkich. A jakżeż to przykry jest widok człowieka zdolnego i pełnego poświęcenia, ale oddanego drobnostkom!... Jest to Herkules, zajmujący się u królowej Omfalii przedzeniem kądzieli,

lub Samson, który u Filistynów żarna obraca; jest to mocarz z królestwa zwierzęcego, zmuszony w menażeryi wykonywać drobne sztuczki, które lepiej i zwinniej wykonałoby jakiekolwiek małe zwierzątko... Taki przełożony zakładu wychowawczego może wychowywać ludzi prawych i uczciwych, ale nie wychowa ludzi wyższych sposobem myślenia i działania.

Szerszy pogląd dodaje inicjatywy, bo kto szerzej patrzy, ten lepiej widzi, jak obszerne jest pole działania. Ale człowiek czynu musi posiadać nietylko inicjatywę, aby coś przedsięwziął, lecz musi mieć także energię, aby wykonał to, co przedsięwziął. Przez energię zaś nie rozumiemy tej jakiejś szorstkości lub drażliwości, która ze wszystkimi zadrze, ani nie rozumiemy uporu, który nie ustąpi nikomu i niczemu, nawet argumentowi; ani nie rozumiemy owej gorączki, która zrazu silnie szarpie, a zaraz potem puszcza — ale rozumiemy ową wytrwałą stanowczość w działaniu, która nie da się odstraszyć żadnymi trudnościami, gdy je na drodze do swych celów napotka. Energia cenną jest zawsze, ale cenniejszą jest w dzisiejszych czasach, ponieważ należy do rzadkości; energia potrzebna jest każdemu człowiekowi, który chce coś zrobić; każdemu społeczeństwu, które chce iść naprzód, a szczególnie potrzebna nam Polakom, którym wrodzoną jest pewna czułość i słabość. Potrzebna nam tem więcej, że w tym względzie jest pewne zamieszanie pojęć, albowiem w oczach wielu ludzi energia uchodzi za wadę, a brak jej za cnotę. Przecież niejeden, człowieka stanowczego i energicznego nazywa surowym i złym; a człowieka bez własnej woli, bez energii, który pójdzie bez oporu tam, gdzie inni go pociągną, który „nikomu nie szkodzi“, z każdym dobrze żyje, na wszystko przez szpary patrzy, „nie klasyfikuje ludzi“, nazywa dobrym. Ci ludzie nie piętnują złego, ale też i nie odszczególniają dobrego: z dobrymi trzymają, bo sami nie są złymi, owszem inni w nich wmawiają, że są bardzo dobrymi, ale też nie zrywają ze złymi, aby przypadkiem ich sobie nie narazić. Oni chcieliby pogodzić światłość z ciemnością, i czynią tak, jak ongi Filistynowie, którzy Arkę przymierza postawili w świątyni obok bożka Dagona. I ci ludzie, którzy chcieliby

robić dobrze, ileż narobią złego, nie swoją własną wolą, ale wolą innych!... Nie będą to *peccata commissionis*, ale *omissionis*. Już św. Bernard zauważył, — a znajomości ludzi odmówić mu niepodobna — że najwięcej złego dzieje się nie tyle wskutek przewrotności ludzi złych, ile raczej wskutek nieczynności i poślizgnięcia ludzi dobrych.

Jakichże nam więc przedewszystkiem ludzi potrzeba? Oto ludzi rozumnych, choćby niekoniecznie z głową nabitą mnóstwem wiadomości, ale z sercem prawem, pełnem cnoty i charakteru, ludzi roztropnych i wyższych w poglądzie, a energicznych w czynie. Takimi ludźmi stoją instytucje, takimi stoi, a tem bardziej takimi tylko podnieść się może całe społeczeństwo. A takich ludzi wychowuje nie książka, ale życie i ludzie. Jak w porządku nadnaturalnym oświeca i uświęca Bóg ludzi przez ludzi (tj. przez kapłanów), tak też i w porządku naturalnym podnosi Bóg ludzi przez ludzi, i jak w porządku nadnaturalnym nadzwyczajnemi są te wypadki, w których (jak np. do św. Pawła), Bóg bezpośrednio przemawiał, tak w porządku naturalnym do wyjątków należą te wypadki, w których ludzi prowadzi bez pośrednictwa i współdziałania ludzkiego. Bez pomocy ludzkiej, przy jakim takim talencie i pilności, można ostatecznie nabyć wiele wiadomości i stać się człowiekiem inteligentnym (choć autodydaktyzm zawsze okazuje braki i jednostronność), ale bez obcej pomocy, bez ludzkiej ręki prawie absolutnie nie można się wyrobić na tęgiego człowieka. Zanadto wiele człowiek napotyka w życiu trudności, za wiele rozmaitych dróg, aby mógł sam jeden wszystkie trudności rozwiązać i drogę znaleźć prawą. W tym względzie sprawdza się to, co mówi Pismo św.: *biada (człowiekowi) samemu, bo jeżeli upadnie, niema ktoby go podniósł*¹. Więc też obowiązkiem naszym, i to nas wszystkich, jest już od lat dziecięcych zaprawiać młodzież do tego, aby wyrastała na ludzi czynu, a więc wyrabiać w niej sąd, zaszczepiać charakter, podnosić wyżej ich ducha i wzmacniać wolę.

Ks. dr. A. Trznadel.

¹ Ekkle. iv, 10.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

Część II.: Chiny i Japonia.

(Ciąg dalszy).

Kanton, 16 lutego.

Po więzieniach chińskich, zwiedziliśmy jeszcze onegdaj *Buddha-foot*, ślad nogi Buddy, uwieczniony na skale. Dwa takie ślady podobno tylko są w świecie, w Colombo i tutaj. Nic zbyt ciekawego: wydrążenie w skale, nieco formę nogi przypominające, rozmiarów kolosalnych. Zwiedzamy jeszcze jakąś nieciekawą pagodę; dalej rodzaj *City-hall* chińskiego; nareszcie robi się wieczór, zaczynamy wracać ku domowi. Na jednym z tysiąca skrętów, w jednej z miliona uliczek wąziutkich, przez które nas przenoszą, nagle słyszymy niezmierny zgiełk, bicie w *tam-tam*; z tyłu i z przodu ludzie się cisną, przed czemś widocznie uciekają; nasze palankiny stawiają na ziemię w kącie ulicy; z dwóch stron schodzą się przed nami dwie jakby procesye: ludzie dziwacznie poubierani, niosą tam-tamy waląc w nie co siły, dzieci w brudnych a ekscentrycznych kostiumach z papierowemi, kolorowemi, głównie żółtymi czapkami na głowie, w formie grzebieni kogucich, dalej cała czereda obszarpańców, z jakimiś cudaczkami drewnianemi, srebrzonemi halabardami, kat czerwono a brudno ubrany z ogromnym drewnianym mieczem, obciążniętym papierem srebrnym; nareszcie jednak komedia się kończy

i zjawia się cały szereg coraz to wyższych czy żołnierzy czy urzędników z pięknymi japońskimi mieczami u boku — ci porządnie wyglądają; dalej kilku mandarynów na krępych mongolskich kucykach, w końcu lektyka ciemno-zielona, o czarnych sznurach jedwabnych, niesiona przez ośmiu ludzi, w niej wicekról; to wszystko przesuwają się przy dalekim już i słabym dźwięku tam-tamu wśród uroczystego milczenia. To zwykle otoczenie Tion-tsi-tong, wicekróla; tylko w takim otoczeniu wychyla się on poza mury swej rezydencji. Dziwna rzecz, że Chińczycy, ludzie tak rozumni, taką brudną i śmieszoną szopkę urządzają. A może i w tem tylko rozumu dają dowód; ten tłum ludzi brudnych, dziwacznie ubranych, lecący przed lektyką wicekróla, to obraz wszystkich atrybucyj jego władzy; on ją ma w istocie, tę władzę, pocóż jednak na codzień ma występować z rzeczywistymi insygniami tej władzy — wieleby na to same kostiumy kosztowały? to niepotrzebny, nieużyteczny wydatek, więc tylko kopie insygnij pokazuje — może ma rację.

Na drugi dzień przyjął nas wicekról u siebie. Z eskortą 25-ciu ludzi, świątecznie przybranych, ruszamy ku pałacowi; choć lecimy co tylko nasi ludzie ujsć mogą, trwa to dobre pół godziny. W końcu mijamy jeden niewielki, brudny, opuszczony, trawą zarosły plac, potem drugi; nareszcie nasze wojsko staje, tworzy szpaler; stado ciekawych i dzieci pędzi za nami aż po ogromne, drewniane, znowu wejścia do świątyń i pagód przypominające wrota, na których, jak zawsze, gwaszową farbą wymalowane, trzeszczą na nas straszne ślepia bóg sprawiedliwości i wojny; te wrota się otwierają. Za nimi rodzaj bramy czerwonym sukniem obitej, przed nami niewielka, dość niska, dziwaczna hala; lektyki stają. Wychodzimy; przyjmuje nas dwóch sekretarzy, jeden młodzieńki, mówi *expedite* po angielsku i niemiecku. Prowadzą nas przez krążganek wązki i ciemnawy; tu spotykamy wicekróla. Nie wysoki, chudy, nie ogolony, słaby czarny zarost, twarz pergaminowa, oczy małe, sprytne; na głowie ów mandaryński kapeluszek czarny filcowy, okrągły, z podniesionymi do góry brzegami, u szczytu koralowy guzik, z pod którego ku tyłowi zwieszają się pióropusz długi czarny, z włosieniami końskiego, znak bar-

dzo wysokiej godności. Kapota czarna o malutkich guziczkach złotych, pod nią widoczna druga, niebieska, futrem jakimś białym podbita. Palce długie, chude, zeschłe, pewnie od miesiąca nie myte: paznogie długie jak szpony, nigdy nie czyszczone, żółte, czarno zaprawne; krząka i pociąga nosem obrzydliwie. Ale sprytnie w świat patrzy, uchodzi za największego dziś literata chińskiego, jest zaciekłym i nieubłagany wrogiem białych — ale niesłychanie grzeczny. Stara to jednak i znana finta wszystkich wschodnich ludów; nikt się już na te uśmiechy, szczerzenia zębów, picie zdrowia co chwila, nader serdeczne witanie za pomocą podnoszenia obu rąk ku czole (*czin-czin*) nie łapie.

Rozmowa najnudniejsza, banalna w czasie tej wizyty, jak to zwykle bywa, gdy przez tłumacza rozmawiać trzeba. Apartament wice-króla — nic brzydszego! brudna buda drewniana, a jak sam wice-król może służyć za model brudu, tak też i otoczenie zdaje się nie przepadać za wodą! Filiżanki, w których nam podają herbatę, sposobem chińskim przykryte przewróconym do góry dnem spodkiem, w filiżankę wpuszczonym — pewnie rok cały nie myte. Herbata dziwnie zła, przepelniona pływającymi liśćmi herbacianymi. Widelce, które leżały przed nami — koncesya zwyczajom europejskim zrobiona, by zjadać konfekty, konfitury i owoce, którymi założony był stół — tombakowe, obrzydliwe; porcelana ordynarna; konfekty ohydne; podczas gdy zwykle nic lepszego jeść nie można, jak konfekty chińskie, np. owe sławne owoce lotusu i t. p., nad którymi tego samego dnia rano u jednego z kupców chińskich tak się delektowaliśmy, tu są niemożliwe. Mnie raczył Jego Ekscelencya Tion-tsi-tong pytać, wiele mam lat; jest to jedno z pytań zwyczajnych, od których każda konwersacya na Wschodzie się zaczyna.

Swoją drogą, ów wice-król-literat ma wiele zmysłu do robienia rzeczy białym niemiłych; i tak obwarowuje swoje wybrzeże jak może. Pracuje nadzwyczaj wiele. Przed wysłaniem każdego ważniejszego sprawozdania do Pekinu, przenosi się do pobliskiego klasztoru bonzów, i tam wśród absolutnego spokoju i ciszy pracuje. Wogóle prowadzi życie trochę na wspak zwyczajnego, w dzień spijając a w nocy pracując.

Wice-król zaraz z początku wizyty prosił naszego ministra o wybaczenie, że go przyjmuje zupełnie nieoficyalnie, nie w wielkim mundurze, bez oddania mu wszystkich, godności ambasadora należnych honorów i t. d. Było to jednak z góry między tymi panami umówione; nasz minister nie miał naturalnie ze sobą mundur, więc cała wizyta odbyła się w sposób nader prosty. Że u wice-króla i na wice-królu brudno i ubogo, nie dziwnego. Zasadą każdego urzędnika chińskiego (podobno i rosyjskiego także) jest podczas urzędowania, a zwłaszcza przy wszelkich uroczystościach, wogóle tam, gdzie oko trzecich osób go widzi, występować z całą możliwą prostotą, by robić na obcych wrażenie niedostatku, ubóstwa. Ma to na celu przedewszystkiem nie wzbudzać apetytów fiskalnych centralnego rządu, który widząc zamożność swych funkcjonaryuszów, podobnie jak swych poddanych, lubi się z nimi dzielić ich zasobami, obdzierając ich wtedy bez miłosierdzia prawie aż do ostatniej koszuli. Za każdą większą lub mniejszą posadę, według jej znanej rentowności, musi otrzymujący ją opłacić się grubo w Pekinie. Niechże w Pekinie się spostrzeżają, że za mało wzięli, niech się *tsungli-yamen* przekona, że np. gubernator X. dorobił się bardzo grubo na swem stanowisku, to nietylko że wydusi z niego wszelkie zasoby do ostatniego dolara, ale jego następca będzie musiał o tyle a tyle więcej zapłacić za nadanie sobie owego gubernatorstwa. Więc we własnym i sobie podobnych interesie nie wypada pokazywać, czy i co się ma. Prywatni ludzie, więc wzbogaceni kupcy, urzędnicy co dorobiwszy się, cofnęli się do życia prywatnego, ile razy mają nieszczęście spotkać się z jakimbądź organem czy reprezentantem świata oficjalnego, chowają jak kot pazurki ślicznie i bogato urządzone mieszkania, wspaniałe ogrody i odzież.

Mylne jest przeto i na powierzchownej tylko znajomości oparte przekonanie ogółu, że Chińczycy są brudni. Brudni na zewnątrz, prawda—ale proszę zobaczyć ich prywatne mieszkania, ich willegiatury, ich panie zresztą. Nic czystszego, nic bardziej eleganckiego, bardziej wyrafinowanego jako zbytek sobie wystawić nie można. Dość pojechać na owe *flower-boats*, kwaciane czółna na „rzece perel“, która środkiem Kantonu płynie, i wi-

dzieć tam owe piękne śpiewaczki, w ślicznych kostiumach; owe kanapki i krzesła plecione z najcieńszej ryżowej słomy — wszystko tam wymyte i wymuskane jak w pudełeczku. Zresztą nasz wicekról może specjalniej brudny i zaniedbany od innych, bo to uczony, filozof, poeta. Wicekról Si-Tung-Czang, którego później poznałem w Tien-tsin, zupełnie inne na mnie wrażenie zrobił, może dlatego, że byłem już więcej zchińszczony!?

Jak mi między innymi mówił mój gospodarz w Kantonie, konsul niemiecki pan Butler, ciekawy jest ustrój administracji chińskiej, właśnie tak niesłychanie do naszych ciężkich organizmów administracyjnych zbliżony. Wicekrólowie, jak np. nasz Tion-tsi-tong, panujący nad prowincjami większymi niż nasze wielkie mocarstwa europejskie — bo dwie prowincje południowe liczą około 38 milionów mieszkańców — są równocześnie szefami administracji, sądownictwa i armii. Dzisiejsze ich stanowisko, przez wprowadzenie telegrafu, który prawie wszystkie ważniejsze punkta Chin z Pekinem łączy, zmieniło się znacznie; stało się tu to samo, co z naszymi ambasadorami i dyplomacją wogóle. W każdej ważniejszej kwestyi może rząd centralny rozstrzygać, a inicjatywa pojedynczych gubernatorów gra o wiele mniejszą rolę. Tok instancji w Chinach przesadził jeszcze naszą kochaną Europę; w każdej kwestyi jest ich cała litania: np. podprefekt, czyli coś w rodzaju wójta, wydaje wyrok pierwszy; od niego apelacya do prefekta, naszego starosty; od prefekta do jednego z kanclerzy podwładnych wicekrólowi (nasze namiestnictwo); od nich do wicekróla; od wicekróla do Pekinu, tj. *tsungli-yamen'u*, centralnej rady koronnej; stąd jeszcze do cesarza; o dwie instancje więcej niż u nas. Niema jednak chyba fortuny, któraby kilka spraw ważniejszych po sobie była w stanie przeprowadzić przez te instancje, bo każdej instancji trzeba łapki posmarować.

Obok maszyny państwowej, organizmu wielce ciężkiego, istniejącego doprawdy tylko siłą własnej ciężkości — organizmu ciążącego strasznie na ludności, zniechęconego przez społeczeństwo, które jak może tak przed nim ucieka i od niego stroni — obok niego istnieje tu jeszcze organizacya potężna, zdrowa, je-

dynie mająca poszanowanie i faktycznie utrzymująca to społeczeństwo w kupie, a nią jest rodzina. Serbsko-chorwackiego należy mi tu użyć wyrazu: *zadruga*, bo nasze słowo rodzina nie oddaje tak dokładnie istoty rzeczy.

Ta chińska *zadruga*, tem od chorwackiej różna, że o ile mi wiadomo, nie ma tak absolutnie zachowanej, jak niegdyś było w Chorwacyi, jedności majątkowej. W Chorwacyi majątek się nie dzielił, wszystko do wszystkich członków jednej rodziny należało, mieszkało razem, jadano, spano, pracowano razem; kierował tem wszystkim najstarszy urodzeniem i wiekiem. W Chinach często mieszka rodzina wspólnie, majątek jednak się dzieli, choć nie zawsze. Póty, póki synowie w siedzibie ojca, w jego interesie, fachu i t. d. pracują, póty i tu majątek robi się i zachowuje wspólnie. Rodzina chińska, względnie więc rada familijna, a zwłaszcza jej głowa, ma o tyle większy zakres działania, że nawet kryminalne sprawy przed jej forum przychodzą. W razie popełnienia czynu pod postanowienia kodeksu karnego podpadającego, zwołuje głowa rodziny radę familijną. Obwiniony staje dobrowolnie przed tym rodzinnym sądem. Ten przesłuchuje świadków, zwłaszcza zaś obwinionego, który przed tym trybunałem stanąwszy, według zakorzenionego prastarego zwyczaju, nie ucieka się do wybiegów, jakich przed trybunałem cesarskim używa, nie szuka sposobów uniewinnienia się, ale otwarcie i szczerze odpowiada na indagację. W razie skonstatowania winy, rada familijna przez usta swej głowy zwraca się do winnego i wyluszcza mu powody swego wyroku, konstatując stan rzeczy, konkluduje: „Twój czyn kwalifikuje się przed sąd kryminalny, taką a taką karę kodeks naznacza; jeżeli naszym wyrokiem pokrzywdzonym się czujesz, idź przed sędziego cesarskiego, tam cię czeka przedewszystkiem indagacya (tortura, zwykle ofiarę zabijająca); nie ulega wątpliwości, że zostaniesz skazany, wiesz co cię w tym razie czeka. Takie jest nasze zdanie; teraz idź i czyń co chcesz — wiedz jednak, że w przyległym pokoju znajdziesz sznur i truciznę“.

I niema podobno wypadku, by podsądny usłyszawszy ten werdykt głowy swej rodziny, nie poszedł za jego wskazówką.

Dobrowolna śmierć bywa w tych razach zwykle karą występku. W sprawach zaś t. zw. cywilnych, prawa prywatnego, przez głowę prawie nie przejdzie Chińczykowi udawać się przed trybunał państwowy; tu już wyłącznie i jedynie rozstrzygają sądy rodzinne — tak niesłychanie obawia się Chińczyk trybunału cesarskiego. Owa niezliczona moc instancyj, biurokratyzm, którym skrępowana jest administracya i sądownictwo, przedajność urzędników — to główne i potężne, niewzruszone podpory familii chińskiej, bo one czynią wyłamywanie się z pod jej praw i władzy wstrętne, niemożliwe; ale poza granicami Chin, inaczej bywa. Chińczyk chętnie, z pewną może nawet pieniacką pasyą, idzie przed kratki sądowe, zwłaszcza gdy go ma Europejczyk sądzić, bo tu wierzy, że znajdzie sprawiedliwość, że prawa jego w całej pełni uszanowane będą.

O Chinach i Chińczykach, mimo że od tylu wieków Europa z nimi jest w ciągłych stosunkach, mimo że kiedyś tak świetne u dworu pekińskiego europejscy misjonarze zajmowali stanowisko, wiemy właściwie nader mało. Nietylko ogół — bo ogół europejski niczem się nie zajmuje co poza obrębem koła, którego średnica równa się długości nosa odpowiedniej jednostki — ale nawet świat uczony, nic prawie o Chińczykach nie wie. Z całego oceanu ludów, krajów, idei, dążeń, które Chiny przedstawiają, może najciemniejszym, bo gdzieś na samem dnie leżącym punktem, jest sprawa mahometanizmu w Chinach. Wpadła mi właśnie w rękę świeżutko napisana książka o mahometanizmie wogóle; myślałem, że znajdę tam, czego daremnie po innych źródłach szukałem — gdzie tam. A jednak najzamożniejsza, najbardziej przedsiębiorcza, najgwałtowniej się mnożąca (przez małżeństwa i przez zakupywanie biednych dzieci od rodziców) część ludności chińskiej wyznała religię Mahometa. Rzekomo należą oni podobnie jak Hindusowie do sekty Wahabitów.

Wielka, straszna rewolucya Tipingów w pierwszej połowie czwartego dziesiątka bieżącego stulecia, której resztki potrzęsały Chinami aż do 1874 r., rewolucya, która pochłonęła miliony pieniędzy i miliony ofiar ludzkich, w której całe prowincye się wyludniały pod nożem buntowników, a miasta z ziemią się zrów-

nywały, której Chińczycy zawdzięczają zupełne zagubienie największego ze skarbów swoich, bo kunsztu dawnego wyrabiania porcelany — wielka ta rewolucya była wybuchem wewnętrznego wulkanu mahometanizmu. Głównym motorem tego szalonego wybuchu były: niechęć czystej krwi Chińczyka do uzurpatorów z krwi mandzurskiej i nienawiść Mahometanina (po chińsku *Hoy-Hoy*) przeciwko niewiernym władcom kraju. Według p. Du Halde, w jednym roku, korzystając z ogromnego głodu, który panował w prowincyi Szang-Tong, wykupili Mahometanie 10.000 dzieci. Wszystkie naturalnie wychowano w religii Mahometa. Chińczyk z natury wiecznie głodny, — co roku bywa głód w Chinach — łatwo stąd obliczyć, jak olbrzymiemi krokami mahometanizm się w Chinach rozrasta.

Bardzo ciekawą, równie może mało znaną kwestyą, są stowarzyszenia w Chinach. Jak w Rosyi co wieś to inna sekta religijna, tak tu co chwila z nowem się spotyka stowarzyszeniem. Jednym z najpotężniejszych było i jest *Tien-Ti-Hui*, rodzaj religijno-masońskiego bractwa o politycznych tendencyach. Powstało ono w XVII. stuleciu pod dynastyą Szing; za cel miało przywrócenie na tron narodowej dynastyi Mingów.

Nie ulega kwestyi, że otwarcie Chin dla reszty świata — a raczej, jak ktoś słusznie zauważył, reszty świata dla Chin — wewnętrzne kwestye, dając możność wpływu pewnej ilości elementów fermentujących za granice cesarstwa, chwilowo straciły nieco z charakteru ostrego, jaki miały aż po rok 1860. Dziś Ameryka i Australia zamknięte dla przybyszów żółtoskórych. Czy koniecznem następstwem tej niemożności pękania chińskich wrzodów społeczno-religijno-politycznych na zewnątrz, nie będzie tem groźniejsze wezbranie ich na wewnątrz, to przyszłość okaże. Przyszłość również okaże, czy te fermenta, ten nadmiar sił żywotnych, nie posuną się w innym kierunku, może na Wschód i Północ. A wtedy, czy nie ucierpi na tym zalewie Europa, a w pierwszej linii sąsiadka Chin, Rosya — znowu przyszłości to tajemnica.

Z pobytu w Kantonie jeszcze wspomnieć wypada biskupa, katolicką misyę i katedrę. Katedra kolosalna, ogromna, w stylu

gotyckim bardzo czystym; kosztowała szalone pieniądze, — nie skończona jeszcze, bo niema za co! Stawiali ją Francuzi. — Biskup z misyj zagranicznych, Francuz rozumny, ciekawy, skarży się niesłychanie na obecny stan rzeczy. Od ostatniej wojny z r. 1883—1884, kiedy misyonarze z całych Chin prawie uciekać musieli, kiedy większa część ich misyj, budowli, kaplic, rozgoryczony tłum zniszczył — od owej nieszczęsnej wojny, stagnacya ogromna daje się odczuwać w postępie katolicyzmu. Wrócił on z wizyty, która blisko trzy miesiące trwała. Wiernych liczy około 12.000 dusz w swej dyecezyi.

Fatalną niekorzyścią dla katolicyzmu w Chinach jest bezkwestyi patronat francuski. Póki rząd francuski, złożony z ludzi, a nie z wyrzutków społeczeństwa, jak obecny, energicznie działał, póty można było znieść jego protektorat; choć i wtedy protektorat ten był raczej przeszkodą.

Zupełnie słuszną i uzasadnioną nazwać trzeba dążność rządu chińskiego, który chce mieć nuncjusza w Pekinie; słusznem też i sprawiedliwym jest podobne dążenie ze strony Stolicy Apostolskiej. Raz postawiwszy religię katolicką jako taką, odłączywszy pojęcie katolicyzmu zupełnie od pojęcia narodowości wogóle, specyalnie narodowości francuskiej — odda się religii niezmierną usługę. Dotychezas widzi każdy Chińczyk i rząd w misyonarzu francuskim agenta rządu francuskiego, więc sobie mniej lub więcej wstrętne. Trzebaby, żeby w misyonarzu widział sługę Bożego i nie więcej, a toby się tylko usunięciem tego nieszczęsnego protektoratu osiągnąć dało. Niemcy i Włochy dążą już wprost do oswobodzenia swoich misyonarzy, których jest zresztą bez porównania mniej niż Francuzów, od owego *quasi*-protektoratu Francyi; zapewne runie niebawem ta przestarzała instytucya, dziś istotnie tylko już na zwyczaju oparta, nie mogąca się utrzymać, bo przeciwna naturze.

Biskup kantoński powtarzał setne razy: potrzeba, by nowa wojna nauczyła Chińczyków rozumu; oni uznają tylko siłę materialną, mocniejszego szanują i poważają; dziś dawny urok białych znikł zupełnie, a tego uroku katolicyzm potrzebuje. Nie zupełnie się zgadzam z tem zapatrywaniem. Wszak egzystuje

dzisiaj już cały zastęp księży chińskich, oni więcej sprawie katolicyzmu pomogą, niż armie i armaty. Niech się raz Chińczyk przekona, że być katolikiem, nie znaczy być Europejczykiem, oddanym na łaskę i niełaskę i wyzyskiwania białych kupców i *chevaliers d'industrie* — a zniknie niechęć do katolicyzmu; sami Chińczycy będą bronić kościołów bez armat francuskich, które zwykle za późno przychodzą, a i tak tylko zawsze na wybrzeżach strzelają, nie zapuszczając się do wnętrza kraju.

Z pokładu statku „Yang-tse“, 17 lutego.

Hong-kong opuściliśmy wczoraj. Po raz pierwszy jedziemy prawdziwym statkiem, nie bikołą, po raz pierwszy faktycznie ruszamy się. Lloyd nasz bowiem właściwie więcej na łaskę i dobrą wolę prądów i wiatrów morskich liczy, niż na siłę pary; wiecznie oszczędzając węgli, spóźnia się i wlecze.

Jedziemy parostatkiem z *Messageries maritimes* „Yang-tse“: — czuć Europę, cywilizację, postęp, siedząc w ślicznym salonie tego kolosu morskiego, który nigdy mniej jak 300 mil (morskich), zawsze wiele więcej na dobę przepływa. Jedzenie wysmienite; aż się boję, że sobie żołądek popsuję na nic, ale niepodobna nie jeść, kiedy tak ślicznie podane i tak dobre. Towarzystwo niestety nieliczne ni doborowe, bo teraz jeszcze nie pora; temu jednak zawdzięczamy, że mamy z Biegelebenem przewyborne kabiny. Biegeleben w ósmym niebie! Jest to bowiem wielką satysfakcją, po miesiącach podróży odbytej na wlokących się żółtym krokiem brudnawych, nędznych parowcach tego nędznego Lloyd'a, znaleźć się na parowcu istotnie cywilizowanym — to znaczy tyle, co z hotelu krakowskiego w Tarnowie, lub „Luftmaszyny“ rzeszowskiej, przeskoczyć raptem do hotelu Bristol w Paryżu, lub Schwaitzerhofu w Lucernie.

Dziś rano, wyszedłszy z kabiny, konstatuję ponownie nieoszacowaną korzyść jechania statkiem z *Messageries maritimes*! Zwiedzając pyszną kuchnię, ułożoną na pokładzie, w górze na słońcu, na honorowym miejscu, odczuwam w żołądku miłe (przed obiadem) pustki. Co więcej, znajduję tu przepyszny rożen

automatyczny, a na nim cudne kapłony i pantereczki! Naturalnie ustroiwszy twarz w najśliczniejszy uśmiezek, wchodzę w rozmowę z szefem kuchni, i mnogimi komplementami pochlebiam jego miłości własnej — co to za obiadek będzie!

Kapitan korwety amerykańskiej *Omaha* Clifford I. West, który z nami jedzie, pożyczył mi do przeczytania, dowiedziawszy się o moich aspiracjach do podróży przez Syberję, numer styczniowy *The century illust. Magazine*, a w nim artykuł: *The live of administrative exils* George Kennan, czyli o systemie deportowania politycznie skompromitowanych na Sybir. Słowo w słowo to co u nas się czytało i słyszało! — nie wesoły co prawda prolog do mojej podróży!

Na statku, z Szang-haj do Japonii, 21 lutego.

Parę dni milczenie w moim dzienniku; bo też niech każdy przyzna, co dziennik podróży kiedyś pisał, czy jest coś zmuenniejszego, prawie nudniejszego nad sam akt spisywania tych wrażeń? Nie zawsze, co prawda. Z początku podróży z jakąś werwą się pisało; potem werwa słabła; zdarzają się chwile gdzie powraca, ale rzadko; bo czem dłuższa podróż, tem wrażliwość tępieje i słabnie, a z nią i ochota przenoszenia na papier doznawanych wrażeń. A może i wrażeń już niema, tylko chwilowe pobudzenie ciekawości, i zaspokojenie jej częściowe.

W międzyczasie byliśmy w Szang-haju — Paryżu chińskim, do niedawna stolicy świata handlowego Chin z resztą świata. Ponieważ jednak żyjemy w epoce decentralizacyi, więc i to centrum się zdecentralizowało. Handel do niedawna jedynie przez Szang-haj idący, będący w rękach kilku krezusów angielsko-amerykańskich, co się tu osiedlili, przeszedł częścią w inne ręce: licznych Niemców, Szwajcarów, mniejszych Amerykanów i Anglików, częścią, i to znaczną, w ręce Chińczyków; zresztą rozdrobnił się on na liczne, rozsiane wzdłuż wybrzeża zachodniopółnocnego Chin, porty, a głównie na kilka miast wzdłuż wielkiej rzeki Yang-tse-kiang położonych. Za pięknie i za dobrze napisał o tem Hübner, bym śmiał i chciał się tu w długie, szcze-

gółowe opisywanie Szang-haju, jego rozwoju i indywidualności wdawać. Jak prawie we wszystkich kierunkach, więc opisach Chin i Japonii, tak i o Szang-haju na długie lata uczynił Hübner zbytecznymi wszelkie opisy i rozumowania. Patrzył on na rzeczy z tak wyniosłego stanowiska, że prawdy, które zdefiniował, zapatrywania, którym dał wyraz, opisy, których raczył się podjąć, na długie lata pozostaną jedynymi, najlepszymi, bo prawdziwymi — prawdziwie kraj, ludzi, ich życie moralne i materyalne malującymi. To też mógł spokojnie dać odpowiedź tak pewną siebie, jak następująca, kiedy mu Biegeleben przed wyjazdem swym mówił, że zastanie zapewne Japonię już inną niż on ją nakreślił — uśmiechnął się Hübner i odpowiedział spokojnie: „Inną na powierzchni“.

Co się tyczy Szang-haju, to tu na powierzchni w jednym kierunku się zmieniło, mianowicie w kierunku rozwielenienia się Chińczyków. Szang-haj w pierwszych czterech dziesiątkach lat bieżącego stulecia był istotnie najpierw rezydencją kilku potentatów handlowych angielskich, później miejscem, gdzie spekulacja angielsko-europejska doszła była przez jakiś czas do zenitu. W chwili wybuchnięcia rewolucyi Tipingów, setki tysięcy bogatszych i uboższych Chińczyków schroniło się do Szang-haju. Stąd przedewszystkiem urosła niezmierna i gwałtowna potrzeba mieszkań; budowano na łeb na szyję, sprzedawano domy, grunta pod domy za bajeczne ceny. Handel rósł jak na drożdżach. Tak długo, dopóki nie było w środku kraju bezpiecznie, wszystko się tu koncentrowało. Potężny „Yang-tse“ z jednej strony dowoził na swych mętnych wodach wszelkie produkta najbogatszych w jedwab, porcelanę, herbatę prowincyj Chin. Z drugiej strony, morze, ten gościec, wszędzie, a zwłaszcza prosto do Anglii prowadzący, rozwoziło produkta surowe w świat. Tu był główny skład wyrobów, które Anglia zasypywała w zamian Chiny.

Po prostu fantastyczne historye słyszy się do dziś dnia o majątkach, jakie i jak szybko tu powstawały. Z chwilą uspokojenia Chin, zdruzgotania przez sławnego Gordona powstania Tipingów — co bogatsi Chińczycy, mimo wielkiego, zdawało się, przywiązania do cywilizacji i przyjemności europejskiego życia, które

w Szang-haju kwitło, zaczęli się wynosić, wracać do dawnych sadyb i opuszczonych ognisk rodzinnych. Szang-haj się po części wypróżnił; wartość ziemi, domów, wreszcie nagromadzonego nadmiernie towaru, z dnia na dzień spadała; najstraszliwszy krach zakończył świetne czasy. Dziś ten Szang-haj, zawsze imponująco wielki, zawsze jeszcze między miastami portowymi, otwartymi dla białych, pierwszą gra rolę; ale spekulacya ustała, tylko twarda praca popłaca — jak i gdzieindziej.

Za czasów bytności Hübnera, Anglicy jeszcze tu mieli wszystko w rękach; dziś już wielką im czynią konkurencyę Niemcy; tak się tu zagnieżdżili, że istnieje już klub niemiecki i wychodzi osobny niemiecki dziennik. Ale jednym i drugim jeszcze potężniejszą czynią konkurencyę sami Chińczycy. Nawet w koncesyach europejskich mnóstwo domów, które początkowo do Europejczyków należały, przeszło już w ręce chińskie; i ten proceder postępuje ciągle, choć z wolna i cicho, tak, że niewielkiej umiętności ni sprytu na to potrzeba, by obliczyć, za wiele lat cała europejska koncesya przejdzie w ręce chińskie, i kiedy te sklepy europejskie, dziś egzystujące, znikną, by ustąpić miejsca chińskim.

Jedyna forteca cywilizacyi i chrystyanizmu, ale nie europeizmu, która się Chińczyków nie obawia, bo nie przeciw nim tu pracować przyszła, ale dla nich i przez nich, — to kolegium Jezuitów w pobliżu Szang-haju położone. Ogromny kompleks gruntów do nich należy. Najpierw wspaniały kościół farny; obok właściwe kolegium; dalej mieszkanie biskupa, Jezuity (księdza Garnier, staruszka 70-letniego), i mieszkania Ojców i kleryków — Chińczyków. Dalej potężne, rozległe zabudowania wielkim ogrodem otoczone, to dom sierot męskich „Świętego Dzieciństwa“; tu rozliczne warsztaty od snycerzy począwszy aż do szkółki (rodzaj preparandy dzieci do chrztu) i drukarni ogromnej, gdzie obok drukarni, zupełnie europejskim wymaganiom odpowiadającej, drukują jeszcze na starodawny sposób chiński, starszy o całe wieki od Guttenberga, za pomocą tablic drewnianych, pokrytych płasko-wypukłymi literami chińskimi. Naturalnie wszystko

tutaj drukuje się w języku i pismem chińskim. Kupuję tu biblię chińską, nader ciekawą, za dwa dolary.

Wreszcie opuszczając dom sierot, mijamy znaczny klasztor Karmelitanek, liczący dziś około trzydzieści i kilka siostr chińskich, i wchodzimy do widnego daleko obserwatorium meteorologiczno-magnetycznego, znanego i cenionego na cały świat, — owego obserwatorium, które w sposób tak znakomity przyczyniło się do umniejszenia grozy cyklonów, grasujących po morzach Żółtem i Chińskim. Tu zbadano, o ile się dało, naturę i zwyczaje tych straszliwych orkanów, i stąd też wychodzą telegraficzne o nich wiadomości i przestrogi dla żeglarzy. Skoro tylko jedna ze stacyj filialnych doniesie o objawach poprzedzających powstanie lub zbliżanie się cyklonu, wnet obserwatorium uwiadamia o tem główne zarządy portowe. Iskra elektryczna roznosi wieść równocześnie na południe i północ. Ostrzeżeni żeglarze już tylko na krótkie mety się puszczaają, wiedząc o niebezpieczeństwie, którego nadejście z podziwu godną dokładnością co do godziny i minuty obserwatorium zapowiedziało. Zresztą nawiasem trzeba wspomnieć, że dobrze zbudowane a raczej silną maszyną zaopatrzone parowce, nie boją się prawie cyklonów, bo są w stanie cyklonowi z drogi uciec. Wiedząc przez obserwatorium szang-hajskie, skąd cyklon idzie, jaka jego szybkość i dążność, kierują się tak, żeby cyklonowi ująć z drogi. Jeżeli według doniesienia obserwatorium cyklon pędzi w kierunku jazdy statku, a statek będąc w pewnem oddaleniu przed cyklonem, może jechać o kilka węzłów na godzinę szybciej niż cyklon za nim pędzi — wówczas puszcza się kapitan najspokojniej w drogę, lecz biada mu, jeżeli się w drodze coś w maszynie popsuje.

Z prawdziwą dumą patrzeć można na tych Ojców, co jak niegdyś, za dobrych, dawnych czasów, ogół mnichów katolickich, pracą i nauką cywilizują, uszczęśliwiają i prowadzą naprzód całe społeczeństwo. Na czele obserwatorium, które głównie się trudni badaniem magnetyzmu ziemskiego, stał do niedawna Jezuita O. Chevalier, dziś dla zdrowia odwołany do Francyi. Wspaniały i imponujący widok przedstawia ta istna forteca katolicyzmu, więc światła i wiedzy, forteca, która zapewne przejść będzie

musiała jeszcze niejedną nawałnicę i burzę — nie wątpię, że zwycięsko, jak również nie wątpię, że nie pieniądz, nie armaty, nie dyplomacya, zdołają przełamać opór Chin przeciw białym djabłom, ale ci cisi, spokojni, ubodzy ale wytrwali Ojcowie.

Kraj wkoło Szang-haju, jak już Hübner zauważył, dziwnie mi Morawę, gdzieś koło Przerowa przedstawiał — podobieństwo tak ludzące, że dopiero widok ogromnego warkocza naszego woźnicy przypominać mi musiał, gdzie jestem. Wreszcie jeszcze ta uwaga, także już przez Hübnera zrobiona: Dziwny jest wpływ, jaki wywiera katolicyzm na Chińczyka, a raczej nie dziwny, ale naturalny; dziwna tylko, że w takim stopniu zmienia nietylko duszę, co się samo przez się rozumie, ale nawet wyraz fizyognomii. Rysy zostają te same, ten sam ubiór, ta sama pleć, a jednak między stoma poznasz od razu katolika; z przyjęciem szczerem religii naszej, znika ów wyraz sceptycyzmu, obojętności na wszystko, co leży poza obrębem „jaźni“, co nie jest pieniądzem, interesem; a natomiast przyjmuje ta twarz wyraz pewnego spokoju, słodyczy, dobroci.

Dziś rano, po 6-ciu dniach żeglugi od Hong-kong, wplynęliśmy nareszcie w morze t. zw. Wewnętrzne, zamknięte na wsze strony setkami wysp, wysepek, ogromnych głazów w morze zrzuconych. Raniutko przepływamy koło Simonosaki, — śliczny to rzeczywiście musi być kraik, nader oryginalny, uroczy, ale słońca mu trzeba; a tu leje od rana jak z cewki, zimno na statku jak w psiarni. Kto nie marzył w życiu nigdy na statku, ten nie wie co znaczy słowo marznąć. Kto nie budził się 10 razy w nocy w łóżku, poprzykrywawszy się wszystkim, co za przykrycie służyć może, w zimno-wilgotnej pościeli — ten nie wie, co znaczy źle spać. Przejazd od Szang-haju do Kobe, przez kończyny morza Żółtego i zatoki Koreańskiej — zwłaszcza ostatni kawałek przed Kobe, gdzie od Władywostoku, korytarzem między lądem stałym a Japonią ciągną zimne prądy od północy — jest dla ludzi, co temu dwa tygodnie niespełna dusili się od upału — okropnym. Dziwnym sposobem ani kataru żaden z nas dotąd nie złapał. Wśród dnia mieliśmy dziś prawdziwe lato, ale już około godziny 3½ zerwał się wichur szalony, który na peł-

nem morzu musiał być formalnym orkanem. Gdy się ściemniło, mimo że mamy sternika z Simonosaki na pokładzie, zatrzymano maszynę. Ciemności formalnie egipskie w połączeniu z tą burzą, nie pozwalają nam dalszej żeglugi; i tak czekamy w pół drogi, parę godzin od Kobe, czekamy słońca, by dalej ruszyć. Nadto niebezpieczny przejazd przez to morze Wewnętrzne, zasiane głazami podwodnymi, by w tak absolutnej ciemności ryzykować się naprzód. Musi być ważna przyczyna, skoro kapitan *Messagerie maritimes* zdecydował się tracić tyle czasu, bo całą noc, na czekaniu na słońce. Zimno nieopisane, rady sobie już nie wiemy.

Ale Japonia! Japonia! — jutro staniemy na tej japońskiej ziemi, o której tyle marzyłem, tyle razy śniłem, jak o raju jakimś niedoścignionym! Doprawdy, płakać mi się chce z rozczulenia. Ale czy rzeczywistość odpowie moim oczekiwaniom?..

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

NIEDZIELA W KRAKOWIE.

Przed kilku miesiącami wręczyła nam poczta list, nakreślony nie bardzo wprawną ręką, stojący niejednokrotnie w rozterce z ortografią i gramatyką, ale taką szczerością i poczciwą naiwnością nacechowany, płynący z tak bardzo a tak słusznie rozżalonego serca, że odczytawszy go, trudno było i nie godziło się przejść nad nim po prostu do porządku dziennego. „Jeden z niewolników“, jak autor listu sam się podpisał, widocznie „subjekt“ lub „chłopiec“ w którymś z krakowskich handlów, tak małuje swą dolę, tak tłumaczy, co, w obranym przez siebie zawodzie, najbardziej mu dokucza i na sercu ciąży:

„Ludzie pracujący w warsztatach, kopalniach i t. p., niektórzy nawet daleko lżej od kupców, ubiegają się ciągle o skrócenie pracy, o święcenie świąt i t. d.; my zaś z zawodu kupieckiego pracujemy i być musimy ciągle na nogach od godziny 5-tej lub 6-tej rano do godziny 11-tej i 1-szej w nocy, nie znając niedzieli, ani świąt, ani Mszy św., ani kazania, ani spowiedzi, ani nawet Boga. Nigdzie jeszcze na żadnym posiedzeniu, w żadnym dzienniku ani strejku nikt o tem nie wspomniał, by nam skrócono pracę, by żyć chociaż chwilowo jako człowiek, a nie zawsze jako bydła, gorzej niż żyd, niż poganin; bo chociaż Żydów nazywają poganami, o wiele ale są narodem lepszym od teraźniejszych chrześcijan. Żyd z pewnością w szabat ani święto nie otworzy interesu, nie będzie robił wogóle żadnych tak zwanych ‚geszeftów‘, tylko się modli i chwali Boga; u chrześcijan,

kto o tem pomyśli, kto przyjdzie do kościoła lub na kazanie, by słyszał słowo Boże, by mu weszło do sumienia, by pozwolił inaczej żyć swym podwładnym? Przyjdzie tylko klasa robocza, która temu nie pomoże; ten się tylko pomodli, a czasem wzdycha i płacze... Gdyby kto przedłożył mógł rządowi ów oplakany los kupczyków, pewnoby zadośćuczynił żądaniom, by w niedzielę i w święta handle były zamykane, oraz w tygodniu wcześniej wieczorem; o wieleby to było lepiej. Kupiec na tem nie straciłby wiele, bo każdy wiedząc, że w niedzielę lub wcześniej wieczór zamknięte, kupiłby sobie dzień przedtem wszystko. Każdy biedak robotnik zamiast pójść w niedzielę do szynku pić cały dzień, stracić zapracowany grosz przez tydzień, a potem żona i dzieci obdarte płaczą drugi tydzień z głodu i nędzy; to on poszedłby do kościoła, pomodlił się, odpoczął w domu, miał co jeść, w czym chodzić. Również kupczyk poszedłby do kościoła, na kazanie, do spowiedzi. Wogóle byłby cały świat inny; któż się ale za tem ma ująć? My biedni pracownicy, którzy nie mamy czasu nawet westchnąć do Boga?

„Opiszę tu własne nasze życie. Spać idę, godzina dwunasta lub dalej; przychodzę do łóżka, klękam, chcę się pomodlić i zasypiam tak klęcząco, śpię do rana — a chcąc się wygodniej przespać, nie trzeba się modlić. Taki jest mój spoczynek po ośm-nasto-godzinnej pracy. Rano mię budzą i jeszcze łają do tego, żem się nie rozebrał, że nie śpię jak ludzie, że późno wstaję. To jest moja modlitwa poranna z płaczem i wzdychaniem; przez dzień cały zamiast modlitwy, można ciągle co innego słyszeć. Raz przed trzema laty poszedłem do spowiedzi. Przyszedłem do kościoła XX... o godzinie szóstej z rana, czekałem do siódmej, nie można się było doczekać spowiednika; poszedłem zatem do OO. Jezuitów, tu zastałem dwóch, lecz ci co byli bliżej konfesyonału słuchali się wcześniej. Nie mogąc się znów doczekać, poszliśmy do OO. Misyjonarzy na Kleparz; tu już pozostałem do godziny dziesiątej, gdzie ledwo się wyspowiadałem, wraz jeszcze z dwoma innymi od nas. Wtenczas był w interesie, w którym pracowałem, wielki ruch, jak zwykle godzinami dopołudnijszymi bywa. Przyszedłem do domu, a zaczyna mnie pryncypał obel-

żywać w najokropniejszy sposób na pioruny i t. d... Od tego czasu upłynęło już lat trzy i nie byłem do spowiedzi; a lat zesnaście, jak nie wysłuchałem Mszy św., obawiając się postradać chleba powszechnego.

„Czyż to jest więc nasza wina i któż się ma za tem ująć, kto ma czas o tem pomyśleć, na kim ciąży owa wina? Jeżeli potrafia zachować święta w Anglii, gdzie są tak pracowici i przemysłowi ludzie, oraz w Wiedniu Niemcy, protestanci, a do tego Żydzi, dlaczegóż ma być jedynie Kraków wyjątkiem?“

Ciemny to obraz; czy zbyt czarnymi farbami namalowany? Czy w chwili pisania powyższego listu, najlepszą jeszcze z pewnością wolą ożywiony, nie obalamucony żadną przewrotną teorią „jeden z niewolników“, znajdował się w zupełnie wyjątkowo smutnem położeniu, tak iż ten pożałowania godny wyjątek, ale na szczęście tylko wyjątek, niczego jeszcze nie dowodzi? Czy może jedynie paru kupczyków, w paru, dajmy na to w kilku krakowskich sklepach, w kilku handelkach, narażonych jest na to, że nigdy słowa Bożego nie słyszą, do kościołów ledwie kiedy na chwilę wpadną, aż w naturalnem następstwie zapomnieć muszą o wszystkich swych chrześcijańskich obowiązkach, dzieczej, tracą ostatecznie, co najsmutniejsze, samo poczucie i świadomość smutnego swego stanu? Jak — aby powyższe i wiele innych cisnących się pytań do jednego mianownika sprowadzić — stoi kwestya święcenia niedziel i świąt, nie w świecie całym, nie w Polsce lub choćby tylko w Galicyi — bo pytanie tak postawione zejśby musiało na wygodną drogę ogólników i domysłów — ale w jednym Krakowie, nie mającym wogóle opinii szczególnie ze-psutego i bezbożnego miasta, którego stosunki zatem dać nam mogą w pewnej mierze *mutatis mutandis* wyobrażenie, co i jak w innych miastach i miasteczkach naszych się dzieje? Aby odpowiedzieć sobie na te pytania, i to nie ogólnikami, nie *a priori*, biorąc z góry czerwone lub czarne okulary, postanowiłem sam — ile mogłem i ile się dało — stosunki zbadać, sam zobaczyć co się dzieje; posłuchać, co sobie sami interesowani o stosunkach tych opowiadają.

Ważności i doniosłości postawionych pytań nikt z pewnością

nie zaprzeczy; uznaje ją katolik, uznaje socyalista, uznać musi i starej daty liberał; a choć jeden mówi o święceniu niedzieli i świąt, drugi o niedzielnym odpoczynku, trzeci waha się, jakiego użyć terminu, niemniej wszyscy, gdy ich o kwestyę tę zaczeplisz. z rzadką jednomyślnością się zgadzają, z rzadszą jeszcze jednomyślnością w organach swych piszą: „Źle, bieda, piekająca to sprawa, zrobićby coś trzeba, reforma konieczna!“ Kiedy takie ogólne zdanie, nie będzie chyba bez ogólnego interesu, a dałby Bóg, i praktycznego pożytku, przypatrzeć się nieco dokładniej i bliżej, jak też Kraków wygląda w niedzielę, w święto; co dzieje się, co się nie dzieje na jego ulicach, w jego domach, handlach, sklepach, warsztatach, fabrykach? Rzeczy to w znacznej części znane każdemu, ale dopiero razem zebrane dają jakkolwiek dokładny obraz, jak dzień święty w Krakowie się święci. Poczciwy kupczyk w liście swym, którego parę ustępów powyżej zacytowaliśmy, wzywa wszystkich, którzy jakikolwiek wpływ mają „u rządu, czy u naszego cesarza“, aby mu właściwy stan rzeczy przedstawili, „a on chętnie na wszystko zezwoli i wszystko poprawi, bo czyż on nie katolik?“ Może i my z podobną naiwnością się ludzimy, że odmalowanie wiernego obrazu niedzieli w Krakowie, jeśli nie „wszystko poprawi“, to choć na coś się przyda. Kto zresztą wiedzieć może? Nasz kupczyk list swój pisząc, nie myślał pewnie, że pismo jego pójdzie pod prasę drukarską i osobna rozprawa z niego się wyłoni; czyż przesądzać wolno, że ludzie dobrej woli nie wydobędą znowu z tej rozprawy praktycznych wniosków, nie zastanowią się, jak wysnuwające się z niej postulaty w życie wprowadzić, i u siebie przynajmniej w życie ich nie wprowadzą? ¹

* * *

Kiedy rano koło siódmej, ósmej wyjdiesz na ulice Krakowa, teraz już rojne i gwarne, tysięcznymi odgłosami dźwię-

¹ Zapewnić nie potrzebuję, że w następnym obrazie niema ani jednego szczegółu lub faktu, któregośmy bądź sami nie sprawdzili, bądź nie dowiedzieli się o nim od osób wiarogodnych, najlepiej poinformowanych, z najrozmaitszych nieraz sfer i zawodów. Do pewnej liczby osób

czące, poznać i przypomnieć sobie musisz od pierwszego rzutu oka, że to dziś niedziela. Poważny wczorajszy „szabasowy“ nastrój, zmieniający niektóre zwłaszcza dzielnice i ulice w głuchą jakąś pustynię, znikł bez śladu; całe fale różnokolorowych sukman, szpencerów, chust i gorsetów płyną środkiem ulic, kierując się ku kościołom, ku szynkom, ku sklepom i straganom; z boku miejsca przechodnie, wszelkiego rodzaju, nazwy i zajęcia „surdutowcy“ mozolnie torują sobie drogę. Z głównej fali oddzielają się co chwila drobniejsze strumyki i znikają w wnętrznościach czarnych lochów, zwanych sklepami bławatnemi, korzennemi; w sklepionych i niesklepionych piwnicach i suterenach, nęcących ku sobie olbrzymimi szyldami, na których wznosi się to olbrzymi kufel kąpiący się w piwnej pianie, to kielich napełniony złotawym jakimś płynem, winem lub gorzałą, jak kto woli, jak mu wyobraźnia dyktuje. Z obu stron ulicy stoją na straży przemysłne kupcowe, zachwalają swój towar gardłowym zazwyczaj, niezbyt czystym polskim akcentem; wysławiają: swe sukna, perkaliki, chustki, garnki, miski, buciki, i pół perswazyą, pół siłą wciągają za sobą opornych, aby przynajmniej okiem rzucili na rozłożone skarby: „to przecież nic nie kosztuje i nie nie szkodzi!“ Do sklepów z mąką, z wiktuałami, do rzeźnickich jatek ciągnąć i zachęcać nie potrzeba: długą procesją posuwają się ku nim panie, kucharki, służące z koszyczkami w rękę, rzucając ku sobie ciągle wzajemne powitania, nadzwyczaj ożywioną prowadząc rozmowę, panie o swych służących, służące o paniach. Po długich targach, dłuższej pogawędce, kumoszki i znajome żegnają się ze sobą; niektóre pędzą wprost do domu, żaląc się, że tak późno; inne przypomniawszy sobie, że to niedziela, wpadają na chwilę do pobliskiego kościoła, odmawiają pospiesznie kilka pacierzy, i znów z kościoła, cisnąc się, choć ścisłu niema,

rozesłałem odpowiedni kwestyonaryusz, i otrzymałem nań, wogóle mówiąc, obszerne i wyczerpujące odpowiedzi. Nadto zetknąłem się osobiście z około 150 majstrami, czeladnikami, chłopcami, fabrykantami, kupcami i t. d. i t. d., zapisywałem, jak mogłem najwierniej ich odpowiedzi; każdego szczegółu przez nich podanego oczywiście sprawdzić nie mogłem, ale w całości obraz, który się z tych zapisków złożył, jest niewątpliwie wiernem odbiciem rzeczywistości.

jak z procy wypadają; jeszcze inne wędrują od kościoła do kościoła i dziwią się, że żaden ksiądz ze Mszą nie wychodzi, lub że dawno już wyszedł; pewna wreszcie cząstka bardziej praktyczna i ze stosunkami obeznana, trafia na Mszę i stosownie do okoliczności, do czasu, nieraz do fantazyi, słucha jej w całości lub w części.

Tymczasem nadchodzi godzina dziesiąta, jedenasta. W kościołach dzwonią na Sumę; dźwięki organów i śpiewów pobożnych wypływają na place i ulice i mieszają się tutaj z odgłosami przekleństw i półpijanych piosenek, rozlegających się w kilku co najmniej pobliskich szynkowniach; z namowami i targami kupców i kupcowych; z klótniami przekupek; czasami z uderzeniami siekier, zgrzytem nożyce w sąsiednich warsztatach. Niektóre sklepy na rynku, na główniejszych ulicach, chowając dawne tradycje, zwolna się zamykają; niektóre, chowając nie tylko dawne krakowskie, lecz i dawne polskie, chrześcijańskie tradycje, zamknięte były od samego rana; ale piękne te wyjątki policzyć można na palcach; o wiele przeważająca większość kozysty w całej pełni z dobrodziejstw praw w Austrii obowiązujących, a nadmiar z licznych dyspens udzielonych przez ministerjum, i ani myślą o zamknięciu swych „interesów“ przed południem. Dopiero o dwunastej, kiedy już kościelni po ostatniej Mszy św. dzwonią kluczami i zachęcają kilku pozostałych pobożnych do opuszczenia świątyni; dopiero teraz nakazuje ustawa państwowa niedzielny spoczynek, zamknięcie handłów niespożywczych, przerwanie wszelkiej publicznej pracy.

Rozumie się niema tu i mowy o zbytnej jakiejś, o jakiejś, broń Boże! niezdrowej szkrupulatności. Przyjdzie ktoś do sklepu dwie minuty przed albo po dwunastej: wyrzucić go przecież niepodobna i „kundmana“ sobie zrazić. Przyjdzie za pierwszym ktoś drugi, trzeci, czwarty: czyż drzwi im przed nosem zamknąć? A jeśli nikogo właśnie punkt o dwunastej niema, czyż można zaręczyć, że za minut parę się nie zjawi? Na rynku, w Sukiennicach, trwa ten czas łaski, spóźniającym się zostawiony, mniej więcej tylko kwadrans; owszem spotkać tu można stosunkowo dość liczne sklepy, w których punkt z uderzeniem dwu-

następnie zapadają żelazne story, zasuwiają się żelazne wrota. Ale im dalej od rynku, tem bardziej widocznie zegarki się spóźniają. Już na Szczepańskim Placu kwadrans wyczekiwania zmienia się w pół, w trzy ćwierci godziny; posuwając się dalej na Piasek, na Kleparz lub w przeciwnym kierunku, na Stradom, na Kazimierz, przyjść musimy do przekonania, że południe w zacofanych tych dzielnicach rozpoczyna się w niedzielę dopiero około pierwszej. A i po pierwszej, spróbuj zatrzymać się przed którymś z brzegu sklepem z materiałami pisemnymi czy sukienkami, rozglądnij się z niezdecydowaniem wokoło, a wnet — załóż się o to można spokojnie — zjawi się nagle, jakby z pod ziemi wyrosła Żydówka i uprzejmym gościem i słowem zaprosi do przekroczenia progów niejednokrotnie ledziutko tylko przymkniętego sklepu. Czasem znajdziesz się tu sam, czasem w dość licznej towarzystwie, które w najlepsze handluje i targuje; towarzystwo to dostrzedz można i z ulicy, gdy drzwi za świeżym przechodniem się zamykają, i każdy je też dostrzeże, wyjąwszy stojącego lub przechadzającego się na przeciwległym chodniku, z zadumaną miną stróża bezpieczeństwa. W urzędowym swym spokoju nie zadaje on sobie niedyskretnego pytania, co znaczą te tak liczne wizyty składane państwu z naprzeciw; w policyi lub magistracie wytłumaczyli się oni może, że dlatego zamykać zupełnie swego sklepu nie mogą, ponieważ innego mieszkania nie mają, w nim i śpią i jedzą. Nie pyta się, co znaczy, że choć sklep istotnie od ulicy zaryglowany i zamknięty, to przecież Żydówka ciągną przed nim straż trzyma, raz po raz z jakimś przechodzącym panem lub panią, chłopcem lub dziewczyną, tajne konferencye odbywa, coś tłumaczy, dowodzi, aż wreszcie razem w sieniach kamienicy znikają? Prywatne to zapewne odwiedziny, prywatne interesa; zazwyczaj wprawdzie, kiedy ów gość znowu na ulicy się pojawi, niesie w ręku jakiś pakiecik, niesie pod pachą jakieś zawiniątko, którego przedtem śladu nie było; lecz trudno, lecz jakże zatrzymywać i pytać: „Skąd to pan wziął, czy w prezencie dostałeś, czy teraz kupiłeś?“

Handle z wiktuałami, gęsto, co drugi, najwyżej co trzeci dom rozsiane szynki, nie potrzebują się uciekać do takich for-

teli; wolno im dzień cały gościć zgłodniałych i spragnionych. Cenny to przywilej, i dlatego niektóre żydowskie sklepiki, nie chcące się narazić na możliwe policyjne prześladowania, kładą obok właściwych towarów choć parę topek soli, parę słoików z przedpotopowymi cukierkami, aby w ten sposób bez innych już trosk i zachodów weisnąć się w grono uprzywilejowanych. Niedziela dla tych szczęśliwych, to dzień żniwa. Nie potrzebują oni lękliwie pytać, czy dwunasta, czy pierwsza wybiła na miejskich zegarach; przed południem jak po południu ruch się nie przerywa; właściciele, chłopcy rano nadażyć nie mogą z ważeniem i pakowaniem; w popołudniowych godzinach, choć w nieco wolniejszym tempie, nie przestają ważyć i pakować; po szynkach krążą bezustannie szklanki i czarki, po handelkach szklanki i kieliszki.

Tak, w najgłówniejszych zarysach, przedstawia się spoczynek święcenia niedzieli w Krakowie ciekawemu widzowi, który w różnych porach dnia, różne obchodzi ulice, i na razie zbyt w szczegóły się nie wdając, stara się pochwycić ogólną fizyognomię miasta. W uroczyste święta, które na niedzielę nie przypadają, smutniejszy to jeszcze i czarniejszy obraz. Ustawa państwowa zupełnie święta te ignoruje, a za ustawą ignorują ją wszyscy, którzy nie są katolikami, są katolikami tylko z imienia, wchodzą w zbyt łatwe kompromisy z przykazaniem Kościoła i własnym sumieniem. Cudzoziemiec, który w uroczyste święto, dajmy na to: Narodzenia Matki Bożej lub Niepokalanego Poczęcia, wjechałby do Krakowa, niełatwo mógłby się zorientować, że znajduje się w mieście katolickim, że katolicy w tem mieście święto obchodzą; sklepy, z nielicznymi wyjątkami, pootwierane, po ulicach ciągną konie i ludzie pakowne wozy z meblami; w warsztatach na prawo, na lewo rzemieślnicy w najlepsze pracują; urzędnicy dążą, jak codziennie, do biura i z biura... W kościołach dopiero, często pełnych, nigdy nie pustych, czuć, że to święto, i katolicki Kraków się odkrywa; ale skądże pochodzi, mógłby się ów cudzoziemiec ze słusznem zdziwieniem zapytać, i istotnie niejednokrotnie się pyta — skąd pochodzi, że poczucie

religijne w kościele tak, zdawałoby się, silne i ogólne, poza nim tak słabo na zewnątrz pulsuje?...

Z ulicy przejdźmy do wnętrza domów: do izb, w których rzemieślnik swe warsztaty rozłożył; do obszernych sal fabrycznych; wązkich, słabo oświetlonych, z korytarzy przerobionych łóż, izdebek, pełnych pyłu, brudu, zasłanych skrawkami przeróżnych skór, różnokolorowego płótna i sukna; do handlów i handeleków, sklepów i sklepików; do prywatnych pomieszczeń na poddaszu, w suterrenach i na pierwszym piętrze. Jak tu wszędzie w niedzielę wygląda; jaką zapowiedź: zasłużonego spoczynku, wytchnienia i podniesienia myśli do Boga — czy znojszej, codziennej pracy, przynoszą tu ranne odgłosy kościelnych dzwonów, przebijające się przez gęste story pierwszego piętra, przez szare franki drugiego, przez sztukowane papierem okienka trzeciego?

Sale i hale fabryczne, cegielnie, drukarnie pogrążone są w tej chwili we względnym przynajmniej spokoju; ruch maszyn już wogóle ustał, kręcą się teraz tylko koło nich zawałani chłopcy, czyszczą, pasy smarują. Czasem, np. w fabrykach maszyn, gdy pilniejsze zamówienie, zjawi się kilku robotników, i za podwójną zapłatę do pracy codziennej się biorą; zobaczysz paru stolarzy, kilku ślusarzy coś dłubiących i majstrujących; zobaczysz gdzieś indziej kilku robotników „przygotowujących kompanię“ na przyszły tydzień — ale bądź co bądź, nadzwyczajnych może parę wypadków wyjąwszy, znać od razu, że to dziś niedziela. W drukarniach, przed paru jeszcze latami, zwoływano chłopców w niedzielę do przebierania czcionek od 8—10 rano; dziś zwyczaj ten zniesiony. Dawniej również, w niektórych przynajmniej drukarniach, trwała niejednokrotnie praca całe rano, czasem do trzeciej po południu; obecnie i w tym względzie postęp widoczny, choć zdarzy się i dziś posłyszeć zrozpaczonego zarządcę drukarni: „Tyle mi do roboty dali i tak urgują, że muszę i w niedzielę drukować! Nie drukować, to piękna teoria, ale co ja mam robić, kiedy z góry pchają!“... Gorzej w młynach; tu wre praca, zupełnie jak w dzień

powszedni, z wyjątkiem Wielkanocy, Bożego Narodzenia, bywa, że i Zielonych Świątek.

Jak do wspaniałych fabryk, tak dochodzi głos niedzielnych dzwonów do ubogich, przedmiejskich domków, miejskich poddaszy lub suterren, w których mieszcza się i cisną jedne na drugich rodziny murarzy, cieśli, stolarzy; tutaj do pracy nie woła, chyba bardzo wyjątkowo, gdy np. szybko zbliżająca się zima nagli do wykończenia domu, budowanego za dni pogodnych ze wschodnim spokojem. Nie woła do pracy, ale też nie zawsze i nie wszystkich członków rodziny woła do kościoła. Pospieszają doń po załatwieniu pierwszych porządków w domu, kobiety; pospieszą dzieci, jeżeli rozumna matka, umywszy je wprzód i uczesawszy, sama za rękę je poprowadzi i nie dozwoli łobuzować się po ulicach i podwórzach; głowa domu, starsi synowie długo odpoczywają po tygodniowej pracy, a jeżeli poprzedniego wieczora, otrzymawszy tygodniową zapłatę, przepili z niej połowę w towarzystwie wesołych kamratów, natenczas i południowe słońce zastaje ich wyciągniętych na barłogu, użalających się gorzko na nieszczęśliwą swą dolę. Obiad im oczywiście w domu nie smakuje, więc idą po nim orzeźwić się i wzmocnić do szynku, skąd wieczorem wracają lub przyprowadzają ich trzeźwiejsi towarzysze do lamentującej żony. — Inni porządniejsi mają szczerą intencję wybrać się na którą z późniejszych Mszy św. i dopełniają swej intencji, jeżeli na drodze nie spotkają się nieszczęściem z dobrym znajomym, z którym wstąpią na kubek; jeżeli z innym znowu, z kumem, z kumoszka w zbyt długą rozmowę się nie wdadzą, lub jakiś mniej lub bardziej naglący interes w ostatniej chwili figla nie wypłata. Po południu nie zapominają o niesporach, na których częściej ich nieraz zobaczysz, niż na Mszy; wstąpią chętnie — jeśli właśnie w tej chwili obok kościoła przechodzą — na katechizm, lub wieczorne kazanie. Jest i trzeci rodzaj najporządniejszych, nie dających się nikomu i niczem zabałamucić w pełnieniu chrześcijańskich swych obowiązków; podobnie z drugiej strony jest garstka biedaków, czerpiących głównie swe natchnienie z socjalistycznych gazet i od socjali-

stycznych przewódców, którzy wmówić w siebie dali i głośno się z tem w poufnych kołach popisują, że religia jest zabobonem, księża oszustami. Jak prawe zresztą, tak lewe to skrzydło, równie u murarzy, u stolarzy, jak w innych rzemiosłach, niewiele liczy reprezentantów. Owszem i ci, co na lewem ostentacyjnie stawają, wcale nie zawsze stawają tam z prawdziwego przekonania.

Niedziela kamieniarzy niewiele się różni od niedzieli murarzy, od niedzieli stolarzy, cieśli, *notabene*, jeżeli ci ostatni zajęci są nie w własnych swych warsztatach, gdzie każdy urządza się, jak mu przekonanie i sumienie dyktuje, lecz przy budowach, na widoku publicznem. Letnią wszakże porą, kiedy kamieniarze mają wogóle więcej roboty, często pracują całe przedpołudnie w niedziele i święta. Pracują i blacharze, pracują kowale, ślusarze, bardziej wszakże wyjątkowo, istotną jakąś lub pozorną racją zagnieni, niż z ogólnej zasady i zwyczaju. Jak we wszystkich warsztatach, tak i tu chłopiec do terminu przyjęty, dużo ma rano w niedzielę do sprzątnia, czyszczenia, odnoszenia; majster przynajmniej za to i czeladnik ma czas i spocząć i pomodlić się. Podobno nie zawsze najróżowsze, lecz i nie najczarniejsze stosunki panują u tapicerów, introligatorów, zegarmistrzów.

— U nas, — zarecza mi jeden z tych ostatnich — u mojego przynajmniej pryncypała, cała niedziela i każde święto zupełnie wolne. Tobo, panie, złe było wyrachowanie, żeby cały tydzień, cały rok bez przerwy ślęczeć nad taką delikatną robotą. I sił i ochoty brakłoby prędko. Nie wiem dokładnie, ale zdaje mi się, że wszyscy chrześcijańscy zegarmistrze tego samego systemu się trzymają.

Drugi, tym razem sam pryncypał, — z zupełnie naturalnie innego „interesu“ — młody jeszcze, energiczny, bardzo szczery, o wiele mniej ponętny obraz maluje:

— Co ja dałbym za to, żeby można całą niedzielę mieć dla siebie! Ale cóż robić? Każdy, czy nowy zegarek chce kupić, czy stary dać do reparacyi, przyjdzie z pewnością w niedzielę, tak, że my już dzisiaj tylko na niedzielę rachujemy. Dlatego u mnie do jedenastej otwarte, a czasem to gość i dłużej,

z kwadrans, z pół godziny wytrzyma. Powiem gościowi: „Czemuś pan nie przyszedł wczoraj wieczór roboty odebrać?“, albo „Czy nie mógłbyś pan wpaść tu do mnie jutro na chwileczkę?“, to się rozgniewa, drzwiami trzaśnie i zawoła: „Kiedy pan taki, to ja pójdę do Żyda“. I pójdzie, bo Żydzi całą niedzielę interesa obrabiają; niby drzwi przymknięte, ale kto za klamkę chwyci, ten i wejdzie, umówi się, zapłaci, a kto go będzie skarżył? Żydzi robią nam straszną konkurencję; całe paki zegarków na prowincję rozsyłają, umieją się lepiej od nas pokręcić, towar zachwalić; jeślibyśmy jeszcze i miejscowych odbiorców stracili, trzebaby pójść z torbami. Prawda, źle to i brzydko, sam najlepiej widzę. Kiedy niedawno temu przyjechałem do Wiednia w niedzielę i chciałem parę interesów zrobić, to wszędzie mi odpowiadano: „Bardzo dobrze, ale proszę jutro przyjść, bo nam się dziś wytchnienie należy!“ A nam w Krakowie czy się nie należy?

Introligatorzy nie są wystawieni na pokusę sprzedawania w niedzielę, regularnej roboty niema ani w niedzielę ani w święta¹; czeladnicy, dopomagające im i współzawodniczące dziewczyny biorą zwykle tygodniową zapłatę już w sobotę, a w niedzielę nawet w warsztacie pokazywać się nie potrzebują. W niektórych introligatorniach dziewczyny pracują „od kawałków, nie od dnia“, jak się zwykły same wyrażać; tutaj więc są niezależnymi paniami swego czasu. Natomiast chłopcy-terminatorzy mocno mają przedpołudniowe godziny zajęte i potrzeba sporego zasobu dobrej woli, żeby mogli do kościoła się dostać i Mszy wysłuchać.

— Przed siódmą wstaję, — tak opisuje mi jeden z nich swe niedzielne *curriculum* — leć zaraz do warsztatu, sprzątaj, maszyny czyść! Zleci do dziesiątej jak nic. A tu o dziesiątej już szkoła, gdzie uczą rysować, rozmaitych nauk; o dwunastej dopiero puszczaają!

— To do kościoła niema czasu? — zapytałem.

Mój chłopak zażenował się na to niespodziewane pytanie,

¹ Mamy tu, rzecz prosta, jak wogóle w tym szkicu, na myśli chrześcijan i kreślimy ogólny stan rzeczy, nie wdając się i nie przecząc wcale istnienia możliwych, ale bądź co bądź wyjątkowych nadużyć.

w głowę się poskrobał i usiłował mi wytłumaczyć, że on „w mig do Panny Maryi leci“ i na Mszę jeszcze trafia. Towarzyszący mu kolega, wołał zamiast w wykrety się bawić, odpowiedzieć dyskretnem, dość z siebie wymownem milczeniem. Obaj za to zgodzili się, że po południu mają czasu dosyć i na spacer i na kościół; w święta też, nie przypadające na niedzielę, „niema wielkiego, tylko małe sprzątanie“, więc można na Mszę czas znaleźć.

Inny chłopak, u innego introligatora terminujący, opowiadał mi również, że do Panny Maryi na Mszę po szkole leci, ale zaraz sam dodał: „Co się spóźniam, to się spóźniam!“ Innego jeszcze, poczciwa matka przed piątą budzi i sama prowadzi do kościoła, „bo o siódmej w warsztacie musimy wszyscy być, żeby maszyny poczyścić“.

— A jakże inni chłopcy, których matka nie budzi i sama do kościoła z nimi nie idzie?

— Ha! już ja nie wiem, jak oni robią. Może o szóstej gdzie idą, może do Dominikanów, do św. Barbary, a może chociaż po południu!

Tę samą piosenkę, o jeden ton, o tonów parę smętniej nastrojoną, powtarzają chłopcy od krawców, od szewców; powtarzają ją tutaj i czeladnicy, powtarzają w nieco zmienionej formie poważni majstrzy. „Bardzo dużo, za dużo nas szewców! — lamentuje starszy już wiekiem, wcale ani na socyalistę, ani na zbyt zagorzałego klerykała nie wyglądający czeladnik szewski. Słyszałem, że w samym Krakowie i Podgórzu jest szewskich majstrów i majsterków do 600; jakże tu obstać, jak wytrzymać w dodatku zagraniczną konkurencyę? Najmniej też nas szewców płacą, najmniej zarabiają; krawiec prędzej obstoi. Co gorliwszy, to nocą nadrabia, zwłaszcza z soboty na niedzielę; to już tak przyjęte, bo robotę w niedzielę rano chłopak powinien odnieść. Kiedym był w terminie, dobry był majster, chrześcijanin, jak się patrzy, ale w niedzielę do czwartej, do piątej rano pracować było trzeba. Dałby majster takiemu chłopakowi, coby mu się tłumaczył, że to niedziela; skóręby mu pocięgiem zgarbował, od stu djabłów zwymyślał i albo: rób co ci każę i jak wszyscy

robią, albo ruszaj, gdzie cię oczy poniosą! Więc człowiek robił, warsztat jako tako uprzętnął, potem się trochę przedrzemał, i dalej do szkoły. Kto do kościoła chciał iść, to szkołę musiał opuścić; kto nie chciał szkoły opuścić, to nie szedł do kościoła. Nam czeladnikom lepiej, tym zwłaszcza, co do siebie, do domu robotę biorą. Tu już jestem panem; chcę to pracuję; nie chcę, to mię nikt nie zmusi!“

— Djabli nadali taki porządek! — woła z patosem i dla potwierdzenia swych słów w własne kolano pięścią wali energiczny majsterek z przedmieścia. — W kościele nabożeństwo, a mnie każą chłopaków do szkoły wysyłać. A codzienna, wieczorna szkoła dopiero!... Chryste Jezu! — zgroza i tyle! Strach pomyśleć, co wyrabiają, kiedy o wpół do dziewiątej ze szkoły wychodzą! Ale to trudno! Wieczorna musi już zostać, bo innego czasu na nią nie wynajdziemy; ale niedzielna, czemuż nie mogłaby być po południu? Niech ten chłopak będzie na Mszy, na kazaniu, to bardziej skorzysta, niż z tego, że się niby coś, a niby nic rysować nauczy. Czy to my nie chrześcijanie; czy i taki chłopak spocząć nie potrzebuje? Ja dziękuję Bogu, kiedy przyjdzie niedziela, że mogę kości swobodniej przeciągnąć; i dla tego rozumiem, że i chłopak i czeladnik musi sobie w niedzielę odpocząć, jeśli ma przez cały tydzień na prawdę pracować!

Od szewca wstępuję do pobliskiego krawca; w drugiej kamienicy znowu olbrzymi, snąc na przedpotopowych jakichś rycerzów obrachowany but, woła do siebie i nęci; tuż obok liliputowy, damski trzewiczek, prawdopodobnie na wywóz do Chin przeznaczony; w sionce następnego, silnie przygarbionego, parterowego domku, roztwierają się z pokreślonego w różne gzygzaki szyldu, łokciowe, fioletowej barwy nożyce; dalej buty i buciki; a dalej jeszcze, nożyce i nożyczki. Jak tu wszędzie nie zaglądnąć, jak nie zapytać: „Cóż tu u was słyhać? — jak wam się powodzi? — a możecie też w niedzielę, w święta sobie odpocząć, — Panu Bogu w kościele się pokłonić?“

— Dałoby się to wszystko zrobić, — słyszysz jednostajnością swą aż nudną odpowiedź, która jak nić czerwona wciąż przez wszystkie te badania się ciągnie; — możnaby może się urządzić,

jak Pan Bóg i sumienie każe; mybyśmy przecież nie chcieli, żeby nasi terminatorzy, czeladnicy wyrosli na pogan, na socyalistów, ale dopóki szkoła niedzielna nie zostanie na inny czas przelożoną, to i co tu gadać?

— I co tu gadać? — pyta niemal ze łąą w oku, poważny, siwiejący już krawiec, otoczony paru dorosłymi synami, którzy mu wiernie i pocziwie w pracy dopomagają i ojcowskim słowem potakują z przekonaniem. — Stary jestem, niejedno się widziało i przeżyło, i to mogę zaręczyć, że niedzielne i wieczorne szkoły strasznie dużo złego robią. Niechaj szkoła będzie po południu, albo po czwartej, choćby to dla majstrów było z niejednego względu niewygodniej, ale nie o siódmej wieczorem, żeby po nocach dopiero do domów wracali i lampartowali się po drodze. Chłopak przychodzi do domu po szkole nieraz dopiero o dziesiątej, o wpół do jedenastej; nieraz dobrze mu w głowie szumi, bo go przedtem koledzy do szynku poprowadzili; raz go, dajmy na to, majster złaje, drugi raz poszturcha; jak widzi, że nie pomaga i jeszcze mu się chłopak hardo stawia, to i po co ma się napróżno gniewać, zwłaszcza że i czeladnicy za chłopakami się ujmują, sami ich buntują i prowadzą na socyalistyczne zgromadzenia, gdzie się pięknych rzeczy mogą nauczyć! Ileż to razy, chłopacy nie idą do szkoły, tylko do karczmy na karty, na domino, na wódkę; czasem zrobią na nich obławę i wezmą do aresztu, ale oni tam aresztu bardzo się nie boją; potrafią sobie dostać wódkę, karty, to się w kozie nie nudzą. A w niedzielę? Chryste Panie! nie wiem, czy w całym Krakowie jest na Mszy 50 krawieckich terminatorów, a przecież wszystkich moc straszna! Nas kilku posyła regularnie chłopaków do kościoła, choć Bogu wiadomo, gdzie oni właściwie idą, bo jakże tu ich przypilnować; ale i ode mnie, prawdę mówiąc, nie bywają na kazaniu, tylko w święta, a czy to dosyć raz w miesiąc, raz w dwa miesiące słowa Bożego posłuchać? A jednak, nie chwając się, u nas paru jeszcze wzorowo idzie. Po małych warsztatach pracują w niedzielę, w święta aż kipi; chłopaki się tam cisną, bo mają większą wolność; kiedy w sobotę dostaną pieniądze, idą razem z majstrem, z majstrową, z czeladnikiem do szynku i dopiero bal! Wszyscy

razem palą, piją, fundy urządzają. A na Kazimierzu u majsterków co się dzieje!... Jezus! Marya!... I jak się tu potem dziwić, że przekleństwo Boże ciąży. Ja sam dawniej, jak była bieda, tom robił w święta, ale w poniedziałek trzeba było dwa razy pruć. Teraz nie robię i wszystko lepiej!

— Rozmaicie w naszym fachu bywa! — wtajemnicza mię w krawieckie *arcana* młody, rzutki czeladnik, który już z jednego pieca chleba kosztował. — Niewiele takich warsztatów, w których z nocy z soboty na niedzielę, nie zarwałoby się choć parę godzin po północy; a w wielu, można z pewnością powiedzieć, więcej niż połowie warsztatów, robota trwa przez całą noc, mniej więcej do jedenastej rano, do samego południa, bo trzeba zamówienia pokończyć, oczyścić. W poniedziałek, nieraz i we wtorek roboty niema, albo tak, jakby nie było. Późno się wstanie, zwłaszcza jeśli po niedzielnym balu głowa ciężka, trochę się człek z kąta w kąt pokrząta, robotę narychtuje i koniec! Za to następnych dni, to już się siedzi w nocy, do jedenastej, do dwunastej i z piątku na sobotę do drugiej; z soboty na niedzielę całą noc. Jak się u majstra mieszka, to chce, żeby mu jak najdłużej robić; ale teraz majstrowie wolą nie mieć u siebie dużo czeladzi, tylko dają uboższym „po kątach“, bo to wygodniej, kłopotu niema, a jak mu czeladnik roboty na termin nie przyniesie, to sobie majster potrafi zamiast niego dziesięciu innych znaleźć. Tacy, co „po kątach“ mieszkają, tacy „półmajsterki“, nie potrzebują, jeśli nie chcą w niedzielę pracować; ale nieraz, biedak nabierze roboty od dwóch, trzech majstrów, to już musi niedzielą nadrobić. Niektórzy znowu, po prostu z łakomstwa, żeby grajcara nie stracić, całą niedzielę prześlepią nad robotą, a później w poniedziałek muszą próżnować, chcą czy nie chcą, i jeszcze zarobione przez tydzień pieniądze marnie pójda na kieliszek, na głupstwa. Odpocząć potrzeba, bo kiedy pilne i liczne zamówienia, to i siedmnaście godzin na stolku się siedzi, że aż głowa pęka; to bieda, że wtedy wielu odpoczywa, kiedyby można i trzeba pracować; a wtedy się poci, kiedy Pan Bóg odpocząć nakazuje, i tak niema błogosławieństwa Bożego! Iluż to ja sam takich znam, co lepiej ode mnie

zarobią, a nigdy grosza nie mają: wszystko się wysypie na poniedziałkową pijatykę!

Inny czeladnik, również młody, ale od zbyt wyteżającej i ciągłej roboty ku ziemi pochylony, z wklęsłymi piersiami, z ceglastymi wypiekami na twarzy, żali się przytłumionym głosem: „Dla świętej zgody musi czeladnik, jeśli miejsca nie chce zmieniać, w święto pracować; to przykro, ale na to nie poradzi! Kto bardzo zgrabny, umie „gust nadać” i w robocie tęgi, to znajdzie miejsce u większych majstrów, u X..., Y..., Z...¹, gdzie do oznaczonej godziny pracują; lepiej tam płacą, lepiej się z biedakiem obejdą, ale też i dostać się tam nie łatwo, bo kto może, to się ciśnie, jak do świętego jakiego miejsca. Robotnik drugiej klasy idzie do „średnich majsterków”, a jak jeszcze na złego człowieka trafi, na pijaka, jak ja kiedyś trafiłem, to pożałuj Boże! Mówię mu, jak co dobremu, że to dziś święto, a on mi na to: „Ja i we święto potrzebuję jeść!” — a czy to w czwartek, w piątek nic nie je, chociaż często gęsto niema nic do roboty? Do krawców trzeciej klasy, takich żydków, fuszaków na Kazimierzu, tobym i największemu wrogowi nie radził w niewolę iść. O niedzieli i mowy tam niema; pracuj jak więzień i święć szabas zamiast niedzieli. W tych piwnicach zdrowie stracisz, sumienie stracisz!”⁴

— Jak u nas z niedzielą? — odpowiada i opowiada inny. — Ha! to zależy, czy dużo roboty, jaka pora roku. Przed świętami Bożego Narodzenia dużo roboty, to się robi ciągiem; potem sfolguje i znowu wielkanocna robota potrwa do Zielonych Świątek. W czasie wakacyj także nie bardzo jest nad czym dłużyć, to kto by z czeladników chciał, mógłby w tym czasie sobie odpocząć i pomodlić się. Chłopcy bo muszą już naturalnie pana słuchać; co każe, to każe, a czego nie każe, to nie każe!

Może to paru pesymistów tak czarno stan rzeczy malują? Pytam innych i innych, z innych krawieckich warsztatów, z innych dzielnic: terminatorów, czeladników, majstrów, majsterków!

¹ Wstrzymujemy się, z łatwych do zrozumienia przyczyn, od podawania nazwisk, a nawet inicjałów.

Niestety! różne te relacye zgadzają się ze sobą, że aż dziwna, i aż rozpacz bierze, a każda relacya kończy się nieodmiennie, niby zwrotką w pieśni, następnym, lub układem słów ale nie treścią odmiennym wykrzyknikiem: „W naszym fachu tak nie szanują niedzieli, że niech Bóg broni!“

Czy lepiej, czy gorzej, jak wogóle się dzieje w tych bez liczby, wszelkiego rodzaju i nazwy „szwalniach“, „magazynach“, „pracowniach“, w których tysiące szwaczek i modniarek chyli się nad igłą i maszyną, nad zarzutkami i okryciami, chustkami i chusteczkami, szalami, kapelusami i t. d. i t. d.? Niema ulicy bez paru takich pracowni, na niektórych ciągną się one formalnie nieprzerwanym rzędem; a żadna z nich nie pusta, w każdej zasiada za wielkim wspólnym stołem, za rozrzuconemi tu i ówdzie stolikami, kilka, kilkanaście, bywa że i kilkadziesiąt starszych i młodych, czasami, aż żal, tak młodziutkich robotnic. Nie złotem to i srebrem utkane życie! Olbrzymia konkurencya; liczne i o wiele za liczne zastępy dziewcząt, które prócz igły nie mają w ręku innego uczciwego środka do życia; podobno też pewna niezaradność z ich strony; brak pomysłowości tam, gdzie pomysłowość ma przed sobą otworzone jakieś pole, a wogóle i wszędzie nieszczęśliwy brak akuracności i starannego wykończenia; podobno również, jak inne opowiadają źródła, zdarzający się niepoczciwy wyzysk ze strony niektórych pań, utrzymujących szwalnie i magazyny: oto, między innemi, parę głównych przyczyn niewesołej doli szwaczek i krawczyń. Zarobienie 12 złr. miesięcznie (rozumie się, bez wyżywienia i pomieszkania), jest szczytem marzeń, ideałem, który dziewczyna zapisująca się „do krawieczyzny“, maluje sobie w bujnej wyobraźni, jak świeżo zaciągnięty w szeregi rekrut maluje sobie generalskie epolety; od fantazyjnego tego obrazu do urzeczywistnienia go, równa tu prawie droga. Wyjątkowo, zupełnie wyjątkowo uzdolniona i wykształcona wyawansować może z czasem na instruktorkę, na dozorczynię i kierowniczkę robót; a wtedy na równi ze zgrabną „stanczarką“ (robiącą staniki), rachować może na 15, 16, a jak mię w jednym miejscu zapewniano, nawet na 18 złr. miesięcznego

dochodu. Są to wyjątki, których w rachubę brać nie można; przeciętny zarobek miesięczny wynosi od 4—6 złr., z których mozolnie dzień cały, nieraz i część nocy pracująca szwaczka, opędzić musi jedzenie, ubranie, czasem i mieszkanie, bardzo często musi rodzinie dopomagać. Dziewczęta uczące się dopiero krawieczyny, nie dostają przez pierwszych lat parę żadnej zapłaty; później, stopniowo, w miarę zdolności i uznania, dochodzą do reńskiego miesięcznie, do dwóch, wreszcie do czterech, pięciu, sześciu, tj. *summa summarum* 20 ct. dziennie; poza ten kres wybijają się tylko bardzo zdolne, lub z jakiegobądź powodu uprzywilejowane. Szwaczki pracujące u siebie, w domu swych krewnych, rodziców lub w najmowanym przez siebie same skromnym pokoiku, nie stoją wogóle lepiej; opłacać się muszą faktorkom stręczającym robotę, lub zdecydować się, że nieraz bez roboty pozostaną; bardziej jeszcze lękać się muszą strasznego widma konkurencyi i bić przed niem głębsze, jeśli nie bardziej poniżające, to wyczerpujące i nużące pokłony.

Jakiż, jeśli gdzie to tutaj, pęk rozjaśniającego i rozgrzewającego światła rzucaćby mogła niedziela, święto w chrześcijańskim duchu pojęte i przepędzone, na szare to życie, — jak święto tutaj niezbędnem, aby ciało wytchnąć mogło, umysł wyżej się wzniosł, serce uderzyło żywiej i dla wznioślejszych ideałów; aby w danej chwili nie zabrakło stałego punktu oparcia i moralnej siły do powstrzymania się na śliskich ścieżkach, na które bieda, próżność i tysiączne, wszelkiemi porami wciskające się pokusy, wabią biedne te istoty! Dobrze już posiwiały publiczny funkcyonaryusz, który z urzędu swego i powołania badał przez długie lata obyczaje krakowskie, powiada mi po prostu: „Kiedy widział, że dziewczyna, zwłaszcza z igły żyjąca, a więc najbardziej może narażona, zaczyna kościół w niedzielę opuszczać, to wiedziałem na pewne, że tam coś źle się dzieje, — oho! już ja się w tem nie myliłem! Prawda, i takiej, co wiernie do kościoła uczęszcza, może się czasem noga poślizgnąć — poślizgnie się, ale i prędko powstanie; podczas gdy tamta na długie miesiące, na długie lata stracona“. — „Bez niedzieli, bez nabożeństwa w kościele — przyznaje szczerze wiele pocziwych robotnic —

to nie wiem do czego bym doszła: rzucić się w Wisłę, czy na Kazimierz pójść do Żydów, tak czasem bieda doskwiera, jeśli się chce, a skąd wziąć?”

A ileż z tego niekończącego się zastępu robotnic od igły, nożyczek i maszyny, ma w niedzielę taki istotnie orzeźwiający i podnoszący dzień; czy wszystkie mogą sobie pozwolić na te wakacje, nie wiedzieć, bardziej dla ciała czy dla duszy niezbędne? Oto, co na to pytanie odpowiada kilka kierowniczek szwalń i magazynów, urządzonych na większe rozmiary; kilka pań ze sprawą tą szczególnie obeznanych i szczególnie się nią interesujących:

— Znam pracownice, w których i w niedzielę szyją panienki, choć sprawiedliwość wyznać każe, że rzadziej się to zdarza, niż w zakładach męskich, w których niedzielna praca jest zupełnie na porządku dziennym. I u mnie dawniej — nie widzę racyi z tem się tać — pracowano nieraz w niedzielę, ale doświadczenie mię pouczyło, że taka niedzielna praca na nic. A nadto robotnice nasze i tak źle już odżywiane, nieraz nie wyspane, bo w domu po nocach pracują dla siebie, dla rodzeństwa, czasem dla Żydów, którzy haniebnie wyzyskują ich biedę; jeśli jeszcze i w niedzielę palców nie wyprostują, to staną się wkrótce idiotkami, maszynami, i nigdy nie dojdą do porządniejszego kawałka chleba. Takich „maszyn“, fuszerujących robotę, i tak mamy za wiele; czego brak, to inteligentnych robotnic!

— U mnie — opowiada inna — panienki wychodzą zazwyczaj z zakładu już o piątej wieczorem, tak, że później mogą same na siebie, albo na prywatne obstalunki pracować i pracują też, nie raz, nie dwa, długo, długo w noc. Wyjątek stanowią nadzwyczajne wypadki: ślubne, pogrzebowe toalety; wtedy już pytać trudno, czy świątek czy piątek, tylko naprzód robota iść musi, żeby nie było zawodu na oznaczony termin. Także w kąpielowym i w karnawałowym sezonie trzeba często gęsto i w niedzielę popracować. Ale i poza takimi wypadkami, u wielu krawcowych, bardzo dużo robią w niedzielę, czasem aż do nocy; u niektórych zupełnie stale, do czwartej, piątej rano z soboty

na niedzielę. Pani każe, to dziewczyny muszą, i na to niema żadnego sposobu.

— To prawdziwe, — maluje posępny obraz trzecia z kolei — a straszne tajemnice, o których możnaby całe tomy napisać. Wiele dziewczyn po pracowniach; całe masy szwaczek, mieszkających razem po 10, 15, wiem o jednym wypadku, że po 25 w jednym brudnym lochu — bardzo są zepsute i tym o kościele się nie śni. Lecz ileż innych, które uratowaćby można, gdyby było trochę dobrej woli i nieco więcej zainteresowania się ich losem. U krawcowych zdarzają się, co prawda rzadko i wyjątkowo, ale zdarzają się okropne gwałty; pracujące u nich biedne stworzenia zahukane, wysmiewane, zdarza się, że i bite, nie słyszą nigdy pocziwego słowa; jeśli chcą pójść do kościoła, do spowiedzi, to muszą się z tem taić, boby je koleżanki wyśmiały a pani zburchała; natomiast wolno im bez przeszkody prowadzić w pracowni jakie chcą rozmowy, muszą się patrzeć na rozwieszony wokoło obrazy, które im pewnie zbyt budujących myśli nie podsuwają.

— Ależ to u Żydówek, wyłącznie gdzieś na Kazimierzu, panować mogą podobne stosunki?

— Na Kazimierzu, u Żydówek, tego rodzaju postępowanie bywa zmieniane w system, bo zresztą szwalnie i magazyny są tam niejednokrotnie tylko pretekstem. W chrześcijańskich magazynach, które mam na myśli, niema może tyle przewrotnej woli, ile nieobliczalnej i niezrozumiałej lekkomyślności. Co prawda, niewielka to pociecha, kiedy ostateczne wyniki tak niewiele od siebie się różnią.

Tego samego, jeżeli pamięć mię nie zawodzi, dnia, w którym ostatni z dopiero co zacytowanych „interwiewów“ miał miejsce, nadarzyła mi się dobra sposobność spotkania się z paru fryzyerami — aby dla śródmięcia użyć przyjętej tu terminologii; z paru golibrodami-felczerami, jak mistrzowie tego kunsztu na przedmieściach, „reflektując“ na szerszy zakres działania, wolały się tytułować. Dla zawiązania rozmowy, wspomniałem u pierwszego z rzędu o smutnem położeniu, w jakim znajduje się

wielu krawców, wiele szwaczek, wogóle wielu krakowskich rzemieślników, odnośnie do święcenia niedzieli. Równie sam fryzyer, jak jego pomocnik, spojrzeli na mnie zdziwieni, jakby pytając, czy nie żartuję; jakby jakiegoś podstępę się lękając. Jakoż niedługo trzeba było czekać, a już nietylko wyrazem twarzy, lekkiem podniesieniem ramion wyrazili swe zdziwienie:

— Ależ panie! ci krawcy, te szwaczki, kiedy w niedzielę pracują i do kościoła nie idą, to dlatego zwyczajnie, że taka dobra ich wola. A my, chcemy czy nie chcemy, musimy; bo czego w niedzielę nie zarobię, to i przez tydzień nie zarobię. W dzień powszedni, to mam dwie, albo trzy godziny roboty; cały tydzień, powiedzieć można, próżnuje się, a czeka się tylko na sobotę wieczór i na niedzielę. Gdyby klienci chcieli widzieć, co się u nas dzieje, jak ludzie dzieczeją, toby się tak urządzili, żeby przyjść np. w sobotę, nietylko nad samym wieczorem, ale i wcześniej, przez dzień cały. Wtedy możnaby pójść do kościoła, religię uszanować; dziś mowy o tem niema!

Drugi składa główny ciężar winy na żydowską konkurencyę. — „I ja, i wszyscy moi ludzie przez całą niedzielę od świtu do zmroku zajęci, i nikogo nie mogę do kościoła wyprawić, bo niech przyjdzie klient i musi chwilę poczekać, to albo zaraz pójdzie do Żyda z naprzeciwka, albo z pewnością na przyszłą niedzielę do niego trafi. Na tej jednej np. ulicy jest czterech Żydów fryzyerów i ja jeden chrześcijanin. Gdyby to u nas można zaprowadzić taki spoczynek niedzielny, jak w Ameryce, toby pięknie było! Ale mocny Boże! czy to u nas z Żydami podobne! Niechby przyszły prawa jakie chcą, to zawsze jeszcze Żyd będzie miał tylne drzwi półotwarte, a kogo zechce, to i puści!“

I trzeci gorzko się skarży: „Jak rok długi, my święta nie mamy. Wskutek tego — bo jakże żądać od ludzi, żeby sobie czasem nie odpoczęli — chłopcy przyzwyczajają się do włóczgi po nocach, do pijatyk po knajpach, do wszystkiego co najgorsze“.

— U mnie, jako u felczera, — przedstawia i wymawia się inny — trudno całkiem interes zamknąć, bo mogą się chorzy nadarzyć. Ale fryzyerzy i golarze mogliby absolutnie zamykać, a wtedy i jabym chętnie dał słowo, że w niedzielę nie będę,

pod żadnym warunkiem, ani golił, ani strzygł. Dotąd wszędzie w naszym fachu przez cały dzień otwarte, nawet na Wielkanoc i na Boże Narodzenie. U mnie w te dwa święta po południu zamknięte, i wtedy do kościoła idę; a zresztą nigdy, bo od 6-tej rano do 9-tej wieczorem musi być otwarte. I chłopiec nie idzie, i subjekt nie może iść do kościoła pod żadnym warunkiem, bo w niedzielę mi najpotrzebniejsi. Mogą iść w poniedziałek. W niedzielę ja iść nie mogę; skądżeby oni mieli iść? W tym względzie, to my i fiakrzy w najgorszym jesteśmy położeniu!

Na ostatnie zdanie nie bez zastrzeżeń zgodzić się można. Stosunków panujących w obszernem królestwie tramwajowo-dorózkarskiem nikt z pewnością nie nazwie idealnemi, ale od stosunków idealnych do „fryzerskich“, droga taka daleka!... Konduktorzy tramwajowi mają co ósmą niedzielę wolną; woźnice, co dziewiątą; w inne niedziele zajęci są w służbie od 6-tej rano do trzy kwadrans na dziesiątą w nocy. Fiakrzy, z wyjątkiem posterunków na kolei i w niektórych ważniejszych punktach miasta, wyjeżdżają w niedzielę dopiero o 9-tej rano; do tego czasu, kto chce, kto pobożniejszy, może czasem przynajmniej do kościoła wpaść; jeśli los sprzyja, może i na Mszę trafić; niektórzy zaręczają, że trafiają prawie zawsze. O wiele więcej stosunki fryzierskie — zawsze mając tylko na oku święcenie niedziel i świąt — zbliżone są do stosunków całej olbrzymiej grupy pracowników najróżniejszego stopnia, rangi, nazwy i wieku, zajętych w handlach spożywczych, w piekarniach, cukierniach, kawiarniach, restauracjach, handelkach, winiarniach...; słowem wszędzie, gdzie, mniejsza o to jaką bronią i w jakiej formie: mniej więcej naturalnej i surowej, czy przerobionej już przez ogień i ludzkie ręce, toczy się walka z głodem i pragnieniem. Dość przejść się, dość przejechać się po ulicach krakowskich, aby nabrać przekonania, jaka to olbrzymia armia czynny udział musi brać w tej wojnie; przypuściwszy tylko, że każdy szynk, handelek, sklep z wiktuałami, piekarnia, zatrudnia trzech lub czterech ludzi, mielibyśmy już przed sobą tysiące usługujących, gotujących, smażących, przyprawiających, podających wina i wódki,

sztrasburskie pasztety i kielbasy na gorąco, torty, bułki i chleby. Może — choć dobrze sam czuję, jak ten szkic zaczyna być nudnym, jak jest monotonnym — może jednak warto będzie jeszcze przypatrzeć się, posłuchać, jak niezliczone te zastępy niedzielę spędzają!

O sztachetki, opasujące skromny, przedmiejski domek, oparł się chłopak piekarski, ciężki kosz z bułkami na ziemię złożył i odpoczywa ze zwieszoną głową. Zasłużył sobie biedak na ten odpoczynek, boć słońce już wysoko, a on od trzeciej z rana pieczywo roznosi. Wczoraj, w sobotę wieczorem, tak jak dzień w dzień od lat już paru, od kiedy go matka do terminu przyprowadziła, biegał po mieście i trochę w piekarni pracował do piątej wieczór, następnie spał do jedenastej, pomagał potem przy pieczeniu, a od trzeciej dalej w drogę od domu do domu. Do kościoła nie chodzi, bo i kiedyż? Tylko na Boże Narodzenie i na Wielkanoc pani mu pójść pozwala, bo wtedy roboty niema. A pacierz? Na to pytanie, najprzód dyplomatyczne milczenie, później dyplomatyczna odpowiedź: „To bardzo rozmaicie, czasu tak osobnego niema; jak zresztą dobrze pacierz zmówić, kiedy spać się chce?”

Inny chłopiec, błądzący jak kreda, wśród rozmowy wprost zasypiający, zaklina się, że ma tylko cztery godziny na spanie, i to nie jednym ciągiem, więc jakże jemu o Panu Bogu myśleć? Dajmy na to, że to przesada; w każdym razie przesadą nie będzie, co opowiadają sami panowie piekarze, panie piekarki; czują oni daleko częściej i goręcej, niż sądzićby można, że źle się dzieje, że chłopcy, czeladnicy, słudzy, że oni sami wciągnięci w zawrotny wir męczącej pracy, nie słysząc nigdy o Bogu, nie modlą się, zdziwić muszą; czują odpowiedzialność na sobie ciążącą wobec Boga i ludzi, ale silnie są przekonani, że wobec niedostatecznych praw, rozwiniętej konkurencji i coraz zwiększających się wymagań publiczności, niema na chorobę lekarstwa. Kilka główniejszych ustępów z tych opowiadań, nie wystudowanych, bardzo nieraz dosadnych, widać że wprost z pod serca płynących, w najprawdziwszych barwach, zdaje nam się, odmalują właściwy stan rzeczy.

Wchodzę do pierwszej z rzędu piekarni; na wstępie wita mię obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, dokoła obrazu wije się napis: „W imię Boże!“; jeśli zatem gdzie, to tutaj prawdopodobnie nie zbywa na pocziwych chęciach, a o wrogiem usposobieniu dla religii, dla Kościoła, mowy być nie może. Młody brat, czy kuzyn, może syn nieobecnego właściciela, przyjmuje mię najuprzejmiej i bez wielkich — tak gdzieindziej czasem nudnych i zmudnych — korowodów udziela żądanych objaśnień:

— Kto od nas prawdziwie chce iść do kościoła, przynajmniej po południu, to może, chociaż teraz zwłaszcza trochę trudno, bo tymczasowo mamy dwa interesa, więc z jednego do drugiego trzeba przewozić; ale ostatecznie może, bo my tylko dwa razy na dzień dajemy świeże pieczywo, a tak popołudniowe godziny są wolne. Przedtem raz na dzień piekły i dobrze było; we Lwowie także, słyszałem, raz na dzień pieką i nikt się nie skarży, a piekarze mają po kilka kamienic. W naszym mieście już tacy wybredni, że jak bułka nie gorąca, to na nic; a po co ma być koniecznie gorąca, czy żeby żołądkowi zaszkodziła? Może to i piekarzy największa wina, że zaprowadzili pieczenie trzy razy na dzień; jakby wszyscy zaprowadzili w niedzielę raz na dzień, toby się też ludzie obeszli i przyzwyczaili. Nawet tacy, co koniecznie żądają gorącego, to ledwie jeden na dwustu, na trzystu. Więc ostatecznie dałoby się zrobić; ale to największa bieda, że u nas zgody niema, bo jeden tu nic nie poradzi, tylko od razu musi cały cech się zgodzić. Gdyby się tak kto znalazł, coby wszystkim wytłumaczył; gdyby kto miał energię i zdolność mówienia, toby dał radę i przeprowadził, żeby raz w niedzielę piec. Lepiejby to było; dziś i sam właściciel jak więzien, ruszyć się nie może, ani spocząć, ani Pana Boga pochwalić.

— Dla mnie — woła z pewną złością na samego siebie energiczny piekarz, właściciel jednej, czy nawet paru kamienic, rękami przytem wymachuje i pokój szybko, a bez przerwy wzdłuż i wszerz przebiega — dla mnie niedziela, to w tygodniu dzień najnieszczęśliwszy. W dawne czasy, pamiętam, jeszcze za wolnego miasta Krakowa, to było święcenie niedzieli; ja sam, póki byłem kawalerem, nigdy nie opuściłem kościoła. Teraz ani ja nie idę, ani żona, aż

wstyd! Dzieci uczymy: „Idźcie dzieci do kościoła!“, a czy to one nie wiedzą, że ja przy piecu, w fartuchu, tak jak codzień. To zgryzota straszna! Żydzi rozumni, wiedzą że trzeba odpocząć, bo to daje i swobodę i moralność; więc też żydostwo nas przebierze. Czemu Żydzi mogą, a my nie możemy? Jak tu się dziwić, że się Żydzi do nas nie garną, kiedy wiedzą, jak my trzecie przykazanie Boże zachowujemy, i śmieją się z nas! A choćbym i sto tysięcy kiedy zarobił, to co mi z tego, kiedy całe życie przemęczę się jak pies! — ani wytchnienia, ani niczego! Ale co ja na to poradzę, muru głową nie przebiję. Gadalem raz z jednym panem, urzędnikiem, i mówię mu, że mi ludzie na pogan schodzą i ja sam nie lepszy od poganina; że trzeba, aby się prawo w to wdało, bo tu tylko prawo poradzi. Ja mu gadam, a on się śmieje. „Przecież wieczór, powiada, mogą sobie ludzie odpocząć i do teatru pójść“. I warto to słowa tracić do takiej ...!

Niechaj sobie domyślny czytelnik ostatni komplement dopiewa; czego szczerze żałuję, to że ze względu na mego informatora, muszę również pod kropkami ukryć nazwisko wymienionego mi przezeń całym nazwiskiem i imieniem „pana urzędnika“.

Mógłbym jeszcze czytelnika do niejednej piekarni za sobą wprowadzić; po co? — kiedy, jeśli nie wszędzie z równą szczerością głęboką ranę tę ci pokazują, to domacać się nie trudno, że ona wszędzie równie głęboka, a co gorzej, tak się nieraz do niej ludzie przyzwyczaili, że już i bólu nie sprawia. Pewien starszy Krakowianin, wybornie, od wielu lat znający miejscowe stosunki, odpisał mi po prostu na odnośne pytanie: „Piekarze i cukiernicy nie mają nigdy wolnej chwili w niedziele i święta“. Miałoby się ochotę zaprzeczyć temu zdaniu tak ogólnie postawionemu; niestety! mimo szczerzej chęci, i jeżeli bawić się nie zechcemy w grę słów o Wielkanocy i Bożem Narodzeniu; w sofistykę opierającą się na jednym jedynym jakimś wypadku na cały Kraków i Podgórze — trzeba słowom tym przyznać prawdę. Co najwyżej zastrzedzby się trzeba, że cukiernicy znajdują się choć w nad wyraz podobnych, ale bądź co bądź nieco odmiennych warunkach; tak mniej więcej, jak liść od liścia odmienny. Piekarnie mają

regularnie wolne Wielkanoc i Boże Narodzenie; nie wszystkie cukiernie na ten zbytek sobie pozwalają. Na odwrót znowu wiem o paru cukierniach, w których praktykanci mają sobie w niedzielę — wyjąwszy miesiąc karnawałowych — zostawioną godzinę na kościół. „Subjekci“ w cukierniach mają co drugą lub третią niedzielę t. zw. „wychód“ na kilka godzin, zawsze i wyłącznie popołudniowych. Otóż i do czego głównejsze różnice się redukują!

Bardzo sumienni, ważnością obowiązków swych przejęci piekarz czy piekarka, cukiernik czy cukierniczka, dbają jakkolwiek jeszcze o poruczonych sobie przez rodziców lub krewnych praktykantów, terminatorów; w paru starych, dobrych tradycyjni wiernie trzymających się „interesach“, uważają ich istotnie za młodsze dzieci; opowiadano mi o cukierni, w której pan młodszego chłopaków sam na Mszę zwyczajnie prowadził; pani, gdy dużo w niedzielę roboty, sama rękawy podwija i tak dziarsko dopomaga, że jakoś dla jednych na „dziesiątówkę“, dla drugich popiero na „dwunastówkę“, ale czas dla wszystkich do kościoła znaleźć się musi. Rzadkie to wyjątki, ale są wyjątki. W gorszem położeniu „płatni służący“ (w przeciwieństwie do „terminujących“) i chłopacy w cukierni, których zakres działalności ogranicza się do roznoszenia tortów, lodów i kawy; wszelkiego rodzaju i rangi kelnerzy i kelnerki po kawiarniach i restauracjach, winiarniach i piwiarniach. Najsmutniejszy wreszcie los tych biednych amfibij, którzy wrzekomo „praktykują“ w różnych handlach, handelkach i „śniadankowo-kolacyjnych“ interesach, i z tej racyi płacy nie pobierają; a w gruncie rzeczy „praktykują“ tylko najprostszą, pewną dozą przedwczesnej bezczelności zaprawioną, kelnerską służbę.

„W restauracjach i kawiarniach — czytam w informacyi udzielonej mi przez wzmiankowanego już powyżej Krakowianina — o spoczynku niedzielnym mowy niema. Właściwy ruch po kawiarniach rozpoczyna się o godzinie 6-tej lub 7-mej rano i po większych trwa do 1-szej w nocy; mniejsze, utrzymujące wyłącznie personal żeński, zamykane są o 10-tej w nocy; jak w jednych tak w drugich dzień niedzielny lub świąteczny tem

się tylko różni od powszedniego, że więcej jest gości, a tem samem i roboty. W restauracyach, w ścisłem słowa tego znaczeniu, ruch rozpoczyna się w niedzielę o 9-tej rano i trwa przeważnie do 1-szej w nocy. O święceniu lub spoczynku niedzielnym personal nic nie wie, gdyż zaledwie pozostaje mu kilka godzin do przespania się z soboty — zwłaszcza, że w ten dzień wieczorem ruch jest zwykle większy — na niedzielę“.

Inny informator, oddający się zupełnie innemu zawodowi niż poprzedni i z innych kół społecznych pochodzący, pisze: „Znam w Krakowie dziewięć handlów korzennych, w pewnej części z restauracyami połączonych (tu następowało wyliczenie po imieniu i nazwisku), w których służba nie ma nigdy sposobności zadośćuczynienia obowiązkom religijnym“.

A co odpowiadają i opowiadają sami interesowani? „Prosiłem — zwierza się chłopiec — o wychód do kościoła, ale pan mi powiedział: ‚Twój oto kościół, to handel‘. Próbowałem prosić — zwierza się drugi i trzeci — ale mi powiedziano: ‚Idź pan tam szukać zajęcia, gdzie wolno wychodzić w niedzielę; u nas dla takich miejsca niema“.

A oto jak długoletni praktykant, sub-
jekt w rozlicznych handlach „delikatesowych“, życie swe szkicuje:

„Praktykowałem na Podgórzu; tam przez pięć lat nie byłem na Mszy ani razu. Przez pierwszy rok mego pobytu, pan jeszcze czasami pozwalał; później nam mówił: ‚Idźcie w dzień powszedni‘, ale nikt nie szedł. Potem dostałem się do Krakowa, do wielkiego handlu. Zawsze było dużo roboty. Rano trzeba było być w sklepie o wpół do 6-tej, a przed jedenastą w nocy ze sklepu się nie wyszło; więc jakeśmy się na łóżko rzucili, czasem nie rozebrawszy się nawet, tośmy spali jak upici. O pacierzu nikt i nie myślał; o to się pytać nie warto. Zawsze była robota, ale przed świętami największa. Wtedy i do 2-giej w nocy zeszło nieraz na pracy w sklepie, to znowu w piwnicy; a naza-jutrz rano o piątej trzeba było wstać, żeby sklep na czas otworzyć. Najgorzej przed Wielkanocą i Bożem Narodzeniem: ludzie w sklepie jak jabłka się cisną; chodź do piwnicy i noś i noś — jeszcze cię i starszy sub-
jekt szturchnie i pan wykrzyczy! My sobie nieraz mówili, że niby wyglądamy jak panowie i każdy

nam mówi „panie!”, a każdy chłop daleko od nas szczęśliwszy; on sobie przynajmniej w niedzielę wypocznie i wyśpi się wiele chce i w kościele się może pomodlić. A od nas niejeden, jak rok długi, kazania nie posłyszysz; o kościele ledwie że wie; zamiast kazania to słyszy rozmaite paskudztwa i przekleństwa. Najgorzej już tam, gdzie sklepy korzenne z restauracjami złączone; to hańba! Naschodzą się urzędnicy, wojskowi i nuż usługującym chłopaczkom głupstwa gadać, zepsują ich do szczytu; zmarnieje taki biedak i ani wie, ani pomyśli, w jakim jest stanie! A potem dziwią się, że taki chłopak, jak do piwnicy zejdziesz, to robaka tam zalewa i rozpija się. Jeden chłopak w nocy wszystkie koniaki porozbijał, a potem wołał, że jemu wszystko jedno co z nim zrobiają, bo on nic do stracenia nie ma; ja tego nie chwale, ale czyby dochodziło do takich rzeczy — i do gorszych¹ — gdyby panowie bardziej dbali o wiarę, o stronę moralną u swego personalu; gdyby na prawdę dbali, żeby chłopak przez sześć lat praktyki, istotnie czegoś się nauczył i nie został „dzikim człowiekiem!” Nie mówię, żeby takich nie było! Broń Boże! sam ich znam; taki X..., Y... to śmietana między kupcami; X... stara się o swych ludzi, broni ich wszędzie; Y... jak z dziećmi z nimi postępuje. U takich to i w niedzielę rzeczywiście zamknięte i z frontu i z tyłu; a nie, jak po bocznych ulicach zwłaszcza, gdzie do handlu delikatesów, można się dostać tylnymi drzwiami o każdej godzinie“.

Główne linie tego obrazu podkreślają samiż właściciele handłów i restauracyj-handelków. Jeden tylko pryncypał, i to taki, o którym skądinąd zupełnie ogólnie doszły mię arcyniepoehlebne szczegóły i relacye, klnie się na rzymskie i na greckie bogi, że „wszystkie katolickie handle po katolicku niedzielę obchodzą, praktykanci mają regularnie czas do kościoła, słowem wszystko idzie najlepiej i lepiej iść nie może“. Inni — a do pewnego stopnia i tenże sam przez tak różowe okulary patrzący

¹ Opowiadający, lękając się, aby go po tej nici nie wykryto, zobowiązał mię, że nie zrobię użytku z przytoczonych mi przez siebie „gorszych“. Istotnie o wiele smutniejszych wypadków, których sam był świadkiem.

pryncypał, gdy się nieco rozgadał — bez ogródki, szczerze wyznają: „My właściwie chrześcijańskiej niedzieli nie znamy!“

— Ja — spowiada się jeden bez ceremonii — najglówniej na niedzielę rachuję; bez niedzieli zaraz zamknąłbym budę“.

— Dla mnie, — powtarza to zeznanie drugi — niedziela grunt, bo interes glównie obliczony na „śniadankowy“. Jakby niedziela przepadła, to „kram puszcza w kurs“. Zresztą robi się co można, żeby chłopcy choć co drugą niedzielę do kościoła poszli; żeby do spowiedzi byli, bo jak się wypowiadają, to wrócą lepsi, uczciwsi.

— W niedzielę największy ruch, — tłumaczy trzeci — stąd dużo trudności. Mam takich, co o piątej wstanie, a do kościoła leci; inni za to po południu. Ale wiem o handlach, w których niema „wychodu“ tylko co dwa tygodnie i to w powszedni dzień. Z takich handlów to i po latach całych mogą do kościoła nie zaglądnąć i zapomnieć, że jest jaki kościół i niedziela na świecie. W każdym razie u nas pod tym względem daleko gorzej, niż w niemieckich miastach.

Odmienny ton, różna nieco nuta u pryncypałów, niż u ich subjektów i chłopców; ale oba te chóry dobrze się wzajemnie dopełniają i koniec końców tę samą śpiewają pieśń; podobnie jak wsłuchawszy się dłużej, a uważnie, w skargi i żale wszelkiego rodzaju kupców i rzemieślników, a praktykujących i próbujących u nich swych sił terminatorów, czeladników, subjektów, odnajdujemy, czasem z trudem, ale odnajdujemy tę samą melodyę. Odnajdujemy ją i badając stosunki panujące w hotelach i hotelikach, choć tu inne znowu trudności się mnożą. Jeden z właścicieli, do którego o wyjaśnienie udać się próbowałem, zrobił aż zabawnie zdziwioną minę, i mimo długich, powtarzanych tłumaczeń, w żaden sposób zrozumieć nie chciał: „O co właściwie panu chodzi?“ W innym hotelu, poważny *Lohndiener*, jak sam z niemiecka mi się zaprezentował, odwołał się zupełnie na seryo do „urzędowego sekretu“: *Amtsgeheimniss*: „My, panie — tłumaczył — jak przy wojsku tu jesteśmy; co przy wojsku się dzieje, tego powiedzieć cywilnym nie wolno“. Na szczęście w tej chwili właśnie nadszedł hierarchiczny przełożony służbistego

Lohndienera i niepotrzebne szkrupuły mu rozwiązał, — na szczęście nie wszędzie panowie i słudzy w podobne szkrupuły się bawili, stwierdzając szczerze i po prostu, czego skądinąd nie trudno się było domyśleć. Istotnie zeznania ich brzmią mniej więcej jednakowo we wszystkich hotelach, cóż dopiero w drugorzędnych hotelikach! Cała hotelowa służba odpoczynku niedzielnego nie ma; jeśli są goście, to portyer, służący i służące do pokoiów przeznaczeni, miesiącami całymi z domu się ruszyć nie mogą; służący zajęci w restauracyi mogą przy dobrej woli od czasu do czasu do kościoła się dostać. „Słowem, — streszcza jeden swe opowiadanie — to bardzo przykra służba!“, a drugi dodaje charakterystyczną uwagę: „Kiedy była w Krakowie cholera, to wtedy miałem wakacye; dobry to był czas, można sobie było spokojnie wyjść, bo gości nie było na lekarstwo“.

Mniej łatwo zorientować się, gdy idąc krok dalej w tej wędrówce, zaglądnijemy do prywatnych apartamentów, mieszkań i pokoików i zapytamy o niedzielę gracko uwijających się lokajów, tłumy zawzięcie sprzątających pokojówek, gęste zastępy obarczonych koszykami kucharek, usypiających i bawiących dzieci nianie i piastunek. Niepodobna wchodzić do każdego domu i z każdego z osobna ściągać urzędowe protokoły; co gorsza, ci których pytasz, dają ci często wprost sprzeczne odpowiedzi. Służąca tłumaczy się: „Ja proszę się do kościoła, ale pani nie pozwala!“ Pani zaręcza: „Jabym chciała, żeby służąca do kościoła chodziła, ale ona nigdy o pozwolenie nie poprosi; ale zamiast do kościoła lata nie wiedzieć gdzie i na czas do domu nie wraca; ale, leniuch-dziewczyna, nie chce jej się rano wstać; nie chce się jej wcześniej i rącej do pracy zabrać, żeby później mieć wolną godzinę“. Samo z siebie się rozumie, że obie strony mieć mogą i istotnie, stosownie do różnych warunków i okoliczności, mają rację; obie też niejednokrotnie dźwigają winę na sobie. Są domy i domki prawdziwie chrześcijańskie, w których służący czy służące, znajdują wszelkie możliwe ułatwienia i zachęty, aby móżdż wywiązać się ze swych religijnych obowiązków; są inne, gdzie zadośćuczynienie tym obowiązkom pozo-

stawione jest własnemu przemysłowi i sprytowi służących; są wreszcie i takie, w których np. wysłuchanie w niedzielę Mszy św. jest wprost uniemożliwionem, i to nie wyjątkowo, nie wskutek jakiejś nadzwyczajnej przeszkody, ale z reguły i z zasady. Oto w najogólniejszych rysach obraz tych stosunków, jak go kreślą osoby, które miały czas i najlepszą sposobność dokładnie, nie w jednym domu im się przypatrzeć; o wiele dokładniejszego się nie doprosisz, bo rzeczywiście, jeśli gdzie, to tutaj, albo trzeba by każdy dom, każdą ulicę z kolei przechodzić, co byłoby zadaniem, wymagającym angielskiej, nie polskiej akuratności, cierpliwości i zimnej krwi; albo uleść konieczności i zadowolnić się mglistym szkicem szkicu. Parę udzielonych mi z różnych stron objaśnień niech posłuży do łatwiejszego odgadnięcia, jak właściwie ten szkic wyglądaćby powinien. Poważna zakonnica, ocierająca się, z powołania swego, codziennie równie o świat pań, jak o świat służących; słuchająca codziennie zażaleń jednych i drugich, opowiada:

„Wiele takich pań spotykam, które nie pozwalają swym służącym do kościoła chodzić; bardzo wiele takich, które zupełnie nie poczuwają się do obowiązku — już nie mówię pozwolić, kiedy służąca czy kucharka sama się prosi, ale przypomnieć, napomnieć, zapytać: „A byłaś dziecko na Mszy, na nieszpórach? A starajże się uprzątnąć, żebyś zdążyła“. Wstyd powiedzieć, ale panie Żydówki, bogatsze zwłaszcza, to sobie mają za punkt honoru, żeby służącej nie robić trudności z kościołem. Dobrze rozumieją, że taka co do kościoła pójdzie, do spowiedzi pójdzie, kazania posłucha, i sumienniejsza i moralniejsza“.

Kilka pań ze średniej i z zamożniejszej klasy, słowo w słowo, owszem z większym nieraz przyciskiem, na to samo uderza. „Są domy, — powtarzamy słowa jednej z nich — w których służąca ledwie że kiedy, przy najlepszej woli może rano do kościoła zaglądnąć. Młoda, nieroztropna dziewczyna, czasem prosto ze wsi dopiero, nie wymówi sobie w kontrakcie godziny na kościół w niedzielę, a kiedy potem się prosi, to z góry ją nabierają: „A gdzie to masz napisane, a czyś to sobie wymówiła?“ Przy następnej służbie także sobie nie wymówi, bo się już przyzw-“

czaiła obywać bez kościoła. Zdarzają się wypadki, że pani przez pięć, sześć miesięcy nie pozwoli służącej, kucharce iść na Mszę, bo „ja ją nie do kościoła przyjęła, tylko do kuchni, do frote-rowania, do prania, do dzieci”. Bywają mamki, piastunki, które po roku całym do kościoła nie zaglądną. Później, jak się pokaże, że kucharka kradnie, pokojówka sprowadza do domu podejrzanego indywidua, piastunka o dzieci nie dba, albo je psuje — dopiero lament, sceny, donoszenie do policyi! Żydzi mędrsi; oni takiej chrześcijanki, co o kościół nie dba, pacierza nie zmówi, nie chcą mieć w swym domu, boją się jej nieraz dziecka powierzyć, bo słusznie rozumują: „Kiedy ona Panu Bogu niewierna, to jak mnie ma być wierna?”

— Mówią nieraz panie i wymawiają się, — żżyma się inna z niekłamanem oburzeniem — że muszą służyć na targ w niedzielę wysłać, a że one tam później za długo się zabawią, i dlatego niema kiedy do kościoła ich wysłać. Ja tak samo żyję, jak drugie, ale moja kucharka nigdy nic w niedzielę dopiero nie potrzebuje kupować, chyba, że są dni istotnie gorące, to wtedy o siódmej rano każę jej mięsa kupić; zresztą wszystko już w sobotę nabyte i nigdy nie słyszałam, żeby kto, czy z domowników, czy z gości, zrobił jaką uwagę, że to albo tamto nie dosyć świeże. Dla mnie niedziela w Krakowie, to boleść prawdziwa; Warszawa do takiego smutnego widoku mię nie przyzwyczaiła. Przechodzę kiedyś ulicą w niedzielę o jedenastej rano, a tu znajoma mi, pobożna pani, idzie ze swoją służącą, wstępują do Żyda i wybierają fartuchy; piękny przykład dla służącej! Spytałam się raz dziewczyny, co dopiero z Poznańskiego przyjechała i wiem, że tam musiała szanować święto: „Czemu, dziecko, wczoraj sprawunków nie załatwiła?” A ona mi na to: „Bo mi moja pani dzisiaj kazała!” Kiedy indziej znowu samej jakiejś pani zwróciłam uwagę, że lepiejby było na niedzielę kupna nie odkładać, bo i zgorzenie i ludzie łatwo kościół opuścić mogą. Spojrzała na mnie zdziwiona i odpowiedziała: „Niech władze kościelne zakażą w niedzielę kupować, to nie będziemy”. Dawniej w większe przynajmniej święta sklepiki z jarzynami były zamknięte; teraz, przez okno widzę, w drugi dzień Bożego Naro-

dzenia obłożone przez cały tłum pań, panienek, służących. I jakże Pan Bóg ma nam błogosławić; co dziwnego, że raczej Żydom, niż nam błogosławi?

Zawstydzające porównanie z Żydami wraca raz po raz; jest, siedm razy na dziesięć pieczęcią każdej nieco dłuższej rozmowy o niedzielnym odpoczynku. Istotnie, Żydzi wogóle — choć są i wyjątki — szkrupulatnie sami zachowują szabas. Istotnie przyznać trzeba, że znajdują się Żydzi, którzy zatrudnionym u siebie chrześcijanom nietylko pozwalają święcić niedzielę, ale z naciskiem im to polecają i nakazują; z drugiej wszakże strony ludzi się nie należy, jakoby tego rodzaju postępowanie miało być regułą, zasadą. Niestety! i tutaj jak w innych wypadkach, wpływ Żydów jest nieszczęściem raczej i wogóle mówiąc, demoralizującym. Biedna ta piastunka, co do Żydów poszła; biedny parobek, co na Kazimierzu, na Stradomiu, w karczmach, w stajniach, jako stróż, jako popychadło do wszystkiego na kawałek chleba zarabia; nieszczęśliwy wyrobnik, który z własnej czy nie z własnej winy nie wiedząc i nie mając gdzie się oprzeć, zaprzędz się musi w służbę kazimierskich panów.

Jaka to służba i do czego prowadzi, o tem łatwo się przekonać, używając trochę mniej zdrowej skądinąd przechadzki po ściśle żydowskich dzielnicach; zaglądając do przytulisk Brata Alberta. Setki lazarionów w łachmanach czekają na zarobek; w sobotę żadnego nie dostaną, więc wynagradzają sobie w niedzielę, „żeby jeść co dostać“. Od samego rana w niedzielę — streszczamy opowiadanie jednego z najkompetentniejszych z pewnością znawców tych stosunków — zamiatają, czyszczą, wożą i przewożą Żydom towary, po prostu są żydowskimi sługami; za to wszystko dostaną parę centów, albo, co częściej, kieliszek wódki. Do kościoła po latach i latach nie chodzą, bo się wstydzą swych łachmanów; gdyby baba miała buty, chustkę siaką taką, pewnieby się na Mszę nie leniła; ale boso, rozczochrana Żydówce wodę nosi, podłogi myje i pożądliwie patrzy na kieliszek. Taka, czy taki — a wieleż to takich — już straceni; trzeba jakiegoś cudu miłosierdzia Bożego, żeby ich z tej materyalnej i moralnej kałuży wydobyć!

Ktoś inny, zamieszkujący od wielu lat Kazimierz, a stąd nieco z jego „tajemnicami“ — jak się sam wyraża — obeznany, potwierdza i uzupełnia powyższą relację: „Chrześcijańscy najemnicy pracują dla Żydów i wszelkie posługi im oddają w największe nawet święta. Sama widziałam, jak katoliczka w Wielkanocną Niedzielę musiała się zwijać koło mac żydowskich. Znam również sama parobka, który już regularnie w sobotę świętuje razem z Żydami, a w niedzielę pracuje. Znam dwóch przynajmniej ludzi dorosłych, którzy od czasu, jak ich matka chrzestna do kościoła zanosła, nigdy odtąd w kościele nie byli; pewnie ani się domyślają, co to są kościoły i na co? Prawda, dziwnie to słuchać, ale nasz Kazimierz, to wyspa nieznaną; gdyby jakiś ciekawy a sprytny podróżnik chciał i umiał ją zbadać, toby mógł spisać całe tomy, ciekawsze, dostarczające więcej nieznanych szczegółów od opisów niejednej afrykańskiej wyprawy!“

Prowadziłem już kilka miesięcy „niedzielno-święteczną ankietę“, jak paru mych znajomych nie bardzo dowierzających wszelkiego rodzaju „ankietom“, żartobliwie zwykło się było wyrażać — kiedy szczęśliwe losy wprowadziły mnie do wspaniałego biura dobrze i z dawna znajomego adwokata. W toku pogawędki opowiedziałem mu w najgrubszych rysach, com widział, com słyszał, i zapytałem, czy też na tego rodzaju choroby niema w ustawodawstwie jakiego lekarstwa; czy przy dobrej woli nie dałoby się co zrobić? Snać bolącej rany dotknąłem. Mój adwokat od stołu się porwał, i wyrzucił w gorących słowach, co mu już dawno na sercu ciążyło: „Dobry jesteś ze swoim lekarstwem! Ależ na pierwszym miejscu lekarstwaby tego trzeba dla urzędów, sądów, dla nas, dla biur adwokackich! Czy to nie skandal, że w sądach praca od 9-tej do 12-tej, że w urzędach całe rano pióra skrzypią, jakby to był najzwyczajniejszy dzień, że my adwokaci mamy w niedzielę biura do południa otwarte? Ja, i dajmy na to, paru jeszcze z nas tak się urządzi, że o dwunastej na Mszę jeszcze trafi; ale tu nie chodzi o to tylko, czy ten lub ów absolutnie może swym obowiązkom chrześcijańskim zadośćuczynić, lecz wprost o moralność publiczną. Zresztą

nie uwierzysz nawet, jak to nieraz trudno danego sobie samemu postanowienia dotrzymać i na tę „dwunastówkę“ się wybrać. Agenda kancelaryjna w niedzielę u adwokatów jest szalona; bo Żyd przychodzi po szabasie; chłop do miasta przyszedł, obywatel przyjechał i wszyscy swoje interesa załatwiają. W sobotę za to pusto; Żyd nie przyjdzie, rzemieślnik zaczyna najenergiczniej pracować, więc także po drodze nie wstąpi; słowem w sobotę możesz sobie wytchnąć, w niedzielę za to siedź kołkiem, i twój personal niech siedzi. Znam jednego tylko adwokata, który zostawia swemu personalowi do woli, czy chce w niedzielę do biura przyjść, czy nie; u innych — u mnie też robota wre aż miło! Myślisz, że mi to tak gładko przychodzi; że nieraz nie pomyślę sobie: To wstyd, że człowiek dla duszy ani jednej godziny nie odłoży; a potem jak bieda, to mówi do Pana Boga: „Daj Panie pieniędzy!...“

Za dalszą ilustrację do tych słów niech posłuży parę ustępów z suchej notatki, udzielonej mi łaskawie przez jednego z krakowskich urzędników, zatrudnionych w tak zwanej „skarbowości“ :

„W myśl ordynacyi służbowej praca urzędnika nie może się ograniczać na godziny urzędowe w dni powszednie i święta uroczyste, ale o ile służba wymaga, ma pracować w biurze i poza godzinami urzędowemi.

„W praktyce jednak urzędnicy przy Dyrekcyi skarbu powiatowej, przy urzędzie wymiaru należytości, przy miejscowej Komisji podatkowej i w Kasie filialnej krajowej uczęszczają do biura tylko od godziny 9-tej rano do 1-szej po południu.

„W praktyce jeszcze zachodzi różnica między świętami najuroczystszymi, jak Bożego Narodzenia, Wielkanocy, a innymi świętami w tym kierunku, że urzędnicy niższych rang, w pierwszy dzień wymienionych świąt nie idą wcale do biur, podczas gdy przełożeni nawet i w te dni pracują w urzędach w godzinach przedpołudniowych.

„Woźni i słudzy nie mają wogóle przepisanych godzin urzędowych; wolno im przeto dniem świątecznym obchodzić, wolno

na nabożeństwa uczęszczać, byleby tylko ze swych czynności w dnie powszednie się wywiązali“.

W parze ze suchą urzędowym stylem zredagowaną notatką, idą energiczne, pełne ognia i siły słowa, wygłoszone przez ks. prałata Chotkowskiego na ostatnim wiecu katolików austriackich w Lincu. Forma inna, treść ta sama:

„Urzednicy, zwłaszcza urzednicy sądowi, znajdują się, ze względu na święcenie niedzieli, w bardzo smutnem położeniu. Stosownie do pewnego rozporządzenia ministeryalnego, mają oni obowiązek przed południem znajdować się w biurze; do czego obowiązek ten w praktyce prowadzi, to wyjaśnić spróbuję na konkretnym przykładzie. Niedawno temu odnowiliśmy i wypolichromowali w Krakowie pewną starożytną świątynię z XIII. w. Otóż razu pewnego zapytałem się któregoś z urzędników sądowych, jak mu się ta polichromia podoba? Odpowiedział mi na to, że mieszka wprawdzie od lat dwudziestu w Krakowie, ale nie miał nigdy czasu, aby kościół obejrzeć, ponieważ w niedzielę musi regularnie siedzieć w biurze. Co więcej, znam radców z Najwyższego Trybunału, którzy nawet na Boże Narodzenie i na Wielkanoc idą do biura; takie już ich przyzwyczajenie. W przeszłym roku naznaczono publiczne posiedzenie sądowe na niedzielę między 10-tą a 12-tą przed południem; toczył się mianowicie proces przeciw studentom, których później uwolniono. Postawiłem tedy pytanie, czy jest rzeczą odpowiednią, urządzić w czasie „Sumy“ posiedzenie sądowe. w którym uczestniczyć muszą akademicy i gimnazjaliści; odpowiedziano mi wszakże, że nie istnieje żaden sprzeciwiający się temu paragraf. Czyż więc — zapytać muszę — trzecie przykazanie Boże zupełnie już jest w Austrii zniesione?... Słyszę czasem tłumaczenia, że chodzi tu o wygodę publiczności, ale z drugiej strony słyszę, że i kilku księży otrzymało wezwanie na niedzielę przed południem. Czyż to wygodę owych księży miano na względzie? A co mówić o urzędnikach pocztowych i telegraficznych, o urzędnikach zatrudnionych przy kolejach żelaznych?... O wysłuchaniu Mszy św. ani myśleć nie mogą,

bo dopiero po południu mają wolne, a o ile wiem, to po południu na Mszę św. nigdzie już nie trafiają“.

* * *

Wobec tak smutnego stanu rzeczy, czy społeczeństwo nie robi, nie reaguje? Powiedzieć tego nie można. W r. 1886 rozpoczął ks. dr. Chotkowski wielką akcyę, mającą na celu zmianę w duchu bardziej chrześcijańskim, obowiązującej dziś ustawy; w tym celu rozrzucił po Galicyi, Szlązku, Morawii, petycyę do Rady Państwa, żądającą usunięcia przynajmniej najbardziej bijących w oczy wykroczeń przeciw trzeciemu Bożemu przykazaniu, przeciw najświętszym uczuciom chrześcijańskim. Niestety! petycyja ta, choć opatrzona 300.000 podpisami, utonęła bez śladu; jakiś projekt czy referat tuła się jeszcze gdzieś podobno po różnych parlamentarnych komisjach, ale podobno też przeznaczono mu grać rolę „żyda wiecznego tułacza“; każdy coś o nim słyszał, ale nikt na prawdę czegoś powiedzieć nie umie, nikt nawet tak bardzo znowu o niego się nie troszczy.

Czekając, czy i kiedy państwo kwestyją tą się zajmie, przyłożyła do niej tymczasem rękę inicjatywa prywatna.

Przed kilkunastu latami powstała w Krakowie piękna a praktyczna myśl założenia odrębnego stowarzyszenia „Święcenia niedziel i świąt uroczystych pod opieką świętego Józefa w Krakowie“. Statuty nowego bractwa były potwierdzone przez dycezyjalną władzę¹, agitacya za przystępowaniem do bractwa,

¹ Powtarzamy tutaj te statuty z karty wpisowej Stowarzyszenia:

„Pamiętaj, abys dzień święty święcił. (3-cie przykazanie Boskie).

Cel Stowarzyszenia. Umoralnienie społeczeństwa naszego przez święcenie niedziel i świąt uroczystych.

Obowiązki członków. *a)* Nie podejmować żadnych robót w niedziele i święta uroczyste przez Kościół zakazanych. *b)* Nie pozwalać, aby ci, którzy dla usług naszych są przyjęci, robotami powyż wymienionemi się zajmowali. *c)* Przestrzegać, aby członkowie naszych rodzin i domownicy nasi zadość uczynili przepisany przez Kościół rzymsko-katolicki w niedziele i święta uroczyste obowiązkom. *d)* W niedziele i święta uroczyste od godziny 9 przed południem aż do 4 po południu nie kupować nic w sklepach i na targach. Nie dozwalać, aby ci, którzy od nas zależą podobnie

dzięki poświęceniu jednej z najznakomitszych pań polskich, objęła bardzo szerokie koła i zdawało się, że dzieło to przyniesie najpiękniejsze owoce. Dlaczego nie przyniosło, dlaczego bractwo motylowe tylko miało życie, nie dziś pora, nie tu miejsce pytać i badać; ale czy i dzisiaj nie dałoby się wskrzesić tego rodzaju bractwa, czy nie miałoby racyi bytu bądź samo, bądź jako odrębna gałąź innego, żyjącego już i krzewiącego się? We Lwowie grono pań dobrej woli żywo a praktycznie zajmuje się sprawą święcenia niedzieli i świąt; i dzięki głównie ich usiłowaniom i odezwom niejedyn już kupiec publicznie w gazetach się zobowiązał, że odtąd we wszystkie niedziele i święta będzie przez dzień cały sklep swój zamykał.

Niedawno założone w Krakowie „Bractwo Królowej Korony Polskiej“ zrozumiało również niezmierną doniosłość sprawy święcenia niedzieli; ulitowało się zwłaszcza nad temi tłumami terminatorów, którzy nigdy Mszy św. nie słuchają i urządziło dla nich w każdą niedzielę i święto, począwszy od 19 lutego b. r., osobną Mszę św. połączoną z krótką nauką w kościele XX. Pijarów. Nabożeństwo to ma miejsce o godz. 9 rano, a więc w czasie dla terminatorów z pewnością najwygodniejszym; dość też znaczna ich liczba do kościoła się garnie, choć, rzecz prosta, w porównaniu do olbrzymiego wojska terminatorów krakowskich, drobny to jeszcze stosunkowo hufiec! Byłby większy, o wiele większy; możnaby podobne nabożeństwa urządzić w innych dzielnicach miasta, w innych, bądź dla majstrów, bądź dla rodziców, wygodniejszych godzinach; możnaby skuteczniej na majstrów wpłynąć, aby chłopców do kościoła posyłali, a nad przysyłanymi ściślejszą roztoczyć kontrolę; — gdyby w drodze nie stała i wszelkich rachub nie psuła nieszczęsna przedpołudniowa szkoła, rozpoczynająca się już o dziesiątej, ciągnąca się do dwunastej! „Brac-

kupowali, z wyjątkiem przedmiotów, które Kościół w takowe dni dla nagłośności kupować dozwala. e) We wszystkie przedmioty do życia potrzebne, zaopatrywać się u tych jedynie kupców, fabrykantów i rzemieślników, którzy niedziele i święta uroczyste w swych sklepach, zakładach i warsztatach zachowują i święcą. f) Nie kupować w tych sklepach i handlach, które w niedziele i święta uroczyste od godziny 9 przed południem aż do 4 po południu nie są zupełnie zamknięte (nie wlicza się tu aptek)“.

two“ zrobiło ze swej strony co mogło, udało się do magistratu z propozycją przeniesienia godzin szkolnych na czas od jedenastej do pierwszej, przedstawiało, „że nie wolno nikomu, choćby stał najwyżej, stawiać podwładnym przeszkód w nabożeństwie i to przeszkód publicznych, obowiązujących“; — wszystko na próżno! Napróżno adwokat dr. Markiewicz udawadniał w piśmie ogłoszonym w gazetach, że władze miejskie nietylko mogą, ale stosownie do ustaw państwowych powinny naukę niedzielną dla terminatorów przełożyć na godziny popołudniowe, a przynajmniej na czas od jedenastej do pierwszej...

Faktem więc jest, że pewne wysiłki uczynione zostały w sprawie święcenia niedzieli, ale wysiłki te nie były dostateczne, nie doprowadziły do rezultatu, a tu do rezultatu dojść trzeba koniecznie. Tę „chorobę niedzielną“, na którą nasze społeczeństwo ciężko choruje, ciężiej niż inne cywilizowane społeczeństwa, leczyć trzeba energicznie; jest to świętym obowiązkiem całego kraju, a najwięcej tych, którzy wybitnie w nim stanowiska zajmują.

Ku temu celowi przedewszystkiem potrzeba dokładnej dyagnozy oplakanego stanu rzeczy i właśnie, aby się do tego przyczynić, skreśliłiśmy ten szkic. Dalej potrzeba użyć środków: nadewszystko dążyć i doprowadzić do zmienienia ustawy w kierunku prawdziwie chrześcijańskiego święcenia niedzieli. Jak z niniejszego szkicu przekonaliśmy się, ogół ludności pracującej czuje gwałtowną potrzebę zdobycia niedzielnego wypoczynku, ale nie potrafi do niego doprowadzić bez państwowej ustawy; pragnie więc takiej ustawy, tęskni do niej. Dobra ustawa w tym przedmiocie skuteczniejszą byłaby bronią przeciwko przesadnym agitacyom socjalizmu, aniżeli wszelkie środki gwałtowane. A gdyby nawet nie dało się osiągnąć ustawy powszechnej dla całej Austrii (w co przecież wierzyć nie chcemy), to czy nie dałoby się przeprowadzić osobne dla Galicyi dopełnienie ustawy niedzielnej, podobnie jak się przeprowadziło ustawę o pijaństwie?

Dalej, aby mózż osiągnąć taką ustawę, trzeba najprzód zrobić u siebie porządek; w każdym mieście uchylić bezwarunkowo przeszkody święcenia niedzieli, które od miasta zależą.

U nas w Krakowie, trzeba bezwarunkowo szkołę niedzielną dla rzemieślników przenieść; widzieliśmy, jak powszechne są na nią utyskiwania i jakie z niej wynikają szkody (większe i głębsze niezawodnie niż wszelkie z tej szkoły pożytki). Obowiązek ten ciąży na sumieniu każdego z Radnych.

Nakoniec niezbędna też jest w tym kierunku inicjatywa prywatna: zakładanie i podtrzymywanie stowarzyszeń, poparcie prasy, ażeby społeczeństwo w tej niezmiernie ważnej sprawie oświecać i naprzód popychać.

Póki nie doprowadzimy do chrześcijańskiego święcenia niedzieli, nie mamy prawa narzekać, że Bóg nie błogosławi materialnemu dobrobytowi kraju naszego!

Ks. Jan Badeni.

PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Z najnowszych powieści polskich¹.

Garstka. Przez *Adolfa Dygasińskiego*. Zbiór nowel, obrazków i studyów. Warszawa. Nakładem Paprockiego i S-ki. 1893.

Komu Bóg dał więcej talentu, na tym cięży tem samem i większa odpowiedzialność; — talentu, pewnej zwłaszcza zdolności obserwacyjnej p. Dygasińskiemu odmówić nie można; tem smutniej, że go nie zawsze do najlepszych celów używa i że mając wszystkie dane, aby wyrzucić szeroki a zbawienny wpływ na społeczeństwo, dobrowolnie, z góry przyjętymi, na ślepo, zatem fanatycznie bronionemi teoryami, sam drogę sobie do tego wpływu zamyka. Ładnie np. umie przedstawić zbawienny wpływ pocziwego księdza; ale cóż, kiedy jakby tego się wstydzil, jakby odpokutować chciał za chwilowe zboczenie z raz obranej, smutnej drogi, bryzga natychmiast gorzkim szyderstwem, na wszystko co najświętsze i najpiękniejsze: na modlitwę, na chrześcijańską litość. Kto słuca Kościoła i pości, ten z pewnością jak Hałastrowicz w opowiadaniu „Głód i miłość“, tak sobie umartwienie to odpłaci, że na Wielkanoc — umrze z przejedzenia. Kto lubi się modlić i na nabożeństwa do kościoła uczęszcza, ten, jak godna małżonka Hałastrowicza, ludzi i Boga oszukuje, najhaniebniej wyzyskuje pot i pracę własnego dziecka, „klepie mechanicznie pacierze i koronki“, aby — dodaje autor — „według znanego prawa, osłabić cierpienie, przyczem i czas

¹ Por. *Przegląd Powszechny*, sierpień 1890, tom xxvii, str. 265 i nast.; kwiecień 1892, tom xxxiv, 85 i nast.

prędzej upływa“. W „Ptakach“, których zwyczaje i obyczaje p. Dygasiński widocznie z zamilowaniem studyował i zręcznie odmalować je umie, wychodzi wszystkimi porami darwinistowski teoretyk, i zajmującego obserwatora, powieściopisarza zabija: *Man merkt die Absicht, und man wird verstimmt*. Bez żadnych już obsłonek, wszechwładnie panuje i samowładnie króluje nieszczęśliwa ta *Absicht* w ostatnim obyczajowo-psychologicznym szkicu: „Narzeczeni, małżonkowie, rodzice i dziecię“. Co robi w tej książce szkic ów, stawiający Darwina za ewangelię, przeróżne, bardzo czasem zabawne hipotezy paru nowszych przyrodników za nieomylną prawdę? Za poważne naukowe studyum i sam p. Dygasiński szkicu tego bez wątpienia nie uważa; powieścią także nie jest; czyżby może dowcipny autor, zwyczajem sceptyków *fin de siècle* chciał dać do poznania, że sam wykładanych przez siebie teoryj nie bierze na seryo i kładzie je w jednym rzędzie z poprzedniami nowelami-bajeczkami?

Ostatni szkic rozpoczyna się dedykacją, czy inwokacją skierowaną do *Alma Venus!* To szczerze; ale czemuż inwokacja ta nie stoi raczej na czele całej książki, jako naturalne jej *motto*? Dzieje różnych Róż, Antoś; mistrzyń ich i przewodniczek: Klotyld i Fliegengarnowych; jaskrawy, powiedzmy bez ogródek, wstrętny sę osob, w jaki dzieje te są opowiedziane, pasuje w sam raz do tego *motto*, do obranego przez p. Dygasińskiego dla powieści swych i obrazów opiekuńczego bóstwa!

Pożary i zgłiszca. Powieść na tle powstania styczniowego. Napisał *Zmogas*. 2 tomy. Kraków 1893.

Losy powstańca śmiałego, rycerskiego, co rzuca wszystko: majątek, rodzinę, narzeczoną, aby ojczyźnie życie i mienie w ofierze poświęcić; losy polskiej dziewczycy, jak anioł pięknej i dobrej, miłującej całą duszą wybranego swego serca, a nie wahającej się na chwilę nakazać mu: „Mnie opuść, a idź w bój za ojczyznę!“ — znane to dzieje, tylokrotnie z życia opisywane, najpiękniejszymi barwami poezycy malowane, że trudno nową jakąś nutą na ten temat wyobraźnię zadziwić, serce poruszyć. Ale co piękne, co szlachetne, to chociaż znane, nie przestaje być pięknem i szlachetnem. Taki Aleksander Świda, równie śmiały, energiczny i przezorny na placu boju, jak w sybirskich kopalniach, jak później wśród amerykańskich, dziewczycych borów; taka Władka, idealna Polka, przed żadnemi niebezpieczeństwami, gdy o ukochanego idzie, nie cofająca się narzeczoną, żoną; taki wierny, za swego

pana, za swą panią w ogień gotów skoczyć Makarewicz, — podniosłe to, bądź co bądź postacie, godzące z życiem i ludźmi. Świda za rozumny, aby nie wiedział i nie widział, jak powstanie skończyć się musi; przeświadczenie to boli go i gryzie, ale raz powiedziałwszy sobie: „Cofać mi się nie wolno!“ idzie już naprzód, o nic nie pytając. Czy to roztropnie? Trudno żądać spokojnej odpowiedzi na takie pytanie, gdy wokoło toczy się bój krwawy, a gdzie okiem sięgniesz, wita cię łuna pożarów; to też i bohaterom „Pożarów i zgłiszczów“ dziwić się nie można, że zapał tam ich popchnął, dokąd zimny rozsądek drogę tamował. Dziwić się nie można, ale znowu ze Świdą trudno rąk nie załamać, że i zła wola niektórych i nieroztropność wielu i tysiączne bolesne okoliczności zniewoliły do tego buntu przeciw nietylko wrogom kraju, ale i najprostszym prawidłom zdrowego rozsądku.

Czarną postacią w powieści, prawdziwym złym duchem, którego szatańska jakaś miłość, następnie zazdrość, nienawiść z przepaści w coraz głębszą i ciemniejszą przepaść spycha, jest niejaki Czapllic, zdrajca, złodziej, łotr. Dopóki Czapllic zdradza, z wrogami kraju się brata, znosi najwstrętniejsze upokorzenia, byle palącej nienawiści zadosyćczynić, dopóty wstrętna to nad wyraz, ale w granicach prawdopodobieństwa odmalowana osobistość; lecz kiedy po latach zjawia się znowu tenże sam łotr, nie w Polsce, nie w Europie, tylko gdzieś na krańcach amerykańskiego świata; kiedy zjawia się nie wiedzieć jak i skąd w dzikiego Indyanina przekształcony, chce zabić bohatera powieści a bohaterkę zabija, — wtedy, przyznajemy, trochę nam tego dobrego, a raczej złego za wiele, i mimowoli pytanie się nasuwa: Czy też już autor nie mógł wymyśleć innego jakiego zakończenia swego opowiadania; czy nie należało mu bardziej z prawdopodobieństwem się liczyć? Przy drugim wydaniu należałoby koniecznie to zakończenie zmienić; psuje ono cały efekt i nadaje powieści niemłą barwę melodramatu wystawianego w trzeciorzędnym jakimś teatryku.

Splątane nici. Szkice i obrazki. Przez *Kazimierza Glińskiego*. Warszawa. Nakładem księgarni T. Paprockiego i S-ki. 1893.

Z zakutego grodu. Szkice fotograficzne. Przez *Kazimierza Glińskiego*. Warszawa. Nakładem redakcyi *Głosu*. 1892.

Dziwna rzecz, jak wązki pasek graniczny oddziela niejednokrotnie skrajnych zacofańców od skrajnych postępów; jak schodzą się oni ze sobą w teoryach, w sympatyach i antypatyach, jak przez te same okulary patrzą na świat i ludzi, tego samego używają pendzla do

swych obrazków. Kto np. czytając powieść „Z zakutego grodu“ zapomniałby popatrzeć na nazwisko autora i ostrzeżenie, że należy on do pułku, walczącego pod sztandarami wywieszonemi przez *Głos*, ten zakładałby się gotów spokojnie, że to odgrzebany jakiś antyk z przed lat kilkadziesiąt, kiedy popłacały czarne, sadzą pomalowane postacie intrygantów i intrygantek z zawodu i powołania; kiedy ciężkie, „zakute“ dowcipy zdolne jeszcze były wywoływać uśmiech; a przedpotopowe zawikłania i intrygi, które autor w oczach wszystkich widzów, grubemi powrozami wiąże, aby je później z zamachem rozwiązywać, mogły obudzić ciekawość. „Splątane nici“ również przepełnione archaicznemi motywami; również robią niezbyt nęcące wrażenie świecącej świeżym lakierem kopii dawnych, bynajmniej nie klasycznych, obrazów. Koncepty Magdy w „Starym kawalerze“, powtórzone żywcem ze studenckich komedijek Bohomolca; „Kolegów“ w niebardzo nawet zmienionej formie, czytaliśmy już, nie policzyć, ile razy; myśl przewodnia „Przekłętego rodu“ także znana, znana jak katarynkowa melodia; co jedno tym razem ciekawe i zabawne, to że katarynkę ową porusza współpracownik *Głosu*. Czyż redakcja *Głosu*, doszedłszy do przekonania, że wiary jakiejś potrzeba, chciałaby propagować wiarę w *futurum*, w za-bobony?

A zatem, czyż p. Gliński nie jest pisarzem postępowym, czy niczem nie zasłużył sobie na względy postępowej partji? Niesłusznem i niemożliwem byłoby to twierdzić. Istotnie, nie cofa się on wcale przed nieprzyzwoitością, rzuca, ile udźwignąć zdoła cuchnącego błota na hrabiny i hrabianki, takie potworne, takie straszdyła, że aż przypominają — straszdyła na wróble; uczy wreszcie katechizmu własnego swego wyrobu, wedle którego P. Bóg na to stworzył człowieka, „aby kochał chatę ojcową i ziemię, na której ona stoi“ (str. 270). To istotnie postępową nauką, postępowe zasady, a wobec nich — powiedzieli sobie prawdopodobnie warszawscy mistrzowie pozytywizmu — nie należy zbyt się formalizować przestarzałą formą, datującym z przeszłego wieku układem; intrygami i motywami, mogącemi dziś popłacać chyba w jakimś do dziedziny humorystyki należącym „zakutym grodzie“.

Stary mąż. Przez *Juliana Łętcowskiego*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1893.

Cztery nowele: „Stary mąż“, „Cierú“, „Nasz stół“, „Wicher“, złożyły się na tomik niewielki, nie zapuszczający zbyt głęboko sondy

w dzieje losów i serc ludzkich, ale miły, bo dużo we wszystkich zawartych w nim opowiadaniach serdecznego ciepła, wiosennego słońca. Stary mąż po chwilowych nieporozumieniach, które szczęściu rodzinnemu groziły rozbitciem, odnajduje znowu i do serca przyciska ukochaną, droższą niż kiedykolwiek żonę; z serca uroczej, kochającej Wandy, wychodzi zwolna ostry cieriń, który w niem utkwił, i ani wątpić, prędzej czy później wyjdzie zupełnie; Leon, którego nikt inaczej nie nazwie jak „wicher“ i „wicher“, okazuje się ostatecznie najszlachetniejszym człowiekiem, najlepszym mężem, a w dodatku arcyprzeznym i wytrawnym finansistą; grono młodych przyjaciół, zbierających się regularnie przez długie miesiące koło „naszego stołu“ w skromnej restauracyi, wybornie do siebie dobrane, pełne ognia, zapału, życia, a przecież ani zbyt nie swawolne, ani nie hulaszczę. Słowem, aż przyjemnie z tymi ludźmi zapoznać się, tacy wogóle dobrzy i poczciwi; chętnie każdy o ich losach posłucha, tak smutek z weselem, szczerzy uśmiech ze łzą rzewnej tęsknoty, w naturalnej, zwykle w życiu zachodzącej proporcyi, w nich zmieszany.

Lat temu czterdzieści i cztery. Nowela. — **Nowy rok.** Obrazek. Przez *Marka Polnicza*. Kraków. Nakładem autora. 1892.

Poczciwie skreślone dwa obrazki: pierwszy z czasów, w których w Krakowie rozpierał się wszechwładnie austriacki biurokracizm; drugi osnuty na bolesnem tle ostatniego powstania. Nowych, w nowy sposób użytych farb tu nie szukaj; ale choć ci dzieje te nie obce, choć nieraz już słuchałeś podobnych opowiadań o więziennych rozmowach, chytrze nastawionych szpiegach, powstańczych przygodach, — to przecież tak one blizkie, tyle strun w duszy poruszają, że zawsze słuchasz ich chętnie, z rozrzwiniem, byle opowiadane były bez pretensyi, szczerze, z prawdziwym, z serca płynącym zapałem. Nie brak tych przymiotów obrazkom naszkicowanym przez p. Polnicza. Zupełnie niepotrzebnie tylko wkradł się na jedną z pierwszych kartek gazeciarski frazes o „bohaterach szlachetnej denuncyacyi“, podającej „warcholów wobec władzy w podejrzenie“. Czy nie lepiej te smutne kłótnie, te „denuncyacye“, jeśli już bez nich żyć nie możemy, zostawić jednemu czy dwom dziennikom, a nie plamić nimi wspomnień drogich z pewnością wszystkim bez wyjątku Polakom.

Pajęczyna. Przez *Jana Rutkowskiego*. Z 34 ilustracjami Czesława Jankowskiego. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

Dobry tytuł, o wiele dokładniej niż długie a nudne wywody, określający istotę kilkunastu nowelek, kryjących się pod jego opiekuńczymi skrzydłami. Zgrabne, ładne nieraz te siatki, siateczki; niejeden może Kazik, starszy nawet od owego Kazika, o którym autor nam opowiada, podziwia i siatki i ich twórcę; ale swoją drogą pajęczynowe to tylko siatki. Przeczytasz, raczej przelecisz parolub kilkokartkowe powiastki o „Łańcuchu życia“, „Szymonowej etyce“, „Czepeczku panny Izy“, „Zegarku pana Pawła“ i t. d. i t. d.; znudzić się — zbyt nie znudzisz; zabawić się — zbyt nie zabawisz; to pewna, że nazajutrz, najdalej pojutrze z pianki tej nie już w pamięci, nie w wyobraźni nie zostanie. Szkoda, co prawda, niewielka. Kiedy wiatr zdmuchnie choćby bardzo misternie wyrobioną pajęczynę, pocieszać się można na pewno, że niezadługo pokaże się kilka nowych pajęczych tkanin, kto wie czy jeszcze nie misterniejszych?

Rodzina Łatkowskich. Przez *W. Kosiakiewicza*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893.

Zbiera Łatkowski pieniądze, od miesięcy, od lat grosz do grosza dorzuca, nie zabawi się, nie spocznie, nie dozwala wytchnienia sobie, dzieciom, terminatorom; dopomaga mu wiernie żona i również grosze zbiera i dusi. Wreszcie rozkoszne, długoletnie marzenia spełniać się zaczynają; pieniędzy zebrało się tyle, że Łatkowscy kupić sobie mogą murowaną, porządną, prawdziwą kamienicę: z prostych rzemieślników przedzierzgnąć się w „obywateli“. Z tytułem zmienia się i tryb życia po długoletnim, niezdrowem sknerstwie następuje tem silniejsza reakcja i Łatkowski wzięwszy sobie za hasło: „Czy to ja się nie dość napracowałem, żeby teraz troszkę nie odpocząć“; odpoczywa na dobre, wpada, prawie się nie broniąc, w sidła podstępnej kobiety, która na jego majątek haczyk zagięła. Żegnaj szczęście domowe, żegnaj dawniejsza przykładna zgoda małżeńska! — na ich miejsce występują długim szeregiem awantury, bitki, przekleństwa. Na chwilę, po śmierci córki, zdawało się, że powrócą dawne, dobre czasy; małżonkowie udali się na wspólną pielgrzymkę do Częstochowy, i powrócili stamtąd uspokojeni, pojednani — niestety! nie na długo. Namiętność porywa znów dawnego skąpca w swe koło i nie puści już, aż doprowadzi do zupełnej ruiny — finansowej, moralnej, fizycznej. Przy trumnie starego

Łatkowskiego stróż wręcza jego synowi urzędową kartkę, wystawiającą na licytację krwawo zapracowany, tak szybko przemarnowany majątek.

Jaka właściwa przyczyna tej ruiny; czemu rodzina Łatkowskich kończy tak nieszczęśliwie? W myśli autora główną, zdawałoby się, przyczyną, ma być wygórowane sknerstwo rodziny Łatkowskich; ich krewnym, Kroplińskim, ludziom wesołym, umięjącym i lubiącym się zabawiać gęsto i często, a może i nad stan trochę żyjącym, fortuna uśmiechać się nie przestaje, nie odmawiają oni sobie dozwolonych przyjemności, więc niedozwolone mniej dla nich mają uroku. Jest z pewnością w tej teorii niejedno prawdziwe ziarno, ale z drugiej strony, czy sama — nie przeczyimy, że wygórowana — zapobiegliwość i oszczędność naszych bohaterów, tłumaczy dostatecznie późniejsze, smętne ich koleje; czy u nas wogóle gościnni, bawiący się Kroplińscy nie pędzą częściej i szybciej do ruiny, niż pracujący i skąpi Łatkowscy?

Z pomiędzy ludzi. Szkice z natury. Przez *St. M. Rzętkowskiego*. Warszawa 1892.

Gdyby zapytać o wspólną nić, wiążącą dziesięć nowelek, czy obrazków, zebranych pod ogólnym tytułem: „Z pomiędzy ludzi“, to nić tę stanowiłaby niewątpliwie jednostajnie czarna barwa, którą prawie wszystkie owe obrazki grubo są zapuszczone. W pierwszym, człowiek bardzo szlachetny, bardzo rozumny, kończy samobójstwem, dlatego, że jest *homo novus*; kończy, co prawda, arcy- i z każdego względu nierozumnie, nie domyślając się naiwnie, jak serdecznie jest kochanym, tak, że o zachwalanym poprzednio jego sprycie czytelnik nieco wątpić zaczyna. W „Czarnej Doli“ występuje, dla odmiany, nie pistolet, nie rewolwer, tylko rzeka, do której córkę doprowadziła uparta a głupia matka. Biedna szwaczka, Zochna, doszła przez biedę do waryactwa: inną szwaczkę głód doprowadza do haniebnego upadku. Uczciwy, sumienny całe życie rzemieślnik, z głodu chyba umrze, bo „za stary“, i pracy jego nikt nie chce, a on na czarną godzinę zapomniał sobie grosza oszczędzić. Mądry gajowy przemienia się za pośrednictwem całego łańcucha bardzo awanturnicznych przygód w głupiego, co się nazywa, a pyszałkowatego komedyanta, — w „galicyjskiego hrabiego“. — Słowem, gdzie spojrzysz, głupia „nędzna komedia życia“, taka głupia i nędzna, że mimowoli strach bierze, co z autorem się stanie, jeśli tezą swą głęboko a na seryo jest przejęty.

Od ponurej tej galeryi, złożonej z samych samobójców, topielic, waryatek, pyszałków, głupców, szubrawców, desperatów — męskiego żeńskiego rodzaju; odbija bardzo przyjemnie mały obrazek „Gość wi-

gilijny“. Niema tu nadzwyczajnych i subtelnie powiązanych wypadków. Pan Władysław i panna Róża, choć się wzajem kochali i pierścionki już wymienili, oddali je sobie pod wpływem jakiegoś nieporozumienia, i oboje nad tem zarówno boleli. Szczęściem, zawierucha zapędziła p. Władysława w sam wigilijny wieczór do dworku rodziców p. Róży, a — jak domyśleć się nie trudno — gdy się zobaczyli, to się i pogodzili. Temat to może trochę już ograny, ale w przeprowadzeniu go dużo ciepła i serdeczności, która okazuje, że czarna toga pesymisty, sztucznie a niezgrabnie narzucona, jeszcze dotąd na szczęście z autorem tak się nie zrosła, aby jej bez zbytnich ceremonij nie potrafił z siebie zrzucić; okazuje, że prócz jednej, z zabijającą monotonością poruszanej dotąd struny, odnaleść przecież może i inne, na swej nowelistycznej gitarze.

Dzieci szczęścia. Przez *Waleryę Marrené*. Warszawa. Nakład i druk S. Le-wentala.

Bogaty, długie lata w interesach szczęśliwy bankier Sawicki, troje ma dzieci — „dzieci szczęścia“, jak je wszyscy na wyścigi nazywają. Bo i czegoż im potrzeba? Stanisław traci pieniądze bez rachunku w karty, z przyjaciółmi; ale tracić może, wiele chce: pobłażliwy ojciec, mający serce szerokie i wielkie wyrozumienie dla szumiącej młodości, nawet małego palca nie zakrzywi, wyjmując z pugilaresu odpowiednią liczbę banknotów. Marcela, wychowana w zbytku i nie mająca wyobrażenia, jak żyć można poza atmosferą zbytku i ciągłej zabawy, upaja się nią, cieszy się, że jest królową salonów; cieszy się wreszcie i tem, że zostać ma szczęśliwą narzeczoną młodego, energicznego Czerczy. Jednej, najmłodszej Jadwini, duszno trochę i ciężko; młoda jej dusza do czegoś wyższego wzniesćby się pragnęła; lecz i któżby uważał na te kaprysy dziecinne, płynące, rzecz prosta, — jak perswadują z pobłażaniem trzeźwi i rozumni: brat i siostra — tylko z nieznamości rzeczywistego życia.

Nagle, w jednej chwili, scena się zmienia. Po świetnym balu, na którym Czercza z Marcelą wymienili ze sobą zaręczynowe pierścionki, rozlega się rano po pałacu straszna wieść: „Pan nie żyje!“ — Sawicki, tknięty apopleksją, zostawił, dzieci sierotami, zostawił je niemal bez grosza. Biedne „dzieci szczęścia“, nie rozumieją, zrozumieć nie chcą nowej pozycyi; stoją wobec niej bezradne, ostatkami gonia, aż do chwili, w której i ostatki wyczerpnąć się miały. Jedna Jadwinia próbuje walczyć z losem, ale jak walczyć, kiedy niczego nie umie, kiedy całe jej wychowanie miało za wyłączny cel, zrobić z niej salonową laleczkę?

Ostatecznie biedaczka, nacierpiawszy się do syta, ginie w niemożliwej tej walce — na suchoty. Niedoleżna Marcela nie walczy nawet; byle nie pozbyć się dawnych wygod, przyzwyczajzeń, strojów, schodzi coraz niżej i niżej, aż w Wenecyi rzuca się sama na dno kanału. Stanisław, trzecie „dziecko szczęścia“, schodzi również coraz niżej; nie wzdryga się przed prostem oszustwem, niedługo czekać, a bramy kryminału przed nim naościęz się otworzą. A przecież, mimo nawet nagłej finansowej ruiny, mogły to być istotnie „dzieci szczęścia“, gdyby inaczej je wychowano, przygotowano do życia!

Morał dobry i prawdziwy, choć zyskałby może na sile, gdyby nie był otoczony tak, i do tego stopnia tragicznym wiankiem: samobójstw, łez, występków. Całość, jak nie pierwszy raz u p. Marrené, dosyć mdła; wszystkie występujące tu postacie niejednokrotnie się już widziało, wszystkie ich rozmowy słyszało się tyle razy, że rzeczywiście zajmować przestają. Wstrząsnęłaby może nagle śmierć bankiera, tuż po balu, gdyby, nieszczęściem dla autorki i jej czytelników, w ostatnich kilkunastu miesiącach nie posypało się — po pewnym głośnym wypadku — przynajmniej pół tuzina identycznie, najabsolutniej identycznie podobnych opowiadań o po-balowych śmierciach. Czyżby nasi powieściopisarze z zasady nigdy powieści kolegów swych nie czytali?

Jedynе dzieło. Nowele i szkice. Przez *Zygmunta Niedźwieckiego*. Kraków 1893.

Nielatwe to nieraz zadanie, przeczytawszy uważnie tomik, dwa tomiki: „nowel“, „szkiców“, powiedzieć na końcu, co o nich sądzić, co się w nich podobało; — tak mało w nich treści, tak trudno domagać się ziarnka oryginalności, takie szare i bezbarwne. Nowele p. Niedźwieckiego nie dają przyczyny do tego rodzaju kłopotu: dwóch zdań o nich być nie może, podobnie jak nie może być dwóch zdań o tem, czy błoto pachnie, i czy spacer w błocie po kolana jest miły i zdrowy. Błoto, błoto i jeszcze raz błoto — oto treść, oto ideał, oto jedyne marzenie polskiego niestety! pisarza, który pozazdrościł łatwych warunków spekulującym na pieniądź francuskim pornografom. Szczęście jeszcze, że prócz ładnej okładki, nie do tego niewonnego zbiornika nie pociąga: ani pomysł, ani forma, ani styl! A może i dobrze, że niefortunny autor zebrał razem rozrzucone dotąd po różnych gazetach opowiadania; — zbiór ten zwróci uwagę redaktorów szanujących się pism, z kim mają do czynienia, i spowoduje ich do stanowczego zamknięcia swych łamów i swych drzwi przed kompromitującym intruzem.

W cieniu i w słońcu. Przez *Sewera*. Warszawa 1893.

Sześć obrazków złożyło się na książkę: „W cieniu i w słońcu“, ale w swoim elemencie jest właściwie Sewer w dwóch, obu podpartzonych, żywcem niejako przeniesionych na płótno w dobrze znanym, szczerze widać kochanym Krakowie; to pierwszy z rzędu, w cieniu malowany: Nad brzegiem Rudawy, i ostatni, malowany w słońcu: Wiosna.

Jak się toczy życie biednej rodziny żydowskiej, co myślą, do czego dążą, jak oszukują; jakie, jak sprzeczne nieraz prądy nurtują w tych, nie wiedzieć, domkach, ruinach czy szałasach, w których kupią się całe żydowskie plemiona, cheiwe, obdarte, ssące bliższych i dalszych, a głodu niejednokrotnie przymierające? Komu nie przyszły na myśl te pytania, gdy przechodził brzegiem Rudawy? Sewer usiłuje na nie odpowiedzieć: fotografuje wiecznie zdyszana Sare, pędzącą z przyjemnością pół mili dalej, byle pół centa więcej na towarze zarobić; zarozumiałego Joska, typ — może aż przesadzony — kastowej, ograniczonej, żydowskiej zarozumiałości, wyzyskującego nielitościwie własną matkę; wreszcie Zyzmę, któremu za duszno w tem ciasnym kółku, rwie się do czegoś większego, aż wreszcie zrywa z rodzinną tradycją, idzie do Wiednia i — autor zapomniał, czy nie chciał dodać, jakimi drogami — panem tam zostaje.

Inny świat, inni ludzie, choć od Zyzmowego domu nad Rudawą niewielu może ulicami oddzieleni, w słonecznej Wiośnie. Dziarska Marysia wyrwała się na kilkanaście godzin ze służby do rodzinnego guiazda; ale gdy raz zaciągnęła się znowu wiejskiem powietrzem, spróbowowała znowu ochoczej pracy w polu, tak zbrzydło jej miasto, zbrzydły jego przyjemności po szynkach, po Sukiennicach w niedzielę, że ostatecznie dłużej wytrzymać nie mogła i — tym razem stanowczo Kraków pożegnała. Prosta historia, ale skreślona tak wiernie, tak wprost z życia, a zarazem z takim humorem, że dobiegłszy do końca, ma się ochotę raz jeszcze od początku zacząć. Prawdziwie pozazdrościć Sewerowi tego humoru i umiejętności słuchania i patrzenia!

Inne obrazki o wiele mniej do umysłu i do wyobraźni przemawiają. Konkurs, także „w słońcu malowany“, także wesolą tryskający, zbyt żywo przypomina podobne sceny, nakreślone piórem innego powieściopisarza, którego każdy utwór za głębokie ślady zwykły w pamięci zostawiać, aby wszelkie, choć mimowolne zapewne przypomnienie, od razu wrażenia nie psuło. Wogóle mówiąc, głębszej jakiejś myśli przewodniej, jakiegoś na szerszą skalę nakreślonego planu, na-

próżnobyś w obrazkach tych szukał; ale formą, starannością wykonania w najdrobniejszych szczegółach, wiernością kreślonych typów, stają one kto wie czy nie na pierwszym miejscu w długiej galerii wydanych w ostatnich miesiącach „obrazów“, „obrazków“, mikroskopijnych rozmiarów i mikroskopijnej nieraz wartości „nowelek“ i „powiastek“.

Zięciowie domu Kohn et C-ie. Powieść współczesna w dwóch tomach. Przez *Wincentego hr. Łosia*. Lwów 1892.

Nie bez uprzedzenia braliśmy do ręki tę powieść. Poprzednie, bardzo liczne i nadzwyczaj szybko po sobie następujące jedno- i dwutomowe utwory młodego autora, okazały w nim nader pracowitego pisarza, ale wybitniejszych zdolności, głębszego i na szerszą skalę pojętego daru obserwacyjnego, zdradzić jakoś w żaden sposób nie chciały. Do usunięcia z góry powziętego uprzedzenia, nie bardzo się też przyczyniło, umieszczone w nawiasie ponad tytułem, drobnymi literami ostrzeżenie, że niniejsza powieść należy do całego cyklu, który nosić kiedyś będzie ogólną nazwę: „Świat i finanse“. Takie cykle udają się czasem znakomitym pisarzom, wchodzą dziś za granicą w modę; ale trudno też taić, że wielkie niebezpieczeństwa w sobie kryją i łatwo romansopisarską łódkę sprowadzają na przeróżnego rodzaju podwodne skały, groźne mielizny. — Masz tobie! darzył nas p. Łoś cyklami opowiadań o bohater-skich i niebohater-skich czynach węgierskich oficerów; teraz znów obiecuje galerye obrazów z życia żydowskich i nieżydowskich danserów i bankierów!... Czy mu się noga nie poślizgnie, czy nie będzie musiał zbyt prędko ogłosić niewypłacalność?

Otóż nie! właśnie zdaje się — a spodziewamy się, że nietylko chwilowo — papiery naszego powieściopisarza idą w górę. Przedewszystkiem obrany temat samą swą ważnością i aktualnością zainteresować musi: czy, i o ile spodziewać się wolno, że przemysłne, bogate żywioły żydowskie potrafią się z polskimi połączyć i to nie chwilowym tylko kitem interesu lub wytwornej kolacyi, lecz przekonaniem i uczuciami? Pytanie to, zwłaszcza w Warszawie, raz po raz zadawane; odpowiedzi na nie bardzo różne, od najczernerwieńszych do najczarniejszych. Pan Łoś w odpowiedzi swej trzyma się starej, a choć scholastycznej, przecież — przyzna każdy — bardzo roztropnej metody: *Distingue frequenter*.

Różne w pałacu państwa Kohn przesuwają się generacje: stara babka, nie pokazująca się chyba w nadzwyczajnych wypadkach na bankierskich salonach, jest jeszcze sobie Malką czy Ryfką starego auto-ramentu; sam bankier pod okrzesanemi pozorami ukryć nie umie wy-dobycjącego się wszelkimi porami Żyda-dorobkiewicza: żona jego,

to już typ inny, to już niemal skończona i co więcej, rozumna, położenie swe i pozycję wybornie rozumiejąca Angielka-arystokratka. A córki, a owa najmłodsza generacya, która ma właśnie przeprowadzić, mówiąc dokładniej, dokonać dzieła asymilacyi? Dwie ich, dwa wręcz odrębne przedstawiające typy. Młodsza, Lena, próżna jak pęcherz nadęty, w małżeństwie z arystokratą polskim szuka wyłącznie zadowolenia swej próżności; na ślub zapatruje się jako na bramę otwierającą najnieprzystępniejsze dotąd salony; o innych jakichś obowiązkach czy uczuciach nie w głowie jej myśleć. Inną jest starsza, Marya; inne, prawdziwie kochające jej serce, i inne, rzeczywiście chrześcijańskie i polskie zrozumienie i poczucie obowiązków, najprzód narzeczonej, później żony i matki. Prawda, że nie tylko córki państwa Kohn, ale też zięciowie ich, ale też rodziny tych zięciów, do wręcz różnych należą światów, i z wręcz różnemi aspiracyami proszą o rękę bogatych bankierówien. Małżeństwo Leny skojarzył interes, zimne wyrachowanie, próżność; cóż dziwnego, że takie swaty szczęścia nie przyniosły? W małżeństwie Maryi grała pierwszą rolę nie chciwość, lecz prawdziwe uczucie; i znów cóż dziwnego, że niebo je pobłogosławiło, a ludzie — chcieli, nie chcieli — uznać i nazwać je musieli szczęśliwem?

Jak widzimy, teza postawiona przez p. Łosia, bardzo prosta, nie grzesząca ani filo- ani antysemityzmem, życiem, doświadczeniem poparta i z niego płynąca. Słuszności tej tezie, w abstrakcyjnej teorii przynajmniej, niewiele odmówi; a i ci co odmówią, a i najzagorzalsi anty- czy filosemici, nie potrafią jej, zdaje nam się, odmówić, bez całego, skąpo licząc, tuzina zastrzeżeń i omówień.

Po szczęście. Kartka z pamiętnika. Napisał *Zacharyasz Cwirko*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1892.

Proste opowiadanie — proste, niczem bardzo nadzwyczajnem nie uderzające losy polskiej rodziny, dążącej „po szczęście“ do „nowej Kalifornii“, na spiekle, straszny żar, a tem samem i śmierć kryjące w sobie piaski Czardżuju; proste, lecz właśnie dla tej pewnej prostoty, dlatego, że to tylko jedna kartka, do której tysiąc innych jest podobnych, tem tragiczniejsze. Biedny dobrowolny wychodźca gorączkowo spieszył się ze sprzedażą swego domku i kawalka roli, marząc rozkosznie o Amu-Daryjskiej oazie, płynącej mlekiem i miodem, jak w tyłu ogłoszeniach i dziennikach się naczytał; śniąc o bogactwach, po które tam, w szczęśliwej tej idealnej krainie, schylić się tylko należało. Smutne było rozczarowanie. Skwarna pustynia nie dała pieniędzy, ale zabrała żonę zabrała później jedyne, najukochańsze dziecko; zabrała wszelką energię,

nadzieję... Czytając te wspomnienia, zdaje się, jakby się słuchało opowiadań drugiego jakiegoś, nie władającego tak pięknym językiem, lecz niemniej głęboki i gorący ból czującego „ojca zadżumionych“. Nie wątpić też, że, o ile w danych warunkach u nas to wogóle możliwe, autor dopiął celu, dla którego notatki swe spisał; a jaki to cel, o tem sam uwiadamia nas w ostatnich, rzewnych słowach swego, jak słusznie gdzieś się wyraża: „łzami i krwią“ pisanego pamiętnika:

„Chciałem być tą strażą, która w pewnej grze dziecięcej, gdy rówieśnicy z zawiązanymi oczami zbliżają się do mogącego ich boleśnie zranić przedmiotu, donośnie woła: Ogień! ogień! — Chciałem następnie, o drogie cienie moje! wznieść z tych kartek nad grobami waszemi taki, na jaki mię stało pomnik — żałobny i pokutny“.

Życie syzyfowe. Przez *Józefę Szebekównę*. Warszawa. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1892.

Mały Witek, dzieckiem w czeladniej kuchni, brał kije i patrzył z zazdrością, jak inne, dworskie dzieci wesoło się bawią, a jemu brudnemu, niezgrabnemu, w podartej koszulinie, ledwie przypatrywać im się z daleka wolno. Później gęsi pasał, zdrzemnął się, wpuścił gęsi w szkodę i znowu wziął baty, a co smutniejsza, nie pojechał na jarmark, z którego, od tyłu, tyłu miesięcy obiecywał sobie niebieskie jakieś radości. Pokochał całą pełnią serca rezolutną Hankę, odepchnął dla niej inne, bardzo świetne, bardzo rozumne propozycye, a ostatecznie Hankę młody dziedzic sprzątnął mu z przed nosa. Pełen żalu poszedł do innego dworu i postanowił sobie na kawałek własnego gruntu zapracować. To było odtąd jedyne jego marzenie, jedyne pragnienie; dla urzeczywistnienia go pracował jak wół, wszystkiego sobie odmawiał, nie pił, nie bawił się, z ludźmi nie gadał, a zbierał grosz do grosza. Jeszcze niewiele wysiłków, a zbierze potrzebną sumę; ale czy mu tylko kto dotychczas krwawo uskładanych rublów nie zabierze, nie ukradnie? Dla zabezpieczenia się od możliwych wypadków, oddaje do przechowania swe oszczędności dziedzicze, jak anioł dobrej, miłosiernej; niebawem dowiaduje się, że jej mąż stracił cały majątek, a w ogólnej stracie i jego grosze utonęły bezpowrotnie. Więc znów pracuje i pracuje — teraz już u Żyda — byle z głodu przynajmniej nie umrzeć; aż mu maszyna rękę odcięła, aż wróciwszy ze szpitala na dziada żebrzącego zeszedł, i umarł w strasznej nędzy, zapomniany, nie mając przy sobie ani jednej, pocziwej ręki, coby mu oczy zamknęła. Dopiero po śmierci, dziedzic, w którym się wreszcie obudziło sumienie, kazał nędzarzowi sprawić wspaniały pogrzeb.

Szyfowa to dola, czarny, denerwujący obraz; inne pytanie, czy nakreślony prawdziwie, po co i na co kreślony? Kto tu ciągle winien, kto zbrodniarzem, który biednego Witka torturował od kolebki do deski grobowej? Ciągle i ciągle: obywatel i obywatelka ze dworu; biją, pogardzają, łamią całą przyszłość swą swawolą, a wtedy, gdy zdaje się, że mają dobre serce i dopomódzby chcieli, to właśnie swą miękkością i niezaradnością wpychają w najgłębszą przepaść. Gdyby Witek posłuchał był Żyda, co go ostrzegął: „Mnie daj pieniądze na procent a nie noś do dziedziczki“, byłby umarł jako dostatni i szanowany gospodarz; nie posłuchał i umarł żebrakiem i kaleką. Matka małego chłopaka przestrzegła: „Pod dwór nie chodź, bo stamtąd idzie nieszczęście“; Witek za przestrogą nie poszedł, służył wiernie, dosługiwał się z kolei coraz sroższych bólów, aż dosłużył się śmierci, niemal że głodowej. Jaki stąd morał? Ten wyraźnie i oczywiście, że dwór — mniejsza o to, zlemi czy dobremi ożywiony chęciami — jest największym wrogiem chłopca; że dwór przyczyną jego syzyfowego życia.

Czy autorka chciała ten morał wyciągnąć, czy to jej istotne przekonanie? Jakkolwiekby odpowiedź wypadła, zawsze byłaby arcynieuwolą, zawsze byłaby dowodem niewytlumaczalnej — co najmniej — lekko-myślności i dziwnie krótkiego wzroku.

Rok 1863. Opowieść z powstania. Napisał *Mścigniew*. Kraków 1893.

Do długiego szeregu „opowieści“ z ostatniego powstania, przybywa jedna jeszcze, bez pretensyi, pocziwie napisana. Nowych, nieznaanych szczegółów napróżnoby tu szukać, i nie o to też chodziło autorowi tego pół-pamiętnika. pół-powieści; pragnął on raczej dawne wspomnienia w sobie i w innych odświeżyć, rozpalić niemi silniej w sercach ogień miłości dla rodzinnego kraju. Z tego punktu widzenia i mając na względzie, że książeczka ta na szerokie warstwy czytelników jest obrachowana, rozumiemy dobrze, że roztacza nam chętniej i obszerniej szlachetne i podnoszące rysy, niż smutne i upokarzające; pomimo to jednak, przejście od ciągle pomyślnych utarczek, do naszkicowanego na ostatnich paru stronicach zupełnego rozbicia, przejście z wciąż jasnych barw do od razu najczarniejszej, a niestety! z historyą najzgodniejszej, zbyt wydaje nam się nagłem, aby silna ta czarna barwa rzucić nie miała w unyśle cienia i na poprzednie jasne kartki.

Ks. Jan Budeni.

Kazania Wielkopostne. Ks. A. K. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893. (W 8-ce, 176).

Tylko połowę tej książki wypełniają nauki o Męce Pańskiej; drugą część wygłosił autor, jak można wnosić z niektórych zwrotów, wprowadzając w Wielkim poście, ale wykladał w niej naukę, którą można mieć w zupełnie innym czasie.

Co do treści tych kazań i sposobu, jakiego autor użył w wykładzie prawdy, można z tego jedynie zrobić zarzut, że kazania prawie bez wyjątku, mają po kilkanaście stronic druku. Pospolite zdanie wymaga mniejszych rozmiarów od kazań wzorowych.

Tok myśli płynie we wzniosłym nastroju. W doborze treści autor korzysta wyłącznie ze skarbnicy prawd objawionych, bez wycieczek na pole umiejętności świeckich. Gdzieniedzie, szczególnie w drugiej części, nauka wkracza zbyt głęboko w zakres pojęć oderwanych, które wymagają od słuchaczy, i natężonej uwagi i dość wysokiego stopnia rozwoju umysłowego.

Płynna, miejscami nawet kwiecista mowa, choć zawsze utrzymana w poważnym nastroju, okrasza głęboką treść myśli, przeważnie czerpanych z klasycznych dzieł religijnych. Jednak czasem i pod tym względem można zarzucić autorowi pomysł nie poparty podaniem kościelnym; np. na str. 65 twierdzi, że grzech św. Piotra w domu Kaifasza nie był zupełnie rozmyślny i dobrowolny, chociaż w trzecim zaraz zdaniu dodaje: „Piotr upadł, i ciężko — to prawda“... Mniej ściśle użyte wyrazy nasuwają pojęcie, jakoby można było bez rozmysłu i nie dobrowolnie popełnić grzech śmiertelny.

Można także pragnąć, żeby autor był bliżej wchodził w szczegóły, kiedy każe wiernym zastosowywać życie do wyłożonej nauki.

Christianus in Talmude judaeorum, sive rabbinicae doctrinae de christianis secreta, quae patere fecit J. B. Pranaitis, S. Theologiae magister, linguae hebraeae in Academia caesarea rom. cath. ecclesiastica petropolitana praeceptor, presbyter dioeceseos seinensis. Petropoli. Officina typographica Academiae caesareae scientiarum. 1892. (In 8^o, VIII, 130).

Trudno otworzyć tę książkę, a nie przeczytać jej do końca z najwyższą uwagą. Nie dlatego jej treść zajmie czytelnika, że autor wydał ciekawą opowieść o Żydach; jego książka zawiera spis suchych zdań, wyjętych z talmudu, żeby słowami samych rabinów odpowiedzieć na pytanie, czy istotnie chrześcijanie znajdują w Żydach wrogów, zaprzysiężonych na swą zagładę.

Czy taki wyciąg z talmudu wywrze jakikolwiek praktyczny wpływ na stan kwestyi żydowskiej?

Przesadzałby, ktoby myślał, że każdy Żyd czyta talmud i wiernie przestrzega wszystkich jego przepisów, ale wątpić nie można, że duch talmudu oddziaływał i oddziaływa, przynajmniej pośrednio, na całą etyczną i umysłową stronę Żyda, nawet nie wtajemniczonego w naukę Miszny i jej komentatorów.

Z tego powodu światło rzucone na tajniki talmudu, nie może pozostać bez pożytku; szczególnie w obecnej dobie filosemickich i antysemitycznych zapasów przyznać trzeba, że szan. autor na czasie wydał owoc poważnej pracy.

Już niejednego miał autor poprzednika w tej pracy. I w dawnych wiekach wychodziły podobne wyciągi, i w nowszych czasach zyskał sławę Rohling. Ale Żydzi w obronie swojej podnoszą zarzut, że ci pisarze nie wiernie przełożyli teksty talmudu. Dlatego autor, uczony hebraista, przytacza wszędzie sam tekst hebrajski, opatrzony z boku odnośnym przekładem łacińskim.

Tak zabezpieczony przed zarzutem niewiernego przekładu, autor czerpie z talmudu główne zasady ich nauki, w której rozróżnia dwie części; pierwsza zawiera poglądy teoretyczne: czym jest chrystyanizm? druga streszcza przepisy praktyczne: jak postępować względem chrześcijan?

Przyznać trzeba, że autor odkrywa zasady rabinów i tajemnice dziwne, których nie wypada tu powtarzać. Takim tekstom przeciwstawiają znów Żydzi inne teksty, zupełnie przeciwne, o miłosierdziu nawet dla chrześcijan i t. d. Na to autor odpowiada, że przepisy o miłosierdziu dla chrześcijan do tego jedynie zmierzają, żeby się w pewnych razach chrześcijanom nie narazić. Jakkolwiekby, trzeba i to wziąć pod uwagę, że sprzeczne ze sobą miejsca muszą przychodzić w dziele pisanem bez związku przez różnych ludzi, a niema nic mniej jednolitego na świecie od talmudu. Jednak zostaje prawda, że młody Żyd w studyach nad talmudem i takie zdania znajduje o chrześcijanach, jakie przytacza autor.

Jednym słowem, praca księdza Pranaitisa świadczy wielką przysługę bezstronnym badaczom prawdy o kwestyi żydowskiej.

Młode lata Zygmunta Starego. Piórem *Adolfa Pawińskiego*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1893. (W 16-ce, str. IV, 291, V).

Znaną już czytelnikom *Ateneum* pracę, o kolejach życia królewicza Zygmunta, wydał teraz autor z dodatkami, ważnemi dla bada-

cza dziejów. Językiem barwnym, niekiedy strojnym nawet, opisał tło, na którym rosła i dojrzewała dusza księcia, pozbawionego przez czterdzieści lat nie tylko oddzielnej dzielnicy w dziedzictwie Kazimierza Jagiellończyka, ale chwilami nawet stałych dochodów. Autor nie narzuca swoich sądów czytelnikowi: każe mówić skrzętnie zebranych szczegółom, których przebieg wymownie świadczy o charakterze, zaletach i nieuniknionych wadach ludzkich, widnych już w latach książęcych, a jeszcze wyraźniejszych podczas królewskich rządów Zygmunta Starego. Uderza w tej książce bystry rzut oka, z jakim autor śledzi pokrzyżowane nici wypadków, odkrywa ich niedościgły związek i odtwarza postać królewicza dość dokładnie, choć gdzieś musiał ją szkicować wątkiem nikłej pajęczyny domysłów. Mimo to czytelnik widzi w tej książce odświeżony obraz stosunków życia powszedniego, po trosze towarzyskiego, a nawet umysłowego, pędzonego przed wiekami na stanowisku, w jakim oczekiwał Zygmunt korony. Z tego powodu ta książka podwójnie zająć może czytelnika: i jako przyczynek do dziejów kraju i jako starożytna karta z opisu społeczeństwa węgiersko-polskiego, szczęśliwie wydarta z kronik i na pozór na nic nie przydatnych ksiąg rachunkowych dworu Jagiellońskiego.

Szkie metodologiczne. Zastosowanie obserwacji i eksperymentu w naukach gospodarczych. Kilka słów o metodzie statystyki historycznej.
Dr. Zofia Daszyńska. Warszawa. Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa. 1892. (II, 64, 8^o).

Dziedzinę filozofii wzbogaciła dr. Daszyńska dwoma pracami, które wydała pod wspólnym napisem „Szkiców metodologicznych“. W pierwszej pracy czytelnik znajdzie wskazówkę, na jakich drogach szukać ma prawdy w naukach ekonomicznych, nazywanych gospodarczemi przez d-ra Daszyńską. Przebieg myśli, wypowiedzianych w tej pracy, świadczy o głębszych poglądach d-ra Daszyńskiej na zdobycze wiedzy w zakresie ekonomii, ale zawiera jedną zasadę, która dziwnie wyglądałaby nawet w książce mniej umiejętnie napisanej, a tem bardziej razi w pracy, za którą nie można odmówić pochwał d-rowsi Daszyńskiej. Może nie dość przejrzysty tok mowy winien temu, że środkowy ustęp na str. 3 brzmi tak, jakby istota metody dedukcyjnej polegała na logicznej budowie hipotez i próbowaniu jej następnie na faktach. Przecież matematyka cała używa metody dedukcyjnej, i ani kroku nie stawia na drodze indukcji: mimo to należy do umiejętności najściślejszych i stawia pewniki stanowcze, których nie potrzebujemy sprawdzać spo-

sobem doświadczalnym. Brak pojęcia o zasadniczej różnicy między dedukcją a hipotezą, stanowi bardzo ujemną stronę poglądów metodologicznych, jeżeli istotnie autorka tylko w indukcji widzi źródło wiedzy nieomyłnej.

„Kilka słów o metodzie statystyki historycznej“, stanowią drugą część „Szkiców metodologicznych“. W tej części autorka rozwija poglądy, już dawniej znane, ale poparte nowymi szczegółami, skrzętnie zebranymi nie tylko w innych krajach, ale także w naszym. I tutaj trudno by się zgodzić z d-rem Daszyńską w jej poglądzie, który może nie razić u pozytywisty, ale dziwi w pracy metodologicznej. Pozytywistom wolno pokładać historię wyłącznie na znajomości szczegółów i analizie ich źródeł. Ale jeżeli historia ma być umiejętnością, wtenczas metodologia wymaga od niej, żeby badała związek tych szczegółów, odkrywała przyczyny zjawisk i wypadków, a przez to w syntetycznym obrazie przeszłości dawała wskazówki i na obecną chwilę i na przyszłość. Taką naukę z dziejów przeszłych powinny czerpać narody: więc nie wyświadcza ani umiejętności, ani własnej ojczyźnie przysługi, kto w imię metodologii pragnie, iżby: „Historia przestała być poważną i posiwała w usługach nauczycielką ludów“... Kto każe jej „odrzuć toę, efekta dramatyczne, pedagogiczne cele“ i t. d. (str. 27).

Nakoniec drobna uwaga. Na str. 57 przychodzi zarzut, że „wśród urodzeń rzadko gdzie, i zawsze prawie niedokładnie zapisywano (w dawnych księgach kościelnych) urodzenia nieprawe, urodzenia nieżywe najczęściej też nie podlegały kontroli, za to ilość bliźniąt i trojaczków, jako objaw niezwykły, a nienaruszający kościelnej karność, skrzętnie jest notowaną“. Nie zwracając uwagi na to, w jakim duchu wyrażony ten zarzut, musimy spytać się d-ra Daszyńskiej, w jakim to kraju poznała tak niedbale pisane metryki? Przyznajemy się, że nie studyowaliśmy sposobu prowadzenia metryk w każdym kraju, ale najnowsze badania stanowczo pokazują, że duchowieństwo w niektórych krajach prowadziło stare metryki nie tylko sumiennie, ale racjonalnie.

K. C.

Dwa Wience. Poemat *Leonarda Krzeczковского*. Kraków. Nakład i druk W. Korneckiego. 1892. (Str. 82, w 16-ce).

Przysługę wyświadczył ludowi naszemu p. W. Kornecki, że dla niego nie szczędził nakładu na książeczkę p. L. Krzeczковского. Choć ten opis przygód naszych emigrantów do Brazylii nie może zajmując miejsca między literackimi utworami, mimo to zasługuje na wstęp

do czytelní ludowej i może niejedną rodzinę ustrzeże przed emigracją. Za ten pokarm duchowy, przygotowany naszym biedakom, ma prawo autor do wdzięcznego słowa od krzewicieli oświaty ludowej i do zachęty, żeby dalej rozwijał na tem polu swoją zdolność niezaprzeczoną. Powinienby wprawdzie unikać zwrotów gdzieniegdzie zapożyczanych z mitologii albo wykwintnego piśmiennictwa; ale niech używa dalej tych wyrażeń, porównań, pomysłów czysto ludowych, a pełnych piękna głęboko odczutego. Mimo nawet jakiegoś odcienia goryczy na społeczeństwo, duch wiary w Opatrzność Boską wieje w „Dwóch Wiencach“; a tok wiersza wcale gładki, nie zbyt często razi rymem mniej udatnym. Wiersz i tok mowy odpowiada zupełnie publikacyi dla ludu przeznaczonej.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Z literatury angielskiej.

III.

Pamiętniki. — Dzieło o strojach szkockich klanów. — Książka o szpitalach H. Burdett'a. — *London* W. Besant'a. — Powieści. — Poezye Alfreda Tennysona.

Wspomnieliśmy o obfitości pamiętnikowego w Anglii działu. Oto np. wspomnienia lekarza, p. Gordon Hake, który wydając bardzo barwne i ciekawe zapiski z ośmdziesięcioletniego żywota: *Memoirs of Eighty years*, zagaja rzecz w następujący sposób: „Zwykłym porządkiem już od lat czternastu powinienbym spoczywać w grobie, zaczem do pewnego stopnia należę już do potomności, w której imieniu raz po raz pozwalałem sobie przemawiać. Z tą wyższością nad współczesnymi, mam prawo i wobec siebie samego własną niejako potomność stanowić. Owszem, przekroczywszy o lat czternaście zwykłe życia granice, liczę sobie lat dopiero czternaście, i mogę się uważać za jednego z młodzieńców przyszłości“.

W tym to nastroju suuje, wiekiem ni cierpieniem nie złamany starzec, pełne werwy wizerunki, anegdoty i przypomnienia. Rozległe stosunki i ciekawe znajomości pozwalają mu kreślić charakterystykę wielu z najwybitniejszych ludzi współczesnych. Ale oczywiście książka ta głównie dla Anglików przysparza zajmującego plonu. Dla reszty Europy stokroć ciekawsze są dyplomatyczne zapiski lorda Augusta Loftus,

obejmujące czynny jego zawód od r. 1837 do 1862. Pod tyt.: *Diplomatic Reminiscences*, były poseł angielski w Berlinie puszcza w świat pierwsze dwa tomy swych pamiętników, jako zapowiedź i zadatek dalszej a pożądanej ich seryi. Choć bowiem nie znać w nich głębszego statysty, tyle zebrano się anegdot i pobocznych rysów, oświetlających wypadki i ludzi, że czytelnik oderwać się nie może od istnej kopalni wiadomości do historyi bieżącego wieku.

Berlin miał być głównem polem dyplomatycznych zabiegów lorda Loftus. Tam bowiem rozpoczął w 1837 r. swoją urzędową karierę, a porównyując szybko po sobie następujące a różne okresy stolicy Prus, nie waha się twierdzić, iż dawniejsze czasy stokroć tam były przyjemniejsze. „Pod względem towarzyskim, Berlin w 1837 r. bez porównania miłszą był siedzibą aniżeli później. Pewne ogólne zadowolenie wszystkie ogarniało stany. Nie wdarła się tu jeszcze była gorączka spekulacji ani też żądza szybkiego wzbogacenia się. Ludziom skromne wystarczało życie i swobodnie onego używali. Tak zwane wyższe towarzystwo ograniczało się na dworze, jenerality i dyplomacyi zagranicznej, nielicznej lecz dobranej. Cały ten świat nie liczył wiele więcej nad trzysta osób, które się codziennie spotykały, bawiły, flirtowały i tańczyły razem, bez dzisiejszych wymagań etykiety lub zbytku. Król jadał obiad o 1-szej, kolację zaś o 8-mej. Okrom rzadkich obiadów dla ministrów, nie bywało na dworze żadnych uroczystych przyjęć ni festynów. Co najwięcej raz w rok, w styczniu, król wydawał tańczące śniadanie, na które już o 10-tej z rana należało się w pełnym stawie mundurze i przed 6-tą się wynosić, aby monarcha nie przeszkodzić w codziennem ukazaniu się w którym z teatrów miejscowych“. Lord Loftus był obecnym ustawieniu kamienia węgielnego pod pomnik Fryderyka Wielkiego, zdobiący lipową w Berlinie aleję. Umierający Fryderyk Wilhelm III., w karecie przewodniczył uroczystości. Przepowiednia panny Lencrmand, znanej kabalarki francuskiej, która w r. 1815 na pytanie króla pruskiego co do daty swej śmierci naznaczyła rok 1840, ciążyła nad wyobraźnią gasnącego monarchy i całym jego otoczeniem. Opowiadano, iż samże wnuk królewski, ten który miał zostać cesarzem pod mianem Fryderyka III., składając dziadkowi noworoczne życzenia, wyraził przy nich dziecięcy żal, który musiał groźnie się odbić o duszę monarchy: „Co za szkoda, dziaduniu, iż w tym roku umrzeć musisz!“ Paryska kabalarka, układając ową wyrocznię, mogła być kierowaną historycznymi przypomnieniami. Wielki elektor umarł bowiem w 1640 r., Fryderyk Wilhelm II. w 1740 r.,

zaczem nie było wykluczonem, zważywszy na wiek jego następcy, iż skończy w 1840 roku.

Lord Loftus burzliwy rok 1848 przepędził na podrzędnej scenie, w Sztutgardzie, później towarzyszył lordowi Stratford de Redcliffe w jego dyplomatycznych objazdach dworów Europy, przed objęciem poselskiego w Carogrodzie stanowiska. Dopiero w r. 1858 wysuwa się lord Loftus na wyższe urzęda, najprzód nadzwyczajnego wysłańca do cesarza Austrii, później zaś, od r. 1860, posła w Berlinie, gdzie zebrać miał sporo szczegółów, ciekawych dokumentów i wiadomości do historii rozrostu pruskiego państwa, oraz dyplomatycznego turnieju, rozegranego między Bismarkiem a Napoleonem III. Lord Loftus przypomina tu obiad, wydany w Londynie w 1861 r. przez posła rosyjskiego Brunnowa, na cześć W. księcia Sasko-Wejmarskiego. Wśród gości znajdował się nieznany jeszcze Bismark, który długą prowadził rozmowę z Disraelim, wówczas szefem parlamentarnej opozycji. Między innymi mówił, iż niebawem wypadnie mu stanąć u steru pruskiego rządu; że pierwszym jego staraniem będzie reorganizacja armii; zaczem z pierwszej skorzysta sposobności, ażeby wydać wojnę Austrii, rozbić niemiecki sejm, pokonać i poniżyć mniejsze państewka, i zjednoczyć Niemcy pod przewodem Prus. „Przybyłem tu umyślnie, — dodał — aby o tem uprzedzić ministrów królowej“: Wysłuchując tego nadzwyczajnego programatu, który co do joty miał być spełniony, Disraeli powtarzał: „Mieście bacność na tego człowieka, bo on podobno na seryo zamyśla dotrzymać tego wszystkiego co dziś obiecuje“.

Przystępując do ogólnej charakterystyki Bismarka, lord Loftus taki nam kreśli wizerunek żelaznego kanclerza: „Załatwiając z nim różne sprawy, uderzony bywałem szybkością jego pojęcia, chwytającego w lot każdy szczegół, z niedorównanem jasnowidzeniem. Gdy po angielsku się wyrażał, zawsze najwłaściwszego dobierał słowa. Dobry był z niego przyjaciel, ale też umiał być i wrogiem nielada. Dumny i arogancki w obejściu, mściwym i twardym się okazywał wobec każdego, co mu opór stawiał. Z tem wszystkiem, wyrósł jednak na największego człowieka swego wieku (?!), w historii zaś zajmie miejsce odnowiciela Niemiec (!!!). Miałem go zawsze za tajnego przeciwnika Anglii, jakkolwiek raz po raz dawał folgę swemu uwielbieniu dla naszej ojczyzny. Ale w gruncie zazdrościł nam marynarki, oraz handlowej i moralnej w świecie przewagi“. Na innej stronie znajdujemy charakterystykę Moltkego, mniej zwietrzałą od bismarkowskiej: „Znałem go przez lat pięćdziesiąt z górą. Był to najprostszy, najskromniejszy, najpoczcziwszy

człowiek, jakiego w życiu spotkać mi przyszło. Spokój jego niewzruszony niczem się zamącić nie dawał, a zdolności organizacyjne posiadał nadzwyczajne. Nigdy się nie unosił, nigdy niecierpliwego nie wyrzekł słowa. Biegły był z niego lingwista, a raczej, jak trafnie powiedziano, „umiał milczeć w pięciu językach“, z natury bowiem swojej bardzo był cichy i zamknięty w sobie. Gruntownie pobożny, rządził się zawsze najszczytniejszymi zasadami sprawiedliwości i obowiązku. Bardzo też był ludzki, i w czasie wojny francuskiej nieraz potrafił zażegnać twardą i ostrą bezwzględność hr. Bismarka“.

Nadzwyczajna rozmaitość tych zapisków, przechodzących od spraw najdonioślejszych do potocznych, wiele im dodaje życia i wdzięku, a zapewni ogólną poczytność.

Więcej na razie hałasu zrobiły pamiętniki bezimiennie ogłoszone, p. t.: *An Englishman in Paris*, bądź z przyczyny nagromadzonych tu brukowych wieści i towarzyskich plotek, bądź z powodu rozmyślnego nakręcania dat i okoliczności, aby autorstwo zrzucić na znanego dobroczyńcę stolicy Francji, sir Richard Wallace'a. Tymczasem krytyka zaprzecza oryginalności owego pamiętnika i nie przyznaje, aby słynny filantrop, zrosły przez lat wiele z życiem paryskim, miał być istotnie ojcem tych, bądź co bądź nadzwyczaj zajmujących zapisków. Upatrują raczej w tem wszystkim zręczną literacką sztukę i podrobioną kompilację, której umyślnie zapewnić ~~z~~ góry powodzenie, podszywając pamiętnik pod znane i poważane nazwisko Wallace'a. Cokolwiek o tej publikacji da się powiedzieć, istna to kopalnia do historii Drugiego Cesarstwa, do dziejów towarzyskich i społecznych stolicy Francji w ostatnim okresie lat kilkudziesięciu. Wystarczy przypomnieć, że ów „Anglik w Paryżu“ znał poufnie wszystkich bodaj wybitniejszych ludzi epoki, że stykał się z światem dworskim, dyplomatycznym i artystycznym, że miał bliskie stosunki ze starym Dumasem, rzeźbiarzem Dawidem, panną Rachel, Balzakiem, Eugeniuszem Delacroix i wielu innymi, że trudno gdziekolwiek znaleźć więcej rysów i anegdot do charakterystyki Napoleona III., słowem, że ta, choćby podrobiona książka, sztucznie złożona ze zręcznie nawiązanych z sobą szczegółów i odłamów, jest niezawodnie jedną z najciekawszych tegorocznych publikacji.

Skorzy do pamiętnikowych wydawnictw Anglii, mniej się kwapią z ogłaszaniem prywatnych korespondencyj, zostawiając raczej Francuzom specyałność pogrobowych niedyskrecyj. Wyjątkowo zebrano i wydano listy arcybiskupa Ullathorne, jednego z filarów episkopatu irlandzkiego, które rzeczywiście zająć mogą i szersze czytelników koła,

zwłaszcza, iż wiele przywiedzionych tu listów było pisanych w Rzymie, podlegając onemu rozszerzeniu ducha i poglądów, które się udziela pielgrzymom *ad Limina Apostolorum*.

Otwierając czytelnikom *Przeglądu Powszechnego* okienko na dziedzinę literatury angielskiej, nie możemy pominąć wznowionego wydania olbrzymiego dzieła, o strojach szkockich klanów, które nas Polaków bliżej obchodzi, z powodu wypisanego na tytule autorstwa: Czytamy bowiem, iż kosztowna księga: *The Costumes of the Clans* została ułożoną i wydaną przez braci: *John Sobieski Stolberg Stuart and Charles Edward Stuart*. To też pomijając rozdziały poświęcone szkockim klanom i strojom, pobieżnie przeglądając reprodukcje starych portretów i medali, spieszmy odczytać biograficzną przedmowę, dotyczącą rzekomo ostatnich z rodu Stuartów. Nawiązują się oni do niejakiego Tomasza Hay Allen, *alias* Jakuba hrabiego d'Albanie, który mienił się być jedynym synem, zrodzonym w r. 1773, z ślubów księcia Karola Edwarda i Ludwiki Stolberg. Zostawił po sobie dwóch synów, którym nadał rodzinne imiona, i oni to, John Sobieski Stuart, oraz Karol Edward Stolberg Stuart ułożyli niniejszą księgę, skracając sobie podobno tą pracą tęsknoty niewdzięcznego pretendenta zawodu. Mimo swych genealogicznych słabości czy złudzeń, byli to szlachetni i wykształceni mężowie, którzy nie sprzeniewierzali się nazwisku przodków i godnie nosili podwójne miano Stuartów i Sobieskich, przypominające śluby pierwszego pretendenta Jakuba III., z córą polskiego króla, księżniczką Klementyną Sobieską. Obaj bracia, po mrzonkach życia, które im nie wróciło uznania ich pretensyj i tytułów, spoczęli pospół na cmentarzu w Eskadale pod keltyckim krzyżem, noszącym królewską koronę i napis: *Dominus dedit, Dominus abstulit, sit nomen Domini benedictum*. Starszy, John Sobieski Stolberg Stuart, zszedł bezpotomnie w 1872 roku. Młodszy zaś, Karol Stuart, hrabia d'Albanie, zmarły w 1880 r., zostawił syna, hr. Karola Edwarda, który służył jako pułkownik kawaleryi w armii austriackiej. Ciekawa ta notatka bibliograficzna bodaj dla niewielu polskich czytelników przystępną się stanie. Całość bowiem księgi o klanach szkockich kosztuje ni mniej ni więcej, jeno dwanaście gwinei!

Niemniej olbrzymie, a donioślejsze znaczeniem dzieło wspomnieć nam z kolei przychodzi. Pod tyt.: *Hospitals and Asylums of the World*, Henryk Burdett postanowił zebrać wiadomości o urządzeniach szpitalnych w świecie całym, o historii, budowie, rozwoju i administracji najprzeróżniejszych przytułków, ludzkim cierpieniom zgotowanych. Nie-

oszacowane to źródło informacyi, które powinnyby się znajdować w każdej bibliotece szpitalnej, i służyć za podręcznik dla wszystkich, co się tą sprawą interesują, lub zamysłają nowe zgotować przystanie nędzy, niedoli i chorobie. Szkoda, iż autor sam nie zna medycyny i ogranicza się na czerpaniu z cudzego doświadczenia, zamiast własne kreślić obserwacye. Wszelako pod względem sumienności historycznej i ścisłości opisów i referatów, nie można nie zarzucić p. Burdett. Najważniejszą i najciekawszą częścią tej sąźnistej pracy są dwa pierwsze tomy, poświęcone dziejom i ustrojowi dzisiejszych szpitali obłąkanych. Przypomniałszy okropny ich stan jeszcze z początkiem bieżącego wieku, kiedy np. dla poskromienia szaleńców używano wirującego lub kołyszącego mechanizmu, który w parę minut wywoływał u pacyenta morską chorobę, przytoczywszy drastyczny obraz okutych w kajdany, nagich i sponiewieranych waryatów, p. Burdett z dumą zaznacza i dowodzi, że Anglia ma dziś najpierwsze w świecie domy zdrowia pod względem komfortu, i że zupełnie w nich poniechano gwałtownych środków opamowania szaleńców. Natomiast austriackie zakłady dla obłąkanych mają być kuracyjnie najskuteczniejsze. W Niemczech i Francyi, niewiele zostało zrobionem od reformy z r. 1840. Miłosierdzie francuskie roztacza czynną opiekę nad nieszczęśliwymi, po ich wypuszczeniu z domu zdrowia. W Niemczech, gdzie *Schulmeister* z każdej wygląda sprawy, spróbowano mózgowie cierpienia leczyć za pomocą naukowych zajęć i lekcyj. W Rosyi, Danii, Szwecyi i Norwegii, obchodzenie się z waryatami jest ludzkie, ale nikt się nie troszczy o ich przyjemności i rozrywkę. We Włoszech i Portugalii dawny system poniewierania obłąkanych przemaga. Co zaś dziwniejsza, nie zaniechano dotąd w Stanach Zjednoczonych metody represyi przymusowej, a pęta, kajdany i kaftany bezpieczeństwa, po dawnemu krępują tam swobodę ruchów chorych na umyśle. W samejże Anglii jest około 100.000 obłąkanych, a nerwowe pokolenie dzisiejsze i mnogie podniety gorączkowego życia, mnożą wciąż liczbę nieszczęśliwych, dotkniętych mózgowem zбочeniem. Mnóstwo planów zakładów szpitalnych, wyłuszczenie zasad na jakich wypada je budować, liczne wskazówki co do ich wewnętrznego udoskonalenia, składają się w szacowny poradnik, z którym lekarze współcześni liczyć się powinni.

Znany powieściowy socyolog, Walter Besant, dokonał obecnie zajmującego dzieła historyi i opisu stolicy Anglii. Pod gołosłownym tytułem: *London*, autor sięgnął w przeszłość miasta i przypomniał onego losy i koleje przez długi poczet wieków, malując w końcu obecny

stan kilkamilionowego ogniska życia, myśli, handlu i ruchu. Liczne ilustracje dopełniają zadania kronikarza, który nad wszelkie inne przewodniki, oprowadza nas biele i zajmująco po dawnym i dzisiejszym Londynie.

Czyż w końcu zanurzyć nam się wypada w bezbrzeżnym oceanie powieściowej twórczości? na to chyba ramy naszego sprawozdania nie pozwolą. Niema tygodnia, ażeby kilkanaście powieści nie pojawiło się na półkach księgarskich; niema miesiąca, ażeby nie witano nowych nazwisk w dziedzinie niegdyś przez takich mistrzów, jak Dickens, Bulwer, Disraeli i Thackeray uprawianej. Mają oni wielu naśladowców i następców, nie wzbudzili dotąd talentów godnych iść o lepsze z temi wzorami. Powieść angielska, ulegając prądom czasu, w znacznej mierze zatraciła dawną niewinność i prostotę. Znaleźli się na tym uczciwym gruncie i zwolennicy realizmu zagranicznego, żeby tylko wspomnieć Tomasza Hardy, którego niezwyčajna zresztą powieść: *Tess of the d'Urbervilles*, jest obroną stawionej już nieraz tezy, iż mąż nie ma prawa wdzierać się w tajemnice przeszłości swej oblubienicy. Próżno szukać u naturalistów angielskich brutalności wyrażęu Zoli i jego szkoły; niemoralniejsze niemal wywody i wnioski snują oni pełnym sromu językiem. U p. Hardy'ego nadto znaleźć można coś z Tołstojowskiej zasady: nie sprzeciwiania się złemu, *nie saprotiwieńja złu*, fatalizmem konsekwencyj wiodących z jednego upadku w drugi. Spirytystyczne i teozoficzne mrzonki oczywiście zaciężyły i na powieści. Marya Corelli jest przedstawicielką tych mrzonek, odzwierciedlonych w jej utworach. Skądinąd ubieganie się o nadzwyczajność wytwarza istne współzawodnictwo dziwactw osnowy i postaci, w czem przoduje między innymi Stevenson. Pierwiastek religijny, dogmatyczna chwiejność i rozdwojenie sekciarskie ustanowionego w Anglii kościoła, odzywa się w bardzo wielu też powieściach. Pani Humphrey Ward, zdobyła sobie rozgłos niemały historią dusznego rozbicia *Roberta Elsmere*: stąd opisany tamże przełom duchowy, upowszechnił się pod mianem Elsmeryzmu. Ale to dawniejsze już dzieje. W nowszej powieści, zatytułowanej: *David Grieve*, taż sama autorka próbuje iść w ślady potężnego niewieściego pióra, zrosłego z pseudonimem George Eliot. Podróż sybirską Kennana wywołała sybirskie opowiadania i fantazyje, widocznie natchnione groźnemi opisami amerykańskiego podróżnika. Wystarczy wspomnieć utwór p. F. Barretta p. t.: *Out of the jaws of death*, niestworzone zawierający przygody. I nihilizm rosyjski odbił się w literaturze angielskiej, żeby tylko wymienić: *Made-moiselle Ire* p. Lanoe Falconer. Miss Gerard kreśli galicyjskie obrazy,

stokroć wierniejsze i życzliwsze od żydowskich bajek i wymysłów Sacher Masocha. Rudyard Kipling, najgłośniejszy z nowszych powieściopisarzy, przeważnie z hindostańskich czerpie stosunków, wierny swej kolebce, urodził się bowiem w Bombaju, i zacieśnia się niemal wyłącznie w granicach życia Hindów lub Anglików, powinnością służby przerzuconych do Indyj. Autor *Ben Hur*, L. Wallace, udarzył nas nudną powieścią z czasów podbicia Meksyku przez Corteza, p. t.: *The fair God!* Sympatyczny znawca życia patrycyatu rzymskiego, Marion Crawford, snuje dalej roczniki domu Saracinesków, z właściwym wdziękiem i kolorytem kreśląc wizerunek *Don Orsina*, i opisując jego położenie bez wyjścia, a zwłaszcza bez zajęcia, między zobowiązującami domu swego tradycjami wierności papieżowi, a obecnymi politycznymi stosunkami nowych Włoch stolicy. Miss Dowie w miłej książeczce: *A girl in the Carpathians*, zapisuje swe wrażenia z Tatrów. Ouida, Miss Bradton, zdumiewają płodnością niewyczerpanej fantazyi. Przekład Sienkiewiczowskiego „Potopu“ doczekał się najwyższego uznania ze strony surowej i wymagającej krytyki angielskiej, która nie ma dość słów pochwały dla utworu polskiego autora.

Ale dość tej nomenklatury tytułów, dla czytelnika nużącej tylko i nic nie znaczącej. Zamknijmy nasz pogląd na najnowsze plody literatury angielskiej wspomnieniem wielkiej narodowej żaloby, która świeżo kirem okryła całą Anglię. Na dniu 5-go października 1892 r., zakończył żywot doczesny ulubiony poeta wszystkich rozległych dzierżaw, kędy *yes* pobrzmiwa, Alfred Tennyson. Nosił on urzędowy tytuł laureata, a zaiste, popularnością osoby, swej i wierszy, zasługiwał na to odznaczenie, i był prawdziwym ideałem uwieńczonego uznaniem całej ojczyzny wieszca. Co właściwie stanowiło przyczynę czaru, rzuconego przezeń na wszystkich bez wyjątku rodaków, najróżniejszego stanu i wieku? obcym rozstrzygnąć trudno. Byli poeci wyższego polotu, płomienistszego słowa, szczytniejszego natchnienia; żaden atoli wśród swoich podobnego nie zażywał miru. Byłże to wynik osobistego wdzięku wspaniałej sędziwości, niezrównanego uroku obejścia? Oczywiście, niepodobna brać w rachubę wrażeń ciaśniejszego koła znajomych. Przypisać tedy należy ogólne ukochanie muzy Tennysona cudownej formie, w jaką myśl swoją oblekał, zawsze najwłaściwsze i najdźwięczniejsze dobierając wyrazy, i posiadając w najwyższym stopniu tajemnicę rytmicznej harmonii. Ale nie sama forma była u niego cudną. Natchnienie jego płynęło spokojną falą, spokój i czerstwość ducha tryskały z jego wierszy, nie gubił się nigdy w niedościgłych subtelnosciach, oddawał

szczerze co sam czuł, na co patrzył, co czuło i widziało tysiące jego ziomków. Dla nich też przy każdej narodowej okoliczności dostrajał swoją lutnię, i patriotyczne z niej wydobywał dźwięki, które obiegały dalekie kolonie echem wrażeń i wzruszeń metropolii. Wszystko, co kiedykolwiek napisał, zawsze było jasne, pogodne, zrozumiałe. Nie miotał się na losy, nie targał z przeznaczeniem, nie sięgał po niedościgłe marzenia. Taki wieszcz niesie zdrowie swemu narodowi. Śmierć miał piękną i poetyczną, jak rzadko. Miłośnik wielki nieba gwiazdzistego i księżycowych blasków, zgasł bez cierpienia w noc pogodną, rozwidnioną łagodnym światłem miesiąca, które padało przez gotyckie okno na śmiertelne posłanie odchodzącego poety. Jeśli żał całej Anglii był wymownym dla wieszca hołdem, z drugiej strony pięknie on świadczy o zdolności ocenienia i zrozumienia wszystkiego co piękne i szlachetne, o drgających strunach dusznych w narodzie na pozór chłodnym i zmateryalizowanym. Anglia świeżo tego złożyła jawne dowody po śmierci Tennysona i Browninga, a żałoba jej tem cięższą, że i tam milknie głos pieśni, że temu kilka lat jeszcze dziesięciu doliczano się poetów, z których dziś zostało zaledwie dwóch i to znacznie od tamtych niższych, Teodor Watts i Algernon Swinburne.

Po kolei przyjdzie nam może coraz to nowe okienka, na literaturę innej krainy dla *Przeglądu* naszego otwierać, jeśli niniejsze sprawozdanie z ruchu piśmiennictwa angielskiego znajdzie łaskę w oczach czytelników. Powiedziano, iż każdy przyswojony sobie język nową darzy duszą tego, co nim włada. I niezawodnie rozszerza się widnokres myśli, gdy ta w odmienne obleka się kształty, na obce wkracza dziedzińcy, obcą też przybiera formę. A z takiej po obczyźnie wędrówki, zawsze przyjdzie coś plonu odnieść do własnej, ojczystej ducha spiżarni, wraz przysparzając dostatków rodzinnemu ubóstwu i narodowej skarbnicy.

M.

Rozmaitości.

Pogadanka o przygodach „Celowości w naturze“.

W *Muzeum* lwowskiem, od maja do września przeszłego roku, toczyła się ciekawa dyskusya, pełna życia i charakterystycznych epizodów — o której już w jesieni chciałem zdać sprawę czytelnikom *Przeglądu*. Ale mając wówczas ważniejsze rzeczy na głowie, tę jakoś na bok odłożyłem. Niech mi będzie wolno dzisiaj o niej parę słów powiedzieć.

Rozpoczął p. Skórski, biorąc razem na kowadło krytyki dwie książki o celowości: p. Mahrburga i moją.

Ze mną sprawił się krótko. Wytknął mi najprzód, że „nie jestem filozofem z zawodu“ — że „oddaję się filozofii tylko z amatorstwa“ — skąd oczywiście wynika, że nie mam prawa żądania, aby się z moją pracą liczone. Dalej, zestawivszy kilka moich zdań i nawet pojedynczych słówek (jak np., że nazywam celowość „faktem“) ze zdaniami i słowami Trendelenburga — wniósł, jako „rzecz pewną, że się na Trendelenburgu oparłem“ — domyśleć się trzeba reszty zarzutu: że go nie cytowałem.

Ale daleko sroższe ciosy padły na p. Mahrburga. Jemu już nie tylko to i owo wytyka, ale całą książkę nicuje niemilościerny p. Skórski; a wszędzie wykazuje krociami cytacyj, że z jednej strony wybitnych i głośnych filozofów, których przytacza, nie czytał w oryginale, często nie rozumiał; a z drugiej strony, że z tuzinkowych pisarzy rozprawek, których nie przytacza, czerpał i zdania swoje i z drugiej ręki cytaty większych filozofów, jakimi swą książkę przystraja. Podziwiać doprawdy trzeba, ile mozołu zadał sobie szan. krytyk, aby to wszystko wy badać, skolacyonować, posprawdzać, utasować. Wyobrażam sobie, jaki stos otwartych książek nagromadzić się musiał na stole p. Skórskiego, i jak wyglądać musi nieszczęsny egzemplarz p. Mahrburga, który się dostał w jego ręce!... Zapewne ani jednej niema już kartki, któraby nie była pokreślona i pomazana ołówkiem od góry do dołu. Aż żal takiego nakładu pracy na taki cel! — Ostatecznie wychodzi z tej krytyki biedna książka p. Mahrburga, „jako suknia, złożona z kawałków zagranicznych materyj, rozmaitego gatunku, kroju i koloru, a podszyta także nieswojskim, czysto zgrzebnem płótnem!“ (*sic*).

Pan Mahrburg oczywiście podniósł rękawicę. Zaraz w sierpniowym zeszycie *Muzeum* odcina on się zawzięcie; przeciwnika traktuje „niejakim p. Skórskim“; zalicza go do „panów, którzy na poczekaniu stają się filozofami i improwizują na dowolne tematy“ — (spadło więc na p. Skórskiego to samo, czem mnie utraktował). Chcąc wyrazić najwyższą swą pogardę dla uczynionych sobie zarzutów, mówi nowożytnym stylem, „że są uwarunkowane przez poziom umysłowy krytyka“. Obrzuca je nowym stosem cytat, imion, dat, pomieszanych z osobistemi zaczepkami, w których czytelnik się gubi. A na ubicie sprawy, zapowiada tryumfalnie drugie wydanie swego dzieła, odgrzążając się, że w niem już o mojej książce ani wspomni. „Są oczywiście — tak kończy p. Mahrburg — wady w rozprawie mojej, ale ich nie do-

strzegł ani ks. Morawski, ani tem bardziej p. Skórski, i wiem, że bez moich wskazówek dostrzedz ich nie zdołają“. Cytuję, bo to okaz do przechowania w literaturze.

Ale i p. Skórski nie przepuszcza. W tym samym numerze *Muzeum* drukuje on doraźną odpowiedź: „w pierwszej chwili nie wie, co bardziej podziwiać: czy arogancję, czy tylko naiwność autora; w końcu przekonywa się, że tak pierwszą jak i drugą przywarę przyznać mu należy“. Na jego szczegóły, daty, cytaty, odpowiada jeszcze dwa razy dłuższym szeregiem szczegółów, dat i cytat; wytyka mu, że na uboczne punkta sprowadzając w polemice uwagę, na główne zarzuty nieznamomości oryginalnych dzieł filozofów, plagiatu z ulotnych broszur, wcale nie odpowiedział; na jego bronienie się twierdzeniem, że jego rozprawa już w połowie r. 1887 wysłaną została do Krakowa, odpowiada, przytaczając niemiłosiernie trzy dzieła z roku 1888, w tejsze rozprawie cytowane, i zdziwienie swoje trzema wykrzyknikami uwydatnia!!!

Możeby był p. Mahrburg jeszcze odpowiadał, a p. Skórski jeszcze raz replikował, gdyby Redakcja *Muzeum* nie była — na ich szczęście i na nasze — zamknęła dyskusyi. Zostawiam więc p. Mahrburga jego losowi, a wracam do zarzutów p. Skórskiego przeciw mojej „Celowości“.

Być filozofem — jest to wielka rzecz, do której pretendować nie śmiem; ale znowu być odsądzonym od zawodu filozoficznego, uważanym być za dyletanta, który *ipso facto*, nie ma prawa do głosu, gdzie o filozofię chodzi — to jest sąd surowy, który powinienby być umotywowany, a przynajmniej cokolwiek wytłumaczony. Chciałbym wiedzieć, czego potrzeba, zdaniem p. Skórskiego, aby być filozofem z zawodu? — Czy niczem innem się nie trudnić, jak tylko filozofią? W takim razie ten, co pół dnia filozofuje a pół dnia gra w karty, będzie filozofem; a jeśli kto pół dnia zajmuje się filozofią, a drugie pół dnia czemś innym — choćby teologią — ten przez to samo będzie dyletantem!?

Czy może pisać trzeba zawile, cytować jak najwięcej, sporządzać jak p. Mahrburg, „wykazy nazwisk 167 przytoczonych autorów“, albo jak p. Skórski, kolacyonować teksty i daty wydań? Podziwiam, jak powiedziałem, pracowitość takiej roboty, ale jeszcze w niej ostatniego wyrazu filozofii nie widzę. Sam zarzut p. Skórskiego, że się oparłem na Trendelenburgu, i dowody jakie na to przytacza, bardzo mię interesują; ale pokazują mi, że sposób, jakim on sobie przedstawia pisanie książki filozoficznej, bardzo się różni od mego sposobu.

Czy się oparłem na Trendelenburgu? Alboż ja wiem! — Przed

blisko 20-tu laty, kiedy byłem „filozofem z zawodu“, według pojęcia p. Skórskiego, bo niczem innym się nie trudniłem tylko wykładaniem filozofii i pisaniem pierwszego wydania książki: „Filozofia i jej zadanie“ — wtedy wielu filozofów niemieckich czytałem, a między nimi trochę z *Logische Untersuchungen* Trendelenburga. Czy po tylu latach, myśli z tych czytań przywłaszczone powracają mi bezwiednie jako własne — to rzecz, której dowodów w cierpliwych dochodzeniach p. Skórskiego z pewną ciekawością szukam, (i żał mi, że dowodów tych nie znajduję); ale okrom tej ciekawości czysto osobistej, żadnej do tego nie przywiązuję wagi. Kiedy znów lat temu 7, zabrałem się do pisania o celowości w naturze — przyznam się p. Skórskiemu, że nie założyłem stołu stosem książek; nie zrobiłem „wykazu nazwisk 167 autorów“. Z filozofów wziąłem głównie do ręki tych kilku, którzy na powszechne wyobrażenia o celowości zasadniczo wpłynęli, jak Kant i Spencer. Więcej rozczytywałem się w przyrodnikach. A kiedy już jesteśmy w konfidencyach z p. Skórskim, to powiem, że pisało mi się najlepiej pod drzewami, przy małym stolczku, na którym obok papieru i kałamarza żadna książka zmieścić się nie mogła. Gdybym zaś jeszcze raz książkę filozoficzną napisał, tobym się starał w niej jeszcze mniej cytat i erudycyi zmieścić. Historia stoi na świadectwie ludzi: dlatego przytaczanie źródeł i powag, jest w niej rzeczą istotną, organem konstrukcyjnym; filozofia zaś wykwita z jasnego myślenia. na podstawie empirycznego materiału, danego przez obserwacyę; erudycya w niej jest więc tylko rzeczą zupełnie podrzędną — nieraz zawadą. Balmes, na jedną godzinę pisania, trzy godziny myślał w zupełnie ciemnym pokoju. Są inni, co na jedną godzinę pisania, wiele godzin czytają, ani kwadransa zaś nie czują potrzeby poświęcić myśleniu. Nic w tem zresztą dziwnego, ale to byłoby trochę dziwnem, gdyby taka robota za typ filozoficznej pracy uchodzić miała.

Lecz to punkt podrzędny. Właściwa racya, dla której nie mogę być „filozofem z zawodu“ w oczach tak p. Skórskiego jak i p. Mahrburga, w czem innym leży: w tem, że moje stanowisko „ograniczone jest dogmatami wiary“ — kiedy w istocie filozoficzne badanie „żadnymi względami nie powinno być krępowane“, „nic z góry wiedzieć nie powinno“. I w tym jednym punkcie p. Mahrburg, tak srodze zresztą przez p. Skórskiego zmaltretowany, znajduje u niego łaskę: „że zdobył się na nowoczesne całkiem stanowisko, wychodząc z niezaprzechalnej już zasady, że nie należy nigdy wikłać interesów wiary z interesami nauki“. Mnie zaś chcąc zupełnie pogłębić, wyszukuje niezmordowany krytyk mą starą książkę o filozofii, znajduje w niej roz-

dział o stosunku teje do wiary, i dobywa z niego *corpus delicti*, zdania dowodzące, że moje stanowisko filozoficzne jest ze wszech miar skrępowane dogmatami!

A cóż to jest tak dzikiego w owym rozdziale mej książki? Nic innego, tylko klasyczne zasady o stosunku rozumu do wiary, na które pewnie i Kopernik i Kartezjusz się pisał — i pisze się każdy, który i wiare i filozofię zna dostatecznie. Rozgraniczenie obu sfer sformułowane jest najwyraźniej: filozofia, powiedziano tam, ma swoje źródła i prawa, a wiara swoje; dogmat nie jest żadnym filozoficznym dowodem; a czego rozum na doświadczeniu oparty przeniknąć i udowodnić nie może, to, chociażby w nauce wiary się znajdowało, do zakresu filozofii nie należy. — Obie te sfery jednak, jakkolwiek istotnie różne, spotykając się w jednej świadomości człowieka i co do niektórych przynajmniej punktów podnosząc zagadnienia identyczne, nie mogą nie oddziaływać wcale na siebie, nie dawać sobie pewnych, niejako zewnętrznych wskazówek. Jest to psychologiczną a zarazem logiczną koniecznością. Historia i astronomia są dwiema bardzo różnymi naukami: każda z nich ma swoje własne pole, swoje źródła i swoją metodę. A jednak historyk, który dochodzi ze swych źródeł do wniosku, że pod taką a taką datą, między Asyryjczykami a Egipcjanami, odbyła się bitwa przy zaćmieniu słońca — a dowiaduje się, że według astronomii, pod tą datą zaćmienia słońca nie było — historyk taki, jeżeli ma jakie takie wyobrażenie o pewności orzeczeń astronomii, cofnie swój wniosek; a może przy dalszych badaniach sam spostrzeże, że mylnie swe własne źródła interpretował. Podobnie filozof, który wie, że w jakiejś kwestyi religia coś pewnego rozstrzygnęła: np. że świat stworzony został od Boga — nie będzie się zapędzał w hipotezy temu pewnikowi przeciwne, nietylko z uczucia czci dla religii, ale z przekonania rozumowego, że prawda prawdziwie sprzeciwiać się nie może. Filozof, któremu obca jest religia, który nie doszedł do przekonania o pewności jej dogmatów, zgodnie ze sobą postąpi nie oglądając się na nią — ale niekoniecznie zgodnie z prawdą przedmiotową, o którą przecież filozofii chodzi. Znajdzie się on w tem samym położeniu, co wzmiankowany historyk, w przypuszczeniu, żeby nie wiedział o danej wskazówce astronomii, albo jej nie dowierzał: z zupełną wolnością ducha — rozminie się z prawdą.

W tym sensie pisałem w książce o Filozofii i jej zadaniu, przed blisko 20-tu laty — kiedy jeszcze pozytywizm zalegał widnokrąg i szło

o to, żeby odgraniczyć pola, i każdy krok filozoficznego pochodzenia usprawiedliwić od zarzutów niewczesnego dogmatyzmu i widma metafizyki. Dziś już to *tempi passati* — z czego p. Skórski może nie dosyć zdaje sobie sprawy, skoro stanowisko filozofa, który „nic z góry nie wie“, uważa za najbardziej „nowoczesne“. Dziś już ten post od metafizyki i wszelkich poza świat zjawiskowy sięgających zagadnień, tak surowo przez pozytywistów nakazywany, znudził i ośmieszył się. Dzięki tej szczerości, która cechuje prace myśli w ostatnich lat dziesiątkach, przekonali się ludzie, a znakomici dzisiejsi filozofowie, jak: Secrétan, Renouvier, Paulhan, głośno wypowiadają, że nietylko pretensja wykluczenia wszelkiej metafizyki i dogmatyzmu jest urojeniem i ciasnotą — lecz owszem, że każdy, który bierze się do badania jakiejś zagadki świata, przychodzi już z danym z góry na świat poglądem, metafizyką czy religią, pozytywną czy negatywną. Metafizyka ta może być przez te same badania do pewnego stopnia poprawiona, ale zawsze ona wpływa na nie kierowniczo — korzystniej lub mniej korzystnie, według tego czy jest lepszą lub gorszą.

Jak faktycznie u głównych filozofów i uczonych w ostatnich wiekach przekonania ich religijne i metafizyczne wpływały kierowniczo na ich badania i odkrycia, wykazałem to niejednokrotnie na tem miejscu¹. — A czy może p. Mahrburg przystąpił do swoich studyów nad celowością bez metafizyki? — On na to pozuje, powtarza, że ani przeczyć, ani twierdzić celowości w naturze nie chce, tem mniej zagadnień o Bogu przesądzać; — pokazałem jednak jak na dłoni w rozbiórce jego książki, że p. Mahrburg trzyma się z góry stanowiska przeczącego względem myśli celowej w świecie i względem Opatrzności — a to przeczenie jest oczywiście sądem o najwyższych przyczynach, jest metafizyką. — Czy może starzy pozytywiści, jak Comte, Littré, obchodzili się bez metafizyki? — Ale dowiedziono im już sto razy tego samego co ja p. Mahrburgowi: że, głosząc iż abstrahują od tych kwestyj, wciąż suponują w swych wywodach, że one zostały przecząco rozstrzygnięte. — Czy może p. Skórski jest tak szczęśliwy, że ustrzeże się od metafizyki, i sam spełnia to, czego ode mnie wymaga: żeby filozof nic z góry nie wiedział? Niech tylko napisze o jakiejś filozoficznej kwestyi, nie wyłącznie historycznej, ale rzeczowej, a wnet się pokaże, jakiej metafizyki się trzyma. W samej zresztą jego krytyce, czy niema śladu dogmatyzmu i apyoryzmu? Czemuż więc stanowisko p. Mahr-

¹ Por. *Przegląd Powszechny* t. v, str. 346; t. vi, str. 69 i indziej.

burga, przeczące względem celowości, przyjmuje on z góry jako nieskrępowane, a moje, twierdzące, odrzuca jako zależne i ograniczone? Pierwsze tem się zaleca, jego zdaniem, że „nie wikła interesów nauki z interesami wiary“; — ale przecież przeczenie w tej rzeczy niemniej wikła jak twierdzenie! niemniej dotyka ono dogmat! Kiedy wiara afirmuje, że świat jest utworem Istoty Najmędrszej — to można bądź twierdzić, zgodnie z nią, bądź przeczyć, przeciwko niej; ale jakaż logika pozwala uprzywilejować przeczenie, i uważać je za nietykające wcale afirmacyi przeciwnej?

I ja zapewne tak samo jak inni, hołduję jakiejś metafizyce — tylko innej niż p. Mahrburg. Zaczynając pisać o celowości, wiedziałem już naprzód — przyznam to p. Skórskiemu — że świat jest rozumnie zbudowany. Nie więcej jednak, a może mniej niż inni, byłem swemi dogmatami skrzepowany. Ci, co przystępują do tej kwestyi z metafizyką materializmu, zdeterminowani są z góry i wyłącznie do przeczenia celowości i wyszukiwać muszą racyj w tym kierunku; celowość natury wobec ich metafizyki, jest nonsensem i niemożliwością. Ja szukałem, czy są w naturze dowody myśli celowej w niej panującej; gdybym takowych nie był znalazł, byłbym sobie powiedział, że ta prawda, o której wiem z wiary, nie daje się, przynajmniej w obecnym stanie wiedzy, filozoficznie udowodnić — i byłbym na tem poprzestał. Wieleż to innych jest prawd wiary w tem położeniu! Ale wydało mi się, że objawy i dowody celowości, jakie daje natura, są więcej niż dostateczne; zestawilem i ugrupowałem dane empiryczne; wyprowadziłem z nich wnioski podług praw logicznych. — Jeśli mi zarzucą bądź pomyłki w faktach, bądź nieściśłość w wnioskach — będą to prawdziwie zarzuty przedmiotowe, mogące sprawę wyświecić. Ale jeśli mówią z góry, że moje dowody nie mogą być dobre, dlatego, że jakiegós w ogóle dogmatu się trzymam — to tego doprawdy brać na seryo nie można.

Ostatecznie, gdzież jest ten filozof, który bez żadnej metafizyki, bez żadnego poglądu na wszystko, do badania świata przystępuje? Jeżeli gdzie taki istnieje... to nie filozof, ani zdolny do filozofii; nie myślał on prawdziwie, nie patrzył badawczo w świat ani w siebie; ta ciekawość przyczyn, która, według Greków, rodzi filozofię, nie puściła nigdy korzenia w jego duszy. — Dajmy mu pokój, a zwróćmy się raczej do kwiatów i motyli, od których się więcej filozofii nauczymy.

Ks. M. Morawski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Przygotowawcze prace do wyborów we Francyi. — Amerykańska obrona spotwarzonego cara. — Sroższy ucisk Kościoła w Polsce. — Zgodniejsze z prawdą opisy moskiewskiej dyplomacyi. — Duchowieństwo w Bułgaryi.

PRZYGOTOWAW-
CZE PRACE
DO WYBORÓW
WE FRANCYI.

Matactwa dworu petersburskiego i polityczna kome-
dya, odgrywana w pałacu elizejskim, żeby podejść
wyborców, nie pośpiały zebrać zgubnych dla Kościoła
plonów z posiewu kłamstw. Jak bańka z mydła, przysła mrzonka,
którą dobrodusznie gonili zwiastunowie pogodnych dni dla Ko-
ścioła w Polsce: ich zapowiedziom szorstko zadały kłam nowe
ukazy prześladowcze. Także nad Sekwaną koła rządowe zajęły
względem polityki papieskiej nową postawę, wobec której już
każdy może przejrzeć, kto dotąd nie widział sideł, zastawionych
przez Carnota na katolików, żeby ci przy wyborach nie wydarli
steru władzy z rąk prześladowców Kościoła. Słowem, na obu
krańcach Europy wypadki w ubiegłym miesiącu zeszyły z krętych
manowców, któremi je prowadziła zdradziecka ręka przebiegłego
wolnomularstwa i greckiej obłudy: północny ciemieżyciel prze-
stał taić nienawiść dla katolicyzmu, na Zachodzie wróg otwarcie
szykuje oddziały do wolnej rozprawy z papieską polityką podczas
wyborów.

Chmury, zaciągnięte nad Francją, tem groźniej wyglądają, im bliżej nadchodzi czas walki wyborczej. Każdy dzień odkrywa nowy szaniec, którym rząd ubezpieczył swoje stanowisko, a krzewiciele hasła Leona XIII. więcej mówią o swoich nadziejach przyszłych, aniżeli pokazują roboty już dokonanej pomyślnie. Dotychczas nie umieli stanąć zgodnym obozem pod jednym dowódcą. Najbitniejszą garstkę prowadzi z rycerskim zapalem hr. de Mun, ale dotąd zwolenników zebrał niewielu, a i tych nie umiał sprzedać do zgody. Nawet *Univers*, główne pismo tego stronnictwa, donosi o rozterce w łonie własnej redakcyi. Najstarsi redaktorzy tego dziennika, Roussel i Loth, nie dzielili poglądów redaktora naczelnego, Eugeniusza Veuillota, na politykę Leona XIII., odmówili dalszego współpracownictwa i zamierzają utworzyć nowe pismo: *La Verité*, w duchu, jak twierdzą, Ludwika Veuillota. *La Gazette de France* dodaje, że to nie jedyny objaw rozstroju w tym obozie. Innych zwolenników polityki Leona XIII. prowadzi poseł Piou, który w niektórych oczach uchodzi za dzielnego obrońcę Kościoła, prawie jakby za francuskiego Windthorsta. Czem zasłużył na taką cześć, trudno to pojąć, jeżeli niedawno, wobec pełnej Izby odrzucił, jakby obelgę, nazwę przywódcy teokratów, a na wzmiankę o ustawie wojskowej oświadczył, że gdyby do obrad nad nią jeszcze raz przyszło, pierwszy głosowałby za poborem kleryków do wojska. Ten Piou stanął teraz na czele wydziału, wybranego z pośród członków prawicy do prac przedwyborczych; za towarzyszków ma księcia Arenberga, generała Frescheville'a, Leroy-Beaulieu'go i Maguarda, redaktora *Figara*. Ten więc dziennik służyć będzie stronnictwu za pismo urzędowe, tem bardziej, że przewyższa liczbą czytelników inne pisma zachowawcze, gotowe także do usług stronnictwa, jak: *Petit Moniteur*, albo *Observateur catholique*. Ale nie wszystko za tem przemawia, że *Figaro* odpowie nadziejom prawicy: ogół jego czytelników należy do świata, który pędzi życie wygodnie, a nieraz bezmyślnie... Czy Francją znajdzie między nimi ludzi wytrawnych i gotowych z mozołem pracować dla uczciwej rzeczypospolitej?

Kiedy praca obozów katolickich postępuje chwiejnym kro-

kiem, tymczasem potężny rząd, z którym te obozy chcą pójść w zapasy, nie czeka na nich z założonemi bezczynnie rękoma. Powiernicy tajemnic Carnota niezbyt kryją jego zabiegi, żeby wprowadzić gromadnie do przyszłej Izby wszystkich posłów teraźniejszych, których głos powszechny, a po części i sądowe dowody obwiniają o udział w przekupstwach panamskich. Prefekt barski miał zdradzić przed socyalistą Cluseret'em, iż dostał rozkaz, żeby za każdą cenę zapewnił poselskie krzesło Clemenceau'wi. Dupuis użył wygodniejszej drogi: zamiast rozsyłać rozkazy do swoich podwładnych po całym kraju, od razu wszystkich wezwał do Paryża na swoją prelekcję, w której zamierzył im ustnie wyłuszczyć obowiązki urzędników względem zwierzchności.

Taki nacisk na sumienia oddaje w ręce rządu tysiące narzędzi ślepo uległych. Tego było jeszcze za mało. Mieszkańcy najdrobniejszych wiosek i przysiółków zdumieni spoglądają na zapał, z jakim ministrowie oświaty mnożą posady nauczycieli ludowych: nieraz dla kilkanaściorga dzieci staje osobna szkoła i zjeżdża gorliwy poplecznik zasad rządowych w osobie bakałarza. Któraś gmina przy wyborach głosowała jednomyślnie za konserwatystą. Przerażony prefekt ofuknął mera: „A to co znaczy? chyba tutaj niema szkoły i nauczyciela?”

Ale tych wszystkich swoich zauszników rząd musi zaopatrzyć środkami pieniężnymi do walki. Usłużna Izba wzięła ten ciężar na siebie tak zręcznie, że dopiero dziś wyborcy zrozumieli, dlaczego ich zaufani posłowie podczas rozpraw budżetowych kilka razy hojną ręką sypali ich pieniędzmi i nierzadko wyznaczali na potrzeby kraju wydatki znacznie wyższe, aniżeli żądali sami wnioskodawcy. Ten niespodziewany dochód państwa miał dorósć do pokaźnych rozmiarów: do dziesięciu milionów franków.

Tyloma środkami obrony zaopatrzony rząd spokojnie czeka napastnika; stacza także drobne potyczki przy wyborach zastępczych albo miejskich i przeprowadza je raz po raz po swojej myśli, a przejednani i zachowawcy ledwo wyjątkowo przechodzą. Ostatnim znowu pomieszał szyki najświeższy okólnik hr. Paryża, wyzyskany przez rząd, żeby zatrzeć na udaną trwogę i wezwać

kraj do obrony rzeczypospolitej przed zamachem monarchistów jawnych i tajnych: tajnymi mają być właśnie legitymiści ulegli wskazówkom Leona XIII. Żeby im przegrodzić wszelkie drogi, Perier obiecuje im wolny wstęp do Izby poselskiej, jeżeli przyrzekną nietylko sprzyjać rzeczypospolitej, ale także jej mężnie bronić przed spiskami i wpływami monarchistów.

Wątpić można, czy w takim stanie rzeczy błysnie dzień rychłych zwycięstw dla ucziwych ludzi, szczególnie dla wiernych synów Kościoła. Podziwiać ich trzeba, że dotąd nie tracą nadziei, przeciwnie, zapewniają, że już ich sprawa bierze górę, że nawet niewiara widocznie słabnie we Francyi. Na dowód, przytaczają opisy namiętnych wybuchów nienawiści katolicyzmu! Jeden z nich pisze z Paryża do *Moniteur de Rome*: „Byłby to wielki błąd wystawiać sobie, iż niektóre zajścia burzliwe są złowrogą wróżbą. Niezawodnie, pod pewnym względem trzeba opłakiwać taki wypadek, jaki zaszedł w Saint-Denis, ale wrogowie nasi przez swój gniew zaciekle i zwierzęcy złożyli świadectwo, że nasza sprawa stanowi niespożytą potęgę. Nie ulegliby szalowi w tym stopniu ani nie rzuciliby się na wiernych w świątyni, gdyby nie spostrzegli Potęgi, która może przerósć ich i zgnieść. Czują niebezpieczeństwo ze strony wiary, która usypiała tylko, kiedy ją brali za martwą. Ich przerażenie, które nam dodaje odwagi, więcej znaczy, aniżeli ich złość“.

Jeszcze nie złamany na duchu Francuz umie pogodnie spoglądać na niebo powleczone zbitemi kłębami chmur... czy długo zdoła krzepić myśli dobrą otuchą?.. Prawda, że nad jego ojczyzną burza jeszcze nie szaleje; dopiero po wyborach młot i kielnia, jeżeli zwyciężą, uzbroją mściwe ręce na zagładę chrześcijaństwa. Pod berłem samodzierżcy nikt już nie roi sobie nadziei o dniu pogodnym; nowe ukazy uczą, że przeszła doba udawanej przyjaźni.

Skądże zawiął nagle ten nowy chłód dla Watykanu w sercu Aleksandra III., który do niedawna zbierał tyle pochwał w omamionych albo przekupnych pismach zachodnich? Nienasycony wawrzynami europejskimi, zastawiał sieci także na amerykańskie

pisma katolickie: i stamtąd szły na jego czoło wieńce za zasługi względem Kościoła Powszechnego!

Poważny dziennik: *New-York Freeman's Journal and AMERYKAŃSKA CATHOLIC REGISTER*, postanowił rozstrzygnąć sprawę między pismami zachodnio-europejskimi a polskimi, które pod wpływem „narodowościowej przesady“ czernią swoich nieprzyjaciół, i umieszczał jedną po drugiej rozprawę pod napisem: „Rzeczywisty stan Rosyi“, „Nie taki czarny, jak malują“, i t. d. Te opisy, kreślone oczywiście na podstawie źródeł „najwiarogodniejszych“, nie z posłuchów, tylko „ze spostrzeżeń i badań odbytych na miejscu“, słowem, te „rzetelne świadectwa i niezbite szczegóły“, dowodzą, że „najmniejszej podstawy nie ma potworne pojęcie o carze, jako o zagorzałym i samowolnym fanatyku w sprawach wyznaniowych... Tysiące i miliony w jego państwie nie należą do kościoła odszczepionego, a z wszelką swobodą wyznają swoją wiarę... Słyszymy o prześladowanych Żydach i katolikach w Polsce, ale ci nie za wiarę cierpią... Niewątpliwie i stanowczo car bynajmniej nie żywi uczuć nieprzychylnych względem Kościoła Powszechnego“... i t. d.

Gdyby te brednie nie brzmiały za Atlantykiem temi prawie samemi słowami, w jakich pisma greckie i włoskie mającą o swobodzie Kościoła pod berłem knuta, w takim razie możnaby je przypisać nieuctwu dziennikarza, który może sobie pisać dla dzikich Indyan. Ale teraz zbyt wyraźnie jedno piętno tkwi na podobnych opisach z obu półkul świata, żeby szczerzy przypadek podsuswał wszystkim nieukom zgodną myśl na obronę niewinnie czernionego cara. Widocznie daleko sięgają zamiary naszych ciemniejszych, jeżeli na krańcach świata zawczasu przygotowują obojętnych widzów naszego ucisku. Do czegoż zmierzają? Myślą w katakumbach pogrzebać Kościół polski? To sobie gotują po rażkę, bo w katakumbach Kościół zwyciężał cesarzów.

SROŻSZY
UCISK KOŚCIOŁA
W POLSCE.

Nagle ucichły wszelkie wiadomości o nowych wybiegach, żeby pokryć zgubne zamiary. Wypadki nad Nową przez jakiś czas coraz ociężalej stawiały krok

każdy, jak gdyby miały już stanąć na odpoczynek przed burzą. Nie długo trwała cisza. Oczekiwany wybuch nastąpił już, tem sroższy, im dłużej tłumiony.

Najprzód znienacka, w angielskim *Review of Reviews*, ogłosił Pobiedonoscew, że ks. Vanutelli mylnie przedstawił jego myśli i słowa, wypowiedziane jakoby w duchu zgody z Rzymem. Taki zarzut nie mógł jeszcze bardzo zdziwić nikogo, kto zna bliższe szczegóły o życiu i pismach ks. Vanutellego. Ten imiennik dwóch kardynałów, wyrzucony z Zakonu kaznodziejskiego, nie obrabia pola pracy kapłańskiej, tylko w zawodzie pisarskim pracuje na chleb. Do poczytnego działu piśmiennictwa należą teraz we Włoszech barwne opisy przygód podróżnych. Na to źródło dochodów zwrócił oko ks. Vanutelli i dogadza smakowi ludowych czytelników ciekawymi obrazkami krajów, które zwiedza i opisuje w świetle zapożyczonem, niestety, z bujnej wyobraźni. Dlatego te utwory bawią prostaczków, ale nawet jego własni rodacy z warstw oświeconych nie cenią wyrobów jego pióra. Za miarę jego miłości prawdy może służyć szczegół, że dla większej powagi chce uchodzić za zakonnika i oszukuje świat głoskami O. P., dopisywanemi bezprawnie do swojego nazwiska na książkach. Kto znał tego człowieka, temu protest Pobiedonoscewa nie sprawił niespodzianki, chyba jako dowód, że nad synodem powiał inny wiatr, jeżeli jego naczelnik za tę samą książkę raz dziękuje, jako za bezstronny opis prawdy, potem najważniejszym ustępem przed całym światem zadaje kłam.

Istotnie powiał nowy wiatr: zamiast przyjacielskich uściśków, poszły długim rzędem objawy uczuć teraz już niekłamanych. Kościół w Czarno-Kozińcach zamknięty; dla donosów podpalacza, seminaryum i kościół w Kielcach zajadłe przetrzāsane, klerycy rozpedzeni, nauczyciele oddani na pastwę cytadeli i wygnanie; biskup obłożony chorobą ze zgryzoty; gdzieindziej przepisy, jaką przysługę duchowną wolno księżom wykonywać po kościołach i kaplicach; najsurowszemi karami zagrożone duchowienstwo, jeżeli pop je oskarży, że jego owieczkę do siebie dopuściło, choćby bezwiednie; rozrywane katolickie stadła małżeńskie za to, że przodek któregoś z małżonków w przeszłym wieku

dostał chrzest od księdza unickiego; nawet pogrzeb wstrzymany dlatego, że nieboszczka miała być kiedyś w cerkwi chrzczoną; nakoniec inne wypadki, jeszcze groźniejsze, choć niezupełnie dotąd stwierdzone; — to wszystko demaskuje kocią politykę Izwołskiego i łatwowierność tych, którzy dawali się przez niego durzyć.

ZGODNIEJSZE
Z PRAWDĄ OPISY
MOSKIEWSKIEJ
DYPLOMACYI.

Na widok tej rozpetanej nienawiści dla Kościoła, przecierają sobie oczy dziennikarze, którzy teraz mogą sobie samym powiedzieć, że właśnie ich opisy przyjaźni Aleksandra III. dla Leona XIII., należą do płodów rozbujającego marzycielstwa. Skąd spadł na nas najboleśniejszy zarzut, że Polska cierpi za nieokielznany pochop do ruchawek politycznych, nie za wierność dla Stolicy Apostolskiej, stąd dolatują już głosy trzeźwiesze. Przedtem sam *Moniteur de Rome* wierzył w Petersburg i stawał w jego obronie przed polskimi „potwarzami“; teraz przestrzega rząd włoski przed „łapczywym gabinetem“ Aleksandra III. i przed odwiedzinami W. ks. Włodzimierza, jakoby wysłanego do Kwirynału, „żeby z przebiegłością dyplomacyi moskiewskiej wydarł ustępstwa niekorzystne dla państwa włoskiego“.

Diritto di Roma nie lubi półgębkiem bronić prawdy: z podniesioną przyłbicą napada na „systematyczne oszustwa“ rządu, który usiłuje zwieść nawet Stolicę świętą kłamliwemi zapewnieniami o tolerancyi, podróżami Wielkich Księżąt i podarkami do kościołów rzymskich, a równocześnie grabi katolickie kościoły w Polsce. Rycerska postawa tego tygodnika podziałała dobrze na umysły we Włoszech. Na czele innych pism stanęła *Unità cattolica*, żeby zdobyć rzetelne wiadomości o naszych stosunkach, i znalazła w Krakowie wprawne pióro, które jej stale zdaje sprawę z niedoli spotwarzanego narodu.

W zawody z katolickimi pismami stanęła bułgarska *Свобода* i zrećnie zestawia postęпки dwulicowego rządu. Między innemi podnosi zasłonę z petersburskiej pracy w Bośni i Hercegowinie. Już od kilkunastu miesięcy mają tam przybysze z Północy krzewić wiernopoddańcze uczucia dla samodzierżcy. „Nie trzeba wymieniać — dodaje pismo sofjskie — głównych środków propagandy rosyjskiej: bezczelnych baśni i wierutnych kłamstw; znamy

rosyjskie zwyczaje aż do przesytu⁴. Na znak dany przez Московскія Вѣдомости, inne dzienniki podniosły płacziwe jęki i zgrzytały zębami na ucisk prawosławia pod berłem austriackiem. Najjaskrawszym tego dowodem miały być księgi cerkiewne, wydane przez schyzmatyckie duchowieństwo bośniackie. Sam patriarcha carogrodzki nie widział w nich nic groźnego dla swego kościoła, potwierdził je i zalecił do użytku. Serbscy odszepieńcy witali je bardzo chętnie, ani nikt nie dostrzegł różnicy żadnej między niemi, a wydawanemi w Moskwie i Ławrze, prócz jednej jedynej: Bośniacy opuścili modlitwę za Aleksandra III.! Na widok takiego odstępstwa od istotnego ducha prawosławia, pisma panslawistyczne rozpaczliwie zaklinały wiernych, żeby posyłali cerkiewne księgi, wydawane przez synod, przytem szaty, naczynia i datki dla duchowieństwa bośniackiego, w którym wiara prawdziwa wydaje ostatnie tchnienie pod jarzmem przemożnego katolicyzmu. Tego było za wiele dla dostojników cerkwi bośniackiej. Władcy i metropolici podnieśli urzędowo protest przeciw opiece synodu i nazwali jednym kłamstwem i oszczerstwem wszystkie lży nad smutnym stanem ich cerkwi.

„Jakże pogodzić — uważa bułgarski dziennik — ojcowską troskę o rozwój carskiego prawosławia na półwyspie Bałkańskim, z ręką wyciągniętą przyjaźnie do Ojca świętego, Leona XIII., z nieczemną mową Izwołskiego (którą ogłosił *Przegląd lwowski*), albo z radą, którą niedawno dał jeden z najpoważniejszych dzienników petersburskich swojemu rządowi, żeby poparł ruch katolicki na Węgrzech przeciw Wekerlemu, jeżeli dojdzie tam do walki wyznaniowej? Jakże to pogodzić?... Jedyne logiką szalbierzy i faryzeuszów!“

DUCHOWIEŃSTWO
W BUŁGARYI.

Te słowa gorzkiej prawdy musiały przekonać Moskiewskie dzienniki, że krzewiciele panslawizmu darmo przelewają pot nad jałową rolą w Bułgarii. Ubolewa nad tem ks. Meszczerski i oświadcza, że niepowetowanym błędem było dać Bułgarii konstytucyę, a jeszcze zgubniejszą pomyłką uwolnić ją z pod posłuszeństwa ekumenicznemu patriarsze. Narzeka dalej, że bułgarskiego narodu właściwie nie można było nigdy

uważać za prawowierny: rządzą nim pseudo-liberały i nihilisci. Dowodzić tego ma Търновска Конституция, urzędowe pismo niedyś Karawelowa, które nazywało prawosławie anachronizmem i szydziło z „uczonych głupców, jacy, na hańbę nowoczesnej oświaty, przyjmują święcenia duchowne“. Można oczekiwać, utyskuje dalej Гражданинъ, że niższe duchowieństwo wyda wielu zdrajców prawosławia; prócz nich wielu członków Sobrania w zasadzie przyzwala na myśl o kościelnej jedności z Rzymem, jako na środek, który zabezpieczy niezależność i samodzielność narodu. Na tych danych oparty zwolennik Katkowa przepowiada, że bułgarski naród puści mimo uszu petersburskie przestrogi przed nieszczęściami, jakimi grozi krajowi katolicka dynastia w Sofii.

Свобода nazywa prawdziwemi te poglądy kniazia Meszczerkiego, ale sama nie zdradza najmniejszej chęci do bliższych stosunków z Rzymem. Nie powstaje także przeciw nim wyraźnie; stwierdza, że pogłoski o zamiarach zgody chodzą i niepokoją egzarchę, który w swoim dzienniku Новини walczy przeciw prawdowi tej zgody z Rzymem. Egzarcha zaręcza, że „rządy papieskie ujęłyby powagi duchowieństwu i wytworzyłyby cerkiew polityczną, a prawosławie przeciwnie, istnieje jako społeczeństwo wiernych i nie więcej, w politykę nie zachodzi, nie zważa na ruchy społeczne... polityka i społeczne swary i walki, to pojęcia zupełnie obce duchowi prawosławia“. Na to organ Stambułowa: „jacyż bylibyśmy szczęśliwi, gdyby egzarcha pisał prawdę, zamiast kłamstw niegodnych jego stanu! Cóż mówi kilkunastoletni widok dziejów samorządu bułgarskiego? do czego niższe i wyższe duchowieństwo pcha lud, jeżeli nie do rokoszu? czemuż egzarchia wydaje pismo polityczne i po co sam egzarcha codzień odwiedza Nelidowa?“ W dłuższej potem rozprawie cięty Bułgar wywraca na nice dowody za prawosławiem, ale zawsze oględny, nie mówi słowa za powrotem pod rządy Stolicy Apostolskiej. Bądź co bądź widać, że myśl unii kiełkuje w Bułgarii.

Charakterystyczne w tej mierze uwagi zapisują petersburskie Новости:

„Rzymski papież Leon XIII. używa w Europie powszechnej

sławy, jako wybitny czynnik polityczny. Jego polityka względem Francji i trójprzymierza kazała także wrogom papieżstwa przyznać wielkie znaczenie rzymskiemu arcykapłanowi.

„Ale nie trzeba mniemać, żeby Leon XIII. uniesiony polityką, zapomniał o swoich obowiązkach względem Kościoła. Przeciwnie, niedawno jeszcze działał nader sprężysto w zatargu z węgierskim rządem z powodu mieszanych ślubów. Nie zapomniała Jego Świątobliwość ani o zasadniczym posłannictwie papieżstwa: o zjednoczeniu wszystkich kościołów chrześcijańskich pod władzę rzymskiej kuryi. Być może, że w tym zakresie działał więcej, aniżeli którykolwiek z jego poprzedników.

„Nieszczęściem, Leon XIII. pod tym względem, niczego nie zapomniał ani niczego nie nauczył się. Giętszy polityk od Piusa IX., istotnie dąży do jednakowej przewagi nad innowiercami. Chce zjednoczyć kościoły, ale nie tak, jak o to modli się cerkiew prawosławna. Dąży do władzy nad prawosławnym Wschodem jako nieomylny pasterz.

„Takich zamysłów papieżstwa, niebezpiecznych dla kościelnej swobody świata, nie można usprawiedliwić. Przeciwnie, więcej aniżeli kiedykolwiek, teraz należy z nimi walczyć. Jeżeli żadne państwo nie może obojętnie spoglądać na zabiegi każdego innego państwa o władzę nad całym światem, to tem słuszniej trzeba powiedzieć, że żaden kościół nie może wyciągać ręki do zgody z Kościołem rzymskim pod zwierzchnictwem papieża.

„Czasopismo *Orient* znowu porusza pytanie o zjednoczeniu kościołów. To pismo przypuszcza, że do tej jedności dojść łatwo, jeżeli rzymska kurya, zamiast wzywać pojedynczych wyznawców nauki greckiej na łono Kościoła rzymsko-katolickiego, wejdzie w tej sprawie w bezpośrednie układy ze wschodnimi patriarchami i synodami, między temi także z rosyjskim św. synodem. Ale oczywiście inaczej w rzeczywistości wygląda sprawa, aniżeli ją lekkomyślnie rozwiązują dzienniki. Papieskiego dogmatu o nieomylności, tej podwaliny całego Kościoła rzymsko-katolickiego, nie mogą przyjąć prawosławne cerkwie, więc nie można już mówić o zjednoczeniu kościołów. Wschodnie cerkwie uznają powagę tylko powszechnych i miejscowych soborów, a odrzucają

zasadę papieskiej władzy osobistej i nieomyłnej. W tej mierze zgoda niemożliwa. Czy trzeba jeszcze mówić o dogmatycznych i obrzędowych różnicach!

„Na szkodę całego świata, Kościół rzymski usiłuje przemocą wchodzić we wszystkie zakątki życia narodów: państwowego, społecznego i domowego. Europejskie państwa wschodnie zbyt wiele straciły na rzymskiej teokracji, która wgląda we wszystko i dławi każdego; nie można żądać nowych strat od narodów wschodnich, szczególnie słowiańskich, pozostałych wiernie przy grecko-wschodniej cerkwi prawosławnej. Nasza cerkiew prawosławna istnieje jako społeczeństwo wiernych i nic więcej, w politykę nie zachodzi, nie zważa na ruchy społeczne. Po cóż jej nawiązywać stosunki ze społeczeństwem, w którym inne, obce prądy, w którym polityka panuje nad wszystkim?”

„Dlatego to, choć oddajemy należny hołd czynom rzymskiego papieża Leona XIII. i cenimy w nim wybitny czynnik polityczny, mimo to najzupełniej stanowczo winniśmy odrzucić myśl o zjednoczeniu kościołów, jako zgubną i szkodliwą dla obyczajnej i wyznaniowej swobody chrześcijańskich narodów.

„Papieżstwo zdoła zjednoczyć kościoły tylko wtenczas, kiedy zerwie ze swojemi tradycjami i odrzuci myśl o wszechwładzy, kiedy ujrzymy rzymski Kościół więcej uduchowiony a mniej spoganiały.

„Leon XIII., to raczej świecki mocarz, chociaż bez państwa, aniżeli duchowny; dla niego sama myśl o wschodnim świecie prawosławnym podległym jego berłu, to tylko nowy oręż do walki o świecką władzę; w tem świetle można zrozumieć jego stosunki do Francji. Ale wschodnie cerkwie prawosławne do takiej wszechwładzy świeckiej nie dążą, zadowolnione swoim stanem, i można niezawodnie powiedzieć, że żadna z nich nie zechce powtórzyć smutnego widowiska, jakie wyprawiała unia litewska“.

Tak mówią *Новости*; inaczej mówi sama Prawda, która przepowiada chrześcijaństwu królestwo Boże w jednej owczarni, pod jednym pasterzem.

Wydział kongresów religijnych i kongres katolików na wystawie w Chicago.

W styczniu b. r. podając w *Czasie* opis kongresów naukowych, mających się odbyć w Chicago od maja do października, nadmienilem, że jeżeli otrzymam dosyć materyałów dotyczących organizacyi i celów departamentu religij, naówczas postaram się napisać o tem wyłączny artykuł. Obecnie, gdy już otrzymałem szczegółowy program ogólnych posiedzeń tego wydziału, a nadto niezwykle piękną odezwę arcybiskupa katolickiego ks. Feehana, wzywającą wiernych na kongres do Chicago, sądzę, iż mogę przystąpić do zapowiedzianego opisu.

Na czele tego wydziału stoi komitet, w skład którego wchodzi: jedenastu duchownych protestanckich rozmaitych wyznań, dwóch biskupów protestanckich, arcybiskup katolicki Feehan, kwakier i rabin. Pod tym zaś komitetem, niezależnie wprowadzie od niego co do wewnętrznego organizowania się, lecz w każdym razie w jego zawiadywaniu, stoi dwadzieścia pięć (tak było w marcu 1892 r., do dziś, być może, jeszcze w większej liczbie) komitetów rozmaitych wyznań i kilka instytucyj religijnych, przygotowujących swoje wyłączne kongresy. Generalny komitet zadanie swoje i cel, do którego dąży, wyłożył w następujących słowach: „Połączyć usiłowania wszystkich religij w walce przeciwko bezreligii; prawo Boże położyć za podstawę temu połączeniu się; pokazać światu na religijnym kongresie 1893 r., ile wspólnych a zasadniczych stron mają wszystkie religie w dobrych uczynkach i w religijnem życiu; zorganizować powszechny kongres religij, na którymby mogła być wykazana i określona ogólna zasada tego połączenia się, a także przedstawiony rozwój religijny w XIX. wieku; ostatecznie ułatwić zebranie się wyłącznych kongresów rozmaitych wyznań i organizacyj religijnych, gdzieby one mogły niezależnie prowadzić o swoich sprawach obrady“. Szereg głównych tez postawionych przez jeneralny komitet jest następujący:

- 1) Idea Boga i jej zbawienny wpływ.
- 2) Dowody istności Boga te szczególnie, które mogą być postawione w przeciwieństwie z dzisiejszym agnostycyzmem (Teorya Buxley'a).
- 3) Bóg w duszę każdego człowieka wszczepił to poczucie, iż On jest, i Jemu należy się cześć i posłuszeństwo; lecz jako promieniami słońca jedne przedmioty mniej, drugie więcej są oświecone, tak również i dusze ludzkie jedne są mniej, drugie więcej zdolne do przyjęcia Bożego objawienia, a stąd wynikły różnice religij.

4) „Bóg się na osoby nie ogląda“ (*God is no Respecter of Persons*), „ale w każdym narodzie, kto się Go boi a czyni sprawiedliwość, jest Jemu przyjemnym“.

5) Ci, którzy w to wierzą, mogą wspólnie pracować w sprawie dobra ludzkości bez względu na różnicę swych pojęć o Bogu i Jego objawieniu, a tego rodzaju braterstwo nie wymaga zrzeczenia się ich wyznaniowych różnic. Chrześcijanin wierzący w bóstwo Chrystusa, może być w tym związku z Żydem wierzącym gorąco w Jehowę izraelskiego, kwakier z protestantem anglikańskim, katolik z metodystą, baptysta z unitaryaninem i t. d.

6) Sumienie nie jest pewnym przewodnikiem, jeżeli go nie oświeca religia i nie kieruje zdrowy rozsądek.

7) Prawom moralności należy się posłuszeństwo, bo one są wołą Stwórcy i to jest koniecznym dla szczęścia ludzkości.

8) Religia wpływa na rodzinę, czyniąc jej życie cnotliwem i czystem; na byt gminy, wprowadzając sprawiedliwość, zgodę i podnosząc ogólny dobrobyt; na państwo, wyplenając występki i nierząd wszelkiego rodzaju a podnosząc bezpieczeństwo i szczęście narodu.

9) Święcenie jednego dnia w tygodniu jest koniecznym warunkiem religijnej swobody i dobrobytu ludowego.

10) Statystyka kościołów, jako obraz współczesnego stanu religii, a odpowiedź na wrzekomy rozwój niewiary.

11) Zgoda nauki i religii w dzisiejszym czasie, a źródło i istota ich pozornej sprzeczności.

12) Wpływ religii na literaturę i sztukę.

13) Tryumf religii po wszystkie czasy.

14) Przyszła jedność rodu ludzkiego w służbie Boga i ludzkości.

Przy końcu tej pierwszej odezwy jeneralnego komitetu, wydanej w styczniu 1892 r., znajdujemy następujące uwagi: „Zadaniem tego kongresu nie ma być usiłowanie ku wytworzeniu jakiejś indyferentnej mieszaniny wszystkich religij świata. Niech tylko szczerzy wyznawcy a najwyższej powagi przedstawiciele rozmaitych religij zejdą się razem i niech na tem przyjacielskiem zgromadzeniu wypowiedzą z całą swobodą to, co dla nich jest najwyższą prawdą, w czym i jak ludzkość ma się doskonalić, jakie światło winna dać religia ku rozwiązaniu najwyższych zadań naszego wieku, pracy, wychowania, stosunków społecznych“ i t. d.

Odezwa ta, opatrzona podpisami wszystkich członków jeneralnego komitetu.

W marcu 1892 r. prezes wydziału, prezbiterański duchowny Barrows, podaje pierwszy raport prezesowi *Auxiliary*, p. Charles Bonney, z dotychczasowych czynności departamentu. Z ogromnej korespondencji, która już naówczas wpłynęła była do sekretaryatu d-ra Barrows, podane są wyjątki z 85 listów pierwszorzędných ludzi stanu duchownego i świeckiego wszystkich niemal wyznań i ze wszystkich stron świata. Do organizacji przystąpili: kardynał Gibbons z Baltimore, arcybiskup Ireland z Minesota, arcybiskup Ryan z Filadelfii, biskup John J. Keane, prezydent katolickiego uniwersytetu w Waszyngtonie, a nadto trzydziestu biskupów protestanckich¹.

Kardynał Gibbons tak pisze: „Sądząc wedle treści pierwszej odezwy jeneralnego komitetu, uznaję, iż dążenia wasze zasługują na wszelkie poparcie i pochwały. To pewna, iż kongres ludzi najwyższej powagi, zebranych razem na to, by wypowiedzieli: w czym i jak ludzkość ma się doskonalić, jakie światło winna dać religia ku rozwiązaniu najwyższych zadań naszego wieku... nie może pozostać bez zbawiennych skutków. Cieszę się bardzo wiadomością, iż projekt religijnego kongresu w Chicago 1893 roku zyskał wielką sympatyę i że w skład jego organizacji weszli ludzie najpierwszej powagi naszego kraju i obcych ziem. Ten kongres, jeżeli będzie prowadzony z umiarkowaniem a dobrą wolą, to Bóg go pobłogosławi, a skutki jego sięgną dalej, niż dzisiaj tego spodziewać się mogą umysły najbardziej do złudzeń skłonne“.

Z tegoż raportu dowiadujemy się, że George Washburn, prezydent Robert-College w Konstantynopolu, zajął się wysłaniem delegatów wschodniego Kościoła z Armenii, Aten, Konstantynopola i Petersburga. Ksiądz Wherry, rodem z Chicago, a mieszkający w Madurze, robi też same zabiegi w Indyach między mahometanami, braminami, Persami i chrześcijanami z tuziemców. Aleksander Tison, prezydent szkoły prawniczej w Tokio donosi, iż na kongres przybędzie Bungin-Nanjio, kapłan buddystów, były uczeń Maxa Müllera w Oksfordzie, i podaje jeszcze kilku buddystów, którzyby chętnie przybyli na kongres, gdyby zostali powołani.

Justice Ameer Ali, muzułmanin, autor bardzo ważnego dzieła: *The spirit of Islam*, mieszkaniec Kalkuty, ogłosił wezwanie przysłane od departamentu w miejscowych czasopismach i gotuje się wziąć osobisty udział w kongresie.

¹ W tej liczbie jest, być może, niejeden katolicki biskup, lecz przy nazwisku i tytule nie było żadnej innej wzmianki.

Raport kończy się powtórzeniem głównych tez kongresowych, jak również zasady, na której ten kongres stać powinien. Mowcy wezwani przez komitet zechcą z największą swobodą wypowiedzieć swą wiarę i jej uzasadnienie, jednakże powstrzymają się od wszelakiej krytyki innych religij. Zgromadzenie to nie ma na celu żadnych kontrowersyj, głosowań lub uchwalania wniosków. Ranek ma być poświęcony modlitwom, religijnym obrządkom lub wyłącznym zgromadzeniom należącym do każdego wyznania. Komitet złożony z 30 pań, należących do 15 wyznań, przyjął na siebie obowiązek starać się o to, by w dni świąteczne ich współwyznawcy mieli sposobność wziąć udział w nabożeństwie wedle swego wyznania i byli powiadomieni, kiedy i dokąd mają się udać w tym celu.

Raport zamyka się przypomnieniem listu kard. Gibbonsa: „Wedle tego jak sprawa się rozwija, wierzymy przepowiedniom kard. Gibbona, iż rzeczywistość przejdzie wszelkie przed niedawnym jeszcze czasem najbardziej wygórowane nadzieje“. Następują podpisy d-ra Barrows i komitetu.

W lutym 1893 r. wydał komitet prowizoryczny program konferencyj, które mają trwać siedemnaście dni, od 11—27 września. Ponieważ ten dokument (drukowany *pagina fracta*), komitet generalny uważa za korespondencję prywatną, żąda bowiem by ci, którym on został przysłany, dopisali na nim swoje uwagi i odesłali napowrót; a nadto, ponieważ są to tylko obszerniej wyłożone powyżej już wspomniane tezy; robię więc tylko ogólną wzmiankę, iż cały dzień ma być poświęcony pierwszej tezie: idei Boga i historii jej rozwoju od najdawniejszych czasów aż do dni dzisiejszych. Dzień drugi ma być znów poświęcony człowiekowi pod względem filozoficznym i historycznym. Pięć dni będą trwały rozprawy nad pojęciem religii jako związku Boga i człowieka, i nad rozwojem historycznym rozmaitych kreacyj religijnych. Pięć dni będzie poświęconych wpływowi religii na naukę, sztukę, rodzinę, gminę i państwo; pozostałe dni poświęcone będą wykazaniu możliwych dróg, ku połączeniu się religijnemu najpierw wszystkich chrześcijańskich wyznań, a następnie i całej ludzkości. Podpisany cały komitet.

Przechodzę ostatecznie do odezwy ks. arcybiskupa Feehana do katolików Ameryki, a względnie do katolików całego świata, wysłanej w lutym 1893 r. Po wstępie omawiającym znaczenie wystawy i połączonego z nią wszechświatowego kongresu *Auxiliary*, przemawia w te słowa: „Zadaniem tych kongresów ma być przedstawienie działalności

myśli ludzkiej, w sprawie dobrobytu, zjednoczenia i uszczęśliwienia naszego rodu. Ze wszystkich względów katolicy winni wziąć udział w tej wielkiej uroczystości, poświęconej pamięci Kolumba. Nasz Ojciec św. Leon XIII., wyraził najwyższe zajęcie się sprawą wystawy i połączonych z nią prac innego rodzaju. Odkrycie Nowego świata, ów fakt historyczny, tak wielkiej doniosłości dla każdego człowieka, dla nas katolików ma jeszcze wyłączone znaczenie, on jest chwałą naszą. Wielki marynarz z Genui był prawym katolikiem a gorącej wiary mężem. Ta to wiara jego i chęć gorliwa niesienia chwały Imienia Bożego w najdalsze obszary ziemi, natchnęła go myślą tej podróży, dała mu odwagę i siłę zwalczyć wszystkie trudności, a możliwość jej dokonania daną była ręką szczodroblivej Izabelli katolickiej, która pojęła tę myśl poczętą z natchnienia wiary. Któż może być więcej dumnym z tej sprawy, niż my katolicy, i mamy to światu powiedzieć przy oczekiwanej uroczystości“. Mówi następnie, że kongres katolików Stanów Zjednoczonych ma się zebrać w Chicago 4 września 1893 r. o godzinie 11 rano. Jego Eminencya kardynał Gibbons, arcybiskup Baltimory, przyjął honorową prezydenturę kongresu.

Z każdej dyecezyi lub wikaryatu ma być dziesięciu delegatów, a nadto każde 25.000 ludności ma prawo wysłać pięciu delegatów. Delegaci owi powinni otrzymać mandaty od biskupów lub ich wikaryuszów i złożyć takowe w komitecie organizacyjnym przed 1 sierpnia. Nadto katolickie uniwersytety, kolegia i seminaria wyszlą po dwóch delegatów z grona profesorów i po jednym delegacie z każdej setki uczniów zapisanych w bieżącym roku szkolnym. Katolicy z innych krajów będą najserdeczniej przyjęci, lecz powinni również przedłożyć komitetowi wierzytelne listy swoich biskupów. Podpisano: P. A. Feehan, arcybiskup Chicago, prezes komitetu. W. J. Onahan, sekretarz.

Program obrad dzieli się na trzy działy. Pierwszy jest poświęcony wspomnieniu Kolumba, Izabelli katolickiej, znaczeniu odkrycia Ameryki z punktu religijnego, i wpływowi katolicyzmu na rozwój historyczny Stanów Zjednoczonych. W drugiej części ma być roztrząsana sprawa socjalizmu „wedle encykliki Ojca Świętego Leona XIII.“. A więc punkt pierwszy: odczytanie encykliki; punkt drugi: prawa pracy a obowiązki kapitału; trzeci punkt: proletaryat i środki zaradcze; następnie inne bardziej specyalne punkta tejże sprawy; punkt dziesiąty: stan i przyszłość Indyan; punkt jedenasty: stan i przyszłość murzynów w Stanach Zjednoczonych; punkt dwunasty: praca kobiet.

Nadto jeszcze dwie dodatkowe tezy: katolickie wychowanie w Stanach Zjednoczonych i niezależność Stolicy świętej.

„Kongres nietylko zajmie się przedstawieniem obecnego stanu sprawy społecznej, lecz i drogę wskaże do jej załatwienia; bez tego zgromadzenie to nie miałoby żadnej powagi“... „Każdy czuje żywo, jak obecny stosunek pracy i kapitału jest niesprawiedliwy w zasadzie, a groźnym na przyszłość. Nasz Ojciec święty Leon XIII. wskazał drogę, po której iść powinniśmy. Oto teraz czas i dobra sposobność dla katolików naszego kraju, złożyć dowody swej gorącej wiary i umysłowej wyższości w rozwiązaniu zawikłanej sprawy“. Podpisano: William J. Onahan.

Na tym punkcie stoi w obecnej chwili sprawa powszechnego kongresu religij i kongresu katolików w Chicago w bieżącym roku.

Michał Żmigrodzki.

List z Rzymu o przyjęciu pielgrzymki polskiej.

Rzym 18 kwietnia.

Że Rzym chrześcijański święci obecnie w jubileuszu Leona XIII. jedno z najpiękniejszych swych zwycięstw, jest dziś rzeczą publicznie wyznawaną tak przez obóz nieprzyjazny, jak przez najwierniejszych obrońców papieżstwa. Trzeba być w Rzymie, oddychać atmosferą Wiecznego Miasta, ażeby w całej pełni doświadczyć subiektywnie rzeczywistości tego faktu. Powiadają, a nawet drukują, że tam jest jakieś królewiatko, które siedzi jako gość nieproszony w apostolskim Kwirynalskim pałacu, ale przyznać należy, iż chcąc niechcąc musi zachować *incognito*, gdyż olbrzym z Watykanu niezrównaną siłą swojego blasku wszystko przyćmiewa, że wszystko przy nim karłowacieje, coby nawet większe i szlachetniejsze posiadało tytuły. Niezbyt dawne są czasy, kiedy mówiono o europejskim koncercie państw i rządów sprzymierzonych. Dziś, my chrześcijanie możemy z większą słusnością mówić o koncercie, nie rządów, które niestety najczęściej nie przedstawiają, ale ludów, ale sumienia publicznego, które dzięki Bogu wśród ludów nie zamarło, i głośno przychodzi dopominać się swoich niepożytych praw, podnosi głos wielki, głos boleści znękaney duszy, domagającej się ratunku wśród wielkiej nędzy moralnej, którą sprowadziły bezbożne eksperymenta, dokonywane na żywym ciele ludzkości; jest to głos cier-

piącego dziecka, które w Namiestniku Chrystusowym nietylko widzi najświętsze prawa ojcostwa, ale czuje ciepło macierzyńskiego łona. Takim jest bez wątpienia Leon XIII., ten wielki papież, któremu Opatrzność w tych niesłychanie ciężkich czasach powierzyła losy całej ludzkości. Prawdą jest, iż Leon XIII. jest wielkim mężem stanu, że obdarzony jest wyższym umysłem, dzięki któremu obejmuje jednym rzutem oka całość dziwnie splecionych stosunków. Ale też prawdą jest, iż nie jest on tem tylko. Przy tych wszystkich nieocenionych przymiotach umysłu, któremi przechodzi współczesnych, jest On spadkobiercą Chrystusowej miłości. Gdyby miłość miała być wygnaną ze świata całego, schroniłaby się do serca papieży. Jeżeli Pius IX. zdawał się miłość w swem sercu doprowadzić do najwyższych granic, to przyznać trzeba, że Leon XIII. staje z nim jednakże do świętych zawodów. Polacy, którzy mieli szczęście stanąć u stóp tronu Leona XIII., mieli tego żywe, niezbite dowody.

Jeżeli dar wiary najwyższym jest skarbem, jeżeliśmy tego daru za łaską Bożą nie stracili, trzeba się jednakże uderzyć w piersi i wyznać z żalem, iż ilekroć w papieżstwie widzieliśmy ludzkie względy, ilekroć żywiliśmy nieuzasadnione obawy, tylekroć wykraczaliśmy przeciw nadprzyrodzonemu światłu wiary, któreśmy się winni kierować w ocenianiu tego, co od Chrystusowego Namiestnika pochodzi. On stoi na wyżynach, z których jaśniej i dalej widzi i obejmuje swym wzrokiem obszary niedościgłe dla nas. Interesy pojedynczych narodów przedstawiają się mu w świetle wiekuistej prawdy i w stosunku do ogólnych interesów ludzkości.

W pamiętnym dniu 14-go kwietnia 1893 roku, u stóp Chrystusowego Namiestnika, stanęła Polska z żywymi śladami swojej męczeńskiej historii, stanęła rozczłonkowana, jedna w myśli Bożej i w sercu Chrystusowego Namiestnika; do powszechnego koncertu ludów świata całego, przystąpił także lud polski. Po wspaniałych audyencyach, na których synowie bogatego Albionu składali u stóp Chrystusowego Następcy krocie tysięcy funtów szterlingów, a dzieci Zielonego Irenu uczucia wierności; po imponujących pielgrzymkach włoskich, na których prawi patryoci włoscy krociami tysięcy, pomimo przemocy masońskiej, złożyli prawdziwe głosowanie publiczne na rzecz świeckiej władzy — nadeszła kolej i na lud polski i na szlachtę polską, która też przyszła użyć swego prawa, którem się posługiwać nie może na drodze życia publicznego, przyszła okrzyknąć na ziemi

królem tego, który jako namiestnik Króla królów, jest źródłem wszelkiej władzy od Boga pochodzącej.

Od 8-mej godziny z rana, olbrzymie sale Watykanu, Konsystoryalna i Klementyńska, roiły się tłumem w różnobarwnych strojach. Według *Ossevatore Romano*, 800 osób uczestniczyło w polskiej pielgrzymce. Widziałeś tu wszystkie narodowe stroje polskiego ludu. Malownicze sukmany białe z czerwonym Krakusów i ich dzielne miny, które budziły ogólną ciekawość, obok kapot i szaraków. Potomkowie wielkich rodów polskich w kontuszach i żupanach. Książę Marcei Czartoryski, hr. Stanisław Tarnowski, książę Ferdynand Radziwiłł, że naprędce wspomnimy, których się w ciżbie dostrzedz dało. Najbardziej wszystkich uwagę zwracał na siebie swoją postawą i pięknym malowniczym strojem pan Sienicki z Krakowa. Sala Konsystoryalna nie mogła wszystkich pomieścić. Większość musiała pozostać w Klementyńskiej i oczekiwać, aż po przeczytaniu adresu Ojciec św. niesiony w lektyce ukaże się. O wpół do 10-tej ukazał się Ojciec św. niesiony w krześle, poprzedzony przez gwardyę szlachecką i szwajcarów, otoczony dworem, na czele którego jako *maestro della camera* znajdował się mgr. Caggiano de Azevedo, w towarzystwie kardynałów: Ledochowskiego, Vanutelli'ego, San Felice, Persico'a, Dunajewskiego. Postać Ojca św. jest w najwyższym stopniu charakterystyczna. Ciało tak niewiele, iż zdaje się że go zupełnie niema. Jeżeli o kim, to o Leonie XIII. można powiedzieć słowa św. Pawła: *Infirmus huius mundi elegit Deus ut confundat fortia*. Ciało to na pozór tak słabe, że aż strach bierze, zdaje się iż tylko słaba iskra życia je ożywia. Jednakże ta wątła powłoka, kryje nietylko największą na świecie siłę zasady, ale najpotężniejszy umysł, niezłomną energię woli, i najczulsze serce, gorejące świętym ogniem miłości Bożej. Za ukazaniem się Ojca św. wznosił się okrzyk niech żyje! po polsku. Kiedy zasiadł na tronie, Ksiądz Kardynał zbliżył się do tronu i czytał po francusku adres, który wasze dzienniki nie omieszkały już zapewne podać, wyrażający dziedziczną miłość i wierność Polaków, po przeczytaniu którego, mgr. Mery de Val, czytał w imieniu Ojca św. dziwnie piękną i mądrą odpowiedź, w której uczucie rzewnej miłości od początku do końca w sposób szczególny się wyrażało. Pewna liczba osób bliżej tronu stojących była przypuszczona do ucałowania ręki. Do każdego znalazł Ojciec św. słowa serdeczne i uprzejme. Wielce poufale ścisnął. Kiedy później był obnoszony po drugiej sali, każdego niemal głaskał, dla chłopków i maluczkich szczególnie był łaskawy. Na wszystkich audyencya zostawiła najmiłsze wspomnienie, wielu do łez poruszyła.

Lud nasz pocziwy wszystkich budował swoją pobożnością. Ojcowie Passyoniści, w których klasztorze największa liczba mieszkała, są nimi zachwyceni i powiadają, że to lud Świętych. Pielgrzymki nie ustają ciągle. Francuzi, a raczej Francya: *la vieille, bonne France* przoduje. Onegdaj byli pielgrzymi, do Ziemi św., na kongres eucharystyczny do Jerozolimy jadący. Potem konferencye św. Wincentego à Paulo, potem komitety *des Oeuvres pies*, i t. d. Masonerya chce zagłuszyć głos chrześcijański, i biorąc za pretekst 25-ciolecie ślubu Humberta i Margaryty Sebaudzkich, urządza głośne festyny. Do odnowienia pogańskich wspomnień potrzebny był Cezar, sprowadzono go więc. Na zakończenie przypominamy stare polskie przysłowie: „Większy Pan Bóg niż pan Rymsza“.

B. S.

PS. Zapomniałem powiedzieć, że wkrótce po naszym przyjeździe do Rzymu spotkała nas tu miła niespodzianka: w nowym a bardzo już wpływowym dzienniku *Diritto di Roma*, tym samym, o którym pisałem Wam w ostatnim liście, że odepchnął brzęczące argumenta Izwolskiego — pojawiło się „Powitanie Polaków“, tak serdeczne, podniosłe, i z takim zrozumieniem stosunków naszych, że warto, aby się u nas o tem dowiedziano. Dziś spostrzegam, że galicyjskie gazety umieściły to „Powitanie“. Ale jak umieściły?! Bez żadnego serdecznego słowa od siebie, którebym rad redakcyi *Diritta* przeczytać, a które się przecież należało: a przytem rzecz tak obcięta, jak gdyby przez cenzurę rosyjską, bo najpiękniejsze ustępy, zwłaszcza dotyczące Rosyi, opuszczone zostały. Przysyłam więc Wam tekst tego artykułu, licząc na to, że go w *Przeglądzie* umieścicie w całości.

Na powitanie Polaków.

Polacy Katolicy!

Wam, którzyście się dzisiaj zebrali w Rzymie, tej stolicy katolicyzmu, w poważnej i pobożnej pielgrzymce, aby uczcić Leona XIII. — składa między pierwszymi powitanie dziennik *Diritto di Roma*, który sam jeden, wystawiając się na wszelkiego rodzaju ofiary, pogardzając obietnicami i groźbami, umiał i umie w tem Wiecznem Mieście, wśród prasy katolickiej i wobec potęgi (*prepotenza*) wysłanników rosyjskich do Stolicy św., zastawiać się mężnie o uciśnioną Polskę. Wam Polacy-katolicy ślemy braterskie pozdrowienie i wyraz najszczerzej sympatyi, Wam,

którzy od tylu wieków wytrzymujecie, zawsze nieustraszeni, najzaciętsze walki, by skarb wiary w swojej Polsce zachować.

Nie bójcie się, Polacy, chytryści i zradcy dyplomacy, któraby zrusyfikować chciała szlachetny wasz naród. Polska zrusyfikować się nie da. Ona będzie zawsze Polską katolicką, apostołską, rzymską!

Ona ma za sobą prawo boskie, prawo przyrodzone, prawo historyczne, i traktaty i kongres wiedeński. Ona aż nadto wiele cierpiała, i cierpi ustawicznie. Memoryały wydawane niegdyś przez nieśmiertelnej pamięci Grzegorza XVI. i Piusa IX. ukazują zawsze jej krwawe rany, a Rzym i świat katolicki patrzy na Was i wielbi Was, jak męczenników.

Stąd jasno się pokazuje, że raczej wolicie męczeństwo aniżeli wolny rozkład moralny. I dlatego dziś was pozdrawiamy słowami Pisma św.: *Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości!* Jest to rzeczą znaną: nienawidzą Was i prześladują na śmierć nieprzyjaciele katolicyzmu i papieżstwa. Żywiol polski, dlatego, że jest prawdziwie katolickim, uważany bywa za groźnego wroga rządu petersburskiego. Rozsiani od Bałtyku aż do morza Czarnego, posiadając wielką część dóbr ziemskich, stanowicie w tych krajach całą warstwę uszlachetnioną przez naukę, sztukę i literaturę, a mimo to wszystko rząd carski chciałby Was wygubić, aby tam bez przeszkody swój despotyzm wywierać.

Prześladowani podstępem i przemocą aż do ostateczności, pozbawieni wszelkiego cienia politycznego życia, oddaleni od wszelkich stanowisk i urzędów, zamykacie się w swoim życiu rodzinnem, i w kościołach szukacie ostatniego schronienia. Wie Rosya, że to braterstwo modlitwy w kościołach jest dla Was świętą spójnią, i dlatego usiłuje z tyraństwem godnem pogan, rozerwać tę waszą spójnię, zburzyć wasze kościoły, i zniszczyć jednym zamachem katolicyzm z polskością. Dlatego, aby Was zrusyfikować i odpolszczyć, wszelkiemi posługują się środkami; i w tym celu wysłannik cara przy Stolicy św. został uwieczelniony: aby wprowadzić do waszych kościołów język rosyjski, a wprowadzić go z rozkazu papieża. Tego chce car. Ale Bóg tego nie dopuści!

Język najeźdźcy jest zawsze twardy dla ucha, i aby sobie zdać sprawę z wrażenia, jakie czyni na Polaku język rosyjski, trzeba sobie przypomnieć, że wy Polacy, w tym znieprawionym języku słyszycie codziennie bez wytchnienia wszystko to, co was razi, co wam ubliża i co Was upokarza.

Wymagać od was, abyście go używali w modlitwie do Boga, byłoby okrucieństwem i podłością, której Kościół, wasza Matka najczulsza, i Papież, czujny Stróż waszych praw i waszych wolności, nigdy nie zdołają popełnić.

Bądźcie więc dobrej myśli, Polacy-katolicy, i ufajcie rozsądkowi i mądrości Leona XIII. Starzec ten czcigodny, zarówno jak poprzednicy jego, Was nie opuści, by się schylić ku ofertom i darom dumnego autokraty.

Bądźcie dobrej myśli, a błogosławieństwo Apostolskie Namieśtnika Chrystusowego na ziemi niech Was umocni w walce o wiarę i w znoszeniu prześladowań od Rosyi.

Bóg nasz Jezus Chrystus niech będzie z Wami; i my też z Wami na grobie św. Apostołów z większym zapalem ślemy w niebo gorącą modlitwę: Jezu! Boże Zbawicielu, zbaw Polskę!

Il Diritto di Roma.

Korespondencya Redakcyi.

Szanowna Redakcyo!

W t. XXXIV. *Przeglądu Powszechnego* z r. 1892 (str. 187—208), p. Aleksander Czuczynski pomieścił interesującą pracę p. t.: „Pochodzenie i rodzina ks. Piotra Skargi Powęskiego“. W rozprawie tej stara się zbadać stosunek ks. Piotra Skargi do rodzeństwa i dalszej jego familii, a głównie podaje kilka szczegółów, dotyczących się Jana Skargi Powęskiego, syna Franciszka a synowca ks. Piotra.

Ważnym przyczynkiem jest pomieszczenie tu dokumentu, dotyczącego się sprawy tegoż Jana Skargi Powęskiego z Janem Ściborem, chełmskim łowczym i poborcą generalnym województwa krakowskiego, który to poborca zarzuca mu, nieuiszczanie się z poboru łąnowego, ciężącego na nim z tytułu nowokreowanego szlachcica. Dokument ten pozwala nam dokładniej wejrzeć w pochodzenie rodziny Skargów i w sposób dochodzenia do szlachectwa rodzin plebejuszowskich w ciągu XVII-go wieku.

Sam autor jednak przyznaje, że co do szczegółów życia i rodziny niezrównanego naszego kaznodziei, mało posiadamy wiadomości, „a wiele luk domaga się wypełnienia, niejednen szczegół sprostowania“.

Nie podaje między innymi autor pewnej daty śmierci tegoż Jana Skargi Powęskiego i nie wspomina o jego nagrobku.

Z uwagi, że w dniach ostatnich szczęśliwie udało się nabyć do Muzeum Narodowego w Krakowie chorągiew nagrobną (rzadki u nas zabytek) tegoż samego Jana Skargi Powęskiego, której długi, drugostronny napis potwierdza niektóre szczegóły rodowodu Skargów Powęskich, znane z powyższej rozprawy — a niektóre, jak datę śmierci, wiek i miejsce pochowania, uzupełnia — nie bez interesu będzie prawdopodobnie dla Szanownej Redakcyi *Przeglądu Powszechnego* pomieszczenie opisu tej chorągwi i podanie całkowitego jej napisu.

Chorągiew ta z grubego jedwabnego adamaszku, koloru amaryntowego, 2 metry długa, 1.84 szeroka, przedstawia z jednej strony, wśród obramienia armatury, z szyszaków, kołczug, kołczanów i różnego rodzaju broni miecznej złożonej: postać klęczącą Jana Skargi Powęskiego, ubranego w delię i szubę futrzaną, a ze złożonemi rękoma kornie zanoszącego modły do Najświętszej Maryi Panny z Dzieciątkiem Jezus, unoszących się w górze wpośród chmury.

Postać to starca bardzo sympatyczna, typowo polska, z zawieszonym siwym wąsem i z wysokim czołem, o wyrazistych oczach — przypomina rysy znakomitego swego stryja, ks. Piotra.

Portret ten olejno malowany, jakkolwiek miernej wartości artystycznej, przy szerokim traktowaniu posiada wiele cech indywidualnych i niewątpliwie podobnym być musiał. U nóg klęczącego leży, z artystyczną fantazją ułożona tarcz i drzewce kopii, w górze zaś po prawej stronie na kołczanie widnieje herb Prus.

Na stronie odwrotnej, w takim samym obramieniu armatury, wykonanej ciemnymi kreskami na tle złocistem i srebrzystem, czytamy następujący napis, złotemi głoskami wyciśnięty:

D. O. M.

MONUMENTUM QUOD VIDES HOSPES

NOBILEM AC GENEROSUM EX ANTIQUA PRUSSORUM FAMILIA DNM. IOANNEM SKARGA

POWESKI GNOSI OLIM D. FRANCISCI SKARGA EX GNOSA ANNA

SWIATKOWSKA ARMIS IL. IDEM PRUS FILIUM PROGENITUM

MARMORE SUO CONTEGIT

QUI VITA PER OMNES PARTES NON ABSQUE LAUDE TRADUCTA

ANIMI CANDORE INSIGNIS ET MORUM PROBITATE

POSTQUAM

VEXILLIFERUM REGIAE COHORTIS CONTRA MOSCHOS ET SUECOS

STRENUM EGISSET ANNUM A S. R. M. SIGISMUNDO III VIRTUTIS
 AC MERITORUM VECTIGAL HABUISSET SATIS SIBI FAMAE GLORIAE
 IMMORTALITATI BONORUM USIBUS VIXISSET DIE XXX APRILIS
 ANNO SALUTIS MDCXLVIII AETATIS SVAE LXX
 DE REGIONE MORTUORUM TRANSIVIT AD REGIONEM VIVORUM
 POENITENS CATHOLICUS
 CUIUS
 RELIONEM IN DEUM ET DEI MATREM ARA STANIATENSIS
 DUM STABIT LOQUETUR PIETATEM IN PATRIAM
 BENEVOLENTIAM IN OPERUM ORDINESQUE RELIGIOSORUM
 MERITA IN AMICOS LIBERALITATEM IN PAUPERES
 CLEMENTIAM IN SUBDITOS POSTHUMA SECUŁA PRAEDICABUNT
 HOSPITES
 BENE PRECEMINI MORTUO QUI VIVENS NEMINI
 MALE PRECABATUR QUI VIXIT UT MORIRETUR
 MORTUUS UT VIVERET
 MARIANA DE OPATKOWICE MARITO DESIDE-
 RATISSIMO CONIUX MAESTISSIMA
 POSUIT.

Chorągwie podobne noszono w przeszłych wiekach na pogrzebach dostojników i zawieszano zwykle nad tychże grobowcami. Czas je po większej części zniszczył, jużto prawdopodobnie z powodu nietrwałości materyału, jużto, łatwości usunięcia z miejsca przeznaczenia. Znany ich zaledwie kilka na obszarze ziem dawnej Polski, z tych jedna prze-robiona na obraz ołtarzowy, przechowuje się w tutejszym kościele XX. Franciszkanów.

Kraków dnia 20 marca 1893 r.

T. Nieczuja-Ziemiecki.

SOCYALISTYCZNA PRASA W GALICYI.

Czy istnieje u nas prasa socjalistyczna? Zdarzyło mi się spotkać z ludźmi wykształconymi, którzy wcale o tem nie wiedzieli. A przecież ta prasa istnieje.

Długie lata, zawsze zacofana Galicya, miała jedno tylko, stosunkowo dość spokojne, nie dające zbyt wiele o sobie słyszeć, piśmiennictwo socjalistyczne, które wychodziło we Lwowie i nosiło skromny tytuł: *Praca*. Przed trzema latami powstał obok *Pracy*, dwutygodnik *Robotnik*; z początkiem 1892 r. ukazał się w Krakowie pierwszy numer socjalistycznego dwutygodnika *Naprzód*. Wzajemny stosunek tych pism do siebie i do partii „socjalno-demokratycznej“, ich cel i zadanie, główne środki, któremi nadal szerzyć miały agitację socjalistyczną, określił obradujący we Lwowie w dniach 31 stycznia, 1 i 2 lutego 1892 r. kongres „galicyjskiej partii socjalno-demokratycznej“, w następujących rezolucjach:

„Kongres galicyjskiej socjalnej demokracji uchwała:

1. Pisma partyjne mają odtąd nosić napis: „Organ partii socjalno-demokratycznej“.

2. Pisma wychodzące we Lwowie: *Robotnik* i *Praca*, w Krakowie: *Naprzód*, są własnością partii.

3. Tak oba pisma lwowskie, jak i krakowskie, *Naprzód*, zostają pod kontrolą towarzyszy, należących do partii; sprawozdania kasowe z przedsiębiorstw, mają być po każdym przed-

siębiorstwie, z administracyi pism i składek co kwartał, ogłaszane w pismach.

4. Czasopismo *Pracu* ma podpisywać towarzysz Józef Daniluk i Józef Hudec, jako wydawcy. Kto ma podpisywać *Pracę* jako odpowiedzialny redaktor, uchwali zgromadzenie poufne lwowskich towarzyszy.

5. Kongres poleca tak komitetowi lwowskiemu, jak i krakowskiemu, rozpoczęcie peryodycznego wydawania broszur, dla kształcenia.

6. Kongres uchwala wydawanie pisma żargonowego, dla robotników żydowskich.

7. Kongres uchwala polecić komitetom redakcyjnym wydanie broszury dla proletaryatu wiejskiego, o ile możliwości, w języku polskim i ruskim.

8. Kongres poleca komitetom redakcyjnym, ażeby na żądanie agitatorów prowincjonalnych, posyłano tymże bezpłatnie, żądane przez nich numera agitacyjne.

9. Kongres uchwala, ażeby towarzystwa kształcące i zawodowe prenumerowały obowiązkowo dla swoich członków pisma partyjne: zachodnia Galicya *Naprzód*, a wschodnia Galicya: *Pracę i Robotnika*“.

Zasadnicza ta ustawa, wydana dla socyalnej prasy galicyjskiej, ponieść miała niebawem dotkliwą szczerbę wskutek niełojalnego usposobienia dotychczasowego, samodzielnego redaktora i pana *Pracy*, Daniluka. Przyzwyczaił on się uważać *Pracę* za swój organ, za swoją poniekąd własność; a skonfiskowanie tej własności, w którą bądź co bądź włożył dużo swej pracy i potu, na korzyść partyi, bardzo niemile go dotknęło. Próbował bronić się, remonstrować; wreszcie z kilku przyjaciółmi wypowiedział wprost posłuszeństwo naczelnemu zarządowi partyi i ogłosił *Pracę* za organ „socyalistów niezawisłych“. Bunt się nie udał. Miejsce uroczyste wyklętej *Pracy* zajął z dniem 11 marca 1892 r. nowy „organ partyi socyalno-demokratycznej“: *Sila*; schyzmatycka *Praca* wegetowała jeszcze przez kilka miesięcy, poczem cicho i spokojnie zakończyła życie. Zachęceni powodzeniem „urzędowi“ socjaliści rozpoczęli jeszcze we Lwowie 1 maja 1892 r. wyda-

wnietwo humorystycznego dwutygodnika *Bocian*. Natomiast, ponieważ dwutygodniki *Robotnik* i *Siła* wychodziły na przemian co tydzień w tym samym formacie, informując czytelników o tych samych kwestyach, Dyrekcyja policyi lwowskiej zażądała złożenia kaucyi dla tygodników prawem przepisanej, a do chwili złożenia odnośnej sumy (3000 złr.), oba pisma zawiesiła. Na ich miejsce wyłonił się po niewielu dniach dwutygodnik *Nowy Robotnik*, niczem, rzecz prosta, od starego się nie różniący, prócz słówka „nowy“; *Siła* na razie stanowczo z placu ustąpić musiała, choć ani wątpić, że jeśli nie we Lwowie, to gdzieindziej, mniejsza o to, pod jakim nagłówkiem, niezadługo znów na wierzeh wypłynie. Tymczasem organami partyi socyalno-demokratycznej w Galicyi są, trzymające się po bratersku razem i z wojskowem posłuszeństwem jednej słuchające komendy: lwowski *Nowy Robotnik*, krakowski *Naprzód*, humorystyczny we Lwowie wychodzący *Bocian*¹.

Jak pisma te wyglądają, jakie szerzą idee między — powiedzmy to sobie po prostu i otwarcie — coraz liczniejszymi swymi czcicielami i zwolennikami, którzy częstokroć nie innego nie czytając, wierzą w fakty przez nie opowiadane, w teorye przez nie głoszone, o wiele więcej niż w Ewangelie; — jakie budzą namiętności, pragnienia i marzenia; jakiej taktyki się trzymają dla ściągnięcia w swe szeregi jak największej liczby niezadowolonych, mniejsza o to, słusznie czy niesłusznie; jaką bronią posługują się w walce z resztą społeczeństwa, tj. ze wszystkimi, którzy idei socyalistycznej nie oddali się z duszą i ciałem

¹ Dla oddania wszelkiej sprawiedliwości wyznać należy, że wcale nie wszyscy, zwłaszcza bardziej wpływowi i wykształceni socjaliści patrzą chętnem okiem na to ostatnie pismo. Istotnie, przewisk tu dużo, wymyślał sporo, ale czegoś więcej próznobys szukał. Nie wiem też jak wytłumaczyć, co mi opowiadał jeden ze znajomych. Posłał on przekazem pocztowym całoroczną prenumeratę na *Bociana*; nie odbierając przez parę tygodni ani przesyłki, ani żadnej wiadomości, wysłał zapytanie, ściśle wedle wskazanego w nagłówku pisma adresu, co z pieniędzmi się stało? I na to głuche milczenie. Ciekawe pytanie, czy administracyja *Bociana* chciała w ten sposób, w nieco oryginalną humorystykę się zabawić; czy może praktycznie wykazać, jakie zasady rządzić mają zapowiadaniem przez socyalistów „państwem przeszłości?“

i o których nadziei niema, ażeby przynajmniej w najbliższej przyszłości cyrograf ten podpisali? — Pytania to, zdaje się nam, ważne i bardzo aktualne, wobec rozwiniętej u nas na szeroką skalę, z wielką wytrwałością, energią, a niejednokrotnie i zręcznością prowadzonej socjalistycznej propagandy. Systematyczne milczenie o propagandzie tej i wogóle o całym socjalistycznym ruchu u nas, może kiedyś dawniej miało rację; dziś, gdy wszystkimi porami przenika, gdy nie ogranicza się na samym Lwowie i Krakowie, ale dociera do mikroskopijnych miścin i miasteczek, a kto wie, czy wkrótce i do wsi nie zagładnie — zawiązywanie sobie dobrowolne oczu, nie na wiele chyba przydać się może. Śmieją się z tego socjaliści na swych zebraniach i w swych gazetkach, ale śmieją się bez żółci; i owszem, w gruncie rzeczy bardzo zadowoleni, że ci, którzy niejednokrotnie mogliby właściwe zamiary ich wyświecić, wielu błędzącym oczy otworzyć, sądzą naiwnie, że socjalizm jeszcze granic Galicyi nie przeszedł; wiedzą czasem — miałem sposobność sam się o tem przekonać — o socjalistycznych kongresach i gazetach w Wiedniu i Paryżu, ale nie wiedzą o zebraniach we Lwowie i w Krakowie, o rozrzuconych, a dziś już w pewnej części i prenumerowanych po galicyjskich miastach i miasteczkach: lwowskim *Robotniku*, krakowskim *Naprzód*.

Lecz czy to nie „strachy na Lachy“, czy to nie drobna zabawka kilku wykolejonych, kilku niezadowolonych; zabawka, nie zasługująca zapewne na pochwałę i uznanie, ale dla której słów i atramentu szkoda? Najlepszą odpowiedzią liczne relacye umieszczane w organach socjalistycznych, dające dość dokładny obraz całego ruchu, liczne korespondencye z różnych stron kraju o zakładaniu nowych stowarzyszeń, o urządzanych zebraniach, zabawach, o budzeniu ducha na prowincyi przez wysłanych ze Lwowa lub z Krakowa agitatorów. Wedle spisu podanego w „Kalendarzu robotniczym na rok 1893“, istnieją obecnie w Galicyi stowarzyszenia socjalistyczne, które tytułują się „Siła“: we Lwowie, Krakowie, Podgórzu, Nowym Sączu, Mielcu, Zagórzcu, Tarnowie, Białej, Przemyśle, Stryju, Stanisławowie, i jedno stowarzyszenie w Kołomyi, noszące dotychczas urzędową nazwę „Praca“, ale

które zresztą niczem od bratnich „Sił“ się nie różni. „Ogniskiem ruchu w kraju — pisze w rocznem sprawozdaniu jeden z uznanych przewodców partyi, I. Daszyński — były dwa miasta: Lwów i Kraków. Ten ostatni po długiem uśpieniu dopiero w końcu minionego roku powstał do życia, ale za to rychło otrząsł się z apaty i stanął obok Lwowa do zaciętej wojny o prawa ludowe. Po uświadomieniu mas robotniczych obu stolic, nasuwała się każdemu myślącemu socjaliście myśl rzucenia zarzewia także i na prowincyę, rozpoczęcia propagandy i agitacyi w pierwszym rzędzie i w miastach prowincjonalnych. Krok ten prędzej czy później musiał być raz zrobiony. Nici same wiązały się i łączyły... prowincya witała wysłańców lwowskich i krakowskich z otwartemi ramionami; wszędzie masy przyjmowały z entuzjazmem program socjalno-demokratyczny... Niechaj w tym kierunku ruch tylko dalej się rozszerza, a dotrzemy wkrótce i do miasteczek i do wsi, aby tam podać dłoń masom wieśniaczym, które musimy ujrzeć wreszcie w swych szeregach!...”

Za różowe to może jeszcze, może umyślnie przez zręcznego agitatora w tak różowym kolorze wymalowane nadzieje. Niech i tak będzie! w każdym razie i to coś znaczy, że tego rodzaju, tak głośny okrzyk tryumfalny dziś już jest możebnym. Jakże zresztą rozlegać się nie ma głośno, tryumfalnie, gdy ratuszowe sale, odstąpione we Lwowie, w Krakowie na socjalistyczne, publiczne zgromadzenia, tak przepelnione, że szpilkę wetknąć trudno?

Krakowska „Siła“ przez pierwsze pół roku istnienia — od stycznia do lipca 1892 r. — ściągnęła w swe szeregi 1069 członków; przy końcu następnego półrocza liczyła 1195; bez wątpienia, $\frac{9}{10}$ wpisując się w księgi nowego stowarzyszenia, nie miało wyobrażenia pod jaką chorągwią staje; ale czy po paru miesiącach, pod wpływem sprytnych mów, zręcznie prowadzonych dyskusyj, znowu $\frac{9}{10}$ wszystkich członków nie jest, a w najlepszym razie wkrótce nie będzie socyalistami duszą i ciałem? W pierwszym półroczu zarząd krakowskiej „Siły“ odbył posiedzeń 18, wykładów było 20, wieczorków 6; w drugim półroczu zarząd odbył 25 posiedzeń, urządzono cały szereg wieczorków

i przedstawień amatorskich, założono chór śpiewacki; biblioteka doszła do liczby 198 dzieł; wykłady naukowe doznały przerwy z powodu rozporządzenia Namiestnictwa, nakazującego przedkładać policyi tekst każdego odczytu. Wynagrodzono to sobie wedle możliwości, zwołując osobne zebrania murarzów, cieśli, szewców, stolarzów; urządzając poranki i wieczorki muzykalno-deklamacyjne; gromadne wycieczki w lecie, tańczące zabawy w zimie. Zabawy te, takiem cieszyły się powodzeniem, że zdaje się, głównie dla nich pożegnano się z dotychczasowym, zbyt ciasnym lokalem „Sily“, a najęto „nowy, obszerniejszy i wygodniejszy“. Przy wielkich okazjach, jak np. gdy 19 marca b. r. obchodzić miano dziesięcioletnią rocznicę śmierci „wielkiego myśliciela i apostoła socjalizmu, Karola Marksa“, i nowy ów lokal okazuje się zbyt szczupłym, przenosić się wtedy trzeba na ulicę Dietla i wynajmować koncertową salę p. Horowitza. Podajmy tu, powtarzając relację *Naprzodu*, krótki opis „poranku na cześć Marksa“; da on nam wyobrażenie, jak wogóle tego rodzaju obchody wyglądają, i jak potężnym są środkiem do rozszerzania socjalistycznych idei; na jakich strunach grają na nich doświadczeni organizatorzy, jak umieją działać na wyobraźnię zgromadzonych, przemawiać do ich uczuć, do namiętności:

„W odpowiednio udekorowanej sali, na podwyższeniu... znajdował się czerwono udrapowany i zielenią uwieńczony portret tego, którego okrzyk: „Proletaryusze wszystkich krajów łączcie się“, wstrząsa dziś podwalinami starego świata i hasłem jest milionowych pułków przyszłej armii wolności — ludu roboczego.

„Zebranie to uroczyste zagał tow. Ignacy Daszyński obszerną mową, w której zestawil wszystkie pamiętne dla nas rocznice marcowe, uwydatniając w nich niepospolitą działalność K. Marksa. Wykazał dobitnie i jasno różnicę zasadniczą między rewolucją burżuazyjną a socjalną, bynajmniej nie ganiąc rewolucyi z r. 1848, w której robotnicy szli jeszcze ręką w rękę z radykalną burżuazją. Mowca poświęcił wiele uwagi stosunkom społecznym w Polsce, tutaj (zwłaszcza w Galicyi i Poznańskiem) abdykują niedoleżne partie mieszczańskie ze swojego politycznego stanowiska, wskutek czego pominąwszy nie nieznaczące połowiczne stronnictwa, widzimy z wolna powstawanie dwóch tylko obozów, które mają jakiegokolwiek szersze międzynarodowe plany i związki, dwóch międzynarodówek, „czarnej i czerwonej“. „Dziś święci się tylko dwojakie międzynarodowe obchody, — jubileusz papieski z jednej strony, rocznice Marksów i Lassallów z drugiej!“. Przemowę tę głęboką, poważną a porywającą, przerywaną licznymi i grzmiącymi

cemi oklaskami, zakończył wyrażeniem nadziei rychłego zwycięstwa proletaryatu.

„Następnie deklamowała dziesięcioletnia Manusia D... z nieopisanym wdziękiem i prostotą śliczny poemat Syrokomli p. t.: „Lalka“. Nagrodzona grzotem nieustających oklasków, zmuszoną była dodać jeszcze wiersz: „Robotnik“.

„Ten wiersz podobał się jeszcze bardziej. Stary, siwy robotnik ze łzą w oku patrzył na tę dziecinę, która ubrana w bieli z krwawą wstęgą przez ramię i na czole, może nieświadomie, a tylko przeczuciem kierowana umiała tak pięknie, rzewnie, a tak prawdziwie pojąć i oddać całą nędzę i poniżenie tych, z których grona wyszła i których szermierką może kiedyś będzie.

„Tow. J. Szole wygłosił odczyt: „O życiu i działalności K. Marksa“, opracowany starannie, z którego zwłaszcza ustęp jeden, winien na długo utkwieć w pamięci słuchaczów; mianowicie ten, gdzie jest mowa o pierwszych początkach „Międzynarodówki“ (64 r.) Wskazał w nim prelegent na dwie okoliczności, będące dla nas niemałej wagi: 1) że „Międzynarodówka“ powstała głównie wskutek sympatyj, jakimi gorąco byli przejęci robotnicy zachodu dla naszego ludu, 2) że przy zakładaniu jej, niepospolity udział brali emigranci z r. 63--64.!!

„Następnie deklamował jeden z towarzyszy wśród wzrastającego ciągle zapалу i coraz częstszych i głośniejszych oklasków: „Czegóż chcą oni?“ Ciągłemi oklaskami zmuszony dodał jeszcze: „Bezimienni“, za co mu niemal owacyjnie podziękowano. Gdy skończył zapanowała chwila ciszy uroczystej, wtem wszyscy powstałi jednym uczuciem przejęci i naraz z 400 piersi wzniosł się nasz hymn: „Czerwony sztandar“. Po odśpiewaniu całej pieśni zakończono uroczystość trzykrotnym okrzykiem na cześć „międzynarodowej socjalnej demokracji“. Cała uroczystość odbyła się w nastroju poważnym i spokojnie, choć zapal chwilami był niezmierny. Policji nie było... spokój nie został zakłócony. (!)

„Wieczorem odbyła się zabawa tańcząca w stow. „Siła“ w Krakowie i Podgórzu, na której towarzysze i towarzyski ochoczo spędzili „sami między swymi“ kilka godzin życia, i zapomnieli zupełnie, że istnieją jeszcze ci, których podobne obchody dreszczem trwogi przejmują!“

Podobny obchód pamiątkowy, z odczytami, śpiewami, deklamacyami, odbył się we Lwowie, w Przemyślu, w Stanisławowie; nadto we Lwowie urządziło osobny jeszcze wieczorek na cześć Marksa żydowskie stowarzyszenie socjalistyczne „Jad Hach-zuku“. W sierpniu i wrześniu na porządku dziennym są wieczorki i poranki na cześć Ferdynanda Lassala, który, jak wiadomo, zginął w pojedynku 31 sierpnia 1864 r. Główne święto socjalistyczne, przypadające na 1 maja, obchodzone jest zgromadzeniami i wieczorami, we wszystkich miastach i miasteczkach, do których ruch socjalistyczny dotrzeć już zdołał. Nie nadaremnie

organa partyjne przypominają parę miesięcy naprzód swym czytelnikom w ogłoszeniach drukowanych wielkimi głoskami na samem czele pisma: „Towarzysze! pamiętajcie o uroczystości 1 maja!“; nie nadaremnie „Kalendarz robotniczy“ wymazał w dniu tym podawane kiedyindziej nazwiska Świętych, przypadające wedle rzymsko-katolickiego i grecko-katolickiego obrządku, a natomiast nieproporcjonalnie grubemi głoskami wypisał: „Święto robotnicze“; nie nadaremnie wreszcie przewodcy długo naprzód każą na zebraniach uchwalać: „Zobowiązujemy się wszelkich sił dolożyć, ażeby dzień 1 maja wedle uchwał międzynarodowych kongresów robotniczych przez uroczyste zgromadzenia ludowe odpowiednio godności klasy robotniczej obchodzić!“¹.

Zebrania, to poufne, to publiczne; zabawy, gazety, doroczne uroczystości, rozszerzają z miesiąca na miesiąc i tak już dziś szerokie koło socyalistycznej agitacyi; jakież agitacya ta niesie ze sobą zasady i pojęcia odnośnie do tego wszystkiego co w życiu ludzi i narodów najważniejsze i najdroższe: do religii, Kościoła, ojczyzny, rodziny? Niech znowu odpowiedzą za nas najkompetentniejsi, i najmniej o złą jaką wolę czy przesadę podejrzani świadkowie: urzędowe „organy partyi socyalno-demokratycznej“ w Galicji.

Wedle urzędowych programów i licznych uchwał rozmaitych kongresów, socyalizm uważać powinien religię za rzecz czysto prywatną, odnośnie do której każdy z członków może sądzić i zachowywać się, jak mu się żywnie podoba. Tak brzmi teoria, na którą socjaliści lubią z naciskiem się powoływać, gdy lękają się naiwnych zrazić, innych naiwnych pragną w sieci swe zaciągnąć; w praktycznem zastosowaniu teoria ta wygląda nieco inaczej. Niech zdarzy się tylko jakikolwiek pretekst rzucenia potwarzy na jakiego księdza, wyszydzenia jakiego nabożeństwa, wystąpienia chyłkiem przeciw wierze, papieżowi, Kościołowi, a socyalistyczne pisemka rzucają się z pewnością z całą siłą w tym

¹ Uchwała powzięta w Krakowie 2 lutego b. r., na wniosek „towarzysza“ Białostockiego, zmodyfikowany następnie bardzo zręcznie — co do formy, ale wcale nie co do treści — przez I. Daszyńskiego.

kierunku, jak na najpożądańszy łup. „Ks. Chromecki — jak donosi *Naprzód* ku uciesze i zbudowaniu swych czytelników — wygłosił w kościele Pijarów piękne bzdury;... świadom niewybredności uszu, które przyszły do Pijarów napełnić się zbudowaniem, nie żałował pasyi swej wymowy“... „Wiadomo — czytamy w tym samym numerze z powodu artykułów ks. Załęskiego o socyalizmie, ogłoszonych w *Kuryerze Polskim* — że uczciwego, sprawiedliwego traktowania naszej sprawy, sprawy słusznej, niepodobna oczekiwać po żadnym księdzu i po żadnym Jezuicie“... Mniej w słowach wybredny *Robotnik* rzuca się bez ceremonii z zaciśniętym kułakiem na „jezuickich popów“, ogłupiających naród swemi książkami Jezuitów; na „klechę“ z *Kuryera Polskiego*, który „wyskubuje kawalki“ z różnych socyalistycznych pism i „zlepia je śliną niechęci i denuncyacyi do kupy“; irytuje się niesłychanie, że członkowie lwowskiej „Skały“ odprawili wspólnie rekolekcyę przed Wielkanocnymi Świątami; w osobnym artykuliku pod tyt.: „Oszczerstwa braci w Chrystusie“, wyśmiewa odpusty i dziwi się, że można jeszcze pisać o podobnych bredniach w r. 1893.— Pięćdziesięcioletni jubileusz Papieża, „kapłański czy biskupi“, jak może dla zaznaczenia swego lekceważenia, a być bardzo może, że i z istotnej nieświadomości wyraża się *Naprzód*, wyciska pismu temu gorzkie łzy, że podarowano Ojcu św. tyle pieniędzy, „tyle srebra, złota i drogich kamieni, których niepodobna nawet otaksować“. Ale co najsmutniejsze robi wrażenie, to kiedy pisma socyalistyczne rzucają się na to, co w chrześcijaństwie jest najpiękniejszego, czemu dotąd najzaciętsi jego wrogowie hołd składali, na „święte Sakramentki“, jak z delikatną ironią pisze jeden z lwowskich organów, na „panny-matki“, na stowarzyszenia św. Wincentego à Paulo. Smutno wygląda brudny artykuł, umieszczony w lwowskiej *Sile* przeciw „panom i paniom pobożnym, którzy modlą się o ile można najwięcej i dają czasem odpadki ze stołu lub odzieży swej nędzarzom“, którzy „pokrywają naszych braci łachmanami starymi i karmią dzieci nasze ochłapami“. — Członkowie św. Wincentego à Paulo wspomagają biednych materyalnie — zatem płwać na nich!; wspomagają moralnie, zakładając czytelnię na kolei państwowej we

Lwowie, a dyrekeya kolei ofiarowuje na ten cel lokal bezpłatnie — zatem znowu, wnioskuje *Sila*, plwać należy i na Towarzystwo św. Wincentego, i na „świętobliwą“ czytelnię i na dyrekeyę kolei. Prawdziwie, dziwną rządzą się logiką oryginalni ci dobroczyńcy ludzkości, którzy uszczęśliwienie świata wzięli dla siebie w wyłączny monopol, a biada temu, ktoby im do tego interesu mieszać się próbował!

Obawa przed wiszącym wciąż nad głowami mieczem prokuratora nie dozwala nierzaz naszym socyalistom wypowiedzieć w poważniejszych artykułach wszystkich swych uczuć i pragnień; zgrabnie zatem starają się je przemycić w tłumaczonych i oryginalnych powiastkach, w wierszach i wierszykach, pod osłoną mniej lub bardziej dowcipnych żartów, w „satyryczno-politycznym“ *Bocianie*. Tak np. *Sila* w jednym ze swych fejletonów pod tyt. „Na przypiecku“, parodjuje kazanie zwrócone przeciw socyalistom, wyśmiewa księży, którzy wskazują na „szczęśliwość wieczną“ i bryzga błotem na „starszą brać“, na panie i panów, którzy „w dniu tak uroczystym, jak Narodzenie Pana nad Pany“, urządzają gwiazdki, wenty dla ubogich. Nowela „Pogrzeby“ ma na celu wystawić, jak Kościół, jak księża inaczej sobie postępują z bogatym a z ubogim. Opowiadanie: „W jaki sposób zostałem socyalistą?“ tłumaczy jasno, że wiara na nic się zdać nie może, pobożność jest obłudą, katolickie towarzystwa rzemieślnicze karmią samemi tylko mrzonkami, z których, kto rozumny i roztropny, powinien się jak najprędzej wyleczyć. W innym obrazku najobrzydliwszy oszust „składa pobożnie ręce i półgłosem szepcze: „Anioł Pański!“ Słowem, zawsze i z zasady, kto się modli i w Boga wierzy, ten złodziej, potem ludzkim żyje, oszukuje i do występku ciągnie; kto „posłuszny ten głupi“, jak obszernie wyjaśnia cały artykuł na ten temat spisany; kto biedniejszym od siebie miłosierdzie świadczy, ten obrzydliwym samolubem, ten godność ludzką zapoznaje. Jeden z „bocianich“ poetów, zapomniawszy, że czasy Lutra dawno już przeminęły, piorunuje przeciw odpustom:

Aby z duszy swej zmyć brud,
Na odpusta spieszy lud,

Tam za skromną dość zapłatę,
Zrzuca z siebie grzechu szatę
I stroi się w szatę cnót,
Aby z duszy swej zmyć brud...

Czyż mało w tem dobrych stron?
Wszak pobożnych pieśni ton
Z ust pielgrzyma płynie szczerze,
Choć ten zapal w karczmie bierze,
Chwały Bożej wzmaga plon,
Czyż mało w tem dobrych stron?...

Tenże sam wieszcz pisze rodzaj satyry na przysłowie:
„Módl się i pracuj!“; inny występuje z krótkim wierszykiem
p. t.: „Wiara zbawia!“:

Chleba łakniesz powszedniego,
Módl się szczerze, złóż ręczęta,
Złóż ofiarę dla świętego,
A chleb da ci ziemia święta.

Tak przemawia ksiądz do ludu,
Dla świętych ofiary bierze,
Lud je składa z swego trudu,
I choć głodny — jednak wierzy!...

Inny jeszcze na inny ton bluźnierczą swą lirę nastraja:

By garstce ludzi podścielić stopy,
Najemnik trawi żywota kwiat,
By innym złote zbudować stropy,
Ginie bez dachu nędznie jak gad.

Lecz tak być musi — tak chcą niebiosy,
By jeden zbytki i nadmiar miał,
Inny był biedny, nagi i bosy —
Lecz tak być musi, tak Pan Bóg chciał!

Co, nie wiedzieć, bardziej w zakres dramatu czy komedyi
wchodzi, ale w każdym razie rzuca ciekawe światło na taktykę
i na szczerłość socyalistycznych mowców, pisarzów, redaktorów,
to, że w tych samych pismach, w tych samych nieraz numerach,
z których powyższe ustępy wypisaliśmy, znajdujemy następujące
zapewnienia:

„Burżuazyjni fabrykanci opinii publicznej wyzyskują w sposób ohy-
dny tę nieznamość (socyalizmu i jego celów), ogłaszając socyalizm jako
zamach na narodowość... i religię“. (*Naprzód* z 1 marca 1892 r.).

„Wiemy, że socyalizm nam ani Boga, ani wiary nie odbierze, bo on

daje wolność każdemu wierzyć, co, i gdzie chce". (*Siła* z 16 grudnia 1892 roku).

„Tow. Nacher zbil (w Przemyśle) twierdzenia wrogów, jakoby socyalizm zwalczał wiarę, ojczyznę i rozluźniał węzły rodzinne". (*Siła* z 16 grudnia 1892 r.).

Skąd te tak jaskrawe, w oczy wpadające sprzeczności? Wytłumaczenie proste: z jednej strony przewodcy socyalistyczni boją się zrazić całe tłumy szczerze i prawdziwie wierzących i dlatego kłamią im: „My przeciwko religii nie występujemy!“; z drugiej strony rozumieją dobrze, że religia najsilniejszą jest zaporą na drodze do wymarzonego socyalistycznego państwa przyszłości; irytuje ich zwłaszcza, że chrześcijaństwo wszelką biedą od dawna się opiekuje, z niesprawiedliwością walczy, że sam najskuteczniej domagał się ząwsze i najenergiczniej dzisiaj domaga się tego wszystkiego, co w socyalistycznych żądaniach i skargach jest słusznego i prawdziwego. „Tylko wedle przepisanej przez nas recepty wolno leczyć chorobę, — wołają socjaliści despotycznie — tylko z naszej apteki i przez nas przyrządzonych lekarstw wolno używać; ktoby do innej chciał iść, do innego — nie wchodzimy w to czy skutecznego, czy nieskutecznego — lekarstwa ręce wyciągał, ten niech raczej umiera!“ Tego hasła i tej zasady ściśle trzymając się, rzucają się piśmka socyalistyczne z nienawiścią, która skądinąd byłaby niezrozumiałą, na tak zwany „socyalizm chrześcijański“; widzą w nim nie naturalnego sprzymierzeńca — jakby naiwnym wydawać się mogło — ale najgorszego, bo najniebezpieczniejszego wroga. Kiedy *Czas* w kilku artykułach zdał sprawę z kongresu socyalistów galicyjskich we Lwowie i wezwał społeczeństwo do zajmowania się kwestyą robotniczą w duchu chrześcijańskim, wskazanym i określonym przez encyklikę papieską; natenczas *Naprzód*, zamiast uznać choć słowem, jeśli już nic innego, to przynajmniej szczerze zajęcie się sprawą socyalną, odpowiedział w długim szeregu artykułów i artykułików, gradem grzecznych komplementów o: „nowej liberyi na miarę chrześcijańskiego socyalizmu przykrojonej“, „chrześcijańskich denuncyantach“, „obowiązkowych frazesach o miłości chrześcijańskiej, zimnych jak pocałunek faryzeusza“, „blażeńskiej czapeczce stańczykowskiej“, „świadomych

kłamstwach powtarzanych z pewną lubością na różne tony“ i t. d. i t. d. Podobnemi, „powtarzanemi z pewną lubością na różne tony“ komplementami, obrzucone jest każde pismo i każdy pisarz chrześcijański, zajmujący się losem robotników, a nie należący do „partyi“. „Ks. Stysiński gawędzi o socyjalizmie, ale z robotników nikt już zdurzyć się jego wywodami nie da“, bo, jak dowiadujemy się na innem miejscu, dziwić się trzeba, „że są jeszcze wykształceni kapłani na tyle naiwni, aby uwierzyć, że kwestyę socyalną kościoł rozwiąże“. Ks. Załęski, ks. Jackowski „mydła oczy sobie i drugim, niepotrzebnie... obaj księżule, zbratani w prawdzie i miłości dla klas pracujących, mrugają na nas łaskawem wynurzeniem, iż zdaje im się, że socyaliści galicyjscy mniej są źli od innych“... Aż zabawnie czytać, jak zwłaszcza *Naprzód* obawia się katolickiego wiecu w Krakowie, jak boi się, aby kwestyi socyalnej na szersze rozmiary nie podjął; w każdym numerze do tego wraca i odwagi sobie dodaje, śmiechem, żartami. Na ostatnim zjeździe socyalno-demokratycznej partyi, odbytym w Krakowie 25 i 26 marca b. r. wystąpił znowu tow. Englisz z szczególną siłą przeciw, szcepionemu przez intrygantów, „chrześcijańskiemu socyjalizmowi“, który na szczęście, jak uspokajał i zaręczał mowca, „nie ma wcale w szerszych masach kredytu“. Jeżeli tak, jeżeli, jak w organach socyalistycznych raz po raz czytamy, są to tylko nieszkodliwe wiatraki, to opłaciłoby się może mniej często do walki przeciw nim w pełnym rynsztunku wyruszać.

Na jednej linii z religią, z Kościołem, stoi, wedle socyalistycznego katechizmu, patryotyzm, narodowość; stare to, dziś nieużyteczne graty, zabawki dobre dla obumierających starców, ale na które młode pokolenia, pchające dziś naprzód bryłę świata, spoglądają z uśmiechem politowania. Żeby nie zrazić niepotrzebnie burżuazyjnej młodzieży, ciągniętych i zbliżających się już do partyi, ale nasiąkniętych jeszcze dawnymi ideami akademików, można czasami pół żartem, pół na seryo zablagować: „My wam polskości wyrzekać się nie każemy; możecie do nas przystąpić, pozostając polskimi patryotami“; lecz dość organa stron-

nictwa otworzyć, aby się przekonać, że sami tak piszący, czy mówiący, nie biorą swych słów na seryo. „Nie znajmy, rzuca *Siła* jasne i głośne hasło, różnic religijnych, ani narodowościowych, ale tylko ludzi, jako takich“. „Jako partya socyalistyczna — składa *Naprzód* swe wyznanie wiary — stoimy stanowczo i bezwzględnie na stanowisku międzynarodowem...; naród, to my!“ „Kopiec ‚Unii Lubelskiej‘ we Lwowie, dowcipkuje to samo piśmo, ciągle sypany i ciągle rozsypujący się, podobnym jest do rzekomego zjednoczenia Litwy, Rusi i Polski“. A do iluż dopiero dowcipów, szyderstw i gniewów daje okazję, fortuna czy niefortuna — nie tu miejsce zastanawiać się — myśl obchodzenia żałoby narodowej. „Jak ładnie — ironizuje lwowski korespondent *Naprzodu* — naszym paniczom w aureoli ‚zbawców narodu‘, ‚męczenników za świętą sprawę‘!“ „Potomkowie zdrajców i okpiszów — woła z patosem przemyski korespondent *Siły* — niech noszą żałobę, bo kraj zaprzędali; my nie mamy przyczyny“. *Bocian* wystąpił w tej sprawie z osobnym wierszem, zakończonym następnym sensem moralnym:

A gdy do naszej mety droga już jest bliska,
Weselić nam się zatem, nie smucić należy,
A komedya żałoby wżgardę tylko zyska,
Słuszna dla czezych frazesów polskości fałszerzy.

Wszystkie partye, które do obozu socyalistycznego nie należą, równie konserwatywne jak liberalne, spotykają się w piśmach socyalistycznych z równą niechęcią i pogardą, w równej mierze i z podziwienia godną bezstronnością spadają tu ciosy na *Nową Reformę* i na *Czas*, na *Kuryera Polskiego*, jak na *Dziennik Polski*, na *Djabła*, jak na wydawane przez Jezuitów książeczki i broszurki; jeden *Kuryer Lwowski* poszczycić się może, że ma do pewnego stopnia uprzywilejowane stanowisko: jeżeli bierze lekkie cięgi, to na dywanie, ze względami i ceremoniami, których używano dawniej, gdy koniecznie ukarać należało dziecko, dajmy na to, książęce. Za to dwutygodnik *Stany*, założony we Lwowie z początkiem roku bieżącego i specjalnie wymierzony przeciw socyalistycznej prasie, wyróżnionym jest przez nią możliwie największą nienawiścią, objawiającą się, co prawda, nieraz

bardzo naiwnie, nad wyraz prymitywnie. Tytuł *Stany* przekształcony tu jest regularnie i z zasady na „stanie“, lub na „stajnię“; redaktor: Bohdan Czaykowski przekształcony w „Oślidara Bajkowskiego“, nazwany delikatnie „bezrogim“, który i „kwiczy“ i „szczeka“. Nie bardzo to może humorystyczne, choć w humorystycznym *Bocianie* umieszczone; natomiast bez wątpienia bardzo charakterystyczne dla lepszego poznania taktyki wojennej socjalistycznych organów! Ciekawa rzecz, gdyby tak jaki majster pozwolił sobie — bardzo skądinąd nie na miejscu i nieroztropnie — poczęstować chłopca lub czeladnika tego rodzaju przydomkami, coby też o tem *Bocian*, coby *Naprzód* napisał?

Oprócz tej całej strony, którąbyśmy nazwali doktrynalną, a która względnie szczupłe jeszcze miejsce w tych gazetach zajmuje, zapełnione są ich łamy mnóstwem falcików, relacyj o najrozmaitszych nadużyciach i krzywdach, jakie wyrządzone być miały bądź przez władzę, bądź przez prywatnych chlebobawców i zamożniejszych ludzi. Czy wszystko w tych opowiadaniach jest prawdziwe? Bardzo trudno skonstatować. Chcemy wierzyć, że redakcyje żadnego fałszu rozmyślnie nie umieszczają; ale, chociażby wszystkie te fakta były prawdziwe, obraz społeczeństwa, który się z nich składa, jest zupełnie nieprawdziwy. Kiedy z jakiego przedmiotu wybierze się same czarne punkta i zestawie się je razem, czy to może być wiernym przedmiotu obrazem? Nie potrzeba dodawać, jakie wrażenie rozgoryczenia czynić musi takie nieustanne czytanie o samych krzywdach i nadużyciach. Niestety! przewodcy nie tają się z tym zamiarem rozgoryczania ludności pracującej.

Ciemna to tkanina, złożona z nienawiści dla Kościoła i religii, z zimnej obojętności dla ojczyzny, niechęci i zazdrości względem wszystkich, którzy do ciasnego „partyjnego“ koła nie należą, z wzajemnych sporów i nie budujących rewelacyj w obrębie tego koła; czyż wśród ciemnych tych pasm nie znajdzie się czasem jaśniejsza jaka nitka, czy do socjalistycznych pism nie zabłąka się nigdy zdrowa jaka myśl; rozumne, możliwe do spełnienia, ze znajomości istniejących, nieraz istotnie niewesołych sto-

sunków płynące żądanie? Twierdzenie takie byłoby przesadą do niczego nie prowadzącą; byłoby zastosowaniem systemu przyjętego właśnie przez socyalistyczne organa, które każdą nie-miłą sobie książkę, pismo, czy człowieka, potępiają w czambuł, nie pytając nawet, czy czasami nie potępiają jednocześnie niektórych z własnych swych zasad, z najważniejszych postulatów. Kiedy np. *Naprzód* żali się, że prasa nasza za wiele pisze o „wielkiej polityce“, a za mało o domowych biedach naszych i potrzebach, lub upomina, że teatr i wyścigi nie powinnyby być osią, koło której wszystko inne się obraca; kiedy *Robotnik* gorszy się, że niektóre pisma długimi opowiadaniem o takiej np. Kobrynowej, otaczają zbrodnię aureolą sensacyi i nerwy czytelników arcyniepotrzebnie drażnią; kiedy „*Kalendarz robotniczy*“ ostrzega przed stawianiem na loteryę — to zgoda i najzupełniejsza zgoda! Zgoda i wtedy, gdy w pewnych wyjątkowych przypadkach pisma te podają opisy nadużyć, których silniejsi względem słabszych systematycznie się dopuszczają; naturalnie, jeśli podane nadużycia są stwierdzone i rzeczywiste. Ale na tem też koniec; otóż i wszystkie z możliwą troskliwością dobrane jaśniejsze punkta w smętnym tym, powiedzmy po prostu, brzydkim obrazie socyalistycznej prasy w Galicyi; brzydkim, bo namalowanym pendzlem zawiści, a czy wątpić można, że nieraz i złej wiary?

Surowy to sąd, i przyznajemy otwarcie, że przystępując do tego sprawozdania, nie sądziliśmy, aby tak surowo wypadł. Czyż nasza wina, że im dłużej i uważniej wczytywaliśmy się w jeden po drugim z kolei organów „partyi socyalno-demokratycznej“ w Galicyi, tem szybciej usuwały się w dal złudzenia o dobrej woli jej przewodców?

Nie wątpimy, że mnóstwo jest u nas socyalistów, którzy chcą szczerze pozostać chrześcijanami i Polakami; naszym zamiarem było wykazać, dokąd ich prowadzą ich pisma i ich hersztowie.

Ks. Jan Badeni.

SZKOŁY JEZUICKIE W POZNANIU.

(1573--1653).

Wedle dyaryusza Kolegium poznańskiego.

(Dokończenie).

IV.

Nasz dyaryusz nastęrcza mnóstwo materyału do ciekawej kroniki Poznania, mianowicie burd studenckich. Każdy wypadek jest zapisany dokładnie i jest ich wymienionych trzydzieści, podczas gdy Łukaszewicz zaledwie o trzech czy czterech wspomina. Ale sens moralny z tych wypadków wynika inny, niż twierdzi Łukaszewicz, a mianowicie ten, że Jezuici młodzież hamowali i karali za wybryki, a więc do nich nie zachęcali.

Przedewszystkiem trzeba pamiętać o tem, że czasy to były inne i krew gorętsza i dobrobyt lepszy i wolność złota i butność większa, niż obecnie. Jeśli ojcowie o lada słówko przykre brali się do korda, to nie dziw, że w ich synach był inny temperament, niż dzisiaj. Dlatego też burdy wyprawiali studenci wszelakich szkół: czy akademickich, czy pijarskich, czy jezuickich porównano, a więc porównano muszą być wybryki te sążone, jako wybryki młodzieży, której wiele więcej wówczas uchodziło, niż dzisiaj.

Zaraz w pierwszym roku po otwarciu szkół jezuickich w Poznaniu, wybuchła kłótnia pomiędzy studentami a złotnikami, lecz wczesnie uśmierzona, bo senat wtrącił złotników do więzienia,

a tych studentów, którzy dali powód do niezgody, ukarano, jeden zaś zupełnie ze szkół został wydalony¹.

Pierwszy więc ten zatarg dowodzi, że O. Jakób Wujek, jako rektor kolegium, nie myślał wcale tolerować wybryków młodzieży; jednego wszelako przestrzegał, tj. żeby studenci szkół duchownych nie byli sądzeni przez heretyków, mianowicie żeby mniejsze przewinienia karane były w szkole. Kiedy więc 11 sierpnia 1575 r. jeden ze studentów został za kłótnię z Żydem wtrącony do więzienia miejskiego, udał się O. Jakób Wujek do magistratu z przedstawieniem, żeby mniejsze wykroczenia karane były w kolegium. Jeśliby zaś coś ważniejszego zaszło, na coby kara szkolna była za mała, żeby wtedy sprawy szlacheckiej młodzieży oddawano kasztelanowi, a mieszczańskiej — magistratowi. Student, o którego w tym przypadku chodziło, był wprawdzie synem mieszczanina poznańskiego, ale kłótni z Żydem nie uważano jeszcze wówczas za sprawę tak dalece ważną, żeby aż studenta do więzienia wtrącać. Dlatego też panowie radni, czyli senat miasta Poznania, wyraźnie okazał swoje niezadowolenie i nie pochwałał postępku wójta Stanisława Brzeźnickiego, który wstydząc się swej śmiałości (*suam erubescens audaciam*) obiecał, że na przyszłość będzie wobec studentów łagodniejszy².

Tu więc należy szukać klucza całej kwestyi owej mniemanej „niekarność“ studentów jezuickich. Żydzi byli prawie wyjęci z pod praw, i tolerowani tylko w owe czasy, więc też wedle ówczesnych pojęć i wyobrażeń, a nie wedle dzisiejszych stosunków, zupełnego ich równouprawnienia, sądzić należy. Dlatego też uczniowie szkoły Lubrańskiego, o której wznowieniu w XVII. w. następnie jeszcze powiemy, chociaż kosztem jezuickich uczniów tak bardzo przez Łukaszewicza chwaleni³, wobec Żydów daleko

¹ Fol. 6. v. a. a. 1574. „Orta etiam fuit aliqua Studiosorum cum Aurifabris contentio, sed tempestive sopita cum et a Senatu in carcerem aurifabri coniecti, et puniti e Studiosis illi, qui praebuerant dissidii occasionem, unusque omnino ex Scholis est ablegatus“.

² Fol. 8. v. a. a. 1575.

³ Łukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 20. „Uczniowie tej szkoły (Lubrańskiego) w każdej epoce odznaczeni się przed uczniami jezuickimi karnością i porządkiem; wartując (*sic*) archiwa miejscowe, nie zdarzyło mi się

gorzej sobie poczynali. „Biada Żydowi, który się odważył wstąpić nogą na Chwaliszew, Śródkę lub Ostrówek i Zawady! Gradem kamieni od uczniów obsypany i kijami obłożony, nieraz ledwie z życiem ująć zdołał. Że zaś Żydom w Poznaniu i z okolic wypadło częstokroć niezbędnie przez przedmieścia te przejeżdżać lub przechodzić, przeto musieli sobie okupować u rektora pokój od uczniów i w tym celu składali co rok na ręce jego pewien rodzaj podatku, zwanego „kazubał“, który rektor pomiędzy uczniów dzielił“.

Nie podobnego nikt dotąd nie zarzucił Jezuitom, żeby po d a t e k brali od Żydów, przeto prosta słuszność nakazywała przyznać, że swoich studentów, w większej karności trzymali — bez „kazubału“. Wszelako utrzymać ówczesną młodzież w karchach, było trudniej zapewne niż dzisiaj.

Dlatego nowy wojewoda poznański, Stanisław Górka, który po bracie swoim Łukaszu († 1573) objął tę godność, odbywszy (20/6 1576) wjazd uroczysty do Poznania, powitany przez studentów jezuickich piśmienną gratulacją, dał im za to 8 czerwonych złotych, ale OO. Jezuitów upomniął, aby studentów powstrzymywali od dręczenia Żydów, nad którymi opiekę miał sobie powierzoną¹. Jednakże upomnienie to niewiele poskutkowało, bo jeszcze w tym roku wynikła wielka burda studentów z Żydami. Rzecz

odkryć ani jednej skargi przeciw uczniom szkoły Lubrańskiego; z tem wszyskiem był lud, któremu miru nie dali, skoro się w obrębie jurysdykcji kapituły pokazał. Tym ludem byli Żydzi“. Tu następuje cytat, zamieszczony w tekście. Widocznie więc p. Łukaszewicz nie uważał tego za wybryki, co studenci szkoły Lubrańskiego z Żydami wyprawiali, tak, że nawet rektor „kazubał“ od Żydów przyjmował i między studentów rozdzielał, jakby mieli prawo do pastwienia się nad Żydami.

Łukaszewicz, „Historya“ l. c. t. I, p. 226: „Karność młodzieży po koloniach akademickich lepszą była niż po szkołach jezuickich... Młodzież kolonii akademickich popelniała także, lubo bardzo rzadko, excesy przeciw Żydom o „kazubalec“ i „judaikę“, albo też staczała bitwy z uczniami jezuickimi, gdy w jednym miejscu, jak np. w Poznaniu lub Lwowie, były obok siebie szkoły jezuickie i akademickie — ale to były wybryki dziecinne, zdrożności młodego wieku, nie zagrażające nikomu niebezpieczeństwem życia, nie zakłócające spokojności publicznej“. — A więc: wybryki młodzieży jezuickiej były zdrożnościami dojrzałego wieku?!

¹ Fol. 10. v. a. a. 1576.

poszła o jakiegoś Żyda z Kościana, który z rodziną chciał przyjąć chrzest i w tym celu przybył do Poznania z dwoma synami, a żonę i dwie córki sprowadził nieco później. Trzy te niewiasty wprowadzili Żydzi gwałtem. Działo się to w samo południe i studenci, pierwsi, podczas obiadu, o tem się dowiedziawszy, pobiegli szukać Żydówek. Niebawem przyłączyli się do nich rzemieślnicy i pomogli wylamać drzwi, wprowadzić porwane niewiasty. Motłoch napadł następnie na synagogę i zrabował, a z kolei inne domy żydowskie zaczął rabować. Magistrat kazał zamknąć bramy miasta, a Jezuiti wysłali dwóch magistrów, żeby studentów od tej burdy odwołać. Obaj jednakże niewiele sprawili. Dopiero noc położyła kres zaburzeniu. Wojewoda mocno był tem zajęciem oburzony i wysłał groźne listy do mieszczan i do kolegium, ale znacznie ochłonął w gniewie, gdy mu rektor, ks. Jakób Wujek, cały stan rzeczy wyjaśnił¹. Sprawa jednak wytoczoną została przed sejmem. Wojewoda bardzo się ujmował za sprawą Żydów i bardzo był markotny, że król żadnej kary na mieszczan nie naznaczył, a Jezuitom jedynie przez kanclerza przesłał upomnienie, aby na przyszłość tego rodzaju burdom starannie zapobiegali².

Przez trzy lata następne był też pokój zupełny; dopiero na św. Jan dawali studenci teatr na cmentarzu kościoła św. Maryi Magdaleny. Teatr skończył się wieczorem, a studenci wracający do domów (*ad hospitia*), wszczęli burdę z Żydami. Rychło jednak uśmierzyli ją Jezuiti i magistrat. Wojewoda żądał po kilku dniach, aby mu Jezuiti wydali sprawców zaburzenia, lecz odpowiedzieli, że to nie przystoi zakonnikom, a zwłaszcza Jezuitom³.

Z tych dwóch zdarzeń widoczna więc, że Jezuiti nie bronili bezkarności studentów, lecz tego, żeby wobec wojewody he-

¹ Fol. 11. v. a. a. 1576: „Palatinus interim civibus et collegio per literas intentat minas. Multum remisit de furore, ubi a P. Rectore plenius rei veritatem didicisset“.

² Fol. 10 v.—11 r.

³ Fol. 15. v. a. a. 1579. „Palatinus post aliquot dies authores turbarum voluit sibi a nostris tradi, sed responsum est illi, id dedecere maxime Religiosos et praesertim Societatem Jesu“.

retyka, zachować niezależność szkół swoich¹. Większą ich łagodność wobec zatargów studenckich z Żydami zrozumieć też łatwo można, jeśli się rozważy, że kiedy np. r. 1601 w dzień św. Bartłomieja wynikła burda z Żydami, i syn szlachecki został przez Żydów ranny, wtedy musieli zapłacić 100 dukatów kary i jeszcze studentów przeprosić².

Ta autonomia szkolna była też widocznie przyznawana szkołom, bo gdy (1584 r.) student *syntary* został wtrącony do więzienia, wtedy studenci wyłamali bramę więzienia i uwolnili kolegę. Widocznie musiał się dostać do kozy za Żydów, bo studenci mszcząc się, zaczęli wybijać okna Żydom i wyłamywać drzwi, ale i ten rozruch wnet został uśmierzony³.

Inny jednak przedmiot sporu pojawia się już pod koniec XVI. wieku, a mianowicie innowiercy. Początek do zatargów z heretykami, dali jednak nie studenci jezuicy, lecz niewiasty poznańskie, które w kwietniu 1584 roku wyprawiły srogą burdę. Rzecz poszła o to, że złotnik jakiś nawrócił się, a superintendent heretycki z dwoma towarzyszami, chcąc go odwieść od zamiaru, poszli do jego domu. Wtedy opadły ich niewiasty i zaczęły srodze okładać kijami, przyczem proboszcz M. Magdaleny ostro im przycinał słowami. Dopiero magistrat wyrwał ich napół żywych z tej awantury⁴.

Gorsza sprawa zaszła w maju tegoż roku. Chowano właśnie jakiegoś heretyka i orszak pogrzebowy spotkał się w bramie miasta z wozem, na którym jechało parę szlachcianek i dwaj studenci jezuicy. Heretycy chcieli pierwiej przejść przez bramę i dlatego wóz zatrzymali, ale studenci ustąpić nie chcieli. Spór toczył się dosyć długo, aż studenci, widząc szlachtę patrzącą z okien sąsiednich domów, dobyli pałaszy. Na ten widok pospieszyła im na pomoc szlachta z sąsiednich domów, rozegnała

¹ Łukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 297. Opisuje pierwsze to zdarzenie wedle akt grodzkich, które nic nie wspominają o udziale studentów jezuickich w rozruchu. O drugim wcale niema wzmianki u Łukaszewicza.

² Fol. 43. r. a. a. 1601.

³ Fol. 21. v. a. a. 1584, d. 17 kalend. aprilis.

⁴ Fol. 21. v.

cały orszak pogrzebowy, jednych poraniła, inni napół żywi zaglegli pobojuwisko, a trumna została na wozie. Ciężko byli obrażeni tą zniewagą heretycy, a wojewoda i tak już zagniewany na Jezuitów, że kaznodzieja ich rodzinę jego zaczął, posłał rektorowi ostre napomnienie. Ale i on z czasem ochłonał¹.

Jasna rzecz, że dwaj chłopcy nie mogli być uważani za sprawców całej tej burdy, bo przyczynę do niej dali, licząc widocznie na pomoc szlachty, gotowej do zwady. Ale ówczesny rektor, ks. Jan Konarski, był energiczny człowiek, i dlatego kiedy w lipcu roku 1586 znowu się wszczęła burda z Żydami, zaburzenie uspokojono szybko, a sprawca złego został publicznie obity i ze szkół wygnany².

Ta surowość była też bardzo pożądana, bo w całej Polsce zapanowała w tym czasie nienawiść przeciwko innowiercom. Zły przykład niesforności dali też „scholarzy krakowscy“, (a więc nie jezuicy uczniowie), którzy r. 1587 spalili zbór kalwinów przy ulicy św. Jana, a w cztery lata potem został zbór arianów przy ulicy św. Duchy przez nich spalony (1591). Pokrzywdzeni w ten sposób dysydenci, daremnie rozwodzili żale na zjazdach swoich w Radomiu (22/9 1591 i 2/2 1592). Król nie przychylił się do ich żądania i nie wyznaczył bezpiecznego miejsca do odprawiania nabożeństwa, tak, że odtąd publiczne nabożeństwo innowierców w Krakowie ustało³.

Ten przykład niekarności mógł łatwo działać na studentów jezuickich w Poznaniu, gdzie dotąd innowiercy mieli kilka zborów, i publicznie nabożeństwo odprawiali. Nadto odbywali nabożeństwo w domu Czarnkowskich. Jednakże w maju 1593 r. wypędził ich Stanisław Czarnkowski ze swego domu, w czasie, kiedy właśnie na nabożeństwo się zbrali. Otoczywszy dom żołnierzami, wygnał ich przemocą, a bramę domu opieczętował. Inni z jego rodziny, którzy jeszcze do innowierców należeli,

¹ Fol. 23. r. a. a. 1585.

² Fol. 24. v. a. a. 1586.

³ Wielewicki, *Hist. diarii domus professae S. J. Cracoviensis*. Kraków 1881, p. 101—117, 142, 145, 150.

byli wprawdzie tem obrażeni, ale następnie ucichli i odtąd już Czarnkowski do swego domu heretyków nie wpuszczał¹.

Zatargu studentów z innowiercami w Poznaniu należało się więc lada chwilę obawiać, tem bardziej, że sami postępowaniem swoim oburzenie wywoływali. Tak np. heretycy, mieszkający w sąsiedztwie szkoły, rzucali kamieniami do okien podczas przedstawienia, za co im magistrat kazał zburzyć część domu, z której mogli do okien szkoły zaglądać². Inny raz znowu heretyk Leonard Górecki wszedł do szkoły, pod nieobecność profesora i usiadłszy na katedrze, począł przed chłopcami wygadywać na Jezuitów i od szkoły ich odmawiać. Wypędzony ze szkoły i pozwany o to następnie przed kasztelana, gdy się hardo stawiał, otrzymał potężny policzek³.

Zaczepki publiczne Jezuitów zdarzały się także, ale mimo to przez dziesięć lat był w Poznaniu spokój, aż w samo Boże Ciało r. 1596, wybuchła wielka burda, która skończyła się zburzeniem zboru kalwińskiego. Rzecz opisuje nasz dyaryusz obszernie.

W pobliżu kolegium był kościół św. Barbary OO. Franciszkanów, zwanych Minorytami, którzy Boże Ciało z wielką obchodzili uroczystością. Studenci jezuicy bywali zapraszani na nabożeństwo i udawali się tam ze świecami. Już po nabożeństwie, ale nim się jeszcze wszyscy studenci do domów rozeszli, szedł do tego kościoła ks. Hieronim Stefanowski, profesor filozofii († 1606 w Gdańsku). W drodze napadł go jakiś heretyk zelżywemi słowami, a wreszcie uderzył go kamieniem. Rozgłosiło się to między studentami, którzy zniewagę profesora pomścić postanowili. Część ich pewna, która wróciła do domu, została zamknięta przez rektora, ale inni, otrzymawszy wnet pomoc w gawiedzi, napadli zbór Braci Czeskich, których dyaryusz zowie Pikardystami. Wyłamali drzwi i zniszczyli budynek do szczętu, tak, że tylko zostały gołe ściany. Bibliotekę wyniesiono na ulicę

¹ Fol. 33. v. a. a. 1593.

² Fol. 10. a. a. 157C.

³ Fol. 8. a. a. 1575.

i spalono. Wreszcie udało się studentów odciągnąć od tej burdy, ale motłoch nie przestał rabować, niszczyć i palić.

Zdarzenie to było bardzo fatalne, bo nawet katolicy poczęli przeciwko Jezuitom powstawać, jakoby oni rzeczywiście byli winni tego zajścia, i wtedy to „pokazało się kto był ich wierny, a kto udany przyjaciel“, posądzano ich bowiem nawet o to, że oni umyślnie kogoś nasadzili, aby zaczął O. Stefanowskiego. Ówczesny rektor, O. Stanisław Grodzicki, zwołał przeto wszystkich studentów i surową miał do nich przemowę, a w listach wysłanych do króla, biskupów i panów, przedstawiał cały przebieg sprawy. Wreszcie został też schwytany prawdziwy winowajca, i okuty w kajdany, wyznał, że z nienawiści do Jezuitów rzucił kamieniem, a tak upadło główne podejrzenie. Mimo to zgromadził rektor wszystkie władze: sufragana, kasztelana, sędziów ziemskich, burmistrza i wójta, i wobec nich jeszcze raz do studentów powtórzył tę samą mowę, którą ich był już pierwszej strofował, aby pokazać, że nigdy tej burdy nie pochwałal¹.

W trzy lata potem (1599) znowu się wszczęło zaburzenie z innowiercami i znowu chcieli studenci zburzyć zbór heretycki, lecz tą razą potrafili nauczyciele łatwo przywieść młodzież do porządku².

Roku 1602 wszczęło się w wigilię Bożego Narodzenia zaburzenie przy zborze luterskim i kilku studentów odniosło nawet od heretyków rany, ale wczesne wdanie się Jezuitów położyło koniec tej burdzie³.

Ponieważ zaś heretycy nie przestawali skarg podnosić przeciwko Jezuitom, dlatego za radą biskupa wydalili ze szkół kilku studentów, którzy uchodzili za sprawców ostatniego zaburzenia. Wszelako biskup pozwolił im apelować przed swój trybunał, jeśli by jeszcze dalej od heretyków mieli być naciskani⁴.

¹ Fol. 36. r.—36. v. a. a. 1596.

² Fol. 39. v. a. a. 1599.

³ Fol. 44. v. a. a. 1602.

⁴ Fol. 45. v. a. a. 1603. Zdarzenie to zamieszcza Łukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 307 pod rokiem 1603, wedle akt grodzkich: „W środę przed św. Pryską w nocy pospółstwo i uczniowie jezuickcy napadli na kościół luterski za mianem

Nie Jezuita też i nie studenci ich szerzyli nienawiść do innowierców, bo w trzy lata potem (1605), pospólstwo poznańskie spaliło zbór innowierców, przyczem studenci wcale nie brali udziału, bo szkoły jezuickie były z powodu zarazy zamknięte ¹.

W następnym roku (1606) przysłała kolej na zbór luterski, który stał za miastem na górze, zwanej „Łysą Górą“, w sąsiedztwie kościoła św. Wojciecha, o której to górze opowiadano sobie na ucho, że tam nocną porą czarownice odbywają schadzki ². W sam Wielki Czwartek (23 marca 1606 r.) o godzinie 5-tej w nocy, rozegnali jacyś przebrani ludzie straż, która nikogo poznać nie potrafiła, i zbór spalili. Natychmiast rzucono podejrzenie na Jezuitów razem ze studentami, co było tem większą klęską dla nich, że to był właśnie nieszczęsny rok, pamiętny rokoszem Zbrzydowskiego, w którym wszystkie umysły były przeciwko Jezuitom, jako wiernym króla zwolennikom, zwrócone. Zbrzydowski sam, choć gorliwy katolik, niemało się do tej ogólnej niechęci przyczynił. Należało się więc obawiać, że innowiercy wytoczą tę sprawę na sejmie, i dlatego O. rektor Marcin Śmiglecki zawczasu uprzedził generała Zakonu, króla i senatorów o tem co zaszło, aby w obronie Towarzystwa Jezusowego stanęli. Król wyznaczył osobny sąd do zbadania tej sprawy. W skład tego sądu wchodził biskup poznański, Wawrzyniec Goślicki, generał wielkopolski, dwaj proboszczowie: kolegiaty M. Magdaleny i św. Marcina, nadto kilku przedniejszych mieszczan.

Sąd ten zebrał się 19 czerwca 1606, przesłuchiwał wielu

stem leżący i zniszczyli go, powybijawszy drzwi i okna“ i t. d. Ponieważ dzień św. Pryska przypada 18 stycznia, a dyaryusz mówi o wigili Bożego Narodzenia, więc zachodzi tu widocznie co do daty omyłka. Taka sama różnica co do daty zachodzi przy spaleniu zboru kalwińskiego. Łukaszewicz, l. c. p. 308, kładzie ten fakt pod dniem 13 kwietnia 1605, dyaryusz zaś mówi: „in vigilia natalis Domini“. Dyaryusz mówi: *conflagravit*, a wedle Węgierskiego (*Slavonia reformata*) został uratowany przez gminę tegoż wyznania.

¹ Fol. 50. r. a. a. 1605.

² Fol. 46. r. a. a. 1603: „Ajebant illum Calvum montem Posnaniae (videlicet templo S. Adalberti vicinum) ubi est synagoga Lutheranorum, sagarum conventiculis celebrari“.

świadków, ale nikt nie wspomniał ani o Jezuitach, ani o studentach, jako sprawcach tego pożaru. Jedyna nadzieja luteranów była jeszcze w dwóch ostatnich świadkach, których przyprowadzili, ale i ci nic przeciwko Jezuitom nie zeznali, a jeden z nich, szlachcic, w dodatku jeszcze publicznie w kościele św. Marcina wyznanie wiary katolickiej złożył. Sąd przeto, nie zdoławszy wykryć żadnego sprawcy, poprzestał na tem, że kazał publicznie ochłostać kogoś, który się pożarowi przypatrywał, a przez to na siebie ściągnął podejrzenie¹.

Pozostała jednak nienawiść do studentów pomiędzy innowiercami, i w trzy lata potem (1609) dali sami powód do zaburzenia, przy którym przyszło aż do małego krwi rozlewu, bo niektórzy z heretyków odnieśli lekkie rany. Rzecz byłaby mogła wziąć jeszcze gorszy dla nich obrót, gdyby Jezuitci nie byli z wielkim mozolem zaburzenia uśmierzyli².

To też nie dziw, że gniew ich zwrócił się znowu przeciwko studentom i Jezuitom, kiedy w pięć lat potem zniszczono im zbór i trzy domy³. Dyaryusz opisuje to zajście jak następuje: „Nieznani jacyś ludzie spalili synagogę luterską, nazajutrz sąsiedni dom gościnny, trzeci kalwiński, który był pomiędzy domami katolików, wypędziwszy ministra, w nocnym napadzie zburzyli; wreszcie prywatny dom pewnego heretyka zrabowali. Ta sprawa dała heretykom okazję do czernienia nas, głównie dlatego, że dwaj współwinni tego rabunku, schronili się do naszego kolegium, przyczem nasi o nic ich nie podejrzewali, a następnie ucieczką się ratowali. Cały gniew ich jednak zwrócił się nastę-

¹ Fol. 51. r. — 51. v. a. a. 1606. Cfr. Łukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 308, nie wspomina nic o tym sądzie, lecz za Węgierskim przytacza twierdzenie: „dnia 13 kwietnia (ma być 23 marca) około 300 uczniów jezuickich, uzbrojonych w broń palną, napadło na kościół luterski, rozegnało strażę i zniszczyło gmachy kościelne ogniem i żelazem“.

² Fol. 63. r. a. a. 1609.

³ Łukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 314: „Dnia 6 czerwca (1614) uczniowie jezuickcy z pospólstwem spalili kościoły braci czeskich na przedmieściu św. Wojciecha i luterski na górze czerwowskiej“.

pnie przeciwko biskupowi poznańskiemu (Jędrzejowi Opalińskiemu), który spaloną synagogę odbudować zakazał¹.

Wreszcie w nocy 13 lipca 1616 r. spalony został zbór luterski. Sprawę tę znowu przypisywano studentom, a najgłośniej odzywał się z tem mieszczanin toruński, Jeremiasz Koninberg. Pozwali go więc Jezuiti i studenci do senatu miejskiego o oszczerstwo. Wtedy, trzeciego dnia, stawił się pokornie w kolegium, przybrawszy sobie jeszcze dwóch obywateli, zarzekając się, że nie na Jezuitów nie wygadywał. Rektor nie poprzestając na tem, kazał mu wobec wójta złożyć takie samo piśmienne oświadczenie. Taki sam los spotkał jakiegoś szewca, który również oszczerstwa na Jezuitów miotał².

Z tym też rokiem kończą się zaburzenia i zatargi z innowiercami, o które studentów jezuickich wprawdzie zawsze posądzano, ale nie zawsze sprawiedliwie i słusznie. Odtąd trafiają się jeszcze raz po raz zatargi z Żydami, przeciwko którym pospólstwo niemal codziennie burdy uliczne wszczynало, jednakże Jezuiti wydalali bezwzględnie każdego studenta, który zaburzenia stał się przyczyną³. Wszystkie te zaburzenia, w których studenci jakkolwiek udział brali, są starannie zapisywane, więc też najmniejszego niema powodu wątpić o ich ścisłości.

¹ Fol. 76. a. a. 1614. „Haereticorum maior in praesens furor quam alias. Nam quidam vulgo ignoti homines synagogam Lutheranorum, altero die domum vicinam hospitalem incendio sustulerunt, tertiam Calvinistarum quod inter domos Catholicorum esset, fugato ministro, nocturno insultu diripuerunt, postremo privatam unius haeretici domum spoliarunt. Ea res maximam haereticis dedit anam nos calumniandi“.

² Fol. 80. v. a. a. 1616. — Łukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 314: „Dnia 12 lipca uczniowie jezuickcy wraz z pospólstwem, opatrzonem we wszelkie narzędzia, zrównali z ziemią kościół luterski na górze czerwowskiej. Dnia 3 sierpnia t. r. ciż sami uczniowie zniszczyli podobnymże sposobem kościoły braci czeskich na przedmieściu św. Wojciecha“. A więc dwa razy to samo (r. 1614 i 1616) się powtórzyło?

³ Roku 1618, powstrzymani zostali studenci od udziału w zaburzeniu, które wynikło przeciwko Żydom, o obrazę malarza, który namalował Żyda siedzącego na świni. Przy zaburzeniu tem krew się polała. (Fol. 88. v. a. a. 1618).

R. 1619, wszczęła się burda o to, że chirurg heretyk obił Cystersa, słuchacza teologii w szkole jezuickiej. Ujęli się studenci, a chirurg obity i do

Jeden z najgłośniejszych rozruchów przeciwko Żydom był 24 maja 1628 r., wywołany przez pospólstwo i jakiegoś duchownego. Wmieszali się też do niego studenci, ale wysłano czterech Jezuitów, którzy studentów i duchownego odwiedli i tumult uśmierzyli. Ale nazajutrz burda wszczęła się na nowo, a co gorsza, pospólstwo rabowało nawet domy szlacheckie. Bramy miasta były przez cały następny dzień zamknięte, a magistrat i urząd grodzki domagali się wydania studentów. Jezuitci odmówili, oświadczyli tylko, że winnych ukarzą, albo ze szkół wydadają. Sejmik średzki wymógł wysłanie podwójnej komisji śledczej, ze strony króla i ze strony biskupa poznańskiego, ale inkwizytorzy skonstatowali, że wszyscy studenci, którzy udział wzięli w zaburzeniu, albo już byli ukarani, albo ze szkół wydalen¹. W czasie tym był rektorem kolegium poznańskiego, znany nam już O. Jan Wielewicki.

Nie mniej energicznie postąpił sobie w 4 lata potem (1632) rektor Stanisław Szczytnicki, kiedy studenci wszczęli zatarg ze strażą miejską w bramie Wrocławskiej. Jeden ze straży zdrzemnął się i przez nieostrożność przestrzelił kapelusz studentowi. Za to go studenci obili. O tę obrazę straży miejskiej upomniał się generał wielkopolski i marszałek nadworny (Stanisław Przyjemski). Rektor urządził śledztwo i chłopiec, który dał główną przyczynę zaburzenia, jako jeszcze mały, dostał różgi, a starsi dostali baty, wobec wszystkich zgromadzonych klas².

Tę satysfakcyę uznano też za wystarczającą, a kiedy w mie-

więzienia wtrącony, musiał publicznie studentów przeprosić i z miasta został wydalony. (Fol. 90 v. a. a. 1619).

R. 1626, wszczął się spór pomiędzy studentem retoryki a Żydem Manassem, który służył u wojewody łęczyckiego, generała Wielkopolski (Adama Czarnkowskiego). Burgrabia wojewody, Sztamet, kazał studenta pochwycić hajdukom i obić. Za to studenci złapawszy Manassesa, oddali mu piękne za nadobne i ciągnęli go do rzeki, żeby go niby ochrzcić, aż go Jezuitci z rąk studentów uwolnili. Pokazało się następnie, że ten Manasses był złodziejem i chciał okraść wojewodę, przeto wydał go Żydom, a ci batami go obili. (Fol. 96. v. a. a. 1626).

¹ Fol. 99. r. a. a. 1628. Łukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 319. O udziale studentów jezuickich w ostatnich tych burdach nie wspomina.

² Fol. 107 v., 27 maii 1632.

siąc potem jeden ze straży przechodzącego bramą chłopca pięścią uderzył, został na trzy dni wsadzony do więzy i musiał publicznie w kolegium prosić o przebaczenie ¹.

Takie surowe postępowanie miało też ten skutek, że zaburzenia trafiają się coraz rzadziej, a ostatnie ważniejsze zapisuje nasz dyaryusz krótko pod r. 1639. Był to zatarg studentów z obywatelami miasta na ulicy Wrocławskiej, o to, że jeden z nich wydalil z domu swego studenta, który mu nie mógł za stół zapłacić. Sprawa skończyła się wypędzeniem winnych ze szkoły ².

Z tego szeregu studenckich zaburzeń wynika dla nieuprzedzonego czytelnika najpierw to, że w ciągu lat 80-ciu, jakie obejmuje nasz dyaryusz, wydarzyło się ich razem trzydzieści, licząc w to najdrobniejsze figle studenckie, których inna szkoła w swojej kronice pewnieby wcale nie zapisywała. Po wszystkie bowiem czasy młodzież szkolna szukała guza i nikt z nas pewnie za młodych lat bez niego się nie obył. Z tego więc o niekarności studentów jezuickich wnioskować wcale nie można. Tem mniej posądzać Jezuitów o tolerowanie wybryków, skoro za nie i bili i ze szkół wypędzali.

V.

Szkoły jezuickie uważały za część niezbędną wychowania włożenie młodzieży do grzeczności i obejścia z ludźmi, do szanowania starszych i zasłużonych osób. Zwano to *urbanitas*, a pojmowano ją jako zewnętrzną ogładę, przyzwoite ułożenie i zachowanie się w mowie i w ruchach. A ponieważ młodzież polska miała przed sobą w dalszem życiu szerokie pole do publicznego występowania, więc zaprawiano ją do tego przez deklamacje i popisy publiczne, dysputy, dyalogi i teatralne przedstawienia. Jest to strona wychowania, dzisiaj w niektórych krajach zupełnie zaniedbana tak dalece, że publiczność wcale nie ma do szkoły przystępu.

Szkoły protestanckie dbały wówczas również o tę stronę wy-

¹ Fol. 108. 20 Junii 1632.

² Fol. 121. v. Junius a. 1639. Łukasiewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 322.

chowania i dawały także teatralne przedstawienia i dyalogi, z tą tylko różnicą, że nie bardzo były troskliwe w dobieraniu przedmiotu, i uczniowie ich przedstawiali komedye Plauta, które dla młodzieży nie bardzo są stosowne. Natomiast jezuicy studenci dawali przedstawienia z historyi św. i powszechnej, oraz z życia Świętych. Układali je profesorowie, a czasem i zdolniejsi uczniowie.

Inny jeszcze był rodzaj publicznych występów młodzieży, tj. panegiryki, które układali uczniowie na przyjęcie dostojników, którzy szkoły odwiedzali, a jakiegokolwiek może być zapatrywanie na okres panegiryczny naszej literatury, to przecież przyznać należy, że lepiej jest gdy młodzież zasłużonych w kraju obywateli uczy się szanować, niż żeby lekceważenie jawnie okazywała, jak to się niestety nieraz widzieć zdarza.

Po otworzeniu szkół w Poznaniu, przez pierwsze lat dwadzieścia, rozpoczynano nauki uroczystością szkolną dwa razy do roku. Dopiero *ratio studiorum* przepisała, żeby uroczystości szkolne raz do roku się tylko odbywały. Tem samym rok szkolny trwał cały rok i raz na rok tylko dawano promocye do wyższej klasy¹.

W pierwszym zaraz roku, jakeśmy już wspomnieli, rozpoczęto nauki na św. Jan. We wrześniu były wakacye, a po miesiącu na nowo uroczystie zaczęto nauki. Najciekawsze zaś przytem było to, że rozpoczęto je publicznemi dysputami, na które innowiercy zostali wezwani. Stawili się też licznie. Byli nawet heretycy z Włoch, którzy jednak „miętko i skromnie dysputowali“.

Było to w Polsce coś tak nowego, że ciżby ciekawych nie mogła pomieścić szkoła, tak dalece, że Stanisław Górka, brat wojewody, stał na ulicy i oknem dyspuć się przysłuchiwał. Dotąd bowiem uchodzili heretycy za mądrzejszych od katolickiego duchowieństwa, które wyzywane na dysputy zwykle się nie stawiało. Teraz znalazł się ktoś, który sam innowierców

¹ Fol. 31. r. a. a. 1592. „Nova per universam Provinciam ratio studiorum cepit, multo melior et commodior antiqua. Iamque in posterum una dumtaxat solemnitas ad superiores scholas fiet studiosorum in anno promotio, quae hactenus bis fieri solebat“.

wzywał do walki, i teraz odwróciła się karta: najgłośniejsi w Poznaniu heretycy, Jakób Niemojewski i Leonard Górecki, wzywani na dysputę publiczną, nie stawiali się później na wezwanie. Przegrana więc była po ich stronie, a cały urok uczości, jakim się dotąd otaczali, został tem samem zniweczony.

U ludności katolickiej potrafiły szkoły jezuickie obudzić wielkie zajęcie, a co ważniejsza, potrafiły w rodzicach rozbudzić chęć posyłania dzieci do szkoły, która nie była bardzo wielka. Ponieważ zaś przymusu szkolnego w Polsce nie było, więc też później musiała kapituła poznańska nakazywać mieszkańcom Chwaliszewa, Śródki, Piotrowa, Zawad i Ostrówka, aby dzieci swoje nie gdzieindziej tylko do szkoły Lubrańskiego posyłali¹. Zakaz ten jednak nie bardzo skutkował, choć te części miasta do juryzdykcyi kapitulnej należały.

Środkiem, który szkoły jezuickie czynił popularnemi, były między innemi publiczne przedstawienia.

Pierwsze takie przedstawienie odbyło się w kościele św. Maryi Magdaleny w Boże Narodzenie. Były to jasełka (*dialogus pastorum*), a napływ ludu był taki, że aż na ołtarze wchodzili. Ponieważ duchowieństwu to podobać się nie mogło, przeto od-tąd dawano przedstawienia dla ludu po polsku na rynku lub na cmentarzu, a po łacinie w szkole, dla zaproszonych gości. Te publiczne przedstawienia dla ludu bywały widocznie w związku z kazaniem, które Jezuici miewali w kościele. Tak np. dawano przedstawienie polskie z historyi Tobiasza, aby lud lepiej spa-miętał objaśnienia tejże księgi, które w szeregu kazań słyszał z ambony². Te przedstawienia publiczne musiały też wielkie wywierać wrażenie na lud, który teatru wogóle nie znał i nie widział. Czytamy bowiem, że kiedy studenci dali na rynku

¹ Lukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 20.

² Fol. 9. r. VII. Kal. Octobris, „repraesentatus est populo dialogus Tobiasae polonicus, ut plebs eo maiori fructu memoria teneret quae paulo ante in concionibus circa libri huius explicationem audiverat“.

w Boże Ciało (1577) przedstawienie „Ofiary Izaaka“, wtedy lud płakał z rozrzewnienia ¹.

Przedstawienia w szkole trwały czasami aż dwa dni, jak np. tragedia „Achaba“, która się niezmiernie widzom podobała ². Zdarzało się też, że przedstawienie przeciągało się do późnej nocy. Tak np. r. 1636, gdy nowy biskup poznański, Andrzej Szoldrski, wielki uczącej się młodzieży dobroczyńca, z którego fundacyi do dzisiaj istnieje konwikt im. Szoldrskich w gmachu rejencyjnym, nastął do Poznania, dawano w kolegium dyalog, który trwał od południa do późnej nocy, tak że biskup nie mógł już do domu wrócić, tylko przenocował w kolegium. Nazajutrz odprowadzili go studenci uroczystie do pałacu w licznym bardzo i niezwykle strojnym orszaku. Treści tego dyalogu nie podaje nasz dyaryusz ³.

Nowość ta podobała się tak dalece polskim panom, że byliby chcieli studenckich przedstawień używać do podniesienia domowych swoich uroczystości. Tak np. wojewoda gdański (Maciej Zaliński), zachwycony jednym z przedstawień, danem na rynku, prosił Jezuitów, aby przysłali studentów na pogrzeb jego żony. Tej prośbie jednak odmówiono. Trudniej było odmówić większemu panu, jakim był marszałek koronny, Opaliński, który wydawał za mąż córkę (1580) i prosił, żeby studenci na weselu dali przedstawienie. O. Brant ułożył tragi-komedję, przedstawiającą „uczty Baltazara“, co nie bardzo jako temat weselny mogło być stosowne. Teatr był na zamku wspaniale urządzony, ale ponieważ obiad trwał aż do wieczora, więc przedstawienie przeciągnęło się do drugiej w nocy. Dlatego też prowincyał zakazał

¹ Fol. 11. v. a. a. 1577. „Pro festo Corporis Christi habitus in foro dialogus, qui Abraham immolantem Isaac, cum ea audientium voluptate representavit, ut multi resoluti in lachrymas, piam animi prodiderant affectionem“.

² Fol. 10. v. a. a. 1576. „Idibus Octobris repetita studiorum ratio.. Postnotum data Achabi Thraegoedia duobus diebus continuata... Fuit hoc insolitum et valde gratum auditoribus, tantae longitudinis spectaculum“.

³ Fol. 119. a. a. 1636.

raz na zawsze, żeby poza domem takich przedstawień nie urządzano ¹.

Dyalogi i przedstawienia publiczne ustały widocznie rychło, bo dyaryusz wspomina tylko o czterech czy pięciu; przedstawienia w szkole były zrazu dwa razy do roku, stosownie do tego, że i szkoły dwa razy uroczystie rozpoczynano. Z zaprowadzeniem nowej *Ratio studiorum*, odbywały się tylko raz na rok, a później jeszcze rzadziej. Tylko profesor retoryki miewał uroczystą mowę przy rozpoczęciu nauk, co się działo pod koniec września. Wzmianki o dyalogach i przedstawieniach (*actio*) są też w dyaryuszu coraz rzadsze i to zwykle z okazji jakiej innej uroczystości, albo na przyjęcie jakiego dostojnika.

Zaraz też w pierwszym roku po otwarciu szkół (4 lutego 1574 r.) witali studenci jezuiccy uroczystie Henryka Walezego. Student jezuicki, przebrany za św. Michała Anioła, trzymał w ręku miecz i wagę. Ten miecz srodze się nie podobał innowiercom, podejrzewali bowiem, że na nich głównie miał być wymierzony. Pochód orszaku królewskiego trwał cały dzień, tak, że dopiero pod wieczór sam król wjechał w bramę i tu powitany został przez studenta. Nazajutrz był obiad w pałacu biskupim i wtedy inny ze studentów, w polskim stroju, deklamował przed królem wiersz francuski. Francuzi dziwili się doskonałej wymowie, aż ku wielkiej swej radości dowiedzieli się, że chłopiec był rodowity Paryżanin. Całe to wystąpienie Jezuitów musiało bardzo kłuć w oczy innowierców, bo król Henryk nawet nie śmiał odwiedzić kolegium, żeby ich bardziej jeszcze nie obrazić. Cała ta uroczystość skończyła się też smutnym wypadkiem. Ponieważ w tym czasie było w Poznaniu bardzo wielkie błoto, więc chłopcy musieli z pałacu biskupiego wracać konno. W drodze obalił się koń pod studentem i chłopiec złamał nogę ². Również witali studenci uroczystie każdego nowego biskupa i wojewodę.

Króla Zygmunta III. witali dwa razy uroczystie. Pierwszy raz 1 marca 1594 r., kiedy po koronacyi wracał ze Szwecyi,

¹ Fol. 11. v. a. a. 1577. Fol. 15 v. a. a. 1580.

² Fol. 6. v. a. a. 1574.

powitali go pod łukiem tryumfalnym. Nazajutrz był król wraz z królową na Mszy św. w kościele św. Stanisława i odwiedził kolegium, gdzie go witali łacińską oracyą. Drugi raz odwiedził król Zygmunt Poznań w r. 1623, ale w dyaryuszu naszym rok ten zupełnie jest pominięty. Wiemy tylko skądinąd, że król wraz z królową Konstancją i królewiczem Władysławem, odwiedził kościół św. Stanisława i kolegium, gdzie go studenci uroczystie witali oracyą łacińską¹.

Niemniejszą wystawność rozwijali studenci jezuicy przy pogrzebach swoich współuczniów. Tak np. kiedy (r. 1632) umarł student retoryki, Mikołaj Szoldrski, a ciało jego eksportowano do Czempinia, wtedy studenci odprowadzili je za bramę miasta z wielką pompą. Najpierw zbudowano łódź, jako herbowy znak umarłego, umieszczoną na wozie. Na łodzi tej spoczywała trumna. Na przodzie łodzi stał student, wyobrażający anioła stróża Kongregacyi Maryańskiej i ten trzymał w ręku kotwicę. Drugi także przebrany za anioła, trzymał chorągiew z napisami. Za miastem miał student mowę polską².

Przedstawienia te i uroczystości, przy których młodzież okazywała tyle pewności w wystąpieniu publicznem, musiały się podobać rodzicom, dlatego też szkoły jezuickie w Poznaniu cieszyły się coraz większą liczbą uczniów. Z początku nie musiała być liczba ta zbyt wielka i dyaryusz nie o niej nie wspomina. Dopiero pod r. 1581 znajdujemy wzmiankę, że biskup poznański (Kościielecki Łukasz 1577—1597) bierzmował w kościele św. Stanisława 200 uczniów i to w dzień św. Katarzyny³. Ta sama liczba uczniów znalazła się w pięć lat potem (1586), kiedy otwierano szkoły 16 marca. Przerwała jednak wówczas nauki powódź i dlatego rozpuszczono chłopców, a rozpoczęto nauki ponownie 18 kwietnia⁴. Rok to jednak był nieszczęśliwy, bo wybuchła zaraza we wrześniu i znowu, za radą magistratu, musieli Jezuici młodzież rozesłać do domów.

¹ Fol. 34. r. a. a. 1594. Łukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 316.

² Fol. 109. ³ Fol. 17. v.

⁴ Fol. 24. v.

Natomiast w r. 1609 urosła już liczba uczniów do tysiąca, tak że uczniów gramatyki w trzech klasach pomieścić musiano¹. Do powiększenia tej liczby studentów przyczyniło się wtedy i to, że Kalisz wówczas pogorzał. Liczba ta jednak nie umniejszała się następnie, lecz owszem jeszcze urosła, bo w r. 1614 było uczniów przeszło tysiąc². Roku 1644, za rektoratu O. Kaspra Drużbickiego, musiała ta liczba być jeszcze większą, skoro uczniów retoryki liczono 160. Z tego powodu musieli Jezuici zmienić lokale, tak że retorykę umieścili w lokalu filozofów, a filozofów w retoryce. Srodze o to byli filozofowie obrażeni, tak że prawie wszyscy (oprócz trzech) za przewodem zakonników szkołę opuścili. *Strike* ten nie trwał jednakże długo i skończył się ukaraniem jednych, a wydaleniem drugich³.

Nie ulega wątpliwości, że do podniesienia liczby uczniów jezuickich przyczyniło się i to, że przez dłuższy czas nie było innej szkoły wyższej w Poznaniu i że nawet seminaryum dyecezalne było z nią połączone.

W chwili gdy Jezuici przybyli do Poznania, nie było takiego seminaryum ani w Poznaniu, ani w Gnieźnie⁴. Dlatego

¹ Fol. 64. v. a. a. 1609. „Numerus crevit ingenter studiosorum propter Calissium recenter exustum, initio statim millenni numerabantur, quare ad genuinam grammaticae scholam omnino addenda erat tertia. Eam ob rem secuta est aliqua permutatio scholarum, quod hac occasione quaerendus esset locus aliis, eademque occasione schola rhetoricae in superiorem domus partem traducta“.

² Fol. 76. v. a. a. 1614. „Scholae florentissimae sunt numero et splendore, mille amplius gymnasium frequentant“.

³ Fol. 126. a. a. 1644. „Multitudine rhetorum exaggerante quodque eos schola sua non caperet (erant n. 160) translati sunt Philosophi in eorum locum, illis autem Philosophorum schola assignata turbavit... insolentes Philosophos adeo, ut pene omnes (vix tribus exceptis) ductoribus Religiosis quibusdam ejusdem auditoribus, abierunt omnes ex Collegio. Porro cum stultae ipsorum insolentiae nulla ratio haberetur tandem poenitentia ducti, contumaciam posuere et variis iniustis modis vix tandem veniam impetrarunt et poenis datis, aliquibus etiam exclusis, ad modestiam et scholam rediere“.

⁴ Fol. 18. v. a. a. 1582. „Interea Jll. Rm. Stanislaus Karnkowski e Wladislaviensi Episcopatu in Metropolitanum Archipraesulem erectus... Nostris... consilia sua de novo Collegio et Seminario extruendo et Posnaniensi perficiendo aperuit“. — Seminaryum dyecezalne gnieźnieńskie założone

też biskup Konarski pragnął oddać jego kierunek Jezuitom, a na założenie tegoż seminaryum zapisał 4500 zł. kapitule, która też czynsz od tej sumy (320 zł.) w następnym roku im wypłaciła¹. Jezuitom nadto zapisał 1000 zł., ale kiedy go śmierć zaskoczyła (1 grudnia 1574 r.), a rektor ówczesny Jakób Wujek dopominał się o wypłatę tej sumy, wtedy krewniacy biskupa, którzy się o pozostałe ruchomości między sobą kłócili, ledwo go nie rozsiekali².

W trzy lata potem dał początek seminaryum kanonik poznański, Hieronim Powodowski, który najął stancję u pewnego obywatela i czterech młodzieńców umieścił. Z tych wstąpił jeden do Franciszkanów *De observantia*, trzej inni po dwu latach święcenia kapłańskie otrzymali³.

Nareszcie po trzech latach (1580) pomyślała kapituła poznańska na seryo o założeniu seminaryum duchownego. Przyspieszyła sprawę ta okoliczność, że w Poznaniu bawił właśnie wizytator O. Wawrzyniec Magius. Ten też zgodził się na żądanie kapituły, żeby Jezuitci objęli ster seminaryum. Najęto przeto dom sąsiadujący z kolegium (na butelskiej ulicy), sprawiono potrzebne sprzęty, wyznaczono z pomiędzy kanoników prowizorów, ekonomem ustanowiono mieszczanina, który miał być pod dozorem O. Rektora i w następnym roku (1581), w dzień św. Agnieszki,

zostało przy kolegium jezuickiem w Kaliszu i było tam aż do r. 1622. Czyni o tem wzmiankę dyaryusz (fol. 93. v. 30 maii 1622): „Actum est a R. P. Rectore (Wielewicki) cum Dnis Capitularibus Gneznensibus, qui Seminarium Calissienne, nostris olim a S. Memoriae Illmo Stanislao Karnkowski Archiep. Primate Regni, Fundatore Collegii Caliss. addictum, a nobis alienabant. Sed nihil effecit P. Rector. Oblata illis officiosa citatione discessum est“.

¹ Fol. 10. v.

² Fol. 7. v. a. a. 1574: „Parum aberat, quin ipsi consanguinei Antistitis, de bonis mobilibus et haereditate secum invicem contententes, digladiarentur“.

³ Fol. 12 a. a. 1577. „Hieronimus Powodowski, vir in religione promovenda liberali praeditus ingenio et postmodum pluribus honoribus ecclesiasticis auctus et piorum librorum, quos edidit, dignitate celebris, quoddam futuri seminarii praeludium hoc anno cepit. Conducto enim apud quendam civem hospitio, quatuor iuvenes in studio alebat. Quorum unus religiosus S. Francisci Minorum de Observantia factus, tres alii in presbyteros ordinati post biennium, beneficiis Patroni vocatione sua responderunt“.

wprowadzono do nowo urządzanego budynku dwunastu alumnów, z którymi mieszkało dwóch Jezuitów, jeden Ojciec i jeden scholastyk. Nazajutrz wysłuchali klerycy w katedrze, w kaplicy fundatora, biskupa Konarskiego, Mszy św. i wykonali przysięgę wobec kanonika, prowizora seminaryum, wedle formuły, którą im przedłożono ¹.

O losach tego seminaryum dyecezalnego, nie masz odtąd w dyaryuszu żadnej wzmianki. Istniało ono tam jednak trzydzieści trzy lata (1581—1614). Dopiero bowiem 26 maja 1614 r. zostało przeniesione do innego budynku w pobliżu katedry. Jako powód podawano brak funduszków, w rzeczywistości chodziło o to, żeby kościół katedralny miał z kleryków posługę i ozdobę. Jezuiti domagali się wówczas świadectwa od kapituły, że nie mają żadnej w tem przeniesieniu winy. Kapituła jednakże tego świadectwa im nie dała. Wtedy kazali je sobie wystawić przez publicznego notaryusza ².

Musiały przytem zająć pewne kwasy, skoro kapituła nie chciała żądanego świadectwa wystawić, ale dziwniejsza jeszcze jest ta okoliczność, że dyaryusz ani słowem nie wspomina, iż właśnie w tym czasie otworzono na nowo szkołę Lubrańskiego przy tumie, która w XVI. wieku całkiem była podupadła.

Wznowił ją Jan Rozdrażewski, sufragan kujawski, który w r. 1612 znaczny legat (28.000 złp.) na nią przeznaczył i statut przepisał. Szkoła ta, w połączeniu z seminaryum duchownem, nosiła odtąd tytuł akademii i to był też jeden z powodów, że Jezuiti nie mogli dla swoich szkół otrzymać tytułu akademii, choć w rzeczy ją mieli, jak o tem zaraz powiemy.

¹ Fol. 15. v. a. a. 158. Fol. 17. r. a. a. 1581.

² Fol. 76. a. a. 1614. „Contubernium clericorum externorum 26 Maii dissolutum est et nostris cura eius sublata: causa dissolutionis praetextebatur defectus impensarum. Verum successu temporis animadversa est alia, nempe, ut ex civitate ad episcopae templum transferatur et eidem maiori commodo et ornamento esset. Ac ne inde nobis aliquod malum accessetur, nostri postularunt testimonium a V. Capitulo, quo pateret non nostra id culpa factum esse, quod quia non monstraverunt, coram alio publico notario suam hac in parte integritatem attestari et ab eo testimonii publicum instrumentum impetrare debuerunt“...

Akademia Lubrańskiego kwitnęła w Poznaniu tak długo, jak sięga nasz dyaryusz, tj. do napadu Szwedów (1656). Potem już się podźwignąć nie zdołała. W naszym też dyaryuszu znajdują się tylko rzadkie i dorywcze wzmianki o tejże szkole, które świadczą, że Jezuita musieli starannie unikać wszelkiego powodu do zatargu, zwłaszcza, że biskupi poznańscy byli na tym punkcie widocznie bardzo drażliwi¹.

Nie obyło się też i bez tego, żeby między studentami jednej i drugiej szkoły nie wyrodził się pewien antagonizm. Jednakże dwa razy tylko wspomina dyaryusz o bójkach pomiędzy studentami i to pod r. 1638.

W tym roku wynikł zatarg pomiędzy studentami obydwóch zakładów. Celem uspokojenia umysłów nazначył biskup (Szoldrski) sąd, złożony z dwóch profesorów akademii i dwóch Jezuitów. Przewodniczył jeden z kanoników poznańskich. W czasie sądu uderzył w sieni przed szkołą jezuicki student akademika w twarz. Biskup wziął to zrazu za swoją obrazę, wezwał przed siebie Jezuitów, ale następnie złagodził². Tegoż roku w czerwcu, zranili trzech akademicy studenta jezuickiego na ulicy. Za to zapłacili karę i wzięli w skórę od swoich przełożonych, a rektora kolegium (Szczytnickiego) przeprosili³.

Wspomniana przez nas sprawa akademii jezuickiej w Poznaniu, była niedawno temu dosyć obszernie opisana⁴.

¹ R. 1628 w październiku dowiedział się rektor (Jan Wielewicki), że Wiktor Szamotulski, lektor Bernardynów w Kobylinie, napisał list do dyrektora szkoły katedralnej, w którym Jezuitów oczernił. Zniewolono go do odwołania. (Fol. 99. r. October 1628). R. 1632 miał przy uroczystem otwarciu szkół mowę magister retoryki O. Jan Pięłowski. Obecni niektórzy roznieśli, że mówił przeciw szkole katedralnej. („Academiam vulgo vocant“). Fol. 108. r. a. a. 1632). R. 1647, uciekło kilku chłopców ze szkoły Lubrańskiego do szkoły jezuickiej, ale ich rektor (Družbicki) nie przyjął, „offensam Rdissimi veritus“. Mimo to był biskup (Andrzej Szoldrski) tak zagniżwany, że nie chciał rektorowi udzielić umocowania do aprobaty. Następnie jednak dał się ułagodzić. (Fol. 134. a. a. 1647).

² Fol. 120. r. a. a. 1638 mense januario.

³ Fol. 120. v. a. a. 1638 junius.

⁴ L. Scherman, *Der Plan der Gründung einer Jesuiten-Universität in Posen. Festschrift*. Posen 1888. Autor dziękuje mi w swej pracy, za udzie-

Nasz dyaryusz jednakże wprost o niej nie wspomina, więc też ściśle wzięwszy, do naszego zadania tutaj nie należy.

W rzeczy samej chodziło właściwie tylko o prawo promocy i udzielania stopni akademickich, bo w szkołach poznańskich mieli Jezuici kursa akademickie, tj. filozofii i teologii, innych bowiem nie wykładali.

Kurs filozofii otworzyli już r. 1585 i wtedy zapisało się od razu 40 uczniów, którzy już retorykę ukończyli. Pierwszego profesora sprowadzili z Włoch i był nim O. Fabrycy Palavicini, drugim profesorem był O. Jan Klein, następnie profesor w Ołomuńcu, Gracu i Wiedniu¹ († 1602).

Kurs teologii scholastycznej otworzyli dopiero w dwaście lat później (1598) i znowu sprowadzili dwóch profesorów, głośnych z nauki, a mianowicie z Hiszpanii O. Jakóba Ortiz(iusza) i O. Ryszarda Singleton z Anglii. Ponieważ zaś liczba słuchaczy filozofii i teologii była wielka, przeto teologię wykładało od razu pięciu profesorów. Oprócz bowiem dwóch wyżej wymienionych, wykładało jeszcze trzech innych: jeden *casus conscientiae* tj. teologię moralną, drugi *controversias* tj. teologię fundamentalną, a trzeci wykładał język hebrajski. Rok to pamiętny śmiercią pierwszego rektora poznańskiego kolegium, O. Jakóba Wujka († 1598), którego nazwisko wiąże się z tłumaczeniem Pisma św. na język nasz ojczysty, aprobowanem przez Stolicę Apostolską².

lone mu wówczas wskazówki i wypisy z dyaryusza Wielewickiego (Cfr. l. c. p. 31, 64). Na mocy niniejszego dyaryusza będzie należało niejedno w tej pracy uzupełnić i sprostować.

¹ Fol. 22. v. a. a. 1585. „Cum eo anno dandum esset Philosophiae initium, institutum est examen Rhetorum, ut idoneis auditoribus pateret aditus ad eam audiendam. Itaque 6 Idus Januarii praemissa Oratione in laudem Philosophiae, disputatum est... et Philosophi promoti quadraginta“. — Ponieważ O. Palavicini nie przybył na czas, więc tymczasem O. Marcin Łaszcz dyktował prolegomena filozofii. — W r. 1597 zawieszony był kurs filozofii: „plures ob causas intermissus hoc anno philosophiae cursus, plures et diligentiores pro anno sequenti peperit auditores“.

² Fol. 38. v. a. a. 1598. „Primus iste est annus theologiae scholasticae, de qua dudum instituenda agebant Patres, sed quia sumptus necessari

Równocześnie rozpoczęli Jezuici budowę osobnego budynku na pomieszczenie akademii, która w tym roku znacznie już postąpiła. Zdaje się, że na ten cel właśnie odkupili od wojewody kaliskiego, Potulickiego, dom, dawszy mu na zamianę inną kamienicę w Toruniu, i że go przebudowali ¹.

Z tą chwilą odbijają się i w naszym dyaryuszu echa głośnego zatargu Jezuitów z Akademią Krakowską, która opierając się na przywileju swoim, że obok niej żadnej innej akademii w Polsce być nie powinno, przywileju tego zacięcie broń. Po stronie Akademii stawali wówczas biskupi i szlachta na sejmikach i sejmach, ale dzisiaj nikt pewnie nie będzie podzielał tej zasady, żeby na całą Polskę jeden zakład naukowy miał być wystarczający. Dlatego też król Batory, nie pytając o przywileje, otworzył akademię w Wilnie, a nawet nieprzyjaciele Zakonu przyznają, że liczne ich kolegia, zakładane na Litwie i Żmudzi, rozproszyły ciemnotę, która te strony zalegała ².

Jeśli Akademia Krakowska wówczas obawiała się emulacyi Jezuitów do tego stopnia, że nie dopuściła do wykonania uchwały synodu Piotrkowskiego z r. 1589, aby Jezuici w uniwersytecie wykładali Pismo św., to po latach trzystu wydział teologiczny

defuerunt, negotium fuit in hunc annum prolongatum. Primi professores dati sunt magnae eruditionis viri P. Jacobus Ortizius, Hispanus, et P. Richardus Singletonius, Anglus“.

¹ Fol. 38. r. Fol. 39. r. a. a. 1598.

² Fol. 28. v. a. a. 1589. Fol. 28. v. a. a. 1590. Fol. 74, v. a. a. 1612.

Lukaszewicz, „Historya szkół“, l. c. t. I, p. 272: „Jednakże Jezuici mieli i zasługi swoje w zawódzie nauczycielskim. Przed zaprowadzeniem ich w Koronie i Litwie były okolice, mianowicie zaś w Litwie, Wołyniu, Podolu, Ukrainie i Rusi Czerwonej, gdzie na kilkadziesiąt mil wokół, prócz szkółek elementarnych, innych szkół nie znano. Gnuśna bowiem Akademia Krakowska nie zadawała sobie pracy w wyszukiwaniu takich miejsc. Jezuitów więc jest zasługą, że przez zakładanie w tych stronach szkół swoich, roznieśli jakie takie oświecenie, nawet pomiędzy niepolskimi plemionami. Do tego do szkół jezuickich uczęszczało wielu paniczów, którzy do posług mieli chłopców, synów ekonomów, podstarościch. Chłopców tych przyjmowali Jezuici do szkół swoich porówno z ich panami i tym sposobem ułatwiali nabywanie nauk uboższym klasom: co zaiste niemałą jest tego zgromadzenia zasługą. Przykład ten musieli też naśladować Pi-jarzy“.

tegoż uniwersytetu nie wahał się ofiarować katedry teologii dogmatycznej Jezuitom i podobno źle na tem nie wyszedł. Inną też drogą niż Akademia Krakowska poszła Sorbona paryska w XVI. wieku, bo gdy Jezuitom założyli akademię w Paryżu, zwaną Clairmont (na Clara Mons), Sorbona zebrała najlepsze siły naukowe i rywalizacyi wcale się nie ułękła.

Jezuitom w Poznaniu mieli trzykrotnie od królów polskich dany przywilej na otworzenie akademii: r. 1614 od Zygmunta III., r. 1650 od Jana Kazimierza i 1678 od Jana III. Za każdym razem musieli królowie cofać dany przywilej. Dla czego Wielkopolska broniła się przed tem dobrodziejstwem, którego do dziś daremnie wyczekuje, gdy inne części Polski akademie posiadały, to już dzisiaj niewczesnymby było przedmiotem żalu.

VI.

W miarę jak rosły szkoły jezuickie, okazywała się też potrzeba rozszerzenia gmachu szkolnego i pomieszczenia coraz liczniejszego Towarzystwa Jezusowego.

Zrazu wybudowali niewielki dom tuż obok szkoły parafialnej, tuż obok kościoła św. Stanisława, i w tym domu na piętrze urządziwszy wspólne mieszkanie (*hypocaustum commune*), otworzyli swoje szkoły. Ale już w sześć lat potem okazał się ten dom tak szczupłym, że marszałek koronny, Opaleński, zniewolił magistrat, że odstąpił Jezuitom budynek szkoły parafialnej, a w to miejsce zbudował nową szkołę obok „Bramki“¹. Inna jeszcze była niedogodność w tem, że mur miejski odgradzał Jezuitów od ogrodów, które już posiadali poza kościołem św. Stanisława. Pierwszy z tych ogrodów darował im Jezuita, O. Grodzicki, odziedziczywszy go po matce, dalsze powoli dokupywali. Z trudnością tylko uprosili sobie klucz od furty w murze (*porta minor*), która

¹ Fol. 14. v. a. a. 1578. Szkołą tą parafialną zamierzali niektórzy z radnych miejskich zrobić konkurencyę szkołom jezuickim, i dlatego sprowadzili z Krakowa magistra sztuk wyzwolonych, który też nową organizacyę tejże szkole nadał, i nawet przedstawienie teatralne urządził. Jednakże te usiłowania speszły na niczem.

do tego ogrodu prowadziła¹. Za tym ogrodem płynęła stara Warta i dlatego wyrobili sobie Jezuici osobne pozwolenie na lat 10, zbudowania mostu mimo przeciwnych usiłowań he-retyków².

Wtedy też rozpoczęli na ogrodach swoich budowę kolegium za murami miasta (1583), które już w następnym roku podniosły się wysoko. Przy budowie jednak popełniono ten błąd, że nie dano fundamentów od razu, tylko częściowo, co następnie całej budowli okazało się szkodliwym³. Nieprzyjemne też miało sąsiedztwo nowo budujące się kolegium, bo i kanały miejskie, uchodzące do starej Warty, i łaźnię publiczną. Jednakże magistrat uczynił zadość życzeniu Jezuitów, i łaźiebny musiał się przenieść gdzieindziej a kanały nakazano mu utrzymywać w nale-żytej czystości, w czem jednak nie bardzo był gorliwy⁴.

Równocześnie rozpoczęli Jezuici przebudowanie i powięk-szenie kościołka św. Stanisława (1591), tak, że trzy razy był większy od pierwotnego. W dwa lata potem już odbyło się po-święcenie nowego kościoła⁵, i w tym to kościele przyjmowano uroczyste króla Zygmunta III. (1594). Była to jednakże tylko tymczasowa budowa, i widocznie bardzo słaba, bo cały ten ko-ściół zawałił się w 55 lat potem (1649) w sam dzień św. Cecylii. Stało się to na szczęście w południowych godzinach, kiedy ko-ściół był zamknięty, tak, że żadne nieszczęście przytem się nie wydarzyło⁶.

Wiedzieli to dobrze Jezuici i dlatego już r. 1625 poczęli myśleć o budowaniu nowego kościoła. W tym celu pozwolił ma-gistrat na otworzenie nowej ulicy w sąsiedztwie kolegium, co

¹ Fol. 24. a. a. 1585.

² Fol. 19. v.

³ Fol. 21. r.

⁴ Fol. 29. a. a. 1590. Wedle Łukaszewicza, „Historya“ l. c. t. iv, p. 135, zobowiązali się następnie Jezuici r. 1622, wymurować kanał przez ogrody swoje, otrzymawszy za to duży plac rozciągający się aż pod mury miasta. Dyaryusz (fol. 93. a. a. 1622) mówi krótko o: „donatio fundi in ripa fluvii“. O zobowiązaniach nic nie wspomina.

⁵ Fol. 33. v. a. a. 1593.

⁶ Fol. 139. v. a. a. 1649.

tem łatwiej dało się uskuteczyć, że Jezuici kupili kamienicę, która stała w drodze i to właśnie na tem miejscu, gdzie kościół przyszedł miał stanąć. Zburzywszy ten dom zyskali nową ulicę¹, prowadzącą do ulicy Wrocławskiej. Zwano ją ulicą św. Stanisława.

Minęło jednak 25 lat, nim położono kamień węgielny pod nowy kościół. Uroczystości tej dokonał biskup poznański, Flo-ryan z Klewania Czartoryski, 4 maja 1651. Budowę kierował polski architekt, Wojciech Przybyłkowicz². Miało jednak minąć pół wieku, nim stanął ten kościół wspinały, w którym do dzisiaj rozbrzmiewa chwała Boża, a który jest nie tylko ozdobą Poznania, ale i Polski całej. Zniknęły bez śladu inne kościoły: św. Gertrudy, św. Barbary, św. Maryi Magdaleny, Wszystkich Świętych, które w bliskości siebie stały; ten jeden został na pamiątkę, że przecież Towarzystwo Jezusowe, tyle spotwarzane, zostawiło po sobie w Polsce trwałe i piękne pamiątki.

Szkoły jezuickie w Poznaniu doznały kilkakrotnie przerwy z powodu klęsk elementarnych, jak powodzi, ale groźniejszy wróg rozpędzał sześć razy studentów w ciągu lat 80, które obejmuje nasz dyaryusz. Była to zaraza. Ostatni raz nawiedziła ona Poznań r. 1653, i w tym roku urywa się nasz dyaryusz na nekrologu Wojciecha Wolskiego. W następnym roku 1654 trwało jeszcze morowe powietrze i dlatego szkoły były zamknięte, a roku 1655 weszli do Poznania Szwedzi i zburzyli szkołę i kolegium ze szczerem, mszcząc się na murach, gdy Jezuici rąk ich uszli. Miary spustoszenia dopełnili Brandemburczycy, którzy po Szwedach weszli do Poznania.

Dalsze losy szkół jezuickich nie należą już do naszego założenia. Dla uzupełnienia tylko dodać należy, że jak Polska dzwignęła się z ówczesnego „potopu“, tak i szkoły jezuickie

¹ Fol. 97. r. a. a. 1626. „Cum superiore anno pro exstruendo templo futuro concessisset civitas Posn. plateam vicinam, et ob pestem in acta publica referre, nec dimensionem iuridice facere poterant, 4 die Junii mensis ex senatu et scabinis et ex platea deputati sunt, qui plateam templo occupandam mensissent, domo vicina (quam in templi materiam emeramus) diruta ad plateae usum: quae eorum designatio postea publice aprobata est.“. Nieco odmiennie opowiada to Łukaszewicz, „Historya“ l. c. t. IV, p. 135.

² Fol. 148. r. a. a. 1652.

dźwignęły się na nowo w Poznaniu, a zakwitły tem bardziej, że nowe gmachy, wspanialsze i wygodniejsze, zyskały. Takie klęski, jak napad Szwedów i zburzenie kolegium, za słabe były, aby na dłuższy czas zachwiać działalnością Jezuitów. Nie potrafili im też zaszkodzić nieprzyjaciele. Potrzeba było współwyznawców, a więc przyjaciół i katolików, aby zniweczyć Zakon. Dopiero też połączone zabiegi dworów burbońskich nakłoniły papieża Klemensa XIV. do zniesienia Towarzystwa Jezusowego i wtedy jak piorun z pogodnego nieba spadło na nie brewe kasacyjne: *Dominus ac Redemptor noster* (1773) i od razu wszystko zniweczyła. „Jak burza morska, powiada współczesny rękopis, która uderza o ląd okrętem, bogactwami naładowanym, sprawuje, że w okamgnieniu znika wszystko, tak się i w owej chwili stało nawalności. Od powszechnego marnotrawstwa nie były i w Poznaniu wyjęte liczne po tym zakonie pozostałości. Znikły złote i srebrne ołtarzów ozdoby, które tu przez półtora wieku ludzka składała pobożność. Wypróżnioną została z najpiękniejszych autorów ubogacona wielu książkami tutejsza biblioteka, a narzędzia matematyczne i fizyczne, których w muzeum tutejszem był skład taki, jakiego mu równego w całym nie było kraju, po stronach rozproszono. Każde miejsce stało się łupem publicznej i prywatnej grabieży. Słowem, dom ten we wszystkich swoich sprzętach i porządkach wystawiał widok taki, jaki wystawiają żyzne okolice powodzią splukane“¹.

Była to więc klęska publiczna, którą poniosło nasze społeczeństwo, strata nie dosyć jeszcze dotąd oceniona. Ale najsmutniejsza przy tem jest ta okoliczność, że na Towarzystwie Jezusowem sprawdziło się angielskie przysłowie, które przed 6-ciu laty Bismark przy znanych obradach przeciwko Polakom przytoczył: *beat him, he has no frind*, — „bij go, on nie ma przyjaciół“. Wszystkie klęski, które spadły na naród, zaczęto przypisywać Jezuitom, a jak nieszczęśliwi kontenci są, że kozła znajdują ofiarnego, tak i nasi historycy kontenci byli przez długi czas, że

¹ Łukaszewicz, „Obraz“ l. c. t. II, p. 25, 26.

kozła ofiarnego w Jezuitach znaleźli i długie lata powtarzano i wmawiano w naród, że Jezuici zgubili Polskę.

Ale historia nie może długo nosić zawiązanych oczu, bo jeżeli ma być nauczycielką życia, jasno patrzeć i przyczyn starannie dochodzić powinna, choćby wykazywanie tych przyczyn bolesnem i przykrem być miało. Lepsze bowiem jest gorzkie lekarstwo, niżli najśłodsza trucizna. *Antiquam exquirite matrem*, było ulubionem ojców naszych przysłowiem, a jak owa sierota w podaniu ludowem, krwawi sobie palce, aby matkę odgrzebać, tak i nam z pod pyłu fałszu i gruzów uprzedzeń, dokopywać się trzeba dziejowej prawdy. Jakikolwiek zaś sąd historyi o szkołach jezuickich zapadnie, tę jedną przyznać im będzie musiała zasługę, że założyli szkoły w Poznaniu, kiedy ich wcale nie było. — Kto światło rozpałił w narodzie, temu godziło się poświęcić choć krótkie wspomnienie.

Ks. Chotkowski.

BAŚNIE I FAŁSZE W HISTORII.

Errare humanum est.

Plato gdzieś twierdzi, że przeciwieństwa jakiś bóg z sobą powiązał na końcu kija. Myśl ta, jeżeli gdzie, to w historii znajduje swe uzasadnienie, gdzie fałsz i prawda tak ściśle są zespolone, tak nieustannie ze sobą się plączą, że rozgmatwanie tych przeciwieństw bez porównania więcej wymaga trudu i mozołu, niż odgrzebywanie faktów z niepamięci pyłu.

Niema wypadku ważniejszego, niema osobistości wybitniejszej, którąby, jak dawną ruinę, nie splótł powój baśni i fałszu chwast. Jakby stara piastuna, wprowadza baśń gminna narody na widownię dziejową, a chociaż dojrzeją, nie przestaje im gawędzić i snuć pajęczej przędzy plotek i legend. Staruszka przy swej ciekawości niedomaga na słuchu; jak często się przesłyszcy, jak często przekreśli co usłyszała! Wedle skali swych pojęć, ograniczonych po części, urabia to, czego nie zrozumiała, bo jak słusznie, do pewnego stopnia, zauważył Gete, słyszemy tylko to, co wiemy, przyjmujemy do świadomości tylko to, co zdołamy uczuć, wyobrazić sobie i pomyśleć. Z herbu np. Świnka, znajdującego się na jednym pomniku w katedrze gnieźnieńskiej, robi baśń portret panny bardzo bogatej i wysoko urodzonej, która miała nieszczęście urodzić się ze świńską głową. Mimo to chcieliby ją rodzice, radaby sama panna się wyswatać. Posag wielki, ród wielki; cóż kiedy każdy konkurent, zoczywszy ukrywaną starannie zasłoną twarz oblubienicy, ucieka, co mu sił starczy. Bie-

daczka rada nierada zostaje starą panną, oddaje się dewocyi, no i wiano swe zapisuje kościołowi; stąd jej portret tam umieszczono. Tego rodzaju namacalne wybryki fantazyi oczywiście dla nauki są nieszkodliwe, tem chętniejszy u ludu znajdują posłuch. Jednakże ileż mamy takich przekręceń mniej bijących w oczy, mniej namacalnych! Przeszły one do kronik, stąd przechodzą do dzieł historycznych i utrzymują się tam latami, póki jakiś umysł krytyczny tej tkanki bajecznej nie usunie.

Tok dziejów składa się po części z szarej i bezbarwnej codzienności, rzadkie są chwile pełne dramatyczności poetycznej. Lubujemy się w niej na scenie; pragniemy jej i na widowni dziejowej. Trzeba więc fakta, czy postacie historyczne uplastyczyć, upiększyć, upoetyzować. W historii dzieje się jak z biednym petentem, który na audyencyi języka w gębie zapomina, na schodach dopiero, gdy wraca ze sali audyencyjnej, odzyskuje swą przytomność. Zapóźno, jak musztarda po obiedzie, przychodzą mu trafne myśli i bystre uwagi, jakie mógł i powinienby był wypowiedzieć. Francuzi nazywają takie dowcipy, przychodzące po niewczasie, *l'esprit d'escalier*, co Niemcy przez *Treppenwitz* tłumaczą. Otóż w historii całe mnóstwo genialnych i bystrych orzeczeń, dowcipów zręcznych, jakie się mogły w danej sytuacji nasunąć, są *ex post* wymyślone, no i *se non è vero è ben trovato*, podobają się, stały się integralną częścią inwentarza dziejowego, punktem atrakcyjnym dla uczących się i po części jedynym trwałym nabytkiem z historii u większej części naszej inteligencji.

Dowcipny chochlik historyczny płata więc ustawiczne figle poważnej prawdzie dziejowej; niepodobna go prawie wyrugować nawet z umiejętnych badań naukowych. Cóż zresztą pomoże, że nieubłagana krytyka udowodni, że pewne, bardzo zajmujące fakta są zmyślone, że nie znachodzą się u pisarzy współczesnych, lecz dopiero u późniejszych wypływają na wierzch. Rewelacje takie stają się własnością niewielu specjalistów, większość pozostaje długo, długo jeszcze przy dawnych wierzeniach. I nie dziw. Umiejętne traktowanie historii jest poważne, wymaga od czytelnika skupionej uwagi, przedstawia tok dziejów

po części jako jednostajny łańcuch przyczyn i skutków, jest zatem dla większości czytelników nużące i odstrasżające. Poetyczne zaś przedstawienie historii nęci i bawi, nie odróżnia się jednak, wedle trafnych słów Drapera, wiele od powieści. Mimo to właśnie poetyczne historie i historyczne romanse, powieści i poezye są obecnie głównym źródłem historycznym dla wykształconej publiczności, są zarazem główną przyczyną obalamucania czytelników i szerzenia fałszywych zupełnie pojęć. Dziwimy się czasem jaskrawym i radykalnym poglądom studentów, wyemancypowanych panien, ba nawet starszych ludzi. A z jaką pewnością wypowiadają oni swe potworne zdania i dziwolągi historyczne! Zapytajmy tylko, skąd czerpali swe wiadomości! Jeżeli będą otwarci, z pewnością wyjdzie na jaw Suego „Wieczny Żyd“, może Ellendorff'ów, Gregoir'ów, Tschackert'ów, Biedermann'ów, Hase'ów, Kurz'ów i t. d. książki popularne i pamflety, może Meyera *Conversationslexikon*, może artykuły *Neue freie Presse*, *Kölnische Zeitung* lub t. p. gazet i czasopism.

A sztuka, a malarstwo historyczne czy nie szerzy błędów i fałszów? Kogóż nie napawał zgrozą reprodukowany w *Gartenlaube* obraz Kaulbacha, przedstawiający inkwizytora Arbuesa z nimbusem świętego nad głową, przypatrującego się płonącym stosom z ofiarami, rzekomo przez jego fanatyzm potępionymi? Szkoda, że scena ta istniała tylko w bujnej imaginacji malarza, historia krytyczna nic absolutnie nie wie o ofiarach przez świątobliwego męża skazanych. Jeden z ostatnich obrazów naszego mistrza Matejki, przedstawiający Piotra Dunina sprowadzającego Cystersów do Polski, jest historycznym anachronizmem. Cystersów pierwszych sprowadził, wedle Kodeksu Wielkopolskiego¹, komes Zbilut w r. 1153, w tymże roku zaś, wedle Kroniki polskiej², Piotr Dunin już nie żył.

Fantazyja jednak, czy gminna, czy poetyczna, czy artystyczna, nie jedynym jest źródłem fałszów w historii, więcej zamąca prawdę namiętność i stronniczość. „Im burzliwsze czasy

¹ T. I, nr. 18.

² M. P. H. t. III, str. 633.

im ważniejsze wypadki, im większe rozgoryczenie, tem mniej są współcześni świadkowie, czy współuczestnicy faktów, zdolni, by podać wiarogodny przebieg wypadków“, powiada Droysen w swej „Historji Hellenizmu“¹. Jeśli zaś kwestya sporna nie została rozstrzygnięta, jeżeli się wytworzy wiekotrwały antagonizm, to wieki całe nie rozrzedzą tumanów fałszu, powstałych wśród walk frakcyjnych. Czy historia np. reformacyi jest dziś ostatecznie wyjaśniona, nawet po pracach tak znakomitych, jak Rankego i Janssena? Ostatni wykazał niezawodnie — przyznają to sami protestanci — że przedstawienia o reformacyi protestanckiej są fałszywe, są stronnicze. Czy jednak i Janssenowskie dzieło uchyliło wszelkie wątpliwości? Czy i w niem niema luk i braków? Czy i on nie posunął się w niejednym za daleko? Taki stan panuje na wyżynach naukowości w tej sprawie, — cóż dopiero mówić o sferach mniej uczonych, półuczonych i nieuczonych, gdzie rozsądek i uczciwość zaciekłości żadnych cugli nie kładzie! Czegóż tam się nie zmyśla, jak się tam nie wymyśla i obczernia! Oszczerstwa, kłamstwa, wyzwiska, rzucane przez Huttenów, Lutrów, Fischartów, Centuryatorów magdeburckich, ciągle się powtarzają, w cokolwiek odmiennej, nie tak może brutalnej szacie; odgrzewają je dzieła profesorów uniwersyteckich, jak niedawno temu dzieło profesora P. Tschackerta w Królewcu p. t.: *Evangelische Polemik gegen die römische Kirche*², powtarzają je książki szkolne, czasami i dla katolickiej młodzieży przeznaczone, a rozszerzają je po całym świecie tysiące broszur, artykułów dziennikarskich, przyczem zwykle nieznanomość faktów i instytucyj, o których się pisze, idzie o lepsze z ślepą nienawiścią i zaciekłością ku nim. Nie dziw, że i w przeciwnym obozie czasami się odplaca pięknem za nadobne, jak tego dowodem świeża broszura Pawła Majunke: *Luthers Lebensende*. Autor wykazuje w niej niewątpliwie, że źródło o zgonie reformatora pod tytułem „Historja“ jest przez jego przyjaciół *ad usum Delphini* sfabrykowane, na podstawie jednak pogłoski, 47 czy 60 lat po fakcie

¹ T. II, str. 376.

² Pojawiło się w r. 1885 w Gotha u Perthesa.

ogłoszonej, przypuszcza, że Luter skończył życie samobójstwem. Na tej to podstawie pisze natychmiast jakiś dr. Honef broszurę dla ludu p. t.: *Der Selbstmord Luthers geschichtlich erwiesen*. Krytyka sumienna może tylko powiedzieć *non liquet* w tym wypadku. Stronictwa przeciwne wiedzą daleko więcej; dla jednych umiera Luter jako święty, dla drugich ginie jako samobójca na powrozie. Źródłem zaś wiedzy ich, jest stronniczość i antagonizm.

A jednak mamy jeszcze gorsze i szkodliwsze źródło kłamstwa i fałszu dziejowego. Jest niem uzbrojona we wszystkie instrumenta i szkiełka, metody i dowody naukowe, zarozumiałość i pyszałkowatość uczonych, co wszystko chce zgłębić i zmierzyć wedle swoich ograniczonych miar i widzeń, i mniema, że odkryła, jak powiada poeta, *den Zeitgeist* — a to niestety *der Herren eigener Geist*. Stąd ta mnogość hipotez, jako lita prawda zachwalanych, z których jedna drugą obala, jedna drugiej kłam zadaje. Pół biedy, gdy chodzi o kwestye ściśle naukowe, obojętne dla ogółu lub nieszkodliwe dla niego. Zuchwałe takie hipotezy mogą na chwilę zamęt wprowadzić w szczupłym gronie fachowych, wiodą żywot efemeryczny w cieplarni naukowości. Jeżeli jednak ci mędrcy skalpelem swej pseudokrytyki poruszają kwestye etyczne, jeżeli udawadniają, że złe jest dobrem, jeżeli płaszczykiem okrywają zbrodnie starożytnych czy nowożytnych cesarów, jeżeli dowodzą, że Fryderyk II., Katarzyna, Józef II. byli Wielkimi, byli geniuszami XVIII. wieku, że rozbiór Polski był zasługą, był koniecznością — jednym słowem, jeżeli się wprowadza kult siły i ubóstwianie geniuszów *à la Carlyle*, jeżeli się wprowadza podwójną etykę dla rządzących i rządzonych: wtedy oczywiście, mąci się pojęcia etyczne czytelników, te pojęcia, które były i są podstawą społeczeństw i organizmów państwowych.

Najgłośniejsze i najszkodliwsze może są wyniki tych uczonych w kwestyach religijnych i kościelnych. Wychodząc z nieudowodnionej zasady, że to tylko prawdziwe, co naturalne i zrozumiałe, co się zgadza z rzekomo nieodmiennymi prawami natury, odmawiają prawa bytu faktom niezaprzeczoným, nie dającym się jednak wytłumaczyć w sposób naturalny, jakim jest objawienie. Prawdy religijne niezawodnie jako nadprzyrodzone

częściowo dla badań umiejętnych są nieuchwytnie i niedostępne; uczony sumienny i uczciwy, choćby niewierzący, wobec nich powie z Sokratesem: *ὄν οἶδα*; ale tej skromności prawdziwego mędrca, nowożytni uczeni po części nie znają i znać nie chcą. Stąd te ustawiczne a bezpodstawne napaści na Kościół katolicki, jego urządzenia i przedstawicieli i wreszcie jego twórcę Chrystusa, od najdawniejszych czasów po dziś dzień. Że Celsus poganin w II. wieku zwie Zbawiciela oszustem i blagierem, zrozumieć to można i wytłumaczyć; lecz że w chrześcijańskim społeczeństwie takie bluźnierstwa się głosi i szerzy w tysiącach pism, że z Boga-człowieka robi się to geniusza, to ckliwego marzyciela, to mglistą postać na kształt Buddy, to symbol słońca lub ziarna pszenicznego — takie wyniki są nietylko smutnym objawem upadku wiary, ale i bankructwa myśli w pewnych sferach naukowych.

Tajemnicze szaty z Boga zwlekli
I szyderstwami ciała jego siekli
I rozumami serce mu przebodli,
Aż gdy do grobu duma Go złożyła,
Wyszedł z ich duszy ciemnej jak mogiła,

mówi trafnie o tych badaczach nasz Adam. Na szczęście jednak nikt z nich nic pozytywnego nie dowiódł, ich prace są samą negacją, prawdziwą robotą Penelopy, skoro jeden obala wywody drugiego; jeden z drugiego drwi sobie i naśmiewa się. Tak, głośny swego czasu dr. Bahrdt, robiący z Chrystusa płytkiego racjonalistę, jakim był sam autor, staje się przedmiotem gryzących szyderstw Getego. Reimarus zalcza Lessing, a jego zbija Niebuhr. Racyonalista Schwarz stawia pod pręgierz wywody swych przodków po duchu z XVIII. wieku. Na Schwarza napada znowu Paulus. Straussa wyklinają wszystkie szkoły protestanckie, za co Strauss wyszydza Schleiermacherów i Schenkłów jako połowicznych. Szkoła tübingska zwie Straussa powieściopisarzem powierzchownym, Renana lekkomyślnym Francuzem, ten znowu tytułuje swych braci niemieckich z Tübingen, ludźmi bez taktu i miary. Ewald przypisuje im nawet „dzikość bydłęcą“. Ewalda zaś robi Schwarz znowu niepoczytalnym — i tak to szkalowanie się wzajemne idzie w nieskończoność. Prawdziwa to nieboska

komedia, gdyby nie miała i tragicznych stron. Zważywszy, że dzieło np. Renana w pierwszym roku swego pojawienia się miało 11 wydań we Francyi, 3 francuskie w Niemczech, że w roku następnym rozpowszechniło się tamże w 6-ciu odrębnych tłumaczeniach, że egzemplarz obejmujący 14 arkuszy druku, sprzedawano po 40 lub 30 centów — zrozumiemy, jak potężna była propaganda antychrześcijańskiej pseudouczoności na tłumy. Jaki plon wydała, widzimy z tego, co się we Francyi dzieje! Kto z tych milionów czytelników dzieła, porywającego pięknnością formy, lecz płytkiego pod względem naukowym, jak to sami racjonalisci przyznają, jak to jaskrawo zaznaczył kongres uczonych niemieckich r. 1863 w Monachium — kto z tych tysięcy, tysięcy niedorożków i prostaczków miał chęć i sposobność po temu, by zapoznać się z krytyką sumienną, demaskującą blichtr dyletantyzmu i zarozumiałości. Umiejętność prawdziwa przechodzi szybko do porządku dziennego nad podobnemi dziełami, ale wśród tłumów, nie mających sądu, zasiany raz kąkol, niełatwo da się wykorzenić.

Przy tak potężnym ruchu naukowo-literackim, przy tak olbrzymim ruchu księgarskim, czyż podobna objąć wogóle wszystkie zdobycze naukowe, choćby tylko na polu historii? Czy nawet historyk z zawodu, jeżeli nie jest specjalistą w pewnym okresie, potrafi wszędzie odróżnić ziarno prawdy od plewy fałszu? To też doprawdy na czasie są dzieła poświęcone wyłącznie błędom i fałszom historycznym, napotykanym w przeliczonych dziełkach poważnych i mniej poważnych¹.

¹ Ostatniemi czasy pojawiło się dzieł takich kilka. Najznakomitszem z nich jest książka p. t.: *Geschichtslügen durch drei Freunde der Wahrheit verfasst*, wydana w r. 1883 nakładem Schöningha. Mimo, że w kilkunastu pojawiła się wydaniach, chwilowo jest wyczerpana, co świadczy o niezmierniej popularności, jaką się dziełko to cieszy w Niemczech katolickich. U nas język obcy staje na przeszkodzie rozpowszechnieniu tak pożytecznej książki, cieszącej się nawet uznaniem i błogosławieństwem Jego Świątobliwości Papieża Leona XIII.; to też przekład jej w języku polskim byłby nader pożądany, gdyż odpierając zwięzłe błędy i fałsze utarte na polu historii, mianowicie odnoszące się do dziejów chrześcijańskich i Kościoła, nietylko zaznajamia czytelnika z jądrem sprawy, lecz obznajmia go z od-

Sądzymy przeto, iż nie znudzimy czytelnika, podając najciekawsze szczegóły z tych dzieł i dziełek; może tem samem niejedno wyjaśnimy, niejednen fałszywy pogląd sprostujemy, może niejednego zachęcimy do zbadania w pewnym kierunku prawdy dziejowej, której wyświeceniu dziełka wspomniane są poświęcone. W labiryncie różnych baśni i fałszów dziejowych, za nie Aryadny służy autorom chronologia, przyczem jednak analogiczne wypadki zestawiają razem. Nie inaczej i w sprawozdaniu postąpić należy.

Baśń, mit, podanie, są macierzą historii — logografowie są przedślannikami Herodota i Tucydydesa, nie dziw więc, że dzieje najdawniejszej cywilizacji najwięcej i najdłużej spoczywały w powijkach baśni, mitów i legend. Porównyując to, co Herodot z historii egipskiej opowiada, z tem, co wiemy z Manethona i napisów hieroglificznych, mogłoby się wydawać, iż przebiegli kapłani egipscy greckiego podróżnika wystrychnęli, jak to po-

nośną literaturą, gdzie może się gruntowniej o jakiejś kwestyi poinformować.

Również ważne i cenne jest dla katolickich czytelników co dopiero ukończone dzieło Bernharda Duhra S. J. p. t.: *Jesuiten-Fabeln*, a publikowane w pojedynczych zeszytach nakładem znanej katolickiej firmy Herdera (Freiburg im Breisgau). Ponieważ w osobnem sprawozdaniu zamierzamy o niem obszerniej pomówić, stąd powstrzymujemy się od dalszych uwag na razie.

Szerszy zakres, bo całą historię, obejmuje Hertsleta: *Der Treppewitz der Weltgeschichte*. Trzecie wydanie pomnożone wyszło w Berlinie 1886 r., drugie wydanie w r. 1882. Autor jest nawskróś racjonalistą. Rozdział końcowy jego dziełka p. t.: *Bibel und Kirche*, jest wprost antychrześcijański, opiera się zaś na broszurze d-ra Henryka Langa p. t.: *Das Leben Jesu und die Kirche der Zukunft*, popularyzującej badania Ferdynanda Baura, głównego przedstawiciela tübingskiej szkoły. Tem więcej nieposzlakowanym świadkiem jest on w tych wypadkach, gdzie zbija zarzuty czynione Kościołowi i instytucjom kościelnym, gdy np. przyznaje, że Jezuici nigdy nie uczyli, iż cel uświęca środki, gdy twierdzi, że oni pierwsi mieli rozum i odwagę wystąpić przeciwko haniebnym sądom na czarownice, grasującym więcej u protestantów niż u katolików. Ustępy, traktujące dzieje starożytnych i nowożytnych narodów, są niejako uzupełnieniem wspomnianych *Geschichtslügen*.

Również u Schöningha, nakładcy *Geschichtslügen*, wyszło zeszłego roku dziełko pod tyt.: *Geschichtsel, Missverständenes und Missverständliches aus der Geschichte, gesammelt und erklärt von Dr. Simon Widmann*. Recenzja o niem

wiadają, na dudka, zbywając jego natrętne pytania baśniami, w które tenże uwierzył i spisał. Wedle Lepsyusza jednak¹, tego rodzaju filuterna mistyfikacya była w starożytności nieznaną, tem mniej zaś u Egipcyan. Mity, legendy, odnoszące się głównie do monumentów, szczególnie podpadających w oczy, utworzyły się w Egipcie, odkąd tam Grecy zaczęli się osiedlać. Wiadomości wiarogodne kapłanów w ustach przewodników greckich przekształciły się w cykl fantastycznych podań, jakie ojciec dziejopisarstwa potomności przekazał. Wiadomości Herodota o Egipcie redukują się prawie wyłącznie do wieści o założycielach memfickich pomników. Olbrzymie budowle egipskie głównie zwracały uwagę przybyszów greckich i dziś przeciętnie, że tak powiem, wykształcony śmiertelnik mało co wie o królach 26-ciu dynastyj, o wielkich Uzortazenach, Amenemhatach, Tutmesach i Ramsesach i t. d. i t. d., Egipt jest dlań krajem Faraonów, pi-

umieszczona w *Sybel's Historische Zeitschrift*, jest pełna pochwał dla sumienności, pracowitości i erudycyi autora. Jeden go tylko zarzut spotyka, iż stoi na gruncie katolickim, co oczywiście w protestanckiem czasopiśmie, u protestanckiego recenzenta, dziwić nie może i zamiast ujmę wobec innych przyznanych mu zalet, chlubę tylko autorowi przynosi.

Autor omówiwszy na wstępie (xxiii str. 8^o) główne przyczyny błędów i fałszów w historii, zajmuje się w swej pracy po kolei Egipcyanami, Palestyną, Grekami, Rzymianami, Kościołem, Niemcami, Francuzami i Anglikami, rejestrując to z ich historii, co jest błędnem, niezrozumiałem lub źle zrozumianem. Spis alfabetyczny wyrażeń, kwestyj lub osób omówionych, 28 stronic obejmujący, ułatwia czytelnikowi wyszukanie potrzebnych mu w danej chwili objaśnień. Przy powierzchownym przeglądzie dziełka doznaje się pewnego rozczarowania, dzieło pisane po niemiecku; uwzględniające przekręcenia wyrażeń historycznych w języku niemieckim, zawierające w szczupłych stosunkowo ramach bardzo bogatą treść, jest zwięzłem, zbyt zwięzłem, kosztem jasności; wymaga dokładnej znajomości historii, a jeszcze dokładniejszej języka niemieckiego, nawet francuskiego i angielskiego, jest zatem przystępne dla uczonych więcej, nie dla publiczności szerszej. Autor stara się przytem być dowcipnym, ale ten dowcip, to dowcip niemiecki, zbyt ciężki, wyszukany i niezrozumiały wskutek tego. Mimo wszystko obfitość sprostowań, mianowicie z dziedziny kościelnej, cytowanie przy każdym szczególe odnośnej literatury, a przedewszystkiem uczciwa tendencya, robią tę książkę nieocenionym poradnikiem dla każdego, czy nauczającego, czy uczącego się historii.

¹ *Chronologie der Aegypter*, t. I, str. 48.

ramid, obelisków, labiryntów. Uczniowie łamią sobie głowy w stereometrii nad piramidą, dziarskie Sokoly robią piramidy, częściej jeszcze robi się piramidalne głupstwa, a jednak właściwe znaczenie tego wyrazu mało komu znane. Piramida oczywiście z greckiem $\pi\upsilon\rho$ nie ma nic do czynienia, lecz pochodzi z egipskiego *pi-rama* i znaczy po prostu góra. Podziwialiśmy w drugiej klasie ów labirynt z 3000 sal, zbudowany przez króla Merysa nad jeziorem tej samej nazwy, niejednen gubił się w labiryncie wiadomości podawanych przez surowego światłodawcę, a zręczne podpowiedzenie kolegi stawało się dlań nicią Aryadny z labiryntu wątpliwości. Cóż oznaczało to wyrażenie pierwotnie? *Lope-rohunt* brzmi ono w egipskim języku, a nie ma nic z manowcami do czynienia, lecz znaczy „świątynia przy wejściu do jeziora“. Zbudował ją zaś nie Merys, jak uczą za Herodotem jeszcze i dziś podręczniki szkolne, lecz Amenemhat III. nad sztucznym jeziorem, również przez siebie założonem dla uregulowania wylewów Nilu. Ponieważ wyraz egipski *meri* znaczy tyle co wylew, Grecy przez nieporozumienie utworzyli króla Merysu i jezioro Merysa. Słyszeć, a nawet czytać można o „królu Faraonie“. Są to jednak „dwa grzyby w barszcz“, jak mówi przysłowie. Faraon jest stałym tytułem władców egipskich i nie znaczy bynajmniej „król“ lub „władca“, lecz „wielki dom“, w egipskim *pe-ra(o)*. Podobnie mówimy o Wysokiej Porcie lub Porcie, o Kwirynale, Watykanie, myśląc nie o budynkach, lecz o mieszkających w nich władcach. Podobnie Brennus, Cyd nie są imionami własnymi: Brennus znaczy „naczelnik“ w języku celtyckim, stąd przełęcz Brenneru jest przełęczą główną. Podobnie celtyckie *Vergobret*, awarskie *Chakan*, *Jugurr*, greckie *Syennesis*, a i dackie *Decebalus* ma być tytułem, nie imieniem własnym. Przeciwnie, pierwotne imiona własne *Caesar* i *Arsaces* stały się tytułami rzymskich i partyjskich władców. Także *Hyksos*, nazwa podbójców Egiptu około r. 2000, nie jest imieniem własnym, lecz przezwiskiem egipskiem na długoletnich gnębicielei, powstałem z *Hak-Schasu*, i oznacza „dowódcy rabusiów“. Ludy te zwały się same *mentui*, pasterze, lub *situi*, łucznicy, były pochodzenia semickiego, jak Izraelici, nie były jednak identyczne z potomkami Jakuba,

jak chcą Manetho, Józef Flawiusz, a za nimi niektórzy nowsi historycy. Z Izraelitami opuścimy i my historyczne ciemności egipskie i podążmy w ślad za nimi do Palestyny.

Długobyśmy naprawdę błąkać się musieli w istnej puszczy zagadnień, gdybyśmy zechcieli poruszyć wszystkie nieporozumienia i fałsze, jakim dała początek nieumiejętna lub przesadna krytyka świętych ksiąg ludu izraelskiego. Ponieważ i najpobieżniejsze uwzględnienie tych kwestyj stanowczo przekraczało ramy zwięzłego sprawozdania, a z drugiej strony zagadnienia te częściowo w dziedzinę teologii wkraczają, tem snadniej zatem w naszym referacie historycznym możemy nad nimi przejść do porządku dziennego. To tylko stwierdzić musimy, że prawdy wiary w tych księgach zawarte, żadną miarą nie stoją w sprzeczności z prawdziwymi wynikami nauki, że dalej tak samo błędzą ci, którzy w tych księgach szukają objaśnień naukowych, jak ci, którzy je uważają za stek mitów, legend i baśni ludu izraelskiego. Najnowsze badania historyczne, szczególnie na podstawie napisów klinowych, potwierdzają niejednokrotnie wiadomości biblijne. Policzenie np. Kanaanitów do potomków Chama było jednym z głównych zarzutów przeciw prawdziwości genealogii Mojżeszowej. Otóż między innymi wykazał Renan, iż Fenicyanie mimo języka semickiego, mimo znacznej przymieszki krwi semickiej¹, niewątpliwie chamickiego są pochodzenia.

Ziemia obiecana, zajęta przez Izraelitów, otrzymała później nazwę Palestyny od Pelészet, kraju Filistynów, nadmorskich sąsiadów i nieprzyjaciół ludu wybranego. Pelisztim lub Plethi, jak ich zwie Biblia, byli pochodzenia aryjskiego i przybylszami z wyspy Krety, stąd nazwa ich *Crethi*, *Plethi*, w drugiej księdze Królewskiej². Słowa te, źle zrozumiane i tłumaczone jako „kaci i laurrzy“ lub „straż przyboczna i ciury“, stały się z czasem synonimem różnorodnego motłochu, chaosu, podobnie jak i biblijne Gog i Magog.

(C. d. n.).

Dr. K. Krotoski.

¹ Lenormant, t. 1, str. 263—314. ² VIII, 18.

DWA LATA W ŻYCIU ST. ORZECZOWSKIEGO.

1548 i 1549.

Przyczynek do monografii, na podstawie *Orichovian'ów* wyd. w Krakowie r. 1891 przez d-ra J. Korzeniowskiego.

(Dokończenie).

Po tem wszystkim pozostały Orzechowskiemu jeszcze dwa zarzuty Brudzowskiego do odparcia. Jeden: dlaczego tak stanowczo w swojej przysiędze potępił wydanie „Celibatu“; drugi: jakim czołem śmie dążyć do małżeństwa i pragnąć go, kiedy sam zagroził sobie do niego drogę przez owo uroczyste na synodzie wyrzeczenie się wszelkich tego rodzaju aspiracyj. Takie same zarzuty i my dzisiaj przeciwko Orzechowskiemu podnosimy. Są one bardzo naturalne. Jeżeli bowiem przysięga jego była szczerą, to przez nią oczywiście zarzekł się najzupełniej wszelkich swych do małżeństwa pretensyj. Jeżeli zaś szczerze był przekonany o tem, że małżeństwo księży jest rzeczą dozwoloną i prawną, to czemuż znowu tak dobitnie wypierał się wszelkiej chęci wydania dziełka o „Celibacie“, w którym właśnie o tę rzecz chodziło? I w pierwszym i w drugim razie zarzut nieszczerzego postępowania leżał blisko i każdy logicznie myślący miał wszelkie do tego prawo, nazwać Orzechowskiego co najmniej nielogicznym. Czuł to sam Orzechowski, bo broni się przed temi zarzutami z jakąś zapamiętałością, nie cofa się przed

żadnym sofizmatem, a nawet tam, gdzie się obawia, że sofizmat zanadto płytki, ucieka się do cynicznych przegródek.

Otóż naprzód powiada, że wydania „Celibatu“ nie pochwała dlatego, że dokonano go „nierozważnie“, zanim było dostatecznie do publikowania przygotowane; zamierzał mianowicie dodać jakiś efektowny wstęp i epilog, któreby rzeczy samej przydały więcej blasku i więcej ognia. Oświadcza dalej, że treść tego dziełka jest zupełnie wiernem odbiciem jego przekonań, jest szczerym wyrazem tego, co on o tej sprawie myśli i czego pragnie. Jeżeli na synodzie wyrzekł się i zaparł tego wydania, to uczynił dla tej prostej racji, że redakcyi rękopiśmiennej nie uważał za ostateczną i myślał jeszcze o jej wydoskonaleniu. Przez słowa: *casso*, *renuntio* nie rozumiał nic innego, jak właśnie to, że wydano „Oracyę o Celibacie“ za pośpiesznie! Najlepszym dowodem, że nie wyrzekł się swych poglądów, jest obecne jego usposobienie¹.

„Abyś zaś nie myślał, że słowami tylko się odgrażam, a o samej rzeczy nie myślę, słuchaj, jak jestem w tej sprawie otwarty: Wskaż mi tylko stosowną osobę, a jutro obaczysz mię małżonkiem... Nie sądź, że ja chcę raczej na drugich niż na sobie doświadczyć, ile jest dobrego w mej radzie; nietylko chcę być doradcą małżeństwa dla drugich, ale i wodzem“.

Widać stąd, jak błahą wymówką usiłuje się Orzechowski obronić przed zarzutem Brudzowskiego. Wszak na synodzie nie to mu zarzucano tylko, że rzecz o „Celibacie“ wydał bez kościelnej cenzury, czego jako kapłan żadną miarą czynić był nie

¹ „Et ne verbis tantum agere me putes et non rebus etiam ipsis, vide, quam me in hac causa efferam... Da quod ducam, cras me maritum habebis! Parum ne tibi videor certus esse in causa? an ego in ea re cavebo mihi loco, in qua quasi signum ad matrimonium dedi ceteris...?.. Noli, quaeso, putare me in aliis potius, quam in me ipso, quantum hoc consilium valeat, experiri velle; ipse non solum auctorem me ad matrimonium praebebo ceteris, sed etiam ducem“.
Orich., p. 208.

powinien, ale przede wszystkim to, że obstawał przy swoim upornie, że swego „widzimisię“ bronił w sposób rewolucyjny, agitując w dyecezyi i podburzając przeciwko ustawom kanonicznym. Widoczne to jest aż nadto z samejże rotysięgi, w której między innymi oświadczył: *Promitto etiam omnia Ecclesiae sanctae catholicae ac Sedis Romanae decreta ac instituta non aliter, quam ipsa Ecclesia cath. et Sedes Romana ex antiquo tenet et observat, me sentire, docere et absque quavis reprehensione mea observare*¹. Czyż w tych słowach nie przysięgł najwyraźniej w świecie, że takich piśmideł jak „Oracya o Celibacie“ rozszerzać nie będzie? Czy te słowa znaczyły tylko, że Orzechowski zapiera się pierwszego wydania, bo było niewykończone, a nie raczej, że zrywa z wszelką taką nielegalną agitacją i nie przyłoży do niej już więcej swej ręki? A jednak mimo to wszystko on właśnie z tej rotysięgi chce dowodzić czegoś wręcz przeciwnego, naciągając ją w najprzewrotniejszy sposób.

To też w dalszym ciągu tego ustępu nie rozwodzi się nad znaczeniem swojej przysięgi, nie chcąc zapewne i nie umiając z niej się wytłumaczyć, lecz w jaskrawych, miejscami krzyczących kolorach, przedstawia Brudzowskiemu swój nędzny stan, swe okropne wyuzdanie i rozluźnienie obyczajów, by dać mu jawnie poznać, że swoich aspiracyj do małżeństwa się nie wyrzekł, bo stan jego jest tak rozpaczliwy, a zagalopowanie się tak daleko posunięte, iż tylko to jedynie lekarstwo może go ocalić. Pełne siły, grozy i dramatyczności ponurej są tu ustępy, w których usiłuje odmalować Brudzowskiemu swój występny żywot i całą tragiczną rozterkę duszy, jaką wywołały w nim niepoahamowane namiętności i rozluźnione do ostatnich w tym względie granic sumienie... W tem rozżaleniu wyrzywa mu się ten prawdziwy, niestety! okrzyk człowieka, widzącego z jednej strony, że talenta jego idą na marne, lecz z drugiej strony tak pogrążonego w występku, że nie czuje się na siłach, aby mógł potargać hańbiące go pęta².

¹ *Orich.*, p. 90.

² „Cum intellegam atque adeo sentiam natum me esse rebus optimis, tamen adulescentia (!) ita interpellor, ut ad quaevis honesta

Oczywiście z tak poniżającego stanu trzeba się koniecznie raz wreszcie wydobyć¹. Ale jak? W przekonaniu Orzechowskiego jest jedna tylko droga: małżeństwo. I tym wnioskiem kończy znów cały swój poprzedni wywód. Ale tu spotyka się z tym samym zarzutem Brudzowskiego. Jakto? Ty pragniesz szczerze ożenić się? A gdzież przysięga? Wszak każdy jej wyraz niemal jest zamknięciem drogi do tego kroku i to dobrowolnem. Jakżeż to pogodzisz z twojem sumieniem i z prawami?

Z tym zarzutem wchodzimy do ostatniej części tego traktatu, o którym tu mowa. Orzechowski wylicza naprzód 6 głównych punktów swojej przysięgi, a następnie na każdy z nich odpowiada swojemi zwykłemi już odtąd wykrętami.

Twierdzi tedy przedewszystkiem, że się wcale nie wyrzekł małżeństwa: gdyby to miała znaczyć owa przysięga, byłaby przewrotną i bezbożną; ani niebo, ani ziemiaby jej nie ścierpiała! Dlatego *ego non iam volens tantum, sed etiam harum execrationum metu matrimonium sequar*². Posuwa się nawet tak daleko, że stara się dowieść, iż po tej przysiędze właśnie musi się ożenić, bo przecież przysięgł przed synodem, że pójdzie za zdaniem i nauką Kościoła, że *honestatem clericalem zachova* it. d., co nic innego nie znaczy, jak tylko to jedno...

Po tych wszystkich wywodach następuje długi epilog, w którym Orzechowski jeszcze raz zbiera wszystkie swoje argumenta i skupia w trzech bardzo misternie obrobionych apostrofach (do papieża Pawła III., do bisk. Dziaduskiego i do Zygmunta Augusta). Spodziewa się po papieżu, że pójdzie za jego radą i w ten sposób uchroni Rzym przed ruiną, jaka nań spadnie w przeciwnym razie. To samo powtarza w apostrofie do swego biskupa i do

praecepta desit mihi... vis animi... Ita in medio aestus libidinis positus animus atque depressus non id, quod vult, bonum facit, sed... libidinem naribus, oculis, auribus, ore denique toto haurit ac menti offundit, ut nulla religio, nulla hominum aestimatio possit prohibere, quominus mentem nostram ad omnem turpitudinem faciat adhaerescere... ut memoriam nobis omnem adimat honoris, dignitatis, officii"... *Orich.*, p. 210.

¹ *Orich.*, p. 212.

² *Orich.*, p. 221.

króla, obiecując, że przywrócenie małżeństwa księży, postawi Rzeczpospolitą na nogi!

Kończy wreszcie swój traktat: wypowiedział w nim, jak myśli, całą prawdę; gotów na wszystko, cokolwiek ona sprowadzi na jego głowę. Beneficya ma niewielkie, ale wystarczające; gdyby jednak Rzym pogroził mu ich zabranie, on gotów złożyć je dobrowolnie, byle mieć zupełnie wolne ręce¹.

Udaje się nakoniec pod opiekuńcze skrzydła Brudzowskiego. Burza wisi nad jego głową i lada dzień zwali się nań z całą wściekłością. Przyjaźń Brudzowskiego będzie mu obronną tarczą².

Rozebrany powyżej traktat *de ratione universalis Ecclesiae ac Sedis Romanae*, w półtrzecia miesiąca po jego napisaniu wyprawił Orzechowski do Rzymu na ręce kardynała Aleksandra Farneseego, swojego dawnego kolegi z Bononii. Do traktatu dołączył list do kardynała datowany z Przemyśla r. 1549, 1 maja. W liście tym poddaje pod sąd Rzymu swoją rozprawę napisaną dla Brudzowskiego. Wzywa Farneseego, by się wyzwolił z pod wpływu wszelkich „zastarzałych a szkodliwych przesądów“, by nie zrażał się niektórymi śmielszemi zdaniem autora, mając wzgląd na swą własną słabość i ułomność. Udaje się do niego, jako do kardynała-protectora Polski, aby rany Kościoła w tych północnych krainach zechciał uleczyć i przeprowadził u Pawła III., papieża a dziada swojego, te reformy (oczywiście w zakresie celibatu), które Orzechowski za konieczne uważa. Jeżeli nie przychylili się Rzym do jego rady, biada mu³.

„Jeżeli wy, co wraz z papieżem na onej Stolicy Apostolskiej zasiadacie, tego (tj. zniesienia celibatu) nam nie dozwolicie,

¹ „Quare, quoniam nos quoque Deus in certamen hoc rerum atque discrimen adduxit, iacienda est iam tandem aliquando alea, quidquid autem tessera attulerit, id boni consulamus“. *Orich.*, p. 255.

² „Ita enim mihi ego persuadeo benevolentiam tuam divinitus ideo mihi conciliatam esse, ut hac contra hanc tantam vim, quae instat et iam imminet, tectior essem“. *Orich.*, p. 256.

³ „Quod nisi vos, qui in hac ista Sede cum Pontifice consedistis, nobis iam concesseritis, nihil est, quod vos patronos communis religionis praedicetis, cum non tantum religionem ipsam communem, sed etiam

nie macie po co głosić się opiekunami religii chrześcijańskiej, bo w takim razie nietylko religii, lecz i głosu sumienia swego nie słuchacie i nie postępujecie według tego, czego się domagacie od nas. A że taka o was opinia jest już powszechną, nie łatwo w wierze waszej ludzi utrzymać zdołacie... Niewiele już krajów uznaje powagę Rzymu... dziwna bowiem dokoła panuje zgoda w odrywaniu się od waszej nauki, ogromny przeciwko wam zrywa się bunt; wszyscy rwą się nie już do nowinek (!), lecz do starych (?) prawd i wszyscy nad tem ubolewają, że pod rzymskim panowaniem ulotniły się one całkiem z Kościoła (!?)⁴.

Takim tonem i takim stylem przemawiał Orzechowski do kurii rzymskiej w swej prośbie... Poddawał się rzekomo pod jej orzeczenie, ale równocześnie stawiał się hardo i zuchwale, usiłując groźbami wymusić na niej to, czego pragnął: zniesienie celibatu. Ta jego buntownicza postawa jest tylko przegrywką, która później z całą żółcią wyleje się w *Supplicatio ad Julium III.*, a zapewne i w nieznanem nam bliżej *Repudium Romae*.

List ten kończy się upomnieniem, by Farnese nalegał na papieża i skłonił go do stanowczego czynu...

Przechodzimy teraz do trzeciej grupy listów, które analizujemy w tej części rozprawy. Grupa ta zawiera obronę proboszcza Walentyna i cztery listy w tej sprawie.

Jednym z pierwszych, a może pierwszym kapłanem katolickim w Polsce, który pojął żonę, był „Walentinus“, pleban z Chrzczonowa („Krczonow“)¹. Za tę zbrodnię pozwano go przed sąd biskupa krakowskiego Maciejowskiego, w r. 1549. W obronie

vestram conscientiam non audiat secusque nobis praecipiat, quam ipsi vivitis. Quod cum cognitum de vobis exploratumque iam sit, non facile homines in fide vestra retinere poteritis... Paucae provinciae iam restant, quae auctoritatem urbis Romae sequantur... mirificus enim undique est omnium ad deficiendum a vobis consensus, ingens etiam est conspiratio, omnes rapiuntur ad res non iam novas (!), sed veteres (?!) recuperandas, quas hoc isto Romano dominatu ex Ecclesia exolevisse omnes dolent“. *Orich.*, p. 260—261.

¹ Cfr. Ks. biskupa Janiszewskiego: „Bezżeństwo kapł.“ I, p. 539.

Walentyna stanęło wielu heretyków; między nimi Mikołaj Oleśnicki z Pińczowa, Mikołaj Rey, Remigian Chełmski¹. Widzieli bowiem heretycy w każdym takim kapłanie-nowożeńcu nietylko swojego sprzymierzeńca, ale nawet apostoła „wyzwolonej nauki“. Okoliczność ta dla Orzechowskiego była bardzo pożądana i dlatego podjął się obrony Walentyna przed sądem biskupim. *Orichoviana* podają nam po raz pierwszy tę zuchwałą mowę Orzechowskiego *in extenso*. Dotąd znaliśmy ją tylko z pobieżnej wzmianki u Górnickiego².

Mowa ta napisana i wypowiedziana po polsku, choć obficie upstrzona łaciną, jest bardzo kunsztownie obmyślana na efekt. Orzechowski broni Walentyna nie tyle przed biskupem, nie tyle przed kanonami, ile raczej przed prywatną zawiścią „instygatorów“. Staje naumyślnie na tem stanowisku uludnem, aby nie być zmuszonym uderzać na prawa kościelne wprost i tym sposobem wywołać silne wzruszenie i współczucie dla oskarżonego.

Zaczyna *a captanda benevolentia*. Staje na sąd z tym oto Walentynem dobrowolnie i ochotnie, bo sędzią jest „miłościwy pan“, obrońca prawa Bożego, a nie ludzkich wymysłów! Nie dozwoli on „targać tego świętego węzła małżeństwa“, które Walentyn zawarł w duchu Ewangelii, przerażony swemi „wstydliwymi upadkami“ w stanie bezżeńskim. „Słyszał (Walentyn), iż się W. M. biskupem krześcijańskim jest... przeto on tak dzierży, iżby wedle woli W. M. w to małżeństwo wstąpić miał, to jest wedle Ewangeliej tej, której ci uczyć rozkazano... z której Ewangelii iż się go tak uczył biskupem jego będąc: *Non omnes possunt capere* (hoc) *verbum*... zwoił na to i zabodziony w sercu zapowiedzią ona srogą: *Non moechaberis*, zawołał z Pawłem: *Infelix ego homo*... i usłyszał: *Unusquisque propter fornicationem uxorem suam habeat*“³. A zatem ks. Walentyn „żonę pojął wedle Ewangeliej“⁴.

¹ Cfr. „Dzieje“ Górnickiego, p. 312 w ed. Mostowskiego. Warszawa, 1805 r.

² Ossoliński, „Wiad. histor.-kryt.“ III, 1, p. 27.

³ *Orich.*, p. 267. ⁴ *Orich.*, p. 268.

Więc nie dawaj ucha, zacny Biskupie, złośliwym wykrętom i podszeptom instygatorów, ale w myśl Kościoła rzeknij do niego: *Quos Deus coniunxit, homo non separet!* Wszak nie chce ks. Walentyn żony *propter libidinem*, lecz dla swojego uświętobliwienia! Przeto też nie naruszył w niczem swego ślubu kapłańskiego, ani zażności stanu, bo gdy „jego *infirmilas* niecierpiała, aby był *sine uxore castus virgo; factus est cum uxore castus vir*“¹. Dlatego z czystym sumieniem i spokojny o swój los stanął przed ten sąd *cum uxore sua legitima*, niczego się nie lękając, a gotów na wszystko, choćby i na samą śmierć, „aby krwią swą poćwierdził małżeństwo święte swoje!“² — W dalszym ciągu pochlebia i kadzi Maciejowskiemu w niemiły sposób: „Niech to wszystek świat wie niniejszy i który potym będzie, iż Samuel, biskup Krakowski, uczcił małżeństwo św., a iż *dignitatem sacerdotii sanctitate matrimonii exornari in sua dioecesi passus est*. Bym to mówił nie w Krakowie przed Samuelem biskupem krakowskim sławnym, ale w Ordzie przed Aslam soltanem, poganinem, tedyby miejsce mowa moja a kapłana tego prośba miała“³. Tem bardziej wysłucha jej mądry biskup i nie pójdzie za radą przewrotnych doradców i bezwstydnym „fryjrzów“. W końcu imieniem Walentyna zapewnia, że wiary małżonce swej on dochowa, a żadnych „paragrafów“ się nie obawia: „ks. Walentyn i ja z nim paragrafów ani gloss nigdychna się nie uczyła, co dekretal jest, też tego nierozumiewa, jedno szczeremu samemu pismu około małżeństwa św. wierzywa, które nam Pan Chrystus jawne i jasne bez gloss i paragrafów zostawić raczył. Wedle tego pisma (!) małżeństwo św. wystawiamy przed tobą, Samuelu biskupie święty krakowski, i przed tymi, którzy tego przysłuchawają teraz i na potomne czasy przysłuchawać będą“⁴.

Taka była obrona Walentyna w ustach Orzechowskiego. Wykraczała wprost przeciwko ustawom kościelnym, podnosiła otwarty bunt przeciwko dyscyplinie i prawu kanonicznemu. Nie mogła więc zjednać dla winowajcy przychylnego zdania gorli-

¹ *Orich.*, p. 269.

² *Orich.*, p. 270. „Poćwierdził“ stara polska forma = potwierdził.

³ *Orich.*, p. 271. ⁴ *Orich.*, p. 273.

wego biskupa, jakim był Samuel Maciejowski. W istocie dnia 17 czerwca 1549 r. zapadł wyrok, który skazał Walentyna na kary kościelne, a na razie na uwięzienie, dopokądby się prawom nie stało zadosyć. Tymczasem Orzechowski opuścił Kraków prawdopodobnie w przekonaniu, że odniósł tryumf. Niebawem jednak doszła go wieść o losie plebana z Chrzczonewa. Oburzony nią do najwyższego stopnia, chwytą za pióro i już pod datą 29 czerwca roku 1549 wysłał z Żórawic do Samuela Maciejowskiego list pełen próśb i gróźb.

W liście tym na początku stara się ująć sobie i zjednać biskupa. Opisuje mu zatem, że chodzą tu o nim potworne wieści, że sława jego jest narażona i wystawiona na szwank. Poznawszy jego cnoty i świętość w czasie ostatniego swego pobytu w Krakowie, stał się jego wielbicielem i na Rusi usiłował tę opinię o nim szerzyć. Już nawet udało mu się wielu skłonić i zyskać dla biskupa, gdy wtem jak piorun z nieba spadła wieść, że sam Samuel Maciejowski skazał „niewinno“ Walentyna na więzienie! Odtąd wszystka praca, trud wszystek Orzechowskiego poszedł na marne... Przypomina mu następnie, że po dłuższej z nim rozmowie w Prądniku, przyrzekł, iż małżeństwo Walentyna będzie powodem do usunięcia go *a sacris*, ale żadnej innej burzy nie sprowadzi na jego głowę. Tymczasem zaś, pomimo tej obietnicy, Walentyn znajduje się w więzieniu! Cóż dziwnego, że za to ściąga na siebie Maciejowski nienawiść całej Polski (!), że już samo wyrzeczenie jego nazwiska wywołuje oburzenie w najwyższym stopniu. Niechże się tedy biskup obaczy co go czeka, do czego to jego postępowanie może doprowadzić. Niechże zważy gniew Boży, który już zawisł nad miastem i mści się za skrzywdzenie niewinno: boć czemuż jest ów straszny tumult w Krakowie wskutek tłumnego wyjścia „żaków“ (1549 roku), jeżeli nie karą Bożą!

Kończy wreszcie, zaklinając na wszystko Maciejowskiego, aby Walentyna wypuścił na wolność tem bardziej, że stawił się on przed sądem polegając na obietnicy, jaką mu Orzechowski uczynił, iż nie go złego nie spotka. Cała wina ciężłyaby zatem

na jego sumieniu. Zresztą, jeśli tego nie uczyni, to kraj cały narazi na ruinę i zgubę!

Nad treścią tego listu niema co wiele się rozwodzić. Orzechowski wyzyskał przewrotnie ówczesne zamieszanie, które spowodowało wyjście żaków z Krakowa, jeden fakt z drugim sprytnie powiązał, jako skutek z przyczyną, a dodawszy do tego wiązanek groźnych przepowiedni, chciał tem wszystkiem sterrozywać Maciejowskiego i wydostać z więzienia swojego pupila.

Na list ten jednak nie dostał żadnej odpowiedzi. Trawiony gorączką niecierpliwości, w cztery miesiące potem, 1 listopada 1549 r., wysłał nową suplikę z Przemyśla do biskupa krakowskiego. Zaraz na wstępie wylicza kłęski, które w ostatnich czasach spadły na Kraków i Polskę¹.

„Pomordowano niewinnych żaków, ogień zniszczył Kraków, Tatarzy spustoszyli Ruś, wkońcu sam zamek zgorzał... A straty te czemu są, jeśli nie karą za grzechy? Jakiż zaś grzech popełniono u nas w Polsce w ostatnich czasach, jeżeli nie ten jedyny, w sprawie małżeństwa Walentyna, za który tak srodze teraz pokutujemy“.

A więc wszystko złe, jakie spadło w r. 1549 na Polskę, tak wewnętrzne jak zewnętrzne, to owoc tego jedyne go grzechu! Przezeń to utracił Maciejowski w całym kraju całą swoją sławę. Winien zaś temu: Jakub z Kleparza, doktor dekretów i kanonik, wraz z swymi zwolennikami, którzy tę bezbożną karę więzienia na Walentyna wymyślili. Jeżeli Maciejowski chce tę burzę usmieżyć, od Kościoła i ojczyzny kłęski odwrócić, sławę swą podreperować, a paszkwilantom zamknąć usta, niech puszcza na wolność Walentyna, bo innego niema na to lekarstwa.

Szturm był silny: kto inny byłby może się zachwiał i ustąpił, ale Maciejowski nie poruszył się temi groźbami i trwał przy swoim wyroku, nadto nie dawał jakoś Orzechowskiemu żadnej

¹ „Caesi sunt innocentes pueri, Cracoviam vexavit ignis, Russiam vastarunt Scythae, arx ipsa postremo arsit... Quae damna... quid aliud, quam poena peccati sunt? Quod autem modo peccatum a nobis in Polonia admissum est, praeter hoc solum, quod in Valentini matrimonio tanto nunc cum cruciatu expiatur“. *Orich.*, p. 284.

odpowiedzi. Było mu to już za wiele: postanowił innych popróbować środków. A jakie to mogły być, można się dowiedzieć z listu jego do Przyłuskiego, datowanego z Żórawic d. 21 list. 1549 r. Prosi tu na wszystko swojego przyjaciela, żeby mu najdokładniej doniósł, w jakim więzieniu Walentyn pozostaje, w jakim otoczeniu, kto go pilnuje, jak się nazywają stróże... *nam mihi in illam arcem omni argumentorum genere invadere in animo est; non frustra id requiro abs te: postea intelleges*¹. Gotował zatem Orzechowski albo siłę zbrojną, podburzając szlachtę do napadu i wydobycia Walentyna gwałtem, albo miał jakieś plany inne, prowadzące do celu drogą przekupstwa i t. p. Sam jest w tym czasie w okropnym rozstroju i gorączka trawi go nieznośnie; to też miota się na wszystkich sędziów krakowskich, obrzuca ich obelgami, a z drugiej strony lasi się — przez Przyłuskiego — Kmicie, bo mu będzie potrzeba jego ramienia w danym razie, „aby mię opieką swoją bronił przeciwko przemocy i krzywdzie (!), skoro tego będzie potrzeba“². Poleca się przytem łaskawej opiece Jana Trzycieskiego i Jana Koźmińczyka, heretyków.

Wreszcie doczekał się Orzechowski odpowiedzi Maciejowskiego. Pod koniec r. 1549 wysłał mu biskup długi list, pełen znakomitych, ojcowskich uwag i napomnień, napisany z wielkiem namaszczeniem, spokojnie, poważnie, a gruntownie.

W dysputę teologiczną w ścisłym znaczeniu nie myśli się wdawać Maciejowski, boć przecie ta okoliczność, że zajmowali się obaj przez pewien czas Demostenesem i Cyceronem, Arystotelesem lub Platonem, nie jest dostateczną rękojmnią, że są dobrymi teologami. Chce zatem pomówić z nim szczerze i otwarcie, jako syn Kościoła, uznający jego powagę i idący za jego odwieczną nauką. Naprzód z zarzutów i oszczerstw, jakie o nim przewrotni ludzie rozsiewają, niewiele sobie robi, bo postąpił sobie z Walentynem podług praw kanonicznych. Prawa te księżom żenić się nie pozwalają. Kto nie chce ich uznać, może nie przyjmować kapłaństwa, ale kto je dobrowolnie przyjął, dobrowolnie też im się poddał: podlegać więc musi karze, kiedy je samo-

¹ *Orich.*, p. 288. ² *Orich.*, p. 289.

wolnie przekracza. Zarzuty Orzechowskiego, czerpane pozornie z Pisma św., są czcze i sofistyczne. Pismo św. należy rozumieć tak, jak je tłumaczy Kościół, bo on ma do tego upoważnienie wyraźne od Boga, on jest jedynym jego tłumaczem prawnym, inni są uzurpatorami. Właśnie ten siódmy rozdział z listu św. Pawła do Koryntyan, który dla Orzechowskiego jest kamieniem obrazu i rzekomą tarczą obronną, najwyraźniej do celibatu zachęca nawet tych, którzy ślubami czystości nie są związani. A jeżeli powiada: *Quod si se non continent, nubant*, to przecież najoczywiściej mówi tylko do tych i o tych, którzy się nie zobowiązali do wstrzemięźliwości ślubem. Nie można zatem stosować tego do kapłanów. Kto doznaje trudności i pokus, winien używać tych środków i niezawodnych lekarstw, których i Święci i wszyscy wierni po wsze czasy ze skutkiem używali, a nie dążyć do obalenia tego, co mu stoi na drodze i czemu się sam poddał. Praw Kościoła nikt nie może tłumaczyć sobie do woli, bo należy to do władzy naczelnej. Ta zaś ma zupełną rację, że nie ustępuje przed parciem ludzkich namiętności, bo doświadczenie dzisiejsze pokazuje, że lekarstwo, którego domaga się Orzechowski, nie usuwa choroby bynajmniej, a sprowadza na Kościół kłęski jeszcze większe (tu przywodzi przykłady)... A co się tyczy Walentyna i jakiejś niby obietnicy, danej od biskupa Orzechowskiemu, jakoby on nie miał zamiaru karać Walentyna więzieniem, to jest to szczerym fałszem i fikcją, bo nigdy nie takiego nie przyobiecał i jako biskup katolicki przyobiecać nie mógł. Owszem kara, jaką wymierzył na Walentyna, jest jeszcze za małą; dlatego wielu oskarża biskupa o zbytnią łagodność.

Niech się zresztą Orzechowski nie łudzi i nie spodziewa wcale poparcia swych zamysłów przez biskupa krakowskiego, bo stoi Maciejowski twardo i nieugięcie przy prawie i od niego nie odstąpi. Owszem, ile z niego, i przykładem i listownie upominać będzie innych swoich kolegów w pasterskim urzędzie, aby takich księży co buntowniczo porywają się na prawa i chcą je obalić przewrotnym wykładem Pisma św., surowo i podług wymagań dyscypliny kościelnej karali.

Odpowiedź Maciejowskiego musiała być dla Kanonika prze-

myskiego twardym do zgryzienia orzechem. Wzburzyła się zapewne i wstrząsnęła ta ognista natura; musiało w niej okropnie zakipieć i zakotłować. Czy pomścił się za to na krakowskim Biskupie, nie wiemy. Ale za to wzburzenie i gniew znalazł sobie inny upust: co miał goryczy pod wątrobą, co miał żalu i urazy do hierarchii, to wszystko wlał w ostatnią swoją broszurkę, zatytułowaną w *Orichoviana*'ch: *Appellatio*. Skierowana przeciw Dziaduskiemu, usiłuje przedewszystkiem dowieść, że jeśli Orzechowski zerwał z kościelnymi prawami, to nie po jego, ale po stronie Dziaduskiego cała jest wina... Przy tem jednak i obok tego rozkłada tutaj Orzechowski cały arsenał swych sofizmatów o „Celibacie“, skupia w jedno wszystkie cienie, wszystkie ujemne strony współczesnego duchowieństwa, aby obrazem tym przerazić, a całą przyczynę złego w celibacie ukazawszy, przechylić opinię i, jeśliby się dało, biskupów na swoją stronę. Bo co do żeniaczki, on musi w tym roku (1549) już mieć postanowienie stanowcze, a cała ta kampania jest tylko politycznym krokiem, dla zabezpieczenia swjej osoby. W kilka miesięcy potem — 10 kwietnia 1550 — na sejmiku w Wiśni on już otwarcie powie przed biskupem swoim i kapitułą, że jego zdanie jest jedynie prawdziwe, a przeciwne, kościelne, jest *doctrina daemoniorum* ¹.

Idąc — jak utrzymuje — za radą i przykładem Ojców Kościoła, zamierza Orzechowski w tej „Apelacyi“, wobec biskupa swego i publicznego notaryusza, wnieść zażalenie na krzywdy sobie uczynione i wypowiedzieć swoje *Credo*, aby przewrotność lub ignorancya sędziów jego, nie wydała nań wyroku niesprawiedliwego. Po tym uroczystym wstępie wytacza zaraz po kolei główne swe zarzuty i skargi, które ma przeciwko Dziaduskiemu. Skargi te dadzą się ująć w pięć punktów: 1) kwestya ruska, 2) święcenie ludzi niegodnych i nieodpowiednich, 3) niekatolicka nauka, udzielana przez biskupa z ambony ludowi, 4) zaniedbanie karności diecezjalnej, 5) prześladowanie ciągle Orzechowskiego od r. 1545. Już ten suchy schemat okazuje, jak efektownie swój protest i zażale-

¹ Ossoliński: „Wiad. hist.-kryt.“ III, 2. Nr. 17 przypisów do części 1.

nie usiłował Orzechowski ułożyć. Zaczął od zarzutów, które miały może najwięcej pozorów prawdy w sobie, aby przez to powagę biskupa podkopać; a skończył swą własną osobą, poświęciwszy jej najwięcej miejsca; patosem i retoryką, w której był mistrzem i szermierzem znakomitym, usiłował zjednać sobie przychylność czytelnika lub słuchacza, wdrażając w pamięć jego doznane niby krzywdy i obudzając w nim litość dla siebie i współczucie...

Co do kwestyi ruskiej, to przedewszystkiem zarzuca Dziaduskiemu, że nie uznaje tego stanu rzeczy, jaki na Rusi panuje: a zatem, że potępia małżeństwo ruskich księży, Komunię pod dwiema postaciami, że przechodzących na łono Kościoła łacińskiego każe chrzczyć warunkowo, że każe swoim owieczkom unikać styczności z Rusinami i t. d. Największa zaś zbrodnia to ta, że publicznie na kazaniach głosi, iż Grecy, Aleksandryjczycy, Antyocheńczycy i Rusini są schyzmatykami i z Kościoła wyklęci. Z tego wyprowadza Orzechowski wniosek, iż Dziaduski największą zadaje tem Kościołowi krzywdę, bo odejmuje mu cechę powszechności; Kościół bowiem, według niego, katolicki, tj. powszechny, nie jest, jeżeli się z niego wyłącza trzy ogromne patryarchaty.

Ażeby ten zarzut sprawiedliwie ocenić, trzeba zważyć, że już wiek upłynął od unii florenckiej, że na Rusi jak i gdzieindziej, z unii onej nie masz prawie śladu. Dziaduski zatem, ostrzegając przed schyzmą, tak okropnej zbrodni, jaką mu Orzechowski zarzuca, bynajmniej nie popełnił. Że chrzczyć kazał powtórnie, mógł do tego mieć rację bardzo słuszną: zupełne zaniedbanie wykształcenia religijnego w schyzmatyckich popach mogło mu nasuwać w tym względzie bardzo poważne wątpliwości¹. A jeśli w swojej gorliwości poszedł może za daleko i ganił to, czego z dobrej wiary na Rusi się trzymano, pewnie nie czynił

¹ Por. uchwały synodu Piotrkowskiego z r. 1551, gdzie wyraźnie nakazano schyzmatyków nawracających się na łono Kościoła katol. chrzczyć na nowo („Korespondencya Zebrzydowskiego“, p. 521).

tego z manii prześladowania, jak to chciałby Orzechowski weń wmówić ¹.

Następne trzy zarzuty są dla nas mniejszej wagi, bo nie mamy dostatecznych dokumentów do ocenienia ich słuszności; a zarzut trzeci, jakoby Dziaduski z ambony uczył zabobonnych praktyk, jest po prostu nieprawdopodobny: było tu widocznie albo niezrozumienie nauki biskupa, albo tendencyjne jej przekręcenie.

Ciekawy jest punkt piąty: w nim zebrał Orzechowski aż siedm różnych zbrodni, jakich się miał na nim Dziaduski dopuścić. Aby zaś oczyścić siebie z wszelkich możliwych zarzutów, usiłuje z Dziaduskiego zrobić niegodziwego prześladowcę, który w Orzechowskim upatrzył sobie swoją ofiarę i postanowił go zgubić za to, że on, prosty kapłan, przypominał biskupowi jego obowiązki i chciał go utrzymać na prawej drodze! Tę pobudkę podsuwa mu najwyraźniej ².

Po tej ogólnej tezie następują rzekome argumenta, które mają dowieść założenia, a więc: że Dziaduski zarzucał mu bezpodstawnie zabicie poddanego w Brzozowie, że nie dozwalał mu jako dziekanowi wizytować podległych parafij, że mu wytoczył proces na synodzie dycieczalnym w r. 1547 — czego Orzechowski, nawiasem mówiąc, nigdy nie mógł przeboleć, gdyż zdemaskował go ten synod i jego złą wiarę i matactwa odkrył i sparaliżował — i wymusił na nim przysięgę, że spiskował przeciw jego osobie w połączeniu z Kmitą, gdy on był na Orzechowskiego obrażony;

¹ W „Korespondencyi biskupa Zebrzydowskiego“, wyd. przez d-ra W. Wisłockiego (Kraków 1878), znajduję informację kapituły krak. na synod dycieczalny w r. 1551, w której gorliwość i prawowierność Dziaduskiego jest z uznaniem zaznaczona. Nazwany jest tu wyraźnie *vigilans pastor* (p. 480, n. 846), co bardzo jaskrawo odbija od relacyj o prymasie i innych biskupach, jak Drohojowski, Uchański it. d.

² „Cum enim me, hominem et honesto loco natum et liberaliter institutum et talem certe canonicum sibi obtigisse videret, qui ius et libertatem Ecclesiae Premisliensis, uti contra antecessorem eiusdem defenderem, ita quoque contra Vram. Dtionem. fideliter possem defendere, statim Vra. Dtio. cogitare coepit, quomodo me non solum ab Ecclesia Premisliensi, sed etiam ab honore sacerdotali removeret“. *Orich.*, p. 320. Por. nadto *Orich.*, p. 326 z góry.

wreszcie, że go suspendował od kazań, choć nieuków i prostaków dopuszcza do tego urzędu, a wkońcu dowód najsilniejszy: że odkąd Orzechowski w Krakowie stanął w obronie małżeństwa Walentyna z Chrzczonowa, grozi mu ciągłemi za to procesami i karami, weksuje go i uciska.

Ta długa lista grawaminów kończy się nareszcie uroczystem odwołaniem się do sądu papieża, arcybiskupa lwowskiego i prymasa Polski.

W szczegółowy rozbiór tych inkryminacyj zapuszczać się tutaj niepodobna. Niektóre z nich były zresztą już w pracy tej dotknięte; sąd o reszcie nie trudno sobie wyrobić, przeczytawszy uważnie *Orichoviana*.

Na drodze przepaścistej, po której kroczył Orzechowski, był to już przedostatni etap do zupełnego zerwania z biskupem. W roku następnym 1550 złoży wszystkie swoje beneficya i godności kościelne, a niedługo potem, w lutym 1551 r., ożeni się w Łęcinie z Magdaleną Chełmską, córką Jana, burgrabi krakowskiego. Odtąd rozpocznie się ostatni, najnieszczęśliwszy peryod w jego życiu, a zarazem ostatni akt tej wielkiej tragedyi.

Dobiegłszy do kresu naszej pracy, pytamy, jak się nam przedstawia charakter Orzechowskiego w latach 1548 i 1549? Na podstawie tego, cośmy tutaj wykazali, śmiało możemy odpowiedzieć, że bardzo ujemnie. Prywata i egoizm Orzechowskiego dochodzi prawie do swego szczytu; dla dokonania swych zamiarów przekręca najniemiłosierniej naukę kościelną (o władzy papieży, o czterech patryarchatach, o schyzmie...), w życiu często, a w pismach nigdy nie cofa się przed żadnem wyuzdaniem, przed żadnym, choćby najpłytszym, sofizmatem lub paradoksem, sądy i zdanie zmienia na poczekaniu oportunistycznie, a gdy kogoś potrzebuje, umie mu przyłasić się, podchlebić szumnie, przesadnie, zbyt, a zawsze panegirycznie (Kmita, Maciejowski, Brudzowski, Przyłuski). W każdym zaś swoim piśmie, w każdym niemal liście, jest skończonym humanistą: styl ma czysty, piękny, barwny, pełen efektywnych zwrotów, śmiałych, a olśniewających hiperbol. Talent to

bez wątpienia wielki, ale zużyty i nadużyty do błahych celów i do przewrotnych planów.

Słowem, przyznać trzeba, zgodnie z poglądem Szujskiego, że Orzechowski i w tych dwóch latach, o których tutaj była mowa, to typ owego wieku — „typ bujnego, lekkomyślnego, namiętnego człowieka, z zachwianą tradycją religijną, nadużywającego wiedzy i zdolności swoich do sofistyki, okłamującej sumienie, a służącej do usprawiedliwienia gorących popędów serca i zuchwałych marzeń fantazyi“¹.

Romuald Koppens.

¹ „Dzieła J. Szujskiego“. Serya II, t. V, p. 357. Kraków 1885.



OSTATNIA MSZA.

I.

Na N. Pannę Szkaplerzną, siostra Domicella wezwała mnie do furty.

— Jakiś pan nieznajomy pragnie widzieć się z matką.

— Nie powiedział skąd jest? Jak się nazywa?

— Nie. Samej matce chce to powiedzieć.

Zrobiło mi się trochę przykro. W tych czasach, takich ciężkich, byle drobnostka niepokoi. Ile razy widziałyśmy, jak z tych drobnostek rosło nieszczęście! Odwiedziny jakiegoś nieznajomego? Może prośba, może interes, może i pułapka. Kto wie?

Poprosiłam siostry Serafyny, aby mi towarzyszyła do kraty. Jest najmłodszą z nas, najwięcej ma przytomności umysłu i odwagi; kierujemy się też zazwyczaj zdaniem jej w ważniejszych sprawach.

Choć po niej najmłodszą jestem w naszej klasztornej rodzinie, i dlatego też zrobiono mnie, najniegodniejszą ze wszystkich, przełożoną, po śmierci nieodżałowanej matki Klary, zostało mi drżenie nóg i wielkie osłabienie od czasu ostatniej rewizji przed trzema laty. Było to wtedy, kiedy wskutek donosu, że ułatwiamy „uporczywym“ przyjmowanie Sakramentów świętych, chciano klasztor skasować, co Pan Jezus odwrócił. Otóż, szłyśmy powoli przez wirydarz, w środku klasztoru. Siostra Serafina podtrzymywała mnie.

Wieczór się zbliżał. Po szarych, okopconych murach słońce kładło blaski swe gorące, złociste. W naszym ogródku wszystko

zieleniło się i pachło. Dokoła posągu Matki Bożej róże kwitły gąszczem całym. Pomiędzy bluszczem, oplatającym kolumny krążganku, przelatowały gołębie klasztorne i całe stada wróbli.

Wśród murów grubych, omszonych, cicho było i chłodno. Z daleka, przez gotycką arkadę, świat Boży przeglądał, oko ogarniało dolinę całą, łąki zielone, zboże dojrzewające, strzechy słomiane i sady dwóch wiosek, klasztornych niegdyś. Ludzie kręcili się po polu, daleko, w płótniakach, podobni do białego mrowia. Czasem, na chwilę, wiatr przyniósł echo pieśni wesołej, nawoływanie parobków, śmiechy dziewcząt. I znowu cichło wszystko.

Zatrzymałyśmy się na jedno Zdrowaś przed posągami Bogarodzicy. Po chwili podniosłyśmy razem głowy, rzucając okiem na wirydarz i pole.

— Czterdzieści lat — szepnęła siostra Serafina bardzo cicho.

— Czterdzieści lat tylko — odparłam z uśmiechem. — Siostra jest tu tak krótko! Ja, Bogu dzięki, czterdzieści sześć, a matka Koleta, wiadomo siostrze przecie, ni mniej ni więcej tylko sześćdziesiąt i ośm.

Uśmiechnęłyśmy się obie.

— Tak; życie całe, długie, w pracy, modlitwie i ciszy. Wielka łaska Boża!

— A tak już źle było z nami, — wtrąciła siostra. — Pamięta matka, jakieśmy węzełki już pakowały przed trzema laty i nowennę zaczęły do św. Rafała, patrona wędrowców?

— Bóg się zmiłował!

Stałyśmy w milczeniu przez chwilę. Tyle lat, tyle lat! Wiedziałam, co myśli siostra Serafina. Przed oczyma jej, jak przed mojemu, wirydarz taki pusty i cichy, zaroił się tłumem dziewczątek w szarych sukienkach, uganiających tu o tym czasie podczas wieczornej rekreacji. Jakie to były wesołe i pocziwe twarzyczki, jak im dobrze było z nami, a nam ile z nimi Bóg przynosił pociechy i wesela! I naraz... wicher przyszedł północny, zimowy, zmiótł, zniszczył wszystko, wszystko... I konwikt, i ochronka, i szpitalik... Nic nie zostało... Tylko nas kilka starych, opuszczonych, ostatnich.

— Wiele to lat była matka prefekta konwiktu? — szepnęła siostra Serafina, odwracając się ode mnie i chowając starannie twarz przy różach, które zaczęła oczyszczać zawzięcie.

— Dwadzieścia lat. Pamięta siostra przecie? Od tego roku, kiedy składałyście ostatnie śluby.

— Prawda. A ja matce pomagałam całych piętnaście lat. Tylko tych parę lat nie, co mnie przeznaczono do infirmaryi. A i wtedy z dziećmi byłam. Mój Boże! Co za życie tu wtedy miałyśmy, ile robiło się dobrego w tych czystych, ślicznych duszyczkach...

— I teraz Pan Jezus nam pozwala pracować dla nich i dla siebie, modlitwą, pokutą.

— Prawda, prawda. Wiem, że grzeszę. Ale żal. A potem ten strach...

— Bóg mocny.

— Gdybyż choć tu głowę złożyć, byle nie patrzeć jak po nas...

Przerwałam jej. Nie dawałam nigdy rozmowie schodzić na te tory. W klasztorze spokój i pogoda ducha jest najpierwszym z obowiązków po modlitwie, a jakże zachować spokój, myśląc i mówiąc o losie tych murów, od czterystu lat poświęconych chwale Bożej, o skarbie najdroższym, o kościele, którego istnienie związane było z naszym życiem.

Najlepiej było myśli z duszy oddalać, słów nie dopuszczać do ust.

— Nie każmy tak długo czekać naszemu gościowi, moja siostro.

Gość był nieznany, ale mu jakoś dobrze z oczu patrzyło. Zalekniiony był widocznie i podrażniony cały. Szpiegowie bywają śmielsi. Gdyśmy weszły do parlatoryum, przedzielonego kratą, wstał, i pokłoniwszy się nam, otworzył drzwi sąsiedniej izby, aby się przekonać, że nikt nie podsłuchuje.

— Czy mam zaszczyt mówić z matką przełożoną? — spytał wracając.

— Tak jest — odrzekłam.

— Z matką Rozalią, w świecie Joanną Błocką?

— Tak jest, — odparłam — od śmierci ostatniej przełożonej, dwanaście lat już sprawuję ten urząd.

— A nikt nas słyszeć nie może?

— Niech pan dobrodziej będzie spokojny zupełnie.

— Bo widzi matka, w takich dziś czasach żyjemy! Nikomu ufać nie można, nigdy być pewnym... A ja z ważnemi sprawami przyjeżdżam. Umyślnie tu przyjeżdżam. Tak, tak, dziesięć mil drogi nałożyłem. A strach!... Ale naprzód przyrzec mi matka musi solennie, że nigdy nikomu nie powie żadna z siostr o mnie i moich odwiedzinach.

Przyrzekłam mu najuroczyściej i wcale nawet nie uśmiechałam się z niego. Tyle ludzi widziałam, których zgubiło jedno marne, nieostrożne słowo! Trudnoż było brać za złe trochę ostrożności.

— Czy hrabia Mikołaj C. i ksiądz Ignacy N. w A., siostrom są znani?

— Oczywiście, że tak. Hrabia przecie to był, który nas wpływem swoim uratował przed trzema laty. Do B. jeździł za nami wstawiać się i wygrał. A ksiądz Ignacy? Jakżebyśmy go nie znały! Toż był nasz dobrodziej, opiekun, pośrednik. On nam zjednywał stosunkami poparcie, on wynajdywał jałmużny, któremi żyłyśmy, odkąd zabrano nam wszystko.

— Przysłała mnie tu właśnie ksiądz Ignacy w porozumieniu z hrabią. Mam tu list od niego.

List był treści obojętnej, z wyjątkiem ostatniego frazesu:

„Resztę dopowie ustnie oddawca, któremu proszę zaufać, jak mnie samemu“.

Przeczytawszy, podniosłyśmy oczy na naszego gościa, z milczącym, niespokojnym pytaniem.

Zrozumiał je i schylił głowę z wyrazem bolesnego zakłopotania.

— Tak jest, — zaczął wreszcie — niewesołe wieści przynoszą, a niestety pewne. Przysłano mnie, aby ostrzedz, uprzedzić...

— Boże mój! Klasztor nasz...

— Zniesiony. Tak jest. Ale rzecz trzymają w sekrecie. Za tydzień zjeżdża komisya.

— A kościół, kościół?

Spuścił głowę jeszcze niżej.

— Zniesiony także — szepnął. — Dziekan ma być wezwany przez policję do zabrania Przenajśw. Sakramentu i aparatów kościelnych.

— I to już ostatecznie, nieodwołalnie, bez ratunku?

Nie odpowiedział, wzrok schylając ku ziemi. Po co było pytać? Gdyby był ratunek, nie przysłanoby go tutaj.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, martwe. Nie jeden raz przeciągały chmury nad naszym domem zakonnym. Czasem, zdawało się, już, już za chwilę padnie piorun... I mijało jakos. Bóg łaskaw, ratował. A teraz...

— Za grzechy nasze — szepnęła siostra Serafina.

— Bogu dzięki i chwała za wszystko, — odrzekłam, ale słowa więzły mi w gardle.

— Ksiądz Ignacy przysłał mnie głównie dlatego, — rzekł nasz gość — abyście siostry, co możecie z kościelnych i klasztor-nych rzeczy, umieściły zawczasu w bezpiecznym miejscu, a same od razu wybrały wyjazd za granicę, jeśli wam wybór zostawia.

Mówił jeszcze dalej, dając instrukcye, jak mamy postępować. Aleśmy nie słyszały nic prawie. Co nas to obchodziło, co z nami będzie? Kilka staruszek niedołężnych, rok wcześniej czy rok później pójdzie na tamten świat, tu czy gdzieindziej, co na tem zależało? Ale nasz kościół, nasze świętości, nasze groby!

Trzeba było jednak serce krzepić, znaleźć dobre słowo dla nieznanego gościa, który dla nas trudził się i narażał, ugościć go, o ile na to stać było nasze ubóstwo, a wreszcie podzielić się nieszczęściem wspólnem z siostrami.

Gdyśmy odeszły od furty, dzwonek się odezwał właśnie, wzywający do chóru, po którym następował wieczorny posiłek.

Siostra Serafina uchwyciła mnie za rękę.

— Nie dziś, matko, — szepnęła — nie dziś jeszcze... prawda?

Skinęłam w milczeniu głową. Niechże jeszcze jedna noc spokojnie upłynie pod tym dachem dla biednych, starych siostrzyczek..

Ostatnia!

Do chóru schodziła już tylko połowa siostr. Było nas dość wiele, i to dawało nadzieję, że klasztoru nie zamkną tak prędko — ale wszystkie były takie stare, takie stare... I zbiedzone także, i chore. Siostra Eustachia od trzech lat nie ruszała się z łóżka, siostra Salezya i Ignacya nie mogły nigdy prawie z celi wychodzić, siostra Koleta i siostra Józefa żadnych funkcyj nie spełniały dla podeszłego wieku, młodsza od nich o kilka lat siostra Agnieszka zdziecinniała od jakiegoś czasu całkiem. Wciąż belkotała i śmiała się, lub płakała jak dziecko. Inne siostry zapadały też nieustannie. Tej oczy dolegały, tamtej reumatyzmy, a trzeciej nogi puchły — i tak ciągle. Nic dziwnego. Klasztor był od lat dwudziestu nie odnawiany, wszystkie dachy zaciekały, wilgoć, zimno, bo palić nie było czem, chyba ktoś z obywateli sąsiednich przysłał furę chrustu. Ale i oni sami nieraz potrzebowali pomocy. Przytem doktor, apteka... Poczciwy Krościelski leczył, prawda, za darmo, a Steiner za lekarstwa nic nie brał, ale wiadomo, w takich warunkach trudno lekarza i lekarstw nadużywać. Więc tylko w koniecznej potrzebie...

Nazajutrz był właśnie dzień Komunii świętej. Po Mszy wezwałam siostry do kapitułarza.

Nie schodziłyśmy się tam teraz, bo całe to skrzydło klasztoru najbardziej było uszkodzone. Okna powybijał grad i wichur, mury zieleniły się od pleśni, na mozaikowej posadzce stały całe jeziora od ostatniej ulewy. Rzeźbione stalle przeniesiono w połowie do suchszej części gmachu, aby je od zniszczenia uchronić. Tylko wielki Chrystus na środkowej ścianie, pysznie rzeźbiony przez włoskiego mistrza, z czasów Odrodzenia, wisiał nietknięty, czarny od pyłów i pajęczyny, patrząc posepnie na otaczające go zniszczenie.

Biedne siostrzyczki zaniepokoiły się wezwaniem do kapitułarza. Zrozumiały, że chodziło o rzecz ważną, a dla nas ważna nowina nie mogła być dobrą.

Spieszyły też, drepcąc i wlokąc schorzałymi nogami. Siostrę Urszulę, rekonwalescentkę, podtrzymywała siostra Serafina. Nawet siostra Koleta przywlokła się, prowadzona pod rękę.

W stallach zbutwiałych, poczerniałych, wilgotnych, jedenaście nas zajęło miejsca.

Nie kazałam im czekać długo.

— Pan Jezus krzyż swój na nas wkłada. Za tydzień mamy dom ten opuścić.

Nikt głosu nie podniósł, nie westchnął. Oczy pozostały spuszczone, tylko głowy trzęsące się od starości i wzruszenia, pochyliły się trochę niżej. W sercach czytał Bóg.

I za chwilę krótką z jedenastu ust wyszedł, objając się głuchym szmerem o krzyżowe sklepienie, jeden wyraz:

— *Deo gratias!*

Krótkimi słowy wtajemniczyłam siostry w treść rozmowy z wysłańcem ks. Ignacego. Wezwałam je do narady. Po godzinie wszystko było już obmyślane i ułożone.

— A teraz pójdźmy do kaplicy, P. Jezusowi podziękować za ten krzyżyk.

W niezwyklej porze dźwięk hymnu pochwalnego, *Te Deum*, rozległ się po pustym i cichym kościele. Głosy były bardzo drżące. W tym kościele najmłodsza z nas od lat czterdziestu co dzień Boga chwaliła. Tu był nasz skarb, serce nasze, nasze życie...

A teraz...

II.

Jak ten tydzień minął? Nie wiedziałyśmy same.

Na szczęście nasze, było tyle zajęcia!

Od lat dwudziestu kilku patrząc, co działo się wkoło nas, nabrałyśmy doświadczenia. Zabrano nam wszystko, co było majątkiem doczesnym, dającym się spieniężyć. Zostały pamiątki, relikwie, które obca ręka mogła sprofanować. Te trzeba było w pewnym miejscu od profanacyi zabezpieczyć.

Robiły się więc dniami całymi pakunki: stare ornaty, relikwiarze, krucyfiksy, kielich dany przez Maryę Ludwikę i pacyfikał z czasów pierwszych Jagiellonów, rodzinna relikwia jednego z Radziwiłłowskich domów, od dwustu lat ozdoba naszego skarbcza. Siostra Salomea, zakrystyanka, przynosiła po jednym te skarby nasze, — z rąk puścić nie chciała, całowała je płacząc po kolei.

— Ten krzyż, pamiątka po naszych fundatorach, kniaziach Mirskich... Te ampulki srebrne, przy celebrze biskupiej używane, ukrywane tak starannie przed chciwem okiem rewidujących urzędników... A oto srebrna monstrancya, najświeższa, za naszej już pamięci sprawiona, ale za lepszych czasów, na pamiątkę czterechsetnego jubileuszu klasztoru.

I na to wszystko nie będą się już patrzeć nasze oczy!...

Po cichu, w nocy, jak złodzieje, dwaj zaufani ludzie wynieśli tych kilka pakunków do przygotowanej kryjówki. Dostaną się stamtąd w pewne ręce i dalej służyć będą chwale Bożej.

Teraz wszystko gotowe na przyjęcie obcych gości.

Trochę gratów starych w zakrystyi i klasztorze. I my... stare graty także, gotowe do wyrzucenia na śmietnisko. Ale o to mniejsza.

Prócz paru zaufanych, nikt nie został wtajemniczony, nikt o grożącym nieszczęściu nie wiedział. Wszystko w klasztorze szło niezmiennym porządkiem. Jak zwykle odprawiały się nabożeństwa, jak zwykle w oznaczonych godzinach zbierałyśmy się na pacierze w chórze. Nawet było nas więcej. Nikt nie korzystał z dyspens. Matkę Koletę przyprowadzano, matkę Ignacyę przynoszono na fotelu.

Żadna nie chciała opuścić ani jednej godziny w chórze. Były to przecie ostatnie nasze wspólne modlitwy tutaj...

Przyszedeł wreszcie 25 lipca.

W wigilię już spodziewałyśmy się... Parę razy dzwonek odezwał się z daleka na gościńcu; wszystko do okien biegło z bijącym sercem. Ale ten dzień minął spokojnie. Dopiero nazajutrz...

Kończyłyśmy właśnie pacierze przedpołudniowe w chórze, gdy gwałtowne dzwonicie dało się słyszeć u bramy. Pocziwa siostra Domicella, jedyna nasza konwerska, wpadła do chóru, blada jak ściana i drżąca cała, choć przecie od tygodnia spodziewałyśmy się tego, co przyjść miało.

— Już są, już są!

Skinęłam na siostrę Serafinę, i zostawiając siostry przy ostatnich modlitwach, pospieszyłam na przyjęcie tych panów.

Było ich czterech: dwóch starszych w mundurach wojsko-

wych, tamci w ubiorze niższych urzędników cywilnych. Zdawali się zniecierpliwieni.

— Ależ my do klasztoru wejść chcemy, do środka — zawołał najstarszy, w mundurze pułkownikowskim, z mnóstwem krzyżów i medalów na piersiach.

— Może nas panie nie zechcą puścić? — zapytał z ironicznym uśmiechem jego towarzysz, kapitan, naczelnik powiatu. — Tego znałyśmy dobrze, aż nadto.

— Czy panowie żądacie tego stanowczo, aby im bramy otworzyć? — spytałam.

— Żądamy? Jakżebyśmy byli tak niegrzeczni! Prosimy tylko, pokornie prosimy!

— Ustawy nasze zabraniają nam za klauzurę wpuszczać osoby, nie mające do tego prawa. Ale oporu stawiać nie możemy. Tu są klucze. Jeśli panowie chcecie, możecie z nich zrobić użytek.

Ci panowie nie robili ceregieli. Za parę minut wielka brama otwarła się z łoskotem. Posłyszaliśmy na dziedzińcu brzęk pałaszów i ostróg. Na zewnątrz żołnierze z bronią stanęli na warcie.

Zebrałyśmy się wszystkie, które mogły chodzić, w refektarzu, czekając. Za chwilę pułkownik zjawił się tam ze świtą.

— Czy panie wszystkie tu jesteście? — spytał kiwając nam głową na przywitanie.

— Oprócz trzech siostr, nie mogących zejść dla wieku lub choroby.

— Proszę po nie posłać.

— Panie pułkowniku, nie mogą się ruszyć z łóżka.

— Proszę je przynieść z łózkami, albo poślę moich żołnierzy, żeby je znieśli.

Nie było rady. Zostawiłam pana pułkownika w refektarzu, zapalającego sobie cygaro, i poszłam na górę, aby zarządzić sama przeniesienie biednych siostr. Siostrze Eustachii oszczędzałyśmy dotąd smutnej wiadomości. Bałam się, że ją to zabije. Ku wielkiemu memu zdziwieniu, znalazłam ją całkiem spokojną i przygotowaną.

— Niech matka się nie trudzi. Wiem o wszystkim. Kla-

sztor skasowany. Nas wypędzają. Żołnierze w dziedzińcu. W re-fektarzu oficerowie.

— Któż matce powiedział? Zakazywałam przecie...

Uśmiechnęła się.

— Proszę tylko do nikogo nie mieć pretensyi i nie podej-rzywać niesłusznie. Nikt ust nie otworzył.

— Skądże więc?...

Uśmiechnęła się znowu, tym dziwnym, trochę zagadkowym uśmiechem, jaki miewają czasem postacie Świętych. Twarz jej żółta, zawiędła, przeźroczysta, wyglądała zwykle tak, jak wy-gładają umarli. Tym razem blask jakiś dziwny bił od niej.

— Czyż to koniecznie od ludzi można dowiedzieć się o wszystkim?

Mówiła to tak spokojnie, jakby żartobliwie. Ale serce moje lęk wielki przeniknął. Pan był tutaj, w tej cichej celi, i jego Anioły.

Siostra Eustachia mówiła dalej ze zwykłą swą prostotą i spokojem.

— Ten oficer domaga się abym zesła. Prawda? Zejść nie zejść, ale na krzesła to mnie zniosą.

Pomogłam jej ubrać się; potem siostra Domicella z Ma-ryanną, naszą jedyną posługaczką, podniosły w górę krzeselko, na którym staruszka siedziała spokojna, uśmiechnięta, jasna cała.

— Ostrożnie, na miłość Boga — zawołałam.

Skinęła lekko ręką, nie przestając się uśmiechać.

— Nie bój się, mateczko, — rzekła — nie bój się nic. Już niedługo.

Dopiero nazajutrz zrozumiałam te słowa.

Z matką Salezyą przyszło trudniej o wiele. I jej nie mó-wiono nic dotąd o kasacie klasztoru; teraz wierzyć jej nie chciała, o zejściu na dół nie dała sobie mówić.

— Albo wszystko nieprawda i bajka, — powtarzała upar-cie — a wtedy niema po co na dół schodzić, albo ci panowie, jeśli są tu, znajdą do mnie drogę.

Staruszcze biednej zaczynało powoli w głowie się kręcić, jak siostrze Agnieszce.

Nie było rady. Trzeba ją było zostawić.

Zastanawiałam się, schodząc, jak wytłumaczyć to pułkownikowi i przeszkodzić możliwym gwałtom i awanturom. Nie doszło do tego jednak. Znalazłam p. pułkownika w zmienionem usposobieniu. Stał zmieszany jakiś i niespokojny. Cygaro rzucił na ziemię, i wciąż patrzył z lękliwem zdumieniem na siostrę Eustachię, którą na środku refektarza postawiono z jej krzeselkiem, zawsze uśmiechniętą i promienną.

Gdy weszła zwrócił się ku mnie, i przez chwilę widocznie słów szukał.

— Gdybym był wiedział... — zaczął, jękając się.

Uspokoiliam go frazesem jakimś. Nie pytał już o resztę sióstr.

Wyjął z zanadru papier z urzędową pieczęcią i pospiesznie, myląc się i połykając wyrazy, zaczął czytać dekret rozwiązujący zgromadzenie i nakazujący nam bezzwłocznie klasztor opuścić. W szczególnej swej łasce władze pozwalały nam wybrać jedno z dwojga: albo wyjazd za granicę, albo internowanie w innym klasztorze, w którym zakonnice różnych domów i reguł zamknięte są do wymarcia, jak w więzieniu, pod rządową, policyjną strażą.

W imieniu sióstr odpowiedziałam, że wybieramy pierwsze, i zapytałam kiedy mamy klasztor opuścić.

— Jutro przed południem.

— Czy wolno będzie Mszę św. odprawić?

Zawahał się.

— Dobrze — rzekł. — Ale jedną i cichą. Inaczej ksiądz będzie odpowiadał — wasz ksiądz. I dziekan także, któremu kazałem tu być jutro. Żadnych śpiewów więc, żadnych świateł, żadnych dzwonów i demonstracyj.

— Ależ bez światła nie można Mszy odprawiać!

— No, to zapalcie dwie świece, nie więcej.

Zastanowił się przez chwilę. Wreszcie zwrócił się do jednego z cywilnych urzędników.

— Sprowadź mi tu pan kapelana, zaraz. Muszę z nim ułożyć wszystko, żeby jakie głupstwo nie zdarzyło się. A panie

o jedno proszę: — dodał, patrząc na mnie — żadnych demonstracyj, żadnych scen. Bardzo proszę.

Opuściła go całkiem chwilowa nieśmiałość. Oczy błyszczały zimne i twarde jak stal.

— Niech pan pułkownik będzie spokojny, -- odrzekłam — my scen nie robimy.

Chciałam jeszcze coś dodać. Przerwał mi głos matki Eustachii.

— Nie bój się synku, mateczka ma słuszość. My scen nie robimy. Pan Bóg tylko, Pan Bóg, to co innego. On może. My nie. My w jego rękę. W jego rękę życie nasze i śmierć...

Urwała i po chwili dodała ciszej, uśmiechając się wciąż do jakichś nieuchwytnych, unoszących przed jej duszą obrazów.

— Życie i śmierć... Tak, tak, śmierć, połączenie z Panem Jezusem... szczęście... niebo... Do jutra.

III.

Skąd się wieść o tem rozeszła po okolicy? Bo nie od nas. Dość że od świtu drogi, wiodące na górę klasztorną, pełne były ludzi. Szło tego jak mrowia. Białe i bure sukmany, rogate czapki i kapelusze słomiane, wózki jednokonne i parką zaprzężone, między niemi tu i ówdzie pański ekwipaż, dziewczęta w chustach kolorowych i baby w rańtach. A wszystko ciche, bez pieśni, bez rozmów, z pochylonemi głowami. Na pogrzeb weselej idą.

I płynęło to, płynęło jak rzeka.

Kościół otworzono o szóstej. Już cały dziedziniec pełen był ludzi, choć żołnierze próbowali byli odpędzać z początku. Od razu tłum zapełnił szczelnie niewielką przestrzeń. I dziwnie! Zwyczajnie w takich razach na odpustach tłok robi się po kościołach, słyhać sprzeczeki, piski, narzekania, rozmowy tłumione. Teraz nic. Ścisk był większy daleko niż kiedykolwiek na największe święto, bo ludu wciąż przybywało i tłum wielki stał przed kościołem, wejść nie mogąc. A jednak nie cisnął się nikt. Nikt się nie ruszał. Nikt głosu nie podniósł. Tylko cichy szepot modlitw unosił się w powietrzu, jak brzęczenie niewidzialnych owadów. Tylko w ciszy wielkiej tłumione, zduszone zaraz łkanie odzywało się na mgnienie oka.

Ks. dziekan i nasz staruszek kapelan, O. Wincenty, siedzieli w konfesyjale od nocy. Każdy się cisnął; każdy chciał raz ostatni Ciało i Krew Pańską przyjąć w tym kościółku, pod którego skrzydłami tuliły się jego dziecinne modlitwy, modlitwy jego ojców i dziadów. A jednak i tam, przy konfesyjalach, nie było ścisłu. Tylko kiedy dziekan zrywał się i O. Wincentemu znaki dawał, że czas ze Mszą wychodzić, chwytano go za komżę, za poły sutanny i jęk wielki rozlegał się dokoła.

— Czekaście, ojcze drogi, najlepszy; dajcie nam jeszcze wysłuchać się... Toć już ostatni raz.

Ksiądz wysyłał posłańca do pułkownika z prośbą o cierpliwość. Potem siadał i głowę schylał ku penitentom. Łkania cichły, i słychać było tylko szept pacierzy.

Było już blisko południa, kiedy pułkownik z kapitanem i cywilnym urzędnikiem zbliżyli się do konfesyjału dziekana. Sześciu żołnierzy szło naprzód, rozpędzając lud.

Ks. dziekan, bardzo błady, wyskoczył z konfesyjału i podbiegł naprzeciw tym panom.

Pułkownik nerwowym ruchem wyjął zegarek i podsunął mu go pod oczy.

— Msza była naznaczona na dziewiątą — rzekł ostrym głosem. — Czynię pana odpowiedzialnym za spóźnienie. I za zbiegowisko także. A prosiłem pokornie, nie uprzedzać, nie rozgłaszać.

Pocziwy ks. dziekan odwagą nie grzeszył. Stał jak na żarzących węglach.

— Ależ najlaskawszy panie pułkowniku, jam nic nie winien, nie mówiłem żywej duszy. A że ks. kapelan się spóźnił... Przypominałem mu już... Ale cóż, ludzi tyle do spowiedzi... Puścić nie chcą...

— Puścić nie chcą? Opór, bunt? Ja tu zaraz moich żołnierzy...

— Ależ nie, gdzie tam, niechże Bóg uchowa, — przerwał ksiądz jeszcze bardziej przerażony — ot nie, tylko wyświadczyć się chcą, a księży niema... Pan pułkownik nie pozwolił, choć prosiłem...

— Zapewne, zapewne, żeby jeszcze większą demonstracyę robić, jeszcze większy skandal! Tego nie dość, co jest! A wszystkiemu pan winieneś. Po co siadać do spowiedzi? Czy ja po to pana sprowadziłem? Inwentarz spisać, co wasze odebrać, kościół zabezpieczyć, to wasza rzecz, a nie awantury robić. Ale wam demonstracye w głowie. Ho, ho, znam ja was wszystkich!

Pułkownik gorączkował się coraz bardziej, szarpiąc i rwąc sznurek od monokla. Kapitan uśmiechał się złośliwie i z widocznym zadowoleniem kiwał głową, potakując. Urzędnik stał sztywny i znudzony.

Ksiądz dziekan stracił całkiem kontenans.

— Pobiegnę po ks. kapelana, aby wychodził ze Mszą — rzekł wreszcie, aby wyjść z kłopotliwego położenia.

— Radzę wam to zrobić bez zwłoki i dopilnować — odparł ostro pułkownik, patrząc na zegarek. — Jeśli za kwadrans Msza nie zacznie się, każę kościół opróżnić przez żołnierzy i zamknę go jak jest.

Jak jest, to znaczyło z Przenajśw. Sakramentem.

Ksiądz dziekan nie dał sobie powtarzać. Przedarł się przez tłum i dopadł drugiego konfesyonału, koło którego ludzie cisnęli się murem.

— Ojczy, prędzej, ze Mszą wychodźcie, inaczej awantura! — zawołał głośno, zadychając się i chwytając powietrze.

Staruszek powoli głowę białą, jak mleko, odwrócił od penitenta.

— Konieczneż to, tak prędko — szepnął cichym, bezdźwięcznym głosem. — Ci biedacy tak proszą, płaczą oto... Toż ostatni raz!...

— Ależ zlituj się ojczy! Pułkownik wścieka się. Grozi, że kościół opieczętuje z Przenajświętszym Sakramentem! Tak przecie zrobili w Bujsku i aż w rok wyrobił biskup pozwolenie zabrania *Sanctissimum*.

Staruszek podniósł się szybko i zaczął, trzęsąc się, przeciskać do dziekana przez tłum, zatrzymujący go z płaczem i jękiem.

— Mnie jednego jeszcze, ja o 10 mil przyszedłem.

— A ja tu się chrzcilem, do Komunii pierwszej przystępowałem.

— My tu ślub brali, na tym cmentarzu chcieliśmy kości złożyć...

Wszystko płakało. Ręce staruszka okrywano pocałunkami i łzami. Inni schylając się, całowali brzeg jego sutanny.

On szedł jak senny, ślaniając się, nie widząc. Oczy mu zasłaniały łzy.

Dziekan zbliżył się i podał mu ramię.

— Odwagi, ojcze, odwagi — szepnął. — Wola Boża.

— Uznaję ją i czezę, — jęknął stary — ale ciężko. Wicie przecie... całe życie tu zeszło. Pókim był z braćmi, przysyłali mnie tu wciąż, potem osiadłem jako spowiednik, a gdy nasz klasztor zamknęli, zostałem tu sam jeden, i już myślałem, że nie dożyję... A wszakże to czterdzieści pięć lat, jak tu jestem.

Wszystko to później sam dziekan nam opowiadał, gdy nas odwiedzał na wygnaniu naszym. I zdawało nam się, że widzimy przed sobą drogą, świętą postać ojca Wincentego. Ale on już wówczas odszedł w górę.

My tymczasem trwałyśmy na modlitwie w chórze przy kracie, która wyjątkowo na tę ostatnią Mszę nie była zasłonięta. Inwentarz już był oddany od rana. Naszych parę węzełków leżało, gotowych do drogi, na wózku. A my, zebrane u stóp Zbawiciela, w stallach naszych starych, które miałyśmy na zawsze opuścić, modliłyśmy się, modliły...

Byłyśmy wszystkie, od tyłu lat, po raz pierwszy — wszystkie bez wyjątku. Matka Eustachia na fotelu, obłożona poduszkami, z głową na tył odrzuconą i zamkniętymi oczyma, wyglądała jak umarła. Z twarzy woskowej, zdawało się, uciekł ostatni promyk życia. Ręce tylko wychudłe, siecią żył sinych okryte, poruszały czasem ziarna różańca.

W krześle także zniesiono matkę Salezyę z jej sparaliżowanymi nogami. Za to matka Ignacya chciała koniecznie zająć swoją stallę obok matki Kolety, a siostra Agnieszka siedziała także na swem miejscu, całkiem spokojna, nie śmiejąc się, nie

bełkocąc; tylko wielkie znaki Krzyża świętego robiła co chwila, bez potrzeby.

Offycjum przedpołudniowe odmówiliśmy w zwykłym czasie, dodając nieszpory, jako przed podróżą, podczas której mogliśmy mieć przeszkodę w odmawianiu pacierzy. Czekaliśmy już tylko na Mszę.

Pan pułkownik zabronił organu, śpiewu, dzwonów i świateł, z wyjątkiem dwóch świec. Byłyśmy posłuszne.

Palily się więc dwie świece na wielkim ołtarzu od rana. Od górnego chóru i organów kazał sobie oddać klucze pułkownik. Dzwony milczały.

I naraz, odezwał się jeden przy zakrystyi, cichutki.

Drżący, osłabły, pochylony, sunał się chwiejąc ku ołtarzowi ojciec Wincenty. Ksiądz dziekan w komży i stule podtrzymywał go. Kościół nasz taki mały: od zakrystyi do ołtarza trzy kroki zaledwo. Zdawało się, że staruszek ich nie przejdzie. Zatrzymywał się, ślaniał, ręce wyciągał przed siebie, jakby drogi w ciemnościach szukając, lub oparcia. Na nim stary ornat złotemi niemi szyty, wystrzępiony ze starości jak koronka, robota pobożnej kniahini Hanny, żony naszego fundatora, kniazia Danila Mirskiego, córki wojewody Przemka z Melsztyna. Stara relikwia, którą zostawić było trzeba, bo ją do inwentarza klasztornego zapisali przy rewizyi urzędnicy, dla kilku pereł wplecionych w złote pasma ręką hojnej pani. Staremu ciężko było w złotogłowie zczerniałem. Uginał się idąc.

Przed nim dwóch starców, siwych, zgarbionych, mało co od niego młodszych. Jeden, z białą po pas brodą, niósł mszał. To najpoważniejsi i najstarsi z obywatelstwa, podkomorzy Gostowski i sędzia Raciszewski. Oni tym razem, przy Mszy ostatniej, służyć będą za ministrantów.

Ci już nie boją się kompromitacyi.

Po kościele jedno wielkie westchnienie rozległo się naraz, z tysiąca piersi wydzierające się głucho, ciężko, jak jęk.

Msza się zaczęła.

Myśmy oczy spuściły w dół na chwilę. Zasłonami przysło-

niłyśmy twarze, pochyliłyśmy je ku pulpitom, tłumiąc łkanie, kryjąc łzy.

To była Msza ostatnia.

Kiedy za chwilę oczy podniosłam, zdało mi się, że śnię.

Kościół jaśniał światłem cały. Wszystkie pająki we wszystkich trzech nawach, kandelabry, świece u ołtarzów, co tylko było do zapalenia, gorzało jak na procesyi Bożego Ciała. Jak to się stało? Czy kto o zakazie oświetlenia wielkiego ołtarza wygadał się? Czy się umówiło kilku odważniejszych? Kto pierwszą świecę zapalił? Nikt tego nie dojdzie, bo z pewnością nikt się tem nie pochwalił. Dość, że w ciągu jednej minuty kościół cały jaśniał światłami, zapalonemi niewiadomo przez kogo.

Tylko na wielkim ołtarzu, przy którym stali oficerowie i żołnierze, paliły się dwie świece, jak przedtem, i pułkownik obrócił się twarzą ku kościołowi, zielony cały, sapiąc głośno, gryząc wąsy i rwąc w kawałki sznurek od monokla.

Nie patrzyaliśmy na niego. Oczy nasze biegły na kościół, na kościół nasz kochany, taki w tych blaskach złotych cudowny!

Nigdy mi się tak pięknym nie wydał. Dzień był jasny, gorący. Słońce wpadało błyszczącemi smugami przez górne okna, ślizgało się po murach poczerniałych, po marmurowych gzem-sach, po czerwonym porfirze ołtarzy. Złoczone anioły i posągi świętych biskupów zdawały się gorzeć jakimś nadziemskim ogniem. Wybladłe freski na sklepieniu i na ścianach, porysowane w zygzaki, okryte plamami od wilgoci, w świetle setek świec i w ciepłej smudze słonecznej wyglądały promienne i świeże, jakby je wczoraj malował pobożny nasz brat Hilaryon, uczeń Lexyckiego przed dwustu laty. Żywe barwy ściennych malowideł, zlocenia i marmury nadgrobków i ołtarzy, złocisty blask zapalonych świec w kandelabrach i pająkach — wszystko razem zlewało się w jakiś dziwnie harmonijny obraz, przemawiający do oka, jak muzyka. Siostry mówiły mi później, że miały takie wrażenie, jakby się znajdowały w niebie, u stóp Bożego Majestatu.

A na tle tej tęczy złotem oblanej, tysiąc głów schylonych

ku ziemi, twarzy łzami zalanych, ust wstrzymujących łkanie i jęki, a szeptających modlitwy...

Przy wielkim ołtarzu ojciec Wincenty Mszę św. odprawiał tymczasem.

IV.

Odprawiał ją bardzo powoli. Mylił się widocznie, płątał i na nowo zaczynał. Do mszału wciąż patrzeć musiał, bo go widocznie zawodziła pamięć, ale i czytać trudno było, choć oczy drżącą ręką przecierał co chwila. Ksiądz dziekan stał przy nim, karty mu odwracał, drżące dłonie podpierał, słowa liturgii podpowiadał z pamięci. Ale staruszek coraz bardziej ociągał się, coraz wolniej wymawiał święte wyrazy.

Ach! myśmy go dobrze rozumiały! Myśmy wiedziały, dlaczego mu trudno Mszę tę ostatnią skończyć, dlaczego mu tak przed końcem *Ite, missa est* straszno!

Oto podniesienie. Siwa głowa kapłana pochyla się nad ołtarzem, dzwonek jęczy cicho. Tłum ściśnięty w kościele porusza się przez chwilę, jak fala wiatrem kołysana, i ściele się u stóp Pana Zastępów.

Drżące, pomarszczone dłonie starca podnoszą się wysoko. W nich Hostya biała: święte Ciało Chrystusowe.

I znów z tysiąca piersi jęk się odzywa przeciągły, głuchy:
— Jezu, Jezu, Jezu!

Oto jesteś na tym ołtarzu, na który od czterystu lat schodziłeś codziennie, z którego tak długo, tylu tysiącom niosłeś łaski swe i pociechy, swe światło i zbawienie. Oto jesteś — i jesteś po raz ostatni!

Chwila jeszcze, i przestaniesz królować tutaj, i odejdiesz wygnany, i już Ci nie będzie wolno tu wrócić, tak jak i twoim sługom...

Koło mnie siedziała matka Koleta, nieruchoma, zmartwiała w powadze swych dziewięćdziesięciu lat. Naraz usta jej blade poruszyły się, wymawiając słowa pieśni pobożnej, pieśni śpie-

wanej przez konfederatów, od jednego z nich może słyszanej w dzieciństwie przez staruszkę:

Bo nieprzyjaciel na to się usadził,
Aby twe syny z ojczyzny wygładził...

Ach! ależ to nie synów i córki ojczyzny naszej, nie synów Maryi, kraju naszego Królowej, nie ich samych tylko chce nieprzyjaciel wygładzić... Oto przecie dłoń świętokradzką podnosi na Twego Syna, o Maryo! Oto Jego wygania z Jego przybytków, oto zabrania mu do nich wstępu... I On, Pan niebieskich pułków, na to pozwala? Pozwala sobie wygnać z kościołów, z serc słabych i ułomnych, w których gaśnie moc i wiara? I Ty Panno mocna, Tyż nie pospieszysz się ku obronie?

Ach, w sercu starego kapłana to samo pytanie musi się powtarzać! Słowa modlitwy wychodzą z ust jego coraz wolniej, coraz trudniej. Zdaje się, jakby czegoś czekał... Może cud się stanie? Może pułki aniołów z płomiennymi mieczami w dłoniach zejda z niebios, odpędzą najeźdźców, ocalą świątynię i ołtarz...

Ale oto przychodzi chwila Komunii.

Panie! nie jestem godzien...

Z głuchym łoskotem dłoń starca uderza w pierś wątlą, wychudłą. Ach, gdyby Pan jego raczej ukarał, gdyby życie jego wziął jako ofiarę przebłagalną swego gniewu! A w zamian, gdyby ocalił świątynię.

A jeśli nie... to, gdyby teraz, zaraz, Ciało i Krew Pańską spożywszy, odejść z tego padoleu nędzy do Pana... Nie patrzeć...

Ach! gdyby teraz umrzeć!

Komunia kapłańska skończona. Ojciec Wincenty odwraca się od ołtarza, drżącą ręką krzyż kreśli w powietrzu. A potem Hostyę poświęconą podnosi wysoko ponad korzącym się tłumem.

I znowu, jeszcze wolniej jak do ołtarza, iść poczyną do kraty.

Dziekan podtrzymuje go, prowadzi wraz z podkomorzym. Ale idą po omacku. Łzy zalały oczy im wszystkim.

W swoich płaszczach białych, powłoczystych, siostry zbliżają się powoli, jedne za drugimi, do kraty. Jak w największe święta... Wszak to nasza ostatnia Komunia w klasztorze.

Przysuwają fotele chorych matek tuż do otwartego okienka, podnoszą je, aby kapłan mógł do ust im sięgnąć. Ojciec Wincenty drży całym, ręką z Przenajświętszym Sakramentem kierować musi dziekan.

Wreszcie wszystkie przyjęłyśmy Chleb Żywota. Z zasłoną spuszczoną na twarz siostry pochylają się w niemej adoracji nad pulpitemi swych stalli. Nad ołtarzem pochyla się kapłan.

Spożywa pozostałe konsekrowane komunikanty.

Skończyło się. Pan Jezus opuścił już świątynię. Tabernaculum puste, stanęło otworem. Ksiądz dziekan schodzi ze stopni ołtarza, drżącą ręką wyjmuje lampkę wiszącą w środku prezbiterium — i gasi w niej światło.

Jęk jeden wielki i lament urwany zaraz, rozlega się po kościele.

Żegnajże nam, żegnaj Zbawicielu nasz, Jezu słodki!

Skończyło się...

Resztę widzę już jakby przez mgłę...

U rogu ołtarza stoi Ojciec Wincenty, ślaniający się, błądy jak ściana. Dwóch ludzi podtrzymuje go, dwóch innych zdejmuje z niego ornat i albę, wkłada komżę i stulę. Jakaś miłosierna pani podaje mu sole trzeźwiące. Staruszek daje ze sobą robić co chcą, bezwładny, zmartwiał. Ksiądz dziekan zbliża się ku kracie i roztwiera ją naościęż.

Powoli, podtrzymując się nawzajem i wlokąc za sobą długie ciężkie płaszcze, z twarzą ukrytą w zasłonie, przechodzimy tę kratę, którą ostatnia z nas przestąpiła przed czterdziestu laty.

I teraz już nie jęk urwany i nie tłumione łkanie rozlega się w kościele. Ach, ten lud poczciwy czuje dobrze, że to już ostatnia chwila, że koniec już przyszedł świątyni, w której modlił się od wieku, i sługom Bożym, co ją niegodnie obsługiwały dotąd.

Płacz, krzyk, lament rozdzierający serce wyje dokoła jak burza. Ludzie rzucają się do nas, rozdzierają nasze habity aby je całować, matki podnoszą dzieci aby nas widziały, tysiące głosów woła nam pożegnanie i błogosławieństwa...

— Oj, mateczki nasze rodzone, cóż my poczniemy bez was!

Oj, niedola nasza, kto za nas modlić się będzie, kto poradzi w chorobie i kłopotcie, kto pocieszy w nieszczęściu!

— Oj, sieroty my bez was, sieroty!

— A pamiętajcie tam o nas, a módlcie się za nami.

— A pobłogosławcież choć nam i temu maleństwu.

— Józiek, Maciek, oczy wytrzeszczaj... patrz jak mateczki wyglądają, abys dzieciom kiedyś opowiedział.

— Oj, dolaż nasza nieszczęsna! Na toż nam przyszło, że na poniewierkę ołtarzy Pańskich i świętych naszych panienek patrzeć muszą nasze oczy!

Tu i ówdzie zaciskają się pięście, młodszy iskry z oczu lecą. Ale wszystko znów cichnie.

— Spokój, na Boga, spokój — szepną starsi. — Nie pomożemy nic, nieszczęście tylko zgotujemy im i sobie.

Pułkownik zielenieje znowu.

Podbiega do księdza dziekana i szarpie go brutalnie za rękaw od komży.

— Na pana składam odpowiedzialność za wszystko. To pan chciałeś tej Mszy, tej demonstracji. Teraz bunt się zaczyna... Ja każę strzelać... Niech pan powstrzyma, inaczej ja za nic nie odpowiadam, a pan...

— Pan przespaceruje się w oddalone strony — kończy ze zwykłym swym uśmiechem kapitan.

Ale dziekan całkiem inny już w tej chwili niż przed dwoma godzinami.

— Pan mnie spacerem tym nie nastraszyś, kapitanie — odpowiada spokojnie. — Gdybym się go bał, dawno zrzuciłbym tę suknię. Będzie ze mną, co Bóg da, ja na wszystko gotów. Ale odpowiedzialności za to co się dzieje i dzieć może, ja na siebie nie biorę. Nie ja napełniłem goryczą nie do zniesienia serca tych biednych ludzi; nie ja ich zraniłem w tem, co im najbardziej święte i drogie...

— Uważaj pan na to co mówisz! Pan ośmielasz się poddawać krytyce rozporządzenia wysokich władz. Pan twierdzisz, że rząd tych ludzi obraża i krzywdzi...

— Twierdzą tylko jedno: kto sieje wichry, zbiera burze.

— Ja pana zaraz każę aresztować.

Ksiądz dziekan odwrócił się. A szmer tymczasem znów się zwiększał, rósł, huczał jak ryk burzy.

I naraz wszystko ucichło — ucichło zupełnie.

Słychać było syczenie wosku topiącego się w świecach ołtarzowych.

Ojciec Wincenty ręce wyciągnął, głowę podniósł i usta otworzył.

Słuchali wszyscy. On mówić zaczął.

Pułkownik rzucił się ku ołtarzowi, jak wściekły.

— Ja mówić zakazałem, — krzyknął — ja panu każę milczeć! Ja pana do odpowiedzialności pociągnę za naruszenie publicznego spokoju...

Ale darmo się rzucał. Ruchoma fala ludzka stężała naraz, zrobiła się nieruchoma i twarda jak mur. Pułkownik i towarzysz jego kapitan ujęci zostali jak w kleszcze żelazne. Nie ruszano ich, nie popychano — ale nie ustępowano. Zdawało się, że ta masa ludzi stała się ślepą i głuchą. Pułkownik krzyczał: „Puszcząć! miejsce dać! ja tu w imieniu N. Pana...” Nie słyszał go nikt. Był bezwładny.

— Ten stary klecha odpowie mi za to — zgrzytnął zębami, piniąc się.

— Daj pan pokój — odparł dziekan łagodnie. — On już ziemskich sądów nie boi się. Dziękuj lepiej Bogu, panie pułkowniku, że na tem się kończy i nie utrudniaj nam naszego zadania...

Pułkownik wypatrzył się na księdza...

— Jedno słowo więcej, bodajby nie było iskrą w beczie prochu — kończył ksiądz. — Spojrz pan na twarze tych ludzi.

Pułkownik ogłądał się i naraz księdza za rękę uchwycił.

— Pan odpowiada, ja proszę... ja wszystko zrobię jak pan chcesz... ale nie dopuść pan... istotnie... mogłoby zdarzyć się nieszczęście.

Ksiądz uśmiechnął się smutno.

— Nie będzie nieszczęścia, — odparł — nie bój się pan, ja za to ręczę. Ten lud ma wiarę. Tylko do ostateczności nie trzeba go doprowadzać, bo wtedy już nie ręczę za nic.

Ojciec Wincenty mówił do nas tymczasem. Klęczałyśmy na ostatnim stopniu ołtarza, płacząc cicho. Staruszek nie płakał. Czy mu zapadły gdzieś w głąb, jakby mgłą krwawą zaszył — ale ogień jakiś palił się w nich dziwny. Mówił z początku cicho, niewyraźnie, urywanym, bezdźwięcznym głosem, potem głośniejsze i śmielej. Aż wreszcie z tych piersi rozbitych głos popłynął falą srebrną, potężny i grzmiący. Ludzie oddech w piersi zaparli.

On mówił o dawnych, bardzo dawnych dziejach, o ludziach starych, w proch rozsypanych, o rycerzach w zbroje zakutyh i pobożnych białogłowach, śpiących pod kamiennymi nagrobkami i pod zapisanemi płytami posadzki. Mówił o kniaziu Danile i kniahini Hannie, co po śmierci córki jedynej, a pięknej jak wiosna, wiano jej oddali tutaj, na chwałę Bożą i na pożytek dusz. Mówił o czasach, gdy w tych murach sto dziewięć ze starych okolicznych rodów kwitło jak sto lilij w Jezusowym wirydarzu, o świątobliwej ksieni Dorocie, której ciało Kościół podniósł na ołtarze, o siostrach zakonnych, zmarłych w woni świętości i pocałunku pokoju od Pana. Mówił, czem były dla Boga, czem dla ziemi, na której żyły. Więc o szpitalach dla starców i chorych, więc o szkołach i ochronach dla dziatwy, więc o jałmużnach i lekarstwach, więc o rojach biedaków cisnących się do furty, gnieźdzących się u stóp klasztornej pagórka, więc o innych rojach, co w kościele i klasztorze znajdowały łaskę niebieską i ludzką pomoc lub pociechę; więc dalej o domach Bożych wznoszonych sumptem klasztoru i o ofiarach składanych czasu wojennej potrzeby na ołtarzu Rzeczypospolitej; więc o napaści tatarskiej, mężnie po dwakroć od murów obronnych odpartej i o szwedzkiej łupieży, w której skarby klasztorne zginęły i droższe od skarbów żywoty zakonnych pańienek umęczonych za wiarę i cnotę; więc krwawe inkursye kozackie i ponowny mord pięciu zakonnic, zamordowanych przez rozbestwione schyzmatyckie pospólstwo; więc zastępy niewiast chowanych dla Boga i dla ludzi, sierot wyrwanych nędzy, chorych wyrwanych śmierci, grzeszników, powróconych swym Aniołom Stróżom. A wreszcie ostatnie próby, i walki, i krzyże, i gorycze...

Wszystkie blaski i chwały zgromadzenia, wszystkie zasługi

siostr lepszych od nas i szczęśliwszych, bo spoczęły już tam, skąd niema wygnania; czterysta lat naszych dziejów, dziejów Kościoła i narodu... karta za kartą zapisywał to wszystko biały starzec płomiennemi zgłoskami, na zawsze, w myślach i sercach słuchaczy. Ach! oni już teraz będą wiedzieć, będą pamiętać czem był ten klasztor, oni pamięć o nim przekażą w pokolenia dalekie, gdy w murach jego wróg obierze siedlisko i Imię Pańskie z nich zetrze!

A teraz — zwrócił się do nas.

— Niedobry, okrutny ojciec Wincenty! Nie dość miałeś męki, jaką przechodziliśmy dotąd! trzeba ci było rany nasze rozkrwawiać i niby żelazem gorącym wypalać, trzeba ci było zedrzeć z nas sztuczną skorupę pozornego męstwa i postawić przed Bogiem i tymi wszystkimi ludźmi w całej naszej nędzy i niemocy, w całym tchórzostwie serca i złamaniu woli, w całym rozdarciu biednych, zbolełych dusz naszych!

— Do was teraz ostatnie moje słowo, ostatnie latorośle bujnego niegdyś drzewa, co tyle kwiatów niebu przyniosło, tyle cienia i owocu tej ziemi biednej, ukochanej. Do was się zwracam, siostry moje, ciężko dotknięte prawicą Bożą, zwracam się z pożegnaniem i błogosławieństwem. Błogosławię was na gorycze tułactwa wśród obcych, na tęsknoty wygnania, na nędze i opuszczenie i pogardę ludzką, na ofiarę z tego wszystkiego, czego nawet za krata wolno pragnąć, co nawet serce Bogu poświęcone może na tej ziemi miłować. Błogosławię was za pracę całego życia, za jego modlitwy i zasługi, za obecne lzy wasze, za gorycz i ból tej godziny. Idźcie w pokoju! Oto was żegna dom ten cichy, uświęcony cnotami tylu zakonnych pokoleń, dom, co młodość waszą przygarnął, co był świadkiem Bogu oddanego żywota, co miał patrzeć na ostatnią żywota tego godzinę! Oto was żegna ta świątynia, oblubienica wasza, ukochanie serc waszych, powiernica rozmów waszych z Panem... Ach! On także wraz z wami ją opuszcza, wygnany jak i wy! Żegna was ta ziemia wasza święta, rodzona, w której spocząć chcieliście po znojach życia. Obce dłonie ziemią cudzą przesypią wasze szczątki, i nie zaszumią wam zboża pól rodzinnych nad mogiłą, nie zapłacze nad nią polska pieśń żałobna. Ale Ten, co jest Zmart-

wychwstaniem i Żywotem, Pasterz dobry przygarnie was jako owce wybrane, najdroższe. Łzy wasze zawiesi jako perły w swej koronie, mękę waszą, ofiarę waszą rzuci na szale swej sprawiedliwości... Może przeważą nieprawość braci waszych, może wymodlą zmiłowanie...

Tak mówił do nas ojciec Wincenty, a serca nasze rozpląwały się w boleści nadmiernej, tak straszliwej, że zdawała się graniczyć z dziwną jakąś rozkoszą. Już i łez oczom naszym zabrakło, już i sił resztką opuściła nasze ciała. Jak klęczyliśmy przed ołtarzem, tak padliśmy na twarz na kamienne płyty, na których przed wielu laty okrywano nas całunem żalobnym przy składaniu ślubów. Padliśmy na twarz i leżeliśmy w prochu przed Panem, wołając z głębi serc naszych:

— Panie, nie jako my chcemy, ale jako Ty chcesz. Otośmy sługi Twoje... czyni z nami wedle świętej woli swojej!

I przez chwilę cisza zaległa kościół — a potem jeden wielki jęk się podniósł i łkanie z tysiąca piersi, aż mury klasztorne, zdawało się, zadrżały w swych posadach. Jęk i łkanie i skarga bolesna, wzbijająca się w niebiosa.

Ach! gdybyśmy tak mogły leżeć zawsze u stóp ołtarza, i nie podnosić się już nigdy, nigdy...

Ale nam czas już był w drogę wyruszać.

Podniosłam się pierwsza. Za mną kolejno wstawać zaczęły siostry.

Pierwszą rzeczą, która mnie uderzyła gdym stanęła na nogach, był przerażony, osłupiały wzrok pułkownika, utkwiony w naszą gromadkę.

Koło pułkownika stał dziekan. Ale ten nie patrzył. Rękami twarz zakrył i płakał.

Spojrzałam na siostry. Za mną w fotelu swoim siostra Eustachia spoczywała nieruchoma, uśmiechnięta łagodnie, z wyrazem niebiańskiego wesela, rozlanym na alabastrowej twarzy.

Pułkownik przyskoczył do niej w tej chwili i szarpnął ją za rękę.

Ręka opadła bezwładnie.

— Co to jest, co to znaczy? — szeptało.

Zbliżyłam się i przyklękałam przy krześle. Oczy zagasłe przysłoniłam powiekami i nachyliwszy się, usta przycisnęłam do zimnej dłoni.

Jedne za drugą siostry uczyniły to samo, potem głośno zaczęłyśmy modlitwę za umarłych.

Szczęśliwa siostra Eustachia!

Już nas nie pędził nikt. Ale godzina była późna. Więc znowu jeszcze padłyśmy twarzą na ziemię, aby pocałować po raz ostatni prochy Pańskiego przybytku. Potem powoli, zasłonami zakonnemi okryte, na przyjaznych dłoniach wsparte, iść zaczęłyśmy ku drzwiom kościelnym, przy których już od dawna czekały nasze powózki. Za nami tłoczył się lud, płacząc. W opustoszałym prezbiteryum, sama jedna w swym fotelu, pozostała siostra Eustachia.

Jan Łada.



PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Ogólny zarys systemu filozofii. Napisał *dr. Aleksander Raciborski*, nadzw. prof. filozofii Wszechnicy lwowskiej. T. I. Lwów 1892.

Mamy przed sobą pierwszy tom nowej, samodzielnej filozofii, przez Polaka napisanej.

Niejednemu wyda się to rzecz śmiała: chcieć jeszcze coś nowego w filozofii powiedzieć! — wyda się może nie na czasie tworzyć jakiś system, kiedy ludzie chętnie się bawią historią dawnych spekulacyj, ale żadnemu w szczególności systemowi wiary nie dają.

My wprawdzie nie należymy do tych, którzy sądzą, że prawdziwa filozofia jest dopiero do wymyślenia i że jakiś nowy system ją raptem ujawni światu; wierzymy jednak, że filozofia powinna żyć ciągle, nie być zabytkiem archeologicznym do oglądania w gablotkach muzealnych, ale jak żyjąca roślina rozwijać się i kielkować. W miarę jak umysł ludzki rozszerza swój widnokrąg, jak nauki nowe zdobywają tory, filozofia, która to wszystko zestraja i w wyższą jedność zbiera, powinna też ciągle być czynną i płodną. Epoka, któraby jej nie miała wcale, byłaby tem samem koszlawą, niekompletną w swym umysłowym rozwoju.

Z prawdziwą więc radością witamy nowe dzieło; z radością tem większą, że autorem jest nasz rodak, przygotowany do takiego przedsięwzięcia długą i sumienną pracą na niwie filozoficznej, ceniony wysoce jako profesor, znany chlubnie nietylko z broszur, ale z tak poważnych dzieł, jak: „Etyka Spinozy“ i „Podstawy teorii poznania w Logice Milla“.

Lecz cóż się zawiera w tem nowem dziele? — Najprzód Wstęp, napisany jasno i zwięźle, daje nam dokładne wyobrażenie o poglądzie autora na filozofię wogóle i na założenie niniejszej pracy. Jużto autor ma ten przymiot, którego nie można dosyć w filozofii pochwalić, że mówi jasno co chce, wymaga od siebie, może nie świetności stylu, lecz tej „precyzji“ w wyrazach, bez której rzetelna nauka jest niemożliwą. — Ale treść tego Wstępu, niestety, od pierwszego wiersza oblewa nasz zapał zimną wodą.

Pan Raciborski jest skromny, ostrożny, nieśmiały, — są to wogóle dodatnie przymioty w nauce — ale on jest tak nieśmiały, że nie śmie nawet postawić nogi na prawdziwie filozoficznym gruncie. Robi mi takie wrażenie, jak gdyby z wielkiej ostrożności trzymał nogę zawieszoną w powietrzu.

Co to jest filozofia? Rzadki, kto potrafi wyrazić w definicyi, co pojmuje pod tem słowem, ale każdy cokolwiek wykształcony człowiek, słysząc „filozofia“, myśli o jakimś dochodzeniu przyczyn i końców wszech rzeczy — o jakimś kluczu, któryby tłumaczył lub tłumaczyć usiłował, dlaczego rzeczy są tem czem są — słowem o jakimś badaniu tego, co jest poza oponą światowych zjawisk. Tymczasem autor nasz zamyka filozofię w zakresie samych zjawisk! Jest ona, według jego określenia: „nauką o najogólniejszych prawach zjawisk wewnętrznych i zewnętrznych, względnie do myślącego podmiotu“ — definicya jakby z ust wyjęta najskrajniejszym pozytywistom — zupełnie po myśli Comta i Littrego. — Czy i p. Raciborski do nich się zalicza? Nie; on jest tylko, jak powiedziałem, tak bardzo ostrożnym; nie chciałby z góry nic takiego w definicyi powiedzieć, coby komukolwiek w drogę wchodziło. Dlatego uchyla on nawet równoważne jego zdaniem, a pewnie piękniej brzmiące definicye filozofii jako nauki „o najogólniejszych prawach ducha i materyi“, albo „istnienia i wiedzy“: — bo pierwsza podsunąć może myśl „o pewnych istnościach czy substancjach“, na które nie wszyscy się godzą; a druga suponuje przedwcześnie przeciwstawienie istnienia bytu i myśli, które dopiero dowiedzionem być powinno. — Ależ mój Boże! nie na to jest definicya jakiej rzeczy, aby się w niej wszelkie o tej rzeczy wyobrażenia mieściły — boć i takie bywają wyobrażenia, które istotę rzeczy znoszą. Definicja filozofii powinna jej istotę uchwycić — a potem, o ile trzeba (lub przedtem, jeśli kto woli), usprawiedliwić się i fałszywe wyobrażenia zwalczyć. — A sama definicya autora, czy niczego zgłębia nie suponuje? Suponuje ona zarówno, jak sam przyznaje, przeciwstawienie podmiotu i przedmiotu. Suponuje dalej,

że istnieją jakieś prawa i prawa najogólniejsze — co już jest rezultatem pewnej syntezy. — A czy żadnego filozoficznego systemu ta definicya nie wyklucza? Jest wprawdzie tak szeroką, że mieści nawet pozytywizm; ale tem samem wyklucza ona bezwarunkowo metafizykę, i wszelką filozofię na metafizyce opartą — a więc po prostu ogromną większość szkół i systemów, z których się dziejowy rozwój filozofii splata!

Autor nasz tego sobie nie tai: bo jest jasny, jak już wiemy, i szczery. Ale stąd dziwne wytwarza się dla niego położenie: metafizyki nigdy zasadniczo nie odrzuca; owszem wstawia ją w szereg części, z których składać się powinna w zasadzie filozofia; — części te są, podług niego: 1) psychologia, 2) logika formalna, 3) teoria poznania, 4) metafizyka, 5) estetyka, 6) etyka. — Przytem jednak autor, w swojej własnej filozofii pominąć zamierza metafizykę, i taką daje od razu definicyę filozofii, która metafizykę świadomie wyklucza. Czemże tłumaczy autor tę szczególną jakby sprzeczność? Tem, że metafizyka pyta „o istotę rzeczy“ — on sam zaś „wątpi, czy rozstrzygnięcie tego pytania możliwe jest dla ograniczonych i na stanowisko bezwzględności wznieść się nie mogących władz poznawczych człowieka“. — Nam się zdaje, że nie dosyć jest wątpić, ale trzebaby ściśle być pewnym, że metafizyka jest niemożliwą, aby mieć prawo określić filozofię wogóle z wykluczeniem metafizyki. Czy można określić „fizykę“ w pewien sposób wykluczający np. mechanikę, jeżeli się wątpi czy mechanika nie jest także częścią fizyki?

Nam się zdaje, co więcej, że wątpienie o możliwości metafizyki jest *in radice* wątpieniem o możliwości filozofii. Bo doprawdy, coby zostało z filozofii po zagładzie metafizyki? Psychologia empiryczna, obserwująca tylko zjawiska, a nietykająca głębszego ich pierwiastku, jeszcze nic filozoficznego w sobie nie zawiera; jest to sobie nauka przyrodzona, o tyle tylko do filozofii należąca, że do niej przygotowuje i wprowadza. Logika formalna i nawet teoria poznania, od metafizyki odcięte, ten sam charakter narzędzi i prolegomenów mają. Gdyby więc poza nimi żadnej filozofii nie było, do którejby wprowadzały, to i oneby charakteru filozofii nie miały. A co poza nimi zostaje? zostają, jak dobrze naucza nasz autor: metafizyka, etyka i estetyka. Jedna bada prawdę, rdzenną prawdę o istocie rzeczy, druga dobro, trzecia piękno. — Te zaś trzy części filozofii, czy są od siebie niezależne, czy też która z nich jest podstawą drugich? „Ogromnej wagi i doniosłości jest wpływ, mówi sam autor, jaki wywiera metafizyka na estetykę, a mianowicie na etykę“. Wielka prawda! wpływ ten jest tak wielki, że me-

tafizyka daje etyce, a w pewnej mierze estetyce, filozoficzną podstawę, rację bytu i moc obowiązującą. Etyka mianowicie bez metafizyki jest tylko szematycznym zestawieniem faktów etycznych jakie są, nie badaniem co i dlaczego być powinno — więc nie jest etyką. Więc koniec końcem, jak powiedziałem: metafizyka jest podstawą wszystkiego, i ją zakwestyonować, znaczy tyle co zakwestyonować całą filozofię.

Autor nasz dziwuje się temu w jednym miejscu, że Ueberweg określa filozofię jako naukę o pierwiastkach (*die Wissenschaft der Principien*) i sądzi, że to jest właściwie definicyą metafizyki. Mógłby był zauważyć, że nie dopiero Ueberweg, ale już Arystoteles określał filozofię (*σοφίαν*) jako „znanie pierwszych przyczyn i początków“¹, i niemal wszyscy więksi filozofowie omawiali ją w sposób, który rzeczowo na to samo wychodzi: jak to niegdyś wskazałem². Byłoby go to naprowadziło na myśl, że jest jakiś wewnętrzny związek między metafizyką a filozofią w całości wziętą, skoro definicya jednej daje się w jakiś sposób zastosować do drugiej. Nie znaczy to, żeby sama metafizyka miała być całą filozofią, ale znaczy, że od metafizyki wszystkie części filozofii zawisły i od niej, jak się powiedziało, biorą filozoficzny charakter — tak, iż bez metafizyki niema istotnie filozofii.

Prawda, co mówi autor, że władze nasze poznawcze są ograniczone; ale stąd to jedno wynika, że metafizyka nie ma nadziei wyczerpnięcia swego przedmiotu, przeniknięcia nawskróś istoty i przyczyn wszech rzeczy. A czy która z empirycznych nauk doszła do ostatniego słowa w swym zakresie zjawiskowym? Dlaczegożby i metafizyka nie mogła na swoim terenie iść naprzód, i pełnić swe zadanie, chociażby nigdy wyczerpnąć go nie miała? Niema przecież między nią a naukami żadnej przepaści. Nawiązuje się ona do nich bezpośrednio, jak sam autor gdzieś zauważa, opiera się na ich rezultatach; posługuje się dalej tą samą logiką myślenia, która w naukach przyrodniczych dała próbę swej wartości. A jeżeli kiedy poza ten teren: logicznego myślenia na podstawie empirycznej — się wymyka, to: *prohibeatur abusus, non tollatur usus*³.

¹ Τῶν μετὰ τὰ φυσικά Α. Β. tekst 40: Δεῖ γὰρ ταύτην (σοφίαν) τῶν πρώτων ἀρχῶν καὶ αἰτιῶν εἶναι θεωρητικὴν.

² „Filozofia i jej zadanie“, rozdz. I.

³ Autor na str. XVIII. pisze to piękne, ale dziwne i trochę smutne zdanie: „Jeżeli więc nawet zrzekamy się w dziedzinie metafizyki osiągnięcia całej czystej i nieosłoniętej Prawdy, to w zakresie estetyki i etyki zrzekać się nie powinniśmy, a nawet nie możemy dążenia do osiągnięcia Pię-

Prawda, że metafizyka, w naszym mianowicie wieku, dopuściła się wielkich wybryków, tak w kierunku idealizmu jak i materyalizmu — i to tłumaczy, że się ogół do niej uprzedził i stracił w nią wiarę. Ale filozof powinienby sobie zdać sprawę, że ta niechęć jest z natury rzeczy tylko przejściowym symptomem, a że w gruncie metafizyka jest niezbędnym członem całokształtu filozofii i wymaganiem umysłu ludzkiego. „Mimo (wszelkich trudności), mówi pięknie sam p. Raciborski, spotykamy w filozofii bezskuteczne może, ale niestrudzone usiłowanie ducha ludzkiego zdarcia zasłony z owej tajemniczej pozazjawiskowej istoty wszechrzeczy, i to wbrew dającym się słyszeć głosom potępiającym, ba nawet cierpko wyszydzającym takie bezowocne dążenia“. Otóż czy te niestrudzone usiłowania ducha ludzkiego, nie nakłaniają autora do przypuszczenia, że jest w duchu ludzkim jakaś siła do tej pracy; że tylko idzie o należyte jej pokierowanie; a takoby mu jej zabronić usiłował, tenby stanął w sprzeczności z jego naturą i wrodzonymi aspiracyami?

Zresztą to uprzedzenie do metafizyki zaczyna już dziś należeć do przeszłości. Owszem śmiały ku niej zwrot zarysowuje się coraz szerzej. We Francyi przecież rej wodzą w filozofii tacy metafizycy, jak: Paulhan, Ravaisson, Rabier, Nourrisson; dalej Fonsegrive, Rauh, Ollé-Laprune, Milhaud, G. Noël, Dunan, Lachelier... W tym samym kierunku idzie „szkoła krytycystów“ czyli neo-kancyanów, grupująca się około przewodców Renouvier, Pillon, Dauriac, którzy do niedawna redagowali miesięcznik: *La critique philosophique*. W Szwajcaryi prym trzyma największy może filozof naszego czasu, Karol Secrétan, oraz świeżo zgasły Ernest Naville. W Niemczech odznaczają się i powszechnie zdobywają uznanie (nie wspominając już starego Lotzego) tacy Hagemann, Paulsen, Hertling, Kratz, Kaufmann, Isenkrahe, Baumker, Schneid, Krause, Grupp, Illigens, Schneider, Feldner i t. d. W Rosyi także, Strachow, Kozłow, młody książę Trubeckij i wielu innych współpracowników Вопросы философии и психологии. Ci wszyscy posuwają naprzód dzisiejszą filozofię, a opierają ją śmiało na metafizyce.

kna i Dobra“. — Dziwi mię, jak autor nie czyni sobie tej uwagi, że o ile zrzekamy się osiągnięcia prawdy, o tyle i w tej samej mierze zrzekamy się osiągnięcia dobra i piękna (jest mowa o teorii, nie o praktyce życiowej) — a jeżeli dążenie do osiągnięcia dobra i piękna w granicach nam dostępnych wystarcza, jego zdaniem, do ukonstytuowania etyki i estetyki, to równoległe dążenie do osiągnięcia prawdy starczyć również musi do prawa bytu metafizyki.

Na domiar, dziwnym zbiegiem, równocześnie z książką p. Raciborskiego, traktującą metafizykę jak niebyłą, wychodzi na świat w tym roku *La Revue de Métaphysique*, przez pierwszorzędnych zasilana filozofów francuskich!

A ten silny dzisiejszy ruch Neotomizmu, z którym się już liczą wszystkie inne szkoły i kierunki, który wydaje co roku tyle dzieł oryginalnych, tyle po różnych krajach pism peryodycznych tętnem swego życia wypełnia: we Włoszech *Scienza italiana*, *Scuola cattolica*, *Divus Thomas* i t. p.; w Hiszpanii *Cruz* i *Ciencia cattolica*; w Niemczech *Philosophisches Jahrbuch* pod redakcją Gutberlet'a i Pohle'go, *Jahrbuch für Philos.* pod kierunkiem Commer'a; we Francyi *Annales de la philosophie chrétienne* i *Revue thomiste*, około których grupuje się taka plejada pisarzy, jak: Gardair, Domet de Vorges, Piat, Ackermann, de Broglie, Farges, d'Hulst, Mercier, Lechalas, de Baets, Hébert, Griveau, de Charencey etc. etc. — czy cały ten ruch neo-tomistyczny uważany być może za zero w życiu umysłowym naszego czasu? i czy nie dowodzi on także tego co było do przewidzenia: że umysłowość ludzka, chwilowo odwiedzona od zagadnień metafizycznych, niebawem do nich wrócić musiała, i że filozofia zamykająca ją w sferze zjawiska ostać się nie mogła?

Wreszcie czy metafizyka w historii myśli ludzkiej okazała się tak dalece bezpłodną, jak pan R. zdaje się przypuszczać? Czy nie wpłynęła wcale na nowożytny rozwój nauk przyrodniczych i nie przyświecała ich odkryciom? Bardzo ścisły myśliciel i krytyk wręcz przeciwniej dowiódł tezy¹. Ale toby nas za daleko zawiodło — wracajmy do książki p. Raciborskiego.

Wymienia on, jakeśmy widzieli, w pewnym porządku sześć części w skład filozofii wchodzących. Porządek ten, mówiąc w nawiasie, nie zupełnie trafia mi do przekonania. Sądzę, że na początku nie powinna być psychologia, ale po dawnemu logika, wraz z teorią poznania. W tę ostatnią wstawić można krytyczne badanie wrażeń zmysłowych (co zresztą autor szczęśliwie zrobił). A kwestye takie, jak materyalizmu i spirytualizmu, monizmu i dualizmu, którym autor przyznaje charakter metafizyczny, i nie bez zdziwienia spotyka je w teorii poznania, prze-

¹ Ernest Naville, *La physique moderne — La logique de l'hypothese*. Obacz także w *Przeglądzie*: „Filozofia założycieli nowożytnej fizyki“ t. v. str. 345 i t. vi. str. 64.

nieśoby należało do psychologii, pojętej jako część metafizyki. — Ale nie kładę nacisku na ten porządek, bo i tak autor po części od niego w swoim dziele odstępuje.

Opuszcza on mianowicie, psychologię i logikę, jako mniej przedstawiające naukowego interesu, bo łatwiejsze i mniej sporne; opuszcza też metafizykę, z wiadomych już nam przyczyn; a przedsiębierze rozwiniąć trzy działy: teorię poznania, estetykę i etykę. Teoria poznania objąć ma dwie części: najprzód krytykę naszych wrażeń zmysłowych, pod względem ich zgodności ze światem zewnętrznym; potem zbadanie umysłu naszego i sposobu, jakim z wrażeń urabia sobie poznanie świata i siebie. Estetyka i etyka mają uświadomić, każda w swoim zakresie, znaczenie ideałów piękna i dobra, tj. podług autora, „zbiorów pewnych praw, których urzeczywistnienie powinno być celem przepisów estetycznych i etycznych“. — Określenie to, zgodne z ogólną definicyą filozofii, zdaje się nam odbierać nadzieję znalezienia czegokolwiek w estetyce i etyce p. Raciborskiego poza „zbiorami praw“. Jednakowoż odróżnia ono go niewątpliwie od estetyków i etyków pozytywistów, którzy nie pytają nawet: co być powinno, ale tylko: co jest i jak powstało. — I wolno się nam spodziewać, że w traktowaniu tych żywotnych przedmiotów szan. autor trochę więcej się ośmieli, niż w kreśleniu swego wstępnego szematu, i przekona się, że „zbiory praw“, których urzeczywistnienie, jak sam powiada, jest „najświętszym obowiązkiem“, muszą się na czemśkolwiek głębszem opierać. Wszak najnowsi neokancyanie francuscy, przez analizę obowiązku, doszli do rekonstrukcyi spirytualistycznej metafizyki.

Jedna jeszcze rzecz mię w tej nadziei umacnia: to że autor doskonale pojmuje i zatwierdza rzecz dziś tak bardzo zapoznaną, mianowicie wewnętrzny związek między etyką a zasadami umiejętności prawnopolitycznych. „Całe prawodawstwo karne, cywilne, polityczne i polityczno-międzynarodowe jest, według niego — i według prawdy — dalszym rozwojem i zastosowaniem zasad etyki“.

Cóż jest w obecnym, już wydanym tomie? Tylko pierwsza część pierwszego z trzech działów, które autor objąć zamierza; to jest badanie: „czem są nasze wrażenia i jaki ich stosunek do zewnętrznego świata“.

Po bardzo starannem omówieniu ogólnych pojęć: poznawania, przeciwieństwa podmiotu i przedmiotu, wrażenia zmysłowego, tudzież

zmian w układzie nerwowym, jakie towarzyszą wrażeniu — podejmuje autor rozbiór poszczególnych rodzajów wrażeń. Na podstawie nagromadzonego przez fizyologię i empiryczną psychologię materiału, bada on dokładnie, o ile każde takie wrażenie odpowiada przedmiotowej podniecie, lub różni się od niej, i o ile pozwala nam coś pewnego o przedmiocie wnosić. Cała ta analiza przeprowadzona jest z wielką precyzją i jasnością i prawdziwie okazuje opanowanie przedmiotu. Przejawia się też w niej szczególna trzeźwość autora, który niejedną mrzonkę śmiałych nowatorów nicuje i z dymem puszcza. I tak, korci ich dziwna chętka mierzenia i ważenia zjawisk psychicznych. Zdaje się im pono, że samo przyłożenie ich łokcia do duszy, zrobi z niej ciało i zadokumentuje zwycięstwo materializmu. Nawet na kongresie psychologicznym, który się przeszłego roku odbywał w Londynie, według sprawozdania Richet'a w *Revue des deux Mondes*, ta chętka dosyć żywo się przejawiała. Otóż p. Raciborski, w XII. rozdziale swej książki, zastanawia się szczegółowo nad rozmaitemi próbami mierzenia wrażeń w stosunku do podniet, krytykuje je umiejętnie i dowodzi, że próby takie do żadnego rezultatu doprowadzić nie mogą: bo wrażenia ani między sobą ściśle ilościowo porównać się nie dają (nie da się orzec, że jedno jest 2, 3 razy silniejsze od drugiego), ani nie odpowiadają sile zewnętrznych podniet w stosunku stałym i ilościowo oznaczalnym (gdy podnieta jest 2 razy silniejsza, zwiększa się też nieco wrażenie, lecz nie da się oznaczyć jak wiele). Wchodzi tu także w grę naprężenie uwagi i tysiąc warunków psychicznych, które wpływają na siłę wrażenia, a w żaden sposób liczbom się nie poddają.

Cały ten rozdział XII. jest bardzo interesujący; ciekawe są i inne; ale niepodobna nam pojedynczych rezultatów tej analizy omawiać bez przekroczenia granic recenzji, i tak już zbyt obszernej. Sam autor zresztą streścił jak najdokładniej te rezultaty w ostatnim rozdziale tej książki.

Kończąc, życzymy następującym tego dzieła tomom prędkiego przyjscia na świat i szczęśliwego powodzenia. Tuszymy sobie, że nam przyniosą wiele dobrych i cennych rzeczy: nie mniejszą jak w tym tomie dokładność w ocenianiu zjawisk, a przytem trochę śmielsze pogłębienie τῶν πρώτων ἀρχῶν καὶ αἰτιῶν.

Ks. M. Morawski.

Kwestya żydowska w świetle etyki. *Dr. Leopold Caro.* Przetłumaczył *Bolesław Lewicki.* Lwów. Nakładem wydawnictwa *Gazety Narodowej.* 1893.

Kwestya żydowska! — jakże często każdy, chce czy nie chce, musi się dziś ze słowami temi spotykać; ileż nasuwają one koniecznie obaw, ile nadziei, ileż w każdym razie nasuwać muszą myśli poważnych! Co to za kwestya, tak żywo wstrząsająca umysłami za granicą, tak zwłaszcza i przedewszystkiem dla nas piekąca, choć nie dość może jeszcze oceniona, nie dość z pewnością pod uwagę wzięta; co o niej sądzić, czy i jakie możliwe jej rozwiązanie? Pytania to tak ważne a trudne, tak łatwo dać się w nich powodować rozdrażnieniem, unieść namiętnością, że nie dziw, iż wielu, którym one bardzo na sercu leżą, nie śmieją jawnie wystąpić ze swem zdaniem, owocem długich nieraz rozmyślań; lękają się — a czy nie bez pewnej słuszności? — aby miasto sprawę oświecić, oliwy tylko do ognia nie dolali. Dr. Leopold Caro nie cofnął się przed tego rodzaju względami i obawami; powiedział sobie i powiedział najprzód swym niemieckim, obecnie i polskim czytelnikom, że znajdując się w wyjątkowo pomyślnych okolicznościach dla wydania bezstronnego a spokojnego sądu o walce toczącej się obecnie na całej linii między Żydami, a w coraz liczniejsze szeregi grupującymi się antysemitami, powinien jasno i śmiało ze zdaniem swoim wystąpić. Jestem Polakiem, pisze sam, a zatem stojąc zdala od walki ścierających się obecnie w Niemczech stronnictw (filo- i antysemitycznych), łatwiej odróżnić mogę prawdę od fałszu; jestem Żydem, ale nie doznałem nigdy ze strony moich chrześcijańskich ziomeków najmniejszej przykrości ani ubliżenia; pochodzę z jednej z najstarszych żydowsko-hiszpańskich rodzin rabinackich, jestem więc z pewnością daleki od chęci wyrządzenia jakiegokolwiek krzywdy moim współwyznawcom. — W jakimże świetle przedstawia się kwestya żydowska temu Polakowi-Żydowi, potomkowi starej rabinackiej rodziny; co sądzi i mówi o żydowskiej etyce i zarzutach jej stawianych; czy, i na które się godzi, a przeciw którym stanowczo występuje? Ciekawa w każdym razie być musi odpowiedź na to pytanie, ciekawa co najmniej teoretycznie, choćby kto nawet praktycznych skutków nie chciał, czy nie śmiał się z niej spodziewać.

Czem jest, na czem zasadza się kwestya żydowska? Kwestya ta — odpowiada autor — nie jest religijną, bo przy panującej dziś tolerancji i obojętności, o religijnych walkach i mowy na seryo być nie może. Nie wypływa z rasowej nienawiści, bo ani polityka, która ufor-

mówania odrębnego jakiegoś państwa żydowskiego w Europie lękać się chyba nie potrzebuje, do nienawiści tej nie podnieca; ani niższe warstwy ludności, z którymi Żydzi w pracy ręcznej nie współzawodniczą, jak współzawodniczą np. Chińczycy w Kalifornii, do niechęci tej, czy nienawiści nie mają racji. Nie jest to wreszcie, jak mniemają, a przynajmniej głośno wołają sami Żydzi, kwestya chleba; w tym kierunku kwestya żydowska jest tylko jedną kartką wyrwaną z wielkiej kwestyi socyalnej; odkładać rozwiązanie pierwszej aż do chwili rozwiązania drugiej, to oddalać ją w nieobliczalną przyszłość.

Czemże zatem jest kwestya żydowska? To po prostu kwestya etyczna, kwestya moralności. Znieście — pisze jasno i dosadnie dr. Caro — żydowskich lichwiarzów, geldowiczów, bankrutów, żydowskich przekupnych dziennikarzów, a usunęliście tem samem i zwyciężyli antysemityzm, który natenczas potępionyby być musiał bez ogródek równie ze stanowiska religii jak i filozofii. Dziś lichwę wzięli Żydzi w pewnego rodzaju monopol; między zasądzonymi za ten występek jest w Austrii 62·9⁰/₁₀₀ Żydów, w Galicyi cyfra ta podnosi się do 87·5⁰/₁₀₀. Wogóle statystyka kryminalna okazuje niezbitcie cyframi, że chęć zysku popycha wszędzie Żydów w największym, nieproporcjonalnym stosunku do kolizyi z prawami, do zbrodni. Giełda, jeden z głównych terenów żydowskiej działalności, to, jak wyraża się Lasker, sam Żyd: „akademia ucząca, jak prawa przekraczać i obchodzić“. „Żydowscy bankierowie — pisze Strousberg, również Żyd z pochodzenia i jeden z najzręczniejszych „gründerów“ — są wynalazcami, albo też przynajmniej najzręczniejszymi używają wszystkich ogólnie grasujących sztuczek, które lichwiarstwu i ulegalizowanemu oszukaństwu torują drogę“. Dobrze opłaconym, ale wiernym, nieodstępny pretoryjanin giełdy jest prasa, którą znowu w wielu krajach zupełnie opauowali Żydzi, i za pomocą tej „babilońskiej nierządnic“, jak ją nazywa Żyd Lassalle, całe nowoczesne życie ekonomiczne ujęli w swe szpony.

I jakże dziwić się, że wyzyskiwani, oszukiwani, systematycznie okłamywani próbują się otrząsnąć z gniotącego jarzma, że hasła rzuczone przez antysemitów mają dla nich tyle uroku!? Co dziwniejsze, to dlaczego Żydzi, widząc oczywiście, że z tego trądu niemoralności, którym zarażona jest cała ich działalność, płynie dla nich zguba, sami nie przestają nad zgubą tą pracować, nie myślą o wyleczeniu się z tak groźnego w swych następstwach trądu? Wytłumaczyć tego zjawiska nie można, jak próbują tłumaczyć antysemita, ani z nauk podawanych przez talmud, ani z odrębności rasy, która raczej do żartów, niż do

nienawiści nastęrczaćby mogła przyczynę. Opierając się na metodzie indukcyjnej, na badaniu konkretnych wypadków, przyjść musimy do wniosku, że „bezwzględności — cytujemy znowu dosłownie wywody autora — i niemoralności żydowskiego sposobu zarobkowania, którą uważam za jedyną racjonalną przyczynę antysemityzmu, przypisać należy bezwyznaniowości i kosmopolityzmowi Żydów wykształconych, a u niewykształconych, fanatyzmowi, który sobie każde zdanie z biblii fałszywie tłumaczy, lub wedle swego upodobania, brakowi najelementarniejszych wiadomości i wreszcie obojętności dla wszystkiego, co bezpośrednio lub pośrednio Żydów nie dotyczy... Bezwyznaniowość, którą materializm proklamuje jako modną religię, święci w Żydach dzisiejszych największe tryumfy, zarazem ponosi w nich samych najsromotniejszą klęskę. Wyśmiano Boga, a z Bogiem wyśmiano samoż pojęcie dobra, wykazując względność wszelkiej moralności“.

Zmienić się to musi, jeśli Żydzi zginać nie chcą w rosnącej z dniem każdym fali antysemityzmu. Obrona przeciw antysemityzmowi, ograniczająca się na troskliwym wyszukiwaniu i publikowaniu moralnych wad paru jego przewodników, jak niczego nie dowodzi, tak też do niczego doprowadzić nie może. Przedewszystkiem i na pierwszym miejscu muszą sami Żydzi w piersi się uderzyć, muszą wszelkich wysiłków dołożyć, aby wewnętrzny proces uzdrowienia żydowskiego społeczeństwa w szybszym tempie postępował naprzód; muszą wyrzec się niezdrowej czułościowości i drażliwości, objawiającej się zwłaszcza w żydowskiej prasie, gdy tylko chrześcijanie podniosą jakikolwiek zarzut przeciw któremu z żydowskich spekulantów lub fabrykantów; muszą wreszcie pożegnać się ze złudzeniem, jakoby i dziś byli narodem wybranym, któremu wszystkie inne służyć powinny.

Tymczasem i zanim Żydzi w całej pełni własny swój interes zrozumieją, musi oczywiście zaatakowane przez nich społeczeństwo bronić się i to w pierwszej linii bronić się w drodze prawodawczej. Już i dziś czuć prąd zdążający do zaostrzenia kar na przestępstwa wpływające z chęci wyzysku, ale trzeba koniecznie iść w tym kierunku i szybciej i dalej; trzeba powiększyć kary za lichwę, oszustwo i t. d.; w wymiarze kar nie dawać się powodować niewłaściwemu i zgubnemu miłosierdziu; ostatecznie cofnąćby się nie należało i przed deportacją skazanych przestępców, która z pewnością więcejby miała racyi bytu, niż wygnanie katolickich księży zatwierdzone niemieckiem prawem z 4 maja 1874 r., i niż wyrok banicy, który zamierzała wydać rada związkowa niemiecka przeciw socyalistom w r. 1888. Lecz nie dość

bronić się przeciw wyzyskowi, nie dość bronić się przeciw stojącym na porządku dziennym oszustwom giełdowym, jeżeli nie zamkniemy w należytych granicach najniebezpieczniejszego sprzymierzenia giełdowej oligarchii: sprzedajnej prasy. „Niechby po takiej kryzys ekonomicznej, jaka miała miejsce w Wiedniu w r. 1873, wielkie gazety zmuszone były do odszkodowania zrujnowanych małych kapitalistów; niechby po upadku każdego zakładu bankowego lub innego przedsiębiorstwa zbadano, które gazety je reklamowały i pociągano je do odpowiedzialności... a zobaczylibyśmy, że tego rodzaju reklama rychłoby ustała; gazety popierałyby tylko wypróbowane i uczciwe interesy“.

Jeżeli obowiązkiem jest bronić wszystkich bez wyjątku przeciw wyzyskowi, to w szczególności odnosi się to do ludu wiejskiego. Czyż nie sprawiedliwą, czyż dla społeczeństwa nie byłoby bardzo korzystną rzeczą przyjęcie zasady, że na wsi osiedlać się wolno tym tylko, którzy oddają się uprawie roli lub też rzemieślnikom, kramarzom i t. p., którym władza administracyjna udzieli do tego osobnego pozwolenia. Wtedy władza, nie kierująca się w żadnym kraju cywilizowanym ani antysemityzmem, ani samowolą, mogłaby skutecznie tamować przystęp do wsi lichwiarskim pijawkom. „Te przepisy — zastrzega się na końcu dr. Caro przeciw możliwym zarzutom — nie zwracają się przeciw pewnej klasie jednostek, ale tylko przeciw pewnym szkodliwym stosunkom, i to jest przepaść cała, oddzielająca mię od antysemityzmu“.

Śmiało to, jak widzimy wnioski i żądania, z męską otwartością, z możliwą jasnością wypowiedziane. Dr. Caro nie przeląkł się obelg i inwektyw, o których był z góry przekonany, że mu ich żydowska prasa nie oszczędzi; nie przeląkł się tytułu zdrajcy, którym dlatego go obdarzono, że — jak pisze sam w przedmowie do polskiego tłumaczenia — „powiedziałem prawdę“; nie przeląkł się tytułu renegata, którym dlatego znów nań ciśnięto, „że wyparłem się wszelkiej wspólności z lotrami“. Za tę prawdziwie obywatelską odwagę, za tę siłę w wypowiedzeniu swych przekonań, do których doszedł z pewnością mozolnie i nie bez wewnętrznej walki, należy mu się wdzięczność i uznanie. Na parę ustępów, przedewszystkiem na ten, w którym autor powtarza zapatrywanie się Spinozy co do wybrania przez Boga ludu żydowskiego w Starym Zakonie na szczególną swą służbę, nie moglibyśmy się zgodzić bez zastrzeżeń; ale ustępy to poboczne, samego jądra poruszonych w broszurze kwestyj w niczem nie dotykające. Raz więc jeszcze dziękujemy autorowi za tę broszurę, życząc tylko bardziej je-

szcze społeczeństwu niż jemu samemu, aby na stanowisko przez siebie zajęte zdołał przeciągnąć jak największą liczbę ludzi dobrej woli!

Ks. J. B.

Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII. w. Przez W. Bogusławskiego. Tom II.

Drugi ten tom „Dziejów“ trzy razy jest grubszy od pierwszego¹, i tylko zapewne ten się nie odstręczy od przeczytania go, kogo nęci nadzieja dowiedzenia się wielu nieznanych rzeczy z dawnej przeszłości przodków.

Ponieważ, jak nam się zdaje, pod tym względem nikt nie dozna zawodu, więc radziłyśmy widzieć dzieło to w ręku jak najliczniejszych czytelników.

Jeszcze i w tym tomie właściwych dziejów zewnętrznych niema; wyłożony jest tylko stan wewnętrzny, w jakim się znajdowali Słowianie północno-zachodni w przeciągu siedmiu wieków, w którym to czasie rozgrywał się właśnie dramat dziejowy, pełen grozy i głębokiego znaczenia. Naród, rozpołożony na szerokiej przestrzeni wzdłuż całego morza Bałtyckiego, który wyszedł cało z bojów z Rzymianami, nie umiał zachować swojej niepodległości wobec nieprzyjaciela pierwotnie nie bardzo licznego. Nim autor opowie (w 3-cim tomie) przebieg tego krwawego dramatu, wprzód obznajamia nas, jak wyglądało życie społeczne naszych praocjów, jak się oni urządzili na tej ziemi, odwiecznie swojej, jaką rozwinęli cywilizację z pierwiastków czysto rodzimych, jednak jeszcze nie pod wpływem wiary objawionej, podnoszącej z upadku nie tylko pojedynczego człowieka, ale i całym narodem wlewającej nowe życie.

Po objaśnieniach wstępnych, które każdy z ochotą przeczyta, chociaż może nie na wszystko się zgodzi (jak np. na wywód nazwy Wendi i Wenedi), następuje jako dział I-szy książki II-giej przegląd ludów słowiańskich, mieszkających na tej samej przestrzeni, co starożytni Swewi a późniejsi Jordanesa Slavini. Kraje zajęte przez Sasów, Franków i Szwabów jeszcze przed VI. w. autor wyklucza z tego przeglądu, chociaż w prawem porzeczku Renu wiele jest nazwisk słowiańskich jeszcze z czasów starożytnych, a nazwy te, jak słusznie uważa p. Edward Bogusławski w dziele swoim: „Historia Słowian“ tom I, str. 235: „są niewątpliwym dowodem zaludnienia całego połęcza reńskiego przez Winidów, i popera to ješće ta okoličnošć, że

¹ O którym sprawozdanie zob. *Przepl. Pow.* wrzesień 1892.

w średnich wiekach już tam nigdzie, zdaje się, Słowian nie było, którzyby mogli nadać łekom i osadom nazwiska“. Dział ten czysto etnograficzny jest właściwie tylko dalszym ciągiem działu I-go z księgi I-szej czyli tomu I-go. Nie możemy jednak powiedzieć, że się na nim opiera i jego jest uzupełnieniem. Czytelnik może bezpiecznie zacząć czytać od tomu II-go i ledwo poczuje potrzebę zaglądnęcia do I-go. Mozolne wywody o słowiańskości ludów starożytnej Germanii nie na wiele się przydały autorowi do badań etnograficznych Słowiańszczyzny północno-zachodniej z VI. wieku. I owszem, możnaby powiedzieć, że pod pewnym względem oba te badania przeszkadzają sobie. Po tak ważnym odkryciu o istnieniu naszych przodków w owych stronach od czasów najdawniejszych, zdawałoby się, że owa postać rzeczy potrwa i dalej, lub przyczyni się do wyjaśnienia zmian późniejszych. Tymczasem nic z tego — przegląd etnograficzny z VI. wieku, jaki autor roztacza przed oczyma czytelnika swego, w niczem prawie nie jest podobny do katalogu ludów germańskich, jaki podaje Tacyt lub Ptolomeusz. Wykład też króciutki dziejów starożytnych Swewów, umieszczony w tomie I-szym, nie tłumaczy bynajmniej, w jaki sposób ta nazwisk przemiana dokonana została. Hipoteza niemieckich uczonych o wyjściu owych germańskich ludów na południe, a napłynięciu za to w VI. wieku na ich miejsce Słowian z nowymi naturalnie nazwami poszczególnych plemion, wcale przez taki wykład zachwiana nie została. W tym właśnie słabym związku I-go tomu z II-gim, widzimy słabą stronę badań etnograficznych autora. Wprawdzie odwołuje się on w kilku szczegółach na rezultaty badań w I-szym tomie otrzymane, ale tylko pobocznie i raczej dla przyzwoitości jak z konieczności — gdyby je był opuścił, niewieleby na tem rzecz ucierpiała. Zdaje się nam, że dział ten był bardziej na miejscu w I-szym tomie, oba bowiem te badania nawzajem się objaśniać i uzupełniać powinny. Przez to, że autor nazwy starożytne germańskich ludów do ziemi przykuł i tym sposobem położenie dość dokładnie oznaczył, mógł on już łatwo w tym drugim przeglądzie etnograficznym wskazać, jakie ludy słowiańskie na tych samych miejscach później się znalazły, jakich np. ludów starożytnych miejsce zajęli Obotryci. Bo kiedy oni nie dopiero w VI. wieku tam się zjawili, ale już od dawna tam istnieli, jakże więc nazywali się wtedy, kiedy ich ziemię opisywał Tacyt lub Ptolomeusz, czy Marinus? Pokazałoby się może przez to, że wiadomości starożytnych nie były błędne ale niedokładne, że się w wielu rzeczach zupełnie zgadzają z wiadomościami późniejszymi a wcale niewątpliwymi.

Lecz i tak autor bardzo się nauce dziejów przysłużył tym swoim wykładem o ludach północno-zachodniej Słowiańszczyzny. Nie mając nowych źródeł, dokonał on jednak niezmiernie dokładniej tego przeglądu niż przed nim Szafarzyk lub Lelewel, co głównie zawdzięcza metodzie, jakiej się trzyma w badaniach etnograficznych. Nietylko lingwistyka, ale, i to głównie, topografia i zręczne w końcu zestawienie szczegółów historycznych pomagają mu do oznaczenia miejsca, na którym jakie plemię ma osadzić — tak, że już teraz wcale nie jest wątpliwem, jakie słowiańskie ludy mieszkwały niegdyś w krajach, gdzie obecnie państwo duńskie (a przynajmniej Holsztyn i Szlezwik), Hannover, Meklemburg, Brandenburg, Pomerania, Saksonia i inne księstwa i księstwka niemieckie. Kiedy dawniej nie przypuszczano, żeby te, dziś tak czysto niemieckie kraje mogły nie być odwiecznie takimi, kiedy nawet bardzo rozszerzano mniemanie, że wszystkie kraje aż po Wisłę, należały za dawnych dobrych czasów do teutońskiego narodu — teraz coraz bardziej, jak mamy nadzieję, zacznie się szerzyć przekonanie, między prawdziwie uczonymi, a więc bezstronnymi ludźmi, tak Niemcami jak i Słowianami, że ta wielka cywilizacya, która dziś tam kwitnie, na słowiańskim wyrosła gruncie.

Miłośnik dziejów ojczystych znajdzie w tym przeglądzie nazwy ludów, ledwo już komu znane, a które według naszych kronikarzy w skład państwa polskiego wchodziły. Wszak o Bukowcu czy Lubiczu (teraźniejsze Lübeck) wspomina Długosz, że aż do XII. wieku do Polski należał, a było to miasto plemienia Wagrów, mieszkających „od rzeki Trawny aż do źródeł Egdory (Eider), Szlei“ (str. 34). Za Wagrami szli Obotryci, w których kraju leżały miasta Roztoki i Wyszomir (Wismar), znane z kronikarza wielkopolskiego, jako zbudowane lub posiadane przez następców Lecha lub Leszka III. Połabianie z Warnami zamykają poczet ludów obotryckich, związku politycznego przeciw Danom i Sasom.

Za Obotrytami w teraźniejszej Braudenburgii, mieszkali Welety-Lutycy, także związek kilku plemion, sięgający aż po Odrę. Za nimi siedzieli Pomorzanie, jak i za późniejszych czasów. Potem autor zwraca się więcej ku południowi i wyznacza miejsce ludom serbsko-łużyckim. Przegląd dalszych ludów, jak Czechów, Morawian, Słowaków, Rakusów, Białochrobatów i właściwej Polski z Mazowszem, choć zdawałoby się, nie będzie zawierał nic nowego, jednakowoż tak nie jest. Bardzo ciekawy jest ustęp o Ruhii (str. 104), z którego wynika, że państwo Bolesławów do rzeki Kamp i Dunaju się rozciągało, a więc znaczną

część teraźniejszego Księstwa Rakuskiego czyli Austryackiego obejmowało — miasto Stokerawa (Stockerau) jeszcze na polskim znajdowało się gruncie.

Doszedłszy tak do Bugu, a raczej do kraju Jadźwingów (teraźniejsze Podlasie), rozgraniczających Słowian zachodnich od wschodnich, wraca autor znowu nad Łabę, i stosunki etnograficzne lewego jej brzegu na uwagę bierze: najprzód plemion mieszkających w Luneburskiem i w Altmark, które za Karola Wielkiego swą niepodległość straciły, potem dopiero dalsze, które jeszcze w VI. w. Niemcy zagarnęli. Uczeni niemieccy prawie wszyscy, a za nimi słowiańscy z małemi też wyjątkami, nie chcą przypuścić, żeby Słowianie bytowali odwiecznie na lewym brzegu Łaby. Według ich przekonania, rzeka ta miała być zawsze granicą między słowiańskim a teutońskim szczepem. Jeśli zatem w średnich wiekach znajdują się jakie osady słowiańskie w lewym Elby porzecz, to bezsprzecznie są to tylko przybysze na ziemi pierwotnie czysto niemieckiej.

Wykazawszy, że nazwy rzek w tych stronach, według najdawniejszych zapisek, mają brzmienie słowiańskie, bardzo logicznie autor zawiązuje, że nazwy te nie mogą pochodzić od kolonistów (i to nie prędzej tam przybyłych jak w IX. lub w X. wieku, według mniemania przeciwników), gdyż „kraj ten należąc do Niemiec od Karola W. (811), musiał mieć nazwy rzek ukonsolidowane. A skoroby tam były nazwy rzek niemieckie, to jakimże sposobem Niemcy porzuciliby ojczyste, a przyjąwszy cudze, zachowali je aż do dzisiejszego czasu“ (str. 143). Słusznie zatem woła oburzony, „że osowiała tylko erudycya może przyzwolić na utworzenie hipotezy o kolonistach słowiańskich“.

Pięknie też wytłumaczył autor nazwy słowiańskich ludów, o których wspominają roczniki w tych stronach, tj. Bardów i Chełmian i Łączan i Drewianów, a wszystko na podstawie topografii, nie zaś naciągana etymologią, jak to niektórzy uczeni mają w zwyczaju. W Altmark oprócz wielu osad z nazwą wyraźnie słowiańską, jest i kraina, która się zwała Biała Ziemia (*regio Balsamorum, Balsemerland*).

Nie tak wyraźne są ślady pierwotnego osadnictwa słowiańskiego w dalszych ku zachodowi krajach, w których panowanie obce jeszcze wcześniej się zaczęło. Autor jednak nie wątpi, że wszystkie kraje znane później pod nazwą Bawaryi, Frankonii, Westfalii, Turyngii były kiedyś w posiadaniu Słowian, i że w starych zapiskach jeszcze jest dosyć na to dowodów.

Niech czytelnik nie rusza lekceważąco ramionami, ale raczej niech

cierpliwie a nawet z nabożeństwem przypatrzy się tym przez autora nagromadzonym okruciom starosłowiańskim, które go bardziej powinny obchodzić, jak muzeum starożytności i wykopaliska z Herkulanum i Pompei.

Więcej jak 7 arkuszy obejmuje ta rozprawka, a mogła być jeszcze obszerniejsza, gdyż nie brak materiału dowodowego, a tylko w kłopotcie jest badacz, jak się wziąć do niego i jak go obrobić najkorzystniej. Materiał, który autor mozolnie z wielu dzieł i średnio-wiecznych zapisek pozbiierał, stanowią przedewszystkiem nazwy geograficzne, których, jak się wyraża na str. 210, „ledwie małą część wzięliśmy pod rozwagę, a jednak nazwy 170 rzek, kilku gór, kilkuset osad wymownie świadczą o pierwotnem zaludnieniu Germanii przez Słowian“. Jeśliby rzeczywiście te wszystkie nazwy były bez wątpienia słowiańskie, to słuszność wyciągniętego stąd wniosku każdy musiałby uznać. Górcom, rzekom, osadom dają nazwy tylko pierwsi osadnicy i stale w owych stronach mieszkający; inaczej się owe nazwy nie przyjmą. Więc z ich wyrozumienia i o narodowości pierwszych osadników jak najślusniej wyrokować można.

Zachodzi w tem jednak jedna wielka trudność, wynikająca z pokrewieństwa, jakie istnieje pomiędzy europejskimi językami; wskutek czego, słowo jakieś tak dobrze może być niemieckie jak polskie, chociaż go jeden naród od drugiego sobie nie przyswoił. Drugą, nie mniejszą trudność zawiera okoliczność, że według świadectw dziejowych, pierwszymi autochtonami tych stron byli Germanie, z czegoby wynikało, że nazwy te w ich mowie tylko mogłyby znaleźć swe wytłumaczenie. Że zaś według ogólnie przyjętego przekonania, Germanie są Niemcy, więc zdawałoby się, że nic dla Słowian z tego materiału uciulać się nie da.

Czy autor zwycięsko te trudności usunął? Nam się zdaje, że nie zupełnie. Nie dlatego, żeby dowody jego wcale nie miały siły przekonywającej, ale że jak w każdej spornej sprawie, tak i w tej stosuje się zasada: *audiatur et altera pars*. Autor zanadto sobie rzecz ułatwił, opuszczając prawie zupełnie wywody przeciwników. Wprawdzie objętość książki byłaby się przez to jeszcze bardziej powiększyła, ale cóż robić? W rzeczy tak doniosłej lepiej przesadzić w obfitości dowodów, jak zostawić przeciwnikom możliwość utrzymania się w swem pozornem prawie. Autor nie powinien był tego z oka spuszczać, że nie tyle chodzić mu powinno było o przekonanie polskiego czytelnika, ile o postawienie sprawy na tak pewnym gruncie, żeby i uprzedzony cudzoziemiec nie

mógł się uchylić od uznania widocznej prawdy. Są to rzeczy tak jeszcze nowe i mało znane, że i Polakom wydają się zbyt naciągane, Niemcom zaś po prostu śmieszne. Nikt u nich nie wątpi, że wszystkie nazwy geograficzne są pochodzenia teutońskiego. Prawda, że jak chodziło o wyrozumienie ich znaczenia, nie tak łatwo z języka niemieckiego dały się one wytłumaczyć. Trudności te nie osłabiały jednak ogólnego przekonania, że bądź co bądź są to nazwy starogermańskie czyli staroniemieckie, których pierwiastki są już obecnie niezrozumiałe. Autor z całym szeregiem tych dawniejszych uczonych już się nie liczy, chociaż dwa najwięcej rozpowszechnione dzieła historyczne Weissa i Holzwartha właśnie to zapatrywanie dobitnie zatwierdzają. Gdyby wszystkie wywody autora w tej materji były tak jasne i przekonywające, że nie zostawiałyby żadnej wątpliwości, wtedy mógłby się obejść bez uwzględnienia swych przeciwników, ale niestety tak nie jest. Tłumaczenie owych zepsutych nazw zawsze można będzie wykręcić, czego najlepszym dowodem, że i sami słowiańscy pisarze niejednakowo je wykładają. Lepiej daleko byłby autor swą sprawę poparł, gdyby był wprzód wykazał, jak teoria przeciwników, jeśli nie jest zupełnie niedorzeczna, to przynajmniej bardzo niedostateczna i naciąganiem tylko posługuje się wywodami. Wtedyby i lepiej przygotował umysły czytelników do przyjęcia swych zapatrywań.

Więcej autor uwzględnia, i nie bez słusznej przyczyny, przeciwników umiarkowańszych, którzy przyznają, że już przed Niemcami mieszkał w owych stronach jakiś inny naród, który też owe nazwy ponadawał: najprawdopodobniej byli to Keltowie¹. Do tego jednak nie potrzebował zaprzeczać samemu sobie i (jak pisze na str. 156) „nie uwodzić się naprzód żadną hipotezą o osiedleniu Germanii za czasów rzymskich i później do rozplywu Niemców w VI. wieku“, ale owszem przeciwnie powinien był się oprzeć na tem, co w I-szym tomie dowiódł, tj. że kiedy dawni Swewi (z czasów rzymskich) są przodkami Słowian,

¹ Ta keltomania ma przeważnie w Wiedniu swe siedlisko i znalazła w najnowszych czasach swe zastosowanie także w dziele zbiorowem: *Oesterreichische Monarchie in Wort und Bild*. Potrzebna ona też niektórym politykom austriackim do podtrzymywania teoryi o słuszności podziału krajów z mieszaną ludnością na okręgi czysto niemieckie, i sprzeciwiania się, by w takim okręgu mógł język słowiański mieć jakieś uznanie. Na tym fundamencie stojąc, żądała niedawno lewica w Radzie państwa uznania Celowca (Klagenfurt) za miasto czysto niemieckie, które nie ma obowiązku wiedzieć o tem, że są jakieś języki słowiańskie na świecie.

więc i nazwy ich terytoryalne tylko z pomocą języka słowiańskiego należycie wyrozumiane być mogą, a co za tem idzie, hipotezy o ich pochodzeniu ze źródła keltyckiego lub teutońskiego powinny być zupełnie odrzucone, bo w końcu sprzeciwiają się i historii (nie było bowiem tam Keltów lub Teutonów w czasach starożytnych) i lekkomyślnie są zbudowane na pozorach lub zupełnie mylnych twierdzeniach, jak np. cała argumentacja z końcówki aha, a której błahość autor dosadnie okazał. Wtedy i porównanie tych nazw wykoszlawionych z odpowiedniami poprawnemi nazwami dotychczas u Słowian istniejącymi, w nowym zajaśniałoby blasku i zrobiłoby z tego zaczerpnięty dowód przekonywającym, choćby dla najbardziej uprzedzonego.

Gdyby autor takie był zajął stanowisko, wtedy byłby też lepiej mógł przedstawić stosunek Słowian do Niemców w owych krajach, i cały § 177 byłby zupełnie inaczej wypadł, z którego, jak jest obecnie, chociaż z ogromnym zachodem i erudycją napisany, czytelnik mało może odnieść pożytku.

Że autor nie umiał czy (raczej) nie chciał wyzyskać tych korzyści swej pracy poprzedniej, ma to, jak nam się zdaje, swoją głębszą przyczynę. Autor nie stoi jeszcze zupełnie na gruncie czysto przedmiotowym. Badanie dziejów dopiero od jakiegoś czasu staje się powoli coraz bardziej przedmiotowe. Nie hipotezy, ale czyste fakta, i to z pierwszej o ile możliwości ręki, powinny służyć teraz jedynie do odbudowania gmachu przeszłości. W tem jednak zajęciu ponieważ przychodzi się nieraz do wyników jak najbardziej sprzecznych z zapatrywaniami a nawet pewnikami dotychczas ogólnie przyjętymi, więc badacze licząc się z tem, albo sami po części hołdują jeszcze starym przesądom, albo nie śmieją ich zwalczać bezwzględnie, zwłaszcza że i dowody przeciwne nie są jeszcze tak silne, żeby i uprzedzonych mogły przekonać. Bywa to tak zawsze w przejściowych okresach, że nie od razu prawda do uznania ogólnego przychodzi, a za to bardzo rozmaite nowe powstają teorye, z których każda ma coś w sobie prawdy ale zarazem i starych błędów, jeśli nie w dodatku i nowych.

Znamiona tego przejściowego okresu są widoczne i na dziele pana Bogusławskiego, chociaż już w małym tylko stopniu, bo i sam własnem badaniem niejedną prawdę historyczną odkrył i wsparł się pracami poprzedników swoich. Lecz nie wyswobodził się jeszcze zupełnie z pod wpływu twierdzeń ogólnie przyjętych a jednak nie dowiedzionych, co mu bardzo przeszkadza do poznania całej prawdy, jak to już zauważyliśmy przy ocenie pierwszego tomu jego pięknej pracy.

Dalszy dowód ulegania „rutynie historycznej“ jest i w tem, że autor (jak to widać z niektórych miejsc tak I-go jak i II-go tomu) trzyma się niemieckiej teorii, wymyślonej *pro domo sua* o ustawicznym postępie w dziejach ludzkości, że ze stanu dzikiego przychodziło każde społeczeństwo ludzkie do stanu cywilizowanego, tak, że każdy naród był jakiś czas koczowniczym, nim z postępem oświaty stał się osiadłym, rolniczym. O nieprawdziwości tych wniosków łatwo się przekonać można. Gdzie dowód, że Teutoni skandynawscy¹ a Germanie Tacyty są jednym i tym samym narodem? Właśnie już ta sama okoliczność, że jedni są wybitnie włóczęgami, a drudzy nawskróś rolnikami i osiadłymi, powinnaby historykom dać do myślenia i wzbronić im utożsamiania obu tych narodów. Wszak nie trudno dowieść z samych źródeł niemieckich, że długi czas (pono aż do reformacyi) sami Niemcy nie nazywali siebie, pisząc po łacinie, Germani, ale albo Teutoni, Teutonici, albo Alamani — nie *ordo germanicus*, jakby obecnie pisano, ale *teutonicus*.

Lecz jak wytłumaczyć fakt, że obecni Niemcy są rolnikami? Rzecz się zupełnie wyjaśnia, jeśli przyjmiemy (a na co dowody sam p. Bogusławski przytacza, tylko że nie dla całej Germanii: wyklucza Cherusków, Chattów, a właściwie nie wiedzieć dlaczego), że do rolników germańskich napłynęli Teutoni, ujarzmili ich i swoją mowę im narzucili. Niema zatem potrzeby twierdzić, że Niemcy koczownicy stali się z czasem rolnikami.

Tem mniej potrzebujemy to utrzymywać o innych narodach. Różnice życia koczowniczego a rolniczego są tak głębokie, tak dotyczą wszelkich prawie objawów życia społecznego i moralnego nawet, że zupełnie można się zgodzić z profesorem Duchyńskim, który twierdzi, że taka przemiana wewnętrzna jakiegoś narodu jest po prostu niemożliwa ani nawet po wielu wiekach.

Rusin z Pokucia.

O sposobach oznaczania spółgłosek miękkich w Psalterzu Floryańskim. Napisał *Romuald Koppens T. J.* W Krakowie 1883, str. 35. (Osobna odbitka z V. tomu Sprawozd. kom. język. Akad. Umiej.).

Polem, na którym najmniej może mamy pracowników w nauce, jest lingwistyka. Nie chciałbym przesądzać, jakie są powody tego

¹ Rzymianie dobrze rozróżniali Germanów od Teutonów i nigdy ich z sobą nie mieszała. Tym ostatnim nie Germanię ale Skandynawię za ojczyznę naznaczali. Pomponius Mela, pisarz żyjący w I-szym wieku po Chr., wyraźnie pisze (*de situ orbis* III. 4): „Scandinavia, quam adhuc Teutoni tenent“

faktu, bodaj czy nie jednym z główniejszych okazałyby się trapiące wspomnienia o „gramatyce“, wyniesione ze szkół średnich; dość, że ludzi, chcących poświęcić czas i pracę tej gałęzi wiedzy, można u nas prawie policzyć na palcach. To też wobec tego nawet w zakresie naszego ojczystego języka, który powinienby nas najwięcej nęcić ku sobie, znajdujemy tyle nieopracowanego materiału, tyle kwestyj ważnych a nierozjaśnionych, że każdą pracę w tym kierunku powitać musimy z prawdziwą radością.

Praca, którą mamy przed sobą, porusza kwestyę niemałego znaczenia dla studyów nad językiem polskim, kwestyę pisowni w jednym z najstarszych jego zabytków.

Przyjawszy alfabet łaciński, Słowianie zachodni mieli niemałe trudności, by jego 24 znakami wyrazić całe bagactwo dźwięków swoich języków; jak wiadomo, my dziś jeszcze nie możemy dojść do ostatecznego porozumienia w tej sprawie, oczywiście przed pięcioma wiekami ci, którzy nam torowali drogę, mieli daleko trudniejsze zadanie. Nie dziw tedy, że pisownia naszych najdawniejszych zabytków jest niesłychanie chwiejna, że w Psalterzu Floryańskim, jak wykazuje praca, którą omawiamy, na wyrażenie jednego dźwięku *ć* spotykamy aż 14 rozmaitych znaków. Powoli dopiero, przez wprawę pisarzy, chwiejność ta z czasem ustaje, urabia się ogólnie przyjęty system, który w głównych zarysach z pewnemi modyfikacyami utrzymuje się do dzisiaj. Jakkolwiek rozwój ten nie był organiczny, jakkolwiek pisownia nasza ulegała w początkach bardzo silnemu wpływowi czeskiej, nie jest bez interesu i korzyści dla nauki poznać dokładnie przebieg tego powolnego udoskonalania się i systematyzowania.

Monografia, którą mamy przed sobą, daje nam bardzo dokładny i sumiennie napisany przegląd środków, jakich używali pisarze Psalterza Floryańskiego do wyrażenia łacińskimi literami polskich spółgłosek miękkich. Ogólne prawidła, jakich się przy tem trzymano, podał już prof. Nehring w swoim znakomitem studyum *Iter Florianense*. Praca autora przedstawia nam tę sprawę w szczegółowem opracowaniu, przeplatanem uwagami z zakresu fonetyki, a dochodzi do trzech wniosków, które, potwierdzając ogólne przypuszczenia Nehringa, określają dokładnie sposób postępowania pisarzy Psalterza, a są tem cenniejsze, że opierają się na niezwykle szczegółowem i systematycznym zbadaniu kwestyi.

Nie mam zamiaru omawiać tu obszerniej tych wniosków, zaznaczam tylko, że ogólny kierunek pisowni Psalterza jest mniej więcej

podobny do systemu, którego my się trzymamy obecnie: do wyrażenia zmiękczenia przechodniego używali pisarze zwykle znaków skombinowanych z literą *z*, zmiękczenia nieprzechodniego albo wcale nie oznaczano, albo używano do tego znaku *y*, a rzadziej *i*. Dodałbym do tego, jako fakt charakteryzujący powolne powstawanie Psalterza a zarazem stopniowy rozwój polskiej pisowni, to, że sposób oznaczania spółgłosek nieprzechodnio zmięczonych za pomocą znaku *y* lub *i*, którego w niedługo przedtem, jak się zdaje, napisanych „Kazaniach Świętokrzyskich“ niema jeszcze śladu, zjawia się wprawdzie już w pierwszej części Psalterza, ale po raz pierwszy dopiero w psalmie 64. Świadczy to, że część pierwsza, chociaż pisana przez jednego, powstawać musiała w dłuższym przeciągu czasu, jeśli w trakcie pisania powstawać mogły innowacje.

Tak tedy dzięki sumiennej i gorliwej pracy autora, której prócz kilku mniej ważnych drobnostek nic nie można zarzucić, posiadamy dokładny obraz pisowni spółgłosek miękkich w Psalterzu Floryańskim. Wybór zabytku do opracowania bardzo szczęśliwy, bo Psalterz Floryański ma oprócz swej starożytności i znacznej objętości, jeszcze tę zaletę, że powstał w przeciągu mniej więcej lat 50 i wskutek tego przedstawia znakomity materiał porównawczy. Nie pozostaje nic, jak wyrazić życzenie, by monografij tego rodzaju pojawiało się więcej, by cała kwestya historyi pisowni polskiej wyjaśniła się na podstawie faktycznych danych, a potrzebę tego wyjaśnienia rozumieją doskonale ci, co wiedzą, jak ważnym jest wzgląd na pisownię przy klasyfikowaniu i analizowaniu naszych zabytków językowych.

Z. Paulisch.

Fioretti czyli Kwiateczki św. Franciszka z Assyżu. Kronika średniowieczna. W Krakowie. Nakładem Księgarni Katolickiej d-ra Miłkowskiego. 1893. (Mała 8-ka, str. 452).

Bardzo to szczęśliwa myśl, przetłumaczyć Fioretti. Dziwić się nawet należy, że dopiero teraz o tem pomyślano.

Zdaje się, że i język polski, który ma jeszcze tyle prostoty, nadawałby się do odtworzenia tej perły literatury średniowiecznej, i charakter polski do jej zrozumienia. Ale Fioretti mają tę szczególną własność, że albo trzeba je tłumaczyć doskonale, albo ich nie tłumaczyć wcale. Tłumaczyć doskonale, to znaczy mieć przedewszystkiem oryginał włoski przed oczami, a dalej oddawać jak najwierniej woń jego prostoty i naiwnej pobożności.

A w książeczce, o której mowa, cóż widzimy? Niestety, jest to tłumaczenie nie z oryginału, ale z tłumaczenia francuskiego, które już samo musiało zatracić trzy czwarte wdzięków Fiorettów. O tem, że to tłumaczenie z drugiej ręki (nawiasem powiedziawszy), niema wzmianki ani w tytule ani nigdzie; a jednak dość jest przeczytać przedmowę, aby się przekonać, że pisał ją tłumacz francuski do przekładu z języka włoskiego na swój.

A potem jakież to tłumaczenie! Wygląda ono na pierwszą drukowaną pracę ucznia wyższego gimnazjum. Jest tam wprawdzie kilka razy dobrze użyte stare słowo „dusznie“, raz trafne staropolskie wyrażenie: „zażyć konia“, ale cóż kiedy to już wszystko, co po skrętnem szukaniu można na pochwałę tego przekładu powiedzieć. Kwiatków zaś stylowych, wcale nie pachnących, jest mnóstwo. I tak: „Ach! woła brat, jakimże sposobem przejdę przez ten most bez wpadnięcia w wodę“ (str. 160). A kilka wierszy niżej: „pozostawszy sam (na tymże moście)... nie wie co czynić, zdejmuje go trwoga, która podwaja jeszcze niemożność ani postąpienia naprzód, ani cofnięcia się“. Gdzieś indziej: „brat Jan, w myśl intencji Kościoła odprawiał Mszę św. za dusze zmarłe“ (str. 246). To znów ktoś był okryty „płaszczem oślepiającej piękności“ (str. 247). Albo: „Orlando doznaje żywego zadowolenia, dowiedziawszy się, że Święty i trzej jego bracia przybyli dla osiedlenia się w Alwernii“ (str. 273), — a „za zbliżeniem się święta Najśw. Panny Wniebowzięcia, Święty szuka miejsca... w którejby mógł przepędzić czas postu rozpoczynającego dzień tej uroczystości“. Że imię łacińskie Egidius brzmi w polskim Idzi, tego nasz tłumacz ani się domyśla, i nazywa brata je noszącego, raz Egidym, to znów Egidyuszem i t. d. i t. d. To tylko pojedyncze zdania, a cóż powiedzieć o całym toku, którego na małym wyjątku nie można okazać, a w którym styl ustawicznie dysharmonizuje z pełną prostoty i smaku treścią?

Zapewne, że niewykształceni czciciele św. Franciszka, nie poznają się, że to jest tłumaczenie z drugiej ręki, lub że wogóle tłumaczenie, ale i im dalekoby głębiej wchodziły w serce te proste a święte opowieści, gdyby były takimże prostym a jędrnym stylem i językiem napisane.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

По южной Америкѣ А. С. Юнина, въ двухъ томахъ, С-Петербургъ 1892 (Po Południowej Ameryce A. S. Jonina, w dwóch tomach. Petersburg 1892).

Jednem z najbardziej żywotnych zagadnień społecznych niniejszej doby jest niezaprzeczenie kwestya emigracyjna, która daleko szersze, niż inne kwestye, obejmuje koła i na wewnętrzne, ekonomiczne stosunki doniosły wpływ wywiera. Dużo już o niej pisano, ale do zupełnego wyczerpania przedmiotu bardzo jeszcze daleko, tem bardziej, że główny nacisk w tej mierze kładzie się zwykle na odpływ ludności do Brazylii, pomijając zupełnie inne amerykańskie kraje, które względem emigrantów odgrywają rolę potężnego magnesu, lub pobieżną zaledwie poświęcając im wzmiankę. Lukę tę zapełnia do pewnego stopnia dzieło wymienione przez nas w tytule, a rzucające nader pożądane światło na stosunki kolonizacyjne w południowej Ameryce. Autor jego, zamieszkały już od dawna w Rio-Janeiro *en qualité* rosyjskiego konsula, poświęca wprawdzie najwięcej miejsca w swej książce szczegółowemu opisowi wschodniej części Brazylii, ale zarazem zaznajamia czytelnika z Urugwajem, Argentyną i Paragwajem. Książka jego, chociaż traktowana przeważnie jako opis podróży, bez żadnych szerszych pretensyj, stanowi jednak nader cenny przyczynek do dziejów i obecnego stanu południowo-amerykańskiej kolonizacyi, gruntowna zaś znajomość miejscowych stosunków, której autor na każdej karcie składa dowody, tem więcej wartość jej podnosi.

Wielką też zasługą p. Jonina jest niezmiernie skrupulatne sięganie do jądra każdej kwestyi, a zarazem śledzenie całego jej przebiegu, warunków i rezultatów. Oto na przykład w jaki sposób autor zapatruje się na olbrzymią różnicę pomiędzy kolonizacją północnej i południowej Ameryki:

„W Ameryce północnej — mówi między innymi — emigranci europejscy pragnęli przywłaszczyć sobie kraje na zawsze i zapewnić dla siebie spokój, dlatego też starali się przedewszystkiem pozbyć się miejscowych dzikich, których pomoc nie była im wcale potrzebną. Stąd wynikło okropne tępienie krajowców. Przeciwnie na południu nie widać z początku wcale ani takiej eksterminacyjnej działalności, ani też dążenia do zdobycia ziemi w absolutne swe posiadanie. Dzięki warunkom klimatu i gruntu, oraz daleko mniejszemu napływowi emigrantów,

niż do Ameryki północnej, koloniści południowi potrzebowali pomocy autochtonów i w tym celu albo ich zamieniali w swoich niewolników, albo też mimowolnie z nimi się asymilowali. Ostatnia ta okoliczność, że się tak wyrazimy, unieruchomiła Europejczyków, oraz wytworzyła z nich nową rasę, tak, że kiedy się rozpoczęło cywilizacyjne dążenie w głąb kraju, to dokonali go już nie właściwi Europejczycy, jak w Ameryce północnej, ale rasa nowa, powstała ze zlania się tych ostatnich z tubylcami. Rasy takie wogóle przedsiębiorczością się nie odznaczają i z nielicznymi wyjątkami poprzestają na eksploatacyi tych miejsc, w których się urodziły, oraz z warunkami których organicznie się zrosły. Dlatego też Brazylijczycy raz osiedliwszy się pod równikiem, potem już przez czas długi dalej się nie ruszyli. Wprawdzie zasadnicze warunki egzystencyi na północnym i południowym amerykańskim lądzie uległy znacznym modyfikacyom, ale charakter ich się nie zmienił.

„Nadto istniały inne jeszcze przyczyny, z powodu których zdobywcy Ameryki południowej nie posuwali się coraz dalej na południe, jak to uczynili ich rywale w Ameryce północnej. Oto autochtonowie południowej Ameryki różnią się znacznie od siebie, stosownie do tego, czy mieszkają w południowej, czy też w północnej części tego stałego lądu. Tak na przykład dzicy, zamieszkali od równika aż do 20^o szerokości, są daleko łagodniejsi, spokojniejsi, uleglejsi i fizycznie słabsi od tych, którzy mieszkają dalej na południe aż do cieśniny Magellańskiej. Wrodzoną im odrębność charakteru potęgują jeszcze różnice w przyrodzonych warunkach kraju, na północy bowiem lasy lub góry odosabiają człowieka i czynią go trwożliwym, na południu zaś rozległe stepy zmuszają go do grupowania się w większą, społeczną całość w celu wzajemnej pomocy, a zarazem wyrabiają w nim zuchwałstwo, przedsiębiorczość i poczucie własnej siły.

„Dlatego też Portugalczycy, przesiedleni do podrównikowych amerykańskich krain, znaleźli tam ludy spokojne, uległe, które z łatwością zdołali przyswoić, a nawet nagiąć do pracy. Wprawdzie niekiedy pomiędzy nimi a krajowcami przychodziło do walk i rozterek, ale zdarzało się to rzadko, ponieważ nie było tu jeszcze najmniejszego zarodka państwowego życia i przybysze mieli do czynienia nie z solidaryzowanym społecznym ciałem, ale z jednostkami, co znacznie ułatwiało im zadanie. Przeciwnie dalej na południu napotkali państwa, będące wprawdzie jeszcze w zarodku, ale złożone z ludzi, którzy bez rozpaczliwego oporu nie zechcieli im się poddać. Ta właśnie okoliczność powstrzymała emigrantów i awanturników z Europy od posuwania się

coraz dalej i to tak radykalnie, że i dziś jeszcze z powodu dzikości ostatnich potomków dawnych autochtonów wstęp do głębi południowych brazylijskich prowincyj jest niemal niemożliwym.

„Nadto różnice pomiędzy fizycznymi warunkami kraju i charakterem ludzi wytworzyły inną jeszcze okoliczność, nader ważną dla historii i socjologii południowej Ameryki. Na północy jej Europejczyk, zlawszy się z dzikim za pomocą związków krwi, przyciągnął go do siebie, pozyskał dla swej cywilizacji i wykształcił na pół-Europejczyka, gdy przeciwnie na południu dziki zapanował moralnie nad Europejczykiem, pochłonał go, że się tak wyrazimy, skutkiem zaś tego każdy przybysz, zostawszy straconym dla cywilizacji, powiększał jeszcze trudności w celu jej rozpowszechnienia“.

Na innym miejscu autor zastanawiając się poważnie nad tem, dlaczego kolonizacja Ameryki południowej nie wydała takich wyników, jak północnej, oraz dlaczego kraje południowo-amerykańskie pod względem handlu, przemysłu, dobrobytu, oświaty i cywilizacji stoją daleko niżej od Stanów Zjednoczonych, mówi co następuje:

„Niejednen zarzut spadł z tego powodu na religię katolicką, która jakoby zabija wolną wolę, oraz samodzielny rozwój moralnych sił człowieka, przygniata i odrętwia umysł przesadami i moralnym despotyzmem, wręcz przeciwnie jak protestantyzm, dzięki któremu umysł jakoby się oswobodził, a indywidualna woła odrodziła się na nowo. Ja jednak sądzę, że taka hipoteza jest zupełnym nonsensem, gdyż w rzeczywistości religia katolicka okazała się daleko bardziej łagodną i humanitarną od wolnomyślnego purytańskiego protestantyzmu. Ona to właśnie stanęła głównie na przeszkodzie wytępieniu krajowców Ameryki południowej, a nawet dla tubylczych ludów posłużyła za cement, za pomocą którego utworzyły one nowe grupy ludności i zdołały się ocalić. Tam, gdzie chciwy kolonista zamierzał wymordować krajowców, zakonnik tego mu wzbraniał; tam, gdzie chciał zamienić ich w niewolników, zakonnik stawał w obronie praw ludzkości i to nie w słowach, jak późniejsi parlamentarni mowcy i rozmaici europejscy filantropowie, ale w czynie. Jeżeli zwycięzca zlał się z autochtonem i przelał w niego swą krew, to również dzięki zakonnikowi, który dążąc do ideału absolutnej moralności i ludzkości na podstawie powszechności tej religii, jakiej był przedstawicielem, nie cofał się przed różnicami ras, albo mniejszą lub większą szlachetnością krwi, ale każdemu człowiekowi jednakie przyznawał prawa. On to zmuszał Europejczyka do żenienia się z autochtonką,

z prawomocnego zaś małżeństwa wynikało, że tak powiemy, uprawnienie tubylczej indyjskiej rasy“.

Po ogólnych tych uwagach autor wraz z czytelnikiem przebiega prowincje brazylijskie, leżące na drodze do Urugwaju, to jest Parane, Santa-Catarina, Rio-Grande-do-Sul, San Paolo i Minas Geraes, a następnie całą rzeczpospolitą Urugwajską, Argentyńską i Paragwajską. Pozwala mu to scharakteryzować obszernie tak warunki bytu krajowców, jak też obecny stan europejskich kolonij, z których kolonie brazylijskie najbardziej wyczerpująco opisane zostały. Jest to nader ciekawa część pracy, autor bowiem kreśli dzieje każdej ważniejszej kolonii od samego jej początku, sięgając niekiedy XVII. lub XVI. wieku. Niestety, brak miejsca nie pozwala przytoczyć wielu zajmujących szczegółów, to więc tylko zaznaczyć możemy, że główny kontyngens kolonistów rekrutuje się z emigrantów włoskich, polskich i niemieckich. W najlepszym stosunkowo stanie znajdują się kolonie niemieckie, założyciele ich bowiem przybywają zwykle choćby z niewielkim kapitałem, zyskują najlepsze grunta i wzorowe wiodą gospodarstwo. Mniej korzystnie przedstawiają się nieliczne kolonie włoskie, większa bowiem część Włochów zamieszkuje w miastach i zabiera się do handlu lub przemysłu. Najbardziej jednak ujemne wrażenie wywarli na autorze wychodźcy polscy. Sądźmy, że najlepszą ilustracją tego wrażenia będą własne słowa p. Jonina, jakimi opisuje on kolonię polską w pobliżu miasta Coretiby:

„Coretibę opasują dokoła kolonie i dlatego też na rynkach tego miasta napotkać można codziennie olbrzymie, ciągnione przez woły arby i wozy, a w dodatku wozy polskie, ponieważ najbliższą kolonię zaludniają Polacy z okolic Krakowa... Pewnego dnia spostrzegłem na ulicy jakiegoś Polaka, siedzącego na swym wozie w pośrodku targowego placu. Chociaż więc był on trochę podchmielony, oraz zapewniał mię, że przyjechał dla widzenia się z ministrem i przedstawienia mu skargi na doznawany ucisk, zdołałem jednak go nakłonić, aby mię zawiózł do swej kolonii, naturalnie obiecując sowitą zapłatę i poczęstunek po powrocie. Kolonią tą jest poblizka osada San Venuncio, której ludność składa się w większej części z Polaków, a w mniejszej z Włochów.

„Już na pierwszy rzut oka niezbyt okazałe przedstawiają się domki z niepalonej cegły, pokryte słomą i ciągnące się długim szeregiem nad brzegami rzeki. Gdyby nie przepyszny las araukaryj, to miejscowość ta bardzo smutnoby wyglądała. Chata mojego automedona na-

leżała do najuboższych i przechylała się posępnie na jedną stronę wśród niestarannie uprawionego ogrodu z wynędzniałą kapustą. Grunt tu nieurodzajny i dlatego wielu kolonistów opuściło to miejsce, pozostawione zaś przez nich chaty runęły już w gruzy. Dalej na zachód grunt staje się coraz lepszym i tam właśnie przeniosła się większa część kolonistów, pozostali zaś tylko ci, którzy nie mieli środków do dalszej wędrówki, a rząd im ich nie dawał. Wogóle tu, jak i w innych młodocianych państwach, wszystko dzieje się pod wpływem chwilowego zapału; gdy zapal ten ogarnie, wówczas ludzie robią wszystko, co leży w ich mocy, wyrzucając krociowe sumy, a gdy minie, porzucają z niechęcią niedokończone dzieło. Piętnaście lat temu opanowała gorączka zaludniania pustych obszarów; teraz gorączka ta przeszła, a popełnionych omyłek naprawić już niepodobna. Zresztą dla ich sprostowania potrzeba pieniędzy, ponieważ zaś kapitały w ten sposób użyte, niewielki przynoszą dochód, rząd więc nie chce ich łożyć, daleko bowiem łatwiej można otrzymać od niego miliony, interesujące całą zgrają deputatów i *geschüftsmacherów*.

„Co do San Venuncio, to przestało ono faktycznie być rolniczą osadą i zmieniło się raczej w kolonię ogrodniczą. Koloniści zaczęli oswajać dzikie bydło miejscowe i trzody, uprawiać ogrody, oraz dostarczać miastu mleka, masła, grochu, fasoli i kapusty, pola zaś, na których poprzednio zasiewali pszenicę, zostawili odłogiem. Najprzód pszenica tu nie rodzi, powtóre zaś niema dla niej zbytu, gdyż krajowcy przywykli do swojej *farinha*, czyli mąki z manioku, a chociaż liczni cudzoziemcy potrzebują chleba, to jednak w całej okolicy niema ani jednego młyna do zmielenia ziarna na mąkę. W całej zresztą Brazylii uprawiają niemal wyłącznie kukurydzę, uprawa zaś pszenicy, która była głównym celem kolonizacyjnych zabiegów, wcale się nie powiodła. Jedynem też niemal źródłem zarobku dla kolonistów z San Venuncio stało się wywożenie rośliny *mate*, służącej tam zamiast herbaty, do pobliskiego portu Antonina. Dlatego też koloniści Polacy żyją nędznie, z dnia na dzień, szukając pocięchy w trunku“.

Smutny ten obrazek doli naszych wieśniaków, przesiedlonych na grunt brazylijski, nie stanowi wyjątku, ale za ogólne uchodzi tam prawidło. Niepodobna chyba posądzać autora o złą wolę lub przesadę, tem bardziej, że w ocenianiu ludzi, rzeczy i stosunków, odznacza się względną bezstronnością. Mówiąc naprzykład o tem, że europejscy przybysze nie umieli wywrzeć należytego wpływu na południowo-amerykańskie ludy i podnieść je do wyżyn cywilizacji, po-

równywa w tym względzie Hiszpanów i Portugalczyków ze swymi rodakami, nie szczędząc tym ostatnim dość gorzkich pigulek. „Już przeszło trzy wieki temu — woła między innymi — zdobyliśmy Kazań i to prawdziwie tatarskie mocarstwo stało się nagle ziemią rosyjską, a nawet znalazła się niebawem *Kazanskaja Bołja Matier'*, jak gdyby Kazań był jakimś Kijowem, Moskwą lub Suzdałem. I cóż stąd? Oto pomimo całego państwowego arsenału nie możemy zrobić prawdziwym chrześcijaninem ani jednego Tataru, który zamknąwszy się w sobie, zakamieniał w swym islamie“.

Wracając do kolonizacji, autor zaznacza, że jeżeli w Brazylii nie weszła ona dotąd na właściwą drogę, to głównie z powodu braku kolei żelaznych, któreby kolonistom ułatwiały eksport ich płodów. Chociaż bowiem w tym kraju rozpoczęto budowę mnóstwa linii kolejowych, każda z nich wydarłszy od rządu znaczne koszty, czyli, jak się autor wyraża — *les yeux de la tête*, została przerwana na połowie drogi.

Z teje samej, oraz wielu innych przyczyn, kolonizacja Urugwaju spoczywa dotąd w kolebce, chociaż wychodźcy europejscy mogliby się tam z bogacić, gdyby się zabrali do racjonalnej hodowli bydła, uganianego się teraz swobodnie po niezmiernych pampasach, lub pędzonego całemi stadami do olbrzymich rzeźni, zwanych *mataderos*, albo *saladeros*. Dzisiejsi koloniści urugwajscy składają się przeważnie z Włochów, których pewna część przybyła wraz z Garibaldim jeszcze przed rokiem 1848 i wzięła czynny udział w domowej walce, toczonej wówczas przez tę republikę. Później, po zjednoczeniu Włoch, skutkiem niezmiernego zwiększenia podatków, wielu Włochów musiało opuścić ojczyznę i drogą utartą przez swych rodaków podążyło do Urugwaju, by się tam zająć handlem lub rzemiosłem.

Stosunki kolonizacyjne w Argentynie w następujący, podług autora, przedstawiają się sposób: Wszystkie wielkie przedsiębiorstwa, jak na przykład budowa kolei żelaznych i portów, stanowią przeważnie monopol Anglików, w części zaś Belgijczyków i Francuzów. W handlu i przemyśle Włosi i Niemcy *tiennent le haut du pavé*; ostatni zwłaszcza zalewają kraj swoją tandetą i ofiarują na jego usługi własne okręta za fenomenalnie niską cenę. Kolonistami we właściwym tego słowa znaczeniu, czyli osiadłymi na roli, są przeważnie menonici, albo bracia herrnhuccy, którzy, pragnąc uniknąć wojskowego poboru, tłumnie napływają z Rosyi. Wreszcie autor wymienia emigrantów dalmackich, których jednak, właściwie mówiąc, emigrantami nazwać niepodobna, gdyż

wstępują oni do służby morskiej w Argentynie tylko na pewien przeciąg czasu, po upływie którego wracają do ojczyzny.

„Widzimy więc — dodaje p. Jonin — jaką mieszaninę różnorodnych narodowości i interesów przedstawia obecnie Argentyńska republika, jeszcze nie skryształizowana, niedojrzała politycznie, jak na przykład Stany Zjednoczone. Tu wszystko dotąd fermentuje, znajdując się jakby w przygotowawczym okresie politycznego życia. Bądź co bądź ta zaledwie tworząca się formacja boi się już rozkładowych czynników, któreby mogły nadwreżyć prawidłowość życiowego procesu; boi się zatruć materiał, z którego nowe wytrysnąć ma życie. Tu otwarto wolny wstęp dla wszystkich, tylko nie dla Żydów.

„Jak wielką Argentyńska republika ma w tej mierze słuszność, tego dowodzi najlepiej zakulisowe życie miasta Buenos Ayres. Emigracja Żydów nie jest bezwarunkowo zakazana, ale wstęp do tego kraju dozwolony tylko Żydowi, który wykaże posiadanie pewnego kapitału, lub specjalne uzdolnienie w jakim kierunku, stwierdzone dyplomem z wyższej europejskiej szkoły. I cóż stąd wynika? Oto w Buenos Ayres żydowskich kapitalistów bardzo mało, inżynierów i techników jeszcze mniej, ale większa część Żydów, którzy się wcisnęli do kraju pod firmą jednych lub drugich, trudni się jedyną gałęzią handlu, spoczywającą w ich ręku, gałęź zaś tę stanowi handel kobietami. Eksport kobiet, jako towaru ze starego świata, dokonywa się systematycznie, jak na przykład wywóz tkanin bawełnianych, posiada swoje biura i administrację, każde zaś biuro ma w Europie licznych agentów i *commis-voyageurs*’ów. Dowiedziona też jest rzeczą, że ani jeden chrześcijanin nie bierze udziału w nieczym tym handlu, który w miarę rozwijania się i wzbogacania argentyńskiej stolicy, coraz groźniejsze przybiera rozmiary. W dolnych węgierskich prowincjach, zaludnionych przeważnie przez Słowian lub Rumunów, gdzie kobiety odznaczają się pięknnością, a cała ludność ubóstwem, handel ten istniał już od dawna ze Wschodem, ale w ostatnich latach Argentyna przedstawiła tak doskonały rynek dla żywego towaru, że eksport jego niesłychanie się spotęgował. Łatwo zrozumieć, jak zgubny wpływ musi wywierać taki handel na moralność niższych warstw ludności południowych Węgier. Nieszczęśliwe kobiety przybywają do Buenos Ayres całymi partjami, jak emigranci, i jeżeli poprzednio ze Wschodu wiele z nich wracało, to z za Oceanu, z tego zakulisowego siedliska zepsucia, gdzie panuje Żyd, żadna z pewnością nie wróci. Pewnej części tych nieszczęśliwych dostarcza także Rosya, a mianowicie Bessarabia, Wołyń i Królestwo Pol-

skie, a nawet jest to, że się tak wyrazimy, jedyny towar wywożony z niej i Węgier do Argentyny, całą zaś tą machinacją kierują nasi i austriacy, czyli tak zwani polscy Żydzi“.

Najmniejszy stosunkowo ruch emigracyjny daje się dostrzegać w Paragwaju, gdzie z wyjątkiem pewnej ilości niemieckich kupców i przemysłowców, mieszkających w Assumpcion, oraz kilku niezamożnych kolonistów, osiadłych na prowincyi, Europa bardzo nielicznych ma przedstawicieli. „A jednak — dodaje autor — jakich się to ludzi nie spotyka w Ameryce! Nietylko głód i nędza pędzi tu nadmiar europejskiej ludności, ale też wszystkie choroby, wszystkie newrozy zgrzybiałej naszej cywilizacji, jak naprzykład wybujała wyobraźnia, żądza przygód, miłość i nienawiść, chciwość i rozpacz, fanatyzm i oszustwo... Tak naprzykład w ubogiej apteczce w Assumpcion, należącej naturalnie do Niemca, widziałem pewnego rosyjskiego nihilistę, który, jak mówią, przyszedł pieszo z Boliwii i służy darmo u aptekarza. Nieuczesane to indywidualum, z twarzą zaczerwioną od trunku i całe w łachmanach, nie odpowiedziało mi ani słowa, kiedy się do niego odezwałem po rosyjsku, ale tylko gniewnie zasyczało. Tutejsze stosunki również go nie zadawalniają, chciałby on bowiem obalić plutokrację, a tymczasem stanowi *curiosum* dla mieszkańców Assumpcionu, bawiąc ich swemi teoriemi, wygłaszanemi w złamanym hiszpańskim języku. Opowiadano mi również, że w mieście Consencion, na południe od Assumpcionu, zamieszkał były sekretarz nieboszczyka księcia kanclerza Gorczakowa, i występując tam w roli protestanckiego pastora, uciulał sobie niezłą fortunę. Opowiada on niestworzone rzeczy o polityce rosyjskiej. Cóż to za człowiek być może? — pomyślałem sobie i zacząłem go śledzić. Okazało się, że podczas pobytu księcia Gorczakowa w Baden-Baden służył u niego rzeczywiście, tylko nie jako sekretarz, ale jako lokaj; tymczasem patrzmy, gdzie się teraz znalazł i to w roli protestanckiego pastora! Z czasem może stać się wysokim dygnitarzem, ponieważ wszyscy są tu przekonani, iż był sekretarzem tak znakomitego dyplomaty i ministra!“

Podobne charakterystyczne rysy przeplatają całą pracę p. Jonina, która i pod względem opisowym nic nie pozostawia do życzenia. Prześliczne są zwłaszcza opisy morza u brzegów brazylijskich, dziewiczych lasów, gór Serra-Geral, uragwajskich pampasów, jak również zdjętych jak z igły miast: Montevideo, Buenos Ayres, La Platy i Assumpcionu, które autor zowie prototypem *fin du siècle*'u. P. Jonin posiada też dar przenoszenia czytelnika żywcem w otoczenie, wśród któ-

rego sam chwilowo się znajduje, to jest pomiędzy brazylijskich kolo-nistów, uragwajskich *estancieros* czyli właściciele niewielkich posiadłości na stepach, oraz nawpół-dzikich Gauczosów, potomków dawnych In-dyan, których całe życie upływa w pampasach na uganiu się za wołami lub końmi, żyjącymi jeszcze w stanie natury. Historycznej strony autor również nie pomija milczeniem, owszem zeszkicowuje ją poważnie, urozmaicając niekiedy dowcipnemi sylwetkami współczesnych południowo-amerykańskich dygnitarzy, a ponieważ jako konsul mógł wszędzie dotrzeć i wszystko zbadać, łatwo się więc domyśleć, ile cieka-wych opowiada rzeczy.

Na tem kończymy ocenę szacownej z wielu względów pracy pana Jonina, napisanej stylem prostym, naturalnym, a jednak wykwinnym i zaprawionym tu i ówdzie odrobiną attyckiej soli. Styl ten, a bar-dziej treść ze wszech miar zajmująca, sprawia, iż książkę: *Pa jüžnoj Amierykie* przebiega się niepostrzeżenie i z pewnem uczuciem żalu ostatnią się zamyka kartkę.

Tytus Sopotzko.

Die Verehrung der Heiligen und ihrer Reliquien in Deutschland wäh-rend der zweiten Hälfte des Mittelalters. Von *Stephan Beissel S. J.* Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1892. (In 8^o, VIII, 144).

Duch burzycielski umie mimo oczu puszczać najlepsze strony ustalonego porządku, żeby spostrzegać jego usterki i wady, o nich wyłącznie rozprawiać i podnosić je do rozmiarów zbrodni, które muszą oburzać i podniecać żądze przewrotu. Tego wybiegu użył Marcin Lu-ter, kiedy powstał na Kościół Powszechny z zarzutem, że pod rządami papieży stracił pierwotnego ducha Ewangelii. Niepodejrzany pod tym względem świadek, bł. Piotr Kanizy, przyznaje wiele smutnych bra-ków, nawet u duchowieństwa, w Niemczech, ale od tych objawów roz-przeżonej karności do wniosków luterskich jeszcze bardzo daleką drogę pokazują badacze, którzy umiejętnie odszukują świadectwa dziejowe o stanie Kościoła w szesnastym wieku. Do ich zastępu stanął St. Beissel z dowodem, jak przesadnie Reformatorzy opisują wypadki, na których Luter oparł zarzut, że Kościół powszechny oddaje bałwochwalczą cześć Świętym. Autor nie ukrywa wypadków, w których rzekomi czciciele Świętych ściągali na siebie za zdrożne postęпки surowe nagany zwierz-chności kościelnej, zaostrzane nawet ciężkimi karami. Ale liczba tych wypadków słusznie potępianych niknie wobec tysiąckroć większego

mnóstwa dowodów, że część Świętych kwitła pomiędzy wiernymi w duchu nauki, podawanej z pokolenia na pokolenie aż do czasów, kiedy wolno było Ojcom Kościoła jawnie głosić ją w pismach, przekazanej przez nich następcom i obronionej przez Kościół w sporach z obrazobórcami. Skrzętnym zbiorem dowodów w tym kierunku, zasłużył sobie autor na zaszczytne miejsce pomiędzy pisarzami, którzy korzystając umięją z księgi dziejów, żeby odpierać nieustanne napaści na Kościół.

Ks. K. C.

Die Lehre von den heiligen Sacramenten der katholischen Kirche.

Von *dr. Paul Schanz*. Freiburg im Breisgau 1893. (VIII, 757, in 8°).

W czasach obojętności na wszystko co wielkie, wspaniałe i święte, kiedy to praktyki religijne i przystępowanie do Sakramentów śś. wydaje się dla wielu niestosowne i zbyteczne, z radością musimy powitać każdą pracę w literaturze kościelnej, która zmierza do tego, aby ludzi z manowców sprowadzić na drogę prawdziwą. Cóż to dopiero za uciecha zapanuje w sercu wiernego, jeżeli ta praca będzie umiejętną, gruntowną i pod każdym względem wykończoną! Do takich dzieł należy książka co dopiero zacytowana. Autor jej, dr. Schanz, profesor św. Teologii na uniwersytecie w Tybindze, znany z prac swoich, jako to z Apologii, z Komentarzów do Ewangelii św. Mateusza, Marka, Łukasza i Jana, obecnie znakomicie wywiązuje się z założonego przez siebie tematu. Książka jego obejmuje dwie części. W I. części, poprzedzonej prześlicznym wstępem, o skutkach Wcielenia, tj. o naszym usprawiedliwieniu i uświęceniu, którego stajemy się uczestnikami przez Sakramenta śś. i ofiarę Mszy św., autor podaje naukę katolicką o Sakramentach śś. wogóle. Tutaj tedy znajdzie czytelnik gruntownie opracowane kwestye takie jak: co jest Sakrament i jaka jego definicyja katolicka? następnie, jak określają Sakrament protestanci? jaka zachodzi różnica pomiędzy Sakramentami i sakramentaliami? czy w Starym Zakonie były Sakramenta? Dalej w tej samej części poucza autor o materyi i formie, o ministrze, o charakterze, o skutkach i o podmiocie Sakramentów wogóle.

Część II. dzieła zawiera naukę katolicką o siedmiu Sakramentach w szczególności, a więc o Chrzcie, Bierzmowaniu, o Sakramencie Ołtarza, Pokuty, ostatniego olejem św. Namaszczenia, o Kapłaństwie i Małżeństwie. Traktat o ofierze Mszy św. jest dalszym ciągiem traktatu o Sakramencie Ołtarza. W tej części znów podaje autor przy każdym Sakramencie definicyję jego, poucza o znaku widzialnym, o ustanowieniu

i o ministrze odnośnego Sakramentu, a wreszcie o skutkach, jakie wywołuje w duszy przyjmującego. Podobnie postępuje i w traktacie o ofercie Mszy św., uwzględniając zarazem wszędzie i błędy protestantów, oraz popierając naukę prawdziwą zdaniem Pisma św., Ojców i teologów dawniejszych i nowszych, szczególnie cytuje Doktora Anielskiego.

Jedną tylko uwagę zrobić musimy, a mianowicie, że w traktacie o Sakramencie małżeństwa koniecznie, naszym zdaniem, powinien być dodany paragraf osobny i nowy o prawach prawdziwych i urojonych państwa, a odnoszących się do małżeństwa. Wszakże w dzisiejszych czasach jest prąd ogólny we wszystkich państwach Europy, z całą świadomością dążący do tego, aby z tej instytucji Boskiej, ze Sakramentu małżeństwa zedrzeć ową świętą szatę i uczynić je tylko kontraktem cywilnym, a następnie zagarnąć pod swoje wyłączne panowanie. Otóż kwestya ta piekąca i tak bardzo na czasie, powinna być uwzględnioną w specjalnych rozprawach, za jakie musimy uważać dzieło szanownego autora. I ani odpowiedź, że ta kwestya należy do prawa kanonicznego, nie uniewinni autora, bo jest ona dogmatyczną, a więc miejsce jej się należy słusznie w dziejach dogmatycznych.

Pomijając tę małą usterkę, wyznać należy otwarcie, iż praca ta ma swoją wartość niezaprzeczoną i że każdy obznajomiony z językiem niemieckim, może ją z przyjemnością czytać, a specjalista znajdzie w niej gruntownie opracowane kwestye odpowiednie, nadto wszędzie sumiennie przytoczone najpoważniejsze dawniejsze i nowsze prace źródłowe o odnośnej materii.

Ks. dr. T.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Rzymskie pielgrzymki. — Rozdwojenie w *Centrum*. — Akcja katolików węgierskich. — Izba panów przeciw rządowej polityce kościelnej. — Programowa przemowa kardynała Vaughana.

RZYMSKIE
PIELGRZYMKI. Kto lękał się, aby urzędowe festyny, urządzone w Rzymie z powodu 25-letniej rocznicy ślubu królewskiej pary włoskiej, nie przyémily i nie odsunęły na drugi plan jubileuszowych uroczystości papieskich; ten w ubiegłym miesiącu mógł się dosadnie przekonać, jak obawy jego były płonne. Obstalowane z góry i drogo ze skarbu publicznego zapłacone turnieje i zabawy, ściągnięci z kosztami i trudem niemalym z Włoch i z zagranicy goście, do tego tylko, rzechy można, posłużyć mieli, aby w tem jaśniejszem świetle wystąpiła na jaw cześć i miłość prawdziwych Rzymian i całego katolickiego świata dla Papieża. Pielgrzymki, przerwane chwilowo na dni zajęte kwirynalskimi biesiadami i rewiami, popłynęły następnie i płyną po dziś dzień ze wszystkich krajów i części świata, niosąc Ojcu św. rozrzewniające dowody synowskiej miłości, uwielbienia bez granic; zapewnienia wierności dla Stolicy Piotrowej, nigdy i niczem nie wzruszonej. Po pielgrzymach polskich i austriackich, stanęli w Watykanie delegaci przeróżnych miłosiernych stowarzyszeń, kupujących się i pracujących pod wezwaniem i imieniem św. Wincen-

tego à Paulo; reprezentanci bardzo licznych i różnych pobożnych stowarzyszeń francuskich; dalej pielgrzymi z Czech, z Belgii, z Alzacy i Lotaryngii, Szwajcaryi, Holandyi, Malty, Niemiec, z Poznańskiego i Węgier. Dla wszystkich z kolei miał Ojciec św. słowo zachęty, pociechy i nauki; wszyscy też, jak świadczą jednomyślnie tysiączne sprawozdania ogłoszone we wszystkich cywilizowanych językach, odchodzili od stóp watykańskiego Więźnia, przejęci dłań podziwem, pokrzepieni na duchu; dziękując Bogu, że w tak ciężkich i trudnych czasach dał Kościołowi takiego ojca i wodza. Szczególnie pocieszeni odeszli pielgrzymi poznańscy. Ojciec św. winszował im stałości i synowskiego przywiązania do wiary, za którą ich ojcowie, dawni rycerscy Polacy walczyli i zwyciężali; napominał, aby wiernie, niczem nie dając się zniechęcić, chowali te tradycje.

Nietylko wierni synowie Kościoła szli do Watykanu składać Papieżowi swe hołdy; pospieszył tam cesarz niemiecki wspólnie ze swą małżonką, bawiący w Rzymie na jubileuszowych uroczystościach króla Humberta. Odwiedziny te, ceremoniał, z którym były połączone, a zwłaszcza dłuższa rozmowa sam na sam cesarza z Papieżem, stały się najważniejszym wypadkiem dnia, usuwającym daleko na drugi plan nieco banalne przemowy i komplementy, któremi obaj monarchowie, włoski i niemiecki, wzajemnie się raczyli przy rewiach i obiadach. Wedle dziennikarskich zapewnień, miała rozmowa Papieża z cesarzem toczyć się głównie około kwestyi socyalnej; to pewna, że jak ta poufna rozmowa, tak bezpośrednio idące po niej konferencje Papieża i cesarza z posłem pruskim przy Stolicy Apostolskiej, von Bülow'em, nie są bez symptomatycznego znaczenia, a prawdopodobnie nie będą i bez pewnych praktycznych następstw.

Niemale również wrażenie wywarło obdarzenie sekretarza stanu Rampolli, który dość powszechnie uchodził za zdecydowanego stronnika Francyi, najwyższym pruskim orderem, Orła Czarnego. Większy jeszcze podziw wzbudzić musiał kosztowny podarunek, wręczony przez cesarza kardynałowi Ledóchowskiemu i słowa doń wyrzeczone. Jeżeli słowa te, których autentycznego brzmienia wśród powodzi sprzecznych wiadomości wykryć nie-

podobna, nie zawierały — jak zaręcza kilka niemieckich dzienników — formalnego przeproszenia za uczynione dawniej krzywdy, to bądź co bądź, ze wszystkich danych sądząc, bardzo do takiego przeproszenia musiały być zbliżone. Zresztą nie przyniosłoby to choćby najmniejszej ujmy, ale przeciwnie zaszczyt charakterowi i poczuciu sprawiedliwości młodego cesarza. Naturalnie, nieoprawni liberali z bismarkowskiej daty załamują ręce i wołają: „Gwałtu! co się dzieje!“ „Ultramontanie, — lamentują na ten temat gazety berlińskie — stoją na stanowisku, na którym walczyli w czasie kulturkampfu; kardynał Ledóchowski nie odstąpił ani na jeden włos od dawnych swych przekonań; skądże więc te odznaczenia, jaki powód ich i racya?“ — „Czyżbyśmy już doszli — pyta z gniewem *Allgemeine Zeitung* — do zupełnego antagonizmu z rządami Wilhelma I.? czy nie należało mieć więcej względów dla zaprzyjaźnionego mocarstwa włoskiego, które na wizytę watykańską spogląda z pewną obawą, aby nie powiedzieć: z zazdrością?...“ Ostatni zwłaszcza ten ustęp jest charakterystyczny; dostraja się do niego, dając poniekąd odpowiedź na postawione zapytanie, radykalna *Riforma*, ta sama *Riforma*, która parę dni przedtem wyносиła przyjazd cesarza Wilhelma do Rzymu jako stanowczy i z wszelką pewnością ostatni już cios zadany legendzie o papieskim Rzymie: „Smutna to rzecz — pisze organ Crispiego — smutna i oplakania godna, że polityka nasza nie umiała stanąć w poprzek ostatnim wypadkom zbliżającym Niemcy do Watykanu; tem bardziej teraz czuwać nam należy, aby z nieszczęśliwych tych przesłanek nie popłynęły jeszcze gorsze następstwa“.

ROZDWOJENIE W pewnej części prasy, na pierwszym miejscu francuskiej, rozpuszczono pogłoskę, że cesarz Wilhelm usiłował skłonić Papieża do użycia swego wpływu na *Centrum* w sprawie przedłożonych berlińskiemu parlamentowi wniosków wojskowych. Urzędowe oświadczenie, ogłoszone w niemieckim *Reichsanzeigerze*, zadało tym doniesieniom kłam; następny przebieg wypadków okazał wyraźniej jeszcze i bardziej stanowczo, że w tendencyjnych tych, na zaniepokojenie Francuzów obliczonych

relacjach, nie było ani zdźbła prawdy. Cesarz wyszedł z audyencyi papieskiej nietylko zadowolony, ale do pewnego stopnia olśniony, co nie miałoby chyba miejsca, gdyby był prosił Ojca św. o interwencyę i otrzymał odmowną odpowiedź; z drugiej znów strony głosu *Centrum*, które w niewiele dni później przeważyły szalę przeciw wojskowemu projektowi rządowemu i doprowadziły do rozwiązania parlamentu, dość jawnie świadczą, że i przychylniej odpowiedzi nie mógł otrzymać.

Projekt ten, nakładający na ludność nowe, bardzo znaczne ciężary, stał się dla siły i jedności *Centrum* prawdziwym kamieniem probierczym. Wiadomem było z góry, że od stanowiska, jakie zajmą posłowie katolicy, zależą przyszłe losy nowej ustawy; stąd rząd, któremu na przeprowadzeniu tej ustawy niezmiernie wiele zależało, użył wszelkich możliwych sprężyn: obietnic i przedstawień, aby głosu ich dla siebie pozyskać. Skłaniając się do życzeń rządu, byłoby może *Centrum* uzyskało pewne, z dawną należne katolikom koncesye; ale jednocześnie, narzucając swym wyborcom nowe podatki i z krwi i z pieniędzy, i idąc wbrew bardzo wyraźnej i dobitnej ich woli, narażało się na utracenie samejże podstawy własnego bytu, na znaczne stopnienie przy przyszłych wyborach. Z dwojga złego, jak bez ogródek wyraził się dr. Lieber polemizując z kanclerzem Capriviem, daleko jeszcze lepiej, ażeby państwo miało mniej o kilkanaście tysięcy żołnierzy, niż gdyby *Centrum*, tak niezbędne dla dobra państwa, stojące tak wiernie na straży zbawczych, chrześcijańskich zasad i ideałów, straciło na dotychczasowej swej sile. Ważną jest rzeczą, zakończył dr. Lieber swe wywody, zabezpieczenie granic państwowych; ale nierównie ważniejszą, czy w samemże państwie panować będzie chrześcijaństwo, czy ateizm, cesarz czy Bebel.

Wychodząc z tego punktu widzenia, głosowało 97 posłów z *Centrum* przeciw projektowi wojskowemu; niewielka tylko garstka, złożona z 11 posłów, odłączyła się od swych towarzyszków i rzuciła swe gałki za przyjętym przez kanclerza Caprivięgo wnioskiem Huene'go, który modyfikując w kilku punktach pierwotne wymagania rządowe, w gruncie rzeczy nie bardzo od nich się różnił. Natychmiast po ogłoszeniu wyniku głosowania, par-

lament został rozwiązany; dziś toczy się już na całej linii zacięta walka wyborcza: — od jej wyniku zależy, jak przyszłe stosunki w Niemczech się ukształtują.

Rozdwojenie, jakie wyszło na jaw w *Centrum* przy głosowaniu nad ustawą wojskową, jest bez wątpienia faktem niemiłym. Dotychczasowa „niezdobyta wieża“, jak ze słuszną dumą Niemcy katolicy stronnictwo swe nazywali, nie zachwiała się, ale pokryła się jednak paru lekkimi rysami; odsłoniły się pewne przeciwieństwa między prawem a lewym skrzydłem potężnej falangi; okazało się przedewszystkiem, jak nieocenioną szkodę poniosła przez śmierć Windthorsta, i że dotąd niestety! nie udało jej się wyszukać równie energicznego a roztropnego wodza. Oczywiście daleko i dzięki Bogu! bardzo daleko od tego, aby *Centrum* rozpaść się miało, jak mu to prorokują z niewymowną swą radością wiedeńskie i berlińskie gazety liberalne. Jedenastu posłów, którzy nie uważali za możliwe i zgodne z uczuciami swemi patriotycznymi głosować przeciw projektowi wojskowemu, oświadczyli, że do przyszłego parlamentu nie przyjmą mandatów; zatem w każdym razie nie staną w czasie wyborów do walki z kandydatami *Centrum* i nie zamierzają wytworzyć odrębnej jakiejś katolicko-rządowej frakcyi. Jeżeli w postanowieniu tem wytrwają, a wątpić o tem chyba nie wolno, natenczas będzie można zapewne żałować, że tacy doświadczeni wodzowie, tacy wytrawni mowcy i politycy, jak dotychczasowy przewodniczący *Centrum*, hr. Ballestrem, jak Huene i dr. Porsch, cofają się na czas pewien od życia publicznego, ale o podminowanem stanowisku, o kwestyi istnienia całego stronnictwa, ani mowy niema i być nie może. Co najwięcej i co najgorszego mogłoby się stać, to że *Centrum* utraci przy wyborach kilka mandatów; zdarzało się to już dawniej, zdarzyło się w r. 1874 i 1878, a jednak wtedy właśnie zapuszczało stronnictwo katolickie najsilniejsze korzenie wśród ludu, wtedy nadchodziły dlań dni najświetniejszych tryumfów.

Rozpoczęta, a powiedziecby może raczej należało, na AKCYA KATOLIKÓW WĘGIERSKICH. nowo i z nową siłą podjęta przez rząd Wekerlego walka kulturalna w Węgrzech, rzuciła kraj cały w niesłychany zamęt i doprowadziła już do starć, łatwo doprowadzić może do następstw, których samo ministerium na początku zainaugurowanej przez siebie kampanii chyba nie przewidywało. Na wszystkich punktach Węgier odbywają się wciąż zebrania i wiece, które bądź oświadczają się za kościelną polityką rządową, bądź najenergiczniej przeciw niej protestują. Rząd popiera oczywiście wszelkimi siłami przychylnie dla siebie usposobione wiece, stawia możliwe zapory nieprzychylnym; ale mimo usilnych starań nie jest zdolen powstrzymać tego ludowego ruchu, który od najwyższych do najniższych warstw sięga, i z potęgą elementarnej siły zwraca się przeciw zamachom na odwieczne swoje i kościelne wolności. Przed trzema miesiącami 5000 wyborców, zebranych w Oedenburgu (Szopron), wniosło uroczysty protest przeciw rządowym planom; w ostatnich dniach kwietnia zebrało się na drugi wiec katolicki w czysto madziarskiem Komornie około 6000 uczestników i oświadczyło stanowczo i energicznie: „Bronić chcemy i bronić będziemy naszej religii, Kościoła, duchowieństwa; a wiemy, że w ten sposób zastawiamy się zarazem o dobro naszego kraju, o szczęście naszego narodu!“ Prezes wiecu, hr. Mikołaj Maurycy Esterhazy, zawezwał zgromadzonych w piorunujących wyrazach do wspólnej walki w obronie zagrożonych najświętszych praw i ideałów katolickich Węgrów. Poseł do sejmu peszteńskiego, hr. Władysław Szapary, zastanawiał się nad wzajemnym stosunkiem państwa do Kościoła:

„Nieprzyjaciele porządku społecznego — kończył mówca wśród entuzjastycznych oklasków całego zgromadzenia — usiłują wywołać walkę między obydwoma temi społeczeństwami; walkę z Kościołem nazywają ideą liberalną, gdy przecież gnębienie wolnego stowarzyszenia zasługuje jedynie na nazwę idei tyrańskiej... W walce państwa z Kościołem traci stosunkowo państwo daleko więcej niż Kościół... ale i pierwsze i drugi tracą немало z powodu wyradzającej się z tej wojny ruiny obyczajów, zbliżenia się niebezpieczeństwa anarchii, wreszcie i z tego po-

wodu, że wśród wzajemnych utarczek zmniejsza się własne ich znaczenie i wpływ na ludzkość całą... Tego strzedz się nam przecież należy!"

Podobne ostrzeżenia padły i z peszteńskiej trybuny Izby poselskiej. Szczególnie niemiłemi musiały być Wekerlemu wywody Jana Asbotha, okazujący z dokumentami w rękę, że przeciw programowi rządowemu, na pierwszym miejscu przeciw obowiązkowym ślubom cywilnym, protestują nietylko katolicy, ale i protestanckie synody; — jakże, pytał mówca, pogodzić z temi protestami wrzekomą obronę kalwińskich i luterskich interesów, z którą rząd tak chętnie popisuje się, w imię których podjął nieszczęsną swą akcyę? Właściwy jednakże środek ciężkości całych obrad nie spoczywał w Izbie poselskiej, ale — jak dobrze o tem i od dawna wiadano — w Izbie magnatów. Węgierscy magnaci raz już, za panowania Tiszy, postawili stanowcze swe *veto* radykalnym zapędem loży i udaremnili jej plany; obecnie przypaść im miała w udziale ta sama piękna a ważna, z natury i powołania Izby wyższej wypływająca rola. Nie czekając na debaty w Izbie poselskiej, wyrazili z własnej inicjatywy, co o rządowym projekcie sądzą. Głosy węgierskich senatorów, i to wcale nie samych biskupów tylko, lub znanych „klerykałów“, ale i protestantów i jawnych i głośnych liberalów, napiętnowały rządową politykę kościelną, jako „polityczną zbrodnię“, „zbrodniczą improwizacyę“. — Liberal starszej szkoły, ochmistrz dworu hr. Geza Szapary, wyraził swe zdziwienie, że minister wyznań, mimo tylu uczynionych przez siebie fałszywych kroków, mimo tylu niepowodzeń nie podał się dotychczas do dymisji.

„Cała Europa — kończył mówca — wyjść nie może z podziwu, patrząc, jak kraj, w którym brakuje jeszcze tylu instytucyj, w którym postawiliśmy ledwie pierwsze kroki na drodze reformy administracyjnej, zstępuje bez wszelkiego przygotowania na pochyłość, na którą inne narody zostały popchnięte dopiero przez rewolucyę, na którą gdzieindziej popycha dopiero zwycięski radykalizm... I ja jestem zwolennikiem równouprawnienia; ale właśnie w imię tej zasady i w imię liberalizmu protestuję uroczyście przeciw temu, jakoby bezbożność i liberalizm

miały być czemś identycznym. W programie rządowym widzę ulegalizowanie bezreligijności i dlatego stawiam następujący wniosek: „Izba panów oświadcza, że nie może pochwalić i zgodzić się na kościelno-polityczny program rządowy, ponieważ tenże legalizuje bezreligijność. Pomimo tego Izba panów przyjmuje przedłożony budżet, za podstawę do rozprawy specjalnej, aby nie hamować normalnego przebiegu spraw krajowych“.

Dalej posunął się następny mówca, hr. Aureli Dessewffy, żądając w imię parlamentarnej konsekwencji, odmówienia rządowi budżetu. Na złej drodze kroczymy, przestrzegał hr. Maurycy Palfy; jeszcze nieco dalej w tym samym kierunku, a dojdziemy do wewnętrznego rozpadnięcia się państwa... Najsilniej, w słowach nie przebierając i zwracając się niejednokrotnie wprost do ministra Csaky'ego z gorzkimi wyrzutami, wystąpił biskup z Veszprim, baron Karol Hornig.

„Dlaczego — pytał — zniesiono istniejące przez wiele lat rozporządzenie Treforta, odnoszące się do prowadzenia metryk, a na jego miejscu podstawiono inne? Po prostu dlatego, że rozporządzenie to skierowane nie było przeciw klerowi katolickiemu, że na jego podstawie wydano wiele wyroków uwalniających niesłusznie oskarżonych katolickich księży... Dlatego biedne rozporządzenie Treforta pójść musiało do kosza; dlatego trzeba było wzniecić hecę przeciw katolickiemu duchowieństwu, nad którą coś bardziej niesprawiedliwszego pomyśleć trudno. Prosiłiśmy, aby naszych księży nie karać, bo oni niesłusznego rozporządzenia słuchać nie mogą; minister wyznań odpowiedział na nasze prośby: *Tel est mon plaisir*, i dalej księży maltretował... W gruncie rzeczy w całej tej prawodawczej rakiecie trudno mi czego innego dopatrzeć, jak tylko albo zupełnego niezrozumienia samegoż jądra kwestyi, albo pozoru, mającego następnie ułatwić przeprowadzenie pewnych praw i rzeczy, których przeprowadzenie zostało w pewnych tajnych warsztatach od dawna postanowione“.

Ostatecznie Izba magnatów przyjęła znaczną większością rezolucyę hr. Szaparego; 81 głosami przeciw 56 przyzwoliła na budżet ministerium Wekerlego, ale jednocześnie z całą stanowczością zastrzegła się przeciw jego kościelno-politycznemu programowi.

Równie Wekerle, jak oddana mu prasa peszteńska i wiedeńska starała się i stara wszelkimi sposobami, możliwymi i niemożliwymi wykrętami i fortelami osłabić doniosłość tej kłeski. W niektórych dziennikach pojawiła się dość oryginalna teoria, że Izba wyższa nie ma wogóle prawa zdania swego wyrażać, że czekać powinna na zdanie Izby niższej i wedle niego własny swój sąd kierować; ciekawa rzecz, po co w takim razie istnieje i miejsce niepotrzebnie zajmuje? *Pester Lloyd* usiłuje wmówić w siebie i w czytelników, że niemiała uchwała nie ma żadnego praktycznego znaczenia; panowie, wyraża się z lekceważeniem, chęć się bawić — niechże się bawią — nam to do pracy nie przeszkodzi. Parę innych dzienników przebąkuje z lekka o konieczności zreformowania, jeśli już nie zniesienia zacofanej Izby magnatów. I jak im się dziwić, jak o zbyt rewolucyjne i radykalne tendencje ich oskarżać, kiedy samemu Wekerlemu wymknęło się w rozdrażnieniu parę frazesów, w których Izbę wyższą sprowadzał do roli kosztownego, ale arcyniepotrzebnego, zawadzającego tylko grata. Następnie wprawdzie, nasłuchawszy się sporo bardzo ostrych i gorzkich wyrzutów, starał się Wekerle nadać swym słowom nieco odmienne, a przynajmniej grzeczniejsze znaczenie; ale już sam fakt, że oświadczenia takie paść mogły z ust ministra, bardzo jest charakterystycznym i wiele dać musi do myślenia.

PRZEMOWA
KARDYNAŁA
VAUGHANA.

Następca kardynała Manninga na arcybiskupiej stolicy westminsterskiej, kardynał Vaughan, przyjmował olbrzymią deputację angielskich katolików, którzy przybyli mu powinszować otrzymanej dopiero co w Rzymie purpury księcia Kościoła, i przy tej sposobności nakreślił w programowej mowie śmiały i wspaniały plan dalszej akcyi katolików w Anglii. Mamy, mówił Kardynał, podwójne zadanie do spełnienia; jedno leży wewnątrz, drugie zewnątrz naszego Kościoła. W zakres pierwszego z tych zadań wchodzi przede wszystkim wychowanie młodzieży „na chrześcijańskich podstawach, wedle chrześcijańskich zasad i w chrześcijańskiej atmosferze. Do pracy w tym kierunku każdy z nas jest powołany; każdy czuć się powinien oso-

biście odpowiedzialnym za otrzymanie i utrzymanie publicznych elementarnych szkół katolickich. Ale i wyższe wykształcenie musi być prawdziwie i gruntownie katolickie. Jeżeli katolicy angielscy mają mieć wpływ na duchowe życie swej ojczyzny, rzeczą jest niezbędną, aby w wykształceniu swem do wyższych zdążali celów, niż zazwyczaj się to dzieje. Katolik, który nie przeszedł gruntownego kursu logiki, chrześcijańskiej filozofii i etyki, idzie w duchowy bój bez zbroi i oręża. Nietylko księża muszą i powinni gruntownie być wykształceni w filozofii, obeznani z kwestyami, które dziś ludzi zajmują, gotowi zawsze stanąć do walki z błędami, niedowiarstwem, materyalizmem; jest to świętym obowiązkiem każdego świeckiego katolika, który tylko ma do tego możność i sposobność. Nie uznawać tego obowiązku, ciężącego jak na klerze, tak na świeckich, byłoby to naznaczać tym ostatnim wprost upokarzające stanowisko; byłoby to krzewić przesąd, który wiele już złego Kościołowi zrobił.

„Nie dość siebie kształcić, — napominał i zachęcał żarliwy Kardynał — trzeba i innych pouczać, starać się o duchowne i doczesne potrzeby biednych i cierpiących. Iluż to ich po wsiach i po wielkich miastach; ileż osieroconych katolickich dzieci, które nędza, zimno, głód rzucają w objęcia herezy; jak piękne to zadanie ratować te tysiące, utrzymywać je przy wierze i cnocie! A jakże dopiero olbrzymie zadanie mają katolicy do spełnienia względem tej, o tyle przeważającej masy angielskiego ludu, która stoi poza Kościołem katolickim! Wielki socyalny problem domaga się z dnia na dzień natarczywiej rozwiązania; pędzi naprzód niepowstrzymanym pędem, niosąc ze sobą niebezpieczeństwa bez liczby. Jak niegdyś religijna obojętność, samolubstwo i zgnilizna wyższych warstw ludności sprowadziły ruinę rzymskiego państwa; jak wiek temu, duma, chęć używania i kastowość bogatych w połączeniu ze zbytnimi majątkami i ze świecczeniem duchowieństwa, otworzyły we Francji śluzę wielkiej rewolucyi, która zalała całą Europę fałszywemi teoryjami i zasadami, — tak dziś podobną burzę czuć w powietrzu, podobny kataklizm się zbliża. Anglia, za łaską Bożą, nie pójdzie w ślady Rzymu, w ślady Francyi; ale aby ją od tego nieszczęścia uchro-

nić, musimy — chrześcijanie wszyscy — wziąć się wspólnie za rękę, zrozumieć jasno dzisiejszy stan rzeczy, i jak na chrześcijan przystało, kochać, pracować, biedniejszym służyć. Tylko chrześcijaństwo doprowadzić może do zbawiennej reformy społeczeństwa; tylko jego zasady obronić nas mogą od niebezpieczeństw materialistycznego socjalizmu. To nasze zadanie, do tego kierować się musi praca nasza! Jako katolicy okazać musimy angielskiemu ludowi słowem i przykładem, że jedynie chrześcijaństwo rozwiązać jest w stanie kwestyę socyalną!..."

Śmiały to ale prawdziwie rozumny, wspaniały program! Patrząc jak odważnie angielscy katolicy zbliżającemu się niebezpieczeństwu w oczy zaglądnęli, przejmując otuchę i pewność, że z walki wyjdą zwycięsko. Czemuż i gdzieindziej nie mieliby katolicy równie śmiało wrogowi w twarz spojrzeć; czemuż hasła rzucone przez westminsterskiego Kardynała, znalazłyby nie miały odgłosu i zastosowania wszędzie tam, gdzie podobne toczą się walki?

Ks. Jan Badeni.



Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Jak się robią dyamenty?

Alchemia średniowieczna należy już do historii. Ciekawe jej badania, retorty i alembiki, najróżnorodniejsze przepisy zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych, pięknie nam opisał Berthelot, dożywotni sekretarz Paryskiej Akademii Umiejętności. Oryginalne pragnienia alchemików, dziwaczne i hieroglificzne recepty, wydają się nam dzisiaj śmieszne i dziecinne. A jednak była to praca poważna wieków, bo owocem jej i dalszym ciągiem niejako jej myśli, to chemia nowożytna, nauka, co już dumnie podnosi czoło, z którą musi się liczyć filozof w badaniach kosmologicznych, a wszystkie nauki przyrodnicze muszą ją uważać za pierwszą podwalinę systemów swoich.

Wielka a dziwna w naszych oczach pokusa nagabwała ciągle alchemików średniowiecza: z jakiegokolwiek materiału zrobić złoto lub inny metal drogocenny. Dniem i nocą ślęczeli nad tem, układali recepty tajemnicze, przetapiali różne stopy, przedestylowywali rozmaite płyny,

by tylko dotrzeć do celu upragnionych marzeń. Łączyło się to ściśle z ówczesnemi zapatrywaniami o materji pierwszej, wspólnej wszelkim materialnym żywiołom, i formach, które się z potencyalności materji wyłaniały. I dzisiejsi chemicy mają podobne marzenia, z tą tylko różnicą, że opierają je na podstawach doświadczeniem zdobytych. Jednem z takich starych już dość marzeń jest sztuczne wytworzenie dyamentu.

Wiadomo powszechnie, co to jest dyament. Analiza chemiczna wykazała, że w skład dyamentu wchodzi tylko pierwiastek węgla. Wprawdzie najczęściej napotyka się w bardzo małej ilości i inne ciała, bo też zupełnie czyste dyamenty należą do rzadkości. Podobnie jak czysty węgiel, zachowuje się i dyament, tj. spala się w tlenie, a łącząc się z nim daje dwutlenek węgla, czyli bezwodnik węglowy, to samo połączenie, które my Polacy do niedawna, a inne języki i obecnie jeszcze „kwasem węglowym“ nazywają. Węgiel znowu, to pierwiastek bardzo pospolity na powierzchni ziemi. Znajdujemy go dosyć w postaci węgla kamiennego, bądź to w pokładach już od dawna znanych i eksploatowanych, bądź też w świeżo z każdym niemal rokiem odkrywanych a tak miększych, że na długie jeszcze wieki wystarczą dla in-dustrii ludzkiej; niemało też jest węgla w licznych żyłach i gniazdach grafitu, rozsianych po różnych skałach w różnych krainach; a jakie masy tegoż elementu mieszczą się w olbrzymich piętrzących się turniach i łagodnych zboczach górskich lub w potężnych zwałach formacyj geologicznych, gdyż najczęstszym składnikiem wszystkich są najrozmaitsze wapienie, tj. połączenia węgla z tlenem i wapniem. Atoli można to wszystko pominąć, a jeszcze węgiel będzie najpospolitszy pierwiastek. Wystarczy się rozglądnać naokoło siebie, by się z nim zetknąć na każdym kroku. Każda roślina i roślinka, od sławnego drzewa mamutowego (*big tree*) w Kalifornii, od naszych dębów i pnączów zwrotnikowych aż do najdrobniejszych bakteryj i glonów na śniegach i lodach północy żyjących, każde zwierzę i zwierzątko, od słonia i wieloryba aż do ostatniego wymoczka, węgla najwięcej w sobie zawiera, bo prawie połowę swego ciężaru. Ile to milionów cetnarów węgla sami ludzie w sobie dźwigają! Cóż dopiero, gdyby się wciągnęło do rachunku wszystkie lasy, pola i wody z florą i fauną swoją? Wszystkie połączenia organiczne, a więc: tłuszcze wszelkie, alkohole, etery i cukry, wszelkie związki aromatyczne i proteinowe, zawierają znaczną ilość węgla, tak iż chemia organiczna Lavoisier'a i Berzeliusa dzisiaj się chemią połączeń węgla nazywać poczyna.

Ale szczodry ten i rozrzutny pierwiastek nie w samych tylko po-

łączeniach występuje w przyrodzie, trafia się też, choć o wiele rzadziej, bardziej egoistycznie jako wolny element. Znamy dziś około 70 pierwiastków, tj. ciał, których chemia naszego wieku rozłożyć dalej nie może, lecz mało mamy pierwiastków, coby występowały wolno w przyrodzie a nie w związku z innymi elementami. Do takich należą różne metale i niektóre metaloidy z naszym węglem na czele. W rzeczy samej przyznać musimy, że węgiel jest najciekawszy pierwiastek pod każdym względem. Ciekawym jest w swoich połączeniach, a świadczy o tem dosadnie bardzo rozwinięta i z dniem każdym bardziej się rozwijająca chemia organiczna, świadczy może najbardziej najmłodszy benjaminek nowożytnej nauki, stereochemia van't Hoff'a; ale niemniej ciekawy jest w swoich wolnych, samotnych występach. W ostatnim względzie bowiem znamy węgiel w trzech odmianach i to wybitnie różniących się między sobą: prosta sadza, to węgiel bezpostaciowy, niekrystaliczny, grafit i dyament, to znowu dwie formy węgla krystalicznego.

Dwie te formy, czy typy, czy też gatunki węgla krystalicznego, o ile o gatunkach w państwie nieżywotnem mowa być może, dziwnie odbijają od siebie. Dyament najszlachetniejszy z szlachetnych, najdroższy z drogich kamieni, grafit zaś aż pod koniec zeszłego stulecia *plumbago* zwany i za prostą odmianę ołowiu uważany, dopiero Scheele (1778) wykazał, że nie ołów to ale węgiel. Dyament krystalizuje w pięknie wykształconych ośmiościanach, czterdziestościanach i innych postaciach układu regularnego, który ma największą ilość płaszczyzn symetrii, bo dziewięć, a grafit występuje w kryształkach drobnych, zazwyczaj niewyraźnych, tabliczkowatych, które według niedawno dokonanych, dokładnych pomiarów Nordenskiöld'a, trzeba zaliczyć do układu jednoskośnego, z jedną tylko płaszczyzną symetrii. Różnią się też gęstością, a więc i ciężarem właściwym; dyament jest półczwarta raza cięższy od wody (ciężar właśc. = 3,5... 3,6), a grafit tylko dwa razy (c. w. = 1,9... 2,3). Różnice w innych własnościach fizycznych wpadają każdemu w oko za pierwszym wejrzeniem. Dyament jest przezroczysty, często żółto lub niebiesko zabarwiony, ma sobie właściwy połysk t. zw. dyamentowy, bo załamuje bardzo silnie promienie świetlne, rozszczepiając je zaś przytem mocno, wyszczególnia się znaną grą barw i „ogniem dyamentowym“ na dobrze szlifowanych brylantach. Najbardziej jednak uderzała wszystkich wielka twardość dyamentu; a ponieważ nadto jest bardzo wytrzymała na różne wpływy zewnętrzne i różne odczynniki chemiczne albo wcale nie albo bardzo mało go nagryzają: nazwano go niezwykłym (*ἄδραμας*). Niezwykłym

zoność ta nie jest znowu tak wielka, by jej zwyciężyć nie można. Wprawdzie dyament jest to najtwardsze ciało występujące w przyrodzie (twardość = 10) i szlifowanie dyamentów jest bardzo kosztowne, bo może się odbywać tylko za pomocą proszku dyamentowego, a z tej samej przyczyny jest bardzo powolne. Atoli sztuczne kryształki boru są twardsze od niego i mogą go łatwo zarysowywać, nadto sam dyament jest kruchy, posiada doskonałą łupliwość i łatwo go można rozłuc, choć Pliniusz a za nim przyrodnicy średnich wieków opowiadali sobie, że kto chce rozłuc dyament, musi go zamoczyć we krwi koźlęcia świeżo zabitego. Wobec tych wybitnych własności dyamentu, grafit mniej sympatycznie się przedstawia. Jest zupełnie nieprzezroczysty, połysk ma metaliczny, twardość zaś tak małą, iż go można jakimkolwiek drzewem zarysować, posiadając zaś przytem złożenie łuszczkowate, ściera się łatwo i ślady za sobą zostawia. Upośledzenie przyrodzone grafitu przyczyniło się do podniesienia go, bo zmieszany z mialką gliną w formie ołówków, służy dziś powszechnie do pisania.

Owa powszechność węgla w przyrodzie, te trzy tak różne modyfikacje tego pierwiastku wolno występującego, wreszcie piękność i wysoka wartość dyamentu samego, pociągały zawsze badaczy i nasuwały im poważne pytania. Czy jest jaki ściślejszy związek między temi trzema modyfikacjami, czy z prostego węgla drzewnego lub sadzy nie można otrzymać innej formy, a zwłaszcza dyamentu?

Nie można było tego zagadnienia rozwiązać od razu. Można było z góry powiedzieć, że z czasem dojdzie się do tego, mając pewny fakt na oku, że dyament to tylko szczególna modyfikacja węgla krystalicznego, ale okazać to na doświadczeniu nie było sposobu. Gdyby przynajmniej było wiadomo, jak dyament powstał w przyrodzie! Wtedy mielibyśmy już kierunek wytyczony; trzeba by tylko tę drogę uprościć, skrócić i w pracowni jakiej bez niepotrzebnych naleciałości przeprowadzić. Tymczasem dyament, choć zawsze najbardziej przyciągający, był jednak w tym względzie zawsze najmniej uchwytny.

Trzeba więc było szukać koniecznie jakiegoś punktu zaczepienia, badać szczególniejsze własności dyamentu, jego powinowactwo i stosunek do innych kamieni, a zatem poznać dobrze występowanie jego w przyrodzie, dowiedzieć się, jaką jest właściwie jego skała macierzysta, ta mianowicie, w której dyament pierwotnie się skryształizował. Otóż i ta rzecz, zazwyczaj najłatwiejsza do skonstatowania, natrafiła przy dyamencie na bardzo wiele trudności. Gdzież bowiem znajdujemy dyament? Zwykle już na drugorzędnem łóżysku, a nie w miejscu pier-

wotnem. Są to po większej części piaski i zwiru rzeczne, w których prócz innych szlachetnych kamieni znajduje się też dyament.

Najstarsza miejscowość, Indye, skąd też najpiękniejsze pochodzą dyamenty, tak się właśnie przedstawia; obecnie prawie wyczerpana. W roku 1727 przysła kolej na Brazylię. Stąd pochodzi również wielka ilość dyamentów, zwłaszcza drobniejszych. Tutaj dyamenty znajdują się w zlepieńcach kwarcowych, których lepiszczce stanowi żelaziak brunatny, to samo połączenie żelaza, co na naszych łąkach wilgotnych wytwarza rdzawe powłoki — więc i tutaj mamy skałę drugorzędną. Choć w nowszych już czasach znaleziono tamże dyamenty, w skale spoczywającej zaraz na gnejsach i granitach i mającej podobny nieco skład, itakolumentem zwanej, atoli ta skała nie jest pierwotną, jeno może pierwszą skałą osadową. Od roku 1867 znane jest występowanie dyamentu w południowej Afryce (Przyłądek Dobrej Nadziei). I tu wśród zwirów i piasków, a następnie wprysnięte w rozmaitych zlepieńcach i brekcyach przeważnie serpentynowych i oliwinowych. Pola te dyamentowe, dotychczas jeszcze niedość dostatecznie zbadane, przyczynią się może niewątpliwie do wyjaśnienia kwestyi powstawania dyamentów.

Tak więc i główne miejscowości występowania dyamentu nie podały żadnej pewnej wskazówki na rozpoczętej drodze. W braku pewnych rzeczy chwycono się hipotez. Ktokolwiek prawie zajmował się trochę więcej dyamentami, stawiał nową hipotezę. Mamy ich też bez liku. Trudno wszystkie przechodzić, bo jakkolwiek mogą to być rzeczy bardzo zajmujące dla chemika lub mineraloga, to jednak profanów i zwykłych śmiertelników mogłyby trochę znudzić. Pozostawmy je więc historii i przejdźmy do rzeczy najnowszych¹.

W ostatnim czasie kilku uczonych zajęło się tą kwestyą na nowo. Najgruntowniej i najobszerniej przeprowadził bardzo wiele ciekawych badań i doświadczeń Henri Moissan, który też doszedł do najlepszych wyników.

Wiadoma jest własność węgla, że się w żadnych płynach znanych nie rozpuszcza, że najlepszym jeszcze rozczynnikiem dla węgla jest roztopione żelazo. Tej własności węgla zawdzięczamy stal i żelazo lane, które zawsze zawierają pewien procent węgla. Przy oziębianiu takiego

¹ Doświadczenia najnowsze podane według oryginalnych sprawozdań złożonych Paryskiej Akademii Umiejętności przez Moissan'a, Friedel'a i Werth'a. Cfr. *Comptes rendus* 1893. T. CXVI, p. 218, 224, 288, 290, 292, 323, 458 i 460.

roztopu żelaznego zawierającego węgiel zawsze się pewna część węgla wydziela. Otóż jeżeli żelazo nasycimy węglem w temperaturze leżącej między 1100⁰ a 3000⁰ C., otrzymamy przy oziębieniu rozmaite wyniki, stosownie do tego, do jakiej temperatury było ogrzane. Jeżeli maksimum temperatury wynosiło 1200⁰, to się następnie wydzielili węgiel bezpostaciowy i grafit, podnosząc zaś temperaturę aż do 3000⁰, otrzymuje się grafit w pięknych kryształach, błyszczących i silnie odbijających światło. W tak wysokiej temperaturze żelazo zachowuje się tak, że im wyższa ciepłota tem więcej węgla w sobie rozpuszcza. Ale nam nie o grafit, lecz o dyament idzie. Trzeba w tym celu zmienić warunki wydzielania. Jak to uczynić? Rzecz bardzo prosta. Dodać do wysokiej ciepłoty silne ciśnienie. Lecz w tem właśnie sęk — połączyć z taką temperaturą wielkie ciśnienie! I tu postąpił sobie Moissan bardzo dowcipnie; kazał żądane ciśnienie wykonać samemu żelazu. Wiadomo jest, iż żelazo zachowuje się podobnie jak woda: krzepnąc i stygnąc, czyli przechodząc ze stanu ciekłego w stały, zwiększa swoją objętość. Tej własności żelaza Moissan użył do swego celu. Jeśli roztop żelaza ogrzany do 2000—3000⁰ włożymy nagle do wody, to naturalnie krzepnie najpierw zewnętrzna skorupa, wewnątrz zaś tej masy zestalając się później spowoduje pożądane ciśnienie. Wydzielenie węgla, które tylko w środku roztopu może mieć teraz miejsce, będzie połączone z wielkiem ciśnieniem.

Taka jest zasadnicza myśl doświadczeń akademika francuskiego; przypatrzmy się już samym doświadczeniom.

Za materiał służył węgiel otrzymany z cukru, bo ten zawsze dawał lepsze rezultaty, niż węgiel drzewny. Wysoką temperaturę Moissan otrzymywał przy pomocy pieca elektrycznego, własnego pomysłu, który bez wielkich zachodów i w bardzo krótkim czasie ogrzewa ciała włożone do 3000⁰ C. Pewną ilość oczyszczonego węgla cukrowego wcisnął do walca żelaznego za pomocą śruby z tegoż metalu. Następnie wkładał 150—200 g miękkiego żelaza do pieca elektrycznego. W kilku minutach żelazo wrzucone przechodzi w stan roztopu, a ciepłota podnosi się bardzo wysoko. Do tej porządnie ciepłej kąpieli posyła się walec z węglem i zanurza się go w roztopie. Kąpiel zresztą nie potrzebuje trwać długo, wnet wyjmuje się wszystko z ogniska elektrycznego, a dla ochłody wrzuca się do wiadra wody. Skoro na zewnątrz naszej bryły wytworzy się kora stałego żelaza, a ta ostygnie aż do ciemnej czerwoności, przerywamy kąpiel wodną i bryłę ostudzamy na wolnym powietrzu.

Co się stało z walcem, co słyhać z węglem cukrowym? Z walca

niema zapewne śladu, bo się zlał zupełnie z masą otoczenia, a węgiel? część może pozostała rozpuszczona w żelazie, część zaś może wykrystalizowała. Trzeba się o tem przekonać. Atoli trudno tę bryłę żelazną rozkrawywać na drobne kawałki, a następnie każdy z osobna studyować. Zmudnaby to była droga i niezupełnie pewna. Idźmy więc łatwiejszą. Przecież żelazo jak i inne metale rozpuszcza się w kwasach, bierzemy przeto wrzący kwas solny, pozbywamy się żelaza, a otrzymujemy różne modyfikacje węgla, na które kwas solny nie wywiera żadnego wpływu. Znajdujemy tam i grafitu trochę, i nieco węgla bezpostaciowego, barwy kasztanowatej, i małą ilość dość gęstego węgla. Nam chodzi przedewszystkiem o ostatni. Przepłórkawszy i oczyszcivszy wszystko jeszcze wodą królewską i różnemi kwasami, wrzucamy nasz węgiel do zimnego kwasu siarkowego o gęstości 1,8. Część węgla lżejsza od tego kwasu, a zatem węgiel mający ciężar właściwy, mniejszy niż 1,8, będzie pływał na wierzchu, jak drzewo na wodzie, część zaś węgla cięższa opadnie na spód. Część cięższą H. Moissan zbiera starannie, działa jeszcze na nią różnemi kwasami, oczyszcza i wysusza, a tak uzyskane kawałeczki wrzuca do bromoformu, który ma gęstość 2,9. Wszystkie kawałeczki opadły na dno w bromoformie, były zatem cięższe od tej cieczy, wszystkie zarysowywały rubiny, ogrzane zaś w tlenie do 1000° spaliły się. Niektóre z tych kawałków są czarne, inne przezroczyste. Pierwsze mają wejrzenie szagrynowe, barwę ciemno-brunatną, jak niektóre *carbonados*, tj. dyamenty czarne, zarysowują rubiny, a gęstość ich waha się między 3 a 3,5. Kawałeczki przezroczyste wyglądają jakby połamane, wejrzenie mają tłustawe, wykazują wiele równoległych linii i niekiedy trójkątne zagłębienia. Po spaleniu mikroskopiczne kryształki pozostawiają popiół barwy okrowej, który po większej części zachowuje postać małego kryształu. Tak samo, jak wiadomo, zachowuje się podczas spalenia wiele zanieczyszczonych dyamentów.

Tak się przedstawia główne doświadczenie Moissan'a. Doświadczenie to powtarzał wiele razy — atoli kilka tylko zupełnie przezroczystych kryształków posiadało wszystkie własności szlachetnego dyamentu, za to prawie zawsze otrzymywał modyfikację węgla o gęstości mniej więcej 3, i innych własnościach takich, które ją identyfikują z *carbonados*, czyli czarnymi dyamentami. Niektóre wreszcie kawałki żelaza nie przyniosły żadnego owocu; może dlatego, że ciśnienie było za słabe, lub że węgiel rozdzielił się zupełnie w żelazie.

Jeszcze mała modyfikacya doświadczenia głównego. Podobną własność jak żelazo posiada również srebro — przechodząc ze stanu ciekłego

w stan stały, rozszerza się. Dlatego H. Moissan zrobił próbę i z tym metalem. Wprawdzie srebro w temperaturze swej topliwości rozpuszcza bardzo mało węgla, to jednak rozpalone w piecu elektrycznym aż do wrzenia wsiąka większa jego ilość. Przeprowadzając zresztą doświadczenie analogicznie do poprzedniego, otrzymuje się w dostatecznej ilości carbonados, w postaci ziaren lub blaszek, o gęstości różnej 2,5 aż do 3,5. Doświadczenie to ważnem się wydaje z tego względu, iż wykazuje cały szereg carbonadów, począwszy od takich, co mają gęstość grafitu (2), aż do takich co mają gęstość 3 i wyższą.

Tak więc H. Moissan dowodnie wykazał, że można drogą sztuczną z prostego węgla zrobić prawdziwy dyament. Nie zaraz z pewnością spadnie cena brylantów i rozet, nie za rok ani za kilka może będziemy otrzymywali duże kryształy bezbarwnych lub pięknie niebiesko zabarwionych dyamentów, to jednak pierwszy i najważniejszy krok jest już zrobiony, droga ku temu wskazana, i zasadniczo, przyznać to z Berthelotem trzeba, zagadka sztucznego wytworzenia dyamentu jest rozwiązana.

Pod względem mineralogicznym doświadczenia Moissan'a ważne są jeszcze dlatego, że rzucają bardzo wiele światła na pokrewną kwestyę powstawania dyamentu w przyrodzie; tem bardziej, że Moissan sam zajmuje się nadal tą rzeczą i ustawicznie nowe i bardzo ciekawe spostrzeżenia ogłasza. Dzięki pracom Moissan'a wiemy teraz dokładnie, że dyament spala się w temperaturze 760—875^o, które to granice zostają w prostym stosunku do twardości dyamentu. Moissan poddał też dokładnej analizie popiół, jaki różne dyamenty po spaleniu zostawiają. Podług tych badań wszystkie kawałki dyamentu z Przylądka Dobrej Nadziei zawierały żelazo, który to metal stanowił większą część popiołu. Najciekawsze są badania „ziemi niebieskiej“ Przylądka Dobrej Nadziei. Siedzibą dyamentu w południowej Afryce jest brekcya serpentynowa i oliwinowa, barwy sino-niebieskiej, stąd też *blue ground*, czyli ziemią niebieską jest zwana. Początkowo szukano w ziemi tej tylko większych dyamentów, następnie kiedy zaczęto pracować i maszynami, znajdowano i drobniejsze, lecz nie wiedziano jeszcze dotychczas, że w tej ziemi niebieskiej ukrywają się też dyamenty mikroskopiczne. Moissan miał pod ręką bogaty materiał, a ostateczny wynik jego poszukiwań mikroskopicznych jest następujący. Ziemia niebieska zawiera liczne bardzo drobne dyamenty przezroczyste, bardzo wiele czarnych dyamentów o różnej gęstości, niemalo też grafitu. A zatem

ziemia niebieska Przylądka posiada takie same modyfikacje pierwiastku węgla, jak bryły miękkiego żelaza w pracowni Moissan'a.

Sądźmy, że uczony akademik zebrawszy więcej jeszcze faktów sam postawi dokładną teorię powstawania dyamentów w przyrodzie, którą już z tych danych możnaby z pewnem prawdopodobieństwem wyprowadzić, tymczasem może nie zawadzi powiedzieć słówko o tem, co w ostatnim czasie Werth mniema o genezie dyamentu. Według Wertha, dyament jest to normalna forma węgla w temperaturze bardzo wysokiej. Dlatego zdaniem jego dyament powstał w ciepłocie bardzo wysokiej, pod silnem ciśnieniem w połączeniu z nagłym oziębieniem.

Niech to na dzisiaj o dyamencie wystarczy. Zdaje się, że wiek przyszedł nie będzie się mógł skarżyć, jakobyśmy się oń nie starali. Przygotowaliśmy mu już metal nowy, tak iż śmiało będzie mógł rozpocząć nową erę, epokę glinową. Obecnie ma drogę wskazaną, po której dojdzie do wielkich bogactw, do pięknych dyamentów, tak iż demokratyczne pokolenie jego będzie mogło bez zawiści spoglądać na dawne brylanty arystokratów, bo samo pozbędzie się czerwonych koralu, a ubierze się w lśniące dyamenty. Ma też wiek nasz i inne zamiary altruistyczne względem swego następcy, lecz o tem, da Bóg, pomówimy na drugi raz.

J. Nuckowski.



SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronnica.
WALKA Z DROŻYZNĄ. Przez <i>prof. Antoniego Górskiego</i> . . .	1
IGNACY DOELLINGER. (Dokończenie). Przez <i>ks. Augustyna Arndta T. J.</i>	26
DWA LATA W ŻYCIU ST. ORZECZOWSKIEGO. 1548 i 1549. Przez <i>Romualda Koppensa T. J.</i>	47 173 369
URYWKI ZE WSPOMNIENIŃ NOWOGRÓDZKIEGO SZLACHCICA. (Dok.). Przez <i>Kajetana Kraszewskiego</i>	70
LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI. Część II.: Chiny i Japonia. Przez <i>księcia Pawła Sapiechę</i>	86 199
SZKOŁY JEZUICKIE W POZNANIU. 1573—1653. Przez <i>ks. prał. Chotkowskiego</i>	153 329
CO STANOWI PRAWDZIWĄ WARTOŚĆ CZŁOWIEKA? Przez <i>ks. d-ra A. Trznadla</i>	188
NIEDZIELA W KRAKOWIE. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	215
SOCYALISTYCZNA PRASA W GALICYI. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i>	313
BAŚNIE I FAŁSZE W HISTORJI. Przez <i>d-ra K. Krotoskiego</i>	358
OSTATNIA MSZA. Przez <i>Jana Ładę</i>	386

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

ANIOŁ EUCHARYSTYI, czyli żywot Maryi Eustelli. Przez ks. K. M. Mayet, z Towarzystwa Maryi. Przetłumaczyła z francuskiego M. K. (M.).	103
O POKUCIE I KOMUNII ŚW. W SIĘDMU KAZANIACH WIELKOPOSTNYCH. Przez ks. A. Wilczkiewicza. (Ks. A. Boc T. J.). . .	105
BARBARA BREZIANKA. Obrazek z XVII. w. Przez Aleksandra Kraushara. — SAMOZWANIEC JAN FAUSTYN ŁUBA. Kartka z dziejów panowania Władysława IV. Przez Aleksandra Kraushara. (Aleksander P.).	106
U KOLEBKII NARODU. Dramat z dziejów mitycznych w pięciu aktach, uwieńczony drugą nagrodą na konkursie galicyjskiego Wydziału krajowego w r. 1891, Adama Bełcikowskiego. (Antoni Strzelecki).	108
Z NAJNOWSZYCH POWIEŚCI POLSKICH. (Ks. J. Badeni T. J.). . .	256
KAZANIA WIELKOPOSTNE. Ks. A. K. (K. C.).	270
CHRISTIANUS IN TALMUDE JUDAEORUM, sive rabbinicae doctrinae de christianis secreta, quae patere fecit J. B. Pranaitis, S. Theologiae magister, linguae hebraeae in Academia caesarea rom. cath. ecclesiastica petropolitana praeceptor, presbyter dioeceseos seinensis. (K. C.).	270
MŁODE LATA ZYGMUNTA STAREGO. Piórem Adolfa Pawińskiego. (K. C.).	271
SZKICE METODOLOGICZNE. Zastosowanie obserwacji i eksperymentu w naukach gospodarczych. Kilka słów o metodzie historycznej. Dr. Zofia Daszyńska. (K. C.).	272
DWA WIĘCIE. Poemat Leonarda Krzeczłowskiego (K. C.). . .	273
OGÓLNY ZARYS SYSTEMU FILOZOFII. Napisał dr. Aleksander Raciborski, nadzw. prof. filozofii Wszechnicy lwowskiej. Tom I. (Ks. M. Morawski T. J.).	412
KWESTYA ŻYDOWSKA W ŚWIELE ETYKI. Dr. Leopold Caro. Przetłumaczył Bolesław Lewicki. (Ks. J. B.).	420
DZIEJE SŁOWIAŃSZCZYNY PÓŁNOCNO-ZACHODNIEJ DO POŁOWY XIII. WIEKU. Przez W. Bogusławskiego. Tom II. (Rusin z Pokucia).	424
O SPOSOBACH OZNACZANIA SPÓŁGŁOSEK MIĘKKICH W PSALTERZU FLORYAŃSKIM. Napisał Romuald Koppens T. J. (Z. Paulisch).	431
FIORETTI czyli Kwiateczki św. Franciszka z Assyżu. Kronika średniowieczna.	433

Z piśmiennictwa zagranicznego:

SOUVENIRS ENTOMOLOGIQUES. Études sur l'instinct et les moeurs des insectes. J. H. Fabre. Quatrième série. (J. Nuckowski T. J.).	111
JAHRESBERICHT DER HERDER'SCHEN VERLAGSHANDLUNG ZU FREIBURG IM BREISGAU. 1892.	117

	Stronica.
Z LITERATURY ANGIELSKIEJ. II. (M.)	118
Z LITERATURY PRAWOSŁAWNO-ROSYJSKIEJ. (A. Szarlowski)	127
Z LITERATURY ANGIELSKIEJ. III. (M.)	274
По южной Америкѣ А. С. Ионина, въ двухъ томахъ, С-Петербургъ 1892. (Po Południowej Ameryce A. S. Jonina, w dwóch tomach). (Tytus Sopotzko)	435
DIE VEREHRUNG DER HEILIGEN UND IHRER RELIQUIEN in Deutschland während der zweiten Hälfte des Mittelalters. Von Stephan Beissel S. J. (Ks. K. C.)	443
DIE LEHRE VON DEN HEILIGEN SACRAMENTEN DER KATHOLISCHEN KIRCHE. Von Dr. Paul Schanz. (Ks. dr. T.)	444
Rozmaitości: POGADANKA O PRZYGODACH „CELOWOŚCI W NATURZE“. (Ks. M. Morawski T. J.)	282

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

KWIECIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Objawy przyjaźni Aleksandra III. dla katolicyzmu. — Po liście do hr. de Mun. — W Izbie niższej francuskiej. — W Izbie wyższej	137
JUBILEUSZ ROSSI'EGO I ALBUM NA JEGO UCZCZENIE WYDANE. Przez ks. J. Bilczewskiego	146
Z NAJNOWSZEJ STATYSTYKI SAMOBÓJSTWA	151

M A J.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Przygotowawcze prace do wyborów we Francji. — Amerykańska obrona spotwarzonego cara. — Sroższy ucisk Kościoła w Polsce. — Zgodniejsze z prawdą opisy moskiewskiej dyplomacyi. — Duchowieństwo w Bułgarii	289
WYDZIAŁ KONGRESÓW RELIGIJNYCH i kongres katolików na wystawie w Chicago. Przez Michała Zmigrodzkiego.	300
LIST z RZYMU o PRZYJĘCIU PIELGRZYMKI POLSKIEJ. Przez B. S.	305
POWITANIE POLAKÓW przez <i>Diritto di Roma</i>	308
KORRESPONDENCA REDAKCYI.	310

CZERWIEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Rzymskie pielgrzymki. — Rozdwojenie w <i>Centrum</i> . — Akcja katolików węgierskich. — Izba panów przeciw rządowej polityce kościelnej. — Programowa przemowa kardynała Vaughana Przez ks. Jana Bardeniego T. J.	446
ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNAŁAZKÓW: Jak się robią dyamenty? J. Nuckowskiego T. J.	456

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. MORAWSKI T. J.